295 707

Myśl

Papier na wydawnictwo niniejsze ofiarowali w znacznej części: Towarzystwo Akcyjne Mirkowskiej Fabryki Papieru; C. A. Moes; Towarzystwo Akcyjne „Soczewka"; Częstochowska Fabryka Papieru.

Roboty drukarskie w znacznej części wykonały tytułem darmym Zakłady drukarskie Piotra Laskauera i S-ki.

Broszura wykonana staraniem Zakładu introligatorskiego Józefy Bojanowskiej.

Myśl

Księga zbiorowa
wydana staraniem
Redakcji „OGNIWA".

MCMIV. Warszawa.

Дозволено Цензурою
Варшава, 17 Ноября 1904 года.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu
295707
K. 852/59

OD REDAKCJI.

Rok z górą minął, gdy do kilkudziesięciu pisarzy polskich wystosowaliśmy odezwę następującą:

„Okrutny wypadek losowy pogrążył w niedoli tysiące rodzin włościańskich rozrzuconych po wybrzeżach rzek naszych. Dziesiątki fabryk, unieruchomionych również skutkiem powodzi, zamknęło swe warsztaty przed dziesiątkami tysięcy głodnych robotników. Cały naród współczujący powołany jest do niesienia pomocy. Poczuwamy się i my do tego naczelnego obowiązku i w miarę sił i możności chcielibyśmy przyczynić się do ulżenia ciężkiej niedoli. W promieniu pracy naszej, ześrodkowującej się w „Ogniwie", — znajdujemy drogę takiej pomocy w wydawnictwie ***Księgi Zbiorowej.*** *Ma ona zogniskować objawy pracy poważnej we wszystkich dziedzinach myśli ludzkiej, pracy, której służą uczeni nasi, a której promykami chcieliby podzielić się z czytelnikiem i ogrzać a pocieszyć wydziedziczonych. Dajemy tej księdze zbiorowej imię:* **„MYŚL".**

Z kilku nielicznemi wyjątkami odezwa ta obudziła echo sympatyczne. Zgłoszono liczne zapowiedzi i zaraz też przed wskazanym przez nas terminem napływać zaczęły rękopisy. Nie wszystkie jednak. Trzeba było przypominać, nawoływać. Były takie, które wogóle nie wyłoniły się z mgławicowego wiru obietnic i przyrzeczeń. Oto dlaczego dopiero po roku

zgórą, ze znacznym opóźnieniem, ale chyba nie za późno wogóle składamy tę wiązankę ofiarną w ręce czytelnika naszego.

„Nie za późno"—bo jeżeli cel pierwotny, który miał siłę zogniskowania tak wielkiej ilości myśli polskiej na kartkach „Myśli" naszej—nie istnieje już dzisiaj w tym sensie przynajmniej, że komitety dla pomocy powodzianom działalność swoją zawiesiły i rozwiązały się, w polu widzenia pracy społecznej wyrosło nowe widmo głodu. Tym razem nie o nizinę Stopnicką chodzi, ale o dzielnicę roboczą Warszawy, nie o powodzian, jeno o pozbawionych pracy i chleba robotników i rzemieślników warszawskich. Zmieniły się tylko warunki zewnętrzne i nazwa. Na miejsce „Komitetu dla powodzian" wyrósł „Komitet dla głodnych". Ale przyczyna, która im życie dała, ale treść zabiegów człowieczych w jednym wypadku i drugim pozostała ta sama. Oto dlaczego uważaliśmy, że mandat nie wypełniony w stosunku do powodzian może i powinien znaleść zastosowanie w stosunku do tych, którzy po „powodzianach" w perspektywie naszych bólów społecznych naczelne zajęli stanowisko, i że spełniony być może przy pośrednictwie tych, którzy z ręki Komitetów dla powodzian skarbonkę publicznej ofiary przejęli i z niej dzisiaj zawsze skąpą, nigdy nie dostateczną pomocą obdzielają coraz liczniejsze rzesze proletarjatu miejskiego.

Wszystkim, którzy moralnie czy materjalnie poprzeć chcieli usiłowania nasze, składamy niniejszym serdeczne podziękowanie.

Rachunek kosztów i wpływów będzie we właściwym czasie ogłoszony w „Ogniwie".

Warszawa w listopadzie 1904 roku.

O potrzebie zakładania bibljotek publicznych w większych miastach prowincjonalnych.

Ilość bibljotek publicznych o poważniejszym zakroju jest u nas stosunkowo bardzo jeszcze nieliczną. Właściwie znajdują się one tylko w miastach największych (n. p. Warszawie), czasem jest ich tam nawet po kilka; bibljoteki te, bądź to każda z osobna, bądź razem wzięte, czynią w przeważnej mierze zadość zarówno wymogom naukowym, jako też potrzebom szerszej inteligientnej publiczności, poszukującej w nich źródła wiedzy i nauki; niektóre z nich, pod względem nagromadzenia ważnych zabytków i skarbów przeszłości, przedstawiają pierwszorzędną doniosłość i stają godnie obok najpoważniejszych tego rodzaju instytucji zagranicznych. Pozatym mamy jeszcze niektóre inne bibljoteki, założone i utrzymywane hojnością prywatną, zawierające nieraz nader cenne zabytki, dostępne, dzięki uprzejmości właścicieli, dla badań naukowych, ich użyteczność jest jednak pod pewnym względem ograniczoną, najpierw dla tego, że zbiory te obejmują przeważnie zabytki literatury dawniejszej i nie mogą być pomnażane w odpowiednim stosunku do rozwoju i rozrostu literatury dzisiejszej, a powtóre dla tego, że znajdują się przeważnie w miejscowościach mniejszych, gdzie poczet inteligencji, szukającej umysłowego pokarmu w lekturze poważnej, jest stosunkowo nieznaczny, a przeto też koło osób, korzystających z rzeczonych bibljotek, bardzo szczupłe.

Pozatym — można powiedzieć bez przesady — niema u nas bibljotek publicznych o poważniejszym zakroju. Nawet w większych miasteczkach i miastach prowincjonalnych znajdziemy chyba czytelnie, utrzymywane w resursach, które poważniejszym potrzebom wcale nie odpowiadają, ograniczają się bowiem prawie wyłącznie albo tylko do utrzymywania ilustracji i pism codziennych, albo w najlepszym razie nabywają jeszcze dzieła beletrystyczne, nieraz bez wyboru, lichej wartości. Tę samą mniej więcej rolę odgrywają też utrzymywane gdzieniegdzie przez miejscowe księgarnie wypożyczalnie książek, w których poza beletrystyką, i to znowu dość często przestarzałą i lichą niczego więcej doszukać się nie można.

Tak przedstawiają się stosunki nawet w największych miastach prowicjonalnych, o kilkudziesięciu, a nawet stu kilkudziesięciu tysiącach mieszkańców.

Jest to niewątpliwie zjawisko pod każdym względem ujemne. Żeby dotknąć przedewszystkim szczegółu stosunkowo podrzędniejszego znaczenia, stwierdzić trzeba, że w braku bibljotek publicznych niejednokrotnie potrzeby praktycznego życia nie znajdują tu dostatecznego zaspokojenia. Dla tych celów praktycznych trzeba nieraz zaglądać czy to do zbiorów praw, czy do wykazów statystycznych, czy też zapoznać się ze sprawozdaniami o stanie rozwoju pewnych instytucji, czy wreszcie przepatrzyć pewne wiadomości w podręcznikach, słownikach, wydawnictwach zbiorowych i. t. p. Gdzie istnieje bibljoteka publiczna, zawierająca tego rodzaju wydawnictwa, tam informacje powyższe z łatwością dadzą się wyzyskać; w jej braku trzeba się ich wyrzec, albo też można je zdobyć conajwięcej z wielkiemi trudnościami, nieraz niemałym nakładem czasu, pracy i pieniądza, zakupując osobno odnośne książki, lub wypożyczając je z bibljotek zamiejscowych. Że na tym zadania praktycznego życia niejednokrotnie cierpią, wywodzić szczegółowo nie potrzeba.

Ale ponadto wchodzą tu w grę momenty jeszcze ważniejsze. Przedewszystkim ten, że brak bibljotek publicznych zabija na prowincji prawie wszelką naukowość, albo przynajmniej rozwojowi jej niezmierne stawia przeszkody. Większe miasta prowincjonalne skupiają w sobie stosunkowo znaczny poczet inteligiencji, profesorów, prawników, lekarzy, inżynierów i. t. p., ludzi, którzy odebrali wyższe wykształcenie naukowe, z których niejeden z czasu swoich studjów wyniósł nawet szczere zamiło-

wanie do samodzielnej pracy w pewnej gałęzi nauki, może już nawet sił swoich w tym kierunku z powodzeniem próbował; a teraz, rzucony losem „na prowincję" pragnąłby dalej dla nauki pracować. Pragnąłby — ale brak poważniejszego zbioru bibljotecznego na miejscu nie pozwala mu na to. Wiadomo, że do prac naukowych potrzeba najczęściej zgromadzenia całych dziesiątek i setek ksiąg. Zakupić ich samemu niepodobna, bo i funduszów brak, i nie wszystko już zakupić da się; sprowadzać tak wielkiej ilości książek z bibljotek zamiejscowych również nie można. To też wszelka praca naukowa na prowincji jest ciężką walką z ustawicznemi, raz wraz piętrzącemi się trudnościami zewnętrznemi — brakiem materjału książkowego. Najwytrwalsi przełamią przeszkody cierpliwością i nieraz znaczną ofiarą materjalną, osiągając wytknięty cel daleko większym nakładem czasu i pracy, aniżeli to byłoby możliwym, gdyby materjał ten był dostępny na miejscu; a i tutaj nieraz wartość pracy naukowej w niejednym względzie ucierpi z powodu, że nie można było literatury wyczerpać w całości; inni — tych oczywiście stosunkowo najwięcej — zrażeni trudnościami zniechęcają się do pracy i zakładają ręce bezczynnie. Możnaby przytoczyć liczne przykłady, gdzie ludzie, wyposażeni prawdziwym taletem naukowym, ożywieni szczerą chęcią służenia nauce, rzuceni losem na prowincję, zmarnieli w całości dla tego, że się tam oprzeć nie mogli o jakiś poważniejszy zbiór bibljoteczny.

Brak takich zbiorów oddziaływa tu wszelako szkodliwie i w innym jeszcze kierunku i daleko szerszym zakresie. Poza nielicznemi stosunkowo jednostkami, które same dla postępu nauki pracują, znajduje się w każdej takiej miejscowości stosunkowo znaczny zastęp inteligiencji, który pracy takiej nie podejmuje, ale bądź co bądź często odczuwa potrzebę zapoznania się przynajmniej z ważnejszemi wynikami nauki, przyswojenia sobie jej zdobyczy, teraz zwłaszcza tak licznych i nieraz tyle doniosłych, czy to w ogóle, czy w pewnych szczególnych gałęziach wiedzy, czy przez lekturę rzeczy ściśle naukowych, czy też publikacji więcej popularnych. Ta szeroka publiczność nie może znaleść zaspokojenia swych potrzeb, jeżeli niedostaje bibljoteki publicznej na miejscu. W najlepszym razie ten lub ów nabędzie książki własnym kosztem, ale i tu znowu musi się ograniczyć do nabytków nieznacznych, a częstokroć nie najlepszych i nie najważniejszych, inni, cofając się przed wydatkiem, zrzekają się z konieczności poważniejszej strawy umysło-

wej. Tym też dzieje się, że lektura książkowa na prowincji ograniczyć się musi w ostatecznym wyniku przeważnie do tych tylko zasobów, jakiemi na miejscu rozporządzać można, głównie i przedewszystkim do beletrystyki, dostarczanej przez czytelnie i wypożyczalnie; która, gdyby ją nawet ograniczyć do samych tylko utworów wyborowych, daleką jest od zaspokojenia wszystkich potrzeb umysłu ludzkiego; w tej zaś formie, w jakiej zwykle jest podawaną, w utworach lichych, bez wartości, sprowadza nieraz przesyt i niechęć do książki w ogóle. Brak poważniejszej, łatwo dostępnej strawy umysłowej na miejscu powoduje zatym w ostatecznym wyniku nawet w ważniejszych środowiskach na prowincji pewne obniżenie umysłowości, pewien spadek pod względem kulturalnym, częstokroć nawet bez winy jednostek.

Z uwag tych wypływa, jak wielką doniosłość w życiu każdej większej miejscowości przedstawiają odpowiednio urządzone bibljoteki publiczne. Są one pod pewnym względem źródłem i ogniskiem cywilizacyjnym, zatym instytucją, której stworzenie stanowi jedną z najistotniejszych potrzeb owych miejscowości. Toż w wielu krajach takie prowincjonalne bibljoteki publiczne są zjawiskiem dość pospolitym; tak n. p. we Francji, Szwajcarji, w Niemczech, znajdują się one nie tylko w stolicach państw i krajów, posiadają je liczne miasta departamentowe, kantonalne, obwodowe; nieraz w jednym okręgu można znaleść kilka miast z bibljotekami publicznemi. Najczęściej utrzymywane są z funduszów publicznych danego okręgu, lub, co wypadek najzwyklejszy, z dotacji samego miasta.

Wobec tego byłoby rzeczą pożądaną zastanowić się także u nas nad stworzeniem takich bibljotek publicznych i podjąć stosowną akcję celem urzeczywistnienia tej myśli. Żeby zaś sprowadzić rzecz na pole obliczeń praktycznych, rozpatrzmy pytanie, czego potrzeba, ażeby jedna bibljoteka publiczna prowincjonalna mogła być założoną i na stałe utrzymaną.

Potrzeba tu zatym:

1. Pewnego, znaczniejszego od razu substratu w książkach, nie tylko jako jądra i zawiązku bibljoteki, ale zarazem jako materjału, któryby na pewien czas, zanim ona stopniowo nie urośnie, pozwolił jej, chociażby w skromnej, ale w każdym razie poważnej mierze, spełniać przyjęte na się zadania. Zawiązek taki, obliczony na jakie 20—30 000 tomów, mógłby zapewne na początek wystarczyć. Ten zasób książek dałby się z pewnością, przy odrobinie uwagi i dobrej woli, zgromadzić z wielką

łatwością i bez znacznych kosztów, przez nadsyłanie darów w książkach na rzecz owych bibljotek. Instytucje naukowe, redakcje dzienników i czasopism, księgarze, wydawcy, autorowie, niewątpliwie z chęcią ustąpiliby bezpłatnie po jednym egzmplarzu swych publikacji na cel powyższy, byleby ktoś zajął się ich zbieraniem; wszystkie inne jednostki prywatne mogłyby na tenże sam cel ofiarować czy to pewne, wydzielone ze swych zbiorów książki, czy też bibljoteki całe, z któremi nieraz nie wiedzą co począć. Pewne uzupełnienie zebranego w ten sposób materjału, przez zakupno rzeczy brakujących, w bibljotece publicznej najpotrzebniejszych, okazałoby się niewątpliwie koniecznym w chwili założenia bibljoteki; sam koszt pieniężny byłby tu jednak z pewnością stosunkowo nieznaczony.

2. Potrzeba stosownego budynku na umieszczenie bibljoteki tudzież odpowiedniego urządzenia go dla celów bibljotecznych. Gmach bibljoteczny, gdyby go miano stawiać z nowa, obliczony na stosunkowo skromny księgozbiór prowincjonalny, łącznie z samym urządzeniem bibljotecznym, dałby się postawić za cenę 30—40 000 rb.; oczywiście musiałby dawać zupełne bezpieczeństwo ogniowe dla złożonych w nim zbiorów. Gdyby zaś jakiś gotowy już budynek został odstąpiony na pomieszczenie bibljoteki, należałoby tu przeprowadzić nie tylko zwykłą adaptację ale i stosowną rekonstrukcję dla uchronienia przed niebezpieczeństwem pożaru; dla tego wydatek na ten cel przeznaczony, z doliczeniem wydatku na samo urządzenie bibljoteki, należałoby określić cyfrą 10—15 000 rub.

3. Po instalacji bibljoteki samej, potrzeba będzie corocznego stałego wkładu na utrzymanie i zarząd gmachu, na personal zarządzający i służbę bibljoteczną, wreszcie też stałej dotacji na zakupno i oprawę książek.

Na czele bibljoteki, jako jej zarządcę, należałoby koniecznie postawić człowieka, odpowiednio do tego uzdolnionego, a więc takiego, który odbył już praktykę bibljoteczną, np. w którejś z bibljotek zamiejscowych i sam poświęca się uprawie jakiejś gałęzi nauki. Jeden i drugi warunek musiałby się tu schodzić koniecznie. Nawet praktyka bibljoteczna sama nie wystarczyłaby tu jeszcze; nie ma większego nieszczęścia dla bibljoteki, jak kiedy na jej czele stanie człowiek, który sam nauki nie kocha, zrozumienia dla jej potrzeb nie ma, sam dla niej nie pracuje. Przytym należałoby dążyć do tego, ażeby los jego związać o ile możności na stałe z losem powierzonej mu instytucji, żeby

zajęcia swego nie uważał z konieczności tylko za rzecz chwilową i przejściową; tylko w tym razie ma się pewniejsze rękojmie prawdziwie sumiennego pełnienia obowiązków i szczerego zajęcia się dobrem bibljoteki. Odpowiednio do tych wymogów nie należałoby tedy zbytnio oszczędzać na rocznej płacy bibljotekarza, i gdyby tu nawet można zacząć od sum stosunkowo niższych, np. 1000—1200 rub., należałoby mu zapewnić, w miarę lat służby, stosowne dalsze dodatki, skutkiem których płaca mogłaby być podniesioną mniej więcej do 2500—3000 rb.

Ażeby się trzymać granic możliwie skromnych i ograniczyć cały stały personal bibljoteczny do tego jednego funkcjonarjusza, trzebaby mu przecież koniecznie dodać do pomocy jednego lub dwu prowizorycznych pomocników, o wynagrodzeniu rocznym około 300 rubli, co pociągnęłoby za sobą dalszy wydatek 300—600 rub.; do czego dodać należy roczną płacę sługi bibljotecznego (który zarazem mógłby być dozórcą gmachu) 300—400 rub.

Co do rocznej dotacji na zakupno i oprawę książek, nie możnaby chyba oznaczyć jej niżej 1000—1500 rub.

Samo wreszcie utrzymanie budynku wraz z opałem i oświetleniem kosztowałoby rocznie zapewne około 500 rub.

Na ogół zatym biorąc, przy najskromniejszych obliczeniach, samo założenie bibljoteki wymagałoby jednorazowego wydatku około 30 000—40 000 lub 10 000—15 000 rub., a dalsze jej utrzymanie stałej rocznej dotacji około 3100—6000 rub.; sumy jeśli nawet nie najmniejsze, w rzeczywistości jednak znikająco małe w stosunku do olbrzymich korzyści, jakie bibljoteka taka przynieść może i musi.

Ofiarność publiczna społeczeństwa, a zwłaszcza jednostek, interesem, zamieszkaniem i tradycją bliżej z daną miejscowością związanych, ma w tej sprawie pole do ujawnienia się na zewnątrz. O dwu rzeczach nie można tu jednak zapominać. Najpierw: że stworzenie takiej bibljoteki pociąga za sobą konieczność stałego jej na przyszłość utrzymania. Dopokąd tedy wykazany poprzednio stały roczny dochód nie będzie zapewniony, dopóty nie należałoby zrywać się na zakładanie bibljotek, choćby nawet znalazła się jednorazowa znaczniejsza suma, do założenia potrzebna. W tym bowiem razie rzecz, w najlepszej myśli poczęta, mogłaby wkrótce zmarnieć, dla braku środków na dalsze utrzymanie, a przeto i ów jednorazowy wydatek, może z niemałą ofiarą i wysiłkiem uczyniony, stałby się właściwie groszem wy-

rzuconym. Powtóre: ażeby rzecz nie zmarniała, nie wystarczyłoby nawet samo zapewnienie potrzebnej stałej dotacji; jeszcze ważniejszą rzeczą byłoby stworzenie rękojmi, że bibljoteka na stałe będzie w duchu ściśle naukowym kierowaną i rozwijaną. Należałoby mianowicie zapewnić w odpowiedni sposób, ażeby urząd bibljotekarza dostawał się zawsze tylko ludziom odpowiednio do tego zawodu uzdolnionym, ażeby książki, jakie z dotacji mają być zakupywane dla bibljoteki, przedstawiały, ze względu na swą treść, istotną wartość, należałoby wreszcie całą działalność bibljotekarza, zwłaszcza jego gospodarkę książkami, poddać stosownej kontroli. Wszystkie te zadania mógłby przejąć na siebie komitet, złożony z pewnej ilości obywateli, n. p. tych, którzy ofiarowali znaczniejsze datki na cele bibljoteki, pośród których jednak koniecznie znajdować by się musieli także ludzie nauki; gdyby ich nie było na miejscu, możnaby do współudziału zaprosić uczonych z innych miejscowości n. p. z Warszawy. Komitetowi temu należałoby przekazać prawo ustanawiana bibljotekarza i wykonywania kontroli nad bibljoteką.

Zwracamy przytym uwagę, że myśl tutaj rozwiniętą podjęło już we Lwowie tamtejsze Towarzystwo popierania nauki, stawiąc sobie za cel zakładanie bibljotek publicznych w większych miastach prowincjonalnych Galicji. Towarzystwo rozpoczęło już akcję gromadzenia książek (przez dary), jako zawiązku przyszłych bibljotek; kiedy się odpowiedni materjał zbierze, przystąpi ono, w miarę jak mu na to pozwolą fundusze, do urzeczywistnienia właściwego celu.

Oswald Balzer.

OKRUCHY MYŚLI.

1. Przyszłość należy do trzeźwych i sprawiedliwych.

2. Niezbędnym warunkiem wszelkiego postępu jest zapomnienie.

3. Vox populi... vox asini.

4. Język jest jednym z wielkich rezonatorów, bądź to potęgujących, bądź też tłumiących zasadnicze tony duszy ludzkiej.

J. Baudouin de Courtenay.

Sprzeczne kierunki w biologji. (Mechanizm i witalizm). ⁂⁂⁂⁂

Odrazu, jak tylko zaczęto poznawać i tłumaczyć zjawiska życia, ujawniły się w nauce o życiu dwa poglądy: jedni z biologów używali tu sposobów badania, stosowanych zwykle do przyrody martwej i objaśniali zjawiska życia czynnikami, spostrzeganemi lub domyślnie zawartemi w przejawach tejże przyrody, drudzy poszukiwali sposobów i czynników odrębnych. Pierwszy z tych poglądów nazywamy mechanistycznym, drugi — witalistycznym. Oba te skrajne kierunki dadzą się już odnaleźć w biologji, a właściwie w medycynie greckiej, ponieważ biologja, jako nauka teoretyczna, pozostawała w ścisłej zależności od ówczesnej praktycznej sztuki i nauki leczenia. Przeciwieństwo jednak tych poglądów nie mogło się u autorów greckich należycie uwydatnić, albowiem zagadnienia praktyczne panowały wówczas niepodzielnie w nauce lekarskiej i teoretyczna strona nauki o życiu nie zdołała się jeszcze wyodrębnić. Z tego właśnie powodu w głośnych walkach ówczesnych szkół lekarskich (dogmatyków, empiryków, eklektyków) zagadnienia teoretyczne o życiu nie odegrały ważnej roli.

Dopiero w epoce Odrodzenia, kiedy anatomja i fizjologja uzyskały pewną samoistność i oddzieliły się, jako nauki teoretyczne, od ogólnego pnia medycyny praktycznej, widzimy, że

wspomniane już poglądy nabierają poważnego znaczenia. Pod ich hasłem odbywa się dalszy rozwój nietylko biologji teoretycznej, ale całej nawet praktycznej medycyny. Początkowo przewagę zyskał pogląd mechanistyczny. Wieki XVI i XVII były epoką potężnego rozwoju mechaniki, fizyki i astronomji, dzięki pracom Leonarda da Vinci, Galileusza, Keplera, Newtona, Mariotte'a i innych. Zdumiewające odkrycia w tej dziedzinie nie mogły pozostać bez wpływu na ogólny kierunek badań biologicznych. Zaczęto tedy powszechnie stosować w biologji metodę, której pierwsze zasady utrwalił Galileusz i którą posługiwano się tak skutecznie w badaniu zjawisk fizycznych. Poszukiwanie związków przyczynowych między zjawiskami i doświadczenie stały się wówczas ogólną podstawą naukowej metody badania. Do powodzenia tego kierunku przyczyniły się również w pewnym stopniu ówczesne szkoły filozoficzne. Indukcyjna metodologja Bacona i realistyczna teorja poznania Locke'a wywarły bez wątpienia znaczny wpływ, zwłaszcza na prace biologów angielskich. To samo można powiedzieć o głośnej wtedy filozofji Descartesa: jego nauka o ruchach wirowych we wszechświecie była wielokrotnie stosowana do wyjaśnienia zjawisk życia i przyczyniła się do uzasadnienia poglądu, upatrującego w życiu przejaw ruchu mechanicznego.

Kierunek mechanistyczny był bardzo płodny w odkrycia na polu fizjologji. Można rzec, że on dopiero wyodrębnił fizjologję z całokształtu nedycyny, zbogacił ją ogromnym zasobem nowych faktów i uwolnił od wielu odwiecznych błędów.

W tym czasie właśnie odkryto obieg krwi (Harvey), wyjaśniono mechaniczne podstawy ruchów człowieka i zwierząt (Borelli) oraz mechanizm oddychania i trawienia, wykryto fakty zasadnicze, tyczące się zapładniania (Fabricio, de Graaf, Harvey i inni), poznano fizjologję narządów zmysłów itd. Częste stosowanie doświadczeń wiwisekcyjnych i badań nad zwierzętami dla wyjaśnienia zagadnień fizjologicznych dało początek anatomji i fizjologji porównawczej i rozszerzyło szczupły dotychczasowy zakres badań biologicznych, ograniczony do fizjologji człowieka.

A jednak, pomimo tych ogromnych zdobyczy, kierunek mechanistyczny nie utrzymał się trwale w nauce. Złożyło się na to wiele okoliczności. Przedewszystkiem w badaniach fizjologicznych na początku XVIII wieku nastąpiło pewne wyczerpanie: nie wszystkie zjawiska życia dawały się wyjaśnić na podstawie znanych praw fizycznych, zaś sprawy chemiczne, zacho-

dzące w ustroju żywym, nie mogły być poznane dla braków w stanie ówczesnej chemji. Tworzono więc rozmaite hipotezy, których nieudolność odrazu rzucała się w oczy i dyskredytowała poniekąd samą naukę i jej kierunek zasadniczy. Następnie do upadku kierunku mechanistycznego przyczyniły się wnioski, wyprowadzane w medycynie praktycznej z mechanistycznego pojmowania życia. Powstały wrogie, walczące ze sobą obozy jatrofizyków i jatrochemików, którzy wyjaśniali zjawiska życia i choroby wyłącznie ze stanowiska fizyki lub chemji. Z tych walk i błędnych wniosków padał cień na sam kierunek nauki teoretycznej. Nakoniec na początku XVIII wieku zmienił się wyraźnie i ogólny kierunek myśli: krańcowy idealizm Berkeley'a i idealistyczna filozofja Leibnitz'a podkopały wiarę w rzeczywistość i w znaczenie doświadczalnej metody badania.

Ostatecznie więc reakcja przeciw mechanistycznemu poglądowi w biologji występuje już na początku XVIII wieku w postaci animizmu Stahla. Prof. medycyny teoretycznej w Halli, Stahl († w r. 1734) dowodził, że zjawiska życia nie mają żadnego związku z prawami fizyki i chemji i nie mogą być przez nie wyjaśniane; jego zdaniem trzeba tu koniecznie przyjąć istnienie pierwiastku duchowego, działającego celowo i rozumnie. Ten pierwiastek Stahl nazywa duszą (anima, stąd animizm — nazwa jego nauki), która jest w pewnym stopniu synonimem jakiejś odrębnej siły, właściwej tylko istotom ożywionym. Ta siła tworzy ustrój żywy i kieruje wszystkiemi jego czynnościami. Teorja Stahla nie była bezwzględnie nową w nauce, gdyż już w XVII wieku van Helmont wygłosił naukę podobną. Jego archeusze, kierujący sprawami życia, przedstawiały również pojęcie sił uduchowionych, właściwych istotom ożywionym. Teorja van Helmonta nie odegrała jednak wielkiej roli w rozwoju nauki, była przedwczesną i zginęła w ogólnym prądzie mechanistycznym. Dopiero po upływie prawie całego wieku, przyodziana w szatę animizmu przez Stahla, ta sama teorja znalazła grunt więcej przygotowany, wywarła duże wrażenie i zrobiła pierwszy wyłom w dotychczasowej twierdzy mechanizmu życia.

Około połowy XVIII st. fizjolog szwajcarski Haller dowodził również, że zjawiska życia nie dają się tłumaczyć wyłącznie prawami fizycznemi i chemicznemi, że dwie właściwości materji żywej, mianowicie drażliwość i czułość (irritabilitas et sensibilitas) są właściwe tylko ciałom ożywionym i nie pozwalają się sprowadzić do sił fizycznych. Wkrótce potym Borden i Bar-

tłez podporządkowali obie te własności pod ogólne pojęcie siły żywotnej (vis vitalis, principium vitale — stąd nazwa witalizmu), cechującej tylko ciała organizowane, żyjące. Takie uogólnienie nie zostało jednak przez wszystkich witalistów przyjęte. Bichat np., znakomity biolog francuski i zdecydowany witalista, potępił pojęcie siły żywotnej jako zbyteczną i nic nie wyjaśniającą abstrakcję i obstawał natomiast za istnieniem dwu odrębnych własności v. sił: kurczliwości i czułości (contractibilité et sensibilité). Inny witalista tego okresu Blumenbach utrzymywał, że najważniejszą i pierwotną własnością życia jest dążność do organizacji (nisus formativus, — Bildungstrieb). Podobną myśl wyraził też nasz Jędrzej Śniadecki, który upatrywał główną podstawę życia w sile organizującej. Widzimy więc, że nie pewne określone pojęcie siły lub sił właściwych życiu stanowiło zasadę ówczesnego witalizmu, lecz pogląd na życie jako na odrębny szereg zjawisk, nie mających nic wspólnego ze zjawiskami przyrody martwej. Ten pogląd właśnie zapanował w nauce prawie powszechnie pod koniec XVIII wieku.

Przyjrzyjmy się teraz, jakie skutki sprowadziła w biologji ta zmiana zasadniczego poglądu. Przedewszystkim jeżeli życie stanowi odrębny rodzaj zjawisk, nie mających nic wspólnego ze zjawiskami fizycznemi i chemicznemi, to metoda ich badania powinna być również odrębna. Trzeba było tedy wynaleźć inną swoistą metodę, którąby zastąpiła doświadczalne badanie związku przyczynowego, stosowane w fizyce i chemji. Jakkolwiek myśl ta często widniała w pismach witalistów, jednak urzeczywistnić ją było bardzo trudno. Pinel uważał za swoistą dla badań biologicznych metodę analityczną, podaną przez Condillaca, polegającą na analizie zjawiska złożonego aż do nierozkładalnych jego pierwiastków i następnie na syntetycznym odbudowywaniu z tych samych cząstek całości. Ale metoda ta nie stanowiła nowości w nauce, albowiem badanie doświadczalne związku przyczynowego musi posługiwać się początkowo analizą zjawiska złożonego, a następnie wiązać w łańcuch przyczynowy znalezione pierwiastki, aby wyjaśnić całość zjawiska. Różnica polegała tu tylko na tym, że witaliści w swej metodzie badania nie kładli nacisku ani na związek przyczynowy, ani tymbardziej, na doświadczenie, więc synteza, nie hamowana doświadczeniem, dawała szerokie pole rozmaitym hipotezom i wnioskowaniu dedukcyjnemu. Dodać tutaj muszę, że metoda analityczna nie była ogólnie przyjętą przez witalistów. Stosowali ją głównie w

swych badaniach witaliści francuscy: Bichat, Pinel, Geoffroy Saint-Hilaire i inni i w pracach ich metoda ta oddała nawet rzetelne usługi nauce, co w pewnym stopniu przypisać należy temu, iż autorowie ci nie odrzucali w swych badaniach spostrzegania i doświadczenia. Pomimo jednak braku ogólnie przyjętej jednolitej metody badania w pracach ówczesnych witalistów uwydatniają się pewne wspólne właściwości: wszędzie spotykamy dążność do uogólnienia, do tworzenia hipotez i teorji ogólnych, wszędzie widzimy przewagę po stronie rozumowania dedukcyjnego i mniej więcej wyraźną nieufność do doświadczeń. Te właściwości spotęgowały się w ostatnim okresie panowania witalizmu w Niemczech, gdzie pod wpływem krańcowego idealizmu u następców Kanta (Schelling, Fichte, Hegel) biologja rozpłynęła się w tak zwanej filozofji natury, polegającej wyłącznie na spekulacji. Filozofja natury, głosząca jedność ducha i przyrody, ożywiła i uduchowiła całą przyrodę i zatarła poniekąd różnicę pomiędzy ciałami ożywionemi i martwemi.

Wobec takiego kierunku badania zdobycze faktyczne na polu fizjologji musiały być nieznaczne. Istotnie, druga połowa XVIII i początek XIX wieku przynoszą nauce stosunkowo skąpą ilość faktów, które w dodatku zawdzięczamy głównie takim maruderom mechanizmu biologicznego, jak Spalanzani, J. Hunter a po części i Haller. Ten ostatni, pomimo że wygłaszał ogólne zasady witalistyczne, pozostał w metodzie badania wiernym doświadczeniu. Nie trzeba bowiem rozumieć, że witalizm ze wszystkiemi jego następstwami panował bezwzględnie i wyłącznie; tak nigdy nie było i być nie mogło. Wszakże takiej zupełnej jednolitości poglądów w nauce nie było i w poprzednim okresie mechanistycznym. W wieku XVII, wśród powszechnej przewagi kierunku mechanistycznego w biologji, van Helmont stworzył teorję życia, przypominającą animizm Stahla, nawskroś witalistyczną. Mamy tu właściwie na myśli tylko pewną przewagę kierunku, nadającego piętno całej epoce. W okresie witalistycznym oprócz wyraźnych i konsekwentnych witalistów można było spotkać uczonych, którzy jak Haller lub J. Müller hołdowali w teorji pewnym poglądom witalistycznym, zaś w praktyce kroczyli utartemi drogami doświadczalnego badania. Byli nakoniec i tacy, którzy w teorji zajmowali względem witalizmu stanowisko wrogie i wyznawali całkowicie zasady mechanizmu. Tych ostatnich liczono jednak niewielu, większość była po stronie witalistów.

Biologja witalistów polegała nie tyle na zbieraniu nowych faktów, ile na ich wiązaniu i uogólnianiu teoretycznym. Wszystkie ważniejsze prace najwybitniejszych przedstawicieli ówczesnego witalizmu mają właśnie taki charakter syntetyczny. Bichat tworzy swoją „Anatomję ogólną" i znane swe „szkice o życiu i śmierci"; Jędrzej Śniadecki — fizjologję ogólną w swojej „Teorji jestestw organicznych"; Lamarck — „filozofję zoologji" itd. Ten prąd uogólniający wzmógł się głównie w Niemczech na początku XIX wieku, gdzie cała biologja przybrała charakter spekulacji filozoficznej, gdzie nawet poeci (Schiller, Goethe) zajmowali się ogólnemi zagadnieniami z zakresu biologji i filozofji natury.

Ruch uogólniający, syntetyczny, który panował pod wpływem kierunku witalistycznego w biologji, miał niewątpliwie swoje strony dodatnie. Przedewszystkim pod wpływem tego ruchu powstały pierwsze naukowe próby klasyfikacji roślin i zwierząt (Linneusz, Buffon) i klasyfikacji patologicznej. (Linneusz, Boissier de Sauvages, Pinel). Następnie uogólnienia te wyprowadziły na jaw wiele nowych zagadnień, dały początek nowym naukom. Bichat przez swoją anatomję ogólną stworzył nową naukę o tkankach (histologję); Blumenbach — antropologję, Geoffroy-Saint Hilaire, Oken — morfologję i t. d. Przytym anatomja i fizjologja porównawcza zyskały niewątpliwie dużo w dobie, gdzie charakter cały badań zasadzał się głównie na porównywaniu narządów i funkcji u rozmaitych istot ożywionych. Biologja, rozbita dotąd na odrębne nauki, zaczęła się również w tym okresie jednoczyć i pod wpływem badań witalistycznych przeradzać w ogólną naukę o życiu. Nakoniec w dobie ówczesnej kierunku witalistycznego powstaje wiele nowych myśli i płodnych w następstwa uogólnień, które, jakkolwiek nie wyzyskane umiejętnie na razie, stanowiły jednak bodziec do wielkich odkryć w epoce następnej. Tutaj zaliczyć musimy myśl teorji ewolucyjnej i zmienności gatunków, wypowiedzianą w dziełach Lamarcka, SaintHilaire'a, Okena; myśl przemiany i niezniszczalności materji w istotach żywych, wyrażoną w dziele Śniadeckiego i wiele innych mniej ważnych uogolnień. Był to właściwie obfity posiew świeżych ziarn, z którego żniwo zbierać miały następne pokolenia.

Korzyści powyższe miały jednak swą przeciwwagę w szkodach, jakie kierunek witalistyczny sprowadził w nauce. Wyraźne lekceważenie doświadczenia i zdobytych tą drogą faktów, zami-

łowanie do uogólnień, opartych nieraz na oddalonej analogji, dosięgły szczytu ku końcowi tej epoki. Zwłaszcza filozofja natury w Niemczech ugrzęzła w bezpłodnej spekulacji, nie mającej niekiedy nic wspólnego z prawdziwemi zadaniami nauki.

Początek upadku witalizmu datuje się od drugiego i trzeciego dziesiątka XIX wieku. Właśnie wówczas fizjolog francuski Magendie wystąpił otwarcie i namiętnie przeciw panującemu witalizmowi, wykazując błędy w samym pojęciu siły żywotnej i konieczność badań doświadczalnych w fizjologji. Prawie równocześnie chemik niemiecki Wöhler otrzymał drogą syntezy mocznik. Fakt to był wielkiej wagi, rzekomo obalał bowiem najważniejszy argument, jaki przytaczali witaliści w obronie swej nauki: że w laboratorjum nie można otrzymać sztucznie żadnego ciała organicznego, że ciała takie powstają wskutek działania swoistej siły. Odrodzenie więc kierunku mechanistycznego w biologji postępowało szybko, a sprzyjały temu niewątpliwie znaczne postępy chemji w końcu XVIII i na początku XIX wieku. Odkrycia Lavoisiera, Gay-Lussaca, Berzeliusa przekształciły chemję doszczętnie i dały możność zastosowania zdobytych przez nią faktów i ustanowionych praw do badań biologicznych.

Kierunek mechanistyczny wznowił również badania mikroskopowe, zaniedbane i lekceważone przez witalistów. Ulepszone wskutek postępów techniki mikroskopy pozwoliły wniknąć głębiej w budowę tkanek. W czwartym dziesięcioleciu XIX wieku dokonano jednej z największych zdobyczy biologicznych, mianowicie odkryto komórkę (Schleiden, Schwann), ów pierwiastek budowy istot żywych, ów organizm elementarny. Te nowe zdobycze w dziedzinie biologji przemawiały na korzyść kierunku mechanistycznego, nic więc dziwnego, że zajmował on z błyskawiczną szybkością kolejno wszystkie posterunki, należące dotąd do witalistów. W ciągu kilkunastu lat niespełna witalizm zaginął prawie w nauce, tylko w Niemczech przetrwał stosunkowo najdłużej, gdyż jeszcze około roku 1840 spotykamy tam zwolenników filozofji natury i witalizmu. Ostateczny cios zadał tym maruderom Lotze w swojej głębokiej krytyce siły żywotnej (r. 1842). Od tego czasu kierunek mechanistyczny zapanował niepodzielnie w biologji.

Reakcja ta odbyła się w samym łonie biologji, bez żadnego współudziału ogólnych prądów myśli filozoficznej. Już sam fakt, że przewrót powyższy dokonany został w dobie największych tryumfów idealistycznej filozofji Hegla i największego jej roz-

głosu nawet poza granicami Niemiec, dowodzi, iż mechanizm XIX wieku powstał samoistnie z naukowych zagadnień metodologicznych. Co więcej, jako kierunek reakcyjny przeciw filozofji natury, porwał on wszelkie nici, łączące naukę z filozofją. Ośmieszano każdą spekulację, każde sięgające naprzód uogólnienie i dociekanie teoretyczne i apoteozowano tylko spostrzeganie i doświadczenie. Pod tym względem znajdujemy pewną różnicę pomiędzy mechanizmem XVII i XIX wieku, różnicę, wynikającą z odmiennych warunków powstawania. Kiedy pod koniec XVI wieku występują pierwsze początki mechanizmu biologicznego, walka nauki z filozofją scholastyczną i Arystotelesem była już skończona. W filozofji widniały już nowe prądy, harmonizujące z kierunkiem mechanistycznym, nie było więc powodu do walki; przeciwnie, można było raczej stwierdzić tu wyraźny sojusz. Nauki w owym czasie nie wyspecjalizowały się jeszcze, nie zdołały poodgraniczać swych terenów badania. Filozofowie, fizycy i matematycy zajmowali się zarówno zagadnieniami fizjologicznemi (Descartes, Boyle), a ówcześni biologowie lekarze poświęcali się także fizyce lub filozofji. Taka wzajemna wymiana myśli podtrzymywała niewątpliwie ścisły związek pomiędzy ogólnemi prądami filozoficznemi i naukowemi zagadnieniami. Inaczej rzecz się miała w wieku XIX. Mechanizm musiał wystąpić do walki z filozofją natury, która wzięła witalizm pod swe skrzydła i tą drogą wytworzyła się nienawiść i lekceważenie nietylko do filozofji natury, lecz i do wszelkich dociekań myśli uogólniającej. Przytym stan nauk był już taki, że specjalizacja stanowiła poniekąd podstawę ich dalszego rozwoju i o wzajemnej wymianie myśli pomiędzy nauką i filozofją nawet mowy być nie mogło. Wytworzył się tu rodzaj muru chińskiego, którym nauka i filozofja wzajemnie się odgraniczały. Podobny stosunek nie był pomyślny dla dalszych losów kierunku mechanistycznego, gdyż, jak to później zobaczymy, wywołał on w końcu XIX wieku znowu reakcję i przyczynił się do jego upadku.

Wprawdzie i mechanizm XIX wieku posiadał swoją filozofję (fil. pozytywna A. Comte'a, metodologja i teorja poznania J. Stuarta Milla i popularna fil. materjalistyczna w Niemczech), ale wyrosła ona właściwie z kierunku mechanistycznego w nauce, została przezeń stworzoną. Wszystkie postulaty teoretyczne i metodologiczne fizyki, chemji i biologji znalazły potwierdzenie we wspomnianej powyżej filozofji, która, zamiast

rozbierać krytycznie zasadnicze podstawy nauki, wyprowadzała z nich krańcowe wnioski.

Odrodzony pogląd mechanistyczny panował w biologji względnie niedługo. Dosięgnął on szczytu koło r. 1870 i odtąd występuje przeciw niemu powoli reakcja w postaci t. zw. neowitalizmu, który zatacza coraz szersze koła i obecnie dąży do tego, aby stać się kierunkiem przeważającym w naszej nauce. Krótki czas odrodzonego mechanizmu wniósł do nauki wiele nowych faktów i niepodobna prawie wyliczyć wszystkich zdobyczy, jakie mu zawdzięczamy. Fizjologja uczyniła w tym czasie duże postępy w zakresie poznania spraw chemicznych, zachodzących w ustroju Opracowano dość dokładnie chemizm oddychania, trawienia i ogólnej przemiany materji, odkryto wiele faktów pierwszorzędnej wagi w zakresie fizjologji układu nerwowego, embrjologji i paleontologji, zreformowano zasadniczo anatomję patologiczną i wogóle całą patologję, poznano świat drobnych istot żywych (mikroorganizmów) i stworzono nową naukę — bakterjologję. Słowem nie było w biologji dziedziny, któraby w tym okresie nie zyskała wiele bądź przez odkrycie nowych faktów, bądź przez zasadniczą reformę w sposobie i metodzie badania. Z uogólnień teoretycznych tego czasu największe znaczenie przypadło w udziale teorji ewolucyjnej i selekcyjnej Darwina. Zasadnicza myśl tej teorji powstała, jak już wspominaliśmy, pod wpływem kierunku witalistycznego, ale ostatecznie i faktycznie opracowaną była w dobie panowania biologicznego mechanizmu.

Widzimy więc, że kierunek mechanistyczny w biologji XIX wieku był bardzo płodny. Wprawdzie ku końcowi stulecia płodność ta zmniejszyła się nieco, nie doszła jednak do zupełnego wyczerpania i jałowości, upadek więc tego kierunku przypisać raczej musimy pewnym okolicznościom ubocznym. Istotnie reakcja przeciw mechanizmowi powstała właściwie na gruncie teorjo-poznawczym, filozoficznym i objęła równocześnie nietylko biologję, lecz wszystkie prawie nauki przyrodnicze. Już mówiliśmy poprzednio, że postulaty nauk przyrodniczych, tworzone dla wytłumaczenia zjawisk spostrzeganych, nie miały jednolitej krytycznej podstawy. Popularna filozofja pozytywna i materjalistyczna nie zajmowała się krytycznym badaniem tych postulatów, lecz przeciwnie, drogą popularyzacji i wyprowadzania wniosków przyczyniła się do ich zdogmatyzowania. Taki stan rzeczy musiał wywołać reakcję, która z punktu teorjo- po-

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

znawczego rozszerzyła się następnie i na inne zagadnienia nauki. W zakresie biologji np. sprowadziła odrodzenie się witalizmu. Jaką się to drogą odbywało, wykażemy na innym miejscu.

W tym krótkim szkicu nie poruszałem umyślnie szczegółów, gdyż nie zdołałbym ich tutaj wyczerpać. Chodziło mi tylko o najogólniejszy zarys dwuch sprzecznych prądów w biologji, które od kilku wieków walczą z sobą wzajemnie i zyskują kolejno przewagę. Dawno już zauważono w historji myśli ludzkiej falowanie, przerzucanie się w pewnych okresach czasu od jednego skrajnego kierunku do drugiego; oddawna już stało się niejako pewnikiem, że postęp nie zdąża po linji prostej, lecz po łamanej. Prawdę tę można odnaleźć również w dziejach biologji. Co więcej, dzieje te uczą nas, że istnieje jedność myśli ludzkiej i że w rozmaitych jej dziedzinach panują okresowo jednakowe prądy Witalizm, jako pogląd, zawiera niewątpliwie pewne pierwiastki idealistyczne, a jako kierunek naukowy panuje wówczas, kiedy wogóle myśl ludzka skłania się ku idealizmowi; mechanizm rozwija się na podkładzie realistycznym i wzrasta równolegle do przewagi realizmu w dziejach myśli ludzkiej. Historja nauki wyjaśnia nam również, że takie skrajne falowanie kierunków konieczne jest dla ogólnego postępu. W każdym wynalazku, w każdym odkryciu naukowym da się ściśle odróżnić pomysł i jego wykonanie, idea i jej uzasadnienie. Nowy pomysł, nowa idea polegają na uogólnieniu, na wynajdywaniu podobieństw ukrytych, tymczasem wykonanie i uzasadnienie wymagają cierpliwych doświadczeń i trzeźwej badawczości. Zdarzają się, co prawda, wyjątkowo uposażone osobniki, które łączą w sobie obie te zdolności: potrafią stworzyć ideę i równocześnie dokładnie ją uzasadnić. Najczęściej jednak znajdujemy w umysłach ludzi przewagę albo zdolności uogólniającej, syntetycznej, albo badawczej, analitycznej. Otóż panowanie w nauce kierunków wręcz sprzecznych zapewnia i umożliwia wyzyskanie tych różnych zdolności myśli ludzkiej i stanowi, że tak powiem, znakomite przystosowanie się nauki do właściwości naszego umysłu. Cały postęp w nauce jest jakby dziełem jednego zbiorowego gienjalnego umysłu, który w pewnej epoce tworzy, uogólnia, szuka nowych dróg, a w innej — bada i uzasadnia.

Dr. Władysław Biegański.

KULTURA I CZYSTOŚĆ.

Zrodziła się w drugiej połowie ubiegłego stulecia zasada czystości, jako kardynalna zasada praktycznej chirurgji; stopniowo zasada ta stała się własnością całej medycyny, — przedewszystkim tej gałęzi naukowej, która ma na celu ochronę zdrowia i zapobieganie chorobom — a więc higjeny. Jest już nawet zasada czystości tak samo kamieniem węgielnym higjeny, jak jest nim w chirurgji; jest do tego stopnia, że gdy obecnie coraz głośniej rozlega się nawoływanie: „uczmy ogół higjeny, wpajajmy elementy tej nauki nawet w szkole niższej", to nawoływanie to jest niemal synonimem hasła: „uczmy ogół czystości, wpajajmy weń dogmat, iż czystość jest najlepszym talizmanem zdrowia, najskuteczniejszą ochronę od choroby".

O tym znaczeniu czystości są przekonani, naturalnie, przedewszystkim urzędowi adepci medycyny i higjeny, czyli lekarze. Od lekarzy też wychodzi współczesna propaganda higjeny i czystości śród szerszych warstw ogółu, propaganda, której ogół nielekarski przysłuchuje się niewątpliwie coraz baczniej. I są te nawoływania dla większości ogółu propagandą pojęć n o w y c h, jak nową była jeszcze nie tak dawno zasada czystości dla samej chirurgji i całej medycyny.

Nowa?! Czy istotnie zasada czystości, fizycznego ochędóstwa jest rzeczą nową, czyż istotnie skarbnica pojęciowa ludzkości zawdzięcza tę zasadę jedynie medycynie i higjenie i dopiero za pośrednictwem tych dyscyplin, i dopiero w ostatnich czasach, ogół dowiaduje się o potrzebie czystości?

Nie potrafię ściśle odpowiedzieć, kiedy powstał słynny aforyzm: „stopień cywilizacji mierzy się ilością zużytego mydła", ale faktem jest, że aforyzm ten powtarzali w swej młodości ludzie, obecnie już dobrze posiwiali. Innemi słowy, aforyzm uwydatniający potrzebę ochędóstwa fizycznego napewno znanym był szerszemu ogółowi wcześniej, niż ogół ten zaczął o tej potrzebie dowiadywać się od lekarzy i higjenistów — wszak to ostatnie, szczególnie u nas, istnieje dopiero od lat kilku — a prawdopodobnie i wcześniej, niż „wyklarowała się" i zdobyła powszechność zasada czystości w samej medycynie i higjenie.

O cóż tu chodzi? Chodzi właśnie o to, że pojęcie czystości, fizycznego ochędóstwa tkwi zdawna w pojęciu cywilizacji, pojęciu kultury, że poczucie czystości wzrasta ze wzrostem kultury w całym ogóle i pojedyńczych jednostkach. Chodzi o to, że człowiek cywilizowany bierze się do mydła, dba o czystość zarówno całej swej osoby, jak otoczenia, nawet zanim się dowie o potrzebie czystości od medycyny i higjeny. Niewątpliwie istniały i istnieją narody i jednostki zasłużone pod względem postępu na polu nauki i sztuki, układu społecznego i etycznego itd., a nie czyniące zadość pojęciu czystości fizycznej w stopniu najwyższym. Mimo to wszystko w umyśle ucywilizowanym, np. w umyśle współczesnym „kultura" i „czystość" tworzą tak silną, choć nieraz bezwiedną asocjację, że trudno nam wyobrazić sobie człowieka rzetelnie kulturalnego, a brudnego z własnej, nieprzymuszonej woli, — że jakiś Papuas, Eskimos czy Indjanin czerwonoskóry jest dla nas „dzikim" może właśnie najpierw dlatego, że jest człowiekiem brudnym, rażącym zmysły nasze swym nieochędóstwem, że, konsekwentnie, wzmagające się zaniedbanie osobnika kulturalnego pod względem ochędóstwa fizycznego jest dla nas oznaką i świadectwem upadku jego „kultury", jego „zdziczenia" — zapewne niekiedy warunkowanego przez chorobę (alkoholizm). Wolno nawet i to powiedzieć, że istotnie „stopień cywilizacji mierzy się ilością zużytego mydła", czyli że coraz chętniej i powszechniej stan ochędóstwa fizycznego staje się dla nas m i e r n i k i e m stopnia cywilizacji. W myśl tego zapatrywania np. obecnie narody szczepu giermańskiego, jako bardziej czyste, nietylko dla powierzchownych obserwatorów przedstawiają się bardziej kulturalnemi niż narody romańskie.

* *
*

Jaką drogą i dlaczego umysł współczesny doszedł do uznania czystości za nieodzowny atrybut kultury — na to nie udałoby się odpowiedzieć łatwo i przekonywająco: to jedno jest nader wątpliwe, by pojęcie to wypłynęło z jakiegoś wrodzonego człowiekowi poczucia czystości. Wszystko raczej przemawia za tym, że jest przeciwnie, — że w rezultacie „poczucie" czystości jest wynikiem „doświadczenia", empirycznie stwierdzonej szkodliwości brudu fizycznego. Tak czy inaczej — przypomnieć należy, iż nakazy ochędóstwa w tym czy innym kierunku istniały już w odległej starożytności, choćby u Mojżesza (później u Mahometa); a w biegu wieków sprawa praktycznego stosowania zasady czystości, w pewnych kierunkach, stała nieraz bezporównania lepiej niż obecnie. Wiadomo, jak lubili kąpiel Rzymianie; kto chciał zyskać popularność śród ludu rzymskiego, ten budował łaźnie publiczne i za czasów Konstantyna było ich w samym Rzymie aż 856. Kąpali się też bardzo pilnie i średniowieczni Niemcy, tak że miasto Ulm posiadało nie mniej niż 158 łaźni publicznych.*) Później to podupadło, i lat temu paręset markizy i hrabiowie potrafili nosić na sobie koszulę tak długo, póki z nich — sama nie opadła.

W wieku dziewiętnastym znowu wzrasta dbałość o czystość ciała; a niewątpliwie przyczyniają się w czasach najnowszych nawoływania lekarzy i higjenistów do wzmocnienia tych dążności. Ważną zasługą higjeny jest okoliczność, iż wiedza ta u ś w i a d o m i a szersze warstwy ogółu co do nieodzowności unikania brudu, że pozwala rozumieć z przyrodniczego punktu widzenia znaczenie różnych czynności, mających na celu czystość ciała i otoczenia naszego. W moc takiego uświadomienia przy praktycznym stosowaniu zasady czystości unika się jednostronności i błędów, jakie łatwo popełnić może człowiek najbardziej dbający o czystość, a nieznający szczegółowszych zdobyczy nauki — kiedy np. przy zachowywaniu czystości ciała używa się „nieczystej" wody, albo oddycha się „nieczystym" powietrzem.

Ale — powtórzmy — niewolno mniemać, by zdobycie zasady czystości i jej propaganda była wyłączną własnością i niepodzielną zasługą współczesnej medycyny i higjeny. Wolno raczej przypuszczać, że pojawienie się tej zasady w tych gałęziach

*) Według Sondereggera: „Podstawy ochrony zdrowia", t. I, str. 96 (Bibl. dzieł wyborowych, 1902.)

wiedzy jest szczegółowym przejawem i następstwem coraz bardziej rosnącego pojęcia, iż ochędóstwo cielesne jest obowiązkiem każdego ucywilizowanego człowieka.

* *
*

Pojmowanie zasady czystości jako zasady ogólno-kulturalnej, nietylko ściśle higjenicznej, prowadzi bezpośrednio do kilku praktycznych wniosków. A więc niewątpliwie podniesienie kultury śród ogółu sprzyja wzrostowi dobrobytu materjalnego; z drugiej jednak strony postawienie jednostki na pewnym stopniu kultury fizycznej, umysłowej, etycznej itp. wymaga odpowiednich zasobów materjalnych. Wszystko kosztuje, a wcale nienajmniej czystość, jako podstawowy atrybut kultury. Gdzie też króluje nędza, nie na wiele zda się nawoływanie do czystości, podobnie jak niesposób wymagać od proletarjusza, by miał na szkołę dla dziecka, jeśli on nie ma na kawałek chleba. Inna sprawa z ludźmi, mającemi co jeść, a ugrzęzłemi w atmosferze zwykłego zwierzęcego materjalizmu; tutaj chodzić może tylko o nakład czasu i pracy — zapewne nieraz bardzo znaczny — a wcześniej czy później, w stopniu mniejszym czy większym, obudzić w nich zdołamy dążenie do ochędóstwa, zarówno jak dążenia umysłowe.

A po drugie — uprzytomnijmy sobie, iż ucywilizowanie, kultura, wychowanie itp. (jakiegokolwiek z tych wyrażeń pokrewnych, niekiedy jednoznacznych użyjemy) zarówno ogółu jak jednostki bynajmniej nie polega zasadniczo na zaznajomieniu tego ogółu i jednostki z sumą pewnych norm społecznych, etycznych itp., w danej epoce czasu uznawanych i obowiązujących, ale właśnie przedewszystkim na n a u c z e n i u tego ogółu i jednostek, by wedle tych norm p o s t ę p o w a l i. Bynajmniej też nie wystarcza, by się ktoś dowiedział tylko i wiedział, że należy chronić swe ciało od brudu, nosić czyste ubranie, pić czystą wodę, trzymać czysto swe sprzęty itd., ale by postępował wprost automatycznie w myśl postulatu czystości. W tym właśnie kierunku powinien wychowawca wytężać swe usiłowania, a może się wtedy obejść bez formalnego wykłady higjeny, — choć niewątpliwie wykłady takie, jako uświadamiające, przy wykształceniu średnim i wyższym wzmacniać i utrwalać będą zdobyte poprzednio drogą p r a k t y c z n ą zasady postępowania hi-

gjenicznego. Znajomość higjeny potrzebną będzie dla każdego wychowawcy: naturalnie, jednak znowu nie chodzi o to, by wychowawca znał tylko potrzebę czystości, a sam wedle tej zasady nie umiał postępować. Na nic też nie zdadzą się wszelkie nawoływania do czystości, jeśli uczeń będzie miał ciągle przed oczyma niechlujstwo własnego nauczyciela — co się także zdarza.

Że szkoła powinna uczyć higjeny, wzgl. czystości, przedewszystkim przykładem, czynem, — zapatrywanie to zdobywa coraz powszechniejsze uznanie zarówno śród lekarzy jak wychowawców i coraz częściej słyszy się o zadośćczynieniu temu postulatowi, choćby np. przez zakładanie kąpieli przy szkołach ludowych (na Zachodzie). W przeciwstawieniu do tego rodzaju faktów konkretnych bynajmniej nie jest jeszcze powszechnym przeświadczenie o oczywistej prawdzie, iż pojęcie kultury nie łączy się w żaden sposób z pojęciem brudu i niechlujstwa, iż dbałość o czystość zarówno osobistą jak własnego otoczenia jest pierwszym obowiązkiem człowieka „kulturalnego". Wraz ze zdobyciem takiego przeświadczenia upadają wszelkie przeszkody, jakieby ktokolwiek chciał stawiać wprowadzaniu elementów higjeny choćby już do szkoły niższej; jednocześnie zbytecznym staje się wszelkie dowodzenie nieodzowności tej gałęzi wiedzy, jako jednego z przedmiotów ogólno-kształcących.

Dr. E. Biernacki.

Ochrona od powodzi.

(Szkic z dziedziny prawa wodnego).

Woda, jak każdy żywioł, będąc z jednej strony potężną dźwignią kultury, z drugiej przedstawia siłę niebezpieczną, zagrażającą dobytkom tejże kultury i samemuż życiu ludzkiemu. To też opanowywanie żywiołu przez człowieka ma dwojaki kierunek: człowiek pracuje nad zużytkowaniem sił żywiołowych dla swoich celów tudzież nad odwróceniem grożącego od tychże sił niebezpieczeństwa. W stosunku do wody działając w pierwszym kierunku, człowiek uspławnia rzeki, z wód bieżących i stałych tworzy środek komunikacji, buduje kanały, irryguje pola, zakłada młyny wodne, wytwarza za pomocą prądu wody elektryczność itd. W drugim kierunku stara się ochraniać brzegi wszelkiego rodzaju zbiorników wody od zalewów, osusza ziemię od nadmiaru wilgoci za pomocą drenów itp. Praca w obu tych kierunkach jest zapewne równowieczną naszej kulturze, przynajmniej u najdawniejszych ludów historycznych spotykamy już roboty i urządzenia wodne doprowadzone do wysokiego stopnia doskonałości. Egipcjanie wodami Nilu a Assyryjczycy wodami Eufratu i Tygru potrafili użyzniać kraje swoje; z upadkiem kultury wodnej tych ludów słynne niegdyś swą żyznością ziemie zamieniły się w pustynie. Później Arabowie odznaczyli się pracami nad kulturą wodną. Oczywiście i w in-

nych krajach i we wszystkich czasach, człowiek opanowywać musiał w powyżej zaznaczonym dwojakim kierunku żywioł wodny, ale prace te z wieków średnich np. pozostawiły bardzo mało śladów po sobie. Wiadomo jednak, że w końcu wieków średnich i na początku doby nowożytnej wznoszono już tamy ochronne wzdłuż brzegów rzek celem zabezpieczenia nizin nadrzecznych od zalewów. W starożytności takich tam nadbrzeżnych, czyli wałów ochronnych nie budowano, przynajmniej nie ma o nich wzmianki w świadectwach historycznych. Wiadomo tylko, że Rzymianie nad dolnym Renem budowali się na usypanych w tym celu kopcach dla zabezpieczenia mieszkań od powodzi, nie były to jednak wały ochronne w dzisiejszym znaczeniu, to jest nasypy ziemne mające zabezpieczać od zalewu znaczniejsze obszary ziemi. Takie nasypy budować miał nad górną Wisłą Kazimierz Wielki, w końcu zaś XV wieku nad dolną Wisłą, w obrębie Prus królewskich, istniał już związek właścicieli nadbrzeżnych dla wspólnej obrony od zalewu. W dobie nowożytnej budowę i właściwą konserwację wałów nadbrzeżnych uznano powszechnie za najodpowiedniejszy środek zabezpieczający równiny nadrzeczne od niebezpieczeństwa powodzi i wały takie budowane są i konserwowane z większą lub mniejszą umiejętnością i starannością nad wszystkiemi znaczniejszemi rzekami; tam, gdzie rzecz ta jest dobrze zorganizowana i prowadzona, urządzenia wałowe ratują nietylko mnóstwo istnień ludzkich, ale i znaczną część majątku narodowego w postaci ziemi zwykle bardzo żyznej oraz zabudowań. Najznakomitszą pracą w tym zakresie jest obwałowanie Holandji, które broni od zalewu morskiego najbogatszą część tego kraju, z takiemi miastami, jak Amsterdam, Roterdam i Haga.

W ostatnich czasach sprawa zabezpieczenia wybrzeży rzecznych od zalewów stała się bardziej może jeszcze ważną niż dawniej i to nietylko dlatego, że w miarę wzrostu bogactwa narodowego wzmaga się też wartość dóbr na obszarach zalewnych, ale i z powodu większego niebezpieczeństwa zalewów.

Celem uspławnienia rzek prowadzone są w nowszych czasach roboty regulacyjne polegające na zwężeniu i pogłębieniu koryta. Otóż w korytach głębokich i wązkich prąd jest dużo bardziej wartki, przez co wylew bywa o wiele gwałtowniejszy. Nadto trzebież lasów w górach sprawia, że śniegi tają w górach dużo szybciej i wogóle odpływ wód górskich w niziny jest bez porównania prędszy, wreszcie osuszanie gruntów, pro-

wadzone w niektórych krajach na ogromną skalę, powoduje znaczny odpływ wód gruntowych do rzek. Szczególnie narażone bywają na zalew wybrzeża w dolnym biegu wówczas, gdy rzeka w górnym biegu jest uregulowana i szczelnie obwałowana. Naturalnie, że w tym wypadku nurty rzeki prą z wielką siłą i dostawszy się na miejsce niezabezpieczone zalewają niziny o wiele zupełniej i szybciej niż by to się działo, gdyby rzeka na całej przestrzeni nie była uregulowaną ani obwałowaną. Straszna katastrofa Szegiedynu była właśnie spowodowaną tą okolicznością, iż górny Dunaj był dobrze uregulowany i obwałowany a niżej w okolicach miasta takiej regulacji nie było. Podobnież ma się rzecz i wówczas gdy na jednym tylko brzegu prowadzona jest porządna ochrona a drugi brzeg mało zabezpieczony, w tym wypadku cały nadmiar wody wylewa się na ten brzeg drugi. Powyższe okoliczności sprawiają, że w nowszych zwłaszcza czasach zalewy stały się częstszemi i groźniejszemi a więc i kwestja zabezpieczenia się od nich bardziej palącą. Zwłaszcza w kraju naszym kwestja ta gwałtem woła o szybkie i skuteczne rozwiązanie. Niziny nadwiślańskie stanowią znaczną część naszego majątku narodowego, a niziny te, zwłaszcza w obrębie Królestwa Polskiego, mają ciągle przed sobą niebezpieczeństwo powodzi. Wisła jest rzeką wartką i kapryśną a przytym konstatujemy u nas i te powyżej zaznaczone przyczyny specjalne, dla których niebezpieczeństwo zalewu w pewnych częściach rzeki może być szczególnie groźne. Mianowicie górny bieg Wisły w Galicji jest uregulowany, następnie na przestrzeni od Niepołomic do Zawichosta, to jest na przestrzeni, na której Wisła jest rzeką graniczną, brzeg południowo wschodni galicyjski jest dużo lepiej obwałowany niż brzeg północno zachodni.

Prace ludzkie, obejmujące tak zwaną kulturę wodną w ogólności i ochronę od zalewów w szczególności, wywołują stosunki złożone i odrębne pomiędzy obywatelami, a także między obywatelami a władzą publiczną, co stwarza potrzebę specjalnych norm prawnych. Prawo rzymskie i w tym zakresie postawiło zasadę własności prywatnej wód i nieograniczonego rozporządzenia właściciela. Natomiast według giermańskich poglądów prawnych woda była rzeczą publiczną i interes publiczny a nie prywatny uważany był za rozstrzygający w sprawie użytkowania wód. Jak wiadomo, prawo rzymskie w drugiej połowie wieków średnich zapanowało w Europie łacińskiej i wyparło stare prawo giermańskie i słowiańskie. Jednakowoż

w niektórych dziedzinach życia te stare tubylcze pierwiastki prawne zdołały się utrzymać i nawet powagę zasad rzymskich przełamać. Stało się to między innemi w zakresie prawa wodnego. Rzeki spławne uznawane były i uznawane są powszechnie za własność publiczną i tylko rzeki niespławne mogą być przedmiotem własności prywatnej, ale i tutaj właściwie tylko łożysko i brzegi pozostają w zupełnym rozporządzeniu właściciela, sama zaś woda nie, gdyż zatamować jej odpływu nie można.

Specjalne prawodawstwo wodne, odpowiednio usystematyzowane i regulujące całokształt odnośnych stosunków, stanowi wytwór doby nowożytnej. We Francji za Ludwika XIV, w Brandenburgji współcześnie za Wielkiego Elektora, powstały pierwsze regulaminy wodne. Były to jednak tylko rozporządzenia częściowe . Wielka Rewolucja naturalnie i tą sprawą się zajęła. Według ustaw z lat 1791 i 1793 uznano interes publiczny jako rozstrzygający w prawie wodnym i prawo to całe za część prawa publicznego. Zgodnie z ostatnią zasadą kodeks Napoleona nie zajmuje się prawem wodnym prawie zupełnie, pozostawiając je ustawie specjalnej, która też w roku 1809 wydaną została. Idąc za przykładem Francji, inne państwa cywilizowanej Europy, zwłaszcza niemieckie, przystąpiły w ciągu XIX wieku do wydania ustaw wodnych, z których to ustaw pruska, austrjacka, bawarska i badeńska uważane są za wzorowe. We wszystkich rzeczonych prawach przeważa zasada interesu i prawa publicznego, z największą konsekwencją zasada ta przeprowadzoną została w prawie pruskim. Stosownie do tego i nowy kodeks cywilny niemiecki z roku 1900 zupełnie się nie zajmuje prawem wodnym, jako nie należącym do dziedziny prawa prywatnego. W niniejszym szkicu nie mam naturalnie zamiaru przedstawiania zasad poszczególnych ustawodawstw europejskich w zakresie prawa wodnego, idzie mi tylko o wskazanie kilku kierowniczych norm ogólnie przyjętych w zakresie ochrony nizin nadbrzeżnych od zalewów.

Jedną z takich zasad kierowniczych jest uznanie obowiązku każdego mieszkańca terytorjum zalewnego do ponoszenia ciężarów potrzebnych celem odwrócenia niebezpieczeństwa powodzi. Ciężary te są trojakiego rodzaju: powinność naturalna, polegająca na obowiązku każdego mieszkańca do ofiarowania pewnej ilości pracy osobistej w razie niebezpieczeństwa powodzi, danina pieniężna, którą właściciele gruntów zalewnych uniszczać muszą celem wznoszenia i konserwacji urządzeń o-

chronnych i wreszcie serwituty gruntowe dla urządzeń ochronnych potrzebne. Pierwsza powinność naturalna pracy osobistej wszystkich mieszkańców terytorjum zalewnego na żądanie właściwej zwierzchności najlepiej ilustruje fakt, że ochrona od zalewu i wywołane przez nią stosunki, jest według nowoczesnych pojęć instytucją prawa publicznego; powinność ta stanowi analogję z obowiązkiem powszechnej służby wojskowej dla obrony kraju od nieprzyjaciela, jest też rzeka wylewna często groźnym nieprzyjacielem dla sąsiednich mieszkańców, czyhającym na ich życie i mienie. Jednakowoż ta pomiędzy powinnością obrony brzegów a powszechną służbą wojskową zachodzi różnica, że w pierwszej powinny może dać zastępcę, gdy w służbie wojskowej to jest niedopuszczalne. Oprócz pracy osobistej do powinności naturalnej należy dostarczanie podwód i narzędzi rozporządzalnych. Opłata pieniężna obowiązuje wszystkich właścicieli gruntów stosunkowo do ich obszaru, wartości kadastralnej oraz stopnia ryzyka. Opłata ta uważana jest za zobowiązanie z prawa publicznego wynikające i ściąganą jest w drodze egzekucji administracyjnej, jak podatki państwowe i gminne. Wreszcie serwituty gruntowe polegają na obowiązku przedsiębrania pewnych robót na gruncie, ewentualnie zrzeszenia czynności osób powołanych w celu zabezpieczenia od powodzi. Do takich czynności należy obowiązek oddania części gruntu na budowę wałów i inne urządzenia ochronne, zezwolenie przejścia i przejazdu o ile to potrzebne do robót ochronnych, zezwolenie na kopanie ziemi, piasku, kamieni itp. materjałów, potrzebnych do budowy urządzeń ochronnych, obowiązek zadrzewiania pewnych miejscowości, sadzenia roślin krzaczastych, zapuszczania pewnych gruntów na łąkę, o ile to potrzebne w celach zabezpieczenia od powodzi. Może też ciążyć na właścicielu gruntu zobowiązanie nie czynienia, np. nieprzedsiębrania żadnych robót ziemnych bez zezwolenia właściwej zwierzchności. Naturalnie na wszelkie rozporządzenia tej zwierzchności służy skarga do władzy przełożonej i wyżej w drodze sądownictwa administracyjnego, tam, gdzie ono istnieje, t. j. według procedury ustnej i kontradyktoryjnej przy pomocy obrońców. Wszystkie powyżej zaznaczone zobowiązania właścicieli gruntów w obrębie zalewnym, to jest powinności naturalne, zobowiązania pieniężne i serwituty gruntowe są ujawniane w księgach hipotecznych, stanowią ciężar rzeczowy a nie osobisty i przechodzą na każdego nowonabywcę obciążonej nieruchomości, natomiast, kto własność swoją alienuje

tym samym uwalnia się od wszelkich zobowiązań mających na celu ochronę od zalewu. Korzystają też zaległe opłaty na wznoszenie i konserwację wałów oraz innych urządzeń ochronnych, z przywileju na całej obciążonej nieruchomości, a więc są zaspakajane z szacunku tej nieruchomości z pierwszeństwem przed długami hipotecznemi. Za grunty oddawane do rozporządzenia tak zwanych władz wałowych, a więc na wały, roboty ziemne, za uszkodzenia gruntów spowodowane robotami ochronnemi, właściciel ma prawo do żądania odszkodowania określanego w sposób dla wywłaszczeń na użytek publiczny przepisany. —

Zobowiązania właścicieli gruntów, mające na celu ochronę danego terytorjum od powodzi, mają za równoważnik prawo tychże właścicieli do żądania wzniesienia i odpowiedniego utrzymania urządzeń ochronnych, a więc państwo przyjmując zobowiązania właścicieli tym samym samo zobowiązuje się do przedsiębrania tego wszystkiego co dla obrony danego terytorjum od powodzi jest potrzebnym i możebnym. Powinnością więc władzy państwowej jest ułożenie całego planu ochronnego dla danego terytorjum, właściwe jego wykonanie przez budowę odpowiednich wałów, oraz odpowiednia konserwacja tychże wałów. Ten obowiązek władzy państwowej znajduje jeszcze poparcie w tej okoliczności, iż rzeka spławna, jako własność publiczna, znajduje się na całej swojej długości w rozporządzeniu państwa, które gospodaruje na niej według własnego uznania. Roboty więc, które państwo w górze rzeki przedsiębierze, mają, jak to wyżej zaznaczono, często wpływ ujemny na zalewność pobrzeży w nizinie rzeki, słusznym więc jest, aby państwo uczyniło wszystko co możebne, aby niebezpieczeństwo zalewu usunąć. I niezależnie od tego państwo ma obowiązek takiego zarządzania rzeką, aby ona korzyść tylko a nie szkodę przyniosła mieszkańcom nadbrzeżnym. Powinna więc władza państwowa tak rzekę regulować, i w taki sposób brzegi jej ochraniać, aby ryzyko zalewu do minimum doprowadzić. Z tym obowiązkiem zbiega się potrzeba regulacji rzecznej w celu ułatwienia spławu, państwo baczyć powinno, aby regulacja ta nie przeszkadzała lecz przeciwnie sprzyjała zabezpieczeniu nizin nadbrzeżnych od zalewu. Z tych względów państwo w zasadzie bierze na siebie inicjatywę i kierownictwo robót ochronnych, a nadto przyczyniać się powinno do kosztów tychże robót. W rozumieniu tego obowiązku rządy państw zachodnio europejskich wykładają corocznie miljonowe sumy na zabezpieczenie pobrzeży i regulację rzek, a

także na częściowe odszkodowanie właścicieli, którzy od powodzi ucierpieli. Z drugiej strony słusznym jest, aby z władzą państwową współdziałali sami mieszkańcy nadbrzeżni, jako najbliżej zainteresowani i powyżej zaznaczone zobowiązania ich na cele zabezpieczenia od powodzi są zupełnie uzasadnione. Niewykonanie tych zobowiązań stanowi nietylko tytuł do odszkodowania dla wszystkich, którzy skutkiem tegoż niewykonania szkodę ponieśli, ale wywołuje także represję karną, dochodzącą do kilku miesięcy aresztu za nieposłuszeństwo władzy w wypadkach szczególnie ważnych przy ratowaniu od powodzi. Najbliższym organem władzy, czuwającym nad tamami rzecznemi, jest ogólna okręgowa władza administracyjna, działająca jednak przeważnie za pośrednictwem urzędników specjalnych: jakoto komisarzy wodnych, inżynierów rzecznych, inspektorów wałowych itd.

Bezpośrednie zobowiązania pojedyńczych właścicieli gruntów nadbrzeżnych i bezpośredni stosunek tychże właścicieli do władzy państwowej w zakresie ochrony nadbrzeżnej, jest właściwie tezą teoretycznie prawną, punktem wyjścia dla ustawodawstwa. W praktyce jednak odnośne stosunki ukształtowały się inaczej. Wówczas jeszcze, gdy sfera obowiązków i działalności państwowej była o wiele wyższą niż obecnie i gdy sprawy takie jak obrona ziem nadbrzeżnych od zalewów rzecznych wychodziły powszechnie poza obręb tejże działalności, sami właściciele nadbrzeżni tworzyli związki ochronne, które rozwijając się autonomicznie, doszły przeważnie do znacznego rozkwitu. Drogą zwyczajową powstała nawet przymusowość związku w stosunku do właścicieli nadbrzeżnych, czynnik bardzo poważny, bez którego urzeczywistnienie celów stowarzyszenia wałowego nie byłoby możebne, gdyż często opór kilku lub nawet jednego właściciela niweczyłby wszystkie prace ochronne. Stąd zasada staroniemiecka „wer will nicht deichen, muss weichen", to znaczy, że kto nie chce uczestniczyć w robotach ochronnych, w budowie i konserwacji tam, ten musi ustąpić ze swojego gruntu, który przechodzi na rzecz związku.

Prawodawstwa nowoczesne nietylko utrzymały związki wałowe, ale zaopiekowały się niemi i oparły na nich całą sprawę konserwacji terytorjów nadrzecznych. Związki wałowe stanowią odmianę stowarzyszeń wodnych wogóle, inne rodzaje tych stowarzyszeń mają na celu irrygacje pól i łąk, drenowanie i wogóle osuszanie ziemi, regulację potoków i rzek itp. W Prusach sprawę stowarzyszeń wałowych reguluje ustawa z roku 1848, we

Francji ustawa o syndykatach wodnych z roku 1865, w Austrji cały szereg ustaw i rozporządzeń, z których najdawniejsze, do dzisiaj częściowo obowiązujące sięgają 1830 r.

Typy związków wałowych przez ustawy powyższe, oraz przez prawodawstwa innych krajów ustalone, są trojakie. Pierwszy typ—to zwykle wolne stowarzyszenie właścicieli gruntów nadbrzeżnych, mające na celu wspólną ochronę od zalewów i pomoc w razie niebezpieczeństwa powodzi. Są to spółki ogólne, rządzące się zasadami prawa prywatnego. Nie znajdują się w żadnym szczególnym stosunku do władzy państwowej, nie ulegają jej zatwierdzeniu i z chwilą zawarcia odnośnej umowy pomiędzy stowarzyszonemi, zarejestrowania statutów czy też dopełnienia innych formalności, przez przepisy o stowarzyszeniach wymagane, uważają się za prawnie istniejące i rządzą się zupełnie autonomicznie jak każde prywatne stowarzyszenie w krajach zachodnio europejskich z tym jednak zastrzeżeniem, że same roboty ziemne, mogące mieć wpływ na kierunek prądu rzecznego i na wzmożenie zalewności innych gruntów, nie należących do stowarzyszonych, nie mogą być wykonywane bez zezwolenia właściwej władzy. Stowarzyszenia tego typu nie korzystają naturalnie z prawa przymusowości i wywłaszczenia, należy do nich ten, kto chce, ale nie można nikogo do udziału zmusić. Wobec tego znaczenie rzeczonych stowarzyszeń jest bardzo ograniczone, mogą one istnieć i skutecznie funkcjonować jedynie na nieznacznych przestrzeniach, lub też tam, gdzie niziny nadrzeczne należą do niewielkiej ilości właścicieli, którzy łatwo porozumieć się mogą pomiędzy sobą. Gdy jednak idzie o terytorja znaczniejsze, rozdrobnione pomiędzy wielu właścicieli, wówczas ochrona brzegów za pomocą wolnych stowarzyszeń nie jest do urzeczywistnienia, ponieważ, jak to zaznaczono powyżej, opór kilku lub nawet jednego właściciela, nie chcącego należeć do stowarzyszenia i odmawiającego zezwolenia na przeprowadzenie tamy na jego gruncie, uniemożebnia całe przedsięwzięcie. Wobec tego formą dużo ważniejszą, jako mogącą jedynie zapewnić skuteczność pracy związkowej, są stowarzyszenia uposażone w przywilej przymusowości.

Stowarzyszeń tych są dwa rodzaje, jeden polega na inicjatywie prywatnej, drugi państwowej. Pierwszy typ, to jest związek pochodzący z inicjatywy prywatnej a posiadający przywilej przymusowości, uważany jest za normalny typ związku wałowego według ustawodawstwa francuskiego i austrjackiego. Ini-

cjatorami stowarzyszenia tego typu są sami zainteresowani, t. j. posiadacze gruntów na terytorjum zalewnym położonych. Jeżeli nie wszyscy właściciele zgadzają się na utworzenie stowarzyszenia, w takim razie inicjatorzy stawiają wniosek do władzy publicznej o nakazanie przymusowego zorganizowania stowarzyszenia i przystąpienia do niego wszystkich właścicieli danej niziny zalewnej. Według niektórych prawodawstw wniosek taki wówczas tylko skutek osiągnie, gdy jest stawiany przez większość zainteresowanych, ustawa francuska wymaga nawet większości $^2/_3$ głosów właścicieli reprezentujących conajmniej $^2/_3$ obszaru terytorjum mającego związkowi podlegać. Wniosek inicjatorów oraz projekt statutów ulega rozpoznaniu najbliższej zwierzchności administracyjnej, która do udziału w rozprawach kontradyktoryjnych wzywa wszystkich zainteresowanych, bada za pośrednictwem specjalistów stan rzeczy na miejscu i wydaje orzeczenie bądź to zatwierdzające wniosek założenia stowarzyszenia, bądź też uchylający go. Przeciwko temu orzeczeniu służą naturalnie właściwe środki prawne aż do wyroku najwyższej instancji sądownictwa administracyjnego. Stowarzyszenie ostatecznie zatwierdzone powinno w określonym czasie rozpocząć swoją działalność a to pod karą utraty koncesji. Organizacja związku podobną jest do ogólnego typu stowarzyszeń. Ogólne zebranie właścicieli związkowych wybiera zarząd lub komitet wałowy oraz naczelnika wałów i, zresztą nie wszędzie, inspektora wałowego. Naczelnik wałów jest przedstawicielem całego związku wobec władz i osób trzecich, staje w sądach, prowadzi korespondencję, kasę i wogóle jest zarządcą administracyjnym i finansowym; inspektor wałów jest zaś technicznym kierownikiem robót. Organy te mogą mieć do pomocy dozorców, strożów wałowych, sekretarzy, buchalterów itp. Zarząd lub komitet wałowy sprawuje dozór nad czynnościami naczelnika i inspektora a nadto określa budżet związku i repartycje poborów pomiędzy stowarzyszonemi. Repartycja ta jest sprawą dosyć złożoną, nie można nakazać zupełnie równomiernego udziału wszystkich stowarzyszonych stosunkowo do obszaru posiadanych przez nich gruntów, gdyż naprzód ryzyko zalewu jest rozmaite, w różnych częściach ochranianej niziny, a następnie rozmaitą jest także wartość gruntów, a więc i ewentualna strata, którą poniósłby właściciel w razie zalewu; słusznym jest, ażeby więcej płacił ten, kto więcej straci na powodzi od tego, kto straci mniej. Okoliczności te powinny być ściśle rozważane przy repartycji

poborów na roboty ochronne. Naturalnie duże to pole do niezadowolenia i sporów. Budżet i repartycja ulega zatwierdzeniu ogólnego zebrania stowarzyszonych a niezadowoleni z orzeczenia tego mogą założyć skargę do zwierzchności publicznej, która to skarga ulega rozpoznaniu według zasad sądownictwa administracyjnego. Pobory są ściągane z polecenia naczelnika wałów przez władze gminne na równi z podatkami. Jeżeli państwo, prowincja lub gmina stowarzyszenie subwencjonuje, w takim razie rządowi lub zwierzchności gminnej, albo prowincjonalnej służy prawo udziału w administracji stowarzyszenia za pośrednictwem reprezentantów.

Prawodawstwo pruskie wytworzyło trzeci typ stowarzyszeń, to jest związki zakładane przez samą władzę państwową niezależnie od woli i inicjatywy właścicieli nadbrzeżnych. Zamiast wykonywać samemu roboty ochronne w danej miejscowości i ściągać w tym celu opłaty od zainteresowanych, rząd może powołać do życia związek właścicieli bronionych gruntów i przeprowadzenie właściwych środków ochronnych związkowi temu zlecić. To już nie jest prawie stowarzyszenie, ale specjalna organizacja samorządna. Wytworzenie związku dokonywa się w Prusach przez rozkaz królewski po szczegółowym zbadaniu sprawy i wysłuchaniu zainteresowanych w regiencji okręgowej. Statut także opracowany jest przez władzę i sankcjonowany przez króla. Po utworzeniu w ten sposób związku zwierzchność miejscowa zwołuje ogólne zgromadzenie właścicieli gruntów celem dokonania wyboru organów związkowych, które są mniej więcej te same w stowarzyszeniach z prywatnej inicjatywy powstałych. Jednakowoż wybrani urzędnicy związkowi ulegają zatwierdzeniu władzy rządowej, natomiast mają i pewne przywileje urzędników państwowych, a także naczelnik wałów ma prawo żądać bezpośrednio pomocy policji i wojska np. przy ratowaniu od powodzi, rozbijaniu zatorów lodowych itp. i żądanie takie powinno być zaspokojone.

Stowarzyszenia wałowe wszelkiego typu stanowią naturalnie osoby prawne, mogące wchodzić w umowy majątkowe, jako to nabywać własność, zaciągać pożyczki itp. Z prawa tego stowarzyszenia obficie korzystają, zwłaszcza związki znaczniejsze uskuteczniają budowę wałów i wogóle większe roboty nakładowe nie z opłat uczestników, gdyż stanowiłoby to zbyt wielki ciężar jednorazowy, lecz drogą pożyczek. Dzieje się to naturalnie o tyle tylko, o ile skarb państwowy, lub prowincjonalny nie udzieli

na te roboty zapomogi bezzwrotnej, a subwencje podobne praktykowane są bardzo często. Gdy zapomoga taka z tych lub owych względów uzyskaną nie została, wówczas stowarzyszenie zaciąga pożyczkę nizkoprocentową i umarzaną często z kas państwowych, prowincjonalnych albo powiatowych. W Prusach istnieją w tym celu specjalne instytucje kredytowe prowincjonalne na wzór tamtejszej landszafty urządzone. Z instytucji tych największe operacje wykazała śląska. Opłaty doroczne, ściągane od członków związku, używane więc bywają zazwyczaj nie na budowę urządzeń ochronnych, lecz na ich konserwację, oraz na oprocentowanie i umorzenie pożyczek.

Oprócz cechy przymusowości stowarzyszenia tamowe prawa publicznego odznaczają się jeszcze jednym rysem szczególnym, a mianowicie nie są to związki osób, lecz raczej związki rzeczy. Członkami stowarzyszenia nie są ludzie, jako tacy, lecz jako właściciele realności zalewnych. Z chwilą wyzbycia się własności były właściciel tym samym przestaje być członkiem stowarzyszenia, traci wszelkie w nim prawa i jest zwolniony z wszelkich zobowiązań. Przeciwnie zaś nabywca przez sam fakt nabycia, bez jakichkolwiek innych formalności wstępuje do stowarzyszenia wałowego, przejmując wszystkie prawa i zobowiązania swojego poprzednika. Jeżeli grunt, będący poprzednio własnością jednej osoby, ulega następnie podziałowi pomiędzy kilka osób, np. skutkiem sprzedaży parcelacyjnej, w takim razie wszyscy nowi właściciele stają się członkami stowarzyszenia.

Skutkiem tego charakteru rzeczowego, który upodabnia związki wałowe do naszych towarzystw kredytowych, koniecznym jest ujawnienie praw i obowiązków z należenia do związku wynikających w księgach hipotecznych realności do związku należących. Tak się też dzieje rzeczywiście i na wniosek zarządu związku wszystkie nieruchomości związkowe powinny być obciążone wpisami określającemi zobowiązania i uprawnienia wobec stowarzyszenia. Nadto stowarzyszenie samo nabywa zazwyczaj ziemię potrzebną na wały i inne roboty, wydziela ją hipotecznie i zabezpiecza na niej zaciągnięte pożyczki.

Jak wiadomo, w krajach Europy zachodniej całe terytorjum dokładnie jest wymierzone, opisane, oszacowane i rezultat tych czynności ujawniony w tak zwanym kadastrze. Obok tego ogólnego kadastru istnieje specjalny kadaster wodny dla miejscowości zalewnych, który określa stosunek danego gruntu do zalewającego zbiornika wody, ryzyko zalewu, istnienie i stan u-

rządzeń ochronnych itp. Dane te służą między innemi do określenia udziału gruntu w wydatkach na cele ochrony wodnej, ewentualnie w składkach stowarzyszeń wałowych. W Austrji istnieje w tym celu specjalne urządzenie w postaci tak zwanych ksiąg wodnych, prowadzonych na podobieństwo ksiąg gruntowych. Księgi te, utrzymywane w odnośnych urzędach powiatowych, zawierają całokształt praw wodnych danej miejscowości, mapy wód i miejscowości nadbrzeżnych, plany robót, istniejące stowarzyszenia wodne, ich statuty, zobowiązania itp. Według znawców jest to najdoskonalsze urządzenie w tym zakresie.

W Królestwie Polskim niema stowarzyszeń wałowych w znaczeniu powyżej opisanym. Jednakowoż na zasadzie postanowienia Rady administracyjnej z r. 1845 i instrukcji Zarządu komunikacji z r. 1846 właściciele nadbrzeżni mają prawo prosić władzę o utworzenie komitetów wałowych, do których należy kilku wybranych delegatów zainteresowanych właścicieli oraz przedstawiciele władzy. Komitety wałowe mają prawo określać udział właścicieli w kosztach urządzenia i utrzymywania wałów. Dozór nad czynnościami komitetów oraz wykonywanie planów, projektów i kierownictwo robót należy do zarządu komunikacji.

W interesie bezpieczeństwa mieszkańców nadbrzeżnych, ich życia i mienia, w interesie zachowania znacznej części naszego majątku narodowego, która stale jest zagrożoną i perjodycznie ginie skutkiem braku skutecznie zorganizowanej obrony, gorąco życzyć by należało ulepszenia odnośnych stosunków przez wytworzenie instytucji i urządzeń na wzór opisanych wyżej.

Dr. Stanisław Bukowiecki.

W sprawie Modrzewskiego.

Rozgłosowi, jaki zdobyły sobie pewne osobistości uznane zdawna za wybitne i zasłużone, towarzyszy bardzo często zupełna obojętność dla ich czynów lub utworów. Nie wątpiąc o zasługach i znaczeniu tych ludzi, nie staramy się sprawdzić, na czym polega ich wielkość, nie troszczymy się o prawdziwość wizerunków, w jakich nam się ukazują w panteonie narodowym. Daleko więcej interesują nas drugorzędne a świeżo z ukrycia wydobyte postacie czy dzieła. Taką głośną a nieznaną, wysławianą a powierzchownie i fałszywie charakteryzowaną wielkością jest Andrzej Frycz Modrzewski.

W trzech najświeższych historjach literatury polskiej daremniebyśmy szukali trafnego wizerunku i słusznego sądu o tym niepospolitym pisarzu. Najwięcej miejsca ocenie jego dzieł poświęca Tarnowski, zajmujący się specjalnie literaturą polityczną wieku XVI. Z tego powodu wyławia on z dzieła „O poprawie rzeczypospolitej" polityczne tylko pojęcia i pomysły, w autorze zaś widzi jedynie rozumnego polityka, który, wdawszy się niepotrzebnie w zaciekania teologiczne, schodzi następnie na bezdroża oddalające go od katolicyzmu. Sumienny i tak rozważny badacz, jak Chmielowski, w krótkiej, kilkunastowierszowej wzmiance, zalicza Modrzewskiego do polityków i z tego zapewne powodu mało się nim zajmuje. Zdaniem Brücknera, Frycz — „pedant" trzymający się łaciny, uprawiał na-

przód politykę a potym przerzucił się do teologji. Mimo nawiasowej pochwały dla księgi „O poprawie rzeczypospolitej", czytelnik wynosi z dzieła prof. Brücknera przekonanie, iż Modrzewski niczym się nie wyróżniał od całego zastępu polemistów, biorących udział w dysputach teologicznych i politycznych.

A jednak kto weźmie do ręki to zapomniane, sławione ale nieczytywane, nawet przez historyków literatury, dzieło, bez wytkniętego zgóry zamiaru doszukiwania się w nim polityki czy teologji, ten znajdzie tam skarby myśli głębszej i uczucia gorącego, które do dziś nie utraciły swej świeżości, piękności, doniosłości, ten z podziwem przekona się, że zachwycające nas w „Kazaniach sejmowych" ustępy są najczęściej wiernym echem myśli wypowiedzianych z potężną siłą uczucia i przekonania na kartach księgi Modrzewskiego, na półwieku wcześniej ogłoszonej.

Nie mając do swego rozporządzenia kazalnicy lub trybuny sejmowej, nadaje skromny mieszczanin wolborski nurtującym go myślom i dążeniom pedantyczny układ traktatu łacińskiego „De emendanda republica". Wybór formy pociągnął za sobą, w dalszej konsekwencji, konieczność nadania rozbieranym kwestjom układu przyjętego w ówczesnych rozprawach naukowych i poparcia własnych myśli przez zasoby erudycji zaczerpniętej z dzieł starożytnych (filozofów, mówców, poetów) i Pisma świętego.

Dzieło Modrzewskiego możnaby przyrównać do budowli wzniesionej częścią z ciosu, częścią z rumowiska spojonego niezbyt trwałą zaprawą. Pod wpływem czasu rumowisko się rozsypało, pozostawiając poważne, imponujące wielkością i pięknością planu tudzież trwałością materjału ruiny.

Rumowisko owo — to wywody i projekty polityczne, mur spoisty — to idea reformy społecznej na zasadzie miłości bliźniego i braterstwa ludzi. Umysły współczesnych Modrzewskiemu nie zdolne były odróżnić społeczeństwa od państwa i kościoła. Umiejętności społeczne powstały dopiero w ostatnim stuleciu. To też Modrzewski z konieczności wciska swe społeczne pojęcia i dążenia w ramy traktatu politycznego, który rozpoczyna od powtarzanych za Arystotelesem określeń państwa i trzech głównych form jego ustroju. W rzeczywistości zaś polityczne urządzenia obchodzą go o tyle tylko, o ile są koniecznym środkiem dla osiągnięcia celów społecznych.

Zdolność uogólniania i rozumowania posiadał Modrzewski w słabym dość stopniu. Kochanowski, choć poeta, daleko ściślej, jasniej i żywiej argumentuje w Satyrze i Zgodzie, niż Modrzewski w swych traktatach. Zato ten ostatni, ilekroć zwraca się do interesujących go szczegółowych zjawisk życia społecznego i zaczyna takowe rozpatrywać w świetle pojęć i uczuć chrześcijańskich, staje się jasnym, wymownym, głębokim, porywającym niekiedy szczerością i ciepłem swych wywodów. Wobec tego można mu przebaczyć brak ścisłości w wywodach, systematyczności w układzie, przeskakiwanie od kwestji do kwestji, powtarzanie się i wracanie w poruszanych przedmiotach. Modrzewski jest przedewszystkim chrześcijaninem gorącym, przejętym pragnieniem wcielania zasad Ewangielji w stosunki ludzkie a obok tego mieszczaninem, żywo czującym poniżenie i krzywdy klas nieuprzywilejowanych i dążącym do poprawy ich losu.

„Wiem dobrze, że sam daleko od doskonałości jestem. Lecz co wadzi, żebym albo sobie one rzeczy przepisował, co innym czynić przepisuję, albo żebym miał (służyć) jako osła, która acz sama rzezać nie może, wszakże inne naczynia ostrzy". Te słowa przedmowy świadczą dobitnie, że autorowi chodziło o cele moralne, społeczne, nie zaś o zmiany polityczne. To też przypomina następnie, iż „przyjazna między ludźmi skłonność" jest „najprzedniejszą związką" zespolenia ludzkiego w rzeczypospolitej.

Rozumie on dobrze, iż wprowadzenie zasady miłości i braterstwa we wszystkie stosunki i czynności ludzkie położyłoby kres krzywdom i niesprawiedliwościom dotychczasowym, że im wyższe ktoś zajmuje stanowisko w rzeczypospolitej, im większy i szerszy wpływ ma na zależne od niego koła ludzkie, tym większą doniosłość mają jego obyczaje, jego cnoty, lub wady. To też połowę niemal swego dzieła poświęcił rozważaniu obyczajów ludzi na wszelkich szczeblach społecznych. Na początku księgi „o obyczajach" pomieścił rozdział o wychowaniu, w którym zaleca usilnie, aby „Chrystusa okazywać dzieciom", by rozbudzać w nich, wraz ze świadomością obowiązków moralnych, uczucia, któreby uodporniły duszę wobec pokus i podniet ku złemu. Przypomina rodzicom, iż uczyć trzeba przykładem własnym nie słowami jedynie. W dalszych rozdziałach zastanawia się nad obyczajami ludzi zajmujących wysokie stanowiska. Rządzić ludźmi dobrze może ten tylko, kto umie panować nad

sobą, kto cnotami i roztropnością góruje nad innemi. Rozpatruje tu Modrzewski powinności i obyczaje króla, senatorów, posłów, sędziów, hetmanów, starostów, wykazując jak wielkie szkody wyrządzają społeczeństwu swym niedbalstwem lub nieuczciwością. Dla utrzymania w karbach ludzi na niższych szczeblach społecznych, zwłaszcza żyjących w większych zbiorowiskach (miastach), radzi ustanowić dozorców nad obyczajami a obok tego specjalnych dozorców nad małżeństwami, handlującemi, budowlami w miastach, nad spokojem i bezpieczeństwem, nad ubogiemi. Nim ludzie staną się zdolni sami czuwać nad swemi czynnościami, panować nad złemi popędami, trzeba ich nadzorem, nakazem i karą powstrzymać od szkodzenia sobie. Księga „o prawach" składa się głównie z szeregu projektów do praw, mających ująć w karby wszelkie złe popędy ludzkie i powstrzymać grozą kary od wszelkich szkodliwych drugim czynności a nawet zniewolić do czynności użytecznych (prawa na próżnujące). Prócz tego zajmuje się tu wymiarem sprawiedliwości a więc procedurą sądową i egzekucją wyroków. W księdze o wojnie również rozpatruje głównie stronę moralną tego przedmiotu i ma na względzie położenie warstw najniższych, ponoszących największe ciężary i krzywdy zarówno od swoich jak nieprzyjacielskich wojsk. Obmyśla więc środki ograniczenia wojen (słuszną jest tylko wojna obronna), słuszniejszego rozdziału ciężarów wojennych i powstrzymania żołnierzy od nadużyć i gwałtów względem spokojnej ludności. Rozwija tu pomysł utworzenia „skarbu pospolitego", opartego na opłatach z dochodów duchowieństwa przedewszystkim, spodziewając się tym sposobem wybawić kmieci z ucisku podatkowego. „Niewiem jeśli egipska niewola była nad tę kmiecą większa. — Bezprawie się dzieje i wielka nieludzkość się okazuje, gdy i tę potrzebę bronienia rzeczypospolitej na nie wkładają". Gdyby Modrzewski był politykiem, czyżby kwestję wojny z takiej tylko strony rozpatrywał?

Moralizatorska, chrześcijańsko-społeczna dążność przenikająca całe dzieło, najwymowniej występuje w kilku końcowych rozdziałach księgi „o obyczajach" a zwłaszcza w „zamknięciu" tej księgi. Rozprawa przybiera tu charakter kazania osnutego na myślach wyjętych z ksiąg Nowego Testamentu. Gorące pragnienie wcielenia ideału ewangielicznego w stosunki ludzkie udziela wywodom Modrzewskiego taką serdeczność i wymowność, jakiej — z wyjątkiem Kazań sejmowych — nie

spotkamy w żadnym utworze naszej literatury aż do „Ksiąg" Mickiewicza. To też i tłumacz Modrzewskiego, przyjaciel, dzielący jego przekonania i dążenia, Cyprjan Bazylik, wznosi w tych ustępach prozę polską na wyżyny nadające jej, bez pomocy rytmu i rymów, muzykalność i podniosłość wielkiej poezji.

Bronisław Chlebowski.

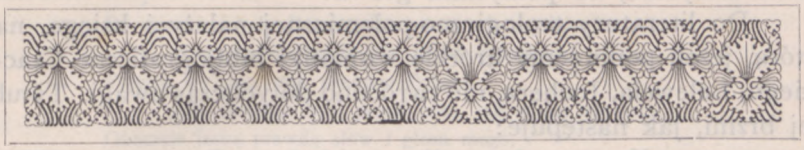

Z literatury teologiczno-polemicznej XVI-go wieku.

Śnił się kiedyś Marcinowi Bielskiemu sejm, na którym „spory Pisma świętego przed wszemi czytano"; sen nie wiele odbiegał od rzeczywistości: sprawy religijne w wieku XVI, w epoce reformacji, w dobie polemiki i dysput religijnych, były na porządku obrad sejmowych; teologją zajmowali się wówczas nie tylko uczeni specjaliści, jak Hozyusz, Kromer, Sokołowski, Powodowski, Skarga, ale wszyscy niemal, którzy choć trochę łaciny powąchali. Cała szlachta polska ogłosiła się za teologów, pismo święte objaśniali powołani i niepowołani, i zaroiło się w literaturze od postyl, kazań, długich traktatów, krótkich broszur, apologji itd. Teologja i polemika religijna to jedna z najbogatszych i najżywotniejszych gałęzi naszego piśmiennictwa XVI wieku, zaciekawiająca nie tylko teologów z fachu, ale i historyków, rzuca bowiem bogate światło zarówno na ducha literatury, domagającej się reformy Kościoła, jak i na indywidualność niejednego z najwybitniejszych autorów, np. Reja, którego ani rozumieć, ani ocenić należycie niepodobna bez znajomości „Postyli" i „Apokalipsy"; do historji obyczajowości współczesnej pisma teologiczne-polemiczne (taka np. „Apologia" Krowickiego) są źródłem pierwszorzędnej wagi; a cóż dopiero mówić o języku, który w tej właśnie gałęzi piś-

miennictwa tak się wyćwiczył, tyle siły nabrał, że mógł powiedzieć wszystko, co pomyślała głowa!

Do literatury teologiczno-polemicznej należy i księga, na którą, jeżeli pominiemy krótkie wzmianki bibljograficzne Czackiego, Lelewela, Jochera, nie zwrócono dotychczas uwagi. Tytuł jej brzmi, jak następuje:

„Kommentharz albo wykład na Proroczthwo Hozeasza Proroka, ktorego pisma ku dzisiejszym czasom ostatecznym właśnie sie przydać a przytrefić mogą. Teraz na nowo po Polsku uczyniony".

Na stronicy ostatniej czytamy:

„W Brześciu Litewskim drukowano, Nakładem Oświeconego Książęcia Pana a Pana Mikołaia Radziwiła Wojewody Wileńskiego etcet. Roku Pańskiego MDLIX. Miesiąca Lipcza".

Autor poświęca swoją pracę Mikołajowi Radziwiłłowi, „bo iż onych czasow pirwszych sprawy i wszytki dzieje, ktore były w krolestwie Izraelskim po odstąpieniu dziesięciorga pokolenia od Rehabeama, syna Salomonowego, tu w nich (t. j. w księgach niniejszych) są dostatecznie wypisane a prawie ku tym czasom dzisiejszym są właśnie przyrownane, tedy mi sie tak za rzecz przystojną zdało, iżbych je też był podał do rozsądku a do rąk W. K. M., abyś je W. K. M. czytając obaczyć raczył, iż mało nie toż wszytko i także, co sie na on czas w onym krolestwie Izraelskim działo, że sie dziś toż rownie tu, w naszym sławnym Krolestwie Polskim, wszytko dzieje. A gdyby sie kto jasnemi oczyma przypatrzyć chciał, mnimam, iż przewyższyły dzisiejsze bałwochwalstwa kościoła Rzymskiego ony bałwochwalstwa Izraelskie".

W ocenę wartości teologicznej „Komentarza" wdawać się nie możemy (zresztą jest ona zapewne minimalna, bo nie trudno spostrzec, że autor to typowy dyletant XVI wieku); nie badamy także stosunku księgi polskiej do oryginału łacińskiego (którego autorem jest Norymberczyk Wit Theodorus), poprzestając na ogólnikowym zaznaczeniu, że dzieło to nie jest dosłownym przekładem, lecz, jak niemal zawsze w XVI stuleciu, amplifikowaną parafrazą pierwowzoru. Idzie nam głównie o wykazanie, że proroctwo Ozeasza autor polski przystosował do własnego kraju, jak to widać już z dedykacji, a później z wierszowanego „Napominania do Polaków" (fol. d7—d8): Ozeasz skarży się, że go dawniej nie chciano słuchać; teraz przychodzi

do Polski, która jak niegdyś królestwo izraelskie, stała się gniazdem nieprawości,

Bo miasto chwały Bożej pełno sprosnych zbytków
Nawymyślali księża dla swoich pożytków . . .
Przetoż wy, moi mili panowie Polacy,
Nie chciejcie być, proszę was, tak wielcy prostacy.
Obaczcie jasną prawdę słów i głosu mego,
Nie mnimajcie, być to był wymysł świata tego:
Wyszłyć ty wszytki słowa od samego Boga,
Które wam ukazują, gdzie do wiary droga.
Ja tedy upominam was dla Boga mego,
Nie lekce sobie ważcie świętej prawdy jego,
Którą dziś miedzy sobą widzicie tak jaśnie;
Strzeżcież jej, bo wierzcie mi, żeć wam prędko zgaśnie.
Nie cieszcie sie tym szczęściem, w którym dziś bujacie,
Bo iścieć sie nie mylę, nie długo go macie.
Dacieli sie uwodzić tym rzymskim zwodnikom,
Pewnie sie wam toż zstanie, co onym nędzuikom
W krolestwie izraelskim,którzy mie wzgardzili,
A do nauk mych nigdy ucha nie skłonili.
Podnieścież wy na mój głos teraz swoje uszy,
Niech acz nic jednego z was strach słów Boskich ruszy.
Boć potym do uznania trudna droga będzie,
Gdy ją wam Pan zagrodzi swoją pomstą wszędzie.
Już sie ty wierć, kędy chcesz, wierz mi, skoczysz psiego,
Gdyżeś wzgardzał święty głos a naukę jego.
Strzeż sie, jać radzę.

Podobne dopatrywanie się analogji pomiędzy Izraelem a Polską było, jeżeli tak można powiedzieć, obowiązującą modą w naszej literaturze teologicznej i politycznej XVI wieku; już Modrzewski powiada, że, „co przedtym Bóg do Izraelczykow mówił, to rozumiejmy, że do nas teraz mówi". Posługiwali się tą analogją zarówno katolicy (zwłaszcza Sokołowski, Powodowski i Skarga), jak i protestanci, grożąc, jak prorocy biblijni, pomstą Bożą Polakom, jeżeli się nie poprawią; za największy grzech Polski poczytywali pisarze katoliccy — protestantyzm, protestanci — katolicyzm, który „bałwochwalstwem" lub „cudzołóstwem" nazywali. Z tego właśnie stanowiska objaśnia autor, kalwin, proroctwo Ozeasza: Polska grzeszy, bo nie chce porzucić Kościoła katolickiego, i za to ją Pan Bóg pokarze, jak pokarał już ziemię węgierską (F7 verso): „Ach, niestotyż, iż na to nic dbać nie chcemy, widząc, ano u sąsiada gore, a wżdy sie my nic nie lękamy, jeszcze na to bezpiecznie dosypiamy; prawiechmy są, jako kury, gdy jedny rzeżą, a drudzy, choć widzą, co sie przyjaciołom dzieje, a wżdy sobie spiewają; ano

strzeż, Panie Boże, aby nie było, co im dzisia, to nam potym.... O! dajże to, wszechmocny miły Panie, aby sie w tym przełożeni obojego stanu w Koronie Polskiej obaczyli, a widząc ty niniejsze inych narodow przygody i srogości, ktore są sprawiedliwą zapłatą za ich wszeteczne bałwochwalstwa, aby sie uznawali a prawdziwej chwały Bożej aby sie rozmiłowali" (F8). Nie tylko za „przełożonych obojego stanu", ale i za króla polskiego modli się autor, by porzucił Kościół katolicki (K5)! Duchowieństwu katolickiemu zarzuca, obok „nauki fałesznej", nadewszystko łakomstwo i chciwość, brak prawdziwego ducha chrześcijańskiego; opowiada np., że, kiedy pytał znajomego kanonika, czemu nie zrywa z Kościołem katolickim, skoro w jego naukę nie wierzy, „on, żadnej inej obmowy na to nie uczyniwszy, tylko palcem ukazawszy kosztowne potrawy i rozkoszne wina, ktore tam na ten czas przynoszono, rzekł, iż dla tych ja rzeczy żadnym obyczajem odstępić nie mogę od tego stanu, ani sie też to mnie godzi" (F4) ...„Naszy pirwszy przodkowie.... rozumieli, niebożątka, iż ty nadania ich a także zbogacenie stanów duchownych miało być ku zacnej chwale Panu Bogu. Ano kto chce obaczyć, na jakie zbytki, na jakie wszeteczeństwa to złościwi duchownicy obracają, wszak nie są rzeczy tajemne, jako tego chleba używają. A chociaż gi zową panis pauperum, t. j. chlebem ubogich, ale sie go przedsie nędzniczkowi nie dostaje, rychlej to prełaci mili z swemi paniami duszkami zjedzą, spiją, rychlej gi na pychę swą wydać wolą, aniżby miał ubogiego rzemieśniczka założyć, ubogą wdówkę, ktora sie z dziatkami nie ma czym żywić, założyć na pożywienie, chorego człowieka, ktory nie ma na czym podeprzeć choroby swojej, ratować, dać opatrzyć, owaby mógł ku pirwszemu zdrowiu przydź.... Ale co tego w gnoju pozdycha, jeżdżą mimo nie ci tłuści żółtobrzuchowie, a wżdy ani pozrzy na tę stronę, kędy za nim ubogi człowieczek woła" (Gg7 i verso). Ostro występuje dalej autor przeciwko „zmyślonej czystości duchownych", „słałszowaniu wieczerzej Pańskiej" i „rozmaitym chwałom bałwańskim", a więc np. przeciwko obrazom, słusznie tak nazwanym, „bo obrażają przodkiem Pana Boga, potym wolą a rozkazanie jego, potym sumienie a dusze ludzkie" (K3). „Ach, niestotyż, cóż dziś rzeczemy o tych miejscach tu u nas, w Polszcze, których w każdym mieście pełno, a mało nie w każdej wsi stoją. Azaż słusznie rzec możemy, iż sie tam Boża chwała dzieje, choć tak mówią ci, co sie błędem sprośnice ba-

bilońskiej opili, każdy to na oko obaczyć może, co sie tam za nabożenstwo dzieje: jeden w jednym kącie wrzeszczy, drugi w drugim, jedni markocą, drudzy dzwonią, drudzy kropią, drudzy świeczki gaszą, ale z jakim sercem, Pan Bóg to sam lepiej wie... Barzo im więc to rzecz smaczna bywała, gdy ludzie hurmem jechali, szli piechotą do nich, wlokąc im barany, kury, woski, pieniądze, srebro, złoto, a oni jeszcze tym więcej im o zacności onych miejsc bajali, tym więcej moc onych swych obrazów im zalecali, za wierną to prawdę twirdząc, jakoby ony malowane deszczki, a ony ryte słupki miały uzdrawiać ślepe, chrome, umarłe i ine wszytki niedostatki. Co wszytko była szatańska sprawa... Aczkolwiek i to bywało, iż sie tam takowe cuda zstawały, tedy zaprawdę, żeć sie to nie działo mocą onych deszczek, onych rytych słupow, ale mocą czarta złego..., ktory, straciwszy swą chwałę na niebie, tu jej sobie szuka, na ziemi, i, przypoiwszy sie do ciała człowieczego a tajemnie sie zakradszy we wnętrzności jego, zaślepi mu oczy, zatuli uszy, zawściągnie języka, zakrzywi ręce, nogi, rozmaitemi wrzody ociąży a oszpeci ciało człowiecze, iż ani widzieć, ani słyszeć, ani mówić, ani sie ruszyć nie może, i prawie tak gwałtem człowieka przyciśnie do tego, iż sobie, niebożątko, w onej ciężkości zecknąwszy, musi szukać u niego ratunku... i obiecuje sie na rozliczne miejsca do rozmaitych obrazów, aby jedno mogł przydź ku pirwszemu zdrowiu.... Patrzajże jedno, jako zawżdy ten chytry czart przy takowych miejscach musi okazać sprawy swoje. Azaż nie widamy, czasu owego świętego nabożeństwa, gdy sie na odpusty zjadą, iż w kościelech będzie krzyk, wrzask, a około kościoła jeszcze więcej, bo tam jedno kęs z poranku w kościele spiewają, ale owdzie na cmyntarzu cały dzień wrzeszczą, huczą w dudy, w bębny, a prawie tańcują około kościoła, jako żydowie na puszczy około onego cielca.... Już tam opilstwo, już tam sprosność nieczystego grzechu, już tam cudzołóstwa, mężobojstwa i wszytki ine złości sie okazują.... I właśnie może to każdy nazwać szatańskim rozpustem, aniż odpustem. Ach! cóż dziś jeszcze na świecie, a zwłaszcza u nas, w Polszcze, błędu tego! zaprawdę słusznieby sie ocucić miał Król, Pan nasz, z radami swojemi a zawściągnąć swawoleństwa takie, bo koniecznie, jeśliż sie to wszeteczeństwo tak tym więcej rozmnażać będzie, pomsta Boża tuż nad nami zawisnęła, a lada kiedy możem sie nadziewać tego, co sie z Żydy, co sie z Greki i z inemi narody krześciańskiemi zstało" (F f 8 sq).

Powyższe próbki wystarczają w zupełności, aby dać pojęcie o tym ostrym tonie, jaki w „Komentarzu" panuje, tonie, właściwym zresztą większości pism polemicznych XVI wieku, czy to katolickich, czy protestanckich. Lecz, występując przeciwko Kościołowi katolickiemu, walczy nasz autor ze skrajnym sekciarstwem, mianowicie z „nowokrzceńców złościwym błędem" (Nn 8 verso) i przestrzega czytelnika, aby nie dał się wodzić na manowce tym, którzy uczą, że chrześcijanin winien posłuszeństwo jedynie temu królowi, który na krzyżu w koronie cierniowej wisiał za grzechy ludzkie: „Bo jeślibyś chciał rzec: a coż my, niebożąteczka, z sobą uczynić mamy, tedy królom i panom swym już dalej posłuszni nie będziemy, a zebrawszy sie mocą i króla z królestwa wyrzucimy i przeciw tym złym panom swym mocnie sie spikniemy, a jarzmo to powinnego posłuszeństwa z ramion naszych złożemy. Nie tak, nieboraczku, nie tak, czyń ty przedsię to, coś powinien przełożonemu, nie targaj sie uporнie na zacność stanu jego, gdyż to nie twoja rzecz targać sie na ty zwirzchności świata tego, które Pan Bóg dla słusznego porządku tu wysadzić a przełożyć raczył; i owszem ty czyń im poczciwośc, jako urzędowi a postanowieniu Bożemu. Ale, gdziebyś baczył, żeby cie zaś ten urząd ciągnął do jakich rzeczy niesłusznych, którebyś rozumiał sprzeciwne słowu a rozkazaniu Bożemu, tedy sie tak z tego wyłamować masz, jako ono czynił Daniel ś. i z towarzyszmi swemi. Bo, jako oni nie chcieli wyrządzać chwały (Panu Bogu należącej) słupowi onemu, także też ty nie masz słuchać biskupa, gdyć każe do Częstochowej, gdyć każe lizać kości Stanisławowe, Jackowe i nie wiem jakie drugie, gdyż wiesz, iż to jest przeciwko rozkazaniu Bożemu" (T 6).

Lecz pierwiastek teologiczny — objaśnienie tekstu Ozeasza — i polemika nie wyczerpują jeszcze treści „Komentarza": nie tylko na „bałwochwalstwo" w Polsce oburza się autor, ale i na wykroczenia przeciwko moralności, a więc na różne „rzeczy przeklęte", jakoto „kłamstwo, rozboje, złodziejstwo, cudzołóstwo, — ty sie rozszerzyły a miesza sie krew ze krwią" (O 7 verso). „O, miły wszechmocny Panie, toćby dziś barzo u nas, w Polszcze, potrzeba, aby wszędy głośno zabrzmiał ten święty głos twoj. Raczże dziś wzbudzić tego ś. proroka, aby przez usta jego mogły ty słowa dojdź do uszu przełożonych naszych. Boć zaprawdę są i okazują sie nad nami pewne znaki rozgniewania twego, iż żadnego słusznego porządku niemasz miedzy nami,

tak z strony przełożonych, jako i z strony ludu pospolitego. Niemasz sprawiedliwości, każdy, gdzie kto kogo może, łupi. Jakie morderstwa, jakie okrucieństwa nad ubóstwem, jakie niemiłosierdzieństwa nad bliźnimi!" (Ss 3). O opiekunach sierot czytamy, że „właśniejby je nazwać wypiekuny, niż opiekuny, bo co wypieką z majętności dziatek sobie poruczonych, to sami na swój pożytek obracają" (Z z 3 verso). A oto jeszcze charakterystyka stosunku panów do chłopów: „Azaż nie widziemy w ludzioch tych, którzy są na zacne urzędy a na stany wielkie wysadzeni, jakie łupiestwa a wydartki z poddanych swych wyciągają, jakie nieznośne brzemiona na ich ramiona wkładają, a żadnej miary w tym iście nie mają, nic nie dbają, chociaż krzyk, płacz, a krwawe złzy z oczu ubogich ludzi płyną, przedsię to nic, — musi być wszytko, co pan mieć chce" (Z 4).

Nie brak wreszcie w „Proroctwie Hozeasza" i drobnych obrazków obyczajowych, nie pozbawionych żywości i zacięcia satyrycznego, np.

„To dziś jawnie możemy obaczyć miedzy pany świeckimi, jako oni dzień narodzenia swego abo, jako my zowiemy, imieniny sprawują. Wszak, gdy sie takowe święto któregokolwiek zacnego człowieka imieniowi przytoczy, jako dzień Jana ś. — Janowi, dzień Mikołaja ś. — Mikołajowi, jakie bywają Janowiny, jakie Mikołajowiny, tego nikomu powiedać nie trzeba. Bo naprzód raniuchno z wielkiemi ceremoniami msze odprawiwszy, to już po obiedzie ledwe drugiego z za stoła wywloką, co tak zalewa patrona swego. Nuż też u owych mniejszych stanów, gdy sie święto jakie trefi, tedy bieżą na odpusty, tam jakie nabożeństwa stroją, nie tajne są rzeczy; bo w kościele ksiądz z żaki wrzeszczy, a około kościoła chłopi w bębny, w dudy, huk, krzyk, jedni sie gonią z sklenicami, a drudzy idą za łby we trojcy".

Za te wszystkie grzechy powinna się Polska obawiać rychłej kary Bożej, — na każdym kroku, aż do znudzenia, przypomina o tym czytelnikowi autor i strzeszcza swoje przestrogi w „Ostatecznem zamknieniu ku krześcijańskiemu bratu":

Co za onych proroków działo sie na świecie,
Toż sie też i dziś równie miedzy ludzie plecie,
Nie tylko u nas w Polszcze, ale pożrzmy wszędy,
Uźrzemy takie właśnie, tak jak u nas, błędy.
. . . . . .

A tak i nam potrzeba obawać sie złego,
Bo to, co dziś jednemu, i ty sie strzeż tego.
Bo, aczkolwiekci Pan Bóg długo nam folguje,
Aleć iście nad nami swego powetuje.
Nie baczę, czym my lepszy od inych być mamy,
Pewnie za bałwochwalstwo tyż pomsty uznamy.
A strzeż, Boże, by nie gorsze.

Kto jest autorom „Komentarza", nie wiadomo; w dedykacji prosi autor Radziwiłła, by o nazwisko nie pytał, „gdyż chudoba stanu jego snadź mu nie dopuszcza, aby sie tu jaśnie przed oczyma W. K. M. oznajmić miał". Ton polemiki, jaskrawa nierówność stylu: powaga o miedzę z rubasznością, rzewność o miedzę z ironją, niektóre wyrażenia, jak np. „skoczyć psiego", budowa zdań, obrazki obyczajowe i wogóle sposób pisania wskazywałyby na Reja, jako na autora; pamiętajmy i o tym, że w tych właśnie czasach Rej pilnie wertował Pismo święte, skoro na dwa lata przed ukazaniem się „Komentarza" wydał swoją postylę. Lecz wobec braku niezbitych dowodów przypuszczenie to byłoby może nadto śmiałym.

Ignacy Chrzanowski.

Z metodologii badań społecznych.

Zagadnienie o istocie ewolucji społecznej należy do szeregu kwestji, o które dzisiaj spór się toczy. Uznając powszechnie sam fakt zmienności stosunków, zachodzących między ludźmi, i prawidłowego ich przeobrażania się, uczeni pogodzić się przecież nie mogą co do jednolitości rozwoju oraz co do zasadniczych czynników, od których zależą wszelkie zjawiska „wtórne". Niektórzy zaprzeczają nawet istnieniu takiego czynnika zasadniczego może dla tego, że ani warunki ekonomiczne, ani czynnik tkwiący w zaludnieniu kraju, ani położenie gieograficzne i klimat, ani czynniki psychiczne, — nie mówiąc już o przestarzałych teorjach „ducha narodu" i jego posłannictwa dziejowego — nie wytrzymały krytyki naukowej. Spór rzeczników „materjalizmu dziejowego" z idealistami nie przeważył się dotąd stanowczo na żadną stronę, jakkolwiek argumenty przytaczane przez zapaśników posłużyły do wyjaśnienia teorji samej i przyczyniły się do naukowego ugruntowania sposobów badania.

Ewolucja społeczna jest wciąż jeszcze zagadkowym X. Kierunek, droga i przebieg tej niewiadomej są nam jednako nieznane, tak że przystępując do badań, zwrócić się musimy do zawsze świeżego źródła — do faktów. Ustaliwszy tę prawdę,

mniemamy, że nie będzie rzeczą zbyteczną rozpatrzenie metody badania faktów. Poprzestanę na jednej sferze ewolucji, mianowicie na stosunkach ekonomicznych, a mając na względzie zbadanie jedynie gołych faktów nie zaś ich oddziaływania, wyłączyć je mogę z pośród ogółu warunków, stanowiących o życiu całości społecznej.*)

Nasze sądy o zjawiskach socjologicznych, bo do takich zaliczyć musimy i objawy życia gospodarczego, posługują się ustalonemi kategorjami, które wytworzyła nauka dotychczasowa. Są to ramy, w które wciskamy nowe fakty, często doskonale świadomi tego, że obraz do nich nie przystaje. Chcąc badania oprzeć na rodzimej, a jednocześnie realnej podstawie, musimy fakty badać, wytwarzając jednocześnie zgoła nowe kategorje. Nasuwa się zatym konieczność bezpośredniej obserwacji, przy której zapomnieć należy o wszelkich znanych dotąd teorjach.

Obserwacja bezpośrednia najmniejszej choćby jednostki ustroju społecznego, niech to będzie wioska, lub maleńkie miasteczko, dostarczyć nam może nowych spostrzeżeń socjologicznych, dotyczących uwarstwienia ludności, wzajemnych jej stosunków, pojedyńczych zawodów i zespołu odrębnych zajęć, słowem, wskaże drogi, których abstrakcja socjologiczna nie brała dotąd pod uwagę. Obserwacja taka musi odznaczać się w najwyższym stopniu objektywnością, ścisłością i dokładnością, a więc nie powinna być zabarwiona przez jakąkolwiek teorję, inaczej bowiem zatracamy krytycyzm niezbędny nietylko wobec samego przedmiotu, lecz i w stosunku do samego badacza. Obserwacja byłaby jednak niekompletną i niezadawalającą, gdybyśmy się nie postarali o śledzenie rodowodu i dziejów zjawiska jak najdalej wstecz, a jeżeli to jest możliwe, aż do najpierwszych jego początków.

W ten sposób względem zjawiska pojedyńczego, które przy szczegółowszej obserwacji okazuje się często doskonałym mikrokosmem, stosujemy podwójną metodę badania: obserwację bezpośrednią i dociekanie dziejowe z całym jego krytyczno-konstrukcyjnym aparatem. Dopiero przy zastosowaniu obu tych

---

(* Z powodu szczupłych rozmiarów, jakie wyznaczyła piszącemu natura wydawnictwa niniejszego, powstrzymać się muszę od ilustrowania teorji za pomocą przykładów; nie mogę także ani przytaczać, ani powoływać się na teorje już istniejące, a zatym zaznaczyć tego, co w szkicu moim wypowiedziane zostało po raz pierwszy. Czytelnik, obeznany z przedmiotem, sam to rozstrzygnie.

metod odtworzyć zdołamy zjawisko z całą plastyką i dokładnością, a jednocześnie uwydatnić zasadnicze momenty, które uznać możemy za typowe, o ile odnajdą się w innych, pokrewnych zjawiskach.

I do zagadnienia o istocie ogólnej ewolucji społeczno-ekonomicznej stosować trzeba te same dwie metody. Bezpośrednia obserwacja stosunków przeprowadzić się daje jedynie w granicach danego kraju, w którym wyróżnić znowu należy skupienia terytorjalne, o różnym charakterze ekonomiczno-społecznym. Otrzymamy stąd dla kraju pojedyńczego szachownicę, w której wystąpią wyraźnie okolice, ciążące ku typom nader odrębnym. Oznaczywszy je przyjętemi dziś nazwami, otrzymam dzielnice produkcji kapitalistycznej obok innych, będących w stadjum gospodarki drobno-wytwórczej, i typowo-rolniczych z gospodarką dla własnego użytku przedewszystkim. Niezbędną będzie przytym terytorjalna podstawa obserwacji, bez której ujśćby mógł naszej uwagi wpływ wzajemny różnych czynników, akcja jednostek i reakcja ze strony środowiska, w którym działają. Nawet ograniczając się do zjawisk życia ekonomicznego, niezbędnym będzie określenie terytorjum, gdyż zjawiska ekonomiczne wzajemnie są od siebie zależne. Dopiero w tym wzajemnym oddziaływaniu uwydatni się stopień oraz przyczyny ich wyższego lub niższego rozwoju.

Obserwacja, choćby najbardziej szczegółowa, różnych okolic pojedyńczego kraju nie wystarczy uogólniającej abstrakcji. Rozpatrując terytorjalne jego skupienia, porównywając je wzajemnie i ścisle oznaczając stosunek części, dochodzimy do pojęcia całości, zależnej jeszcze od mnóstwa wspólnych dla tych wszystkich części czynników. Takim będzie wpływ ustroju państwowego, systemu monetarnego, budżetu, podatków, polityk handlowej i społecznej, słowem mnóstwa niwelujących czynników, w których uwydatnia się jednolity wpływ państwa nowoczesnego. Pod działaniem dzisiejszego państwa oraz za sprawą przeszłości dziejowej, pojmowanej jako całokształt różnorodnych objawów życia politycznego i kulturalnego, pojedyńczy kraj przedstawia całość i jako taka całkowita jednostka występuje w ewolucji społecznej. W zakresie ewolucji społecznej tedy należałoby tym jednostkom, t. j. krajom pojedyńczym wyznaczyć różne stopnie i stanowiska, nawet jeżeli uwzględnimy nie całą kulę ziemską, lecz jedynie obszar państw i krajów,

które znajdują się we wzajemnych gospodarczo-wymiennych ze sobą stosunkach.

Przy oznaczaniu stopnia rozwoju ekonomicznego danego kraju niezbędnym będzie stworzenie miernika i to miernika objebjektywnego, który stałby się dobrym sprawdzianem ekonomicznego stanu społeczeństw. Nasuwający się tu na myśl miernik dobrobytu możliwie szerokich mas ludności zastosować się nie da, tym mniej jeszcze przeciętna wysokość dochodu pobieranego przez jednostki czy rodziny. Dobrobyt jest zawsze pojęciem względnym, określanym w stosunku do wymagań, lub do przyjętej w całym kraju stopy życiowej i o stosunkach w porównaniu z innemi krajami mógłby nam dać pojęcie całkiem mylne. Stopień zadowolenia, towarzyszącego dobrobytowi, jest miarą nieuchwytną, a w dodatku może być w odwrotnym stosunku do oświaty, uświadomienia a zatym umysłowego rozwoju zarówno jednostki jak i tłumów. Ludność, nie zdająca sobie sprawy z braków swego położenia, będzie zadowoloną wśród warunków, w których inna czułaby się nieszczęśliwą. Brak potrzeb odczuwanych wytwarza względny dobrobyt, nie może być przecież ideałem dla człowieka cywilizowanego. Jeszcze bardziej zawieść może przeciętna wysokość dochodu jednostki nawet tam, gdzie najlepiej prowadzona statystyka pozwoli wyodrębnić różne klasy ludności i kategorje dochodu. Należałoby rozpatrywać dochód w porównaniu z cenami produktów, ze stopą życiową w kraju przyjętą, a nawet tam, gdzie statystyka dostarczyłaby odpowiednich danych, nie dałyby się ocenić różne czynniki nieważkie, natury duchowej, które składają się na pojęcie dobrobytu i związanego z nim stopnia zadowolenia.

Ścisłe mierniki tedy zawodzą. Zrzec się także trzeba oceny moralnej, przymiotnika „wyższy“ lub „niższy“. W zastosowaniu do ewolucji ekonomicznej nie chodzi o ocenę etyczną, ale o najogólniejszą normę, równie niezawodną jak np. płyn normalny przy miareczkowaniu chemicznym (tytrowaniu).

Zwróćmy się tedy do innego sprawdzianu. W każdej epoce występuje jakieś zjawisko naczelne, niezawsze ściśle natury ekonomicznej, tak jednak typowe dla spółczesnego sobie społeczeństwa, że wpływ jego ujawnia się we wszelkich sferach życia.

Takim zjawiskiem było w starożytności niewolnictwo, w wiekach średnich feodalizm, w dobie naszej jest kapitalizm, w epoce, która świta i którą jako tako wyraźnie przewidzieć mo-

żemy, będzie prawdopodobnie solidarność wzajemna, ujawniająca się w formie kooperacji na każdym polu. Po bezwzględnej zależności niewolnika od pana przyszło hierarchiczne uwarstwienie społeczeństwa, które ustąpiło miejsca niwelującemu działaniu kapitału, to zaś wywołało walkę ekonomiczną, z rezultatami właściwemi wszelkiej walce: z garstką zwycięzców i rzeszami zwyciężonych. Z walki tej wyłoni się może rozumna pomoc wzajemna, na podstawie nowoczesnej organizacji pracy.

Nie przesądzając przyszłości, zgodzić się musimy, że kapitalizm przeniknął dziś we wszystkie sfery życia ekonomicznego. Pod znakiem kapitalizmu rozwija się wielka produkcja przemysłowa, pod jego wpływem rozkłada się rzemiosło, przeobraża się przemysł domowy; kapitalizm wprowadza do wielkiego i drobnego przedsiębiorstwa rolnego zasadę produkcji na sprzedaż i organizację tej sprzedaży, on to stwarza międzynarodowe stosunki w handlu i zniewala kapitały nawet w najbardziej szowinistycznie usposobionym społeczeństwie do przenoszenia się do krajów obcych, mniej kulturalnych, które z powodu tej właśnie niekulturalności są znakomitą kopalnią zysków; on to uruchamia ludność, odrywa ją od ojczystego zakątka i każe szukać środków do życia na innej półkuli. Kapitalizm wycisnął piętno swoje na całej dzisiejszej produkcji, na wymianie, a nawet na spożyciu, które do istniejących warunków ekonomicznych stosować się musi.

Przy rozpatrywaniu pojedyńczych krajów, a nawet odrębnych skupień terytorjalnych danego kraju, rzucają się w oczy różnice w stosunku tych terytorjów do kapitalizmu. Podczas gdy jedne dają początek czynnym prądom kapitalistycznym, zakładając przedsiębiorstwa wielko-przemysłowe, prowadząc obroty handlowe w innych częściach świata, powołując do istnienia instytucje bankowe, lub giełdowe, nadające żwawsze tempo życiu ekonomicznemu, inne podlegają tym prądom biernie. Zależność ich od kapitalizmu ujawnia się niekiedy tylko w rozkładzie form istniejących, w ubożeniu ludności, porzucającej dawne pola pracy, w upadku przemysłu domowego, rzemiosła, w polach odłogiem leżących, które dla zarobków odległych opuściła ludność miejscowa. Zapotrzebowanie gotówki wzrasta, zwężają się zaś okazje zarobków i dochody ludności. Pierwszą kategorję krajów nazwać trzeba czynną; jest to ów c z y n n y k a p i t a l i z m, który przeobraził formy średniowieczne, nadając

im charakter współczesny, gdy kapitalizm bierny*) krajów o nizkim rozwoju ekonomicznym uczynił z nich ofiary, miażdżone pod kołami obrotów międzynarodowych. Owa czynna i bierna rola uwydatniać się może w stopniu rozmaitym zarówno w całych krajach, jak i w poszczególnych jednostkach terytorjalnych danego kraju. Podobnie i w odrębnych objawach życia gospodarczego zauważyć można różne stopnie czynnego i biernego kapitalizmu. Najwcześniej i najrozleglej kapitalizm przedostał się do handlu, całe sfery przemysłu niezależnie od swego rozmieszczenia terytorjalnego dają przytułek dziś czynnemu kapitalizmowi, podczas gdy inne rozpadają się i przekształcają pod jego wpływem, jako bierne ofiary. Rolnictwo uległo wpływowi kapitalizmu dopiero w XIX stuleciu, w handlu i przemyśle zaś zaznaczył on swe panowanie już od XVII wieku.

Biorąc ów stosunek do kapitalizmu za probierz, możemy określić stadjum ekonomicznego rozwoju całych krajów, lub skupień terytorjalnych danego kraju, lub wreszcie pewnych działów działalności gospodarczej, w każdym dziale zaś — wszystkich form, w jakich się ta działalność ujawnia. Zaznaczyć przytym trzeba zjawisko znamienne dla okresu kapitalistycznego, a mianowicie pewną bezwładność, która zachowuje przy istnieniu formy gospodarcze już przeżyte, jakkolwiek obok nich wytwarzają się nowe. Wszystkie formy przedsiębiorstw i wszystkie objawy działalności, mniej czy bardziej czynne, od najwyższych pod względem społecznym i technicznym aż do szczątkowych, współistnieją w naszych czasach, jak istniały od początków epoki kapitalistycznej, a zatym przed trzema blizko wiekami. Przypisać to należy temu, że kapitalizm jest okresem liberalizmu, a rozwój jego zależy głównie od inicjatywy ze strony jednostek. Formy pozornie przestarzałe utrzymują się dzięki związanemu z niemi interesowi prywatnemu, jakkolwiek społeczeństwo zyskałoby często na ich usunięciu. Wytwarza to olbrzymią złożoność zjawisk, tymbardziej, że na każdej z form dawnej działalności kapitalizm, bądź czynny, bądź bierny, odcisnąć musi swoje piętno.

Stwierdzenie tak różnorodnych stopni rozwoju na podstawie stosunku ich do kapitalizmu, lub tylko do wpływu wy-

*) Nazwy kapitalizm bierny i czynny użyłam poraz pierwszy w rozprawce traktującej o tym przedmiocie w krakowskiej „Krytyce“ (grudzień i luty z roku 1902 i 1903).

wieranego pośrednio przez kapitalizm, umożliwia niemal wytknięcie linji, według której postępowała ewolucja świata ekonomicznego. Stosunki dzisiejsze, właściwe danemu terytorjum lub krajowi całemu uważać możemy za rodzaj przekroju chwilowego. Przedstawmy to w sposób graficzny: przekroje stosunków współczesnych w różnych krajach Europy mają formę kół o różnej powierzchni, z których budujemy stożek. Kraj mający stosunki najprostsze, najbardziej odbiegające od złożoności ekonomicznej budowy społeczeństwa kapitalistycznego, stanowiłby koło najbliższe szczytu; kraj typowo-kapitalistyczny, a zatym przedstawiający największą złożoność form i najliczniejsze ich odmiany, byłby podstawą. Takim krajem nie będzie żadne z państw Nowego świata, jakkolwiek formy ich bytu ekonomicznego są nawskroś kapitalistyczne. Kraje Ameryki czy Australji nie mają bowiem przeżytków z epoki feodalnej, kapitalizm stwarzał w nich formy życia ekonomicznego, ale dawniejsze, które przekształcał, odmiennemi były od europejskich. Terenem, nadającym się do porównania, który tak samo jak inne kraje Europy przechodził dawniejsze fazy cywilizacyjne i posiada po nich przeżytki, jednocześnie zaś odznacza się najwyżej rozwiniętym kapitalizmem, będzie Anglja.

Pozostaje zastosowanie drugiej metody badania, mianowicie historycznej. Dzieje Anglji zbadano lepiej może, niż któregokolwiek innego kraju Europy. Zachęceni wysokiemi formami ustroju politycznego i rozwiniętemi wcześnie stosunkami gospodarczemi, pracują nad dziejami Anglji historycy, socjologowie i ekonomiści nietylko angielscy, lecz i innych narodowości. Zgodnie z panującym dziś poglądem można Anglję uważać za klasyczny kraj kapitalizmu. Jeżeli weźmiemy poszczególne fazy dziejów angielskich, od początku XVI a nawet od końca XV wieku, otrzymamy ewolucyjną linję rozwoju kapitalistycznego. Można zrobić zarzut, że jak dziś stan ekonomiczny poszczególnych krajów Europy daleko odbiega od stosunków angielskich, tak samo i dzieje każdego z nich postępowały po odrębnej linji. Ale pojedyńcze fazy ewolucji kapitalistycznej, właściwe Anglji z ostatnich czterech stuleci, odnajdują się na owych przekrojach, odźwierciadlających stosunki dzisiejsze różnych krajów Europy lub mniejszych jej skupień terytorjalnych. Pamiętajmy przecież, że analogja nie jest jeszcze tożsamością! Fakty rozwoju ekonomicznego, obserwowane w różnych terytorjach Europy, występować oczywiście muszą w odmiennej od angielskich,

mniej wyraźnej może i bardziej zróżnicowanej postaci. Jedną z ważniejszych przyczyn takiej odmienności będzie ta okoliczność, że nie ukazały się wśród stosunków tworzącego się dopiero kapitalizmu, lecz powstawały wśród kapitalizmu już skrystalizowanego. Oprócz bezpośrednich jego objawów, wyliczonych po części wyżej, uwzględnić tu będzie trzeba działanie polityki społecznej państw i reakcję ze strony samej ludności, która w olbrzymiej swej części odczuwa ujemny wpływ kapitalizmu. Ograniczywszy się do dziedziny zjawisk ekonomicznych, nie poruszamy tu całego olbrzymiego szeregu innych wpływów, które przedstawiają się różnie w każdym kraju i w każdej narodowości, a w wieku XIX i XX inaczej działać musiały, niż w dwuch czy trzech stuleciach poprzednich.

Roztrząsając współczesną ewolucję ekonomiczną, zapominają zwykle wciągnąć do liczby oddziaływających na nią czynników wpływu polityki społecznej. Politykę tę w jej obecnej postaci wywołał niewątpliwie kapitalizm, jakkolwiek nie przedstawia ona jego następstwa bezpośredniego, lecz jest raczej przeciwdziałaniem, dążnością do zobojętnienia jego wpływu. Sprowadziła ją pod wpływem rozwoju, który się odbywa, świadoma akcja zbiorowa, która jest również jednym z czynników tego rozwoju.

Im mniej wyraźny będzie wpływ kapitalizmu, tym samodzielniej, że tak powiem, bardziej twórczo działać może polityka społeczna. Raz ocknięta myśl i praca społeczeństwa, pchnięte nie w kierunku haseł ogólnych, lecz ku stwarzaniu podstaw codziennego współżycia tłumów, nie ustają w pracy. Gdziekolwiek kapitalizm bierny, niszcząc dawne formy pracy i działalności, pozostawia lub pozostawić może jałową pustkę, tam otwiera się pole do pozytywnej polityki społecznej. Od krajów biernych doby dzisiejszej zależy, czy potrafią chwilę właściwą wyzyskać i w przyszłej fazie rozwoju właściwe zająć miejsce. Zaznaczona tu metoda badań nad ewolucją ekonomiczną znakomite im w tym względzie oddać może usługi.

Obserwacja porównawczo-dziejowa ma przecież na celu przedewszystkim metodę badania naukowego w zastosowaniu do ewolucji społeczno-ekonomicznej. Okres kapitalistyczny tej ewolucji jest dość obszerny, umożliwia więc wykazanie ogólnych zasad ewolucji i zbadanie zagadnienia o jednolitości rozwoju. Podana tu metoda ułatwia to badanie, przenosząc znaczną część jego z przeszłości do dostępniejszych stosunków współczesnych.

Jeżeli jednak osiągnąć mamy przy jej pomocy jakieś rezultaty, należy przy każdym porównaniu mieć na uwadze całokształt stosunków ekonomiczno-kulturalnych, które działaniu kapitalizmu muszą podlegać, ale z kolei charakter jego zmieniają. Metoda podana odznacza się wreszcie tą właściwością, że wychodzi od podstawy realnej, ale nie pozwala gubić się w różnorodności faktów, gdyż przystępuje do studjów nad niemi z gotową syntezą.

Oto usprawiedliwienie, dla czego została tu podaną.

Dr. Z. Daszyńska-Golińska.

Gieometrja i przestrzeń.

Wiadomo, że w „Krytyce czystego rozumu“ Kanta rolę podstawową odgrywa pogląd jego na pojęcia i twierdzenia zasadnicze gieometrji, która jest według niego nauką, „wyznaczającą własności przestrzeni syntetycznie i a priori“.

Kant tak w swoich pismach przedkrytycznych, jak i w „Krytyce czystego rozumu“ stał oczywiście na stanowisku ówczesnej gieometrji euklidesowej. Nie znał, bo znać nie mógł, ani gieometrji rzutowej, ani późniejszej gieometrji nieeuklidesowej. Niewiadomo mi, czy i do jakiego stopnia znane mu były szczegółowo prace krytyczne Wallisa, Saccheri'ego, Lamberta nad teorją linji równoległych, od których historycznie biorą początek badania krytyczne podstaw geometrji. Właściwej teorji logiczno-matematycznej definicji i postulatów gieometrji nie znajdujemy u Kanta. Przejmuje on wprost treść ich z traktatów geometrji, nie poddając tej treści analizie logicznej. Określiwszy postulaty czyli aksjomaty gieometryczne jako warunki konieczne wszelkiego poglądania i spostrzegania, Kant nie stawia pytania o wzajemnym związku pewników; nie roztrząsa ważnej kwestji, czy są one w istocie logicznie niesprze-

czne i wzajemnie niezależne, lub raczej czy układ postulatów gieometrji euklidesowej jest układem nieprzywiedlnym, złożonym z najmniejszej liczby twierdzeń pierwotnych, koniecznych do zbudowania systemu nauki. Nie pyta, czy przy zmianie jednego lub kilku pewników nie dałby się zbudować konsekwentny w sobie układ twierdzeń; czy wreszcie taki układ twierdzeń nie byłby możliwy przy zatrzymaniu tylko pewnej grupy twierdzeń pierwotnych a odrzuceniu innej. Nie stawia podobnych pytań i o tworach badania gieometrycznego, mianowicie, które z nich uważać należy za pierwotne które za pochodne w systemie gieometrji. Doniosłe te pytania natury logiczno-matematycznej były wprawdzie, jak mniemamy, w duchu filozofji krytycznej, ale nie nadszedłbył jeszcze czas postawienia ich na porządku dziennym nauki. Umysły ówczesne były wprost do takich rozstrząsań nieprzygotowane, gdyż twierdzenia gieometrji uważane były za prawdy bezwzględne. Pytania takie postawiła dopiero matematyka XIX go stulecia, ale „Krytyka czystego rozumu" ma tę pośrednią zasługę, iż pobudziła filozofów XIX go stulecia do zastanawiania się krytycznego nad podstawami gieometrji. Wyniki badań matematycznych w tej dziedzinie doprowadziły, jak wiadomo, do utworzenia nowych systemów gieometrji, różnych od gieometrji euklidesowej. W szeregach filozofów i matematyków powstało rozdwojenie, które do tej pory nie zostało wyrównane. Zwolennicy ściśli teorji Kanta, uważając gieometrje nieeuklidesowe za fikcje bezpłodne, odmawiają im wszelkiej wartości teoretyczno-poznawczej; inni, poczytując gieometrje te za równouprawnione z gieometrją euklidesową systemy nauki, są zdania, że sam fakt istnienia tych gieometrji jest bezpośrednim zaprzeczeniem teorji Kanta o przestrzeni. Nie możemy tu zająć się nawet pobieżnym przedstawieniem argumentów jednej i drugiej strony; pozwolimy sobie tylko wyrazić zdanie, że wyniki nowszych badań geometrycznych, wprowadzając zasadnicze przeobrażenie poglądów Kanta na istotę geometrji, godzą się wszakże z duchem jego filozofjii, jako krytycznej metody badań pojęć naukowych, i wpłynąć powinny na jej odnowienie. Nowe bowiem, tak zwane „aksjomatyczne" badania gieometryczne stanowią nietylko fakt znamienny w rozwoju matematyki, ale są zarazem pierwszorzędnym czynnikiem dla teorji poznania, dla której podstawy nauk ścisłych stanowią jedno z najważniejszych zagadnień.

Według poglądów dzisiejszych, geometrja jest systemem dedukcyjnym, opartym na pewnym układzie tworów pierwotnych (elementów) oraz twierdzeń pierwotnych (aksjomatów, postulatów). Gieometra w badaniu czystym nie pyta o źródło tych tworów i twierdzeń pierwotnych; nie pyta, czy tkwi ono w umyśle przed wszelkim doświadczeniem, czy powstaje dopiero pod wpływem doświadczenia; gieometrę obchodzi jedynie to, aby definicje tworów pierwotnych i układ założeń niesprzecznych z sobą i wzajemnie niezależnych wystarczyły do wprowadzania nowych tworów (pochodnych), do działań (związków, konstrukcji) i do wywodu wszelkich twierdzeń przy pomocy kategorji i wnioskowań logicznych. W badaniu tym zaciera się zwykła intuicja przestrzeniowa; konstrukcje stają się działaniami myślowemi, czysto idealnemi lub—jeżeli chcemy — abstrakcyjnemi (lubo termin ten niezupełnie ściśle odpowiada charakterowi tych działań). „Przestrzeń", odpowiadająca danemu systemowi definicji i pewników, nie jest tedy bynajmniej pojęciem pierwotnym, lecz przeciwnie, jest pojęciem dalszym, pochodnym, jest równoważnikiem pojęciowym danego układu elementów, pewników i wszelkich z nich konsekwencji. „Wyobrażalność" w zwykłym znaczeniu nie odgrywa tu roli; w pojęciu ogólnym takiej przestrzeni „geometrycznej" mieszczą się różne przypadki szczególne i graniczne, a jednym z nich jest przestrzeń „euklidesowa" trójwymiarowa, będąca obrazem idealnym wyobrażalnej przestrzeni zwykłej, przestrzeni zjawisk. Ale nadmienić należy, że i inne przestrzenie mogą być, teoretycznie rzecz biorąc, uważane w pewnych granicach za obrazy przestrzeni, jako podkładu zjawisk. Gieometrje ich, o ile idzie o związki natury gieometrycznej a nie mechanicznej lub fizykalnej, są, że tak powiemy, różnemi teorjami przestrzeni zwykłej, z których każda w pewnych granicach jest obrazem idealnym tej przestrzeni, zupełnie tak samo jak różne teorje fizyczne mogą w pewnych granicach dawać interpretację pojęciową jednego i tego samego układu zjawisk fizycznych.

Różne tedy geometrje różnią się układami swych założeń, a elementy ich pierwotne, dla których cecha wyobrażalności jest cechą podrzędną, nadają się do różnorodnej interpretacji w zastosowaniach. Tak np. elementy, nazywane „punktem", „linją" i t. d., niekoniecznie są tym, co nazywamy punktem lub linją w gieometrji zwykłej, euklidesowej.

Z chwilą, w której zaczynamy mówić, jak to czyni Kant,

o „własnościach" przestrzeni, musimy utworzyć sobie układ pojęć pierwotnych i odnoszących się do nich pewników, i z chwilą tą przechodzimy odrazu w dziedzinę teorji. Wtedy zaś występują właściwe umysłowi badającemu idealizacja i uogólnienie, a „przestrzeń doświadczenia" staje się „formą gieometryczną". Tylko do takiej formy stosować można pojęcia matematyczne ciągłości, nieskończoności, krzywizny, wymiarów, miary i t. d., te zaś później dopiero w sposób mniej lub więcej ścisły przenosić wolno na przestrzeń zjawisk.

Przy takim pojmowaniu gieometrji, jej pierwiastkami a priori są pojęcia pierwotne (elementów) i założenia pierwotne, t. j. postulaty czyli pewniki. Wybór tych pierwiastków jest w pewnej mierze dowolny. Cała dalsza konstrukcja gieometrji odbywa się na drodze dedukcji logicznej. Pierwiastek intuicyjny może ale nie musi towarzyszyć wszelkim wywodom gieometrycznym.

Gieometrja staje się tym sposobem działem logiki stosowanej, jakim jest też analiza (arytmetyka) i wszelka nauka czysta. Okoliczność ta nie zmniejsza bynajmniej doniosłości pierwiastku doświadczalnego, czy poglądowego, z którego umysł wydziela elementy i twierdzenia pierwotne.

Gieneza pojęć gieometrycznych i arytmetycznych wprowadza formy tych dwuch dziedzin w związek wzajemny, mianowicie formy geometryczne można przedstawiać oraz interpretować za pomocą form arytmetycznych i odwrotnie. Fakt ten ma wielką doniosłość w dziejach rozwoju matematyki. Arytmetyka w szacie gieometrycznej u Euklidesa, gieometrja w szacie algebraicznej u Descartes'a, teorje algebraiczne i analityczne krzywych i powierzchni, geometrja różniczkowa i całkowa, teorja rozmaitości Riemann'a, teorja przekształceń Lie'go — oto wybitne przykłady wzajemnego przenikania teorji gieometrycznych i arytmetycznych. Związek tych dwuch gałęzi nauk matematycznych pogłębiają jeszcze bardziej nowoczesne badania nad teorją mnogości i nowe badania nad podstawami gieometrji czystej, które rozszerzają zarazem dziedzinę możliwych form arytmetycznych.

Powracając do określenia geometrji, podanego przez Kanta, możemy powiedzieć, że dałoby ono przystosować się do dzisiejszego jej stanu, ze zmianą atoli poglądów Kanta w następujących punktach: 1) za syntetyczne a priori uważać należy n i e w s z y s t k i e twierdzenia geometrji, lecz tylko

twierdzenia pierwotne (aksjomaty), których układ jest zresztą w pewnej mierze dowolny; 2) przez „przestrzeń" rozumieć należy nie „jedyną i konieczną" formę intuicji przestrzeniowej, lecz formę gieometryczną, jako układ elementów, wraz ze wszystkiemi konstrukcjami z powyższych elementów i twierdzeń pierwotnych wyprowadzić się dających.

Do zbudowania gieometrji k o n i e c z n y m jest tedy pewien układ elementów i odpowiadający im układ twierdzeń pierwotnych. Czy i jaki w elementach tych i twierdzeniach pierwotnych tkwi pierwiastek konieczny a priori w znaczeniu bezwzględnym, Kantowskim i jak ten pierwiastek wyrazić by należało — pytanie to do gieometrji nie należy. Gieneza wyobrażeń i pojęć elementów pierwotnych jest związana z procesami psychologicznemi, których tu rozbierać nie możemy; układy zaś twierdzeń pierwotnych (aksjomatów) powstają przez analizę logiczną i dalsze uogólnienia tych faktów poglądania i spostrzegania, które wyobrażamy sobie i pojmujemy jako związki, zachodzące pomiędzy elementami pierwotnemi.

S. Dickstein.

W setną rocznicę.

Sto lat dobiega od chwili, gdy w zaledwie co uspokojonej po wiekopomnej zawierusze społecznej Francji wzniesiony został pomnik, mający utrwalić nietylko w pamięci potomnych, lecz i w ich życiu codziennym, i to w życiu nie wyłącznie narodu francuskiego, lecz całego ucywilizowanego świata, owoc całowiekowych dążeń i usiłowań wielkich umysłów, owoc krwi obficie wylanej pod ich sztandarem i dla ich urzeczywistnienia. W dniu 21 Marca 1804 r. (30 ventose an XII.) francuskie ciało prawodawcze zatwierdziło ostatecznie całokształt prawa cywilnego zatytułowanego Kodeksem cywilnym Francuzów (Code civil des François) a rozpowszechnionego i wsławionego w świecie pod nadaną mu w roku 1807 nową nazwą Kodeksu Napoleona (Code Napoléon). Z kodeksu tego dumni są Francuzi, dumnym jest, a przynajmniej dumnym być powinien cały świat prawniczy, bo dzieje jego dobitnie wykazały, że jeżeli wielkie idee społeczne poczynają się w umysłach filozofów i marzycieli, jeżeli drogę im torują najcięższe ofiary szlachetnych zapaleńców i ideologów, to do przyswojenia ich organizmowi społecznemu, do wprowadzenia w tętno życia narodów powołani są prawnicy.

Wraz z zwycięzkiemi orłami Napoleona przebiegł o-

znaczony jego imieniem kodeks, z niebywałą istotnie w podobnych wypadkach chyżością całą prawie Europę, pozostawiając w niej mniej lub więcej rozległe, mniej lub więcej głębokie, ale na zawsze trwałe ślady. W niektórych krajach wprowadzony został jako obowiązujący i charakter ten do dziś dnia lub do niedawna zachował, w innych ustąpił po upadku wielkiego swego inicjatora miejsce nowym, lecz na nim ugruntowanym prawodawstwom, w innych wreszcie, pomimo że nie obowiązywał, wpłynął na umysły zarówno prawników jak i całej inteligiencji. U nas zaprowadzony został jako prawo cywilne za Księstwa Warszawskiego od dnia 1 Maja 1808 roku i z pewnemi, zresztą w niektórych dziedzinach dość znacznemi zmianami, obowiązuje i obecnie.

Nie jest jednak moim zamiarem podanie tu apologji Kodeksu Napoleona, ani też rozpatrywanie dziejów jego powstania, źródeł, skąd zaczerpnięto jego przepisy, oraz jego rozpowszechnienia i wpływu na inne prawodawstwa oraz życie społeczne. Powodem, który mię skłonił do poruszenia tego tematu, są coraz dziś częstsze między prawnikami, zwłaszcza młodemi, głosy o przestarzeniu się tego prawodawstwa, o jego nieodpowiedniości do zmienionych warunków życia, o zdystansowaniu go przez nowe idee i potrzeby społeczne. Co krok przy rozprawach na temat prawny słyszymy rzucane apodyktycznie frazesy „Kodeks Napoleona przeżył się", „Kodeks Napoleona już nam nie wystarcza", „przestarzałe zasady Kodeksu Napolona" itp. Opinje te, lubo wygłaszane w znacznej większości wypadków w formie ogólnikowej, lub co najwyżej popierane przytoczeniem niektórych luźnych przepisów kodeksowych, zasługują jednakowoż na bliższe zastanowienie się nad niemi, na postawienie sobie pytania, czy istotnie zasady prawodawstwa cywilnego, którym hołdował wiek XIX, nie są już wystarczające dla XX wieku, czy ubiegłe stulecie spowodowało tak gruntowny przewrót w umysłach, że powinien on już znaleźć swe przypieczętowanie w prawodawstwie, czy jednym słowem wiek XIX zrobił dla wieku XX to, co dla XIX uczynił wiek XVIII.

Takim postawieniem kwestji wskazuję, że nie chodzi mi wcale o Kodeks Napoleona, jako zabytek prawodawczy. Nie potrzeba wielkich wysiłków na dowiedzenie, że miał on swoje braki nawet w chwili jego wydania, braki wynikające z pośpieszności roboty, podniecenia chwili, no i wreszcie z powszechnej wadliwości wszystkiego, co ludzkie. Nie ulega wątpliwości,

że nie wszystkie idee przewodnie, które kierowały autorami, zostały wszędzie konsekwentnie przeprowadzone, że w wielu razach trzymano się za bardzo starej rutyny, że wiele jest niedokładności w konstrukcji techniczej i redakcji. Z drugiej strony jest rzeczą jasną, że w ciągu stu lat życia społecznego i to życia tak gorączkowego, jaką się odznaczał wiek pary i elektryczności, powstało wiele nowych potrzeb, nowych stosunków, domagających się prawnego uregulowania, że duch wciąż dążył naprzód, odbiegając w wielu razach od poglądów przeszłości, a zatym i od ich prawnych przejawów. Lecz te powody mogłyby posłużyć jedynie za podstawę do rewizji prawodawstwa, do częściowego przekształcenia go i uzupełnienia. Inna rzecz, jeżeli kwestja dotyczy zasadniczych podstaw, jeżeli nowe potrzeby są tego rodzaju, że nie dadzą się podciągnąć pod ideę przewodnią dawnej całości i nie pozwalają się ugrupować obok starych przepisów, współrzędnie z niemi. W tym wypadku cały gmach jest zużyty, musi z gruntu runąć, ustępuje miejsca nowej, na nowych podwalinach opartej budowie.

Chcąc zdać sobie sprawę z poruszonego zagadnienia, należy przedewszystkim uprzytomić sobie zarzuty, jakie stawiane bywają Kodeksowi Napoleona. Samo się zaś przytym przez się rozumie, że uwzględnione być mogą tylko zarzuty formułowane przez prawników. Zarzuty natury ogólnej, zwłaszcza pochodzące ze sfer domagających się całkowicie przekształcenia ustroju społecznego, nie mogą mieć nic wspólnego z tematem i celem niniejszego artykułu. Te zarzuty dotyczą nie tego lub owego kodeksu, lecz ogólnych filozoficznych idei społecznych, które dopiero w samym łonie społeczeństwa przejść muszą wewnętrzną walkę życiową, a w niej upaść lub zwyciężyć w miarę ich żywotności, ale które jeszcze nie doszły do tego stopnia powszechnego uznania, aby mogły jawnie i otwarcie zapukać do wrót prawa. Gdyby kto np. zarzucał kodeksowi Napoleona, że uświęca instytucję własności, spadkobrania lub małżeństwa, powstawałby w rzeczywistości nie przeciwko kodeksowi, lecz przeciwko przyjętym obecnie przez ogół zasadom.

Jeżeli zaś zatrzymamy się nad atakami czysto prawnej natury, to dojdziemy do wniosku, że są one, o ile dotyczą głównych podstaw, bardzo nieliczne i, o ile mi przynajmniej wiadomo, zredukować się dadzą do dwu, t. j. stanowiska kobiet i przepisów o wynagrodzeniu za szkody i straty,

głównie zaś co do odszkodowania robotników za nieszczęśliwe wypadki przy pracy. Z pierwszym można załatwić się krótko. Ograniczenia praw kobiet tak niezamężnych (np. nie dopuszczenie do opieki i rad familijnych), jak i zamężnych (np. prawo asystencji męża) nie mają nic wspólnego z zasadniczemi ideami Kodeksu i mogą być zupełnie dobrze usunięte lub przeistoczone bez szkody dla całości. Są one raczej usprawiedliwionym lub nieusprawiedliwionym wyjątkiem z pod ogólnej zasady równości przeprowadzonej przez cały kodeks. Co się tyczy odszkodowania, to odnośnym przepisom zarzucają, że nie uwzględniają szkody moralnej, oraz że zbyt wielki kładą nacisk na winę sprawcy szkody. Moim zdaniem, pod przepis kodeksu orzekający, że każdy, który zrządzi drugiemu szkodę, powinien ją wynagrodzić, zarówno dobrze może podejść szkoda materjalna jak i moralna, i sądy francuskie stale go w tym duchu stosują. Jeżeliby jednak chodziło o określenie tego przedmiotu szczegółowiej, to wystarczy tylko wtrącić do odpowiedniego rozdziału jeden lub kilka artykułów dodatkowych, które nie tylko nie będą w sprzeczności z zasadą ogólną, ale mogą nawet uchodzić za jej konsekwencję.

Kwestja winy osoby obowiązanej do odszkodowania przychodzi na widownię głównie przy odszkodowaniu robotników za nieszczęśliwe wypadki przy pracy. Obowiązanemi do płacenia wynagrodzenia w tych razach są właściciele przedsiębiorstw, u których miał miejsce wypadek. Według dosłownego brzmienia kodeksu odpowiedzialność ta może mieć miejsce tylko o tyle, o ile wykazana zostanie ze strony osób obowiązanych wina. Jeżeli przyczyną wypadku był nieszczęśliwy zbieg okoliczności, traf, lub co więcej przewinienie lub nieostróżność samego poszkodowanego, strata, jaką poniósł przez utratę lub ograniczenie zdolności do pracy, jest w zasadzie dla niego niepowetowana. Pozostaje mu tylko droga dobroczynności publicznej lub prywatnej, bo w imię prawa nie ma się do kogo zwrócić. W tak czarnych barwach przedstawia się jednak stosunek ten tylko teoretycznie. Przy zastosowaniu bowiem zasady kodeksowej w praktyce możliwe jest zredukowanie liczby tych ofiar, które na pomoc prawa liczyć nie mogą, do minimum, a to z powodu rozciągłości pojęcia winy, pod które takie nawet wypadki, które w pierwszej chwili tylko trafowi, lub nawet winie samego poszkodowanego przypisywane bywają, podciągnięte być mogą. Nie będzie wcale pogwałceniem prze-

pisów prawa, jeżeli uznamy, że prawodawca, zawierając umowę z robotnikiem, gwarantuje mu milcząco, że praca odbywać się będzie w takich warunkach, które zabezpieczą jego osobę od wszelkich, nawet nie dających się z góry przewidzieć szkodliwych dla osoby jego wpływów, że nawet roztoczony będzie nadzór nad nim samym tam, gdzie z powodu pośpiechu, braku wiadomości techniczych, lub ogólnego wykształcenia jego własna przezorność do czuwania nad jego bezpieczeństwem nie wystarcza. Takie tłumaczenie umowy o najem pracy będzie nie tylko odpowiadało wymaganiom słuszności, ale wynika wprost z kodeksowej zasady równouprawnienia stron kontraktujących. Całe środowisko, w którym odbywa się praca fabryczna, lub wogóle przedsiębiorcza, wszystkie sposoby i warunki wykonywania jej, oznaczenie godzin zajęcia, dobór maszyn, narzędzi i materjału itp. zależą wyłącznie od pracodawcy. Robotnik nie tylko nie może mieć na nie żadnego wpływu, ale nawet z powodu koniecznej łączności jednostek przy zbiorowej pracy musi znaczną cząstkę swego ja poddać pod bezwarunkową dyspozycją przedsiębiorcy. Jest zatym rzeczą naturalną, że dla zrównoważenia tej nierówności położenia stron cała odpowiedzialność za wszystko, z czym ma do czynienia robotnik przy pracy, nawet za winę i złą wolę towarzyszów, których sam sobie nie dobierał, nawet za znaczną część jego własnych czynów odpowiadać przed nim winien ten, który go w tym otoczeniu i w tych warunkach umieścił.

Jeżeli taki pogląd na prawo robotników do odszkodowania przy działaniu Kodeksu Napoleona nie odrazu się ujawnił, i jeżeli przez długie lata pojęcia winy pracodawcy ograniczano do wypadków bardziej namacalnych, to nie było to bynajmniej wynikiem ducha tego prawodawstwa, lecz poglądów społecznych. Stan przemysłu i wogóle zbiorowej pracy ludzkiej nie był taki w chwili wydania kodeksu, ani w pierwszych czasach jego funkcjonowania, jak dziś. Umysły ludzkie nie odrazu wniknęły w te właściwości stosunku pracodawcy do robotnika, o których wyżej wspomniałem i nic dziwnego, że oceniały je powierzchownie. Skoro jednak nastąpiło pogłębienie w tym względzie poglądu, organy powołane do wymiaru sprawiedliwości nie zawahały się zmienić dotychczasowego sposobu wyrokowania, i jeżeli w tej dążności napotkały na jakie przeszkody, to w każdym razie nie w kodeksie. Jurysprudencja francuska oddawna już nauczyła się w tym duchu rozumieć przepisy

prawa, a i u nas podobny zwrot w ostatnich czasach zaznaczyć można.

Tymczasem jednak w drugiej połowie XIX stulecia stosunek powyższy zwrócił na siebie i uwagę prawodawców. Pojawiły się w różnych krajach prawa, które nie poprzestając na ogólnej zasadzie, podały szczegółowe przepisy o wynagrodzeniu szkód zrządzonych na życiu i zdrowiu osób, mających do czynienia z eksploatacją skomplikowanych przedsiębiorstw nowoczesnych. Powód do nich dały, nieznane w chwili powstania Kodeksu Napoleona, drogi żelazne, a krajami, które pierwsze wzięły je za przedmiot prawodawstwa były Niemcy a właściwie Prusy i Austrja. W Prusach prawo takie pojawiło się w r. 1838, w Austrji w r. 1851. Za niemi bezpośrednio poszła Rosja w roku 1852. Pierwotne te prawa uległy z czasem zmianom. W Austrji prawo z r. 1851 zastąpione zostało przez t. zw. Haftpflichtgesetz z dnia 5 Marca 1869, w Rosji przepisy z roku 1852 — przez prawo z dnia 25 Stycznia 1878 r. Niemcy poszły dalej i w prawie z dnia 7 Czerwca 1871 r. (Haftpflichtgesetz), wydanym dla całych Niemiec, rozciągnęły opiekę już nie tylko nad eksploatacją dróg żelaznych, ale i fabryk, oraz przedsiębiorstw górniczych. Wreszcie nową erę w tym kierunku zainaugurowało niemieckie prawo z dnia 6 Lipca 1884 o ubezpieczeniu robotników od nieszczęśliwych wypadków (Unfall-Versicherungsgesetz nowa redakcja z dnia 30 Czerwca 1900), za którym poszło także prawo w Austrji z dnia 23 Grudnia 1887. Przykład tych państw wywołał ruch prawodawczy i po za ich granicami. Pomijając inne wspomnę o prawie francuskim z dnia 9 Kwietnia 1898 oraz o nowo wydanym i obowiązującym od 1/14 Stycznia 1904 prawie rosyjskim z dnia 2 Czerwca 1903. „O wynagrodzeniu robotników i oficjalistów w przedsiębiorstwach fabrycznych, górniczych i górniczo-przemysłowych, poszkodowanych wskutek nieszczęśliwych wypadków".

Rzecz jasna, że w szczegóły tych praw, w różnice ich, nawet do pewnego stopnia zasadnicze, wchodzić tu nie mogę. Zaznaczam tylko, że wszystkie one mają na celu włożenie na przedsiębiorców odpowiedzialności za śmierć i kalectwo przy eksploatacji ich zakładów niezależnie od ich winy w każdym poszczególnym wypadku. Tylko w razie udowodnionej złej woli albo nadzwyczajnej, nie dającej się usprawiedliwić nieostro-

żności samego poszkodowanego, traci on prawo do wynagrodzenia.

Otóż te właśnie prawa przytaczane bywają głównie na dowód, że Kodeks Napoleona nie odpowiada obecnym potrzebom, i że trzeba dla ich zaspokojenia stwarzać nowe prawa, na nowych zupełnie, kodeksowi nieznanych, a nawet sprzecznych z nim, zasadach oparte. Sądzę, że treść tych praw oraz główny ich punkt wyjścia nie daje bynajmniej podstawy do takiego wniosku. Żadne z tych praw nie uświęciło zasady, któraby dopiero z ideami kodeksu była wprost sprzeczną, że odpowiedzialność ciążyć powinna na osobie zupełnie niewinnej. Przeciwnie, każde z nich w ten lub inny sposób wskazuje przypadki, w których przedsiębiorca zwolniony zostaje od obowiązku wynagrodzenia, jeżeli zaś przypadki te są nieliczne, to tylko dlatego, że we wszystkich innych prawodawca uznaje winę pracodawcy w wielu razach niepochwytną i nawet dla niego samego niepojętą, ale tkwiącą w samej naturze eksploatowanego przezeń przedsiębiorstwa. Do tego zaś rezultatu można dojść zupełnie logicznie i bez udziału prawodawcy drogą tłumaczenia prawa.

Nie chcę przez to powiedzieć, żeby owe prawa były zbyteczne. Owszem, mają one wielką zaletę i zasługę, a mianowicie tę, że określiły ściślej i dokładniej wzajemne prawa i obowiązki stron, że je uświadomiły w ich umysłach, że wreszcie usunęły czynnik chwiejności a po części i samowoli, jaki zawsze przy ustalaniu prawa drogą jurysprudencji istnieć musi. Mają one na względzie nietylko interes pracujących, ale i pracodawców, którzy przy bezwzględnym i niczym nie ograniczonym stosowaniu ogólnej zasady, bez liczenia się z obustronnemi warunkami ekonomicznemi mogliby być doprowadzeni do ruiny. Ale to wszystko mówi tylko na korzyść ich dogodności, nie zaś ich zasadniczej nowości.

Że pogląd ten nie jest czysto teoretyczny a jakby kto może chciał nazwać naciągany, dowodzi ten znamienny fakt, że prawa powyższe powstały właśnie w tych krajach, gdzie Kodeks Napoleona nie miał ani mocy obowiązującej, ani znaczniejszego wpływu na działalność prawodawczą... Wynika z tego, że tam właśnie naprzód odczuto potrzebę prawodawczego uregulowania tej kwestji, gdzie nie można było dać sobie z nią rady drogą jurysprudencji. I rzeczywiście bezpośrednim powodem do wydania niemieckiego prawa z roku 1871 była wcale nie ta idea, która mu dziś za największą zasługę bywa poczytywaną,

t. j. włożenie odpowiedzialności na pracodawców bez potrzeby udowodnienia im winy, lecz ta okoliczność, że prawo niemieckie nie znało zasady uświęconej przez art. 1384 Kodeksu Napoleona o odpowiedzialności za czyny cudze, a w szczególności za czyny osób podwładnych, użytych do eksploatacji przedsiębiorstwa. Zasada ta, wprowadzona została luźnie w Prusach w roku 1838 dla dróg żelaznych i prawo z roku 1871 miało na celu tylko rozszerzenie jej z jednej strony jakościowo, po za koleje żelazne, z drugiej zaś terytorjalnie po za Prusy. Dlatego też przy wprowadzaniu tego prawa były poważne debaty nad tym, czy rozciągnąć je należy na prowincje nadreńskie, gdzie obowiązywał Kodeks Napoleona.

Starałem się wykazać, że zarzuty natury prawnej przytaczane na dowód przestarzenia się Kodeksu Napoleona nie usprawiedliwiają tego twierdzenia. Innym sposobem poparcia go byłoby wykazanie, że nowe w ciągu XIX wieku wytworzone idee znalazły już dla siebie odpowiednie miejsce w prawodawstwach. Oczywiście, że do porównania w tym względzie naprasza się sam nowy kodeks niemiecki (Bürgerliches Gesetzbuch), wprowadzony w życie z dniem 1 Stycznia 1900 r. jako najświeższy i najrozgłośniejszy. Z tego porównania wychodzi nasz kodeks bezwarunkowo zwycięsko. Nie znaczy to, żeby kodeks niemiecki nie dorównał mu lub go nawet nie przewyższył. Przeciwnie, pomijając pewne braki natury konstrukcyjnej, przedstawia on wyraźny postęp w dziedzinie prawodawczej. Uwzględnił wiele nowo wytworzonych wśród ludzi stosunków, przystosował w niejednym wypadku dokładniej zasady prawne do potrzeb życiowych, określił szczegółowiej wzajemne prawa i obowiązki obywateli. Ale nowych idei, nowych zasad, któreby erę w rozwoju prawa cywilnego stanowić mogły, — nie wprowadził. Ani uruchomienie do pewnego stopnia kredytu rzeczowego zawarte w przepisach o hipotekach i długach gruntowych, ani wzmianki, zresztą dość ogólnikowe o wynagrodzeniu na szkody niematerjalne, ani dokładniejsze określenie zobowiązań pracodawcy przy najmie pracy (art. 617 i 618), itp. nie mogą być zaliczone do rzędu zasadniczych podstaw prawa. Są to wszystko udogodnienia, ułatwienia, bądź to dla społeczeństwa, bądź dla organów władzy sądowej i nic więcej. Jedyna zaś, moim zdaniem, innowacja głębszej natury a mianowicie, uświęcenie zasady samopomocy w stosunkach cywilnych (art. 229 do 231) o ile z jednej strony budzi poważne wątpliwości co do

jej pożyteczności społecznej, o tyle z drugiej w żadnym razie za wyraz nowych, ogólno ludzkich prądów cywilizacyjnych uznaną być nie może.

Wkroczyliśmy tedy ze stanowiska prawa cywilnego w wiek XX pod temi samemi hasłami, które na początku wieku XIX w przepisach swych skrystalizował Kodeks Napoleona. Pozostaje on tedy i dziś, po stu latach swego istnienia wyrazem cywilizacji współczesnej i zajmuje oraz długo jeszcze zajmować będzie naczelne miejsce wśród wszystkich innych, dziś istniejących prawodawstw. Czy wiek XIX nie wystąpił już do walki przeciwko tej cywilizacji, czy nie postawił sobie nowych ideałów, których urzeczywistnienie odesłało by go, a z nim razem wszystkie inne obecne kodeksy, do archiwum, to rzecz inna. Faktem jest tylko to, że te nowe dążenia nie doszły jeszcze do tego stadjum, w którym stoi dla nich otworem droga prawodawcza. Bo rola tego czynnika cywilizacyjnego nie jest tak wszechwładna, jak by się wielu zdawać mogło. Ma on swój przez naturę rzeczy określony termin, w którym do działania wystąpić może. Żądać od niego, żeby całą robotę wziął na siebie, żeby był nie już twórcą nowych idei, ale choćby tylko ich krzewicielem, mogą tylko ci, którym nie są należycie znane dzieje ludzkości. Zadaniem jego jest tylko utrwalić, uregulować to, co po za nim a często nawet wbrew niemu w społeczeństwie do życia już powołane zostało.

Karol Dunin.

Społeczeństwo a nauka wobec prac doświadczalnych.

Dość jest rzucić okiem na historję rozwoju nauk i na biografję przodowników tych nauk, by zauważyć wieczną walkę pomiędzy społeczeństwem, właściwie pewną jego grupą, a naszemi kierunkami naukowemi i tych kierunków przedstawicielami. Pochodzi to oczywiście stąd, że grupa stanowiąca możną masę społeczną, jest w danej epoce zadowolona z przysługujących jej praw, przywilejów i obyczajów. Na razie nie widzi ona żadnych korzyści dla siebie z owych nowych faktów lub praw naukowych. Częstokroć wydaje się owej masie, jakoby nowy kierunek nauki, bądź to przyrodniczej, bądź też humanistycznej, wręcz się sprzeciwiał jej interesom chwilowym. Masa ta nie przewiduje i nie może przewidywać przyszłości. Dla niej istnieje tylko teraźniejszość i korzyść namacalna. Stąd też pochodzi wrogie usposobienie dla nowych idei, nowych faktów i praw. Stąd też powstaje męczeństwo Kolumbów, Galileuszów i innych.

Fakt ten jest bardzo smutny, a obecnie nieunikniony na skutek małego wyrobienia filozoficznego przeważających grup społecznych. Jest on jednak zrozumiały ze względu na „interes" tych grup z jednej strony i — na ogromny przedział, który dzieli nową ideę od przeciętnych pojęć ogółu. Dziwniejszym wydaje się natomiast opór tego ogółu nietylko względem no-

wych idei, lecz i względem pewnych metod badania, któremi dana gałęź wiedzy posługiwać się musi. Mamy tu na myśli stosunek społeczeństwa do sekcji i wiwisekcji, t. j. do badań nad martwym ciałem i nad żywym organizmem zwierzęcym.

Stosunek ten jest dziwny z tego względu, że społeczeństwo uznaje korzyść, która nań spływa z tych badań, sprzeciwia się ono jednak jedynej metodzie, która do tych korzyści prowadzić może. Najzapaleńszy antiwiwisekcjonista użyje z największą gotowością surowicy antidyfterytycznej, aby uratować swe dziecko, lecz głosować będzie przeciwko badaniom nad zwierzętami, dzięki którym owa surowica powstała.

Psychologja tego oporu musi być odmienna od wskazanej powyżej.

W każdej epoce istnieją w duszy zbiorowej obok zapatrywań nowych, wierzenia dawne, wręcz przeciwne, częstokroć atawistyczne i nawpół świadome. Z biegiem czasu i z postępem kultury jednostka przestaje często przyznawać się do tych wierzeń, a nawet może nie wiedzieć o ich istnieniu. Występują one jednakowoż wtedy, gdy walkę z poglądem nowym prowadzi ciało zbiorowe lub tłum. W czasach dawniejszych całkowite społeczeństwa sprzeciwiało się sekcjom ciał zmarłych ludzi. Uczeni, pobudzani żądzą wiedzy, przewidywali korzyści, które społeczeństwa osiągną kiedyś w przyszłości z tych badań. Owe gienjalne rzuty wyobraźni naukowej napotykały początkowo opór olbrzymi. Dopiero z biegiem czasu ogół przekonywał się coraz bardziej, że z badań tych płynie dla niego wielki, namacalny pożytek. Oprócz tego pod wpływem innych prądów traciły swą powagę przesądy. Sekcje przestały drażnić ogół. Lecz i obecnie napotykamy często fakt znamienny, że jednostka, nawet skądinąd kulturalna, która nie śmie powstać osobiście przeciwko sekcji, czyni to jednak wtedy, gdy opór stawia ciało zbiorowe, np. rodzina. Czasami opór ten przyjmuje nawet dzisiaj rozmiary wprost fanatyczne, — gdy występuje przeciwko temu tłum. W przyszłości opór ten zniknie, gdy kultura będzie większa i gdy zniknie owa częstokroć podświadoma wiara w zmartwychwstanie ciała.

Zdarzają się jednak fakty zgoła odmienne. Podkreślić należy czyny, świadczące o znacznym wyzwoleniu ducha, odcinające się jaskrawo od smutnego tła zabobonów. Do takich zaliczyć np. należy żądanie, z jakim zwróciła się rodzina

słynnego Helmholtz'a, ażeby dokonano sekcji jego mózgu. Sekcji tej dokonano w instytucie Virchow'a, przyjaciela zmarłego. Do tych faktów zaliczyć należy życzenie, wypowiedziane przez umierającego uczonego, profesora Korsakowa, ażeby dokonano szczegółowej sekcji jego ciała. Uczniowie jego uczynili zadość temu żądaniu i przechowali z pietyzmem mózg zmarłego w muzeum. Są to fakty z wielu względów znamienne.

Ten sam stosunek walki istniał i istnieje po dzień dzisiejszy pomiędzy wielkim i możnym odłamem społeczeństwa i garstką uczonych, którzy dążą do wykrycia nowych faktów i praw przyrodniczych i zarazem — do nowych korzyści dla społeczeństwa. W oporze, stawianym przez tłum sekcji zmarłych, dopatrujemy się pierwiastku zabobonu, tkwiącego podświadomie nawet w umyśle jednostek bardziej wyzwolonych. W oporze stawianym wiwisekcji dopatrywać się należy innych pobudek i powodów.

Pomijamy czynnik atawistyczny i obecnie mniej ważny, polegający na zapobieganiu tępienia zwierząt pożytecznych. Sądzimy, że obecnie główną pobudkę i argument główny w walce przeciwko doświadczeniom nad zwierzątami, stanowi chęć zapobiegania rzekomego „dręczenia" zwierząt, a więc pobudka emocjonalno-etyczna.

Antiwiwisekcjoniści mierzą jednak jedną miarą dorożkarza znęcającego się nad koniem i uczonego, który wstrzykuje królikowi kulturę bakteryjną lub drażni prądem nerw żaby. W argumentach, powstających na tym tle, widzimy niewłaściwie zastosowaną t. zw. humanitarność, zasadę czynienia dobra i ochraniania od zła, a więc od dręczenia i bólu. Zasadzie tej hołdują również uczeni i jest rzeczą oczywistą, że unikali by oni wiwisekcji, gdyby istniał jakikolwiek inny sposób, któryby czynił możliwemi odnośne badania naukowe. Lecz sposób ten z natury rzeczy istnieć nie może. Dążenia do wykrycia nowych prawd naukowych i do przysporzenia ludzkości nowych korzyści, musi być miarodajnym. Nawet najidealniejszy pod względem etycznym człowiek w ostatniej konkluzji przyznać musi, że ludzie i ich dobro są mu bliżsi od królików.

To też tylko gawiedź może widzieć w tendencjach antiwiwisekcyjnych objaw wysoce humanitarny. Tak może myśleć tylko ten, kto nie ma żadnego czucia z nauką, kto ani nie rozumie, ani też nie przeczuwa postępu nauki i jej zadań dla niej samej i dla ludzkości.

Nie miejsce tutaj rozwodzić się nad przyczynami, dla których wiedza przyrodnicza posługiwać się musi metodą doświadczalną nad żywym organizmem zwierzęcym. Przykłady najbardziej konkretne, namacalne z dziedziny bakterjologji uderzają wprost oczywistością swoją. Społeczeństwu grozi stale olbrzymia falanga wrogów — bakterji, dziesiątkująca zarówno dzieci, jak i dorosłych, wszystkich, szczególniej zaś biednych. Jeżeli nauka posiadła środki do walki z temi wrogami, to zawdzięcza je ona prawie wyłącznie stosowaniu metody doświadczalnej nad zwierzętami. Czy ktoś ośmieliłby się powstać dzisiaj przeciw otrzymywaniu surowicy od koni lub zbieraniu limfy ospy z cieląt? Cały ożywczy prąd naukowy, który w czasach nowszych powiał w walce zaciętej z chorobami infekcyjnemi, przybierać będzie coraz większe rozmiary i zakreślać będzie coraz szersze kręgi w dziedzinie terapji.

Mniej namacalne, częstokroć skromnie ukryte w pracowniach naukowych są prace doświadczalne, bądź to z dziedziny lecznictwa, bądź też z dziedziny tak zwanych zagadnień teoretycznych. Jeżeli chirurgja obecna daje coraz to lepsze wyniki pooperacyjne i przenika coraz odważniej do narządów do niedawna nietykalnych, to zawdzięcza ten tryumf w znacznej mierze badaniom teoretycznym nad wyjaławianiem lub też dociekaniom fizjologicznym. Taki napozór drobny fakt teoretyczny, jakim było wykrycie ośrodków ruchowych w korze mózgowej psa dokonane przez Fritsch'a i Hitzig'a, — otworzył naoścież wrota chirurgji mózgu. Lecz i dzisiaj, gdy zostały dokonane setki operacji nad mózgiem ludzkim, teoretyczna wiedza fizjologiczna, zdobyta dzięki wiwisekcji, znakomicie wyprzedziła fizjologję mózgu ludzkiego. Dość jest spojrzeć na kartę lokalizacyjną kory mózgowej szympansa, chociażby w ostatnich pracach Sherrington'a i Grünbaum'a i porównać ją z analogiczną kartą u człowieka, aby się o tym namacalnie przekonać.

Przykładów tych możnaby przytoczyć cały legjon, zarówno z dziedziny wiedzy lekarskiej, jak i innych nauk przyrodniczych. Doświadczenia nad zwierzętami stanowią bezsprzecznie jedyną częstokroć metodę, którą posługiwać się można dla sprawdzenia jakiejś hipotezy lub też dla wykrycia nowych prawd. Tylko ta metoda umożliwia nam w pewnej dziedzinie dociekań naukowych, tworzenie warunków „czystych", (t. j. wolnych od wpływów ubocznych), a więc zezwalających na wyprowadzanie wniosków pewnych. Przy tej metodzie wnioski owe mogą wytrzymać

ogień probierczy statystyki wielkich cyfr, przy niej stosować można częstokroć niezbędne metody kombinacyjne itd.

Jeżeli więc pogodzić się musimy z tą myślą, że społeczeństwo a właściwie mniej kulturalny jego odłam nigdy dobrowolnie, a tym mniej z własnej inicjatywy nie pożądał nowych idei, jeżeli dalej ze smutkiem stwierdzić należy, że nawet pewne metody badania napotykają niezwalczony częstokroć opór, to jednak pocieszać się należy myślą, że owe nowe idee i owe nowe metody badania będą powstawały tak długo, jak długo to samo społeczeństwo żądać będzie od nauki ratunku, sama zaś nauka pobudzać będzie ludzi do wykrywania nowych faktów i nowych praw.

A żądania te i pobudki są wieczne.

Dr. Edward Flatau.

KARTA Z DZIEJÓW ODRODZENIA CZESKIEGO.

Podstawą odrodzenia czeskiego jest demokratyzm, który wyłonił się z ruchów husyckich w XV st. Lud, zachęcony do czytania biblji, wziął udział w życiu społecznym, a zrywając z kosmopolityzmem rzymskim, rozwijać się począł w duchu narodowym i mimo wynikłej reakcji, odosobniony od cudzoziemskiej lub zcudzoziemczałej szlachty, nie przestał być w duchu husyckim; bo w pierwiastku tym społeczno-religijnym widział krynicę swojskości, wolnej od cenzuralnej augurów pieczęci. Demokratyzm ten, brzemienny w nasiona odrodzenia, wypuścił pączki w XVIII st., aby zakwitnąć wspaniałym kwiatem w ciągu XIX w. Odtąd czeszczyzna, rozwijając się na zasadach zaklętego w duchu ludowym husytyzmu, wytworzyła słowiańskie, a nie rzymskie oblicze narodu, który w pobratymstwie z plemionami słowiańskiemi zakreślił sobie cel swojego istnienia. Słowiańszczyzna bowiem, ona niewyczerpana kopalnia skarbów językowych i ustroju społeczno-prawnego stała się nietylko kamieniem węgielnym odrodzenia, ale i opoką narodu czeskiego, narodu, co z zaparciem i poświęceniem składał grosz wdowi na ołtarzu wielkiej swojej „vlasti".

Doliną łez rzewnych nazwać można przeszłość Czech. Od pamiętnej pod Białą Górą klęski Kalwinistów czeskich (1621 r.), język czeski, owa rdzenna prasłowiańskiej mowy córa, kwi-

tnąca wszystkiemi wdziękami piękna w XVI st., skazaną była na zagładę, której niezdołali nawet zażegnać tacy gramatycy, jak: Maciej Steur, jezuita (Żaczek czili vyborne dobry spusob jak se ma dobrze po czesky psati. Praha 1668 r.) Drahovsky (Grammatica bohemica in 5 libros divisa. Ołomunico 1610 r.) Kunstanc Jerzy (Lima linguae bohemicae. Praga 1667) i Wacław Rosa (Czechorzecznost seu Grammatica linguae bohemicae. Praga 1671).

Zniszczenie mnóstwa ksiąg starych przyczyniło się, iż pisarze, nie mając wzorów poprawnej czeszczyzny, prowincjonalizmami i makaronizmami mowę słowiańską zaszpecili. Wpływ prowincjonalizmu zaściankowego upowszechnił zwyczaj ówczesny stopniowania długiego y na ey (ej) np. vejstrahu, vejstraszeji zamiast vystrahu, vystraszeji itp. Niedość tego, nawet w przypadkowaniu i czasowaniu błądzono.

Początek XVIII w. smutną jeno pamięć w dziejach języka pozostawił. Okrom książek do nabożeństwa, nic prawie po czesku nie pisano. Dla ciekawości czytelnika przytaczamy, iż w 1729 r. upowszechnił się w Czechach zwyczaj. „Pochvalen bud' Jezisz Kristus!" Zajmowano się gorliwie naukami przyrodzonemi, lubo to wcale na pismiennictwo narodowe nie wpływało; po niemiecku bowiem dzieła i rozprawy naukowe drukowano. Tu mimochodem wspomnimy, że ks. Prokop Divisz zakonu praemonstrantów, wynalazszy piorunochron (konduktor) w r. 1754 znacznie wcześniej, o czym nie każdemu wiadomo, sławnego Benjamina Franklina uprzedził.

Rok 1763 stanowi już ważny zwrot języka czeskiego, albowiem Filip hr. Kolovrat, najwyższy burgrabia, ogłosił dekret cesarski, w którym się potrzeba znajomości czeszczyzny w sprawach sądowych gorliwie zaleca. Już w r. 1778 prałat Rautenkranz zakłada w Pradze katedrę teologji pastoralnej z wykładem czeskim. W r. 1792 ustanowiono na wszechnicy praskiej katedrę języka czeskiego, a w rok później (1793) Fr. Pelcel był pierwszym nauczycielem tego przedmiotu, a następnie katedrę po nim objął Jan Nejedly, głośny swojego czasu gramatyk. Hr. Kacper i Franciszek Sternbergowie upamiętnili swe imiona założeniem Muzeum narodowego czeskiego (1818).

Przeszłość czeska znalazła swojego krytyka w osobie Józefa Dobrovskiego (ur. 1735 † 1829). Zamierzał on oczyścić pierwotne dzieje Czech z baśni i hipotez niedorzecznych, najczęściej

z nadużyć filologicznych wylęgłych. Wbrew Dalimilowi i innym kronikarzom uznaje Dragomirę, matkę ś. Wacława, za chrześcijankę (Kritische Versuche die ältere boemische Geschichte zu reinigen 1803, 1807 i 1819). Nie wszystkie wszakże twierdzenia jego odpowiadają spółczesnej krytyce, jak np. wywód wyrazu p a n z greckiego f a n a (Geschichte der boemischen Sprache und aeltern Literatur. Prag 1818). Nawet mitologję uważa za przedmiot historyczny i z tego też stanowiska dziedzinę tę sądzi, acz ona z natury swojej nie do historji a folkloru należy. Wiekopomną jest gramatyka języka starosłowiańskiego (Institutiones linguae slavicae dialecti veteris. Vindobonae 1822). W pracy tej przeprowadził panujący niegdyś w lingwistyce podział języków słowiańskich według pewnych cech dźwiękowych, które wobec spółczesnej nauki zaliczone są do urojeń. Język serbski, dla odróżnienia od chorwackiego, nazywa i l i r s k i m. Cyryla wynalazcą cyrylicy a nie głagolicy mieni, utrzymując, że ta pierwsza jest dawniejszą od drugiej. Autor nie zna jeszcze jusów t. j. nosówek starosłowiańskich (ą, ją, ę, ję). Pogłosowe j, poprzedzone samogłoską np. a j w k r a j ma być według Dobrowskiego dyftongą (?), a polskie ą, ę, wywodzi od u, lubo rzecz ma się przeciwnie. Podobną jest obszerna jego gramatyka języka czeskiego (Ausführliches Lehrgebäude der böhmischen Sprache. Prag 1809). Wydawał dwa pisma zbiorowe, historji, starożytności i lingwistyce poświęcone p. t. „Slowanka" i „Slawin". W tym pierwszym umieścił słowniczek Słowian lunenburskich Henninga, w drugim zaś spis wyrazów rezyjskich t. j. mowy Słowian w dolinie Rezji w pobliżu Udine we Włoszech.*)

Na parnasie czeskim panował duch pseudo-klasycyzmu francuskiego. Głównemi koryfeuszami tego kierunku byli: P u c h m a y e r A n t o n i, N e j e d l y i H n e v k o v s k y. Pierwszy z nich P u c h m a y e r przez ułożenie podręcznika p. t. Rymovnik anel rymovni slovnik (Pilzen 1824) stał się arystarchą

*) Inne dzieła jego: Ueber den Ursprung des Namens Tschech (w II tomie Pelda Gesch. Böhm.) Historisch kritische Untersuchungen woher die Slawen ihren Namen erhalten haben (Abhandlungen einer Privatgeselschaft 1784). Ueber die ältesten Sitze der Slawen in Europa (Monse, Versuch einer kurzgefassten Landesgeschichte des Margraftums Mähren. Olmütz 1787). Cyrill und Method der Slawen Apostel (1823). Z Petelem wydawał: Scriptores rerum bohemicarum (2 tomy 1783—1784).

klasycyzmu czeskiego. Tłumaczył z francuskiego Świątynię Wenery w Knidos (Chram Gnidsky) w Pradze 1804.

Józef Jungmann (ur. 1773 w Hudlicach w pobliżu Berouna, † 1847) nazwanym być może zwiastunem romantyzmu. O nim słusznie pisze biograf jego W. W. Tomek: „Jungmanem a przately mladi jeho zaczala se nova doba literatury czeske". Pierwszych polotów muzy poetyckiej próbował nasz uczony w wydawnictwie, redagowanym przez Puchmayera (1795 r.) p. t. Sebrani basni a zpevu; w „Hlasatelu (pod red. Nejedleho)" art. p. t. Rozmlouvani dvoje o czeskem jazyku (tom I 43—321), w „Videnskych Listech" art. Antibohemia (r. 1813); w „Czasopis czeskeho Museum" art. O czeskem jazyku usudek Lukasze Hornickeho (Górnickiego) Polaka w XVI st. (1830), O ruzneni czeskeho jazyka (1832).

Przekłady jego z niemieckiego i francuskiego należą do klasycznych pod względem stylu prac literackich, z których wymieniamy: Atalę Chateaubrianda, Raj utracony Miltona (1811), Kun zhory Herdera (Czasop. czesk. Mus. 1832), Wyuczenec Rzeku (greków) Klopstoka (Cz. cz. Mus. 1844) i wiele innych. Wszystkie te prace pomniejsze wierszem i prozą wydano p. t. Sebrane spisy vierszem a prosou (w Pradze 1841).

Czas wolny od prac nauczycielskich (przy gimnazjum na Starym Mieście w Pradze) poświęcał bezpłatnemu wykładowi języka czeskiego dla młodzieży gimnazjalnej i seminaryjnej, której, chcąc dogodzić, napisał dzieło o wymowie i stylu wraz z odpowiedniemi wzorami p. t. Slovesnost aneb sbirka przikladu (vierszu i prozy) z pojednanim o slohu (1820, wyd. II w Pradze 1845). Z powodu użycia nowej pisowni według Dobrovskiego w pomienionym dziele wynikła polemika z profesorem Nejedlym, obrońcą dawnych zasad, występującym przeciwko tym nowościom w broszurze p. t. Wiederlegung der sogenannten analogisch-graphischen Neuerungen. Prag 1828. Jungmann odpowiedział inną broszurą p. t. Beleuchtung der Streitfrage ueber die boehmische Orthographie. Prag 1829.

W roku 1825 wyszło pierwsze wydanie: Historie literatury czeske aneb: soustawny przehled spisu czeskych s kratkou historii narodu, osviceni a jazyka (wyd. 2. 1849), in 8vo, str. 717. Na sześć okresów dzieli autor dzieje pismiennictwa czeskiego t. j.: 1) Od czasów niepamiętnych aż do zgonu ostatniego z Przemyślów Wacława IV czyli od r. 451 do 1310; 2) od wygaśnięcia domu Przemyślów aż do Husa t. j. 1311—1409; 3) od Husa

do założenia i rozpowszechnienia drukarni czeskich t. j. 1410 do 1526; 4) od rozpowszechnienia drukarni do zwycięstwa Katolików w Czechach i na Morawach t. j. 1527—1620; 5) od zwycięstwa Katolików do zaprowadzenia niemczyzny w szkole i w kancelacji t. j. 1621—1774 i 6) od zaprowadzenia niemczyzny aż do naszych czasów. Każdy okres poprzedzony jest rzutem oka na dzieje polityczne, oświaty i języka. Wiadomości bibljograficzne nader szczegółowe; nie pominięto nawet wiadomości o celniejszych artykułach naukowych, we wszystkich czasopismach rozrzuconych. Przy końcu załączone są zapiski, dotyczące życiorysów znamienitych Czechów i Słowaków, w pismiennictwie wsławionych. Dzieło to, lubo nie odpowiada dzisiejszej krytyce dziejowej, pozostanie jednak cenną wskazówką dziejów pismiennictwa czeskiego, tudzież niespożytym przez czas wytrwałej pracy pomnikiem. Zaletą metody autora jest przedmiotowość (objektywność), wolna od namiętnych sądów, nacechowanych zawiścią polityczną i literacką.

Uwieńczenie wszystkich dzieł Jungmanna stanowi słownik p. t. Slovnik czesko-nemecky. Pomoci czeskeho muzeum w Praze 1839, tomów 5, z których I zawiera str. 852; II str. 1032, III 934; IV 844 i V 870, z dodanemi poprawkami 988 str.

Powodem do przedsięwzięcia tak świetnego wydawnictwa była okoliczność, że, gdy autor ze zbioru Pelcla zaczął zajmować się dopełnieniem słownika Tomsy (r. 1800), wtedy to już zauważył, że praca rzeczona, gwoli niedokładności swojej, wiele do życzenia pozostawia, zwłaszcza gdy w opracowaniu nie zużytkowano czterojęzycznego słownika Weleslawina (z 2 połowy XVI w.) Zamierzając autor choć w części temu dogodzić, znamienity na swój czas słownik Weleslawina w ciągu dwuch lat w całości przepisał i do zbiorów swoich przyłączył. Śmierć Faustyna Prochazki (1809), który mu miał być dzielnym w zamierzonym wydawnictwie słownika spółpracownikiem, urzeczywistnienie tak pięknej i zacnej myśli na długie odłożyła lata. Tym boleśniejszym był dla Jungmanna cios ten, iż Prochazka zebrał był obfite materjały z biblji kralickiej braci czeskich, Hajka kroniki i Weleslawina biblji, które to dzieła cenne narodowego języka stanowią zabytki. W tym to czasie i wiekopomny Józef Dobrovsky chował się myślą w opracowaniu słownika, i już dzieło to rozpoczął, lecz dla innych prac naukowych tudzież nieporządku w zebranych materjałach, słownik swój ledwie do litery d doprowadził. Żałuje Jungmann (w przedmowie

do słownika) onego przedsięwzięcia Dobrovskiego upadku; sądzi, że praca rzeczona o wieleby wartość niniejszego słownika przewyższyła. Podobnemuż niefortunnych losów wydarzeniu uległy zbiory ks. Rautenkranca, który, piastując urząd pasterza dusz, mnóstwo cennych wśród ludu tułających się zebrał wyrazów. W roku 1810 Palkowicz, zamierzając wydać słownik czesko-słowacki, do spółudziału w rzeczonym przedsięwzięciu Jungmanna zachęcał; niebawem atoli pomieniony Palkowicz, słownik swój na widok publiczny wydawszy (1820 r.), chęci swoje co do spółpracownictwa Jungmanna odmienił. Zdawałoby się, że słownik Palkowicza potrzebę podobnego wydawnictwa raz na zawsze usunie, lecz trudne literatury i języka czeskiego warunki, ciągłe zmiany mowy, grożące śmiercią powagą wieków osłonionym archaizmom, przyspieszyły arcydzieło trzydziestoletnich trudów Jungmannowych, których osnowę stanowi słownik rękopismienny Wacława Rosy († 1689), zawierający mnóstwo nieoszacowanych staroczeszczyzny zabytków, które są dla lingwisty słowiańskiego kwiatem prawdziwej paproci. W pracy tej pomagali Jungmannowi: Dominik Kinsky, Józef Seidl, Wacław Hanka, Jan Kollar, Tomiczek, Franta itp. Bracia autora Antoni w rzeczach lekarskich, a ks. Jan, administrator w Tursku, zbiorem prowincjonalizmów słownik wzbogacali. Głównemi poniekąd wzorami, przykładami w opracowaniu tego dzieła były: słownik polski Lindego i niemiecki Adelunga.

Na koszta wydawnictwa zmuszony był Jungmann sprzedać domek swój wraz z kawałkiem gruntu w okolicach Pragi; napróżno bowiem kołatał do zcudzoziemczałych panów czeskich, którzy pieniądze swoje na psiarnie, dżokejów, papugi i karety żółte z Wiednia wydawali. Jedynie Wacław Chlumczansky, arcybiskup, pomoc swoją w tym względzie Jungmannowi ofiarować raczył.

O ile obojętność panów czeskich dla sprawy społecznej bolała zacnego uczonego, o tyle uznanie rządu, spółziomków i towarzystw naukowych napełniały go radością. W uznaniu zasług dla nauki mianowano Jungmanna dziekanem wydziału filozoficznego (1827 r.), poczym rektorem uniwersytetu (1840 r.) i członkiem wielu towarzystw naukowych.

Umyślnie przeważną część naszego szkicu poświęciliśmy słownikowi Jungmannowskiemu; bo język nazwać można kluczem psychologji. Klucz ten jest z drugiej strony istotnym kul-

tury zwierciadłem. Nieprzestaniemy głosić tej starej prawdy, że nietylko język czeski, ale wszystkie narzecza i gwary słowiańskie stanowią zasadnicze do zbadania mowy polskiej warunki, bez których nikt nie powinien rościć prawa do wiedzy o języku i narodzie swoim. W słowiańszczyznie jest źródło naszej narodowości. Zboczenie od tego źródła jest drogą do zwyrodnienia i zatracenia swojskości, która rozwijać się może w duchu cywilizacji zachodniej, w duchu tolerancji religijnej i plemiennej, niezależnej zgoła od zgubnej i niszczącej siły obłędnego fanatyzmu i zdziczałego szowinizmu. Jeden i drugi, to pierwiastki wrogie religji i narodowości. Kolebką ich samolubstwo, obleczone w togę ciemnoty, która jest matką wszystkich nieszczęść ludzkości.

Justyn Feliks Gajsler.

Idea dobra powszechnego, jako zasada ocen naszych społeczno - politycznych.

Parlamentarni mówcy mowy swe wygłaszają dzisiaj dla określenia swego, względnie swej partji, stanowiska ku wiadomości rządu lub innych partji, miewają w salach ciał prawodawczych wyczerpujące i możliwie przekonywające oracje, skierowane w istocie rzeczy ku wyborcom, wreszcie nierzadko wysilają się na jak najdłuższe przemowy w celach obstrukcji, lecz bodaj nigdy nie starają się o przekonanie członków innych stronnictw, z góry to za niemożliwe uważając.

Dawniej, przed pół wiekiem, inaczej się przecież działo. Skąd pochodzi ta zmiana?

Czy może stronnictwa polityczne są dziś tak bardzo skonsolidowane, a sądy ich tak dalece na wszystkie sprawy i zagadnienia życia publicznego wyrobione, że nowe argumenty zachwiać ich zdania nie mogą, czy może każdy z posłów każdorazowo przestudjował tak gruntownie kwestję, będącą na porządku dziennym obrad, iż dyskusja w parlamencie nic mu nie zdoła wyjaśnić, czy wreszcie może „przekonanie polityczne", vulgo bezmyślność polityczna, tak jest ugruntowana, że naderemna to rzecz silić się na pobudzenie posłów do oceny krytycznej z góry powziętych „przekonań"?

Chyba nie! Bo jak często obok partji, których działalność grzeszy brakiem jasnego kierunku i stanowczości, istnieją inne, wytrwale i konsekwentnie dążące do zamierzonego celu, tak również często widzimy, że stronnictwa, głuche na wszelkie argumenty, przez inne partje podawane, na swych zjazdach i w prasie swej wykazują znaczną zdolność do krytycznego zastanawiania się nad własną taktyką i zasadami.

Wspomniany objaw raczej stąd pochodzi, że każde stronnictwo innym językiem mówi, tak iż się między sobą porozumieć nie są w stanie.

I istotnie, przyjrzawszy się baczniej publicystyce spółczesnej i spółczesnym rozprawom parlamentarnym, spostrzeżemy, że każde stronnictwo ocenia fakty życia społecznego z innego zgoła punktu widzenia i postulaty swe formułuje wedle innych kryterjów.

Czy ta rozbieżność kryterjów, wedle których oceniamy istniejący stan rzeczy i odpowiednio do których stawiamy na przyszłość swe żądania, jest nieuniknioną?

Praktyczni działacze na polu życia społecznego i politycznego udzielają na to pytanie, kategoryczną działalnością swą, stanowczej odpowiedzi: „tak".

Ale jeśli działacz praktyczny, liczący się tylko z nastrojami danej chwili, nie potrzebuje rozważać, o ile owe nastroje są pożądane lub nie, jeno musi poznać je i dla swych celów wyzyskać, to nauka nie może pozwolić sobie na taki oportunizm.

Bo nie ulega chyba wątpliwości, że z chwilą, gdy powiemy: normalnym jest, by istniała dowolna liczba równoważnych zupełnie kryterjów dla ocen i sądów społecznych, oraz by każdemu było dozwolone wybierać sobie dowolnie to lub inne kryterjum za punkt wyjścia swych rozumowań, wszelka przedmiotowa naukowa ocena zjawisk społecznych przestaje tym samym istnieć. Nie może być bowiem jednocześnie prawdą A i nie-A. I, co za tym idzie, przestaje jednocześnie istnieć w ogóle nauka społeczna.

Wprawdzie istnieje w Niemczech cała szkoła ekonomistów, którzy dowodzą, że na nauce a specjalnie na nauce społecznej ciąży zadanie jedynie stwierdzić, opisać i klasyfikować fakty. Sami jednak nie mogą wytrwać w tej rezygnacji. I mówiąc w zasadzie jedno, drugie czynią. Schmoller np., który najgłośniej długie lata protestował przeciw wszelkim próbom tłumaczenia przyczynowego całokształtu zjawisk ekonomicznych—

dziś ogłasza swój system zarówno ekonomji teoretycznej, jak polityki społeczno-gospodarczej.

Z drugiej strony jednak należy zaprotestować i przeciwko nadmiernym roszczeniom teoretyków społecznych, którzy sądzą, że ich najszersze uogólnienia mogą i powinny być jedynym wskaźnikiem praktycznej działalności społecznej. W dzisiejszym stanie wiedzy i na możliwe do przewidzenia czasy braknie tym uogólnieniom, określającym istotę życia społecznego lub podstawowe prawa jego rozwoju, wymaganej dokładności i pewności, by mogły one dostarczyć nam odpowiedniego probierza dla praktycznych naszych czynów. A przytym są te prawa zbyt ogólne, zostały osiągnięte drogą abstrakcji, odrzucającej zbyt wiele okoliczności i cech indywidualnych jako rzeczy podrzędne i niemiarodajne, by można je wziąć za zasadę działań praktycznych.

Należy przecież pamiętać o tym, że w przyrodzie praw ani typów niema, jeno niezliczona mnogość różnorodnych pojedyńczych zjawisk. Typy, prawa, związki przyczynowe istnieją tylko w naszym umyśle. Jeżeli wytwarzamy pojęcie konia, gruszki lub ustanawiamy prawo ciążenia ciał, to tylko w ten sposób, iż abstrahujemy od cech indywidualnych, właściwych poszczególnym koniom, gruszkom, i od okoliczności towarzyszących poszczególnym faktom spadania różnych ciał.

I ponieważ w stosunku naszym do świata fizycznego te okoliczności i cechy indywidualne są dla nas najczęściej obojętne, ponieważ obojętnym jest np. czy posadzona przez nas grusza będzie miała silniejsze po tej lub innej stronie rozgałęzienie, więc ustanowione drogą abstrakcji prawa mogą tutaj stanowić pewną zupełnie zasadę naszych działań.

Zjawiska społeczne wszakże są zjawiskami własnego naszego życia. Przy praktycznym więc oddziaływaniu na nie, nie mogą dla nas być obojętnemi indywidualne ich cechy i okoliczności. Przypuśćmy zatym, że istotnie, jak to niektórzy ekonomiści głoszą, szybki postęp przemysłu w normalnym swym toku musi pociągać za sobą ruinę rękodzieł i proletaryzację stanu rzemieślniczego. Otrzymujemy prawo. Gdyby nawet było ono zupełnie ustalone, to jednak nie możemy się względem niego zachowywać w ten sam sposób, jak np. względem faktu, że dobrze uprawiona rola, wydając większy plon pszenicy, zrodzi mniej bławatków. Bo nie jest i nie może być dla nas obojętnym los tysięcy rzemieślników; dążąc do uprzemysłowienia

kraju, obowiązani jesteśmy wybrać taką drogę, by jednocześnie wielki przemysł nie przyniósł z sobą nieznanej wprzódy nędzy szerokich warstw ludu.

Więc teoretykowi, który w rozprawie nad praktycznemi zagadnieniami społecznemi będzie wskazywał na swe uogólnienia i ferował sądy kategoryczne o tym, co być winno i co czynić należy, w imię „praw rozwoju społecznego“ czy „istoty społeczeństw“, odpowiemy: „Te twoje prawa są: 1) wciąż jeszcze tylko hipotezami bardzo problematycznemi, bo nie zbadałeś ani drobnej części materjału faktycznego, którego opracowanie mogło by dać jakieś pewniejsze „prawa“; 2) określają one sobą typowe stosunki typowych zjawisk, gdy nam chodzi o indywidualne cechy konkretnych rezultatów naszej pracy; 3) są prawami duchowego życia ludzi, a więc zależne od czynnika świadomej naszej woli; nic więc nas zmuszać nie może do stosowania się do nich biernego, jeśli je za złe uznamy.

Czyżby więc istotnie nie było żadnego innego związku między nauką a praktyką społeczną, prócz tego, że pierwsza rejestruje i podaje drugiej do wiadomości fakty doby bieżącej, że zbogaca doświadczenie nasze i tym ułatwia nam „sztukę“ polityki społecznej?

Gdyby to było prawdą, to w takim razie możliwe byłyby tylko opisowe nauki społeczne. Wszelkie zaś przyczynowe wyjaśnienie zjawisk społecznych musiałoby być z góry wykluczone. Bo przecież tylko wtedy, gdy zjawiska rozumiemy, gdy wiemy nietylko, że są i jakie są, lecz czemu są takie, nie zaś inne, to tym samym możemy wnioskować jednocześnie z przyczyn o skutkach, przewidywać więc jakie rezultaty wynikną z tych lub innych działań i zabiegów naszych i, co za tym idzie, wyznaczać również, co należy czynić, by osiągnąć zamierzone cele.

Gdy więc istotnie, jak to nawet szkoła historyczna w ekonomji przyznaje, — społeczna wiedza teoretyczna jest możliwą i przedstawia wprost niezbędny płód umysłu naszego, który nie jest w stanie poprzestawać na prostym stwierdzeniu faktów życia społecznego bez dalszego pytania, czemu są takie, skąd się wzięły, musi być zarówno możliwą jak i niezbędną także nauka polityki społeczno-gospodarczej.

I w zasadzie stosunek jej do teorji nie jest inny, niż stosunek nauk technicznych do przyrodniczych, z tym jednym ograniczeniem, któreśmy już uczynili, mianowicie, iż w praktyce

społecznej o wiele więcej niż w technice liczyć się musimy z indywidualnemi cechami wywoływanych działaniem naszym zjawisk.

Lecz dla tego właśnie, że tak jest, polityka społeczna nie może być, — jak to wielu ekonomistów i socjologów utrzymywało nietylko w dobie pierwszych idei ewolucyjnej tryumfów, lecz i dziś, — prostym stosowaniem działań naszych do przewidzianych jakoby konieczności rozwojowych, ani tym bardziej, jak to ekonomja liberalna głosiła — posłuszeństwem względem nieodmiennych praw życia społecznego.

Przecież nauki techniczne nie głoszą biernego posłuszeństwa względem praw przyrody, lecz przeciwnie uczą opanowywania jej, skierowania procesów przyrodniczych do celów, które sami sobie, z własnego naszego ducha, stawiamy, ograniczając je tylko względami na to, co wedle wiadomości naszych jest możliwe i niemożliwe.

To samo stosuje się również i do zjawisk społecznych. Samo tylko poznanie i wytłumaczenie przyczynowe istniejącego stanu rzeczy nie może wskazywać nam celu dla dążeń i działań naszych społecznych. Cel ten możemy czerpać tylko z moralnego swego przeświadczenia.

Między naukami społecznemi a przyrodniczo-technicznemi zachodzi tylko ta różnica, że gdy w zakresie ostatnich cele usiłowań swoich czerpiemy z nas samych, w przeciwstawieniu do przyrody, którą dla tych celów opanować się staramy, to w sferze życia społecznego zarówno zjawiska, na których kształtowanie się chcemy oddziałać, jak i cele, odpowiednio do których zamierzamy kształtować te zjawiska, są w naszej jeno świadomości. I nadto cele te społeczno-politycznych naszych działań zarówno jak i same zjawiska, na które oddziaływujemy, są aktami nie naszej świadomości indywidualnej, lecz społecznej. Każda bowiem jednostka obok świadomości swej odrębności od innych jednostek i od otaczającego ją świata zewnętrznego, a więc świadomości swego „ja", posiada również świadomość swej przynależności do pewnego zbiorowiska, które oznacza słowem „my", a którego częścią składową się czuje. I sądy o tym, co być winno w życiu społecznym, cele, które społecznej pracy wytykamy, wszystko to określamy nie według osobistych, indywidualnych potrzeb naszych, lecz według odczuwanych przez nas potrzeb społecznych, którym wartość przedmiotową z góry przypisujemy. Zatym, w życiu i naukach spo-

łecznych o wiele ściślej związane są cele, które stawiamy swej działalności, z poznaniem istniejącego stanu rzeczy, niż w naukach przyrodniczo-technicznych; ale jeśli sądy nasze o tym, co być winno, do czego dążyć należy, wynikają tu wprost z analizy tego, co jest, to w każdym razie nie z analizy wyłącznie poznawczej, tłumaczącej przyczynowy związek badanych zjawisk, lecz z analizy krytycznej, oceniającej, o ile są one dobre i pożądane.

Z dotychczas powiedzianego płyną następujące wnioski:

1) Cele polityki społecznej muszą posiadać wartość przedmiotową, obowiązującą dla wszystkich. Istnienie jednoczesne w społeczeństwie czy w nauce celów rozbieżnych, sprzecznych z sobą i przyznawanych przez pojedyńcze jeno grupy obywateli kraju, jest faktem ujemnym, dowodzącym złego stanu czy to nauki, czy powszechnej świadomości społecznej;

2) Celów polityki społecznej nauka społeczna nie może czerpać z żadnej innej gałęzi wiedzy i w przeciwstawieniu do nauk przyrodniczo-technicznych musi je sama formułować, cele te bowiem nie mogą wypływać z indywidualnej, jeno ze społecznej naszej świadomości;

3) Nie mogąc jednak wynikać z samego poznania i przyczynowego wytłumaczenia zjawisk społecznych (gdyż stwierdzenie jakiegoś istniejącego faktu, lub jakiejś ujawniającej się dążności rozwojowej bynajmniej jeszcze nie mówi nam o tym, co być powinno), cele polityki społecznej muszą być rezultatem oceny etycznej wartości form naszego współżycia społecznego.

4) Ponieważ, przy dzisiejszym stanie wiedzy wszelkie uogólnienia co do istoty społeczeństwa nie tylko są z konieczności nader niepewnemi hipotezami, lecz jeszcze, co ważniejsza, w działaniach społecznych chodzi zawsze nie o przeciętne, typowe jeno rezultaty odnośnych zabiegów naszych, ale i o indywidualne ich cechy i warunki, zatym cele polityki społecznej nie mogą żadną miarą być bezpośredniemi konsekwencjami logicznemi oceny etycznej całokształtu, względnie istoty danego ustroju społecznego, lub takiej samej oceny porównawczej wszelkich możliwych do pomyślenia form współżycia społecznego, oraz wynikającej stąd formuły idealnego ustroju społecznego;

5) w takim jednak razie cele polityki społecznej mogą wynikać jedynie z indukcyjnego przeglądu moralnej wartości urządzeń i stosunków spółczesnego życia społecznego, który od-

słoni przed nami wszelkie tego życia niedomagania i tym samym sformułuje postulaty potrzebnych reform.

Ale jeśli mamy dokonać takiej indukcyjnej oceny spółczesnego ustroju społecznego, to choć będziemy każdą poszczególną instytucję, każdą poszczególną formę istniejących stosunków społecznych poszczególnie badali ze względu na jej szczegółową celowość i odpowiedniość w stosunku do interesów odnośnej grupy ludności, względnie do jej moralnego przeświadczenia, musimy przecież niezbędnie posiadać jakieś naczelne dla wszystkich tych ocen kryterjum moralne.

Nie mówiąc już bowiem o tym, że umysł nasz nigdy się nie wyrzecze dążenia do monizmu zarówno w sferze myślenia przyczynowego jak celowego, należy przecież pamiętać i o tym, że wszelkie poszczególne instytucje i stosunki społeczne, pomimo iż zawsze mają własne odrębne a szczegółowe cele, ze względu na które powstają, są jeno poszczególnemi środkami osiągnięcia naczelnego celu wszelkiego spółżycia społecznego, i fakt, że jakaś instytucja poszczególna spełnia odpowiednio swe najbliższe zadania, nic jeszcze o tym nie mówi, czy jest wogóle korzystną. Kartele lub giełda mogą być doskonale zorganizowane i znakomicie osiągać zamierzone cele, a mimo to możemy je uznać za szkodliwe dla całokształtu życia społecznego. I konieczność naczelnego jednego kryterjum tym silniej występuje na jaw, gdy imamy się oceny zjawisk społecznych, dotyczących jednocześnie paru różnych grup społecznych i mających dla każdej z nich odrębne znaczenie celowe. Weźmy np. płace zarobkowe. Dla przedsiębiorców są środkiem pozyskania, względnie wynagrodzenia sił roboczych, potrzebnych do prowadzenia przedsiębiorstwa; dla robotników zaś środkiem utrzymania swego życia, względnie celowego dla nich i ich rodzin zużytkowania ich umiejętności produkcyjnych i sił do pracy.

Naczelne takie kryterjum naszych ocen społecznych może być oczywiście zawarte jedynie w naszym przeświadczeniu moralnym. Ale przytym, jak to już powiedzieliśmy, nie może być ono postulatem indywidualnej, jeno społecznej naszej etyki. Bo społeczeństwo samo dla siebie jest celem. Jednostka ma uczucia społeczne, pojęcie „wspólności“ po to, żeby społeczeństwo mogło istnieć, a nie wskutek tego, iżby w jakikolwiek sposób społeczeństwo wypływało z potrzeb, czy organizacji myśli jednostek. Wręcz przeciwnie, od jednostki do społeczeństwa niema

żadnego logicznego przejścia. Chociażbym się tysiąckrotnie przekonał, że A, B i C i t. d. mają „takie same" potrzeby i dążenia, jak i ja, to zawsze będę mógł stąd wyprowadzić tylko wniosek, że A, B i C i t. d. mają „takie same" potrzeby i dążenia, co ja, lecz nigdy, że te potrzeby i dążenia są nam wspólne, t. j. że dane jednostki mają „te same" co ja dążenia i potrzeby. Jeżeli więc (co czynimy na każdym kroku) stwierdziwszy, iż szereg osób ma takie same jak my dążenia, stwierdzamy tym samym wspólność tych dążeń, to tylko dlatego to jest możliwe, że mamy z góry dane poczucie przynależności naszej do społeczeństwa, że więc z góry społeczeństwo istnieje w naszej świadomości równorzędnie obok naszej osobistości, i istnieje w niej po to właśnie, żeby mogło istnieć społeczeństwo.

Ale w takim razie ów postulat etyczny, dostarczający naczelnego kryterjum dla naszych ocen społecznych, może być tylko przełożonym na język ideałów moralnych pojęciem samego społeczeństwa. Oczywista więc, iż takim kryterjum nie mogą być interesy lub potrzeby poszczególnej jakiejś grupy społecznej. Zatym musimy z ocen swoich społecznych usunąć z góry, jako rzecz nieuprawnioną, wszelki klasowy czy stanowy punkt widzenia. Również nie może nim być tak zwane prawo człowieka, t. j. potrzeby i interesa jednostki, rozpatrywanej w oderwaniu od społeczeństwa. Nie mniej z góry potępić musimy ocenianie zjawisk społecznych wedle kryterjum poszczególnych jakichś celów społecznego naszego współżycia, n. p. wzrostu sumy bogactw narodu, postępu wiedzy i nauki, ładu i porządku i t. d. A że kryterjum powyższym nie może być zgodność zjawisk ocenianych ze stwierdzanemi jakoby „prawami ewolucji" czy przewidywanemi jakoby „ustrojami przyszłości", o tym już poprzednio powiedzieliśmy.

Naczelnym kryterjum ocen społecznych może być jedynie postulat „dobra powszechnego", — termin który jest jedynie synonimem „wspólnego", t. j. „społecznego" dobra.

Zapewne dobro powszechne może być najrozmaiciej tłumaczone, zwłaszcza, że każda klasa, każdy stan, każda grupa zawodowa czy towarzyska czuje i na długie czasy czuć będzie skłonność do widzenia dobra powszechnego przez pryzmat swych interesów najbliższych.

Ale postulat ten da się nieco bliżej przecież określić. Gdy społeczeństwo, jako takie, nie posiada odrębnej świadomości, która zawsze jest własnością tylko jednostek,

zatym dobro powszechne nie może być czym innym, jeno równomiernym dobrem wszystkich jednostek w skład społeczeństwa wchodzących. Zatym instytucje i stosunki społeczne winny mieć na celu zapewnienie członkom społeczeństwa udziału równomiernego w korzyściach ich spółżycia społecznego, względnie ich spółdziałania. A wobec tego, że udział w powyższych korzyściach jest i musi być tylko konsekwencją spółdziałania, przeto wszelkie ograniczanie czy rozluźnianie tego ostatniego musi tym samym nadwyrężać równomierność udziału jednostek w dobrach społecznych. Zważywszy to, dochodzimy do wniosku, iż postulat dobra powszechnego da się bliżej określić przez dwa następujące nakazy moralności społecznej:

1) Sprawiedliwości społecznej, by każdy miał odpowiedni do stopnia, w jakim przyczynia się do zaspokojenia potrzeb społeczeństwa, udział w jego dobrach.

2) Uspołecznienia pracy, by wszędzie, gdziekolwiek tylko to jest możliwe, spółdziałaniem zastępować spółzawodnictwo.

Oczywista, iż ustalenie tego naczelnego probierza ocen społecznych nie wyklucza, przy konkretnym stosowaniu, znacznych nawet kontrowersji. Lecz w każdym razie ogranicza je o tyle, iż porozumienie się i rozprawy rzeczowe w zakresie polityki społecznej stają się możliwemi, a tym samym staje się możliwą i rzetelna nauka polityki społecznej.

Stanisław Grabski.

SPOWIEDŹ.

Po 25 latach koledzy uniwersyteccy zgromadzili się na ucztę jubileuszową. Zebrało się tylko czterech. Po powitaniach, uściskach, nastała zwykła chwila melancholji. Łagodny wieczór letni usposabiał rzewnie. Rozwiązały się usta, otworzyły serca. Przyszła kolej na spowiedź życiową.

Pierwszy wynurzył się Krezus, człowiek, co szedł przebojem przez życie i zdobył miljony.

— Oto są grzechy mojego żywota — spowiadał się przed kolegami. — Znalazłem się w świecie, jak wy, z gołemi rękami, może nawet z próżniejszemi, niż wy. Moim ideałem było pomścić się na tym świecie, ukorzyć go. Z domu rodzicielskiego wyniosłem upokorzenie nędzy. Chciałem zerwać to jarzmo. Byłem czujny, jak celny myśliwy; stałem na straży uśmiechów losu. Pamiętałem o rozumnej maksymie, że kto bawi tylko w błogich marzeń krainie i zapomina o dobrach padołu ziemskiego, ten znajduje świat już podzielonym; z łupów nic mu się nie dostanie. Szybkie wzbicie się na wysoki szczebel powodzenia wtedy się tylko zdarza, gdy los szczęśliwy zbiega się ze zręcznym połowem darów fortuny. Tą mądrością, czy — jak chcecie — podłością życiową przejąłem się do głębi. Z po-

czątku ciężko walczyłem. Dostałem mizerną posadę w zakładach metalurgicznych; oszczędnością, prawie głodem, pracą pozabiurową uciułałem mały fundusik. Węsząc wszędzie, odgadłem, że dyrekcja w celach spekulacyjnych wydaje nizkie dywidendy, aby skupić tanio słabych akcjonarjuszów. Kilkanaście akcji nabyłem i po pewnym czasie zarobiłem na nich kilka tysięcy. Ze zmiennym szczęściem zabrałem się do innych spekulacji; większość dała wynik dobry. Handlowałem, fabrykowałem, spekulowałem. Próbowano mnie złupić; zwycięzko odpierałem zamachy i łupiłem sam. Czy sądzicie, że nie budziły się we mnie skrupuły? Ale głos rozumu kupieckiego głuszył odruchy sumienia; głos rozumu wołał: „To są prawa walki handlowej". Gdy wyjdziesz z tej walki pokonanym, pozbawią cię jako bankruta czci kupieckiej; zastępy pracowników twoich pójdą z torbami. Oto będzie tryumf moralny. Jestem, czym są wszyscy kapitaliści. Mam za sobą długą drogę bezwzględności brutalnej, a przed sobą drogę możliwych cnót. Czy okupiłem sobie szczęście? Albo ja wiem! Na duszy nie jest mi wesoło. Nie miałem czasu używać życia, nie założyłem rodziny, nie zdobyłem przyjaciół. Zyskałem tylko dworaków!

Z kolei przemówił adwokat. Przesunął ręką po łysej czaszce, pogładził siwiejącą brodę i głosem trochę drżącym rozpoczął:

— Moje dzieje były inne. Słuchałem głosu obowiązku, nie piąłem się w górę. Rodzina, dom, mierny dostatek i sumienie spokojne, to były ideały moje. Ale i ku tym celom kroczyłem jak po grudzie. Po długich dopiero zabiegach otrzymałem rękę kobiety, do której sercem przylgnąłem; po latach niepowodzeń doszedłem do praktyki, która mi nakoniec niezły byt zapewniła. Dzieciom daję wykształcenie, dom urządziłem sobie schludnie i wygodnie.

— Więc jesteś szczęśliwy? — zapytali koledzy.

— Szczęśliwy? Tak mi się długo zdawało. Szczęśliwym być powinienem, bo nie pragnąłem niczego więcej. Ale w ciągu ostatnich lat paru obudziły się w duszy mej wątpliwości. Ziściły się marzenia i ideały, nawet zrazu miałem zadowolenie, lecz zadowolenie człowieka, który nasycił tylko głód. Gdy znużony kładę się na spoczynek i zasnąć nie mogę, majaczy mi się w mózgu, że zmarnowałem życie. — Com robił? Zapewniam rodzinie chleb i podaję skargi wekslowe do sądu! Wy-

łysiałem, osiwiałem, czuję bóle reumatyczne, i już nie zdziałam nic więcej. Może to i życie zmarnowane...

Z kolei począł wynurzać się trzeci. Był to marzyciel modernistyczny, którego nazywano Zarathustrą. Rozczochrał palcami brodę dekadencką i wyrzucał z ust szereg frazesów bezładnych:

— Spełnienia ideału chcecie? O marni żebracy szczęścia i pychy! O mizerni zjadacze chleba! Czy wiecie, że najbardziej upaja kielich pusty, że rozkosz jest tylko w chwili, gdy wargi zbliżają się do brzegu kielicha. Płonąć, gorzeć żądzą — to życie — walczyć, cierpieć, rozdzierać własne rany, szarpać sobie nerwy, to szczyt człowieczeństwa. Mieć świadomość swego „ja" dręczonego, wznosić indywidualizm swój na wyżyny czucia, doznawać dreszczów grozy — to wielkość jednostki. Reformatorzy ludzkości, co urągają filistrom, są wcieleniem pospolitości, robactwa. Wzniosłe życie duszy chcą zamienić na pełzanie gadu. Ciekawiście spowiedzi mojej. Zawrę ją w paru słowach. Czułem w sobie siłę wielką, ale naśladując trzodę pospolitych wielkości, szukałem p a r a f j a ń s k i e j reputacji, w a s z e j sławy. Drapałem się na słup wielkanocny w a s z y c h szczytów. Spychano mnie w dół. Przejrzałem, kopnąłem wodzów waszej gromady, zamknąłem się w sobie. Żyję teraz w s w o i m, jak ocean bezbrzeżnym, świecie i zdobyłem własne królestwo — nieograniczone panowanie s w o j e j jaźni. Gwiżdżę na waszą ludzkość, mam cześć dla swego człowieczeństwa. Wnoszę toast na pohybel trzody ludzkiej, a na cześć jednostki!

Ostatni głos zabrał ekonomista, stronnik reformy gospodarczej:

— Nie znudzę was swoją spowiedzią. Będzie krótka i zwięzła. Do usprawiedliwienia moich celów życiowych dopomogli mi poprzednicy. Miljoner sam się potępił; pokazał nam marność bogactw i podłość ich rodowodu. Filister dał samokrytykę pospolitego poczucia obowiązku. Mędrzec sławił ułudę nerwów — wątpliwą rozkosz zbliżania warg do brzegu puharu. Otóż ja przekładam nad wasze s p e ł n i o n e ideały mój cel przyszłości, ideał wielkiej gromady robaków, podniesionych do ludzi, czy też, jak chce Zarathustra, nadludzi, zniżonych do poziomu sytych szeregowców pracy. Ja dążę do ukorzenia miljonerów, do ożywienia bezkrwistych serc filistrów, do pod-

porządkowania bałwochwalców pychy człowieczeństwa obowiązkom ludzkości. Powiecie, że gonię za marą. Ale ja idę wciąż naprzód z młodzieńczym zawsze zapałem poświęcenia; mnie ubiegłe lat 25 nie zaprowadziły do mety. Moja meta jeszcze może odległa na wieki, lecz cel mój nie zawiedzie nigdy.

Zarathustra dokończył:

— Bo nie zawodzi tylko to, czego dosięgnąć nie można.

St. A. Kempner.

Najnowsze kierunki w historjozofji — a wskazania historjografji naukowej.

(Uwagi ogólne).

Wiele było, jest i będzie określeń historji i jej zadań, ale żadne z nich — najgłębsze nawet — nie osłabi w niczym powagi prostych słów Rankego: wie es eigentlich gewesen...

Postulaty owego „jak było?“ mogą i muszą oczywiście rozwijać się w nieskończoność, ale — „jak było?“ pozostanie mimo to sobą i wszystko, co „było“, — nawet okruchy i źdźbła najniklejsze, winny w historji posiadać zawsze przewagę stanowczą nad zjawiskami, rzekomo najwspanialszemi nawet, jakich, jako istotnie „byłych“, w sposób krytyczny wykazać niepodobna. Naukowe kryterjum dziejopisarskie jest tedy proste i jasne, a tylko to, co mu odpowiada, za nabytek rzetelny właściwej gałęzi wiedzy uważane być może. — Pomijając dociekania nad istotą krytyki i „prawdą“, jaką ona osiągnąć może, powiemy krótko, że o ścisłości możliwej każdego kryterjum naukowego i o wartości otrzymywanych przez nie rezultatów, stanowić może tylko i jedynie poczucie gromadne specjalistów — umysłów najgłębiej z rzeczą obeznanych... Sprawdzianowi temu daleko do ideału, — wiadomo jednak, że lepiej jest wrogiem dobrego.

Wobec trudności olbrzymich, jakie towarzyszyć zwykły każdemu zadaniu bardziej wielostronnego określenia charakteru danego zjawiska dziejowego w sposób z nauką,*) t. j. z badaniem metodycznym zgodny, każdy niemal specjalista odczuwa lęk zasadniczy przed uogólnianiem szerokim spostrzeżeń swoich — jakby w obawie popełnienia niewątpliwego błędu.

Zasada takiego poczucia znajduje w stanie rozwijającej się wciąż, a wciąż jeszcze ułomnej nauki, swoje pełne usprawiedliwienie... Jakżeż tedy przedstawić się mogą na tle takim wszelkie lotne... zofje, do jakich w pierwszym rzędzie należy najlotniejsza ze wszystkich, bodaj, — historjozofja, będąca — jakby specjalnością uogólnienia spostrzeżeń (przeważnie „imponujących", a najczęściej całkiem podmiotowych) z zakresu historji?...

Możnaby wręcz zapytać, czy ma ona dzisiaj jakąkolwiek rację bytu naukowego, gdyby nie zawsze jednaka, a niewątpliwa jej zasługa uboczna, polegająca na rozszerzaniu widnokręgów dziejopisarskich. — Sama (w oderwaniu od historji) nauką nie jest, podobnie, jak i lotna metafizyka... Obie jednak rozwijać (lub zaciemniać) mogą umysły i rozszerzać (lub zwężać) widnokręgi poznania; obie służyć mogą zaspakajaniu potrzeb intelektualnych chwili; obie posiadać zwykły wartość djalektyczną, — obie też — dalekie najczęściej w swych wynikach od species aeternitatis... na „ryzyko" własne brać trzeba.

Jeżeli w obliczu majestatu nauki metafizykowi raczej stosować by się do filozofa przystało, niż odwrotnie, to tenże sam wzgląd obowiązywać winien i historjozofa-specjalistę względem historyka w chwili, kiedy pierwszy badania specjalne drugiego nie na jego, ale na swój sposób „ogólniejszy" oświetlić pragnie.

Oświetlić... Tak! Zdawałoby się, że tu tylko o oświetlenie faktów idzie. Zauważyć jednak trzeba, że każdy stały, a stąd i jednostronny system oświetlania zjawisk wynaturza je aż nazbyt często i pozbawia (w wykładzie) cech, niekiedy najistotniejszych, przez badanie ściślejsze stwierdzonych.

---

*) Na pytanie zasadnicze, czy historja jest nauką, odpowiedzieć musimy twierdząco, gdyż posiada ona naukową metodę badania, której ścisłość niewątpliwą potwierdzają „eksperymenty," jak dotąd, — przeważnie z zakresu t. zw. dyplomatyki (Urkundenlehre).

Zapomnieć także trudno, że prawdę jeden krok tylko dzieli od doktryny, a intuicję — od przywidzenia... Zdaje się też, że — jeśli o zasadę chodzi, to historjozofem dla historyka powinien być przedewszystkim on sam, bacząc, aby wszelkie historjozoficzne teorje cudze traktował w sposób jaknajoględniejszy.

* *
*

Posiadamy dziś dwa najnowsze, a i najciekawsze kierunki historjozoficzne: t. zw. kierunek psychologiczny — Lamprechta i socjologiczny — Lipperta, — oba przez samych-że twórców żywcem na gruncie dziejopisarskim uprawiane i dlatego właśnie — aczkolwiek przez naukę przyjęte bardzo podejrzliwie — na uwagę baczniejszą zasługujące.

Polemika rzeczowa z obu temi autorami wrzała, a poniekąd wre i dzisiaj jeszcze na łamach organów specjalnych: nam tutaj jedynie o ilustrację punktów zasadniczych chodzi.*)

Otóż — co do Lamprechta, to zgodzić się z nim niewątpliwie trzeba, że działalność najpotężniejszej nawet jednostki zależną jest od podstaw tej kultury, wśród jakiej owa jednostka żyje i działa. Zgodzić się również trzeba, że środowisku temu i jego wpływom podlegają bardziej jeszcze jednostki przeciętne. Nie można mu również zaprzeczyć, że badania i studja nad rozwojem wewnętrznym gromad ludzkich: szczepów, plemion, państw i narodów, skierowywane ku ich warunkom społecznym i kulturalnym, stanowią dźwignię najpoważniejszą w dobywaniu prawdy dziejowej. Zgodzić się trzeba na to wszystko bez żadnych zastrzeżeń, ale... z dodatkiem, że wyliczone poglądy i zapatrywania stanowią oddawna, bo od lat trzydziestu z górą — niesformułowany może, lecz istniejący, a kardynalny warunek ogólnej metody dziejopisarskiej i zwykłej hermeneutyki historycznej, obowiązujących pracę naukową od dwuch, conajmniej, dziesięcioleci przed wystąpieniem Lamprechta.

---

*) Z obrazem teorji Lamprechta czytelnik zapoznać się może i w literaturze naszej (Ateneum r. 1901 t. I.) z artykułu d-ra Wacława Sobieskiego. Tenże autor usiłował je przeszczepić na nasz grunt dziejopisarski („Nienawiść wyznaniowa tłumów za Zyg. III"). Teorje Lipperta stosował u nas dr. Kazimierz Gorzycki w „Zarysie społecznej historji państwa polskiego" (Warsz. 1901.)

Co zaś do jego „Kolektywizmu", czy — jak go zmienił ostatnio — „uniwersalizmu", co do „heterogienji skutków", co do „djapazonów epoki" i t. p. pojęć, rzecz ma się inaczej, gdyż stanowią one istotnie oryginalny, ale zarazem — więcej niż problematyczny pod względem naukowym, nabytek Lamprechta.

Nie może być inaczej tam, gdzie — wobec dzisiejszego stanu wiedzy — chodzi o pochwycenie istoty tego procesu psychicznego, jaki towarzyszy oddziaływaniu jednostek na masy i odwrotnie, w toku historycznego rozwoju grupy.

Jest to szczytna zasada postulatów Lamprechta, dążącego do wyjaśnienia zagadnień zbyt zawiłych, by je wiedza dzisiejsza, choćby i w przybliżeniu, rozwikłać mogła. Zagadnienia te bowiem, należące jeszcze do psychologji, winny przedewszystkim, nim się postulatami dziejopisarstwa staną, wpłynąć na ustalenie metody samej psychologji; winny zapobiec pierwej zjawiskom podobnym, jak to, że najpoważniejsi przedstawiciele właściwej gałęzi wiedzy (Wundt) wahają się sami w studjach nad psychologją (jednostki!) pomiędzy krańcowemi biegunami empiryzmu fizjologicznego i — metafizyki; winny wyjaśnić cały szereg najpoważniejszych zagadek bytu jednostkowego, dostępnego dla autopsji, a jednak wciąż jeszcze ciemnego, zanim obejmą w swych ramach zjawiska o wiele bardziej złożone — dalekie widnokręgi psychologji tłumów i do tego — tłumów minionych!

Nie tu miejsce na polemikę; stwierdzamy tylko ogólnie, że — hołdując zasadzie złotego środka w kulturalno-politycznym rozważaniu dziejów, a nie przesądzając bynajmniej wagi inicjatywy, ani rezultatów dalszych poszukiwań Lamprechta i jego uczniów, przyznać można dotychczasowym jego tezom oryginalnym wartość raczej djalektyczną, niż metodologiczną, z której by dziejopisarstwo obecne osiągnąć już mogło korzyść rzetelną.

Co do socjologicznej par excellence (kolektywistycznej) interpretacji dziejów, wszczętej przez Lipperta („Social-Geschichte Böhmens"), to każdy chyba historyk zgodzić się musi na bardzo oględne stosowanie jego zdobyczy, a mówiąc ściślej — zdobyczy socjologicznych wogóle — względem niektórych, zbadanych gruntowniej, zjawisk dziejowych.

Rozwój normalny, t. j. stopniowy ducha historycznych badań usprawiedliwia aż nadto ów eklektyzm tymczasowy, wobec zadań innych, ściślejszych, bo wskazanych (w historji) przez

potrzebę zasadniczą metodycznego wykrywania faktów i zjawisk minionych w ramach jaknajistotniejszego, właściwego im niegdyś status vitae.

Potrzeba ta powstrzymuje dotąd i powstrzymywać musi dziejopisarstwo od powziętych z góry, a nieoględnych wypraw na morza „nowostek", aby uchronić je od znalezienia się w krainie fantazji, z której wszystkie gałęzie nauki wycofują się tak usilnie.

Jakżeż bowiem zgodzić się można dzisiaj na zupełny, niemal całkiem przez historyków-socjologów wyzwolony, kierunek antyheroistyczny, będący naturalnym zresztą wykładnikiem przedwczesnej dla dzisiejszego dziejopisarstwa tezy, która głosi, że ewolucje zjawisk społecznych są niemal jedynie wynikami funkcji przyrodzonych, powodowanych przez siły, zawarte w masach, a kierowanych przez stałe prawa dziejowe?!

Ponieważ siły te są dotąd nieokreślone, a prawa — nieznane, podobnie, jak i sam mechanizm oddziaływania jednostek na tłumy i odwrotnie; ponieważ większość faktów dziejowych ukazuje się wciąż jeszcze oku historyka w świetle niedopuszczającym lekceważenia roli jednostek, przeto pełnia kierunku antyheroistycznego w dziejopisarstwie obecnym zakrawać musi na szkodliwą ideologję. Z ideologji tej wypływa bowiem w naturalnym biegu rzeczy lekceważenie t. zw. historji politycznej, jako uwidoczniającej rolę dziejową jednostek w sposób najwybitniejszy.

Ponieważ historja polityczna stanowi wraz z właściwemi dziejami wewnętrznemi jedną nierozdzielną całość; ponieważ jest jej koroną, dającą się porównać z funkcją mózgu gromady, która pewne tylko podstawy swego ustroju socjalnego wyniosła z czasów, kiedy była niższym kręgowcem społecznym, przeto niechęć historyków-socjologów do historji politycznej zakrawa na oportunizm, połączony z krótkowidzeniem.

To jedna strona pomienionej ideologji; drugą jest przecenianie, lub lekceważenie zjawisk, nietylko „politycznych", ale i „wewnętrznych" — społecznych, o ile te dają się, lub nie dają wyjaśnić rozporządzalnemi zdobyczami socjologji, — albo pozwalają, lub nie pozwalają naginać się do formułek, powstałych, jako uogólnienie (niekiedy przedwczesne) na podstawie (szczupłych jeszcze) eksperymentów socjologicznych.

Względy pomienione sprawiają, że historyk-socjolog, wtłaczając fakty dziejowe w ramy postulatów socjologicznych, kla-

syfikuje je nieraz nie na podstawie ich wewnętrznego (rozwojowego) związku i wypływających zeń wartości, lecz na zasadzie cech zewnętrznych, odpowiadających mniej, lub więcej, formułom aprjorystycznym.

Powstaje stąd eklektyzm o tyle mniej uzasadniony od wskazanego wyżej (historycznego), że tamten jest tylko cząstkowym i — ze względu na rozwój stopniowy nauki historycznej — normalnym dodatkiem do właściwych badań, — ów zaś zjawiskiem odwrotnym.

I jeszcze jedno. Kierunek, o jakim mowa, zdaje się spuszczać zbyt często z oka różnicę, zachodzącą pomiędzy endogienezą ludów, zwłaszcza egzotycznych i — egzogienezą narodów cywilizowanych, stosując nieraz (z konieczności!) z całą bezwzględnością wykryte przez socjologję normy społeczne pierwszych — do drugich. Błąd ten tłumaczy nam doktrynę, czy poetycki poryw, z jakim dzisiejsza historja socjologiczna lubuje się jednostronnie w pierwotnych właściwościach endogienetycznych gromady, przypisując im i na późniejszych, cywilizacyjnych szczeblach rozwoju kulturalnego nie — wielką doniosłość zasadniczą, boć tej zaprzeczyć niepodobna, ale — jakby wyłączność, pozostawiającą w cieniu zupełnym całość procesu rozwojowego zjawisk i prądów dziejowych, poczynanych wprawdzie przez (nieznane) czynniki przyrodzone, ale rodzonych, bądź co bądź, przez jednostki wybitne: namacalne kwiaty ludzkości.

Kierunkowi socjologicznemu przyznać trzeba wielką doniosłość i potrzebę pilnego uwzględniania w historji jego zdobyczy dotychczasowych — w miarę istotnej możności. To pewna. Możność ta jest jednak, wobec postulatów ściślejszych dziejopisarstwa, daleką jeszcze i bardzo, od tych granic szerokich, jakie jej Lippert zakreślił.

J. K. Kochanowski.

Rozwój społeczeństwa i jego postęp etyczny.

Każda epoka dziejowa miewa sobie właściwe pojęcie, dominujące nad spółczesnemi systematami myśli i dające podstawy dla etyki indywidualnej i społecznej. Za takie naczelne w naszej epoce pojęcie przyszli historycy kultury będą musieli uznać pojęcie rozwoju.

W rzeczy samej, pojęcie to przedostało się do wszystkich nauk, do wszystkich zadań społecznych i indywidualnych. Szukamy w nim probierza postępków etycznych, na jego podstawie przyjmujemy lub odrzucamy ideały społeczne, poglądy pedagogiczne lub cele kultury. Ono jest miernikiem wartości uczuć ludzkich i form bytu społecznego. Ono wreszcie skupia myśli i uczucia ludzkie i skierowuje je ku celom leżącym poza obrębem krótkiego życia jednostek, nadając im przez to wartość ogólno-ludzką.

Z pojęciem rozwoju związało się wiele uczuć i najdroższych ludzkości wierzeń, tak iż trzeba sporej odwagi, żeby spojrzeć na nie krytycznie i odrzucić mnóstwo towarzyszących mu przesądów.

Jednym z takich złudzeń, związanych z pojęciem rozwoju, jest wiara w postęp etyczny. Rzowój społeczny często, u nas zaś niemal pospolicie, utożsamiany bywa z postępem. Od rozwijającego się społeczeństwa oczekujemy koniecznie i postępu

etycznego. Wierzymy, że rozwojowi musi towarzyszyć doskonalenie się etyczne i dziwimy się, ilekroć rzeczywistość nie potwierdza tych naszych oczekiwań. Naturalnie własną etykę poczytujemy za powszechnie obowiązującą. Za doskonalenie się społeczne zaś uważamy przybliżanie się do naszego własnego ideału etycznego.

Oczekiwanie takie oczywiście bynajmniej nie jest usprawiedliwione. Nasze osobiste pojęcia etyczne nie są jedynemi. Społeczeństwa ludzkie, zależnie od stanu swojej kultury i warunków bytu swego, wytwarzają rozmaite etyki. Przy tym teorje etyczne, powstające częstokroć jako reakcje na rzeczywisty stan rzeczy, przez to samo bywają nieraz czymś zupełnie odmiennym od praktykowanej moralności, od norm stosowanych w danym społeczeństwie. Wreszcie społeczeństwo zazwyczaj nie bywa tak jednolite, żeby mogło wytworzyć sobie zbiorowo jedną etykę ogólną. Najczęściej miewamy odrębną etykę klas, etykę grup społecznych i t. d.

Wobec tego wszystkiego jedyną rzeczą, którą możemy zbadać, jest pytanie, czy to, co pewne społeczeństwo uważa za etykę swoją, rozwija się lub upada wraz z jego rozwojem? Przytym społeczeństwem nazywamy tu nie cały naród lub nawet jedną klasę jego, lecz grupę społeczną wogóle, o ile ta wyznaje początkowo jakieś wspólne ideały etyczne.

Przedewszystkim, co to jest rozwój? Jednym z najbardziej rozpowszechnionych, a zarazem najściślejszych określeń pojęcia rozwoju jest to, które dał Herbert Spencer. Rozwój, mówi Spencer, jest tam, gdzie odbywa się skupianie się sił, scalanie się danego ustroju. Tam zaś, gdzie zachodzi rozpraszanie się sił, mamy rozkład, uwstecznianie się.

Jest to względnie proste i jasne określenie. Komplikuje się ono nieco przez to, że scalanie ustroju wywołuje różnicowanie się jego części. Tak więc, rozwijający się ustrój znamionują dwojakie cechy: z jednej strony jest to łączenie się w całość pewnego systemu sił, z drugiej — siły te, ażeby złączyć się w tę całość, muszą różnicować się pomiędzy sobą. Według Spencerowskiego pojęcia rozwoju każdy ustrój w ciągu istnienia swego przechodzi dwie fazy: jedną z nich jest skupianie się sił czy też energji temu ustrojowi właściwej, drugą — rozpraszanie się tejże. Cała sprawa jest tu pojęta zupełnie mechanicznie, jakoż mechanistyczny pogląd na świat istotnie był punktem wyjścia Spencera, gdy formułował swoje określenie

rozwoju. Rozwój wyraża się za pomocą pewnego grupowania się cząsteczek materji pod określonym działaniem sił. Niema tu miejsca na ocenę sprawy rozwoju z jakiegobądź innego stanowiska, prócz mechanistycznego.

Scalanie się i różnicowanie jakiegoś ustroju może być lub nie być przedmiotem naszych pożądań, rozpraszanie się lub skupianie się energji może być etycznie oceniane dodatnio lub ujemnie, — wszystko to bynajmniej nie wpływa na kwalifikację danej sprawy jako rozwojowej lub rozkładowej, ewolucyjnej lub dysolucyjnej. Jednak, obok zmian mechanicznych w jakimś ustroju, zachodzą także zmiany niemechaniczne. Według metody stosowanej przez mechanistyczną teorję bytu, zmiany te dają się przedstawić jako ciągłe, przez ich logiczne powiązanie ze zmianami mechanicznemi. Zatym, obok zmian rozwojowych, mechanicznych, możemy także badać przeobrażanie się ustrojów pod względem cech niemechanicznych. Tak, społeczeństwo ludzkie, podlegające rozwojowi, musi objawiać szeregi przeobrażeń uczuciowych, a więc i etycznych. Wobec tego zupełnie uprawnioną jest dążność w poszukiwaniach tego rodzaju do wykrycia prawa doskonalenia się etycznego grup społecznych w zależności od mechanicznych praw rozwoju.

Różnicowanie się lub scalanie społeczeństwa samo przez się nie jest objawem ani dodatnim lub ujemnym, ani nie może uchodzić a priori za dzwignię postępu etycznego. Przedstawia ono poprostu nową fazę bytu, nowe formy istnienia, coś co jest dane rodzajowi ludzkiemu i na co ten musi odpowiedzieć nowemi pojęciami i uczuciami. Jeżeli zaś z pomocą empirji będziemy poszukiwali potwierdzenia swojej wiary, że z rozwojem iść musi w parze postęp etyczny, tedy narażamy się na niebezpieczeństwo, że nie znajdziemy go wcale. Właśnie społeczeństwa silnie rozwijające się bynajmniej nie wykazują równie silnych dążności etycznych, — i to etycznych nie wedle jakiegoś ogólno-ludzkiego ideału etycznego, lecz nawet w takim rodzaju i zakresie, jaki wydaje się tym społeczeństwom właściwy. Nie mniej wszakże, biorąc rzeczy historycznie, rozważając przebieg całego życia społeczeństw, musimy, jak sądzę, dojść do uprawnionego wniosku, że zjawiska moralne właściwe danemu społeczeństwu oraz jego wyrobienie etyczne bywają odmienne w różnych okresach jego istnienia,

że zatym przedstawiają one fazy rozkwitu i zaniku, że, innemi słowy, istnieje jakiś normalny rozwój etyczny.

W jakich warunkach i kiedy rozwój ten idzie krok w krok z rozwojem mechanicznym? Jeżeli rzeczywiście, jak mówi Spencer, są tylko dwie fazy bytu, pojętego mechanicznie, faza rozwoju i faza rozkładu, do której więc z tych obu faz odnieść postęp moralny w grupach społecznych? Napotykamy pod tym względem wielkie trudności. Niepodobna zjawisk moralnych uważać za zależne od sprawy rozkładowej społeczeństwa. Proste doświadczenie przeczy już temu. Niepodobna ich również wiązać wprost ze zjawiskami rozwojowemi, gdyż i to sprzeciwia się danym doświadczenia.

Otóż, zdaniem naszym, z tego samego mechanistycznego stanowiska, które Spencer obrał za punkt wyjścia, musimy przyznać możność więcej niż dwuch faz bytu. Każdy ustrój z mechanistycznego stanowiska rozważany przedstawia system sił, dążących do równowagi. W dążeniu tym musi on przechodzić przez fazy następujące:

1) Faza pierwsza polega przeważnie na wydzielaniu się danego ustroju z jakiegoś innego, większego agregatu, którego poprzednio był częścią składową. Jest to właściwie tworzenie się danego ustroju.

2) Druga faza. Dany ustrój organizuje się wewnętrznie, różnicując się w swych częściach. Faza ta przeważnie przedstawia to, co nazywamy wewnętrznym rozwojem, lub rozwojem wogóle.

3) Trzecia faza. Dany ustrój przeważnie osiąga równowagę wewnętrzną. Formy bytu ustalają się i ruguje się wszystko to, co się okazuje zbytecznym do osiągnięcia danych celów.

4) Faza czwarta. Dany ustrój, ulegając działaniu wpływów zewnętrznych, poczyna się rozluźniać. Następuje rozcalanie się (dezintegracja) i rozpraszanie sił, w końcu przejście danego ustroju w skład innego, większego skupienia, którego dany ustrój staje się częścią (porównaj: Berthold Weiss „Gesetze des Geschehens" w Arch. f. systematische Philos. tom IX).

Otóż w trzeciej fazie bytu jakiegoś ustroju nie może być jeszcze mowy o rozkładzie, zwyrodnieniu jego, skoro właśnie w pełni osiąga swój cel, którym od początku było osiągnięcie równowagi. Za rozwojową wszakże fazy tej również uważać nie można, ponieważ sprawa powstawania nowych form już

ustała lub przynajmniej ogromnie się uszczupiła. Faza ta zwykle nie bywa uwzględniana w teorjach dotyczących rozwoju. Dla naszego jednak zagadnienia ma ona zasadnicze znaczenie.

Psychologja moralności wykazuje, że pojęcia etyczne są wytworami wyłącznie socjalnemi. Chociaż zjawiska etyczne dają się sprowadzić do objawów samozachowawczych bytu jednostki, to jednak te samozachowawcze objawy zależą od społecznej natury człowieka. Osobnik ludzki, żyjący w zupełnej samotności, prawdopodobnie nigdy nie doszedłby do pojęć dobra i zła etycznego. „Dobro" zlewało by się dla niego z osobistą przyjemnością, „zło" zaś z osobistą przykrością. Pierwiastek spółuczuwania ze stanami duszy innych osobników jest nieodzowny dla wytwarzania się pojęć etycznych. To też, wskutek takiego społecznego pochodzenia, wartości etyczne tym bardziej ustalają się w określonym społeczeństwie, im powszechniej bywają wyznawane. Moralność, jako ogół norm postępowania, funkcjonuje silnie wtedy, kiedy cała jakaś grupa społeczna ją wyznaje. Spotykając natomiast zaprzeczenia, krytykę lub stykając się z innemi systemami moralności, dany system musi słabnąć. To samo stosuje się i do zależności moralności od czasu. Im dłużej jakiś ustrój pozostaje pod wpływem danych idei etycznych, tym bardziej się one w nim ustalają, z wyjątkiem tych przypadków, najczęstszych zresztą, gdy etyka teoretyczna i praktyczna idą tak rozbieżnie, że wytwarzają się różnego rodzaju kompromisy.

Ale moralność może być pojęta dwojako: raz, jako bierne stosowanie się do pewnego ideału etycznego, t. j. postępowanie zgodne z pewnemi normami etycznemi; drugi znów raz, jako przekształcanie społeczeństwa odpowiednio do norm nowych, jako t. zw. ideo-motoryczna. Dla obu tych gatunków moralności inna bywa pora maksymalnego rozwoju w bycie społeczeństw. Jednak zauważyć musimy, że moralność drugiego rodzaju zawsze bywa tylko moralnością wyjątków i nigdy nie staje się zjawiskiem masowym.

Stosując powyższe do praw bytu ustrojów społecznych, o których mówiliśmy wyżej, dochodzimy do następujących wniosków.

Epoka rozwoju społecznego tylko w pewnych warunkach przedstawia grunt odpowiedni dla wzrostu moralności biernej w społeczeństwie. Grunt ten stanowi mianowicie niezbyt wielka szybkość różnicowania się społecznego, tworzenia się różnoro-

dnych, a więc i etycznie rozmaicie usposobionych mniejszych grup społecznych. Wobec pierwszej fazy druga faza rozwojowa może pod względem moralności masowej przedstawiać postęp lub nie. Konieczności tego postępu niema. Natomiast moralność „ideo-motoryczna" właśnie w epoce drugiej ma najlepsze warunki do rozwoju.

Trzecia faza bytu społecznego przedstawia najlepsze warunki do rozkwitu moralności pasywnej, masowej. Ustalone formy bytu, zjednoczenie grupy społecznej, wykluczenie funkcji niecelowych — wszystko to sprzyja rozkwitowi moralności. Tylko pod względem „idei motorycznych" etyka musi tu wykazywać uwstecznienie.

Wreszcie w fazie czwartej mamy, wskutek decentralizacji i dezorganizacji, upadek moralności masowej. Natomiast etyka jako „idea motoryczna" może i tu mieć pole do rozwoju, jako funkcja zależna od przetwarzania się danego społeczeństwa na część jakiegoś większego skupienia.

Jak widzimy, postęp etyczny może zachodzić nawet wtedy, kiedy społeczeństwo umiera, i może nie być postępu moralnego nawet wtedy, kiedy się ono rozwija. Jak sądzimy, rzuca to pewne światło na fakt, że często społeczeństwa barbarzyńskie miewają bardziej wyrobioną moralność, niż inne przodujące w rozwoju. Znajdują się one bowiem w trzeciej fazie bytu, w fazie zharmonizowanego wewnętrznie ustroju, gdy tymczasem zbyt gwałtowne różnicowanie się rozwijających się społeczeństw staje na przeszkodzie ich etycznemu postępowi.

Dr. J. Kodisowa.

USTĘP Z DZIEJÓW KOMISJI RZĄDZĄCEJ.

Na kilka tygodni przed pamiętną bitwą pod Iławą (Deutsch-Eylau), zdaniem historyków jedną z najzaciętszych i najkrwawszych bitew napoleońskich, a mianowicie dnia 14 Stycznia 1807 r. ustanowił cesarz francuski dla ziem od Prus zdobytych, naczelną władzę krajową, której nadał miano Komisji Rządzącej (Comission de gouvernement). Jeśli wszakże instytucja na czele kraju postanowiona zdołała otrzymać ściśle określoną nazwę, to same ziemie polskie, jej władzy poddane, miały się pozostać bezimiennemi. Nigdzie w aktach Komisji, w żadnym dokumencie nie spotykamy się z urzędową nazwą Polski. Współcześni zwali departamenty, od Prus oderwane, krajem polskim dotąd przez Wielkiego Napoleona Cesarza Francuzów, Króla Włoskiego oswobodzonym*).

Tekst dekretu, który do życia Komisję powołał, znany jest powszechnie. Ogłosiły go dzienniki współczesne, zamieścił in extenso Skarbek w swoich dziejach**). Z ośmiu artykułów złożony, ów akt prawodawczy w pierwszym z nich stanowi wy-

*) Tak zatytułował mapę oswobodzonej części kraju gieometra Hipolit Rogójski. Mapę tę otrzymała Komisja od Dyrektora Sprawiedliwości na 97 posiedzeniu w d. 21 marca 1807 r.

*) Dzieje Księstwa Warszawskiego. Tom. II, wydanie warszawskie, str. 30

raźnie jaką część Polski pod władzę rządu tymczasowego oddano. Atoli ten właśnie przepis zaraz w samym zarodku uległ przeistoczeniu, posiadającemu znaczenie wielce znamienne. 15 Stycznia 1807 roku odbyło się pierwsze posiedzenie Komisji w pałacu Stanisława Potockiego. Rozpoczęto je od odczytania i zaprotokółowania dekretu, a artykuł I-szy głosił w tej pierwszej redakcji tak: „Jusqu'a ce que le sort de la Pologne prusienne ait été fixé par la paix définitive elle sera gouvernée par un gouvernement provisoire". Lecz zaraz nazajutrz, bo 16 Stycznia odbiera prezes Komisji, Stanisław Małachowski list od Sekretarza Stanu Mareta, że artykuł I-szy powołanego dokretu mylnie zredagowano. „Myłka ta, opiewał list według słów protokółu, w tym się znajduje, iż w artykule I położono słowa „La Pologne prusienne" na miejsce słów „La Pologne conquise sur le roi de Prusse", który to wyraz jest tym właściwszy, że Francja nie uznawszy nigdy podziału Polski, nigdy też dla niej nie było Polski pruskiej". Zgodnie z tym poleceniem zmieniono pierwszy tekst artykułu I-go i w zmienionej formie dekret dostał się do powszechnej wiadomości. O szczególe tym, bardzo charakterystycznym i przypominającym rolę Francji w końcu 18-go wieku, Skarbek nie wspomina. Widocznie go nie znał.

Komisję Rządzącą składali Stanisław Małachowski, Ludwik Gutakowski, Stanisław Potocki, Józef Wybicki, Franciszek Działyński, Piotr Bieliński i Walenty Sobolewski. Wszystko to byli ludzie oddawna znani z pracy publicznej, wszyscy członkowie sejmu czteroletniego, należący do stronnictwa patrjotycznego. Ten skład osobisty umożliwiał nawiązanie bezpośrednich nici z świetlaną przeszłością z roku 1791. — Aczkolwiek Komisja miała charakter rządu tymczasowego, jednakowoż podziwiać należy, że mimo niepewności jutra, usiłowała od samego początku kłaść podwaliny dla nowego ustroju w nadziei, że ogarnie on cały kraj ojczysty. Zapewne, że główne starania skierowane być musiały do spraw wojskowych, związanych z obecnością wielkiej armji francuskiej, oraz z organizacją własnego wojska, lecz jeszcze raz podkreślić wypada, iż współrzędnie myślano o utrwaleniu wewnętrznej administracji, wewnętrznego porządku i spokoju. Nie zapomniano o sądownictwie, szkołach, handlu, a protokóły 231 posiedzeń od 15 Stycznia do 5 Paźdz. 1807 r. stwierdzają wszechstronną działalność Komisji. Jej wytężona praca wyda się jeszcze bardziej podziwu godna, skoro

się uprzytomnić zechce, że całe jej istnienie przypada przeważnie na okres czasu między Jeną a Tylżą, ów okres świeżo przez p. Loreta opisany*), w którym bitwy i negocjacje dyplomatyczne zaprzątać musiały uwagę wszystkich. Zrazu Komisja nie wiedziała zgoła, jaki będzie los kraju, jej władzy poddany. A jeśli zaznaczyć należy tę jej nieświadomość, to sprowadzała się ona bardziej do wątpliwości, czy wszystkie dawne ziemie polskie oswobodzone zostaną. Była pewna, że departamenty warszawski, poznański, kaliski, bydgoski, płocki i białostocki stanowiły tylko zawiązek odrodzonego państwa, a jeno rozległość nowych przybytków pogrążona była dla niej w mgle niezbadanych tajemnic przyszłości. Wierzyła jednak niezachwianie, że dalsze odrodzenie kraju nastąpić musi. Ciągłe zwycięstwa Napoleona utrwalały ją w tym przekonaniu. Lecz po kilku miesiącach owych różowych nadziei, znać w protokółach wyraźne ślady obaw i trosk, nawet niejakie rozczarowanie. Nadchodzi dnia 20 Czerwca wiadomość o wejściu wojsk zwycięskich do Królewca, o zabraniu wielkiej liczby jeńców, znacznych magazynów i 160 tysięcy sztuk broni, przez Anglję Rosji przesłanych, o przejściu przez rzekę Pregel i dalszym nieprzyjaciela ściganiu. W dniu 22 Czerwca na wniosek prezesa uproszono Stanisława Potockiego o bezzwłoczne udanie się do głównej kwatery „z oświadczeniem najgłębszego podziękowania cesarzowi za łaskawe przez szambelana Brońca o pamiętnej pod Friedland wygranej doniesienie z winnym odniesionych zwycięstw powinszowaniem i o złożeniu należytego u tronu Najjaśniejszego Pana hołdu wdzięczności, zaufania i naszych nadziei.“ A czego już w protokółach Komisji nie zaznaczono, polecono Stanisławowi Potockiemu, aby negocjacje dyplomatyczne przy pomocy Aleksandra Batowskiego, Komisarza polskiego przy cesarzu prowadził. Potocki zaopatrzony został w rozmaite instrukcje. Nie przepomniano nawet zwrócić jego uwagi, aby wyjednał za pośrednictwem Napoleona i dworu wiedeńskiego sprzedaż soli dla kraju z Wieliczki pod temi samemi warunkami, z jakich rząd pruski poprzednio korzystał. Protokóły Komisji nie zamieszczają treści depesz, które od Potockiego i Batowskiego przychodziły. W dzienniku posiedzeń spotykamy tylko poszcze-

*) Monografje w zakresie dziejów nowożytnych. Tom II Między Jeną a Tylżą. Warszawa, 1902 r.

gólne adnotacje o raportach z Tylży adresowanych. Tak było do dnia 5 Lipca 1807 r. W tej dacie czyli na dwa dni przed zawarciem pokoju Potocki i Batowski wysyłają depeszę odczytaną na sesji 204 dnia 9 Lipca 1807 r. W niej mieści się rada, przez ministrów napoleońskich udzielona, ażeby Komisja jechała do Drezna, gdzie „spodziewane ostateczne względem losu kraju naszego nastąpić mają układy". Rozpoczęły się narady, a ważność przedmiotu zniewoliła do przywołania dyrektorów. Wezwano ich też bezzwłocznie, a „po wzajemnym myśli, troskliwości i nadziei udzieleniu i dostatecznym naradzeniu się, zaleciła przytomnym dyrektorom, ażeby każdy z nich respective swego wydziału w jak najprędszym czasie wygotował obrachunki, etaty i przełożenia wszelkie, któreby ją postawiły w stanie dania odpowiedzi i wyjaśnienia każdej materji o którą byłaby zagadnioną". Nie wiedziano wówczas w Warszawie, że w d. 7 Lipca 1807 r. traktat w Tylży stworzył z prowincji pruskich Księstwo Warszawskie i że koronę oddał Fryderykowi Augustowi. W Warszawie przygotowywano się do gromadzenia materjałów dla przyszłych narad nad organizacją kraju, a tymczasem w Tylży bez owych materjałów i bez udziału Polaków o losach państwa ostatecznie zadecydowano.

Tegoż dnia, t. j. 9 Lipca po południu nadchodzą nowe ekspedycje od Stanisława Potockiego i Batowskiego, datowane 6 Lipca, t. j. zawsze przed podpisaniem traktatu wysłane. Nadchodzi również list księcia de Neuchatel, ażeby Komisja władzę swoją w departamencie białostockim aż do linji demarkacyjnej rozciągnęła. Na sesji d. 10 Lipca 1807 r. wygotowano instrukcję dla dyrektorjum gieneralnego na czas nieobecności Komisji, udzielono mu najwyższej władzy administracyjnej z zachowaniem dla Komisji mocy prawodawczej. Zawarowano przytym wyraźnie, aby żadna ustawa zmieniona nie została, żadne nowe prawo ogłoszone nie było. Uchwałę tę wydano dlatego, że „ważne i przyszły los ojczyzny naszej stanowiące interesy, powołując Komisję za granice Polski, do opuszczenia na jakiś czas stolicy ją zniewalają". 11 Lipca przewidziano nawet ewentualny wyjazd Poniatowskiego wraz z Komisją Rządzącą do Drezna i ustanowiono na miejsce Dyrektora Wojny delegację złożoną z gienerała Kamienieckiego, oraz pułkowników Hebdowskiego i Biegańskiego. W dniu 12 Lipca 1807 przybywa wreszcie na posiedzenie Potocki, który świeżo z Tylży powrócił. Koledzy wzywają go do zdania sprawy z negocjacji, które

o losie kraju stanowić mają. Potocki odpowiada niewyraźnie, iż „gdy jeszcze pokój nie jest ogłoszony, nic urzędowego o przeznaczeniu naszego kraju wiedzieć nie można, to tylko zdaje się być rzeczą pewną, iż część Polski na królu pruskim zdobyta, pod berłem króla saskiego zostawać będzie i że ostatecznie względem nas i konstytucji naszej układy w Dreznie nastąpią, dokąd Najjaśn. Cesarz zabawiwszy jeszcze kilka dni w Królewcu, niebawem ma jechać". Po tej relacji nastąpiły rozprawy, czy Komisja ma jechać w pełnym składzie, czyli tylko „deputacja z jej członków złożona" ma się tam udać.

Po dostatecznym kwestji tej roztrząśnieniu, jak opiewa protokół, przeważyło zdanie, iż gdy o los kraju idzie i wszyscy zarówno o niego są troskliwi, należy, ażeby wszyscy przy tak ważnych układach, dla wspólnej rady i pomocy byli przytomni. Wybrano się też in corpore. 12 Lipca odbyła się ostatnia sesja w Warszawie, a 21 tegoż miesiąca Komisja zbiera się na 210 posiedzenie w Dreznie. Komisja dowiaduje się tam oczywiście o treści traktatu, a 22 Lipca wydaje polecenie do Warszawy, iżby dyrektorjum „uprzedzając urzędowe wiadomości wkrótce ogłosić się mające i zaspokajając obywatelskie ziomków naszych oczekiwania, zapewniło publiczność uroczystym obwieszczeniem, iż choć w ścieśnionych granicach, rząd w kraju naszym konstytucyjny, wolny, niepodległy pod panowaniem ulubionej z dawna królów naszych domu saskiego familji będzie zatwierdzony i jedynie przez rodaków sprawowany. Język nasz ojczysty zachowany. Szczęście ludu i pomyślność powszechna przez rozciągnienie równej dla wszystkich klas mieszkańców opieki, mądre prawa i wyraźne z postronnemi mocarstwy handlowe układy niewzruszenie ugruntowane. Waleczne wojsko nasze, które tyle zaszczytu narodowi przyniosło w składzie swym utrzymane. Osoby i majątki obywateli, którzy byli uczestnikami teraźniejszych odmian, gdziekolwiek bądźby się one znajdowały od wszelkiego prześladowania i uszczerbku w sposób najsolenniejszy zabezpieczono". Dyrektorjum słowa te in extenso do wiadomości publicznej podało.

W chwili gdy Komisja polecenie to wydawała, może jeszcze dokładnie nie wiedziała, w jaki sposób następnego dnia, bo 23 Lipca odbędzie się historyczne jej posiedzenie, na którym odczytana i wręczona będzie konstytucja dla Księstwa a wraz z nią tekst traktatu w Tylży. Jakoż w d. 23 Lipca 1807 o godz. 3 po poł.

Komisja wraz z Batowskim zgromadziła się w mieszkaniu Mareta, gdzie odbył się ów pamiętny akt dziejowy.

Protokół tego posiedzenia, oznaczonego cyfrą 213, tak opisuje przebieg całego aktu:

„Za wezwaniem JW. Ministra Sekretarza Stanu Maret zgromadziła się Komisja w jego pomieszkaniu. JW. Minister Maret zagaił oświadczeniem, iż Jego Cesarsko-Królewska Mość będąc panem prawem wojny części Polski na królu pruskim zdobytej, umyślił stosownie do traktatu w Tylży zawartego, dla kraju tego pod tytułem Księstwa Warszawskiego królowi JMci saskiemu oddanego, nadać konstytucję. Jakoż przystąpił niezwłocznie do czytania tej konstytucji przez Naj. Cesarza dla kraju naszego ułożonej. W ciągu tego czytania, na czynione przez Komisję uwagi i przełożenia względem niektórych jej punktów JW. Minister Maret odpowiedział, iż konstytucja ta przez Naj. Cesarza ułożona i podpisana żadnym odmianom podlegać nie może. Wezwana przez JW. Ministra Mareta Komisja w winnym posłuszeństwie i uszanowaniu przystąpiła do żądanego tej konstytucji podpisu na oryginale pargaminowym, Ręką Najjaśniejszego Cesarza stwierdzonym i pieczęcią wielką wiszącą państwa francuskiego opatrzonym. Po dopełnieniu tej uroczystości uwiadomił JW. Minister, iż ten oryginał Najjaś. Królowi saskiemu oddany. Kopja zaś przez JW. Ministra zaświadczona do akt Komisji odesłana będzie. Co dnia następującego nastąpiło. Oddał przytym JW. Minister Sekretarz Stanu Maret wypis artykułów traktatu Tylżyckiego, kraju naszego tyczących się. Zakończył sesję rozdaniem dla członków Komisji JWW. Dyrektorów i Sekretarza Komisji patentów Cesarskich na znaki legji honorowej."

Protokół ten stwierdza całą rolę, jaką sądzono było odegrać Komisji przy ostatecznych względem kraju naszego układach. Zakomunikowano jej traktat Tylżycki w wyciągach i ogłoszono tekst konstytucji wszakże bez prawa czynienia jakichbądź uwag. Widocznie Potocki nie był dokładnie poinformowany, gdy zachęcał Komisję do wyjazdu w pełnym składzie w nadziei, że weźmie ona w Dreznie udział w oczekiwanych naradach. Również nie dość szczegółowe posiadał informacje Potocki, zapowiadając w depeszy z d. 5 Lipca 1807 z Tylży przyjazd Napoleona do Drezna. W rzeczywistości, jak stwierdza protokół Komisji z d. 23 Lipca (z rannego posiedzenia) Napoleon nie był tego dnia w Dreznie obecny i nie uczestniczył

wcale w uroczystym zebraniu, na którym konstytucję odczytano. Pod tym względem mylnie twierdzi Skarbek*), jakoby Napoleon dał uroczyste posłuchanie Komisji Rządzącej w królewskim pałacu w Dreznie, wobec dwuch ministrów swoich Talleyranda i Mareta, na którym rzekomo doręczył jej konstytucję Księstwa. Jak widzieliśmy, nic podobnego nie było. Maret, nie Napoleon, w swoim prywatnym mieszkaniu dopełnił tej formalności.

Wybicki w swoich Pamiętnikach (str. 202) również opowiada, że Napoleon w obecności całej Komisji w d. 22 Lipca 1807 r. dyktował konstytucję księciu Bassano (Maretowi), że dyktował ją tak prędko, iż Bassano musiał użyć skróceń, a sama czynność trwała niespełna godzinę. Następnie miał cesarz zalecić ministrowi uporządkowanie tekstu konstytucji, gdy zaś to nastąpiło, oddał Maret po egzemplarzu Komisji i królowi saskiemu.

Jak pogodzić tę opowieść naocznego świadka z protokółem urzędowym? Czyżby przypuścić, iż Napoleon tylko ogólne zasady nakreślił, a samo ułożenie tekstu do Mareta należeć miało? Lecz w takim razie trudno uwierzyć, iżby nazajutrz, t. j. 23 Lipca mogło się odbyć wręczenie ostatecznej redakcji, już 22 Lipca przez Napoleona podpisem stwierdzonej. Jest to zagadka trudna do rozwiązania. Mimowoli ciśnie się pod pióro inny wniosek. Wybicki pisał swoje pamiętniki w dwuch ciągach, pierwszy z doby niezależności Polski w końcu 18-go wieku, drugi z początków 19-go stulecia — w r. 1817, t. j. w 70 roku życia. Może tedy pamięć już wtedy go zawodziła i kazała mu opisywać rzeczy niezupełnie z rzeczywistością zgodne. Inaczej bowiem trudno wytłumaczyć ową sprzeczność z dokumentem urzędowym, zasługującym całkowicie na wiarę.

Po ogłoszeniu konstytucji Komisja w d. 25 Lipca wezwana była na „partykularną“ audjencję u Fryderyka Augusta. Przyjęta najłaskawiej, żadnych stanowczych rozkazów od monarchy nie odebrała i nie wiedziała co dalej czynić. Zgromadziła się tegoż dnia na nadzwyczajną sesję i wydelegowała Małachowskiego i Potockiego do ministrów saskich z żądaniem decyzji, co przedsięwziąć powinna. Dopiero 29 Lipca prezes i Potocki oświadczyli swoim kolegom, że król żąda, iżby Komisja do

*) Tom II, str. 41.

Warszawy powróciła i „rząd tymczasowy kontynuowała". Rozkazał tylko, aby Gutakowski i Stan. Potocki pozostali dalej w Dreznie „tak dla dokładnej względem stanu rzeczy krajowych informacji, jako i dla ciągu komunikacji z Komisją do Warszawy powracającą". Komisja jeszcze raz zgromadziła się w Dreznie w d. 30 Lipca, a na posiedzeniu tym odczytano notę hr. de Bose, ministra spraw zagranicznych, w której ponowione zostały powyższe rozkazy królewskie.

Komisja do kraju powróciła i w myśl zapowiedzi zebrała się w Warszawie w d. 12 Sierpnia 1807. Brakowało tam dwuch tylko członków, Gutakowskiego i Potockiego, którzy w charakterze komisarzy polskich przy boku królewskim w Dreznie pozostali.

Henryk Konic.

WĘDRÓWKI LUDU.

Prąd emigracyjny naszego ludu wiejskiego w trojakim popłynął kierunku: do Ameryki, do Niemiec, do miast. W szkicu niniejszym pragniemy zastanowić się z ekonomicznego stanowiska nad bezpośredniemi przyczynami i skutkami zjawiska.

Dwa są główne czynniki rozwoju emigracji ekonomicznej: 1) stopień gęstości zaludnienia i jej wzrostu; 2) stopień dostateczności środków do życia, zależny od wysokości zarobków i cen na produkty spożywcze, w związku ze stopą życiową ludności.

Co do pierwszego z tych czynników zauważymy, iż Królestwo Polskie należy do krajów najgęściej zaludnionych w Europie. Zajmuje ono pod tym względem miejsce szóste po Belgji, która w 1898 r. liczyła 219 mieszkańców na kilometr kwadratowy, Holandji (151 mieszk.), Anglji (127), Włoszech (109) i Niemczech (96). Miało ono w tym roku 76 mieszk. na 1 kilom. kwadr., wyprzedzając Szwajcarję (75), Francję (73), Austro-Węgry (69), Danję (56), Portugalję (55), Rumunję (45), Serbję (48), Hiszpanję (36), Bułgarję (35), Grecję (35), gub. Cesarstwa z Finlandją (19) i Szwecję z Norwegją (9).

W poszczególnych gubernjach Królestwa Polskiego, zwłaszcza w przemysłowych: Warszawskiej i Piotrkowskiej, gęstość zaludnienia dochodzi niezmiernej wysokości. Tak w gub. War-

szawskiej przewyższa w dwójnasób przeciętną gęstość dla całego kraju (152,8 mieszk. na 1 wior. kw.; w gub. Piotrkowskiej wynosiła ona w 1898 r. 130,7 mieszk.)

Wysoki stopień gęstości zaludnienia stanowi podłoże, sprzyjające przy innych odpowiednich warunkach silnemu rozwojowi emigracji. Zobaczmy, jak się składały owe „inne warunki". Według przypuszczeń Warszawskiego Komitetu Statystycznego ilość bezrolnych na skutek reformy 1864 r. zmniejszyła się z 1,3 mil. osób do 220 tysięcy. Tymczasem, według danych, zebranych przez Komitet dla 1891 r., ilość włościan bezrolnych wzrosła do 850 tysięcy. Powiększenie takie pochodzi stąd, iż z biegiem czasu masa włościan-posiadaczy, złaszcza małorolnych, przeszła w szeregi bezrolnych. Wzrastanie liczby bezrolnych przypisać należy istniejącemu w kraju prawu, dotyczącemu spadkobrania wśród włościan w Królestwie Polskim, według którego własność ziemska włościańska (ukazowa) nie może ulegać rozdrabnianiu na cząstki, mniejsze od 6 morgów. W ten sposób, gdy umiera posiadacz nawet 11-morgowego kawałka gruntu, grunt ten nie zostaje dzielony pomiędzy sukcesorów, lecz przeważnie (gdy współsukcesorowie nie chcą trwać w „formalnej" niepodzielności) zostaje skupiony przez jednego z nich, pozostali zaś stają się bezrolnemi. Skupujący grunt w całości, dla spłacenia pozostałych spadkobierców, niejednokrotnie zaciągać musi długi u lichwiarzy, co w rezultacie i jego doprowadza do ruiny i zamienia w bezrolnego.*) Powstała tą drogą masa bezrolna stanowiła już w 1891 r. 12,2 procent ogółu ludności włościańskiej, a dziś wskutek powyższych i innych jeszcze przyczyn, stanowi niezawodnie odsetek znacznie wyższy.

Prócz tak znacznej ilości bezrolnych, należy wskazać na istnienie na wsi wielkiej ilości ludności małorolnej, do której zaliczyć trzeba wszystkich włościan, mających „osady" przestrzeni poniżej 3 morgów. W 1889 r. miało ich być 650 tysięcy, co z powyższą liczbą bezrolnych da 1 i pół miljona mieszkańców wsi nie mających zabezpieczonego bytu przez dostateczne posiadanie. Lepiej stoją właściciele obszarów od 3 do 15 morgów, których było w 1889 r. 302 tysiące. Jednak

*) „Wiejska ludność bezrolna w 10 gub. Król. Pol." Zeszyt XIV prac Warsz. Komit Statyst. str. VII.

przeszło połowa takich posiadłości, mianowicie wszystkie włości od 3 do 8 morgów, również w wystarczającym stopniu nie zabezpieczają utrzymania swym posiadaczom, zmuszając ich do dorabiania „na pańskim“ do wysokości niezbędnych środków do życia. Licząc po 4 do 5 osób na taką rodzinę, otrzymamy około 700,000 osób, a razem z poprzedniemi grupami 2,2 mil. osób, zmuszonych wynajmować swą pracę, co stanowi jedną trzecią ogółu włościan Królestwa. Tak wygląda źródło, z którego zarówno własność ziemska, jak i przemysł fabryczny czerpać mogą siłę roboczą pełnemi garściami. Dodajmy jeszcze, że dokonywająca się w kraju dość intensywna parcelacja średniej lub większej własności pomiędzy włościan, prawie zupełnie nie wpływa na zmniejszenie się liczby bezrolnych, jak się bowiem okazało, bezrolni i służba dworska stanowią bardzo nieznaczny procent śród nabywców parceli. Parcelacja więc nietylko nie wywołuje zmniejszenia ilości bezrolnych, lecz poniekąd wpływa na pogorszenie ich położenia i zwiększenie emigracji ze wsi, a to wskutek tego, iż właściciele drobnych parceli, biorący wraz z rodzinami swemi osobisty udział w ich uprawie, nie potrzebują tylu robotników, ile zatrudniał ich większy majątek przed rozparcelowaniem. W rezultacie przeto, poza ogólnym obniżaniem zarobków proletarjatu wiejskiego, pewna część bezrolnych ze wsi wyrzuconą zostaje na bruk... miejski. Rozumie się, iż tak wielki odsetek (33 procent) wiejskiej ludności rolniczej w Królestwie Polskim, wyłącznie lub przeważnie utrzymującej się ze sprzedaży swej siły roboczej, musi wywoływać zbyt wielką podaż rąk do pracy i zbyt nizką płacę zarobkową. Nic też dziwnego, że płaca ta doszła do minimum, które przestało już być wystarczającym środkiem utrzymania (w wielu okolicach kraju) i musiało wywołać ruch emigracyjny. Istotnie, według Komitetu Statystycznego, zarobki otrzymywane przez najemników za roboty w polu, wynoszą przeciętnie 36 kop. dziennie, co stanowi sumę trzykrotnie mniejszą od zarobków ludności wiejskiej we Francji, prawie dwa razy niższą w porównaniu z cenami spotykanemi w prowincjach pruskich, i półtora raza niższą od średniej płacy dziennej w 50 gubernjach Cesarstwa(?) Ruch emigracyjny ze wsi, spowodowany nizkiemi zarobkami, a częściowo i budzeniem się nowych potrzeb śród ludności wiejskiej, znalazł ujście, jak wspomnieliśmy, w trzech kierunkach, mianowicie: 1) w postaci stałej lub czasowej emigracji zamor-

skiej, głównie do Ameryki, 2) w postaci sezonowego wychodźtwa robotników rolnych (zwłaszcza z gubernji graniczących z Prusami) na zarobki do sąsiednich i dalszych prowincji w państwie niemieckim, 3) pod postacią emigracji (stałej, a niekiedy czasowej) do miast lub osad przemysłowych — na roboty w fabrykach, kopalniach, na roboty miejskie, budowlane, kolejowe, do służby i t. d.*) Co do miejscowości, z których wychodził ruch emigracyjny, należy zauważyć, iż wychodźtwo ludności wiejskiej za morze zaczęło się**) i rozwinęło silniej tylko w części kraju, leżącej wzdłuż granicy pruskiej, gdzie ludność mająca stosunki po drugiej stronie granicy ulegała wpływowi idącemu stamtąd, nadto zaś miała bliższą drogę do portów niemieckich i większą łatwość opuszczania granic państwa. Ruch wychodźczy opanował gubernję: płocką, warszawską, suwalską (przeważnie w części zamieszkanej przez ludność litewską), potrosze kaliską i piotrkowską. Gubernje te, właściwie ich powiaty, bliżej granicy leżące, zaczęły dawać i dotychczas dają główną masę wychodźtwa ludności rolnej... Ten stopniowo rozwijający się ruch wychodźczy w stosunkowo bardzo małej części kraju trwał w swoich rozmiarach i granicach do r. 1890, w którym rozwinęła się znaczna, dwuletnia gorączka brazylijska, ogarniająca większy o wiele obszar i zabierająca za ocean znaczną ilość ludności miejskiej, zwłaszcza z Warszawy i Łodzi. Po okresie agitacji brazylijskiej ruch wychodźczy za morze osłabł, a jego miejsce zajęło silne wychodźtwo czasowe z tych samych powiatów nadgranicznych, bądź do ziem niemieckich, bądź do prowincji polskich Prus, gdzie znajduje pracę w gospodarstwie rolnym, zastępując w znacznej części miejscową ludność polską, mającą większe potrzeby i szukającą wyższych zarobków w Niemczech. Dotychczasowy ruch wychodźczy w Królestwie Polskim jest właściwie objawem miejscowym, ogarnia bowiem tylko część kraju... Kraj, jako całość, dotąd nie został w ogólno-europejski ruch wychodźczy wciągnięty".

Tak więc wychodźtwo za granicę, czy to za morze, czy na zarobki rolne w sezonie roboczym (od kwietnia do listopada)

---

*) Dodać należy i czwarty rodzaj wędrówek: wychodźtwo sezonowe na zarobki z jednych okolic Król. Pol. w inne (wędrują specjaliści np. kosiarze, lub wogóle lud z okolic z niższemi zarobkami w okolice z wyższą płacą).

**) R. Dmowski: „Wychodźtwo i osadnictwo", Część I Str. 99-100.

do Niemiec, obejmowało dotąd przeważnie gubernje graniczące z państwem niemieckim, tymczasem emigracja do miast i osad fabrycznych prócz powyższych obejmowała i pozostałe, wewnętrzne gubernje kraju.

Z ankiety Kurjera Warszawskiego, opracowanej przez p. B. Filipowicza, przytoczymy główniejsze wiadomości, dotyczące kierunku i rodzaju ruchu wychodźczego z rozmaitych gubernji Królestwa.

W gub kaliskiej od lat kilku najdotkliwiej daje się uczuwać wychodźtwo ludu na roboty do Prus, a stąd brak robotnika. Z gubernji tej lud wiejski wychodzi na lato do Prus tłumnie z pow. kaliskiego, wieluńskiego, konińskiego, słupeckiego i w części z tureckiego i sieradzkiego. Z niektórych wsi prawie cała ludność zdolna do pracy wędruje do Prus. Są jednak okolice, których wychodźtwo nie dotyka zupełnie. Tak nadmiar robotnika daje się zauważyć w okolicach Turka, mają go poddostatkiem okolice Łęczycy i Ozorkowa. Z okolic Wielunia lud nie wędruje do Prus, bo znajduje zarobek na miejscu, Najzdrowsi idą do fabryk, mniej zdrowi i zdolni do robót w polu. Nie było stąd wychodźtwa do Brazylji, jak wogóle nawet najwymowniejszy agient nie skłoni ludu wieluńskiego do wędrówki w inne okolice. Dawniej lud z tej okolicy wędrował na roboty w kieleckie. W zastępstwie ludności wychodzącej do Prus rozmaite okolice gub. kaliskiej sprowadzają robotników z gub. lubelskiej, z kieleckiego, z Galicji i t. p.

Po gub. kaliskiej wychodźtwo do Prus najdotkliwiej daje się uczuć w powiatach pogranicznych gub. płockiej: mławskim, lipnowskim i rypińskim. Wychodźtwo to trwa od lat 15 i prawie corocznie się zwiększa. Z powiatu lipnowskiego ludność emigruje do Ameryki i Prus, z powiatu ciechanowskiego do Prus i do sąsiednich okolic gub. płockiej i łomżyńskiej. Nadmiar robotników posiadają strony kurpiowskie i powiat przasnyski. Wzamian wychodźców sprowadzani są robotnicy z sąsiednich gubernji lub niektórych powiatów płockiej, z puszczy kurpiowskiej, z lubelskiego, z Galicji.

W gub. łomżyńskiej brak robotnika wiejskiego w miesiącach letnich daje się uczuwać tylko w okolicach pogranicznych powiatów kolneńskiego i szczuczyńskiego, oraz w niektórych okolicach pow. łomżyńskiego, bo stąd ludność robocza wychodzi do Prus i w części do Ameryki. Okolice, bardziej oddalone od granicy, posiadają robotnika poddostatkiem, a

nadmiar znajduje się w puszczy kurpiowskiej, w północnej części pow. ostrołęckiego, w zachodniej kolneńskiego. Wzamian ludności wychodźczej w pow. łomżyńskim sprowadzane są kobiety z puszczy kurpiowskiej, mężczyźni dawniej z puszczy kurpiowskiej i z Galicji, obecnie z pow. biłgorajskiego; w powiecie kolneńskim — właściciele ziemscy posługują się żołnierzami poblizkich załóg, w szczuczyńskim prócz żołnierzy i robotników biłgorajskich — robotnikami sprowadzonemi z gub. grodzieńskiej i wołyńskiej.

Z gub. suwalskiej tylko niewielu włościan wychodzi na zarobki do Niemiec, natomiast liczne jest wychodźtwo do Ameryki i do Anglji. Do miejscowości, cierpiących na brak robotnika sprowadzany on jest natomiast częściowo z Galicji, z sąsiednich okolic zaniemeńskich, oraz w wielu miejscowościach używani są do robót żołnierze.

Południowe gubernje kraju różnią się znacznie od północnych charakterem wychodźtwa. Właściciele ziemscy uskarżają się na konkurencję fabryk dąbrowskich i sosnowieckich, oraz kopalni dąbrowskich, które lud roboczy do siebie ściągają, podczas gdy przeciwnie zarządy kopalni w sprawozdaniach swych piszą wciąż, że brak im robotników pomimo wysokich płac zarobkowych.

W gub. kieleckiej brak robotników wiejskich daje się odczuwać głównie wzdłuż linji kolei dąbrowskiej. Z okolic Olkusza lud wiejski wędruje do kopalń i fabryk w Dąbrowie; w powiatach jędrzejowskim, miechowskim, olkuskim i kieleckim brak robotników w wielu okolicach daje się dotkliwie we znaki, gdyż na wsi pozostają tylko niezdolni do pracy w fabrykach i kopalniach. Z okolic Proszowic i Skalbmierza lud słabszy wychodzi na zarobek do Dąbrowy, silniejszy na Śląsk i do Saksonji. Z powiatu kieleckiego (na granicy gub. radomskiej) robotnicy wychodzą na lato na zarobek do Warszawy, skąd powracają w jesieni. Z okolic Bodzentyna znaczna liczba włościan szuka zarobku w fabrykach ostrowieckich i starachowickich. Nadmiar robotników widzimy w powiecie stopnickim, w niektórych miejscowościach pow. miechowskiego i pińczowskiego. Stąd też robotnicy częściowo są powoływani do sąsiednich powiatów gubernji, w których brak robotnika. Prócz tego robotnik sprowadzany jest z Galicji, z okolic Ś-go-Krzyża, z Biłgoraja i t. p., oraz w wielu miejscach używani są do robót polnych żołnierze.

W gub. radomskiej brak robotników w pow. iłżeckim, gdzie bezrolni (?) i małorolni biorą dość żywy udział w rozkupowywaniu parcelowanych majątków; dalej w powiecie opatowskim, zwłaszcza w okolicach Ostrowca, bo ludność wiejska znajduje tam pracę w wielkich fabrykach żelaza. Ale i w tej gubernji są okolice, w których ludność miejscowa nie może znaleść pracy i dostatecznego zarobku na miejscu i szukać go musi w okolicach dalszych. Ludność pow. radomskiego szuka lepszego zarobku w Radomiu, Warszawie i w fabrykach. Lud z okolic Końskich wychodzi na zarobek do fabryk w Końskich, Łodzi i Tomaszowie. Z pod Opoczna robotnicy wędrują tłumnie do fabryk w Tomaszowie, Łodzi, Zgierzu i do innych miast, do kopalni w Dąbrowie, lub znajdują zarobek w miejscowych fabrykach żelaznych, kamieniołomach, wapniarkach i t. d. Bardzo silnie rozwijało się wychodźtwo ludu do fabryk w całej gubernji radomskiej przed wybuchem przesilenia przemysłowego, które zmusiło liczne rzesze emigrantów do powrotu na wieś — prawdopodobnie czasowego, do chwili poprawienia się położenia produkcji fabrycznej. Brak robotnika w miejscowościach gubernji radomskiej zastępują żołnierze, górale z Galicji, bandosi z sąsiednich okolic, bardziej obfitujących w robotnika, jak ze staszowskiego i t. p.

Z okolic Piotrkowa ludność robocza szuka zarobków w Łodzi, Pabjanicach i Sosnowcu. Lud z okolic Koniecpola wychodzi na zarobek do Dąbrowy i Zawiercia, „gdzie traci zdrowie do tego stopnia, że na wieś wraca wielu suchotników, aby umrzeć wśród swoich, w wiosce rodzinnej". W okolicach Brzezin brak robotnika do pracy rolnej i lud szuka lepszego zarobku w Łodzi. Wogóle znaczna część bezrolnej ludności gub. piotrkowskiej zdążyła całkowicie wsiąknąć w środowiska przemysłowe, tak iż obecnie gub. piotrkowska w porównaniu z innemi posiada względnie niewielką ilość bezrolnej ludności po wsiach — 79,6 tys., t. j. 9,8 procent w stosunku do ogółu ludności wiejskiej w gubernji, podczas gdy w kilku innych gubernjach procent ten jest znacznie wyższy (21 proc., 19,3 proc., 18,9 proc. i t. d.)

Gubernja lubelska uchodzi za dostarczycielkę robotników wiejskich dla wielu okolic kraju, dla Warszawy do robót budowlanych, a nawet do fabryk. Nie w całej gubernji jest nadmiar rąk roboczych; przeciwnie są okolice, w których daje się odczuwać brak miejscowych rąk do pracy w polu

tak dalece, że trzeba robotników sprowadzać z innych okolic, a zwłaszcza za mało jest robotników w powiatach lubelskim, krasnostawskim i zamojskim w tych okolicach, gdzie pozakładano cukrownie i inne fabryki. Z okolic Lublina lud wychodzi do Warszawy, z okolic Nowej-Aleksandrji pod Lublin do kopania buraków cukrowych, z pow. zamojskiego kilka tysięcy robotników wychodzi co rok na lato do Warszawy lub Łodzi. W okolicach Biłgoraja jest nadmiar robotników, lud tutejszy szuka zarobku przeważnie w Warszawie i Łodzi, oraz w różnych okolicach kraju przy robotach polnych. Z janowskiego również znaczne partje robotników wychodzą do Warszawy i Łodzi, gdzie wynajmują się przeważnie, jak i biłgorajczycy do robót budowlanych. Do okolic, odczuwających brak robotnika, sprowadzają go z biłgorajskiego, tomaszowskiego, z Galicji, z janowskiego, hrubieszowskiego, z pod Chełma, oraz żołnierzy z miast.

W g u b. s i e d l e c k i e j lud wędruje z pow. garwolińskiego, siedleckiego i węgrowskiego, i to jedynie do Warszawy, pojedyńczo ,nie gromadnie. Ponieważ naogół gubernja ta nie odczuwa braku robotnika, sprowadzają tylko gdzieniegdzie z Galicji i z gub. grodzieńskiej, lub używają do robót żołnierzy. Z okolic Białej lud udaje się na zarobek do miasta i fortecy Brześć Litewski, do budowy szos, kolei, a pewna liczba do Cesarstwa. Z okolic Węgrowa lud dłuższy czas wędrował do Warszawy i część jego na stałe tu osiadła. Z okolic Konstantynowa lud bezrolny wychodzi na zarobek do Brześcia, Warszawy, pod granicę pruską, do spławu drzewa, w części nawet do gub. kijowskiej i chersońskiej. Z okolic Garwolina lud wychodzi na zarobek do miast większych i fabrycznych.

W g u b. w a r s z a w s k i e j na samym pograniczu, w sąsiedztwie licznych cukrowni i w pobliżu fabryk, dość gęsto rozsianych po gubernji, najbardziej daje się odczuwać brak robotnika, w innych natomiast okolicach jest go dosyć. W pobliżu granicy pruskiej, w okolicy Aleksandrowa i Nieszawy brak robotników z powodu wychodźtwa ludu do Prus i do robót kolejowych; do Prus wychodzą zdolni do pracy mężczyźni i dziewki, we wsi zaś pozostają starzy i żony wychodźców z dziećmi. Na Kujawach — w niektórych okolicach — robotnika nie brak, z innych — młodzież licznie wychodzi do Prus. Lud z okolic Sochaczewa pracuje w cukrowniach i szuka zarobku w Warszawie, a częściowo i w Prusach. Z okolic Grójca lud wędruje

na wiosnę do Warszawy, przeważnie do pracy w ogrodach i na jesień wraca do domu. W okolicach Nowo-Mińska wychodźtwo zarobkowe do Warszawy rozwinięte jest bardzo znacznie, wychodzą mężowie, chłopcy i dziewczęta, pozostają w domu żony, starcy i dzieci. W mniejszym stopniu wychodźtwo do Warszawy widzimy w okolicach Zegrza. W razie potrzeby sprowadzany jest do robót polnych robotnik biłgorajski lub górale galicyjscy, robotnicy z pod Częstochowy, a nawet (w pułtuskim) z gub. wołyńskiej i grodzieńskiej.

Ankieta, z której wyciągnęliśmy powyższe dane, miała cel specjalny — poznania, w których okolicach najbardziej daje się odczuć brak robotnika rolnego, i wskazania, które z miejscowości — jako posiadające go w obfitości mogą go ze swej strony dostarczyć. Rozwiązując poniekąd to zadanie specjalne, ankieta zebrała zarazem szereg danych, które stwarzają niekompletny wprawdzie, lecz bardzo barwny i wyrazisty obraz wędrówek ludu wiejskiego po kraju, i poza jego granice, obraz, który winien nosić wielki napis: „za chlebem!“ Czy lud wędrujący rzeczywiście znajduje chleb, którego szuka? czy jest to chleb lepszy, niż ten, który porzucił? i czy istotnie chleba tylko szuka, a nie goni za rozkoszami i zbytkiem? czy przeto istnieją naprawdę głębsze przyczyny emigracji, czy też jest ona doraźnym skutkiem jakichś powierzchownych, doraźnych również oddziaływań?

Przez długi czas, skoro tylko zachodziła mowa o naszej emigracji wiejskiej, niezależnie od ujścia, ku któremu płynęła, spotykaliśmy się, a często i dziś spotykamy już to z gromami oburzenia na agientów i agitatorów, już to z żalami nad upadkiem moralnym emigrantów, ulegających złym pokusom, i nad smutnemi skutkami, jakie ich czekają. I gromy i żale wychodziły przedewszystkim ze strony najbardziej dotkniętych wychodźtwem i brakiem rąk — średnich i większych właścicieli ziemskich, oraz ze strony czułej na wszelkie „zło i upadek“ — prasy (z nielicznemi wyjątkami). To też nie pytano, co wywołało emigrację do Ameryki przed 10 laty, lecz kto ją wywołał. Odpowiedź brzmiała: agienci towarzystw okrętowych, agitatorowie rządu brazylijskiego. Potępiano więc i podszczuwaczy „brazylijskich“ i tych, co wychodźtwem swym przyczyniali się do upadku „rolnictwa krajowego“, a sobie gotowali „straty i zgubę“. O tym, że istotnie Ameryka mogła dać włościanom lepsze zarobki, pozwalając

na zaopatrywanie z za morza całej rodziny w pieniądze, lub na powrót nieraz po latach niewielu do kraju z uzbieranym dość znacznym groszem, nie wiedziano, bo nikt nie myślał o zbadaniu warunków pracy w kraju i za morzem. Pomyślano o tym dopiero wtedy, gdy same fakty jaskrawo za siebie przemówiły. Nie zbadawszy jednak przyczyn wychodźtwa, nie zdając sobie sprawy z jego głębszego związku z całym tłem współczesnego życia ekonomicznego, — i nie dostrzegając w nim żadnych stron dodatnich ani dla kraju, ani dla wychodźców, starano się o zgrupowanie wszystkich stron ciemnych i najgorszych. Mówiono więc o wyludnianiu kraju, nie uwzględniając faktu, iż wychodźtwo utrzymane w pewnych granicach jest jak gdyby klapą bezpieczeństwa przeciw przeludnieniu ekonomicznemu (w stosunku do warunków bytu w kraju), pozwalającą na mechaniczny upust nadmiaru ludności, który w razie przeciwnym dokonaćby się musiał drogą zwiększenia śmiertelności — z głodu, nędzy, przeciążenia pracą i t. p. Wskazywano na straty materjalne, ponoszone przez społeczeństwo, gdyż emigranci wywożą ze sobą znaczne sumy z kraju; nie brano zaś pod uwagę, że straty te częściowo przynajmniej wynagradza powrót wychodźców po jakimś czasie, ze znacznym nieraz majątkiem lub przysyłanie pieniędzy do kraju na ręce pozostałych tu rodzin. Wykazywano straty rolnictwa, które wskutek emigracji płacić musiało więcej za ręce robocze. Zawsze, słowem, wysuwano jakiś ogólniejszy punkt widzenia: „interesy kraju", „interesy rólnictwa", „miłość rodzinnego zagonu" i t. p., nie uwzględniano zaś interesów samej ludności wychodźczej, jeśli zaś mówiono o nich, to a priori — ze względów dydaktyczno-etycznych — przeczono, by lud z wędrówek zamorskich mógł odnosić jakiekolwiek korzyści materjalne. W zapatrywaniach jednak na przyczyny, znaczenie i skutki emigracji zaczęły się uwydatniać najprzód oderwane v o t a s e p a r a t a, a z czasem coraz liczniej pod wpływem zaznajomienia się z „kwestją emigracji" wogóle oraz z jej przebiegiem i skutkami u nas, odzywały się głosy, świadczące o mniej jednostronnym, a nieraz djametralnie przeciwnym zapatrywaniu. Przytoczymy parę z pomiędzy tych głosów:

„Zastanawiając się nad skutkami wychodźtwa,*) nie mo-

*) R. Dmowski: l. c. Str. 90.

żna się ograniczyć do oceny wpływu, jaki wywiera ono na kraj, z którego pochodzi, i na jego ludność, pozostającą na miejscu. Trzeba pamiętać, że ogólnym bodźcem do opuszczania kraju jest ze strony wychodźców chęć poprawienia własnej doli. Pierwszym też i najbardziej bezpośrednim wychodźtwa skutkiem jest poprawa losu tych mas ludności, które Europę opuszczają".

„Wyludnienia kraju przez emigrację obawiać się nie mamy powodu*); świadczy ona nawet o naszej żywotności rasowej, o tym, że lud nasz nie poddaje się już bezmyślnie nędzy, gdyż woli narażać się na trudy i niepowodzenia, niż ginąć z głodu w kraju. A jednak są jeszcze przeciwnicy emigracji, jedni dobrej wiary, drudzy okrywający płaszczykiem dobra ogólnego swe własne, klasowe interesy. Do tych należą wielcy właściciele rolni, agrarjusze, dla których emigracja jest tylko zmniejszeniem podaży rąk roboczych, podrożeniem płacy najemnej. Kapitał fabryczny czy rolny lubi mieć pewną ilość niezajętych rąk roboczych, które utrzymują płacę najemną na pewnej nizkiej stopie. Dlatego też klasa agrarjuszów radaby wszelkiemi środkami powstrzymać emigrację, środkami, które się okazują zwykle bezskutecznemi, a nawet chciałaby drogą prawodawczą formalnie zakazać emigracji... Skoro więc emigracja nie grozi wyludnieniem kraju i skoro choć małą cząstkę nadmiaru ludności wyrywa z pomiędzy ofiar śmierci głodowej, należy ją uważać za objaw pożądany, a przez prowadzenie odpowiedniej polityki kolonizacyjnej należy wyciągnąć możliwie największe korzyści ekonomiczne".

Z ankiety Kurjera Warszawskiego przytoczymy jeszcze nieco danych oraz kilka głosów ziemian o emigracji amerykańskiej. Ludność z lipnowskiego emigruje do Ameryki, „gdzie oszczędza, bo próżnować tam nie może, przeciwnie musi tam pracować pilniej i energiczniej, niż w kraju". Jeden z wychodźców amerykańskich pisał: „gdyby ludzie tak pracowali w kraju, jak w Ameryce muszą, toby w kraju mieli Amerykę".(?) Emigrant łomżyński oszczędza w Ameryce do 250 rubli rocznie. Lud sejneński (gub. suwalska) emigruje przeważnie do Ameryki. Część wychodźców po kilku latach sprowadza rodziny za ocean i zostaje tam na zawsze, pewna część

---

*) K. Kasperski: „Wychodźtwo polskie i jego przyczyny", Ekonomista № 39, r. 1900.

wraca do kraju. Niektórzy wychodźcy przysyłają rodzinom znaczne zasiłki do kraju. Robotnicy z pow. suwalskiego wychodzą gromadnie do Ameryki, gdzie w kopalniach węgla otrzymują po 2 dolary dziennie. Wychodźcy często powracają z Ameryki i przywożą pieniądze, przy których pomocy ulepszają swoje gospodarstwo. Żądają po powrocie za pracę w polu 1 rub. dziennie, oprócz całkowitego utrzymania, czego „rozumie się", nikt im dać nie chce. Niektórzy wychodźcy oszczędzają w Ameryce po kilkaset rubli rocznie. Wychodźca kalwaryjski oszczędza w Ameryce 120 do 200 rb. rocznie, w Anglji 75 do 120 rubli. Z marjampolskiego lud emigruje do Ameryki, skąd nieraz wychodźca przywozi 600 do 2000 rubli. Prawie wszystkie odpowiedzi na kwestjonarjusz „Kurj. Warsz.", mówiąc o zarobkach w Ameryce, stwierdziły, iż w porównaniu z zarobkami tutejszemi, wychodźcy z kraju zarabiają tam więcej i prędzej.

Bardziej stanowcze jeszcze przeczenia, zwłaszcza w ostatnich latach, gdy silniej rozwinęła się emigracja sezonowa na zarobki do Prus, rozlegają się na temat: czy lud wychodźczy odnosi korzyści z tych wędrówek, i jaka jest tej emigracji przyczyna. A więc: Kto wywołał wychodźtwo zarobkowe do Niemiec? Agientury w nadgranicznych miastach poznańskich i pruskich, faktorzy, stręczyciele i naganiacze, uwijający się wśród ludu. Co lud przynosi z zagranicy? Demoralizację, upodobanie do zbytku, rozpusty, łatwego zarobku, utracjuszowstwa, a przytym nic nie oszczędza, gdyż agienci potrafią go wyzyskać i obedrzeć z ostatniego grosza. Istotnie, zdarzają się nieraz wypadki szalonego wyzysku i ze strony agentów pośredniczących, i ze strony samych pracodawców w państwie pruskim, zdarzają się liczne nadużycia i pogwałcenia prawa (gdzież ich niema!), „zdarza się" złe traktowanie robotników z Królestwa, zdarzają się wypadki zmarnowania przez nich całego zarobku jeszcze przed powrotem do kraju, lecz naogół... Czy istotnie robotnik nasz nic nie zyskuje na wędrówce? Posłuchajmy niektórych głosów.

„Zarobek obieżysasów — pisze dr. K. Rakowski*) jest stosunkowo dość znaczny, jeśli się porówna ze skalą zarobkową

*) „Kurjer Warsz." № 134 z r. 1901. („Z powodu wychodźwa zarobkowego ludu").

w kraju. Dzień roboczy trwa od 5 zrana do 7 wieczorem, z półgodzinną przerwą na śniadanie, godzinną na obiad i półgodzinną na podwieczorek. W razie potrzeby przedłużenia godzin pracy, dodatkowa płaca wynosi 10—15 fen. na godzinę dla mężczyzn, a 9—10 fen. dla kobiet. Zwykła zaś płaca wynosi 1,50 marek u mężczyzn, a jedną markę u kobiet, prócz wolnego mieszkania i tygodniowo 16—20 fun. kartofli. W czasie żniw płaca podnosi się do 2 m. dziennie... W Saksonji w ciągu 30 tygodni ciężkiej pracy dziewczyna zarabia 200 do 300 mk., mężczyzna 300 do 360 mk." (brutto)

Charakterystycznych i ciekawych nieraz odpowiedzi udziela ankieta „Kurj. Warsz."

Młodzież wiejska, idąca licznie do Prus z Kujaw, oszczędza przez lato po 60 do 80 rub. Robotnik z powiatu płockiego zaoszczędza 25 do 50 rubli. Obieżysasi z ciechanowskiego otrzymują prócz utrzymania 50 do 100 rub. za sezon roboczy od 1 kwietnia do 1 grudnia. Robotnicy z powiatu łomżyńskiego, po 6 miesięcznym pobycie w Prusiech, przynoszą do domu 50 do 100 rub. „Lud z kolneńskiego — pisze któryś z obywateli ziemskich — zaoszczędza przez lato w Prusach 20 do 40 rub., ale się demoralizuje". Inny z tejże okolicy oblicza, że zarobek ten w ciągu 8 miesięcy wynosi dla mężczyzny 60 do 150 rub., dla kobiety 90 rub., dla dziewcząt do 60 rub. Robotnik z pow. suwalskiego zarabia w Prusach po 1 rub. 20 kop. dziennie. Wychodźczy z okolic Kalisza przynoszą na zimę do domu 50 do 100 rub., z okolic Kleczewa mężczyzna od 40 do 100 rub., kobieta około 60 rub.; z okolic Warty mężczyzna od 25 do 60 rub., z których $^3/_4$ wydaje przez zimę i z okolic Dobrej mężczyzna 50 do 100 rub., kobieta 30 do 60 rub. „Rezultatem pracy w 8 miesiącach letnich w Prusach — pisze jeden z ziemian kaliskich, zabierających głos w ankiecie, — bywa zazwyczaj oszczędność w sumie 75 do 100 rub. Oszczędności tej obieżysas używa przeważnie bardzo dobrze. Gospodarstwo swoje corocznie ulepsza i powiększa, wznosi lepsze budynki. Jeden z ks. proboszczów opowiadał mi, że wychodźtwo jest dla jego parafji, położonej nad granicą, dobrodziejstwem, wytwarza bowiem zamożność. Grosz zaoszczędzony lud używa na zakup gruntu, a zagranicą sam się nieco okrzesuje i czyni postępy w oświacie. Widywałem sam zagrody włościańskie, powstałe z marek pruskich: są to gospodarstwa porządne, schludne, zamożne, a właściciele tych zagród tworzą najliczniejszy

zastęp nabywców ziemi, przeznaczonej przez własność większą na parcelację. Włościanin, który dzięki zarobkom zagranicznym stworzył sobie takie gospodarstwo, przestaje szukać szczęścia za granicą i do śmierci orze i sieje na zagonie rodzinnym, który ukochał duszą całą".

„Dotąd dowodzono powszechnie — dodaje od siebie p. Filipowicz, że lud nasz doznaje w Prusach srogiego zawodu, pod względem moralnym i religijnym upada, a mimo lepsze zarobki, nie jest w stanie nic oszczędzić. Tymczasem wszyscy ziemianie kaliscy w odpowiedziach na nasz kwestjonarjusz stwierdzają, że robotnik, powracając na jesień z Prus, przynosi 50 do 100 rub. Rzecz znamienna: ziemianie kaliscy, skutkiem wychodźtwa ludu do Prus, muszą sprowadzać robotnika z pow. biłgorajskiego i z Galicji, musieli podnieść stopę zapłaty robotników, a tym samym zwiększyć koszta swojej produkcji, a przecież w odpowiedziach na nasz kwestjonarjusz ani jeden z nich nie powstaje przeciw „obieżysasom", przeciwnie w jednej odpowiedzi czytamy zdanie: „idą do Prus, bo tam lepiej płacą". Przy sposobności warto przypomnieć, że kiedy w r. z. ziemianie z wielu okolic biadali nad brakiem robotników, jeden z ziemian kaliskich odezwał się w „Gaz. kal": „Musimy podnieść płacę a robotnicy do Prus nie pójdą". Szereg powyższych danych zdaje się być dostatecznym dowodem, że emigracja zarobkowa do państwa niemieckiego ma przyczyny głębsze, niż agitacja naganiaczy pruskich, i skutki dla wychodźców dodatniejszej natury, niż demoralizacja i rozpieszczenie. Przyczyny te — to niedostateczne zarobki w kraju, skutki — to wyższe wynagrodzenie, możność podniesienia stopy życiowej i nieraz trwalszego zabezpieczenia losu.

A trzeci rodzaj emigracji, owa najopłakańsza zdaniem wielu w skutkach wędrówka ludu ze wsi do miast. K t o jest za nią odpowiedzialny? Demagogja socjalna, ludzie złej woli i nieczystego sumienia. Tak niedawno charakteryzował przyczyny tej emigracji któryś z referentów w warszawskiej sekcji rolnej. Autor pragnął scharakteryzować walkę interesów przemysłu fabrycznego z interesami rolnictwa, i między innemi walkę o ręce robocze. Włościanin dąży do środowisk przemysłu i miast wielkich nie pod naciskiem niezbędnych potrzeb życiowych, lecz — za podszeptem społecznych demagogów. Idzie on nie z potrzeby lecz dla rozrywek, dla próżniactwa i wesołego życia. Usłyszał on z boku, że zamało zarabia, nie zna

więc granic swych wymagań; przytym spotyka się z zawodem, gdyż przemysł nie polepsza jego położenia. A oto inny głos, równie charakterystyczny.

„Owa chęć szukania wrażeń,*) błyszczenia cudzemi piórkami, używania świata i t. p. wady, które w inteligientnych sferach spotyka tak słuszne potępienie wobec wrogiej postawy ludu do dworu, podsycanej jeszcze pokątnie przez mętne żywioły, rozwielmożniły się pomiędzy nim w sposób zatrważający, a lud ten olśniony fałszywym i źle zrozumianym miejskim dobrobytem, nie otrzymując znikąd prawdziwie zdrowych wskazówek, porzuca dawniejszą mrówczą, ale dającą stałe utrzymanie, pracę i dąży tam, gdzie go bardzo często oczekują nędza i upadek moralny... Z miłością, pobłażliwością i prawdziwym smutkiem patrzę na tych ciemnych na wszelkie światło i głuchych na wszelką naukę, dążących dziś gromadnie do miast, fabryk i zagranicę; dziwię się ich, niezrozumiałemu dla mnie, lekceważeniu kawałka zdrowego i wystarczającego chleba". Kto inny jeszcze przychodzi do wniosku, że „parobek z natury jest typowym koczownikiem i dlatego bez żadnej usprawiedliwionej przyczyny wędruje z lepszego (wrzekomo) dworu do gorszego, z dworu do miasta i znów z powrotem do dworu"...

Czy istotnie ciężka, wielogodzinna praca w fabrykach przedstawia tyle ponęt dla robotników rolnych, iż stanowi dostateczny bodziec do masowego nieraz opuszczania przez nich roli i przerzucania się do pracy fabrycznej? czy rzeczywiście czynią oni to tylko przez nieświadomość i niepojmowanie własnego interesu? Należy bardzo wątpić, bo gdyby istotnie owym tysiącznym tłumom emigrantów miasto dawało tylko „nędzę" w porównaniu z „wystarczającym kawałkiem chleba" na roli, to niezawodnie już dawno zatrzymałaby się fala stałej emigracji ku miastom i cofnęła z powrotem. Istnieje wszak komunikacja, i to ciągła i nader czuła, między tym światem a tamtym, między państwami dwuch niedostatków — mniejszego i większego, — a interes osobisty czy klasowy niezawodnie sam najlepiej potrafi wybrać z dwojga złego — mniejsze. Tymczasem odpływ, cofanie się fali widzimy tylko w

*) Jerzy Ryx: „Przyczynek do kwestji robotniczej w oświetleniu cyfr rachunkowości rolnej" („W naszych sprawach". Cz. II, str. 215.)

chwilach przesileń przemysłowych, gdy przemysł nie jest zdolny utrzymać wszystkich, którzy się pod jego chorągiew zaciągnęli, a z chwilą przejścia kryzysu znów nieopatrzne tłumy biegną na jego usługi.

Stwierdzonym jest, iż naogół zarobki w fabrykach przewyższają zarobki rolne, ale wiadomo zarazem, że życie i utrzymanie w mieście jest droższe od wiejskiego, zarówno z powodu większej drożyzny wszystkich produktów, jak i dla szerszej stopy i skali życiowej. Sprawia ona, iż potrzeby emigranta wiejskiego w mieście rozrastają się, wobec czego i tak cały zwiększony zarobek zostaje spożyty. Ale gdyby nawet całą nadwyżkę płacy zarobnej pochłaniała wyższa stopa życiowa, to i tak wygrana byłaby po stronie miejskiej nędzy, i nie możnaby się dziwić, że wzrastające i rozszerzone potrzeby pchają lud w tę stronę, gdzie może zdobyć łatwiejsze ich zaspokojenie. Przytym należy wziąć pod uwagę, że często opuszcza wieś robotnik, który tam żadnego zarobku nie może znaleść, a w mieście go — znajduje.

Przyjrzyjmy się jednak stopie wynagrodzenia robotnika na wsi i w mieście.

„Królestwo Polskie — czytamy w IX zeszycie prac Warsz. Komitetu Statyst. — uderza niezmiernie małemi rozmiarami płacy zarobnej po wsiach w porównaniu z jej wielkością w większości gubernji Cesarstwa. Największa płaca, otrzymywana przez robotników dziennych w czasie robót polnych spotyka się w gub. suwalskiej, ale i tam sprowadza się przeciętnie do 42 kop., podczas gdy w 50 gub. Rosji Europejskiej wynosi średnio 57 kop. dziennie; w gub. więc suwalskiej płaca robotników rolnych jest o 36 procent*) niższą, niż w Cesarstwie. Jeśli tak nizka jest płaca nawet w gubernji, mającej maksymalne zarobki robotników w Królestwie, to możemy sobie wystawić, jak nieznaczną musi ona być w całym kraju. Przeciętnie dla 10 gub. Królestwa wynosi ona ledwie 35 i pół kop., a w kieleckiej i radomskiej nawet 30 do 31 kop. Jeśli płaca robocza w czasie robót polnych w Królestwie jest tak nizką, to naturalnie znacznie się jeszcze obniża w jesieni i na wiosnę z powodu niewielkiego popytu na robotnika w tych porach roku. Średnio wynosi ona dla całego kraju: dla ro-

*) Właściwie o 26% (57 : (57—42) = 100 : x).

botników dziennych — 23 kop. na wiosnę i w jesieni i 17 kop. w zimie, a dla robotnic 15 do 17 kop. na wiosnę i w jesieni, 13 kop. w zimie bez życia. Przeciętna wysokość płacy za cały rok wynosi w całym kraju: dla mężczyzn 28 kop., dla kobiet 20 kop. Pomnożywszy te cyfry przez 290 dni roboczych w roku, otrzymamy w przybliżeniu roczny zarobek rodziny wyrobnika, złożonej z dwuch osób dorosłych: 139 rub. dla całego kraju; maksymalna cyfra dla gub. suwalskiej wynosi 161 rubli, a minimalna 119 rubli dla gub. kieleckiej".

Przytoczymy garść danych, dotyczących płac zarobnych najemników ,według ankiety „Kurjera Warszawskiego".

Po dokonaniu obliczeń (jakkolwiek niezbyt systematyczne dane ankiety nie pozwalają na ścisłe wnioskowanie) otrzymamy następujące przeciętne cyfry dla zarobków dziennych mężczyzn i kobiet (w lecie ,w zimie oraz na wiosnę i w jesieni) w poszczególnych gubernjach i wogóle w kraju:

Nazwa gubernji:	Zarobek mężczyzn. Kopiejki.				Zarobek kobiet. Kopiejki.			
	Latem.	Zimą.	Na wios. i w jes.	W ciągu całego r.	Latem.	Zimą.	Na wios. i w jes.	W ciągu całego r.
Kaliska	58	28	(42?)	**44**	31	19	(23?)	**25**
Suwalska	55	27	35	**41½**	34	22	28	**28**
Płocka	52	18	(30?)	**32½**	36	13	22½	**24**
Łomżyńska	43½	22½	(30?)	**32½**	34	12½	(22?)	**24**
Piotrkowska	42	18	26	**30**	29	11½	18	**20**
Warszawska	41	18	25	**29**	31	15	19	**22½**
Siedlecka	39	22	28	**32½**	30	16½	20	**24**
Lubelska	36	19	24	**27**	28	12	18	**18½**
Radomska	35½	18½	25½	**27**	26	13½	19	**20**
Kielecka	32½	18	25	**25**	29	15	20	**22**
W całym kraju	43,5	20,9	29,1	**32,1**	30,8	15,0	21,0	**22,8**

Zarówno więc przeciętne płace ogólne robotników rolnych w całym kraju jak i płace w poszczególnych porach roku podniosły się w porównaniu z 1891 r. Ogólne zarobki dzienne mężczyzn w ciągu całego roku wzrosły z 28 do 32,1 kop., zarobki kobiet z 20 do 22,8 kop.; odpowiednio do tego całoroczny zarobek rodziny robotniczej, złożonej z 2 osób (męż-

czyzny i kobiety) wzrósł ze 139 rubli do 159 rubli (32,1+22,8 ×290). Zarobki mężczyzny w lecie, zimie oraz w sezonach wiosennym i jesiennym podniosły się z 36, 17 i 23 kop. do 43 i pół, 20,9 i 29,1 kop. dziennie, zarobki kobiet z 20, 13 i 15—17 kop. do 30,8, 15 i 21 kop. Już samo podniesienie się płac zarobnych na wsi, jako następstwo trojakiego wychodźtwa ludu w ciągu ostatniego 10-lecia, należy uważać za fakt nader dodatni społecznie i ekonomicznie. Najznamienniejszym jest podniesienie się tych płac największe w gubernjach kaliskiej, suwalskiej i płockiej — najbardziej narażonych na emigrację już to do Prus, już to do Ameryki.

Przechodząc do płacy zarobnej, otrzymywanej w fabrykach Królestwa, i wnosząc z sumy wypłaconych zarobków i ilości robotników, zatrudnionych w odpowiednich fabrykach, możemy wyprowadzić następujące przeciętne płace w 1897 r.

Rodzaj przemysłu:	Zarobek roczny 1 robotnika w rublach:
Wyroby z juty	143
„ ze lnu	151
Fabryki ceraty	194
Wyroby z bawełny	228
„ „ jedwabiu	226
„ „ wełny	205
Bielniki, farbiarnie i t. p.	231
Wyroby szmuklerskie	215
„ pończosznicze i trykotowe	227
Wogóle tkacko-przędz. fabryki	209
Młyny	258
Wogóle fabryki spożywcze (bez opłacających akcyzę)	228
Garbarnie	405
Wogóle fabryki opracowujące materjały zwierzęce	309
Fabr. wyrobów drzewnych	221
„ „ papierowych	171
„ chemiczne	253
„ ceramiczne	228
Przemysł metalowy	294
Fabr. powozów, instrum. muz., ołówków, zabawek, wyrobów kauczuk.	253
Przeciętnie	239

Z zestawienia powyższego widzimy, iż przeciętna płaca w całym przemyśle przetwórczym Królestwa na jednego robo-

tnika rocznie wynosiła w 1897 r. sumę rubli 239. Wahania jednak w kierunku maximum i minimum są znaczne.

Wyżej widzieliśmy, iż zarobek roczny rodziny robotnika rolnego, mającej dwie dorosłe pracujące osoby, mężczyznę i kobietę, stanowił przeciętnie 139 rubli w 1891 r., dziś zaś 159 rubli. Tymczasem w przemyśle fabrycznym przeciętny zarobek pojedyńczego robotnika wynosi 239 rubli rocznie. Minimalne płace w fabrykach wyrobów z juty i lnu prawie dorównywają owemu zarobkowi rolnej pary robotniczej. Jeśli zaś pracują z jednej rodziny i mężczyzna i kobieta, np. w przemyśle bawełnianym, lub wełnianym, gdzie przeciętny zarobek robotnika wynosi rocznie 228 i 205 rubli i gdzie liczby pracujących obu płci prawie się równoważą, — zarobek roczny takiej rodziny robotniczej miejskiej wyniesie 456 i 410 rubli, czyli prawie 3 lub $2^2/_5$ raza więcej od zarobku takiej samej rodziny robotników rolnych.

Należy teraz zapytać, który z tych zarobków jest względnie wyższym? Czy 150 rub. na wsi, czy 400 do 450 rub. w mieście? Pomiędzy cenami na wsi a w centrach fabrycznych i miejskich różnica jest znaczna, atoli nie w stosunku 1 : 3, lub 3 : 8. Ceny zboża, mąki, chleba mają się do siebie, jak 1 do $1^1/_2$, 1 do $1^3/_4$; ceny odzieży (tandeta fabryczna) niejednokrotnie po miasteczkach przewyższają nawet ceny wielkomiejskiej „tandety", mieszkanie (wobec rozpowszechnienia systemu suteren, poddaszy, kątów i wspólnych mieszkań w miastach) jest droższym względnie nieznacznie od „komornego" na wsi. Gdybyśmy nawet różnicę cen przyjęli, jako 1 : 2, reszta pozostaje na dobro rozszerzonej i podniesionej stopy życiowej. Dodać jeszcze należy, że choć zarobek włościanina w lecie jest wyższy, czasem znacznie, ponad przeciętną rocznego jego zarobku, ale i wydatki (na środki żywności) są wtedy znacznie zwiększone; robotnik rolny z lata nic lub niewiele zaoszczędzić może, wobec zaś znacznie niższych zarobków w zimie i w sezonach jesiennym i wiosennym, cierpi w tym czasie zwiększony niedostatek. Natomiast zarobek w fabrykach jest zimą i latem jednostajny.

Wobec nader gęstego zaludnienia w kraju i nizkich płac zarobkowych na wsi, przemysł fabryczny, jako dający wyższe zarobki „nabywa — pisze B. F. Brandt*) — w Królestwie

*) Brandt, l. c. cz. III, str. 140.

Polskim szczególniejszego znaczenia i wysuwa się na plan pierwszy, jako pierwszorzędny czynnik życia ekonomicznego w kraju, powołany do tego, aby grać w nim jeśli nie pierwszą, to w każdym razie najwydatniejszą rolę. Przemysł fabryczny stał się środkiem odciągnięcia nadmiaru ludności wiejskiej do miasta, dającym możność nadmiarowi owemu w środowiskach fabrycznych znaleść pracę, której nie mógł zastosować w gospodarstwie rolnym, gdzie wywierał tylko wpływ nader silny na obniżenie i tak nizkiej skali zarobków na wsi".

Stanisław Koszutski.

ŹRODŁA: W. Załęski: „Statystyka porówn. Król. Pol.".
W. Załęski: „Królestwo Polskie pod względem statyst.".
„Ekonomista" dawny i nowy.
„Prace Warsz. Komitetu Statyst." Zeszyty XIV, IX (po ros.).
St. Koszutski: „Rozwój przemysłu wielkiego w Król. Pol."
B. F. Brandt: „Kapitały zagraniczne", cz. II i III (po ros.).
Światłowskij: „Robotnik fabryczny" (po ros.).
St. Kłobukowski: „W sprawie organizacji stosunków handlowych".
S. Posner: „Rural exodus" („Prawda" 1900 r.)
R. Dmowski: „Wychodźtwo i osadnictwo".
K. Kasperski: „Wychodźtwo polskie i jego przyczyny" („Ekonomista" 1900 r.)
B. Filipowicz: „Robotnicy wiejscy" („Kurjer Warszawski" 1901 r.)

Początki fizyki nowoczesnej.

Schyłek wieków średnich i początek czasów nowych stanowią okres odrodzenia w dziejach umysłowości ludzkiej. Było to odrodzenie nietylko literatury i sztuki, jak powszechnie pojmować się zwykło, ale i nauki także; po długiej i mrocznej nocy świtała zorza, dzień jasny zwiastująca.

Odrodzenie wszakże nauki innym poszło torem, aniżeli rozbudzenie literatury. Ta ostatnia bowiem zakwitła i rozwinęła się przez zwrót do źródeł starożytnych, przez głębokie odczucie ducha greckiego, przez zapłodnienie pierwiastkami heleńskiemi; nauka nowożytna natomiast zrodziła się przez zwątpienie o bezwzględnej mądrości Greków, przez rozbrat z ich poglądami, przez myśl samoistną i wytworzenie odrębnej, samodzielnej metody badań. Odwrót ten wybija się wyraźnie w fizyce zwłaszcza, a przypomnienie tego ustępu jej dziejów nie będzie może zbyteczne, gdy, olśnieni uderzającemi jej zdobyczami dzisiejszemi, na rozwój jej historyczny zbyt mało zwracamy uwagi.

I.

Zagłady świata starożytnego nie przetrwał wspaniały okres nauki greckiej, która przytułek swój ostatni w Aleksandrji znalazła. Śród gwaru życia politycznego i sporów religijnych myśl naukowa zwolna gaśnie; wielka bibljoteka aleksandryjska stopniowo ulega zniszczeniu, a zwycięstwo Omara kładzie kres

ostateczny świetnej akademji. Pod wpływem prądów nowych badanie przyrody zamiera zupełnie; mistycyzm zajmuje miejsce rozważań naukowych; powstaje alchemja, astronomja przeradza się w astrologję, a fizyka w magję; duch ludzki osłania się pomrokami nocy. Na krótki tylko ciąg czasu wygnana przez narody europejskie znalazła nauka grecka przytułek u Arabów, którzy, choć ją niewiele posunęli, przylgnęli do niej gorliwie i starannie ją przechowali, najpierw w Bagdadzie, a następnie w Kordubie. Zbratali się zwłaszcza z Arystotelesem, a arabscy jego komentatorowie długo potym byli wielbieni w Europie.

W dwunastym bowiem wieku i w Europie ożyło pewne pragnienie nauki, które się także wyraziło zwrotem do filozofji greckiej, albo, ściślej mówiąc, do Arystotelesa. Pod hasłem Anzelma, biskupa kanterburyjskiego zasada „credo ut intelligam" rozwinęła potrzebę dowodzenia prawdziwości dogmatów, do czego posłużyć mogła jedynie metoda rozumowania filozofizycznego. Do celu tego ograniczona filozofja, znana pod nazwą scholastyki, ten przynajmniej wpływ dobroczynny wywarła na dalszy rozwój umysłowy Europy, że wzmogła dzielność myślenia i rozumowania, a w ten sposób przygotowała grunt do późniejszego odrodzenia nauki. Zarazem jednak zapoznanie się z dziełami Arystotelesa zwróciło uwagę i na jego fizykę, a lubo z początku Kościół ją potępiał, jak na synodzie paryskim w roku 1209 i na soborze lateraneńskim w roku 1215, zbratał się z nią przecież później tak ściśle, że wszystko, co się w dziełach Arystotelesa mieściło, przyjmowano z pewnością nieledwie taką, jak dogmaty religijne; kto wbrew Arystotelesowi uczył, stawał się kacerzem. W ten sposób rozbudzona umysłowość średniowieczna zatonęła w komentowaniu Arystotelesa, przeżuwano go tylko. Książka zasłoniła świat istotny; zamiast rozpatrywać przyrodę, dysputowano bez końca; zamiast do rzeczy sięgać, igrano słowami. Dla samodzielnego badania przyrody w wiekach średnich miejsca nie stało.

Jak długo przetrwała ta ślepa i potężna wiara w Arystotelesa, świadczy jeszcze na początku wieku siedmnastego wyrzeczenie prowincjała jezuitów do księdza Scheinera, gdy ten chciał mu przez lunetę pokazać świeżo odkryte plamy na słońcu: „Po cóż, mój synu. Dwukrotnie od deski do deski przeczytałem Arystotelesa i nic podobnego nie znalazłem; plamy na słońcu nie istnieją, są to wady szkieł twoich, albo twoich oczu". — Nie mniej dobitną odpowiedź dał Beza, następca Kalwina,

Piotrowi de la Ramée, gdy ten, wygnany z Francji za pisma przeciw Arystotelesowi, prosił o pozwolenie nauczania w Gienewie: „Gienewczycy raz na zawsze uchwalili, ani w logice, ani w jakiejkolwiek innej gałęzi wiedzy nie odstępować od poglądów Arystotelesa". Reformacja, reforma kościelna, nie sprowadziła reformy nauki; Arystoteles jednoczył i tych, których wiara dzieliła. Przez długi ciąg stuleci nauka nie sięga ponad filozofa ze Stagiry, krąży zaledwie dokoła niego; scholastyka ciąży nad umysłowością średniowieczną, w uniwersytetach posiada swe twierdze niezdobyte.

II.

Od Kopernika jednakże świta już brzask odrodzenia nauki. Twórca astronomji nowej trzyma się jeszcze wprawdzie co do pojęć fizycznych zupełnie zasad Arystotelesa, ale poruszenie ziemi z odwiecznych jej posad poruszyło umysły i do samodzielności ośmieliło. Od tego też czasu mnożą się coraz bardziej przeciwnicy filozofji perypatetycznej, poprzednicy i zwiastuny Galileusza. Jak w przyrodzie, tak i w świecie ducha, w dziedzinie pojęć, przewroty nie następują nagle, ale wyrabiają się zwolna, przygotowują stopniowo; do rozrostu poglądów nowych grunt w umysłach musi być uprawny. Zanim potędze mędrca ze Stagiry Galileusz zada cios ostateczny, występują pionierzy przodownicy, zarówno burzyciele jak i budowniczowie; jedni szczerbią wyłomy w twierdzy filozofji perypatetycznej, drudzy zakładają fundamenty pod gmach wiedzy nowej.

Tak w początku wieku szesnastego zuchwale i krzykliwie bije w Arystotelesa Filip Aureolus Theophrastus Bombastus Paracelsus de Hohenheim, niezmordowany autor równie osobliwego umysłu, jak i nazwiska szumnego, filozof, medyk, alchemik, astrolog; Arystoteles, mówi Paracelsus, całej filozofji grunt fałszywy założył, w ogólności bowiem kłamstwo było Grekom wrodzone. Z podobnym też szumem występuje pokrewny mu duchem Hjeronim Cardanus, który wszystkie nauki zna i wszystkie doskonalić pragnie, a całej starożytności walkę wypowiada i jarzmo jej strącić usiłuje. Obaj wszakże ci nieprzyjaciele scholastyki z jej więzów oswobodzić się jeszcze nie umieją i ostatecznie sami grzęzną w błędach, które Arystotelesowi wytykają.

Jakkolwiek jednak chcielibyśmy cenić zasługi tych mężów, podziwiać trzeba odwagę, z jaką poglądy swe głoszą, samodziel-

ność bowiem taka umysłu w owym czasie srogiego doznaje prześladowania. Wspomniany już Piotr Ramus (Pierre de la Ramée) traci katedrę profesorską w Paryżu, gdyż, jak mówi dekret królewski, ganiąc Arystotelesa, własne swe nieuctwo obnaża. Bernardyn Telesius, gdy pojąć nie może, jak fizyką Arystotelesa przez tyle wieków zadawalniać się mogło tylu mężów wybitnych i tyle narodów, a stronników swoich wiąże w stowarzyszenie, mające na celu rozpatrywanie tajemnic przyrody i zwalczanie filozofji perypatetycznej, musi rychło tę „akademję telezjańską rozwiązać i ze zgryzoty popada w chorobę. Wielbiciel jego i stronnik, Tomasz Campanella, znaczną część życia przepędza w więzieniu, a inny wyznawca tychże zasad, Franciszek Patriccio, choć umiera spokojnie, to dzieła jego już nazajutrz po jego śmierci potępieniu ulegają.

Najsroższego wszakże losu doznał Giordano Bruno (Bruni), bitny dominikanin, zarówno zacięty wróg Arystotelesa, jak i gorący zwolennik nauki Kopernika. Trzysta lat już minęło, odkąd na stosie spłonął, a dziś jeszcze nazwisko jego budzi namiętności i staje się hasłem wrogich stronnictw. Jestto jakby daleki i spóźniony odgłos tej burzy, śród której przeobrażała się nauka i wyłaniały pojęcia nowe.

III.

Franciszek Bacon, słynny Bacon Werulamski, do tej grupy burzycieli Arystotelesa nie należy; nie walczy on już z filozofją dawną, ale jest raczej filozofem nauki nowej, kreśli jej „organon", wskazuje jej metody i podaje narzędzia, które do budowy jej gmachu służyć mają. Sama ta wszakże budowa rozpoczęła się już dawniej; ci, co do niej przystąpili, reguł Bacona nie czekali, nie pod jego wpływem kładli podwaliny fizyki nowej, mechaniki zwłaszcza. Obok filozofów wyżej przytoczonych budowniczowie ci stanowią drugi zastęp poprzedników Galileusza, zastęp mniej głośny, burzenie bowiem dokonywa się z wrzawą, ale budowaniu cisza sprzyja.

By pierwszego z tych przewodników ukazać, cofnąć się musimy daleko wstecz czasu, mężem tym bowiem był Leonardo da Vinci, urodzony w połowie wieku szesnastego, na dwadzieścia lat przed Kopernikiem. Zdumiewający ten człowiek, tak dobrze znany wszystkim jako wielki malarz, był też inżynierem i architektem, a te zajęcia praktyczne zwróciły go do

matematyki, fizyki, mechaniki, do wszelkich innych gałęzi wiedzy. Nie ta wszechstronność wszakże nad poziom go wynosi, ale głębokość, z jaką nauki wszystkie traktuje, bada, na nowe tory wprowadza. Fizykę na filozowaniu jedynie opartą potępia, gdyż do celu prowadzić nie może, poleca obserwację i doświadczenie jako początek badania przyrody, do rozpatrywania zadań fizyki stosuje matematykę, a mechanikę uważa za istny raj nauk matematycznych, w niej bowiem dosięgają owoców swoich. W studjowaniu nauk, z matematyką się wiążących, autorowie, którzy nie są dziećmi przyrody, albo przyrody się nie radzą, są tylko dziećmi małemi; mistrzynią istotnego gienjusza jest przyroda jedynie.

Leonardo zna zasadę momentów statycznych i prawa równowagi drążka do innych machin prostych odnosi; twierdzi, że szybkość ciał spadających wzrasta w postępie arytmetycznym, że szybkość spadku na równi pochyłej od jej pochyłości zawisła; posiada znajomość tarcia, ciężaru powietrza, fal stojących na powierzchni wody, ciemni optycznej, wie, że oko jest podobnąż ciemnią, perpetuum mobile uważa za rzecz niemożebną. Wszystkie te wiadomości i odkrycia wzbijają się wysoko ponad naukę ówczesną. Leonardo był to jakby meteor świetny, który przebiegł nagle po czarnym niebie średniowiecznej jeszcze nocy, niedostrzeżony przez współczesnych, bez żadnego zgoła wpływu na potomnych, bez jakiegokolwiek w dalszym postępie udziału, — jedyny bodaj w dziejach nauki przykład tak osobliwego osamotnienia. Pisma Leonarda, w ład systematyczny niezebrane, po luźnych tylko kartkach rozrzucone, rozpierzchły się po różnych bibljotekach, a o ich treści pierwszą wiadomość dopiero w roku 1797 otrzymano.

Nie z Leonardem więc wiąże się odrodzenie mechaniki, ale bezpośrednio z Archimedesem, gdy pisma jego, w połowie wieku szesnastego na łacinę przełożone, dostępniejsze się stały. Stąd też mechanika rozwija się w tym czasie w duchu Archimedesa, jest jeszcze statyką wyłącznie, ale fundamenty przez wielkiego matematyka greckiego ugruntowane wznoszą się wyżej i rozpościerają szerzej. Z warunków równowagi drążka tłumaczy Gwido Ubaldi, markiz del Monte, działalność innych machin prostych, wprowadza zasadę prędkości przygotowanych, bada położenie środka ciężkości. Oryginalnością pomysłów i ścisłością dowodów uderza Szymon Stevin, który nadto wszystkie wnioski swych rozważań stara się doświadczalnie po-

twierdzić. Rozpatrując warunki równowagi na równi pochyłej, odkrywa zasadę równoległoboku sił, a choć jej ostatecznie nie formułuje, stosuje ją jednak do innych machin; nie mniej też doniosłego znaczenia są jego badania nad mechaniką ciał ciekłych, jemu to bowiem zawdzięczamy znajomość najważniejszych twierdzeń hidrostatycznych o ciśnieniu cieczy na dno i ściany naczyń, o naczyniach połączonych i o równowadze ciał pływających.

Przy tak żywym doskonaleniu się statyki dynamika, nauka o ruchu, wciąż jeszcze w dawnych błędach grzęźnie, nie zdobywa sobie jeszcze podstaw naukowych. O biegu pocisków panuje wyobrażenie, że posuwają się wciąż po linji prostej, dopóki nie wygaśnie udzielony im ruch gwałtowny, poczym zmieniają nagle kierunek i pionowo opadają ku ziemi. Tartaglia jednakże już w roku 1537 przyjmuje, że bieg kul rzuconych dokonywa się wciąż po linji krzywej, chociaż ta w początku i końcu niewiele tylko od linji prostej odstępuje; odgaduje on nadto, że pocisk wyrzucony pod kątem 45^0 względem poziomu dobiega najdalej. Zadaniami dynamiki zajmuje się też Jan Baptysta Benedetti; wie on, że różne ciała, bez względu na ich ciężar, z jednakiej wysokości w jednakim czasie zbiegają na ziemię; że ciała, po okręgu koła miotane, skoro same sobie pozostawione będą, posuwają się dalej po linji stycznej, ma już przeto pewne wyobrażenie o bezwładności ciał w ruchu pozostających. Jakkolwiek jest jednak zaciętym wrogiem fizyki perypatetycznej, powtarza jeszcze błędy Arystotelesa; rozróżnia bieg naturalny i bieg gwałtowny, a dowody opiera na zasadzie, że każde ciało poszukuje miejsca, przez naturę mu przekazanego.

Dynamice początek miał dać dopiero Galileusz, a wraz z nią całej fizyce nowożytnej.

IV.

Galileusz, Galileo Galilei, urodził się dnia 18 Lutego 1564 roku w Pizie. Tegoż samego dnia zmarł w Rzymie Michał Anioł Buonarotti. Przyroda sama, mówi Libri w swej Historji nauk matematycznych we Włoszech, jakby wskazywała, że sztuka berło swe odstąpić ma wiedzy. Dostrzegano zresztą niejednokrotnie, w różnych epokach i różnych krajach, że gdy okres rozkwitu poezji i sztuki zamierał, prąd naukowy rozwijał się żywiej. Ojciec Galileusza, zubożały szlachcic, lutnista i kom-

pozytor muzyczny, pragnął syna skierować do zawodu handlowego, gdy wszakże lepiej ocenił wybitne jego zdolności, wbrew pierwotnym swym projektom dozwolił mu oddać się medycynie, z zawodów bowiem naukowych ta mu się najzyskowniejszą wydała.

W listopadzie 1581 roku wstąpił więc Galileusz na uniwersytet w Pizie i słuchał najpierw wykładów filozoficznych. Profesorowie byli wszyscy wyznawcami Arystotelesa, jeden tylko Jakób Manzoni wykładał nauki pitagorejskie i te jeszcze najbardziej zadawalniały młodego słuchacza, którego zdolności wybijały się coraz potężniej. Samodzielność umysłu, zdolność spostrzegania, bystrość filozoficzna, wyrywały go gwałtownie poza zaklęte nieruchomością szranki fizyki arystotelesowej, zdradzały się w dysputach, jakie toczył z towarzyszami, a w których, ku zgorszeniu profesorów, odpierał i zwalczał uświęcone twierdzenia Stagirejczyka.

Na ten okres przypada też pierwsze wielkiej wagi odkrycie Galileusza.

W katedrze pizańskiej rozbujał się świecznik kościelny, na długim zawieszony sznurze, a ruch ten obserwował dziewiętnastoletni wówczas student medycyny, było to bowiem w roku 1583. Obszerne z początku łuki, przez świecznik zataczane, zwolna malały, a młody obserwator dostrzegał, że pomimo to każde wachnięcie dokonywało się w czasie jednakim; licząc więc uderzenia swego tętna, wykrył, że rzeczywiście trwanie wachnięcia od obszerności jego nie zależy; byleby długość wahadła pozostawała niezmienną, zarówno rozległe, jak i drobne wahania dokonywają się w czasie jednakim. Jestto słynna zasada izochronizmu czyli równoczesności wahań i taki też był początek naszej znajomości wahadła, tego przyrządu prostego, któremu w dalszym rozwoju nauki przypaść miała rola tak wybitna.

Historja o rozbujanym świeczniku jest może legiendą tylko, wydaje się wszakże bardzo prawdopodobną. Śledząc żywoty ludzi wielkich, którym nowe poglądy, potężne odkrycia zawdzięczamy, rozpatrując rozwój ich duchowy, pragniemy wykryć podnietę, co biegowi ich myśli kierunek nadała i na nieutorowane dotąd drogi je pchnęła. Na pytanie to rzadko tylko znaleźć można odpowiedź, a badacze sami najczęściej wskazać nie mogą zarodka swych pomysłów. W dziejach wszakże Galileusza ziarnem, co tak żywo zakiełkowało i tak bujnie się

rozrosło, w samej rzeczy być mogła obserwacja wahadła, przypadkowo dostrzeżony izochronizm wahań, zjawisko dziś jeszcze uderzające silnie każdego, kto je po raz pierwszy poznaje. Od niepamiętnych wprawdzie czasów bujał się ciężarek na sznurku, ale ruch ten powszedni nikogo nie zastanawiał, na drobne bowiem spostrzeżenia umysł gienjalny tylko uwagę zwrócić potrafi, a umiejętne z nich korzystanie twórczość naukową stanowi.

W tym także dopiero czasie zajął się Galileusz matematyką, a chociaż ojciec jego z przykrością patrzył, że syn tak chętnie od Hippokratesa i Galena odbiega do Euklidesa i Archimedesa, wobec nieprzepartej skłonności ustąpił wreszcie i na zmianę rodzaju nauk zezwolił, zwracając się przytym do władzy uniwersyteckiej z prośbą o udzielenie synowi stypendjum. Ale w uniwersytecie pizańskim znano już umysł samodzielny Galileusza, wiedziano o jego protestach przeciw Arystotelesowi i prośby tej nie uwzględniono, a Galileusz wreszcie po czteroletnich studjach musiał dla braku środków utrzymania z uniwersytetu wystąpić, nie uzyskawszy stopnia doktora.

Niepowodzenia te nie odstręczyły go wszakże od matematyki, a studja zbliżyły do margrabiego Guido Ubaldiego del Monte, inspektora gieneralnego twierdz toskańskich, o którym wspomnieliśmy już wyżej, jako o autorze traktatu mechanicznego. Galileusz nazywa go „grandissimo matematico" i według jego wskazówek zajął się badaniem środka ciężkości. Znajomość ta zresztą okazała się dla Galileusza korzystną i pod względem materjalnym, z poparcia bowiem margrabiego del Monte uzyskał 1589 r. w uniwersytecie pizańskim opróżnioną wtedy katedrę matematyki z płacą 60 skudów rocznie. Było to wynagrodzenie nader szczupłe, zwłaszcza gdy zważymy, że w tymże czasie niewybitni zgoła komentatorowie Arystotelesa pobierali po dwa tysiące skudów, ale wraz z dochodami, jakie czerpał z lekcji prywatnych, dawało mu to możność utrzymania i oddawania się pracy naukowej.

Wtedy, w pierwszych już swych wykładach, wystąpił jawnie przeciw Arystotelesowi. Statykę oparł już Archimedes na gruncie matematycznym, ale dynamika, filozoficznie jedynie traktowana w duchu Arystotelesa, pełna była błędów najbardziej zasadniczych, perypatetycy bowiem twierdzili, że ciała ciężkie prędzej, aniżeli lekkie, spadają. Wbrew temu dowodził Galileusz, że wszystkie ciała, ciężkie i lekkie, z jednakiej wysokości w jednakim czasie na ziemię zbiegać muszą i twierdzenie to

poparł w roku 1590 doświadczeniami, do których nadawała się dobrze pochyła wieża pizańska. Z wysokości, wynoszącej około dwustu stóp, bryła drewniana, ołowiana lub marmurowa dostawały się na ziemię w tym samym czasie, bomba stufuntowa w spadku swoim nie wyprzedzała o długość wyraźną kulki, pół funta tylko ważącej. Szybkość więc spadku ciał nie może być do ciężaru ich proporcjonalna, jak chcieli zwolennicy Arystotelesa, ale doświadczenia Galileusza nie przekonały ich bynajmniej; ufali bardziej staremu filozofowi, aniżeli świadectwu własnych oczu; szyderstwami obrzucali towarzysza tak niegodnego, którego nazywali kłótnikiem i który też zapewne w polemikach umiarkowania zbytniego nie zdradzał, gdy w pochodzącym z owych czasów piśmie „Sermones de motu gravium" mówi: Quod hoc multorum opinioni adversetur, nil mea refert, dummodo rationi et experientiae congruat" (że to sprzeciwia się poglądom wielu, zgoła mnie nie obchodzi, skoro tylko zgadza się z rozumem i doświadczeniem).

Położenie jego pogorszyło się wszakże jeszcze, gdy wytworzył sobie nieprzyjaciół i na dworze toskańskim z powodu sądu nieprzychylnego, jaki wydał o machinie, przeznaczonej do czyszczenia portu w Livorno, a zbudowanej przez Jana Medyceusza, syna naturalnego wielkiego księcia toskańskiego, Kosmasa I; wtedy już stanowisko jego w uniwersytecie pizańskim stało się niemożebnym, nie czekając tedy, aż wydalony będzie, sam się z niego usunął po trzyletnich wykładach i walkach.

Tymczasem zmarł w roku 1591 ojciec Galileusza i rodzinę swą w nędzy pozostawił; ale i tym razem znowu z pomocą wydążył markiz del Monte, za jego bowiem wpływem senat wenecki powołał Galileusza na katedrę matematyki do uniwersytetu padewskiego. Z lekkim zapewne sercem, a lżejszym jeszcze tłomokiem, cały jego bowiem majątek ani stu funtów nie ważył, opuścił Galileusz Pizę i dnia 20 września 1592 roku przybył do Padwy, a 7 grudnia wykłady swe rozpoczął.

W uniwersytecie padewskim, kwitnącym pod władzą możnej i bogatej rzeczypospolitej, działalność Galileusza znalazła grunt przyjazny i zasłynęła daleko. Zewsząd zbiegali się słuchacze tak tłumnie, że nie było sali dosyć wielkiej, by ich pomieścić mogła, zbierali się bowiem w liczbie niesłychanie wielkiej, niekiedy podobno do dwu tysięcy dochodzącej. Znajdowali się między niemi członkowie rodów najznakomitszych w Europie, byli też dwaj gorliwi przyjaciele Galileusza, których

nazwiska w dziełach swych uwiecznił, Sagredo z Wenecji i Salviati z Florencji.

Wykłady swe publiczne, które obejmowały gieometrję, astronomję, mechanikę, fizykę, prowadził Galileusz w urzędowym języku uniwersytetu, po łacinie, w zebraniach wszakże szczuplejszych, bardziej prywatnych, używał mowy toskańskiej. Przekonywał uczniów swoich, że mądrości szukać winni nie w wielkich dziełach o wyrazach obcych, zakończonych na o s i u s, ale w zrozumiałej i dla wszystkich otwartej księdze przyrody.

Kontrakt pierwotny, zawarty przez Galileusza na przeciąg lat sześciu, upłynął w roku 1599, senat wszakże wenecki zatrzymał sławnego swego profesora i na następne sześciolecie, podnosząc stopniowo płacę jego roczną z początkowej kwoty 72 do 400 cekinów. Miał więc byt zapewniony, a chociaż praca nauczycielska sporo mu czasu zajmowała, nie pochłaniała go wszakże zupełnie, nie przerwał bowiem w Padwie badań w Pizie rozpoczętych, rozwijał dalej świeże gałęzie wiedzy, naukę nową tworzył.

Badania i wiekopomne odkrycia Galileusza rozpadają się między fizykę i astronomję, tworząc dwie kategorje, zgoła między sobą odrębne i łącznością żadną niezwiązane. Gdy nowa nauka Galileusza w coraz wybitniejszej stawiała go sprzeczności z wielbicielami Arystotelesa, skorzystał ze sposobności zadania im nowego ciosu, jaką mu nastręczyło ukazanie się 1604 r. w gwiazdozbiorze Wężownika nowej gwiazdy, która po roku znów znikła; w trzech wykładach, które także drukiem ogłoszone zostały, wykazał Galileusz, że nowa ta gwiazda świadczy przeciw nauce Arystotelesa o niezmienności nieba w obszarze gwiazd stałych. Rzecz ta zwróciła go do astronomji, a dalszą do tego podniętę dał mu wynalazek lunety, którą w r. 1609 po raz pierwszy na niebo skierował. Zwrót ten w kierunku badań wiąże się także ze zmianą w życiu Galileusza, w roku 1610 bowiem porzucił stanowisko profesora w Padwie i przeniósł się do Florencji, gdzie mu ofiarowano tytuł astronoma i filozofa wielkiego księcia toskańskiego, z płacą tysiąca skudów, bez obowiązku jakichkolwiek wykładów, które mu w Padwie sporo czasu pochłaniały. Zbyt rychło wszakże zmiana ta zgubną się dla Galileusza okazała, już bowiem w roku 1612, gdy w listach swych o plamach na słońcu jawnie i bez zastrzeżeń wystąpił z obroną nauki Kopernika, ściągnął na siebie gwałtowne na-

paści i stał się ofiarą zajadłych prześladowań, od których go dwór toskański obronić nie zdołał. Ale zarówno o tych odkryciach astronomicznych Galileusza, jak i o dalszych jego losach, opowiadać już tu nie będziemy, zatrzymać się bowiem mamy jedynie przy jego badaniach fizycznych.

V.

Gdy o fizyce Galileusza mowa, mieć trzeba na względzie mechanikę przedewszystkim; innych jej działów dotyka ubocznie zaledwie, nasuwają mu się jakby przypadkowo i wyrwane z nich tylko szczegóły napotykamy w różnych jego pismach. Mechanika stanowiła główny przedmiot jego dochodzeń, od niej odrywał się jedynie dla obserwacji nieba. Z jego dostrzeżeń i doświadczeń, z jego rozważań i rachunków zrodziła się dynamika, ten dział zasadniczy, na którym, jakby na gruncie utrwalonym, oprzeć się miał cały rozwój dalszy fizyki. Przez dynamikę swą właśnie stał się Galileusz założycielem, twórcą fizyki nowożytnej. Zbudował fundamenty i wskazał metody, dał narzędzia do wznoszenia gmachu całego niezbędne.

Matematycy greccy, jak widzieliśmy już wyżej, w mechanice statykę tylko umiłowali. W dochodzeniu warunków równowagi, w oznaczaniu środka ciężkości, w rozpatrywaniu zachowania się cieczy i ciał w nich pogrążonych, znajdowali sposobność stosowania twierdzeń gieometrji, której tak niezrównanemi byli mistrzami. Do badań ruchu ciał klucza nie wyszukali, nie utorowali sobie dostępu, pozostawili mozół ten filozofom, a pod ich opieką dynamika dostała się na bezdroża, po których się przez długie wieki snuła. Te jej fałsze, ten cały jej kierunek mylny, dostrzegali wprawdzie niektórzy, ale odzywali się zbyt słabo i nieśmiało, by przeprzeć zdołali błędy tak głęboko w umysłach zakorzenione. Jako nowa nauka wystąpiła dynamika dopiero w wykładach Galileusza.

W wykładach, mówimy, nie w dziełach. Jak Kopernik bowiem, nie spieszył się i Galileusz z opisywaniem swych odkryć. Były one już znane jego uczniom i za ich pośrednictwem wieść o tych nowinach rozchodziła się po świecie, zanim je książka rozniosła. Książka ta bowiem wydrukowaną została dopiero w roku 1638, gdy niewątpliwie już na pięćdziesiąt lat wcześniej autor, w głównych przynajmniej rysach, miał całe swe dzieło gotowe. Wiemy przecież, że już w Pizie zajmował się badaniami

ruchu wahadła i spadku ciał, a gdyby innych dowodów brakło, świadczy o tym traktat, który Galileusz w owym czasie napisał, prawdopodobnie w roku 1588, ale go nie wydrukował. Co go powstrzymało, jakie miał przeszkody, trudno to dziś wiedzieć. Z początku zapewne stał na zawadzie brak środków, potym sprawy, które go długo pochłaniały, walki, jakie toczył. Zresztą, pisarze dawniejsi nie spieszyli się tak bardzo do drukarni, jak za dni naszych, gdy rozdział pierwszy dzieła często jest już wytłoczony, zanim drugi jeszcze w głowie autora powstał; sądzono, że owoc winien dojrzeć, odleżeć się dobrze, aby przydatnym stał się do użycia. Jakkolwiekbądź, dzieło, o którym teraz mówimy, „Sermones de motu gravium" przechowało się w rękopisie długo, zbyt długo zapewne, ukazało się bowiem światu dopiero w zbiorowym wydaniu dzieł Galileusza, w roku 1854. Jest ono napisane w ulubionej przez Galileusza formie, w postaci djalogu; dwie osoby, Aleksander i Dominik, z których pierwszy występuje jako reformator pojęć dawnych, rozprawiają o zasadniczych prawach ruchu, o izochronizmie kołysań wahadła, o swobodnym spadku ciał po linji pionowej i ukośnej, o pływaniu ciał i o innych rzeczach. Aleksander przekonywa swego towarzysza, że wszystkie ciała ciężar posiadają, jeżeli zaś jedne ciężkiemi, inne lekkiemi nazywamy, znaczy to tylko, że jedne mają ciężar większy, a inne mniejszy; powietrzu nie brak ciężaru, jest tylko od wody lżejsze. Napotykamy tu już także dokładne określenie ruchu jednostajnie przyspieszonego.

Znalazło się nawet wcześniejsze jeszcze od powyższych „Sermones" pismo Galileusza, zatytułowane krótko „De motu", które na druk dłużej jeszcze czekało, zyskało bowiem pomieszczenie dopiero w najnowszym wydaniu dzieł jego, od roku 1887 wychodzącym. I w tym już pismie traktuje o spadku ciał; widzimy więc, w jak wczesnej młodości nietylko samodzielne swe badania rozpoczął, ale już je nawet do znacznej wysokości posunął. Co się w dwu tych pismach zawiera, bez istotnej zmiany przeszło i do głównego jego dzieła mechanicznego, na nim więc poprzestać może, kto pragnie całą dynamikę Galileusza poznać.

Nieśmiertelne to dzieło ma tytuł dosyć długi: „Discorsi e demonstrazioni matematiche intorno a due nuove scienze, attenenti alla mecanica ed ai movimenti lecali, di Galileo Galilei Linceo, Filosofo e Matematico primario del Serenissimo gran

Duco di Toscana". Wydrukowane zostało u Elzewirów w Lejdzie, jak już nadmieniliśmy w roku 1638.

Zgodnie z tytułem książka napisana jest w formie djalogów. Rodzaj ten, tak niezwykły w dzisiejszym piśmiennictwie naukowym, przyjął Galileusz może według wzorów literatury starożytnej; może najdogodniej było mu w ten sposób spór z przeciwnikami prowadzić, zarzuty ich odpierać, jasność wykładu uwydatnić. Wytwornie więc i swobodnie rozmawiają w ciągu sześciu dni trzej panowie. Dwaj z nich mają nazwiska znanych nam, a wtedy już zmarłych przyjaciół Galileusza, Salviati i Sagredo; trzeci, Simplicius, występuje jako stronnik dawnych pojęć arystotelesowych. Nazwisko Galileusza w rozmowach nie występuje, niekiedy tylko napotykamy wzmiankę o „naszym autorze"; zastępuje go Salviati, on to reprezentuje Galileusza, jego metodę wykłada, jego odkrycia przedstawia, jest jego myśli tłumaczem. Sagredo w ustępach, które wymagają wyjaśnień, wtrąca zapytania, stawia zarzuty, co pobudza Salviatiego do uwag uzupełniających, do wykładu dostępniejszego. Simplicio nie jestto bynajmniej prostak zgoła nieoświecony, jakby to z nazwiska jego sądzić można było, ale zagrzęzły w filozofji perypatetyków stara się zasad jej bronić, chociaż ścisłością rozumowań swych przeciwników przekonany, często, lubo z oporem, uznać się musi zwyciężonym; w szczególności uderza go nieprzeparta potęga wywodów matematycznych i przestaje lekceważyć naukę, którą gardzili filozofowie jego szkoły. „Wierzcie mi, panowie, odzywa się dnia pierwszego, że gdybym mógł na nowo studja swe rozpocząć, poszedłbym za radą Platona i zwróciłbym się najpierw do matematyki, nauka ta bowiem z drobiazgową ścisłością postępuje i to tylko dopuszcza, co się słusznie wywnioskować daje".

Oprócz określeń i twierdzeń dynamicznych, powtórzonych z dawnych „Sermones", sformułowanych po łacinie, rozmowa toczy się po włosku. Już to samo uznać należy za rzecz niesłychanej doniosłości, skoro zważymy, jak długo jeszcze łacina samowładnie w nauce panowała i z jaką trudnością wdzierały się do niej języki narodowe. Przebija się w tym dążność Galileusza do udostępnienia nauki. „Wielki astronom i wielki gieometra, mówi Libri, był on zarazem jednym z najwytworniejszych pisarzy włoskich". Dla narodów innych „Discorsi" przełożone zostały na łacinę w roku 1699, w ogólności jednak mało były znane; dostępniejszą stała się ta książka dopiero niedawno,

gdy w przekładzie Oettingena (1890—91) weszła w skład bardzo pożytecznego wydawnictwa Ostwalda „Klassiker der exacten Wissenschaften".

Nie wszystko zapewne, co Salviati opowiada i wykłada, utrzymało się bez zmiany w nauce dzisiejszej, nie wszystkie już rozumowania i dowodzenia jego mają formę, do jakiej nawykliśmy obecnie. Pamiętajmy przecież, że sześciodniowe te rozprawy prowadzą się u uchylonych ledwie wrót nauki nowej, przenika je jeszcze powiew stary, a w umysłach, pługiem nowym niezoranych, tkwią jeszcze korzenie zielska dawnego. Sam Galileusz rozumie to dobrze, gdy się tłumaczy, że więcej dni swego życia na naukę filozofji, aniżeli godzin na matematykę łożył. Dziwić nas nie może, że rozumowania jego tchną jeszcze niekiedy odbłyskami filozofji dawnej, sam chwyta czasami broń, którą tak dzielnie z rąk przeciwników swoich wytrącił.

Nie wszystkie te rozdziały czyli dnie jednakowej są ważności. Znaczenie najdonioślejsze przedstawiają dzień trzeci i czwarty, w których mowa o ruchu miejscowym, czyli o spadku ciał, i o ruchu gwałtownym, czyli o biegu ciał rzuconych. Co o rzeczach tych prawiono poprzednio, wszystko było błędem, fałszem, uprzedzeniem. Jakiejżeż trzeba było potęgi ducha, by wszystko to zmieść, gruzy uprzątnąć i gmach zgoła nowy wznieść z materjałów, własną mocą wytworzonych. O tych dwu właśnie rozdziałach mówi Lagrange, że nadzwyczajny jedynie gienjusz mógł je napisać, a nigdy dostatecznie podziwiać ich nie zdołamy.

„O bardzo starym przedmiocie — czytamy we wstępie do dnia trzeciego — przynosimy tu naukę nową zupełnie. Nic nie masz w przyrodnie starszego, aniżeli ruch, a o nim posiadamy zaledwie nieliczne i słabe pisma filozofów. Pomimo to objąłem doświadczeniem mnóstwo własciwości ruchu, a między niemi rzeczy, których znajomość nader może być pożądana, ale dotąd niepoznane i niedowiedzione jeszcze. Głoszone są wprawdzie niektóre twierdzenia łatwiejsze, jak naprzykład, że ruch naturalny spadających ciał ciężkich jest statecznie przyspieszony. W jakiej jednak mierze przyspieszenie to ma miejsce, nie wypowiedziano dotąd; gdyż, o ile wiem, nikt nie wykazał, że drogi przebieżone przez ciała spadające w równych czasach mają się między sobą, jak liczby nieparzyste. Dostrzeżono, że pociski wyrzucone pewną linję krzywą opisują; że jest ona wszakże parabolą, tego nikt nie uczył. Że jednak tak się dzieje, a nadto wielu innych, nie mniej ciekawych wiadomości dowieść

tu zamierzam; co zaś jeszcze do zrobienia pozostaje, do tego wyrównaną tu została droga, do wzniesienia nader rozległej i niesłychanie ważnej nauki, której zasady początkowe dać ma praca niniejsza, a której głębsze przeniknięcie pozostawione jest umysłom, ponademnie górującym".

Ziściły się przewidywania Galileusza, dynamika jego rozrosła się w olbrzymią gałąź wiedzy, gmach stanął w ciągu trzech stuleci pracą najdzielniejszych umysłów, jakie ludzkość wydała. Fizyka nowożytna z nauki o ruchu początek swój wzięła, przez dynamikę w ruch wprawiona została, a jak ciało posuwające się pod wpływem siły statecznie działającej prędkość coraz większą nabywa, tak i fizyka, a wraz z nią cała wiedza przyrodnicza, wzmaga się biegiem coraz żywszym, coraz bardziej przyspieszonym, rozwojem swoim postępowi ludzkości przodując.

Stanisław Kramsztyk.

OCHRONA PRAWNA ROBOTNIKÓW ROLNYCH.

Wydanie książki zbiorowej w celu przyjścia z pomocą powodzianom jest objawem współczucia społeczeństwa dla całego stanu rolniczego. Lecz powódź — to klęska nagła i przejściowa; straszne są jej spustoszenia, ale zaradzić im może jednorazowy, mniejszy lub większy, wysiłek. Poza tym jednak, czyż stan rolniczy, a przynajmniej ogromna jego większość, ta, która rzeczywiście schylona pcha sochę po roli, nie zasługuje na stałą a światłą życzliwość społeczeństwa? Czyż nie powinniśmy w takiej chwili zastanowić się nad jego stałemi dolegliwościami i potrzebami, którym już niejeden szlachetny poryw, lecz tylko badawcza a wytrwała myśl społeczna zaradzić jest w stanie? Takim powodowany względem, postanowiłem właśnie w tej książce postawić przed świadomością społeczną zagadnienie, które dotychczas nietylko u nas, ale i wszędzie pozostawało w cieniu; rozważyć mianowicie, czy i jaka interwencja społeczna, świadoma i celowa, czyli innemi słowy — prawodawcza, mogłaby ulżyć ciężaru i pomóc w postępie, nie całemu stanowi rolniczemu, bo ta kwestja byłaby przecie zbyt obszerna, tylko jednej jego części, tej, która jest prawdziwym kopciuszkiem, którą dotychczas nikt się nie zajmował, która posiada, jak dotąd, tylko obowiązki, i to ciężkie, a prawie żadnych praw: — mówię o warstwie najemników rolnych. —

Początek niniejszego artykułu podobał się zapewne wszystkim; ale już dalszy ciąg pierwszego ustępu niewątpliwie wynagrodził tę winę. Nasi obywatele ziemscy mianowicie, nie gorsi pod tym względem zresztą i nie lepsi od przedstawicieli tej samej warstwy w innych krajach, niezbyt lubią wogóle, żeby się zajmowano losem robotników rolnych, a już ze zdumieniem tylko i oburzeniem mogą spotkać myśl wdania się państwa w stosunki między niemi a temi robotnikami. Oni przeważnie umieją tylko powtarzać wieczną skargę na brak chęci do pracy u najmity chłopskiego, na jego chytrość i nieżyczliwość; niektórzy mają jeszcze dziś odwagę powtarzać starą bajkę o tym, że chłopu z jego ograniczonemi potrzebami lepiej żyć na świecie, niż właścicielowi kilkunastowłókowego majątku z jego kłopotami, długami, ratami, konkurencją zamorską i niepewnością cen. Gdyby powódź była zmyła chociaż te przedpotopowe mózgi, to mielibyśmy jej za co dziękować; ale — wątpię. Odpowiedzi zaś dla nich nie mam innej, jak tylko starą również bajkę Prusa o obywatelu, który tak właśnie mówił i nagle, zrządzeniem siły wyższej, zamieniony został w swego własnego parobka.

A teraz do rzeczy. — Wiadomo, że dzisiaj już wszystkie państwa cywilizowane posiadają prawodawstwo ochronne, dotyczące robotników fabrycznych; ostatnio nawet Japonja weszła na tę drogę. Oczywiście, prawodawstwo to jest bardzo rozmaite. Niektóre kraje, jak np. Nowa Zelandja, rozciągają je na wszystkie warsztaty wytwórcze i handlowe, o ile tylko w takim warsztacie pracuje najemnik, nie należący do bezpośredniej rodziny właściciela; gdzieindziej, a takich jest naturalnie znacznie więcej, prawa ochronne nie dotykają rzemiosła, bardzo lekko muskają handel, a zaczynają działać dopiero na pewnym stopniu wielkości przedsiębiorstwa, który się mierzy czy to ilością robotników (np. 20), czy używaniem maszyn. W jednych państwach z opieki prawa korzystają jedynie dzieci, nieletni i kobiety; w innych ograniczenia długości pracy na dobę i pracy nocnej rozciągają się i na mężczyzn dorosłych. System odszkodowań za nieszczęśliwe wypadki przy pracy, ubezpieczeń od choroby i na starość, jest tu więcej, owdzie mniej rozwinięty. W niektórych krajach prawodawca zaczyna myśleć, choć nieśmiało jeszcze, o wdarciu się do warsztatów domowych, o ograniczeniu strasznych mozołów najmitów, pracujących w domu dla przedsiębiorcy, oraz o ubezpieczeniu robotni-

ków od klęski, równającej się chorobie: od przymusowego braku pracy. Tworzą się sądy mieszane, złożone z przedstawicieli obydwuch stron interesowanych, mające na celu szybkie i fachowe rozsądzanie sporów, wynikających z umowy najemnej, gdzieniegdzie zaś także zapobieganie strejkom lub nawet polubowne ich załatwianie. Komisje mieszane badają warunki pracy i płacy w swoich okręgach i określają skalę normalną, podług której układają się potym warunki najmu przynajmniej w przedsiębiorstwach rządowych lub miejskich albo przez te władze opłacanych; w kolonjach australskich kompetencja takich komisji posuwa się aż do przymusowego określania obowiązującej w okręgu minimalnej skali płac i maximum pracy. W wielu razach władze rządowe lub lokalne przy zawieraniu umów o dostawy lub roboty narzucają przedsiębiorcom pewne warunki, korzystne dla robotników. Wreszcie na straży całokształtu tych ustaw ochronnych stoi inspekcja fabryczna, lub — szerzej mówiąc, podług terminologji angielskiej, francuskiej, niemieckiej — „inspekcja pracy", bez energji i sumienności której wszystko staje się martwą literą.

Takie są różne objawy opieki prawodawczej, roztaczanej przez rządy nad robotnikami przemysłowemi. Co do ludności rolniczej, to, pomijając już większych właścicieli, którzy we wszystkich państwach albo byli, albo są jeszcze pieszczochami rządów, i drobni właściciele, którzy pracują osobiście na swej roli, a więc mogą być słusznie zaliczeni do najemników, nie byli bynajmniej pozostawieni bez życzliwej opieki. Wyraża się ona w różnych przedsięwzięciach kulturalnych, które wychodzą na korzyść zarówno wielkiej jak małej własności, jak osuszanie gruntów, subwencje na różne melioracje, dalej — w cłach ochronnych, z których przynajmniej więksi pomiędzy drobnemi właścicielami, sprzedający zboże, również korzystają, w ulgach kredytowych i podatkowych, w wykupie dzierżaw, jak w Irlandji, czasami w specjalnych urządzeniach, mających zapobiegać rozdrabnianiu się chłopskiej własności, jak majoraty chłopskie i t. p. Jak wiadomo, w kraju naszym rząd również otoczył swą opiekę wieśniaków, którzy podczas uwłaszczenia otrzymali grunta; w przypuszczeniu, że wieśniak, znalazszy się w nowym położeniu, nie będzie umiał sam sobie radzić i należycie strzec swych interesów, w obawie, żeby obywatel, zręczniejszy, wykształceńszy i ekonomicznie silniejszy, nie skłonił chłopa do niekorzystnych dla tego ostatniego umów, ograniczo-

no do pewnego stopnia swobodę ekonomiczno-prawną wieśniaka i na straży jego interesów, dla kontroli zawieranych przez niego umów, postawiono organy rządowe, zaopatrzone coprawda i w inne funkcje i misje, ale na tym punkcie grające — przynajmniej teoretycznie — pod pewnym względem rolę inspektorów pracy i — komisarzy włościańskich.

Po powyższych przykładach, z punktu widzenia teoretycznego nie powinnoby być żadnych zarzutów przeciwko opiece prawnej nad pracą najemnika rolnego. Skoro uznano ją za potrzebną dla najemnika przemysłowego zarówno jak dla rolnika-właściciela, to przecie ta kategorja ludności biednej i pracującej powinnaby mieć do niej podwójne prawo: bo są to i rolnicy, których niema żadnego powodu traktować mniej życzliwie i troskliwie, niż sąsiadów-posiadaczy, i zarazem najemnicy, którzy powinniby mieć takie same prawa, jak ich sąsiedzi i często krewni w fabrykach i kopalniach. Najemnicy — czy to dlatego, że sami nie mają wcale roli, czy że mają jej mało; ułatwienia kredytowe przy nabywaniu gruntów nie są objawem opieki nad niemi, gdyż wiadomo, że zupełnie bezrolni prawie nigdy na kupno takie porwać się nie są w stanie. Najemnicy — a więc, jak oddawna uznała całkiem umiarkowana ekonomja polityczna — strona przy zawieraniu umowy zawsze z natury rzeczy słabsza, działająca pod przymusem nieodpartym. Prawda, że warunki zawierania umów są dla nich o tyle korzystniejsze, niż dla większości robotników przemysłowych, że w rolnictwie niema tak wielkiej armji rezerwowej, że często daje się nawet odczuwać względny brak rąk (względny — bo odpowiadający jedynie istniejącemu poziomowi wynagrodzenia i wogóle ofiarowywanym warunkom pracy); ale korzyść tę równoważy z pewnością okoliczność, że robotnik wiejski jest ciemniejszy, bardziej nieśmiały i trzymający się tradycji lokalnej. Ze wszystkich tych powodów teorja ekonomji, zarówno jak prawa i państwa, powinnyby się zgodzić na potrzebę prawodawstwa, któreby tworzyło nowe a nienaruszalne, społeczne, czyli dla obu stron objektywne, warunki umowy najemnej.—

A jednak rzeczywistość nie porobiła w tym kierunku prawie żadnych kroków. Trzeba iść bardzo daleko, żeby znaleść ślady opieki prawnej nad warunkami pracy robotników rolnych. Nie mówię oczywiście o korzyściach, jakie i ta kategorja robotników może ciągnąć z należycie rozwiniętego i humanitarnego prawa cywilnego lub stowarzyszeniowego

wogóle; nie mówię o prostym nieistnieniu takich ograniczeń prawa koalicji dla ludności wiejskiej, lub takich zabytków średniowieczczyzny, jakie zawiera np. pruska G e s i n d e o r d n u n g. Takie potrzeby motywują się zupełnie inaczej; na ich udowodnienie nie potrzeba specjalnych rozumowań o rolnictwie. Nam idzie o specjalne przepisy prawa na korzyść robotników rolnych, jako takich, ujmujące w pewne granice korzystanie z ich siły roboczej przez pracodawców. A takie znajdziemy — gdzie? Ha, może w Nowej Zelandji, gdzie inspektorowie pracy pilnują mieszkań, przeznaczonych dla ludzi wynajmowanych partjami do strzyży owiec, i nakładają dość znaczne kary pieniężne na wynajmujących, jeśli te mieszkania nie odpowiadają wymaganiom higjeny. — W Indjach angielskich — aż tam! — istnieje od roku 1901 prawo, wydane dla prowincji Bengalskiej i paru innych, bardzo ciekawe i doprawdy zawstydzające dla państw europejskich, tych przynajmniej, w których praktykuje się sprowadzanie z daleka partji robotników do robót polnych. Nad temi robotnikami bowiem, używanemi masowo do uprawy plantacji ryżu głównie, roztoczył rząd angielski drobnostkową i bardzo daleko posuniętą opiekę. Byli oni widocznie tak strasznie wyzyskiwani i oszukiwani przez agentów, że odtąd nietylko agienci wszyscy muszą mieć koncesje rządowe, mogące im być w każdej chwili odebranemi, ale i treść każdego kontraktu podlega przejrzeniu przez odpowiednią władzę, która może każdy kontrakt unieważnić! Szczegółowe przepisy zapewniają umówionemu robotnikowi-hindusowi należyte pożywienie i higjeniczne pomieszczenie podczas długo trwającego przewozu; partje rewidowane są na każdej stacji przez lekarzy. Na miejscu przy robocie na polach ryżowych, korzysta on również z opieki prawa. Praca ograniczona jest do godzin 9 na dobę, odpoczynek raz na tydzień zapewniony, również higjeniczne mieszkanie i pożywienie; lekarz i inspektor pracy nie spuszczają pracujących z oka. Z drugiej strony zapewne, i robotnik obowiązany jest dotrzymać umowy, jeśli przedsiębiorca jej dotrzymuje, i za samowolne jej zerwanie ulega karze. Ale pomyśleć, że karze, i to surowszej, ulega również w Prusach parobek, opuszczający przed terminem swego pracodawcę — a jednocześnie nie ma on żadnych korzyści przysługujących bandosowi-hindusowi, wyzysk jego pracy jest niczym nieograniczony!

Po za tym — a szczególniej w krajach starej Europy —

wszelkie żądanie prawodawstwa ochronnego dla robotników rolnych odrzucane bywa na zasadzie — zupełnie odmiennych warunków, w jakich żyje i rozwija się rolnictwo. Na międzynarodowym kongresie rolniczym podczas ostatniej wystawy paryskiej znany socjolog, p. René Worms, miał odczyt o poruszanej tu przez nas kwestji — zastosowania prawodawstwa pracy do rolnictwa. Oczywiście doszedł do wniosku, takim zamiarom przeciwnego, choć z góry oświadczył się za prawodawstwem ochronnym w dziedzinie przemysłu. Ale rolnictwo — to zupełnie co innego! Praca w fabrykach jest przeważnie bardzo niezdrowa, to też przedłużenie jej działa zabójczo na organizm, sprowadza zwyrodnienie i zagraża zdrowiu przyszłych pokoleń. Tymczasem robotnik rolny spędza dzień cały na otwartym, świeżym powietrzu i bardzo rzadko ma do czynienia z monotonną, ogłupiającą, człowieka w maszynę zamieniającą maszyną, więc praca nieograniczona, a raczej faktycznie ograniczona, ale jedynie granicami naturalnemi — wschodem i zachodem słońca, nie szkodzi jego zdrowiu. O palących promieniach słońca, o bolesnym zgięciu grzbietu przez dzień cały przy żęciu sierpem, o wysoce niehigjenicznych warunkach robót takich, jak kopanie kartofli lub rozrzucanie nawozu, do których idą nieraz i podrastające dzieci płci obojga — o tym wszystkim p. Worms zapomniał; ale przypuśćmy nawet, że zbyt długa praca fizyczna na wsi zupełnie nie szkodzi zdrowiu: w takim razie przypomnieć trzeba, że ograniczenie dnia roboczego ma na celu zapobieganie nietylko fizycznemu, ale i duchowemu zwyrodnieniu mas, że zapewnia ono robotnikowi choć krótkie chwile czasu wolnego na kształcenie umysłu i serca. Pod tym względem nie posiada rolnictwo żadnej wyższości nad przemysłem: i tu, i tam, długa praca codzienna przytępia umysł, uniemożliwia wszelką kulturę, a nawet popychając zmęczonego człowieka do ogłuszenia się alkoholem, i pod względem czysto fizycznym źle się odbijać może na przyszłych pokoleniach.

Bardziej od p. R. Wormsa dziwić nas może inny przeciwnik ograniczenia dnia roboczego w rolnictwie: Dr. Edward David, autor głośnej pracy o rozwoju nowożytnym rolnictwa. Szydzi on z kolegi swego, K. Kautsky'ego, który domaga się dla rolnictwa pewnego normalnego dnia roboczego, choć różnego w różnych porach roku. Zdaniem Davida, prawo takie byłoby niewykonalne i jest niepotrzebne, a to dlatego, że wieś-

niacy, czego nie dośpią w lecie, to dosypiają z nawiązką podczas długiej, prawie bezczynnej zimy, i wtedy nabierają sił do nadmiernej, ale niezbędnej pracy w ciągu lata. Może w tej uwadze być pewna doza słuszności, ale trudno przecież twierdzić, żeby przymusowy, chociaż przecie nie całkowity, odpoczynek zimowy, połączony bardzo często u wieśniaków z gorszym odżywianiem się, niż w lecie, i z przytępieniem życia wogóle, był dostatecznym wynagrodzeniem za złe skutki fizyczne i duchowe nadmiernej pracy na wiosnę, w lecie i w jesieni. Z tej przesłanki można wyprowadzić tylko właśnie — żądanie zmiennego dnia roboczego, przystosowanego do pór roku. David twierdzi dalej, że ograniczenie długości czasu pracy byłoby niemożliwe przy wszystkich robotach około inwentarza, ponieważ ma się tu do czynienia z istotami żywemi, których potrzeby nie znają ograniczenia czasowego. Zdaje mi się, że jest to nadużywanie tego pojęcia zasadniczej różnicy między przemysłem a rolnictwem, polegającej na tym, że pierwszy stanowi proces mechaniczny, drugi ma do czynienia z organizmami — pojęcia, stanowiącego oś teorji Davida. Bo przecie konie, krowy i t. d. mają potrzeby perjodyczne, zamknięte zwykle w granicach dnia, i w nocy tylko w razach wyjątkowych wymagają czynnej interwencji człowieka. Jeśli inwentarz jest roboczy, jak konie, to chodzenie koło niego związane jest z pracą na polu (lub w kieracie i t. p.); w takim razie dzień roboczy zajętego przy koniach personelu robotniczego powinienby zawierać już w sobie czas, potrzebny na załatwienie się koło koni — co nie jest w zasadzie trudniejsze niż np. określenie maksymalnego dnia dla górników „z wjazdem i wyjazdem włącznie". Oczywiście, z początku wszystkie tego rodzaju przepisy wywołałyby w gospodarstwach wielkie zamieszanie i próby obchodzenia ich: tak było i w przemyśle; ale po pewnym czasie kierownicy robót przystosowaliby się i zaprowadzili odpowiednio zmienioną, niemniej prawidłową i celową organizację pracy. —

David, krytykując myśl normalnego dnia roboczego w rolnictwie, żąda jednak gdzieindziej prawodawstwa ochronnego dla robotników rolnych, byle tylko surowo przeprowadzonego, bo sądzi, że byłoby to wyrokiem śmierci dla większych majątków, że nie mogłyby one wytrzymać tego ciosu i tym prędzej rozpadałyby się na drobne chłopskie parcele, które są jego ideałem. Sądzę, że pogląd ten jest bezwarunkowo zanadto pesymistyczny— czy też optymistyczny, jak kto woli... Zupełnie

podobne głosy dawały i dają się słyszeć ze strony fabrykantów, ilekroć przygotowuje się jakieś prawo ochronne, a jakoś przepowiednie te nie sprawdzają się. Gospodarstwa, racjonalnie prowadzone, miałyby się dobrze i nadal — tylko miałyby robotnika mniej zmęczonego, inteligientniejszego, uważniejszego i bardziej dbałego o to, co robi — co przecie właśnie w gospodarstwie rolnym jest, według powszechnego zdania, bardzo ważnym czynnikiem. Zresztą, prawodawstwo ochronne powinnoby się stosować nietylko do wielkich majątków, ale do wszystkich, nawet chłopskich gospodarstw, o ile tylko zatrudniają obcych najemników, nie samych członków rodziny. Położenie parobków u bogatych gospodarzy nie jest wcale lepsze, niż u obywateli... Samemu gospodarzowi trudno oczywiście zakazać orać na swoim, jak długo mu się podoba; ale ograniczenie pracy najemnika pośrednio pociągnęłoby za sobą i skrócenie pracy gospodarza, co przyczyniłoby się do jego postępów umysłowych i kulturalnych...

Zatym — społecznie pożytecznym by było oznaczenie maximum dnia roboczego dla wszystkich, stałych lub czasowych, najemników rolnych; mógłby on być w lecie dłuższym, niż w zimie. Liczby godzin określać nie podejmujemy się; przytoczymy tylko, że, podług świadectwa R. Meyera, książę Bismarck, ten rolnik, ten „junkier" z krwi i kości, zamierzał proponować prawne ograniczenia dnia roboczego rolników do godzin 8 w zimie, 10 na wiosnę i w jesieni, 12 w lecie. Nam się coprawda 12 godzin ciężkiej fizycznej pracy wydaje za wiele... choćby nawet ze zwykłą zresztą parogodzinną przerwą na południe. Cóż zostaje na odpoczynek — naukę — książkę? Ale dobre by było i to, faktycznie bowiem dzień roboczy w lecie bywa często o wiele dłuższy. Ma się rozumieć, w pewnych chwilach, wobec groźby zniszczenia plonów przez siły, niezależne od człowieka, wszelkie ograniczenie prawne dnia roboczego musiałoby upadać. Mówimy jednak: w pewnych chwilach np. gdzie idzie o zwiezienie zżętego plonu przed deszczem, a nie w pewnych okresach: szybkie żniwo bowiem zależy od organizacji pracy i może być przez zwiększoną liczbę robotników wykonane i bez przedłużenia dziennego czasu pracy.

Może jeszcze większe znaczenie zdrowotne i kulturalne od ograniczenia dnia roboczego miałby zakaz używania do jakichkolwiek robót — dzieci poniżej pewnego wieku, np. lat 12, 14 lub nawet 15, któryby jednak musiał rozciągać się na wszystkie

dzieci, nietylko pracujące w najmie u obcych, i być koniecznie połączony z odpowiednią organizacją obowiązkowego szkolnictwa... Tam, gdzie taka organizacja, mniej lub więcej doskonała, istnieje, wiadomo, że chęć korzystania z pracy dzieci jest największą przeszkodą prawidłowego i skutecznego jej funkcjonowania.

Następnie reformy domagają się koniecznie mieszkania wieśniaków. Prawo nie może w tej dziedzinie nic rozkazać właścicielom, tym, co mieszkają we własnych chatach; ale może i powinno rozciągnąć przynajmniej dozór nad mieszkaniami najemników, stałej służby dworskiej. Powinno by być usunięte spanie w stajniach — z wyjątkiem chyba, o ile by to było konieczne, kolejnych dyżurnych. T. zw. czworaki lub ośmioraki, zawierające mieszkania dla parobków i fornali z rodzinami, powinnyby być budowane podług planów, zatwierdzanych przez inspekcję pracy, zgodnie z wymaganiami minimalnemi higjeny i ludzkości.

Te same przepisy powinnyby się stosować i do robotników wędrownych, partjami z daleka sprowadzanych. I oni powinniby mieć ograniczony czas roboczy i higjeniczne, ludzkie mieszkania; i między niemi nie mogliby się znajdować nieletni, przyczym granica wieku powinnaby może być nieco wyższa. Oprócz tego inspekcja pracy albo też sądy mieszane powinnyby mieć dozór wogóle nad wykonaniem zawieranych z niemi kontraktów. Kulturalnym zadaniem państwa byłoby również pilnowanie uczciwego wykonywania kontraktów, zawieranych z jego poddanemi, i za granicą, a to np. przez konsulów, którzy przecie nieraz przychodzą z podobnego rodzaju pomocą kupcom i przemysłowcom... Wypowiadając powyższą myśl, tymbardziej uświadamiamy i przypominamy sobie, jak dalece wszystkie te projekty są czysto teoretyczne... Ale to nic; „brnijmy“ w nich dalej.

Wszak ubezpieczenie wszystkich robotników rolnych od wypadków przy pracy, i to wszelkich, spowodowanych nietylko przez maszyny, ale i przez zwierzęta i t. d. — wygląda już mniej utopijnie? I nikt nie potrafi chyba przytoczyć ani jednej „zasadniczej różnicy“ między przemysłem i rolnictwem, któraby od tego obowiązku mogła to ostatnie uwolnić. System ubezpieczeń na wypadek choroby i emerytur na starość mógłby również bez żadnych przeszkód być rozszerzony na s t a ł y c h robotników i oficjalistów wiejskich (nietylko dworskich); co do niestałych, sezonowych lub wędrownych, należałoby obmyśleć

odpowiednie formy, za pomocą których i oni w pewnych warunkach mogliby korzystać z tych dobrodziejstw prawa. Wieśniak np., nie będący w danym dworze parobkiem, ale pracujący dla niego kilkoma nawrotami w ciągu roku, przy jednej robocie w zimie, przy drugiej — na wiosnę, przy żniwie — w lecie, mógłby i powinienby być traktowany tak, jak stały i to bez względu na to, czy pracowałby zawsze dla jednego dworu, czy dla różnych. Szłoby tylko o odpowiednią elastyczność systemu opłat.

Wreszcie — organizacja wzajemnego porozumiewania się dwuch zbiorowości interesowanych: sądy zawodowe rozstrzygające w jednych sprawach (o wykonanie umowy), rozjemcze i doradcze w innych (o treść nowej umowy, o żądanie zmiany dawnej). Sądy mieszane, złożone z przedstawicieli stron obu, względnie — trzech żywiołów: wielkich właścicieli, drobnych właścicieli i bezrolnych, jak to proponuje zeszłoroczny projekt ministerjum włoskiego. Niema mowy o oznaczaniu przez te sądy-komisje obowiązującego minimum płac; ale samo oznaczanie przez nie, po odpowiednich badaniach i dyskusjach, pewnej nieobowiązującej skali dla różnych kategorji uznanej za odpowiednią dla danej okolicy miałoby olbrzymie znaczenie moralne, byłoby czynnikiem regulującym przy zawieraniu umów. Organy państwa dawałyby przykład; tak np. poniżej takiej skali cen żołnierze nie mogliby być wynajmowani do żniw. Działalność takich komisji, jak zresztą wogóle całe takie prawodawstwo ochronne, szczerze, z miłością dla ludu przez odpowiednią inspekcję przeprowadzone, byłyby z pewnością najlepszym środkiem przeciw brakowi rąk roboczych na wsi, coraz dotkliwiej dającemu się uczuć rolnikom, a na który żaden brutalny środek nie poradzi...

...Zamki na lodzie?! Tak! Ale Myśli wolno je budować, bo z wysokości wież tych zamków ogląda ona rzeczywistość — i sądzi ją.

Dr. Kazimierz Krauz.

PIERWSZE ODGŁOSY KONRADA WALLENRODA.

NOTATKA HISTORYCZNA.

Przebrzmiały już oddawna spory literackie w sprawie rzekomej tendencyjności poematu Mickiewicza o mistrzu krzyżackim Wallenrodzie. Kiedy niekiedy odzywają się jeszcze głosy, pomawiające poetę o apoteozowanie „zdrady", lecz są to głosy odosobnione, niezdolne odjąć poematowi czaru i doniosłości istotnego dzieła sztuki, dzieła, budzącego w czytelniku zachwyt i podniosłe uczucia estetyczne, które ze zgrzytem nienawiści i zemsty w najodleglejszej nawet nie pozostają spójni.

„Konrad Wallenrod" jest dziś książką popularną, w tysiącznych wydaniach, nietylko między smakoszami literatury, lecz i między tłumem szarym, rozpowszechnioną. Jako poemat, treścią i formą do arcydzieł twórczości rodzimej zaliczony, przemawia on do tłumów ustami dzielnych recytatorów, przyobleka się w formę tekstu operowego, jest przedmiotem artystycznych tworów pędzla i ołówka, kopalnią dla badaczy i sędziów piękna w poetyckiej twórczości. Zatraciwszy cechę aktualności, jaką wypadki krajowe z przed roku 1830 mimowolnie mu nadały, jest obecnie „Konrad Wallenrod" przykładem i wzorem owej ewolucji wyobrażeń, wywołanych w zaraniu XIX wieku rozkwitem romantyzmu i ta jedynie cecha nadaje mu pierwszo-

rzędne na kartach dziejów literatury nowoczesnej swojskiej stanowisko i znaczenie.

Nie bez interesu wszakże dla współczesnego czytelnika będzie przypomnienie poglądów, jakie w sferach miarodajnych ujawniły się w pierwszych chwilach pojawienia się „Konrada Wallenroda" na półkach księgarskich, w tych mianowicie sferach, do których, z natury rzeczy, należał nadzór ogólny nad stanem umysłów w kraju i czuwanie, by prądy przewrotowe, z uniwersytetów niemieckich i ich „burszenszaftów" w stronę Wisły i Niemna u schyłku drugiego dziesiątka wieku ubiegłego płynące, nie wprowadziły społeczeństwa na niepożądane tory.

Rzecznikiem owych poglądów był Senator Nowosilcow; powodem zaś do wydania opinji o szkodliwości tendencji wydanego w Petersburgu w roku 1828 poematu Mickiewicza stała się korespondencja z Petersburga w „Gazecie korespondenta Warszawskiego i Zagranicznego" z roku 1828, w numerze 62, wydrukowana, powtórzona następnie w Gazecie Polskiej ówczesnej i w Gazecie Warszawskiej, w numerze 71.

I.

W „wyjątku z listu pisanego z Petersburga" (takim był tytuł korespondencji) czytamy:

„Mickiewicz przyjechał tu w interesie literackim, oraz i dla przyjemności i rozrywki, znalazł ją w najwyższym stopniu. Przyjęty z entuzjazmem przez Polaków, z uwielbieniem przez Rosjan, talentem swoim cudów dokazuje. Przywiózł on rękopism poematu swego pod tytułem: Wallenroda, który już w połowie wydrukowany w typografji krajowej. Nic podobnego jeszcze nie napisał, nic też równego literatura nasza nie posiada.

„Nie umiem rozwodzić się nad zaletami tego poematu, bo zdanie jednomyślne i przyjaciół i przeciwników talentu Mickiewicza zgodnie mu palmę poezji przyzna. Posiadał on i dawniej zdolność improwizacji, ale improwizował rzadko i obierał przedmioty mniejszej wagi. Teraz sposobność tę doprowadził do najwyższego stopnia. Byle się znajdował w towarzystwie dobranym, byle odgłos fortepianu, fletu, lub rodzinnej piosnki obudził w nim uczucie, żąda podania sobie treści i natychmiast śpiewa z taką wyobraźnią, tak pięknie, tak obficie, że słuchacze, ni uszom, ni swej duszy, wiary dać nie mogą.

„Odbywaliśmy wilję Bożego Narodzenia razem. Był to dzień imienin Adama. Książe L(eon) S(apieha), hr. J(ezierski), nasz kochany Orłowski i liczni Polacy w Petersburgu zamieszkali, zgromadzili się w mieszkaniu Adama R(ogalskiego).

„Kto nie widział dnia tego nieporównanego, niech żałuje, bo drugiego w życiu swoim podobnego nie ujrzy. Poszły dwa talenty na wyścigi: Orłowskiego i Mickiewicza. Pierwszy czternaście rysunków, płodów natchnienia i gienjuszu, w przeciągu dwuch godzin ołówkiem wykończył, drugi, za pomocą twórczej, poetyckiej zdolności do kilkuset wierszy improwizował.

„Tryumfem jego talentu była tragiedja; prosił, aby z dziejów narodowych podać mu przedmiot. Uciszyli się wszyscy i uformowali koło. Poeta stanął w środku, ja mu podałem przedmiot: Samuel Zborowski. Wyszedł do drugiego pokoju. W milczeniu oczekiwaliśmy jego powrotu i ledwo w myśli zdołaliśmy zebrać współczesne osoby i wypadki, wszedł w pośrodek nas i już tragiedja była gotową.

„Zdawało się, że jakieś bóstwo z duszy jego przemawia: z niedoścignioną gwałtownością deklamował sceny, które pod względem mocy i piękności wierszy równają się z najwytworniejszemi scenami Szekspira. Do kilkuset wierszy wciąż deklamował. Byłby już to arcydzieło gienjuszu dokończył, ale w mowie Zamojskiego do Samuela siły go opuściły, padł prawie zemdlony na krzesło. Łzy rozczulenia, okrzyki podziwienia w jednej chwili słyszeć się dały. Byli tacy, co jak skamienieli stali jeszcze, wlepiwszy oczy w cel swoich uwielbień".

II.

Opis powyższej uroczystości, za pośrednictwem Mikołaja Malinowskiego przesłany przyjacielowi Mickiewicza, „serdecznemu Litwinowi", Kacprowi Żelwietrowi, dostał się do rąk Michała Kątkowskiego, który uprosiwszy, aby mu go na czas krótki powierzono, udał się ze skryptem do Odyńca, następnie do Rajnolda Suchodolskiego. Ten zaniósł go do redakcji Gazety Polskiej i tam gronu współpracowników odczytał... Jeden z redaktorów, zaraz po wyjściu Odyńca, całą osnowę listu, o ile pamięć pozwoliła, na papier przeniósł. Dopomogli tej redakcji inni i komunikat Malinowskiego w formie takiej jak przytoczyliśmy ujrzał światło dzienne. Powtórzyły ów opis inne gazety warszawskie. To zwróciło uwagę cenzora wileńskiego,

Ignacego Szydłowskiego, który pośpieszył do rektora uniwersytetu Pelikana z zawiadomieniem o owacji, jaką kolonja polska w Petersburgu Mickiewiczowi wyprawiła. Ze swej strony, Pelikan doniósł Senatorowi Nowolilcowowi o fakcie, ubarwiwszy go rzekomemi insynuacjami o wznowieniu agitacji filaretów. Szczegóły wieczoru Mickiewiczowskiego stały się przedmiotem żywej wymiany depesz między Petersburgiem, Wilnem a Warszawą. Przytacza je Mikołaj Malinowski w ustępie z pamiętników (koresp. Mickiewicza T. IV str. 9 i nast.) powtórzonym w Kronice Rodzinnej z r. 1875 (N. N. z 19 Listop. i 15 grudnia). Memorjał, do którego artykuł Gazety Polskiej dał powód, mieści się w Pamiętniku Towarzystwa Mickiewicza (T. V str. 245—256) w przekładzie Tretiaka z rękopisu Bibljoteki Kórnickiej (rękop. N. 29).

Z takich rozrzuconych tu i owdzie wiadomości o przebiegu sprawy wywołanej przez ówczesne władze Królestwa, wskutek wydrukowanego w Gazecie Polskiej artykułu Malinowskiego, daje się odtworzyć obraz ówczesnych stosunków prasowych warszawskich i niezwykłe, jak na owe czasy, następstwa faktu, z natury swej arcyzwykłego.

W dniu 3 marca 1828 r. przesłał był Senator Nowosilcow do Gienerał lejtnanta hr. Kuruty odezwę treści następującej: „J. W. Panie hrabio Dymitrze Dymitrowiczu! Znalazszy w jednym z ostatnich numerów gazety miejscowej: Korrespondent warszawski artykuł szczególniejszej wagi, mam zaszczyt załączyć J. W. Panu rosyjski jego przekład z prośbą o zakomunikowanie go Jego Cesarskiej Wysokości Cesarzewiczowi.

„Uważam przytym za właściwe nadmienić, że wzmiankowany w powołanym artykule autor i poeta, Mickiewicz, przyjmowany z tak niezwykłą czcią w kole mieszkających w Petersburgu Polaków, jest tymże Mickiewiczem, który, za należenie do towarzystwa tajnego filareckiego, z Mocy Najwyższego Rozkazu z roku 1824 wysłanym został z gubernij polskich w głąb Rosji, z zabronieniem powrotu do powołanych gubernji, bez należytego zezwolenia.

„Racz J. O. Panie przyjąć zapewnienie najgłębszego mego poważania.

Oddany sługa

Nowosilcow."

III.

Otrzymawszy od Gienerała Kuruty powyższą odezwę, Książe Konstanty zażądał od Senatora Nowosilcowa szczegółowego raportu o okolicznościach towarzyszących wyprawionej w Petersburgu Mickiewiczowi owacji, jako też o samym poemacie Konrad Wallenrod, który taki entuzjazm obudził wśród rodaków poety.

Następstwem owego rozkazu był powołany memorjał Senatora Nowosilcowa.

„W ubiegłym miesiącu marcu — pisał Senator — uznałem za swój obowiązek przedstawić do wiadomości Waszej Cesarskiej Wysokości, za pośrednictwem Naczelnika Głównego Sztabu Waszej Cesarskiej Wysokości, artykuł zamieszczony w pismach warszawskich o poecie polskim, Mickiewiczu.

W artykule pomienionym wzmiankowano, że Mickiewicz, przyjęty z takim wyróżnieniem przez mieszkających w Stolicy Polaków, przyjechał tam w celu wydrukowania nowego swego poematu, zatytułowanego: Konrad Wallenrod.

W następstwie otrzymałem wydrukowany w S. Petersburgu egzemplarz owego poematu i znalazłem osnowę jego za zasługującą na uwagę Rządu do tego stopnia, że ośmielam się donieść o niej Waszej Cesarskiej Wysokości z uwagami mojemi.

„Wiadomo i niejednokrotnie już uważano, że poeci polscy wysławiają czyny przodków, głoszą o sławie narodowej, o wielkich tryumfach wodzów polskich i monarchów i tą drogą starają się pielęgnować patryjotyzm polski.

„Dopókąd takowe dążności trzymają się w granicach właściwych, nie zawierają one w sobie nic szkodliwego. W dzielnicach dawnej Polski, do Rosji przyłączonych, nie uchylono ani dawnego prawodawstwa i postępowania sądowego, ani też używania języka polskiego. Pozostawiono Polakowi jego narodowość polską, a będąc wiernym poddanym swoich Monarchów, może kochać swój język i przekazane przez ojców obyczaje i ustawodawstwo. Jeżeli patryjotyzm jego nie przekracza owych granic, nie jest on występnym i uzasadnia się Najmiłościwszemi Rosyjskich Monarchów przy objęciu kraju polskiego ogłoszonemi deklaracjami.

„Lecz sprawa przedstawia się w innym świetle, o ile z takowym patryjotyzmem kojarzą się mrzonki o przyszłej nieza-

wisłości Polski i jeżeli utwory pisarzy polskich zmierzają ku budzeniu w duszach współrodaków tego rodzaju myśli; albowiem w takim wypadku sprzeciwiają się one wiernopoddańczej uległości, odwracają serca ich od istotnej Ojczyzny, skłaniając je do jakowejś jeszcze nieistniejącej i przyszłej.

„Jeżeli więc tego rodzaju utwory są szkodliwe a nawet występne, to jakże mianować te, które, będąc przyobleczone w ułudne piękno poezji, uczą pielęgnowania ukrytej nieprzyjaźni, maskowanego wiernopoddaństwa i przygotowania współmieszkańcom, uważanym za cudzoziemców, z racji tej, że nie są współplemieńcami, najhaniebniejszej zdrady.

„Do utworów tego rodzaju należy poemat Mickiewicza pod tytułem „Konrad Wallenrod", treść którego ośmielam się w krótkości przedstawić.

„Autor nazwał książkę powieścią historyczną i, aby skojarzyć historję z poetyckiemi swemi pomysłami, czyni następne domniemania, z istotnemi dziejami najzupełniej niezgodne.

„Twierdzi on, że Litwa i Prusy stanowiły jedno państwo pod władztwem książąt litewskich i że znany zakon rycerski, nazwany teutońskim (l' ordre teutonique, der deutsche Ritterorden) opanowawszy w XI stuleciu Prusami i Inflantami, zagarnął Litwinom ich dziedziny.

„Następnie domniemywa się, że żyjący w XIV wieku (1392) Wódz pomienionego Zakonu, albo mistrz wielki, Konrad Wallenrod, bojujący z Litwą, nie był Niemcem, lecz z urodzenia Litwinem.

„Wzięty w młodości swej do niewoli przez Rycerzy, wychowywał się u nich i łaskami był przez Mistrza obsypany. Jednakowoż wychowanie i dobrodziejstwa nie przeinaczyły jego myśli. Pozostał on w duszy swej Litwinem, a pragnąc zemścić się na Rycerzach, zbiegł do swej Ojczyzny, lecz wrócił do nich ponownie i, żywiąc w sercu zemstę, pod fałszywym nazwiskiem Wallenroda do tego stopnia w wojnach z Hiszpanami się odznaczył, że go Zakon wybrał za swego wielkiego Mistrza. Po osiągnięciu tej najwyższej godności, już w wieku zgrzybiałym i o siwiznie, przygotowując życie całe do urzeczywistnienia zamysłu swego, spełnia nakoniec tajne przedsięwzięcie, o jakim od młodości marzył.

„Namówiwszy Zakon do rozpoczęcia wojny z Litwą, gromadzi jako Wódz całą jego potęgę, uprzedza o tym Litwinów, wraz z niemi urządza zasadzki, prowadzi następnie rycerstwo

ufające mu, jako swemu wodzowi, i naraża je na zgubę nieuchronną, drogą zdrady, głodu i chłodu.

„Takim jest ów straszny bohater, którego P. Mickiewicz wybrał dla swego poematu, okrasiwszy go całym blaskiem poezji, jakim tylko mógł rozporządzać.

„Nie znalazszy w rzeczywistej historji, można to z chlubą zaznaczyć, postaci historycznej o tak nikczemnym charakterze, sam on ją wymyślił, do czego się przyznaje w uwagach do swego utworu. Powiernikiem bohatera czyni on starego piśniarza, nazwiskiem Halban, pod którego maską prawdopodobnie siebie samego przedstawia.

„Gdy trybunał tajny, dowiedziawszy się o zdradzie Wallenroda, na śmierć go skazuje i wysyła wykonawców swego wyroku, wówczas Wallenrod, przenosząc śmierć z rąk własnych, wypija czarę trucizny, połowę której podaje pieśniarzowi, lecz ten odtrąca podobną śmierć, mówiąc: „Nie, ja przeżyję — i ciebie mój synu! Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki i żyć — ażebym sławę twego czynu (t. j. wyżej opisaną niewdzięczność i nikczemną zdradę) zachował światu, rozgłosił na wieki. Obiegnę Litwy wsi, zamki i miasta. Gdzie nic dobrego pieśń moja doleci. Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci. Będzie ją śpiewać — i kiedyś, w przyszłości, z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości".

„Zwracając teraz uwagę na to, że Mickiewicz wymyślił sławiony przezeń bohaterski czyn Wallenroda, którego, jak świadczą dziejopisowie i sam Mickiewicz, tenże nigdy nie dokonał, jak również na to, że Niemcy nigdy na Litwie nie panowali, że przeciwnie, za czasów Wallenroda Litwa miała swych niezależnych i potężnych książąt, których posiadłości obejmowały ziemie, stanowiące obecnie gubernje litewskie, Mińską, Białoruską, Podolską i Wołyńską, a nawet część Chersońskiej gubernji i Królestwa Polskiego — czyż nie należy stąd wnioskować, że Mickiewicz marzy o jakimś przyszłym Wallenrodzie, mającym się zemścić za zburzenie niezawisłości Litwy, na którą Rycerze nigdy nie godzili. Stawiając już zgóry urojonego, wymyślonego Wallenroda, spodziewa się on, być może, wskrzeszenia rzeczywistego i ucieleśnienia w historji przyszłej bohatera, w marzeniach własnych urodzonego.

„Do takowego wniosku prowadzi, prócz dwuznacznej treści, wiele wierszy jego poematu, włoski epigraf na karcie tytułowej, gdzie powiedziano: Dovete adunque sapere come so-

no due generazioni da combattere — bisogna essere volpe e leone... t. j. powinniście jeszcze wiedzieć, jak należy walczyć z dwoma pokoleniami... należy być lisem i lwem.

„Na co umieszczać podobne wyrzeczenie, zaczerpnięte prawdopodobnie z Machiavela, lub innych podobnych pisarzy politycznych, na tytułowej karcie baśni, napisanej wierszami, jeśli to istotnie tylko baśń i nie ma innego, utajonego celu? Teraz ośmielę się przedstawić jeszcze nieco uwag, dotyczących wpływu, jaki on mieć może na moralność.

„Oto w krótkości przedstawiony cel polityczny utworu.

„Lecz cel ten jest widoczny. Polega on na dążeniu do rozniecenia gasnącego patryjotyzmu, do krzewienia nieprzyjaźni, przygotowania przyszłych wydarzeń, do nauczania żyjącego pokolenia by było obecnie lisem, ażeby z czasem na lwa się zamienić.

„Bohater, którego chwałę opiewać będą we wszystkich wioskach litewskich, zamkach i miastach, a matki stawiać jako wzór dziatkom swoim, opisuje siebie samego w taki sposób:

„Krzyk okropny do broni! Niemcy są w mieście, do broni... Ojciec wypadł z orężem, wypadł i więcej nie wrócił — Niemcy wpadli do domu. Jeden puścił się za mną, zgonił, porwał mnie na koń... Lata dzieciństwa płynęły, żyłem wśród Niemców, jak Niemiec. Imię było niemieckie, dusza — litewską została. Został żal po rodzinie, ku cudzoziemcom nienawiść. Winrich, mistrz krzyżacki, chował mnie w swoim pałacu. On sam do chrztu mnie trzymał, kochał i pieścił jak syna. Jam się nudził w pałacach, z kolan Winricha uciekał do Wajdeloty starego. Wówczas między Niemcami był Wajdelota litewski, wzięty w niewolę przed laty... Zemstę przeciw Niemcom podniecał. Pomnę, jak w zamek wróciwszy, nóż otrzymałem tajemnie, z jaką zemsty rozkoszą rżnąłem kobierce Winricha, lub kaleczyłem zwierciadła. Na tarcz jego błyszczącą piasek miotałem i plwałem. Serce bolało słuchając. Chciałem mordować Krzyżaków. Starzec hamował zapędy... Zostań jeszcze i przejmij sztuki wojenne od Niemców... Staraj się zyskać ich ufność, dalej zobaczym, co począć?...

„Oto wyznanie młodego Litwina, któremu, wedle własnych jego słów, Rycerze ocalili życie, a Mistrz wychował u siebie, jak syna. Teraz wypisuję jeszcze ostatnie jego słowa, gdy zostawszy naczelnym wodzem i zgubiwszy zdradą całe wojsko, sam wychwala swe bohaterstwo:

„Gotowym umrzeć, czegoż chcecie więcej? Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy? Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy, na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy! Słyszycie wicher? Pędzi chmury śniegów! Tam marzną waszych ostatki szeregów! Słyszycie? Wyją głodnych psów gromady... one się gryzą o szczątki biesiady! Ja to sprawiłem! Jakim wielki, dumny. Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem..."

„Mniemam, że podobnych charakterów nie należy stawiać za wzór i jeżeli z jednej strony przypuścić, że wraże zamysły i dążenia do swobody są uczuciami właściwemi pokonanym, usprawiedliwiającemi nawet niewdzięczność i zdradę, to z drugiej, wyprowadzić by należało wniosek, że zwycięzcy powinni zupełnie wytępić zwyciężonych, bo ci ostatni nie pragną pokoju, lecz w tajemnicy przygotowują najstraszliwszą wojnę, wychowując do tego celu i następne pokolenia.

„S. Petersburska Cenzura, przyzwoliwszy na wydrukowanie poematu Mickiewicza, postąpiła, zdaniem moim, nietylko bez należytej ostrożności, lecz nawet wbrew § 164 Ustawy o Cenzurze z roku 1826, gdzie powiedziano, że utwory literackie, niezgodne z moralnością, podlegają zakazowi. Charakter zaś Wallenroda, zdrajcy i intryganta, przedstawiony jako wzór godny naśladowania, niewątpliwie nietylko sprzeciwia się moralności, lecz jest najwyższym stopniem rozkiełzania umysłu i serca ludzkiego.

„Przedstawiam wszystko powyższe Waszej Cesarskiej Wysokości, nie w tym celu, aby ściągnąć jakąśkolwiek karę na Mickiewicza, gdyż, zdaniem moim, podobne zamiary należy nie tyle tłumić karami, ile uprzedzać środkami skutecznemi: lecz czynię to jedynie z tego względu, aby zaznaczyć, na jak baczną uwagę zasługują utwory osobistości, działających za podszeptem urojonego patryjotyzmu.

„Mickiewicz, ujawniwszy swój tryb myślenia udziałem w tajnym towarzystwie Filaretów, do którego założycieli należał i będąc wskutek tego, z mocy Najwyższego rozkazu wysłany z gubernji polskich, bez żadnej zresztą kary, przedstawia się w swych poprzednich dziełach, wydrukowanych w języku polskim w Moskwie, jakimś politycznym męczennikiem, wygnańcem z własnej Ojczyzny i tułającym się ze zbolałą duszą po cudzoziemskich krajach. O jego obecnym zawitaniu do Petersburga doniosły gazety polskie z niezwykłym zapałem.

„W wydanej w S. Petersburgu przez rodowitego Polaka, Bułharyna, rosyjskiej gazecie, pod nazwą Północna Pszczoła wydrukowano w N. 22 następny artykuł: „W S. Petersburgu wydrukowano nowy utwór najznakomitszego poety polskiego Adama Mickiewicza, pod tyt. Konrad Wallenrod, powieść historyczna wierszem, zaczerpnięta z dziejów Litwy i Prus. Dawno już mieliśmy zamiar pomówić o utworach tego poety, teraz, wobec wydanego utworu, który zajmie jedno z pierwszych miejsc w literaturze narodów słowiańskich, zapoznamy z nim czytelników naszych.

„Nowy ten utwór z trzema litograficznemi ilustracjami sprzedaje się w księgarni Grecza po Rubli 10 za ezgzemplarz i. t. d.

„Na cóż te wszystkie emfatyczne ogłoszenia o dziele miernym, które wprawdzie zawiera miejscami bardzo dobre wiersze, ale także i wiele słabych i bez znaczenia, składa się jakby z różnobarwnych gałganków z nierównych części, co nie powinno znajdować się w dziele tak wychwalanym? Czyż nie widać w tym jawnej stronniczności dla dzieł i autorów tego rodzaju? W Mickiewiczu widzą mniemani patryjoci przedstawiciela swych tajemnych zamysłów i chwaląc i wynosząc jego dzieła, rozpowszechniają idealnie w innych własne swe uczucia.

„Ośmieliwszy się przedstawić Waszej Cesarskiej Wysokości sąd mój o tym przedmiocie, czynię wniosek, że dla zapobieżenia rozpowszechnianiu podobnych idei za pomocą druku, byłoby zgodne z celem nakazać komitetom cenzury, iżby dzieła Mickiewicza i inne tego rodzaju utwory literatury polskiej, zawierające w sobie rzeczy zaczerpnięte z historji polskiej, lub odnoszące się do polskiej narodowości, odsyłano na rozpatrzenie do Wileńskiego Komitetu Cenzury. W ten sposób można będzie, bez rozgłosu i z powodzeniem, bez zbytniego zresztą krępowania literatury zatamować wydawnictwo dzieł szkodliwych w rodzaju wyżej opisanym.

„Wiadomym jest Waszej Cesarskiej Wysokości, jak silne wrażenie i szkodliwy wpływ wywarła na umysły młodzieży tragiedja Szyllera Rozbójnicy. W wielu miejscowościach, w miastach uniwersyteckich Rządy widziały się zmuszone zabronić wystawienia tej tragiedji. Nierównie szkodliwszego wpływu należy oczekiwać od dzieła w rodzaju Wallenroda; dotyczy ono bowiem najsilniejszych uczuć serca ludzkiego i uczy najprzebieg-

lejszej zdrady, nieprzejednanej nienawiści, wystawiając je jako najszlachetniejsze dążenia wielkodusznego patryjotyzmu".

IV.

Następstwem memorjału Senatora Nowosilcowa było powołanie redakcji Gazety Polskiej do objaśnień o źródle pochodzenia ogłoszonej korespondencji. Redakcja nie mogła zataić, że list ów okazanym był jej przez Michała Kątkowskiego, urzędnika ówczesnej Komisji Skarbu, ulubieńca jej dyrektora Ludwika hr. Platera, którego żona w przyjaznych z księżną Łowicką pozostawała stosunkach.

Wskutek instancji księżny postanowiono łagodnie z Kątkowskim postąpić, zażądano wszakże od niego wyjaśnień o autorstwie korespondencji. Kątkowski wyjaśnienie to złożył, nie wspomniawszy ani o Zelwietrze, ani o Suchodolskim.

W. Książe w raporcie złożonym Cesarzowi Mikołajowi opisał fakt uczczenia Mickiewicza przez kolonję polską w Petersburgu i zwrócił uwagę na rozgłos, jaki owo uczczenie miało w prasie warszawskiej:

Powtarzamy tu ustęp z pamiętników Malinowskiego:

„Cesarz rozkazał dowiedzieć się, co tak nadzwyczajnego zrobiono dla Mickiewicza? Wówczas zajmował przy szefie żandarmów hr. Benkendorffie posadę dyrektora Maksymiljan von Fock, z którym redaktor Pszczoły Północnej Tadeusz Bułharyn był zaprzyjaźniony.

„Kiedy hr. Benkendorff otrzymał rozkaz Cesarski i poruczył panu von Fock rzecz wyjaśnić, wówczas znajdował się w jego gabinecie Bułharyn i oświadczył, że może mu będzie pożytecznym w rozwiązaniu zagadki. Jakoż nazajutrz zobaczył się z Malinowskim i zapytał, co się działo w dniu imienin Mickiewicza? Malinowski odczytał mu opisanie tego wieczoru ze swego dziennika i nie widział potrzeby kryć, że pisał do Warszawy do Zelwietra list w tym przedmiocie, lecz nic nie wie, co potym nastąpiło. Tegoż dnia na żądanie P. von Flock Malinowski z Bułharynem pojechał do niego na herbatę. Tam pokazano mu numer Gazety Polskiej, w którym odczytał bezimiennie niby umieszczony swój list, ale widocznie przerobiony, albo umyślnie, albo że przerabiacz pochwycił tylko ogólny jego zarys ze słuchania i potym powtórzył go własnemi słowami. Malinowski dodał, że uczta 24 Grudnia odbyła się

w domu Zerbina, w mieszkaniu Adama Rogalskiego, że policja była podług przepisów uwiadomioną, że na wieczór zebrało się 40 osób, że Rogalski nawet ich listę, jak tego przepisy wymagają, do „Części“ przesłał. Von Fock rad z tych objaśnień zażądał natychmiast raportu od policji i rzeczywiście urzędowa lista została mu przesłana.

„Znalezienie na niej nazwisk: Jelskiego, Łęskiego, Sapiehy i wielu innych, dobrze już znanych w Petersburgu, rozweseliło von Focka. Hr. Benkendorff złożył swój raport Cesarzowi, który, chcąc zapewne okazać Wielkiemu Księciu, że wie wszystko co się w stolicy dzieje, zawiadomił go, że lepsze towarzystwo Polaków bawiących w Petersburgu chciało odbyć swoim zwyczajem kucję, a właściwie dzień ten zbiegał się z imieninami Mickiewicza, który, jako urzędnik kancelarji Generał Gubernatora Moskiewskiego, razem z nim do Petersburga przyjechał. Ordynatorowie tej kucji składkowej, obrawszy dom, w którym ją odbyć mieli, uwiadomili o tym policję i dołączyli listę mających się zebrać osób, że po wieczerzy grano na fortepjanie, malarz Orłowski domownik i pensjonarjusz Cesarzewicza rysował, a Mickiewicz deklamował wiersze, których przedmiotem był koniec XVI wieku, że pracujący w bibljotece publicznej Malinowski, o którym policja ma najlepsze doniesienia, opisał w liście do Zelwietra, człowieka od lat 25 w Petersburgu zamieszkałego i z najlepszej strony znanego, cały ten wieczór. Tak więc w rzeczy, która się podług prawideł i z zachowaniem prawideł odbyła, niema powodu upatrywać coś zdrożnego“.

„Gdy relację powyższą w Belwederze otrzymano, Wielki książe rozgniewany, że Kątkowski zataił, kto i do kogo list o uczcie petersburskiej napisał, zabronił mu pełnienia dalszej służby rządowej w Warszawie i polecił wyjechać do rodziców w powiecie Swiciańskim, w Sieniszkach, w blizkości Dangeliszek zamieszkałych“.

Dnia 29 maja 1828 r. otrzymał Senator Nowosilcow od W. Księcia list osnowy następującej:

„Ze śledztwa przeprowadzonego wskutek raportu Waszego do Naczelnika Głównego sztabu mojego z d. 3 ubiegłego miesiąca marca za N. 372 w sprawie wydrukowanego w gazetach warszawskich artykułu o improwizacji wygłoszonej w Petersburgu przez polskiego pisarza Mickiewicza — okazuje się, że urzędujący w kancelarji Ministerjum Skarbu w Królestwie Pols-

kim i wysłany z mego rozporządzenia do gubernji Wileńskiej do miejsca urodzenia szlachcic, Michał Kątkowski, ułożył pomieniony artykuł według opowiadań o improwizacji Mickiewicza, nie mając zamiaru wydrukowania go w pismach, lecz oddał go jedynie do odczytania koledze swemu służbowemu, urzędującemu dotychczas w pomienionej Kancelarji szlachcicowi, Rajnoldowi Suchodolskimu, który zakomunikował go również w takim celu Redaktorowi wydawanej w Warszawie Gazety Polskiej, Benedyktowi Czeplińskiemu, a ten dopiero (jak objaśnił) artykuł pomieniony, jako zawierający w sobie literacką nowinę o pojawieniu się między pisarzami polskiemi improwizatora, uznał za odpowiedni do pomieszczenia w pismach i dla tego, wyjednawszy sobie na to przyzwolenie cenzury miejscowej, zarządził wydrukowanie rzeczonego artykułu w wydawanej przez siebie Gazecie Polskiej, z której ją i w innych wydawanych w Warszawie pismach przedrukowano.

„O czym mam zaszczyt zawiadomić JW. Pana i prosić o wydanie rozporządzenia, by miejscowej Cenzurze uczynionym zostało wypomnienie, iż udzielać zezwolenia na wydrukowanie pomienionego artykułu nie należało".

Warszawa, 29 maja 1828.

Gienerał Inspektor Kawalerji

(podp.) Konstanty.

Wykonując powyższy rozkaz, zwrócił się był Senator Nowosilcow do ministra Oświecenia hr. Grabowskiego z odezwą treści następującej:

„Jego Cesarzowiczowskiej Mości Wielkiemu Księciu Cesarzowiczowi, za którego rozkazem Michał Kątkowski, urzędnik w Ministerjum Skarbu Królestwa Polskiego, odesłany został do gubernji Wileńskiej na miejsce urodzenia za napisanie i umieszczenie w Gazecie Warszawskiej artykułu o improwizacji Adama Mickiewicza, doniesione było, że tenże Pan Kątkowski napisał powyższą wiadomość z odgłosu publicznego w Warszawie o tym poecie, a nie mając zamiaru drukiem jej ogłosić, udzielił jej do przeczytania koledze swojemu Rajnoldowi Suchodolskiemu, który następnie w tymże samym celu pozwolił jej Redaktorowi Gazety Warszawskiej Benedyktowi Czeplińskiemu i ten dopiero, jak się okazało, wiadomość tę, uzyskawszy poprzednie pozwolenie tutejszej cenzury, umieścił w swoim piśmie, z którego i w inszych przedrukowaną została.

„Jego Cesarzowiczowska Mość, Wielki Książe, reskryptem swoim z d. 29 maja/10 czerwca r. b. zaszczyciwszy mię o powyższych okolicznościach uwiadomieniem swoim, polecić mi raczył zwrócić uwagę tutejszej Cenzury, że jej nie wypadało dawać pozwolenia na umieszczenie w pismach publicznych powyższej wiadomości. Wypełniając to polecenie Najjaśniejszego Cesarewicza, mam honor, z mej strony, upraszać J. W. Ministra o oświadczenie tutejszemu Komitetowi Cenzury niewłaściwości w tym względzie jej postąpienia".

V.

W zeszycie listopadowym 1903 zasłużonego dla historji Rosji i wogóle krajów słowiańskich czasopisma petersburskiego „Russkaja Starina" redaktor-akademik Mikołaj Dubrowin podał szereg dokumentów, z opisaną powyżej sprawą ścisłą łączność mających. Znajdujemy tam między innemi i w całej osnowie po raz pierwszy w publicystyce rosyjskiej ujawniony raport Senatora Nowosilcowa o poemacie Mickiewicza „Konrad Wallenrod", jako też objaśnienie, przedstawione Cesarzowi Mikołajowi I ze strony III oddziału własnej Jego Cesarskiej Mości kancelarji, odpierające zarzuty Senatora Nowosilcowa w sprawie rzekomej szkodliwości tendencji owego poematu.

Pomijając szczegóły odnoszące się do zarzutów, jakoby znany pisarz Tadeusz Bułharyn był niejako pośrednikiem między b. towarzystwem „Szubrawców" wileńskich, a inteligiencją ówczesną rosyjską, jako też rozmyślnym chwalcą sławy Mickiewicza, przytoczyć w tym miejscu należy jedynie ustęp dotyczący bezpośrednio poematu „Konrad Wallenrod" i następstw wrażenia jakie cały raport wywarł był na umyśle Cesarza Mikołaja, przekonawszy Monarchę o bezpodstawności zarzutów Senatora.

Raport pomieniony sięga 28 lipca v. s. 1828 roku.

„Wypadki opisane w poemacie — tak brzmi ustęp odnośny w przekładzie — należą do wieku XIV i do wojny pogańskiej Litwy z rycerzami mieczowemi. Wallenrod lub Alf, wychowany między rycerzami i ochrzczony, poznajomił się ze starym bardem pruskim i stosownie do rad jego uciekł do wielkiego księcia Kiejstuta i zakochał się w córce jego, Aldonie. Będąc bardziej od innych Litwinów wykształconym, zyskał Wallenrod wzajemność księżniczki, lecz ród jego i wiara stawiały ta-

mę związkowi małżeńskiemu, dopóki Kiejstut nie zgodził się na połączenie kochanków. Nastąpiła nowa wojna z rycerzami i Wallenrod, nie mogąc się im oprzeć, zmuszony do ucieczki, do porzucenia żony, zaprzysiągł przed teściem, że się na rycerzach pomści. Zaciąga się do szeregów krzyżowców, zjednywa sobie godność mistrzów, wydaje wojnę Litwie i zdradą ściąga nieszczęście na zakon. Dowiadują się wreszcie, kto zacz ów Wallenrod. Ten, dręczony w sumieniu swoim i osądzony przez trybunał westfalski, ginie od trucizny, dopuszczając się samobójstwa.

„Poemat ów jest rodzajem romansu historycznego, w rodzaju „Marmiona" Walter-Scotta. Trzy ćwierci poematu obejmują opis miłości Wallenroda z Aldoną i wypełniają się ich rozmowami, oraz wspomnieniami minionego szczęścia. Część ostatnia poświęcona opisowi wojny nieszczęsnej i sądu, który Wallenroda ukarał za zdradę.

„Tak więc oskarżyciele poematu pozostawili na uboczu treść utworu i główny jego interes i wskazują jedynie na jeden jego epizod, na opis ucieczki Wallenroda i wojny z rycerzami. Oskarżają poemat o rozkrzewianie zgubnego patryjotyzmu polskiego, pomimo że w poemacie ani słowa o Rosji, ani o Polsce niema. W jednym tylko miejscu autor, wyliczając sąsiadów Litwy, mówi: „Stąd dzielny Rusin, stąd Lach niespokojny" to jest, z jednej strony dzielny Rosjanin, a z drugiej burzliwy Lach! A więc dotknąwszy w jednym wierszu Rosji i Polski, autor w wyborze epitetów pochlebniejszy odniósł do ruskiego. Wojna opisana w poemacie posiada charakter średniowieczny. Jeśtto wojna religijna między bałwochwalcami a rycerzami mieczowemi, między mistrzem zakonu, a władcą litewskim. Po upływie lat 500 wszystko odnoszące się do polityki zmieniło się i w utworze pozostała jedynie cecha artyzmu; polityka nie istnieje ani dla dawnej Litwy, ani też dla zakonu krzyżaków.

„Nie do pojęcia, dla czego obwiniają poemat o to, że nie jest historyczny, lecz przepełniony fantazją. W istocie, nie jest to historja, albowiem historji wierszami się nie układa! Autor wymyślił miłość i ubarwił to uczucie w sposób artystyczny, lecz mimo to utwór nie przestaje być historycznym dla tego, że główne osoby poematu zaczerpnięte są z historji i charaktery ich przedstawione w taki sposób, jak je opisała historja. Czerpał autor z Duisburga, Hartknocha i Kotzebuego.

W końcu poematu są odsyłacze i dowody, że poemat osnuty został na tle historji.

„Napróżno również obwiniają autora, że rozmyślnie skojarzył historję Litwy i Prus i że narody te nigdy ze sobą złączone nie były. Przeciwnie, wszyscy historycy, poczynając od Nielanda i Duisburga, aż do Kotzebuego, Karamzina i Keppena, traktują dzieje obu narodów jako przedmiot jednolity i wszelkie materjały do historji Litwy mieszczą się w historji Prus. Zresztą, jakież to niebezpieczeństwo z owych wspomnień powstać może? Między Prusakami a Litwinami już od wielu wieków niema żadnych stosunków. Czyż można przypuszczać, aby piszący o Czuchnach, Tatarach lub Nowogrodzianach miał na widoku cel poduszczenia owych narodów przeciw Rosji przypomnieniem ich dawnego bytu?

„W poemacie „Wallenrod" niema żadnych w tej mierze napomknień i poemat ten, dozwolony przez dwie cenzury w Rosji, zyskał debit w Prusiech i wydrukowany został w Poznaniu. Nikt się w nim nie dopatrzył aluzji do obecnych stosunków.

„Obwiniają autora, że charakter Wallenroda uczynił złym i niemoralnym. Zarzut zasadny, lecz w literaturze bynajmniej nie wyjątkowy. Jeżeli przedstawiać wyłącznie osobistości moralne — nie byłoby ani tragiedji, ani poematu tragicznego, w których opisują się namiętności i występki ze zgubnemi ich następstwami. Poemat „Wallenrod" zbliża się do tragiedji a nawet składa się z rozmów. Autor przedstawił Wallenroda takim, jakim go opisali historycy Prus: Duisburg, Lucas, David i Kotzebue, nigdzie go nie chwaląc, ani nie usprawiedliwiając. Wallenrod przedstawiony jest jako człowiek gwałtownych namiętności, wtrącających go w zgubę. Jest on mściwy i z zemsty knuje zdradę, lecz sumienie go dręczy i za to spotyka go kara opatrznościowa. Męki Wallenroda, wzgarda, jaką go okrywają, koniec żałosny, mogą raczej obudzić w czytelniku wstręt do podobnych czynów, lecz nie podbudkę do ich naśladowania. „Charakter Wallenroda groźny. Jest on mężny, lecz podstępny i oto powód, dla którego podano epigraf: „B i s o g n a e s s e r e v o l p e e l e o n e". Epigraf ten nie jest przestrogą, lub nauką moralną, lecz, właściwie mówiąc, treścią lub esencją nastroju całego utworu, odblaskiem głównej jego osobistości i czynów. Dla czego oskarzyciele poematu „Wallenrod" i epigrafu jego, obwiniając autora o zamiar krzewienia patryjotyzmu polskiego przypomnieniem historji litewskiej, zapomnieli o innym epigra-

fie pomieszczonym w tymże utworze, w przedmowie, gdzie autor, tłumacząc się z trybu swego myślenia, mówi między innemi:

Was unsterblich im Gesang soll leben,
Muss im Leben untergehen.

„Autor dowodzi, że historja Litwy z tego mianowicie względu poematyczna, że naród litewski nie może istnieć odrębnie. Zresztą epigraf: „Bisogna essere volpe e leone" jestto znany emblemat polityki włoskiej średniowiecznej i do wszystkich wogóle zdrajców się stosuje.

„Oskarzyciele napadają głównie na ustęp, w którym opisane dzieciństwo Wallenroda czyli Alfa, który, będąc wychowany w wierze chrześcijańskiej, nienawidzi mistrza i znowu zbiega do bałwochwalców. W wiekach średnich, w wojnach o wiarę takie wypadki często się wydarzały. Zdaje się nawet, że autor poematu wziął za wzór ucieczkę Brinssa od Anglików do Szkotów, ze znanego poematu Walter-Scotta: „The Lord of the isler". Owczesna nienawiść między Litwą a Krzyżakami i okrucieństwa rycerzy mieczowych nie zostały wymyślone przez autora poematu, lecz opisane są we wszystkich kronikach i w historji Prus Kotzebuego. Alf nie jest postacią wymyśloną, lecz historyczną. Nie tylko uciekł sam z Malborga do bałwochwalców, lecz uprowadził nawet z sobą litewskiego księcia Kiejstuta, jak piszą Litwini i tenże Kotzebue".

„Tym sposobem trudno doszukać się aluzji politycznych w poemacie „Wallenrod" bez specjalnego uprzedzenia do autora i chęci dopatrzenia się w nim wszystkiego złego. Nader łatwo znaleźć w każdym poemacie i w każdej tragiedji aluzje, albowiem sprawy ludzkie wogóle podobne są do siebie w różnych epokach i krainach. Każdy romans Walter-Scotta możnaby przystosować do Polski, gdzie również tyle było wojen i buntów ile w Szkocji, i gdzie feodalizm z jednaką działał siłą. Jeżeliby poemat „Wallenrod" obejmował w sobie patryjotyzm polski i budził nienawiść Polaków do Rosjan, jak to twierdzi oskarzyciel, to nie tylko że nie miałby żadnego interesu dla Rosjan, lecz natomiast wzniecałby ich oburzenie. A jednak poemat przełożony został na język rosyjski.

„P. Nowosilcow oskarza poetę Mickiewicza o to, że w wydanych przez siebie w Moskwie sonetach przedstawia się jako ofjara prześladowania politycznego i opiewa swą ojczyznę. O tym ani słowa w sonetach, i dziwić się trzeba, na czym ów zarzut oparty! W jednym tylko sonecie poeta żali się na niewier-

ność kochanki i pyta: czy przypomina sobie dawnego druha, pozostając na dawnym miejscu? O prześladowaniu — ani słowa, ani napomknienia o nim! Sonety owe przełożone są na język rosyjski i nazwane miłośnemi.

„Obok tego należy powtórzyć to, co już raz było powiedziane, a mianowicie, że Mickiewicz jest człowiekiem cichym, skromnym, dalekim od marzeń politycznych, zajętym wyłącznie poezją, jako jedynym środkiem swego utrzymania. Prowadzi się bardzo przykładnie i obudził powszechny dla siebie szacunek. Gienerał-gubernator moskiewski zalecił go z najlepszej strony, a poeta w zupełności owe zalecenie usprawiedliwia. W Wilnie i w Warszawie istnieje stronnictwo literackie, prześladujące go z zawiści dla jego talentu".

Powyższy memorjał z rozkazu Cesarza przedstawiony został do uwag hrabiemu Benkendorffowi, który listem z dnia 26 listopada 1829 zawiadomił A. N. Potapowa, gienerała dyżurnego sztabu głównego, iż Jego Cesarska Mość rozkazać raczył: „pozostawić tę sprawę bez dalszych następstw."

VI.

Niełaska Kątkowskiego nie długo trwała. Pragnąc znaleźć posadę w ludniejszym mieście na Litwie, zwrócił się z podaniem do Wielkiego Księcia o dozwolenie opuszczenia Siemiszek. Prośbę tę Wielki Książe polecił przesłać do opinji Senatorowi i w tym przedmiocie Gienerał hr. Kuruta 1/13 grudnia 1828 napisał do Nowosilcowa odezwę następującą:

„Znany J. WPanu szlachcic gubernji wileńskiej Michał Kątkowski, uwolniony ze służby w komisji Skarbu Królestwa Polskiego i wysłany na miejsce urodzenia pod nadzór policyjny za artykuł i wydrukowanie go w pismach warszawskich o pisarzu polskim Mickiewiczu, nadesłał mi prośbę o pozwolenie mu wyjazdu z dotychczasowego miejsca pobytu w głąb Rosji, dla znalezienia sobie posady w rządowej lub też prywatej służbie.

„Mam zaszczyt donieść o tym J. WPanu, iż z rozkazu Jego Cesarzowiczowskiej Mości przesyłam rzeczone podanie do opinji Waszej, którą przy raporcie najuniżeniej będę miał zaszczyt przedstawić Jego Cesarzewiczowskiej Mości.

(podp.) Gienerał infanterji, hr. Kuruta.

W odpowiedzi na powyższą odezwę Senator Nowosilcow 23 grudnia v. s. 1828 oświadczył: „iż gdy z zakomunikowanego

mi podania szlachcica Kątkowskiego powziąłem wiadomość, iż Jaśnie Wielmożny Pan w odezwie swojej do Radcy Stanu hr. Platera d. 9/21 czerwca za N. 390 raczył donieść o zezwoleniu Jego Cesarzowiczowskiej Mości na to, by Kątkowski starał się o posadę w Rosji, dla tego i z mojej strony nie znajduję przeszkody w przychyleniu się do prośby rzeczonego Kątkowskiego, o czym zawiadamiając, mam zaszczyt itd.

W końcu roku 1828 Mikołaj Malinowski wszedł do zarządu masy Radziwiłowskiej i, korzystając z wyjednanego Kątkowskiemu przebaczenia, sprowadził go do Wilna i w tejże masie dał mu przyzwoitą posadę. W roku 1831 Kątkowski w bitwie pod Lipawą miał zgruchotaną nogę. Po jej amputowaniu wrócił ponownie do Kuratorji Radziwiłłowskiej i ożenił się ze znaną z piękności panną Kasyldą Januszkiewiczówną, którą po krótkim pożyciu utracił.

Żył Kątkowski, jako pełnomocnik hr. Branickich, jeszcze w roku 1861. Data jego zgonu niewiadoma. (Koresp. Mickiewicza T. IV str. 32).

Alexander Kraushar.

ANALOGJA JĘZYKOWA.

Język każdego narodu, każdego nawet plemienia żyjącego nie pozostaje stałym i niezmiennym w swoich częściach składowych, w swoich wyrazach, służących do wypowiadania myśli, ale z biegiem czasu ulega ciągłym, choć nieznacznym zmianom. Zmiany te dotyczą już to pojedyńczych dźwięków, już to zewnętrznych form wyrazów, już też znaczenia ich wewnętrznego, albo też odnoszą się do składni wyrazów w zdaniu, lub wreszcie do ich akcentu. Jak różnorodne są zjawiska zmian w języku, tak też wielorakie i nieraz bardzo złożone bywają przyczyny, które owe zmiany wywołują. Jedną z przyczyn najbardziej wpływających na kształtowanie się form i wogóle na rozwój każdego języka, jest niewątpliwie czynnik psychiczny, zwany analogją, albo asymilacją czyli upodobnieniem. Działanie tego czynnika opiera się bezpośrednio na sile kojarzenia wyobrażeń. Pewne znamiona podobieństwa, jakie dopatrzeć się dają między tworami językowemi, mniej lub więcej różniącemi się między sobą, pozwalają językowi zbliżać je ze sobą i, przez usuwanie pewnych różnic, przeprowadzać ściślejszą pomiędzy niemi łączność. Działanie analogji ułatwia się przez to, że wyrazy każdego języka nie istnieją w oderwaniu, lecz w mowie żywej, w pewnym związku i otoczeniu innych. Dany przeto wyraz podlega wpływowi tego otoczenia, przejmuje od niego niektóre znamiona, zaciera jednocześnie i traci swoje i na po-

dobieństwo otaczających się przekształca. Tym sposobem wyrazy i formy wyrazów, mniej używane w mowie, jako żywioły słabsze, przyłączają się do grup trwalszych, będących w ciągłym użyciu, lub też usuwają się, wychodzą z użycia, ustępując miejsca innym, silniejszym, stateczniejszym. Taką drogą język wśród mnogości i rozmaitości zjawisk dąży do ich uporządkowania, do ujednostajnienia i uproszczenia. Wyrazy i formy językowe, drogą analogji powstałe, nazywają się tworami analogicznemi, niekiedy nowotworami, albo tworami drugorzędnemi czyli wtórnemi; sam zaś proces ich powstawania, oparty na kojarzeniu wyobrażeń, nazywamy upodobnieniem albo asymilacją. Weźmy kilka przykładów.

Wyraz dzisiejszy ojciec miał w staropolskim postać ociec (oćec), którego odmiana w dalszych przypadkach była: oćca, oćcu, oćcem i t. d. te jednak formy, na zasadzie praw głosowych języka polskiego (wymiana ćc, dźc na jc) zmieniły się na: ojca, ojcu, ojcem i t. d. (podobnie jak np. z wyrazu radźca powstała forma rajca, ze zdradźca — zdrajca, z winowaćca — winowajca i t. p.); otóż w formach tych: ojca, ojcu... powtarzająca się zgłoska oj, pojmowana przez mówiących jako należąca do osnowy tego wyrazu, przeniesiona została drogą analogji i do mianownika ociec, chociaż, przy innym zbiegu brzmień, nie wymagała tego żadna konieczność fonetyczna. W ten sposób powstał twór analogiczny ojciec, a tym samym usunięta została różnica pomiędzy staropolską postacią ociec a nowszemi: ojca, ojcu,... wytworzonemi na zasadzie wiadomego prawa głosowego.

Wyraz staropolski żarzewie (od żar), wskutek analogji do kategorji wyrazów, zaczynających się od przedrostka za- (np. zapalenie), zmienił się na zarzewie, i w tej postaci dzisiaj powszechnie się używa.

Przyimek od powstał również drogą analogji ze staropolskiego ot (porówn. otchłań, otwierać) na tej jedynie podstawie, że język polski w gromadzie przyimków posiada: przed, nad, pod, zakończone na spółgłoskę d. Spółgłoska ta, słyszana przed następną samogłoską zawsze jako dźwięczne d (np. nade mną, przed oknem...) była powodem, że i forma ot, samotna w tej gromadzie i innemi podobnemi nie podtrzymana, upodobniła się do tamtych, zmieniając końcowe ciche t na dźwięczne d (od nas, ode drzwi...).

Przysłówek wyżej i przymiotnik wyższy w dawnej polszczyźnie miały postaci: wyszej, wyszszy (od pnia wys-, porów. Wyszogród i t. p.), przeobrażenie zaś swoje zawdzięczają analogji takich wyrazów, jak: niżej, niższy, bliżej, bliższy (od pni: niz-, bliz-) i t. p.

Takie i tym podobne zjawiska w języku, nie będące wynikiem prawidłowych zmian fonetycznych, nie dawały się tłumaczyć za pomocą samych praw głosowych i były powodem tworzenia licznych „wyjątków" od ogólnych prawideł; nazywano je też formami nieorganicznemi, błędnemi, lub naleciałościami nieznanego pochodzenia. Wyjątki te przy wszechstronnym badaniu powoli znikają i przestają być niemi, ilekroć nauka zdoła wykazać, że na wytworzenie zjawiska językowego oprócz praw głosowych złożyły się inne jeszcze czynniki natury psychicznej.

Analogja stosownie do rodzaju zjawisk językowych, bywa: fonetyczna, morfologiczna (w zakresie przedrostków, w osnowach, fleksyjna i t. d.), leksykalna czyli dotycząca postaci całych wyrazów, analogja składniowa czyli syntaktyczna, albo wreszcie analogja akcentowa, dotycząca akcentu czyli nacisku przy wymawianiu wyrazu. Ogarnia ona swym wpływem cały obszar mowy ludzkiej; wskutek czego dokładne zrozumienie dziejów któregokolwiek języka bez należytego uwzględnienia wpływu tego potężnego czynnika byłoby wprost niemożliwe.

Analogja była niemniej ważną przyczyną zmian językowych w czasach przedhistorycznych, w pierwotnej dobie kształtowania się języków, jak i w ciągu dalszego, samodzielnego ich życia; wpływ jej na rozwój języka nie ustał i dziś jeszcze i pozostanie nadal, dopóki istnieć będą ludzie ze swoją organizacją psychiczną i język jako funkcja psychiczno-fizyczna organizmu ludzkiego.

Zwróćmy pokrótce uwagę na każdy z powyżej wymienionych rodzajów analogji.

Objawy analogji fonetycznej w naszym języku są przeważnie djalektyczne. Tak np. gdy nosowe u zanikać poczęło, ustępując miejsca samogłosce ą, wtedy ogólną tę zasadę przeniesiono i na wypadki, w których to u nosowe, a właściwie un było uzasadnione; to dało początek takim okazom fonetycznym, jak: fąt zamiast funt, grąt zamiast grunt, mąklej zamiast mundklej, mądur zamiast mundur, fądusz zamiast fundusz i t. p. Twarde brzmienia końcowe w grupie -amy z form słow-

nych (jak biegamy, czekamy...) wielu mówiących przenosi czysto mechanicznie na zakończenie -ami rzeczowników, stąd wymawianie: rękamy, nogamy, sposobamy i t. p. Zmieszanie brzmień: m' i ń powołało do życia takie nowotwory w mowie ogólnej jak: Mikołaj zamiast Nikołaj (z greck. nikè zwycięstwo i laòs lud), niedźwiedź zamiast miedźwiedź (złożone z mied-w-jed-), Niedzbórz z Miedzybórz; w mowie ludowej: miecka z niecka, mić, mitka z nić, nitka i t. p.

Analogję morfologiczną spotykamy na każdym niemal kroku w historji form deklinacyjnych i konjugacyjnych języka polskiego. Przytoczymy z nich kilka. Wiadomo, że obok form biernika liczby pojed. rodzaju żeńskiego z zakończeniem ę (głowę, matkę, ścianę...), rzeczowniki żeńskie innej kategorji, mianowicie z ostatnią spółgłoską osnowną miękką lub powstałą ze zmiększonej, t. j. takie jak: wola, suknia, prowincja, historja, praca, róża, zorza, miały w starej polszczyźnie, według ogólnej zasady głosowej, tenże biernik zakończony na -ą: tę wolą, tę suknią, prowincją, historją, pracą, różą, zorzą i t. p. Ostatnie te postaci w nowszej polszczyźnie pod wpływem form biernika pierwszej grupy uległy upodobnieniu morfologicznemu i używają się dziś, tak jak tamte, z końcówką -ę: tę wolę, tę suknię, prowincję, historję, pracę, różę, zorzę i t. p. Odwrotnie znowu: dawne formy biernika zaimków: moję, twoję, naszę, waszę, czyję, wszystkę... i liczebnika jednę upodobniły się do form przymiotnikowych na -ą (wielką, piękną...) i, używane w dzisiejszej polszczyźnie z zakończeniem -ą (moją książkę, waszą, pracę, jedną chwilę,...), należą do niecofnionych faktów języka.

Podobnie dawne formy dopełniacza liczby pojed. rzeczowników żeńskich na -ej, takie jak: paniej, lutniej, gospodyniej, okazjej, Francjej,... używane jeszcze na początku wieku XVIII, zmieniły się wskutek analogji innych form żeńskich, jak: matki, drogi, głowy i t. p., i dziś używamy ich tylko z zakończeniem i, y, tj. pani, lutni, gospodyni i t. p.

Pospolite jeszcze w wieku XVI-ym formy celownika liczby mnogiej rzeczowników żeńskich na -am (siostram, matkam, rozkoszam,...) drogą analogji upodobniły się do form tegoż przypadku męskich i nijakich na -om (sąsiadom, panom, słowom...) i tym sposobem znikła różnica fleksyjna, jaka w dawnej polszczyźnie między temi formami istniała, i t. d.

W konjugacji polskiej wyniki działania analogji są jeszcze liczniejsze. Tak np. formy rozkaźnika takie, jak: żnij, tnij,

ciągnij,... dziś jedynie używane, powstały z dawniejszych na -i: żni, tni, ciągni... przez analogję do form innej kategorji słów, mianowicie takich, jak: myj, bij, czyj, i t. p.

Postaci słowne: depczę, kłopoczę, szepczę i t. p., używane dziś powszechnie zamiast dawnych: depcę, kłopocę, szepcę... nie są wynikiem prawidłowych zmian fonetycznych, lecz pojawiły się w języku na zasadzie upodobnienia morfologicznego do form słownych innej kategorji, takich jak: leczę, włóczę, toczę i t. p.

Formy dawne takie jak: kochaję, powiadaję, znaję (porów. po-znaję, wy-znaję...) pod wpływem analogji form słów: dam, wiem, jem, zmieniły się na: kocham, powiadam, znam, i t. p. Tylko w 3-ej osobie l. mn. utrzymała się w języku stara forma odmiany, t. j. kochają, powiadają, znają...

Że forma osoby 3-ej pojed. jest wzięta została za osnowę i dała początek takim nowotworom, jak: jest-em, jest-eś, jest-eśmy... (zamiast postaci staropolskich: jeśm, jeś, jeśmy...) przyczyniła się do tego analogja podobnego stosunku formy 3-ej osoby czasu przeszłego: był do form innych osób: był-em, był-eś,... jak również analogja podobnego stosunku form: zna, słucha, woła... do form: zna-m, zna-sz, słucha-m, woła-m, i t. p.

Odmienny od poprzednich jest rodzaj analogji leksykalnej, dotyczącej znaczenia wyrazów, znany pod nazwą etymologji ludowej albo słoworodu ludowego. Proces ten polega również na sile asocjacji czyli kojarzenia pojęć i jest wynikiem dążności umysłu ludzkiego do tłumaczenia zjawisk niezrozumiałych za pomocą znanych. Zachodzi on wtedy, gdy mówiący, nie rozumiejąc wyrazu, czy to wskutek zatracenia świadomości jego pierwiastku, czy też, jak przy wyrazie obcym, wskutek nieznajomości jego prawdziwego składu, zbliża taki wyraz z innym, pozornie podobnym, lecz znanym sobie, i przekształca go w jego brzmieniu na podobieństwo owego pozornie mu podobnego, znanego, nadając mu postać bardziej swojską, zrozumialszą. I temu sposobowi mylnego tłumaczenia składu lub znaczenia wyrazu każdy język zawdzięcza znaczną część nabytków swego słowozbioru. Mamy ich obfitość i w języku polskim. Tak np. w nazwie łacińskiej cuniculus (królik) Niemcy w wiekach średnich widzieli podobieństwo zewnętrzne do swojego wyrazu kunig (kunic), znaczącego „króla", z końcowym przyrostkiem -ulus, tworzącym rzeczowniki zdrobniałe; przekształcili tedy wyraz ten podług wzoru łacińskiego

na küniglin, künigel, i temi wyrazami oznaczano dawniej królika (w późniejszym języku niemieckim wyrazy te drogą innej etymologji ludowej zmieniły się na kaninchen); w języku polskim w wiekach średnich niemieckie küniglin przetłumaczono dosłownie na „królik"; od nas zaś wyraz ten przeszedł i do rosyjskiego w postaci „krolik".

Z wyrazu cmentarz, o składzie niezrozumiałym (łać. coemeterium z grec. koimetérion) powstał nowotwór smętarz (używany m. in. przez Słowackiego) przez skojarzenie jego znaczenia z pojęciem wyr. smętnek, smętny.

Wyraz sędziwy jest przekształceniem staropolskiego szedziwy (siwy) drogą etymologji ludowej pod wpływem wyrazu sędzia.

Zwietrzały jest przemianą staropolskiego zwietszały (wietchy, wiotchy) wskutek upodobnienia do wyrazów wiatr, powietrze i t. p.

Ze staropolskiego rozrzeszyć (rozwiązać, uwolnić; stsłow. razresziti) powstał wyraz późniejszy rozgrzeszyć, wskutek skojarzenia znaczenia dawnego słowa z wyrazem grzech, który z nim pod względem etymologicznym nie miał nic wspólnego.

Niekiedy przy wprowadzaniu czyli przyswajaniu wyrazu obcego do polszczyzny część tylko tego wyrazu ulega przetłumaczeniu na polskie. Taką drogą powstał np. wyraz bawełna z niemieckiego baum-wolle; lub wyr. pióropusz z niemieckiego federbusch, gdzie obok przekładu części pierwszej (feder — pióro) podciągnięto część drugą -busch pod swojskie brzmienia puch, puszyć.

Wyraz okowita powstał z łacińskich aqua vitae wskutek podprowadzenia brzmienia niezrozumiałego wyrazu aqua pod znane brzmienie rodzimego wyrazu oko, choć znaczeniem zupełnie różnego.

Z francuskiego chocolat utworzyliśmy wyraz czekolada, zbliżając brzmienia pierwszej jego części zupełnie mechanicznie ze słowem znanym czekać, byle tylko obcego przybysza opatrzyć jakim-takim znamieniem swojskości i tym sposobem posiłkowanie się nim w mowie ogólnej ułatwić.

Taką drogą słoworodu ludowego, w każdym języku powstały liczne postaci wyrazów, naprzód w mowie ludowej, z której następnie przeszły do języka warstw ukształceńszych i stały się własnością całego narodu.

Wskażmy choć parę przykładów w innych językach. Francuskie ridicule (woreczek damski siatkowy) jest przeróbką wyrazu właściwego réticule, z łacińskiego reticulum (siatka; rete sieć) wskutek mechanicznego podprowadzenia pod brzmienie wyrazu ridicule (śmieszny), zupełnie różnego i pochodzeniem i znaczeniem.

Niemieckie sündflut (potop) powstało z sinflut (ogólna powódź) wskutek zatracenia prawdziwego znaczenia wyrazu sin i wprowadzenia na jego miejsce wyrazu sünde (grzech), przypominającego w części tamto brzmienie, przyczym czynnikiem kojarzącym była tu pamięć „potopu za grzechy".

Nazwy dzisiejsze niemieckie: Merseburg, Brandenburg są przeróbką dawnych słowiańskich: Miedzybor, Branibor, w których słowiańskie bor (bór) zastąpiono niemieckim burg (miasto).

W serbskim wyraz igracija jest dowcipną przeróbką łacińskiego recreatio pod wpływem wyrazów: igrati, igra.

W języku rosyjskim przykład słoworodu ludowego zewnętrznego, podprowadzającego nieznane brzmienia pod znane, przedstawia m. in. nazwa Carskoje Śeło (sioło pod Petersburgiem), której brzmienie pierwotne było Sarskoje śeło od wyr. fińskiego saari, znaczącego wyniosłość; później zaś wskutek podobieństwa brzmienia wyrazu fińskiego z rosyjskim, różnego zupełnie znaczenia, uległa zmianie na obecną.

Przymiotnik rosyjski blizorukij (znaczący blizkowzroczny, krótkowidz) ma postać jakby blizkoręki, tymczasem nie jest on bynajmniej złożony z wyrazu ręka (ruka), lecz jest przeróbką ludową wyrazu blizzorkij, znaczącego dosłownie blizkowzroki. I t. d.

Takie przekształcenia wyrazów, jak pouczają powyższe przykłady, mogą się odbywać albo drogą czysto zewnętrzną, wskutek podprowadzenia brzmień nieznanych wyrazu pod znane, lecz różne znaczeniem; albo też wskutek upatrzenia pewnego związku myślowego, pozornego powinowactwa myśli, a więc podobieństwa znaczenionego między jednym wyrazem niezrozumiałym a drugim znanym.

Zjawiska analogji składniowej (syntaktycznej), zwanej także atrakcją, wynikają z tej samej zasady przekształcania jednych wyrażeń i zwrotów na podobieństwo drugich. Tak np. wyrażenie staropolskie: „rozpaczać w miłosierdziu bożym" jest analogizmem składniowym do: mieć nadzieję, lub

pokładać ufność w miłosierdziu bożym. Podobnie „wątpić w c o“ (zamiast: o czym) powstało pod wpływem i na podobieństwo wyrażenia: wierzyć w co.

Zgodnie z naturą składni polskiej mówi się: „modlić się za kogo, za co“, a nie: za kim; jednakże znane jest powszechnie wyrażenie „módl się z a n a m i“; powstało ono drogą analogji do: wstaw się za nami, lub proś za nami.

„F r a s z k i o t o “ jest analogizmem składniowym do: mniejsza o t o.

W wyrażeniu „o d s t ó p d o g ł ó w“ druga połowa (do głów) utworzona została na wzór pierwszej. Tak samo wyrażenie: „położyć w głowach“ powstało na podobieństwo: położyć w nogach i t. p.

Język ludowy przedstawia liczne przykłady analogji składniowej; jak oto: wyrażenie „pokłoniwszy Boga“, utworzone na podobieństwo: pochwaliwszy Boga; — „siedzę krokiem w domu“, wywołane równoczesnym wpływem dwu wyrażeń: siedzę kamieniem i drugiego: nie wychodzę, nie ruszam się krokiem z domu; — „czym prędzej po księdza znać dajcie“, będące wynikiem wpływu analogji również dwu zdań: po księdza poślijcie i księdzu znać dajcie; — „śmiercią go położył“ na podobieństwo: trupem go położył; i t. d.

Analogja a k c e n t o w a zdarza się wtedy, gdy wyraz zamiast przycisku sobie właściwego otrzymuje inny, najczęściej podług wzoru obcego; np. wyraz rodzimy n a u k a wymawiany bywa nieraz z akcentem na zgłosce 3-ej od końca (nàuka) na podobieństwo wyrazów obcych, jak: muzyka, fizyka, autor, opera i t. d.; wyraz miljonów — z akcentem na zgłosce m i, analogiczne do tysięcy (zamiast tysięcy); àrchiwum na podobieństwo: muzeum, liceum, i t. p.

Zwrócenie uwagi na analogję i przedstawienie doniosłości tego czynnika psychicznego w rozwoju języka i dla samej nauki, stanowi jedno z charakterystycznych znamion nowszego kierunku psychologicznego w językoznawstwie. Kierunek ten, od czterech dziesiątków lat panujący w nauce, przygotowali psychologowie językoznawcy, przedewszystkim H. S t e i n t h a l pracami swemi, jak „Assimilation und Attraction“ (w „Zeitschrift für Völkerpsychologie und Sprachwissenschaft“ Berlin, 1860), „Abriss der Sprachwissenschaft“ (Berlin 1871) i in.; w znacznej części także W. D. W h i t n e y wykładami, które miał w roku 1867 w Yale College w New-Haven, w Stanach Zjednoczonych

i ogłosił p. n. „Language aud the Study of Language“ (New-York i Londyn 1867). Dzieło to, oprócz kilku wydań angielskich, wyszło i w przeróbce niemieckiej p. n. „Die Sprachwissenschaft. Whitney's Vorlesungen über die Principien der vergleichenden Sprachforschung...“ bearbeitet von Dr. Julius Jolly (Monachjum 1874). Po polsku streścił je A. Dygasiński w dosyć obszernym artykule p. t. „Umiejętność języka“ w „Ateneum“ 1877 r. t. II i IV. Tu należy tegoż Whitneya drugie dzieło „The Life aud Growt of Language“ New-Haven, 1875), przełożone na język niemiecki przez Leskiena („Leben und Wachsthum der Sprache“ Lipsk 1876), na polski przez A. Dygasińskiego: „Życie i wzrost języka“ (Warszawa 1884) i na inne jeszcze języki europejskie.

Na samo zjawisko analogji w języku zwrócił uwagę W. Scherer w dziele „Zur Geschichte der deutschen Sprache“ (Berlin 1868, wyd. 3-e 1890) i z tego względu dzieło to stanowi epokę w historji językoznawstwa. Jednocześnie z nim i niezależnie od niego ogłosił w r. 1868 pracę o analogji Jan Baudouin de Courtenay p. n. „Einige fälle der wirkung der analogie in der polnischen declination“ (w „Beiträge zur vergleichende Sprachforschung“ w t. VI, 19—88). Znakomita ta praca ma dla naszej nauki wartość o tyle wyższą nad dzieło Scherera, iż autor pierwszy wystąpił w niej z systematycznym zastosowaniem analogji do objaśnienia dziejów deklinacji polskiej. W literaturze przeto tego przedmiotu należy się jej miejsce naczelne i chronologicznie i wartościowo.

O analogji w zakresie litewszczyzny posiadamy pracę Al. Brücknera „Zur Lehre von der sprachlichen Neubildungen im Litauischen“ 1878—79 (w „Archiv für slavische Philologie“ t. III i IV).

Podobne zjawiska w języku białoruskim rozpatruje K. Appel w rozprawie „O biełorusskom nareczi“ (Warszawa 1888, w czasop. „Rus. filołogicz. viestnik“).

Z językoznawców niemieckich, oprócz Scherera, sprawę analogji traktowali przedstawiciele nowszego kierunku językoznawstwa: Aug. Leskien, prof. uniw. lipskiego, w dziele „Die Declination im Slavisch-litauischen und Germanischen“ (Lipsk 1876) i dzielni jego uczniowie, twórcy nowszej szkoły gramatycznej (Junggrammatiker): K. Brugmann, H. Osthoff i H. Paul (Brugm. i Osth.: „Morphologische Untersuchungen“ Lipsk, 1878—1890, 5 tomów; Brugmann „Grundriss der vergl.

Grammatik der indogerm. Sprachen" w t. II, Sztrasburg 1890, i tegoż dzieła krótsze opracowanie „Kurze vergleichende Grammatik..." 1902-1903; Osthoff „Das physiologische und psychologische Moment in der sprachlichen Formenbildung" Berl. 1879; Paul „Principien der Sprachgeschichte" Halla 1880, wyd. 2-e 1886, i in.); Wilh. Wundt „Völkerpsychologie. Eine untersuchung der Entwickelungsgesetze von Sprache, Mythus und Sitte. T. I, Die Sprache", rozdź. IV, 424—490 (Lipsk 1900). A. Meillet „Les lois du langage. L'analogie" (w „Revue internationale de sociologie" 1894, II). A. Thumb i K. Marbe „Experimentelle Untersuchungen über die Psychologischen Grundlagen der sprachlichen Analogiebildung" (Lipsk 1901).

Co się tyczy etymologji ludowej czyli słoworodu ludowego, to na znaczenie tego czynnika dla nauki i języka pierwszy zwrócił uwagę E. Förstemann w rozprawie „Ueber deutsche Volksetymologie" 1852 (w „Zeitschrift für vergl. Sprachforschung" I.). Później obszerniejszą pracę temu przedmiotowi poświęcił K. G. Andersen: „Ueber deutsche Volksetymologie" (Heilbronn, 1876). Przed nim jednak w r. 1869 pierwszą rozprawę z zakresu etymologji ludowej polskiej ogłosił Lucjan Malinowski p. n. „Zur Volksetymologie" w t. VI-ym czasop. „Beiträge zur vergleichenden Sprachforschung..." Następna zaś obszerna praca tegoż autora drukowana była w „Pracach filologicznych" p. n. „Studja nad etymologją ludową" (Warszawa, 1884-1890). W r. 1878 wydał w tym przedmiocie cenną rozprawę Jan Karłowicz p. n. „Słoworód ludowy" (odb. z „Dwutygodnika naukowego" Kraków), w której, klasyfikując zjawiska, rozróżnia trzy rodzaje słoworodu: słoworód dotyczący formy (asonacja), — znaczenia (adideacja) i — obojga razem (arradykacja). Przystępny i jasny wykład, bogactwo spostrzeżeń i oryginalność poglądów w oświetlaniu zjawisk i faktów językowych, przytym uogólnienia autora naukowe, mające znaczenie dla językoznawstwa wogóle, są wybitnemi zaletami tej pierwszej w języku polskim napisanej pracy o charakterze ściśle naukowym.

Adam Ant. Kryński.

HISTORJA.

W najogólniejszym i zarazem najrozleglejszym pojęciu jest wiadomością, powieścią, bajką o tym, co było i jak było. Wszystko — rzecz, istota, zjawisko każde ma swoją historję, rzetelną lub bajeczną, jawną lub utajoną, przepadłą, lub ocalałą, bo wszystko stawało się, działo i było: nic też bez dziejów jako spełnienia się i historji jako postulatu pomyśleć się nie da. Przeszłość rozpiera się pod wszelką teraźniejszością, wpływa do wszelkiej przyszłości. Jak na wszelki byt składają się żywioły i formy już zamarłe i jeszcze niewyłonione, tak w każdej rzeczy, która jest, tkwią inne, które już były, i jeszcze inne, które dopiero będą. Niczego niema w bycie współczesnym z myślą jako w następniku lub skutku, czegoby nie było w minionym jako w poprzedniku lub przyczynie. A sama ta współczesność czy dzisiejszość jest tylko błyskawicą przejawu. Wszystko ciągle się staje i przemija, i dwa te typy ruchu składają się na ten stan spoczynku, przy którym o rzeczy mówimy, że jest, jest zaś tylko dopóty, dopóki może być przedmiotem naszego własnego wrażenia. Jedno mgnienie oka — i teraźniejszość kończy swe gody; koścista przeszłość wypędza ją za próg pałającego życia. Co przed chwilą było ogniem wrażenia, to już teraz może być tylko popiołem wspomnień.

Ciągłe stawanie się i przemijanie wypełniają dzieje tego świata, w którym człowiek jest pyłkiem, jak i tego, którego

mianuje się panem. Czystej, oderwanej teraźniejszości niepodobna przytrzymać: w heraklitowym potoku wszystko płynie. Wicher wiecznego ruchu pędzi istoty i zjawiska z jednej otchłani w drugą. Tylko wszystko rzeczywiście jest, to zaś z czego się składa, atom bytu, zaledwie się stanie, już przemija i chwila każda, zanim zdąży zawołać „jestem!“ zapada w bezmiar czasu, dla którego rozum nasz, jak i dla przestrzeni, z równą mocą domaga się nieskończoności, z jaką wyobraźnia ją odpycha.

Wszystko, co się stało i działo w formach przestrzeni i czasu, w naturze i w myśli, w organizującym duchu i w organizowanej materji, w kropli wody i w oceanu ogromie — wszystko ma, musi, powinno mieć swoją historję. Odpowiednio do zewnętrznej rzeczywistości, którą poznajemy, ta wewnętrzna rzeczywistość, która w nas poznaje, tak jest ukształtowaną, że się we wszystkim historyzmu domaga; funkcje też historji tkwią w przeznaczeniu naszego umysłu. Wszystko mogło mieć swoją historję, bo miało swe dzieje; ale dla niezliczonych miljonów istnień, zjawisk, stosunków, stron i momentów bytu historja ta wciąż przepadała i w oczach naszych przepada.

Człowiek, sam jeden do wytwarzania lub odczytywania historji powołany, miałżeby dbać o jakąś saxifragę, przytuloną do skały, o tygrysa, który mu nie powie, ile żywych istot rozszarpał, o puszczę, w której wieki całe dla nieogarnionej wielości jestestw znajdowały kolebkę bez człowieka-niańki i cmentarz bez człowieka-grabarza? Całe obszary bytu mają historję zamkniętą w dwu tylko słowach: życie i śmierć. Ale wszystko, co żyło, co się w człowieku i poza człowiekiem stało, ma do historji prawo, bo wszystko tworzy jeden tylko byt, jak jeden jest tylko przestwór i jeden czas na stawanie się i istnienie wszystkiego. Historja obejmuje całość ruchu i życia świata; wspaniały rozmach jej skrzydeł sięga po wszystko, co było.

I po wszystko też, co jest. Historja nietylko uzupełnia określenie rzeczy: ona je dopiero rozjaśnia i kształtować pozwala. Wtedy dopiero poznajemy — na miarę naszej siły poznawania — dany przedmiot — kamień, człowieka, czy instytucję — gdyśmy poznali jak każdy z tych przedmiotów myśli naszej powstawał, co się w nim i z nim działo, zanim się znalazł w swoim przejawie obecnym. Bez historji obywać się może tylko wiedza zaczątkowa. Dopiero ciekawość — j a k? wyciska na

niej znamię nauki; a ilekroć niezaspokojony poznaniem umysł ludzki wytwarza hipotezy, każda z nich zawiera w sobie elementa historji. Czy wyrozumieć chcemy skałę, czy roślinę, skielet czy żywą istotę, mikroskopowe żyjątko czy nieskończoność nieba — zawsze z opisem łączyć musimy przynajmniej usiłowanie historji. Według Comte'a żadnego pojęcia nawet wyłuszczyć niepodobna bez jego dziejów.

Naiwną, zapewne, wydaje się nam dzisiaj nazwa „historji naturalnej", dawana niegdyś naukom opisującym przyrodę, ale ta naiwność ludzi dawnych ocierała się bezwiednie o prawdę: przez poznanie okiem do poznania rozumem, a jak przez analizę zjawisk złożonych do prostych, przez formy bytu do pierwiastków bytu, tak i przez opis do historji. Współczynna działalność analizy i historji zapewniała lepsze pragmatyczne lub tylko hipotetyczne wytłumaczenie bytu, dokładniejsze ujęcie jestestwa.

W naukach o człowieku historja ma znaczenie bezwzględnego ich współczynnika i bez metody historycznej niczego wytworzyć w nich niepodobna. Wyższą jest jeszcze jej doniosłość dla życia. Jeżeli energja przetwarzająca formy dawne najsilniejszy rozpęd bierze dla siebie z potrzeby i żądzy, nieprzepartą też moc nad człowiekiem, który te formy przetwarza, mają podniety, uczucia, myśli, idealne widzenia historji. I więcej jeszcze: węzłom gwałtownie zadzierzgiwanym w dziejach przez ideał lub namiętność historja w sądach swoich, w prostym nawet przedstawieniu rzeczy przynosi momenta logiczne do kojących rozwiązań.

Historja człowieka, gdyby mogła być całkowitą, w roztoku i głębi swej pełną, doskonałą antropohistorją, musiałaby objąć Ród Ludzki w całości przestrzeni i czasu, w powszechności sił, form i kierunków jego życia w ogólnie-rodowym i w szczegółowych narodowych skupieniach. Lecz takiego zadania spełnić ona nie zdoła. W schemacie czasu wyręcza ją u wszelkich początków geologja z archeologją, antropologją i etnologją; w schemacie przestrzeni historji niema nic, co jej sobie samo nie wytworzyło.

Ograniczenie jakościowe jest o wiele dotkliwszym. Rozległość widzenia, głębokość badania, — wiedza rozumna znajduje się dopiero w zaczątkach. Wspaniały rozmach skrzydeł nieprędko jeszcze da doskonałość lotu. Wciąż jeszcze widać przewagę wypadków zewnętrznych, zjawiskowych, nad we-

wnętrznemi, istnościowemi; w pierwszych zamało uwzględnia się fakta biologiczne, w drugich — psychologiczne. Wciąż jeszcze historja zanadto jest stężałą, mrozem mijającego czasu ścinaną polityką, a w niej znowu dyplomacją; wciąż jeszcze fakta polityczne, państwowe i rządowe, przytłaczają inne, rdzennie przecież do życia należące, fakta z zakresu fizjologji, ekonomiki i psychologji zbiorowej. Również do przyszłości jeszcze należy przejęcie się tą prawdą, że opowiadanie o życiu niepodzielnym być musi jak życie samo. Zawsze i wszędzie najłatwiejsza, mechaniczność bruździ wciąż w dziejopisarstwie syntetycznym, do którego przedewszystkim stosujemy kanony historyki. Zdawałoby się, że czas na takie dziejopisarstwo jeszcze nie nadszedł: w tak wielkiej liczbie wypadków ułomną, gwałtownie sklejaną bywa historyczna synteza. Mało dzieł stanąć może bez wstydu obok Macaulaya Historji Anglji. Tu to jest Anglja, kraj i ludzie, wypadki i pojęcia, zasady i namiętności, — ruch, życie, dusza angielska.

Przewaga polityki w historji daje się wyrozumieć. W gromadzie biologicznej człowiek żyje bezwiednie; ale o tym wie, że ma państwo, to tylko czuje, że dzięki państwu stał się społeczeństwem i narodem. Dlatego, gdy mówimy „historja", wyraz ten sam przez się oznacza historję państwową, polityczną, zależną od istnienia, potęgi i woli państwa i organizowanej przez nie zbiorowości. Leniwo szła historja od kroniki wypadków jaknajzewnętrznych do coraz pełniejszego przedstawiania dziejów państwa i oddziaływania jego na społeczeństwo i nawzajem społeczeństw i narodu na państwo, aby wreszcie podążać do ideału historji ubiegłego życia i stać się kiedyś zarazem społeczną, biologiczną i psychologiczną.

Rozważana w istocie swojej historja jest wiedzą gromadzoną przez pamięć, porządkowaną przez rozum; jest samą tą pamięcią rozumną, organizowaną przez pokolenia teraźniejsze dla przyszłych. Czym byłby człowiek bez pamięci lub z pamięcią zniekształconą, tym byłby naród bez historji lub z historją fałszywą. Praca historyczna jest funkcją nieodzowną każdego zdrowego, przyszłość w sobie mającego życia. Nie wolno ojcom nie pamiętać i synom nie przekazywać tego, co przeżyli; nie wolno synom nie zaciekawiać się losem swych ojców i nie pragnąć jego poznania. Z tej zbieżności dążeń tryska niewysychające źródło historji. Napoi ono zawsze tym rzetelniej, im szczerzej historja

sama będzie funkcją organiczną tej zbiorowości, która ją z siebie wydaje. Im człowiek mocniej się w sobie zwiera, im silniej życiem wspólnym żyje, tym większą dla niego ma wagę prawda historyczna, ale tym większe też grozi mu niebezpieczeństwo od fałszu. Zbiorowości trzymające się w spójni uczuciem są miększe na fałsz od związanych instytucjami; dla nich krzywdy wyrządzane przez historję prawdziwie już krwawemi być mogą, a wpływ jej zabójczym. Zwolna mroczy się rozsądek, tępieje rozum, znieprawia się sumienie; indywidualność traci poczucie siebie, bez którego niema życia; tajemnica siły: ustawiczne narastanie od wewnątrz — słabnie i ustaje. Człowiek zbiorowy jest jak wędrowiec u rozstajnych dróg: jedna prowadzi go do przepaści przez pychę przeceniającą siły, druga do bagniska przez zwątpienie, które ich nie docenia.

Historja poważna, powołaniem swym przejęta, gdy zestawi to, co wie i umie, z tym, co się przed nią ukrywa, a w tysiącach wypadków na zawsze ukryło, cichą będzie i skromną i powściągliwą w sięganiu po godność i prawa nauki. Nauką ona dopiero stawać się zaczyna, a ściślej mówiąc, dopiero przez gorliwość i umiejętność w wydobywaniu faktów z coraz większej głębi, przez dążenie do gromadzenia spostrzeżeń jakby z anatomji mikroskopowej, pozwala rozumowi czynnemu w naukach antropologicznych zbierać plon z nieprzejrzanego pola faktów historycznych, aby im szedł na pożytek. Im bardziej praca historyka rozszerzy się i pogłębi, tym potrzebniejszą mu będzie cnota powściągliwości. Ukazać tylko co i jak było jest już zadaniem ogromnym, a tej dwójcy przedmiotu i sposobu żadna moc nie rozerwie. Opowiedzieć wypadek prawdziwie, odbić w opowiadaniu i ludzi, ukrywających swe pobudki, i zjawiska-wypadki, występujące z tajemniczych podścielisk, — nie jest rzeczą tak prostą jak opowiedzenie tego, na co się patrzyło, a i w taką trywjalną opowieść jakże często wślizguje się wąż fałszu! Między opowiadaniem dziejów a wyrozumiewaniem dziejów — różnica jest nietylko w stopniu, w momencie i napięciu działalności, ale i w samym pojęciu i zasadzie, chociaż obie czynności spełnić może jeden i ten sam umysł. Oznaczenie stosunku woli do konieczności, zjawisk politycznych do społecznych, jednostki do ogółu, prądów życia w indywiduach, stanach, zrzeszeniach trwałych i w budzących się nagle i nagle też w iszę zapadających tłumach do ogólnych czynników biologicznych; pogodzenie psychologji organizmów żywych z fatalizmem mechaniki

dynamicznej — wszystko to, co pozornie pada na dział już historjozofa, właściwie jest tylko obowiązkiem historyka, — a jakże spełnić go trudno!

Samo nawet dochodzenie i odtwarzanie prawdy, — nagiej, „nagością bezczelnej" prawdy, skazuje historyka na znój ciężki. Modnie dziś powtarzany frazes Niemców „wie es da eigentlich gewesen" wyraża troskę wcale nie nową: mieli ją już Grecy, miał w. XVII w Anglji, XVIII we Francji i Niemczech. Oczyścić materjał z kłamstw i sprzeczności — jest nieraz syzyfową pracą. Gdy akta międzynarodowe, podając tylko fakta najzewnętrzniejsze, stale drwią z prawdy utajonej w głębszych; gdy raporty i buletyny kłamią lub niedomawiają; gdy protokoły podają tylko skórę zdartą z rozpraw, a samą walkę i proces przekonań i interesów nurzają w przyzwoitości milczenia; gdy listy, pamiętniki i dzienniki zaćmiewają prawdę przez krótkowidztwo, sobkostwo, nędzotę małych upodobań i małych nienawiści; gdy same nawet liczby układane są tak, żeby zataić mogły stan istotny — co ma począć historyk oblegany zewsząd wyjącym kłamstwem? Wyłączy wszystko, co nie wytrzymuje rachunku prawdopodobieństwa, da opowiadanie szczuplejsze, suchsze, może martwe, ale większą wiarogodnością szlachetne. Ostatecznie jednak historji stanie się krzywda.

Przed historykiem opowiadającym, w którym historyk i pisarz historyczny stapiają się w jedno, idzie z oskardem wyłamujący kruszec ze skał historyk-wydawca; idzie kamieniarz i cieśla, obrabiający materjały do budowy, i cały ten zastęp pracowników, znojących się wzajemnie dla siebie, dla siebie wzajemnie piszących i przez siebie też tylko czytanych. Ten historyk-wydawca, badacz, krytyk, analityk, pracownik u podstaw, często zbiorowości swojej, dla której ostatecznie pracuje, wcale nieznany i poza ową funkcją historyzmu zbiorowego stojący — jest żywicielem tamtego. Wszystko prawie, co syntetyk wie o życiu ogólnym, o prawach i instytucjach, o ruchu społecznym, o zewnętrznych warunkach wypadków, powstaje ze znoju badawczego, którego ubłogosławieniem jest szczegół konkretny, a niebezpieczeństwem żądza uogólnień. I nietylko badaczom o wielkim promieniu, ale skromnym dostarczycielom przyczynków do dziejów w ścisłym już znaczeniu zawdzięcza historyk opowiadający co i jak było — możność uchronienia się od fałszu.

A więcej może jeszcze niż fałszywych świadków strzec

się powinien historyk samego siebie: najlepszy materjał może w złej budowie zmarnować. Uprzedzenia stronnicze; narowy doktrynerskie; teoremata filozoficzne i religijne; nałogi myślenia i czucia — w związku z tym faktem, że częściej dorabiamy sobie teorję do życia, niż życie przystosowujemy do teorji; skłonność do wnioskowania z części o całości; zrozumiały w historyku pociąg do odtwarzania w każdym razie całkowitego życia, zacierający świadomość niecałkowitego poznania, lgnienie ku temu, co swoje, a lekceważenie tego, co obce; nakoniec, przy nadmiernym subjektywizmie, najpowszechniej oślepiająca nienawiść i zniedołężniająca miłość — mogą łatwo pracę historyka skazić i znieprawić. Jak w życiu tak i tu jedyną ostoję daje charakter.

Zalecają w historji jaknajwiększą przedmiotowość, aby jej zapewnić jaknajwiększą też prawdziwość: historyk ma być samym tylko okiem, bo wtedy tylko przedmioty swego widzenia będzie widział dobrze. Właściwie to oko tylko, w zupełnym od człowieka oderwaniu, a nie człowiek, ma być podmiotem tworzącym historję. Kto prawdę miłuje, ten indywidualność swoją na czas poznania historji zamyka w celi więziennej, aby mu nie przeszkadzała w służeniu jednemu tylko bóstwu — i spokojny już służbę swą rozpoczyna... To ma być ideałem, kanonem. Przyjrzyjmy się kanonowi bliżej. Historyk zorganizowany w owo przedmiotowe oko musiałby być niepojętą jakąś istotą czy machiną, jakimś i nadczłowiekiem i zarazem niedoczłowiekiem. Działanie tych bliźniąt byłoby takie, że zanimby pierwszy dowiódł nadludzkiej swej wyższości doskonałą swą przedmiotowością, już-by ją drugi roztrwonił na wyzucie się ze swej indywidualności. Nic by nie zyskała prawda; wręcz przeciwnie, stracić by tylko musiała: subjektywizm, wygnany ze sfery podnioślejszej, schroniłby się w nikczemniejszą; unicestwiony człowiek indywidualny zawsze by przez historyka prześwitywał, ale właśnie z najniższemi a żadną już siłą niedającemi się powściągnąć popędami, bo byłyby to popędy bezwiedne. Ostatecznie musiałby się i przekonań swoich zasadniczych wyrzec, a wtedy pięknie wyglądałaby jego historja!

Zostawmy rzeczy i ludzi jak są, nie poprawiajmy stworzenia, pozwólmy historykowi być, pozostać nadal człowiekiem, którym był, zanim się do historji zabrał. Złóżmy niedającą się nawet w jasne, rzetelne pojęcie ukształtować przedmiotowość na strychu, do pracowni historyka wprowadźmy wstyd pra-

wego rozumu i sumienie prawego człowieka: te wystarczą. Dla historyka doskonała przedmiotowość naturalisty, płynąca z samego przedmiotu poznawania, jest i niepodobieństwem i krzywdą. Niema takiej przedmiotowości, któraby narzucić mogła obojętność wobec świateł i cieni, wobec szczytów i przepaści samego życia. Wobec tej otchłani, w której spełniają się dzieje, głazem może być tylko idjota. Czym człowiek w dziejach bez fałszu i krzywdy żył, tym musi żyć i historyk. Czym rosła, doskonaliła się istota człowiecza, ogólnie-ludzka, narodowa i społeczna, od tego rozszerzać się powinna pierś historyka. Człowieczeństwo ze wszystkiemi ziarnami swych siewów i żniw, narodowość z całym swoim dramatyzmem, uczucie koneksji społecznej i ogólnie-ludzkiej w typowych ruchach swoich — żyć mają w historji tak, jak żyły w dziejach samych. Terencjuszowe nil humani, pod piórem estetyka, literata będące najczęściej tylko bawidełkiem pisarskim, dla historyka jest zasadą. Wielka mądrość ,wielka wyrozumiałość i współczucie, ale też i rzetelny etyczny, etycznie idealny gniew i nienawiść w duszy jego powinny stale zamieszkać. Bez krzyku, bez deklamacji cicho symbolizowane sądy, dodatnie i ujemnie, powinny obrazy życia uzupełniać. Wspólne z człowiekiem historycznym człowieczeństwo, tak surowe jak i przetworzone przez dzieje, powinno w nim drgać, ilekroć zahuczy grom na wielkie wypadki i wielkie niebzpieczeństwa, ilekroć z otchłani buchnie ogień szczerej miłości, zapału i znoju, powieje zdrowe powietrze moralne, zajaśnieje gienjusz rozumu, dobra i piękna, a moc woli, wielkość i czystość charakteru ukaże całą dostojność człowieczeństwa, tak rzadko, tak boleśnie rzadko wzrok ciesząca. Nie wolno jest historykowi pętać ani odruchów instynktu moralnego, który w sobie wykształcił, ani uczuć społeczno-narodowych i ogólnie ludzkich, które się w nim nagromadziły, gdyż, tracąc je, utraciłby samego siebie. Przedmiotowość parforce musi zawsze w końcu, mimo wszelkich przysiąg i zaklęć swoich, stać się fałszerką prawdy, dla wytrwania bowiem w założeniu swoim zawsze będzie musiała jednych faktów niedomawiać, inne pomijać lub taić. Doskonale przedmiotowym można być tylko wobec instytucji, ale nie wobec człowieka, jego duszy indywidualnej czy zbiorowej.

A w jednę i w drugą potrzeba wierzyć i istnienie ich za dogmat uznawać. Można to uczynić bez wyłamywania się z za krat pozytywizmu naukowego, bez wzbijania się w obłoki filozofji

poetycznej, napawającej wiarą w transcendentalną wiekuistość ducha. Metoda swoista historji, jej własna, z niej wyszła, metoda rozwojowa, naprowadzi historyka na właściwe tory. Ona mu powie, że bez duszy indywidualnej niepodobna wyrozumieć ruchu międzycząsteczkowego w zbiorowościach, a przy rozpoznawaniu ich rozwoju niepodobna znowu nie dostrzec wyłaniających się z nich dusz wspólnych. I takiemu tylko historykowi idealny cel odtworzenia życia przyświecać będzie, który dostrzegł w dziejach i uświadomił sobie ten zbiór, sprzęg czy zespół sił utajonych dla obserwacji potocznej, które tkwią w pojęciu duszy zbiorowej. U nas pojęcie to musi jeszcze przebijać czerepy i na ludziach sumiennych i poważnych, ale niedość myślących, sprawia wrażenie naciągania i kłamstwa. Kilka kart nieodżałowanego Krusińskiego — to już wszystko, co u siebie mamy godnego uwagi w tym przedmiocie. Badacze i myśliciele francuscy w nowych czasach uczynili z pojęcia duszy zbiorowej konieczny współczynnik przy wyrozumiewaniu dziejów i wykładzie faktów antropologicznych. Szczeblami doprowadzającemi tu do syntezy są: język wraz z gienjuszem mowy, obyczaje ,bezwiedne popędy, właściwości czucia i myślenia, tradycja pokoleń, pewna typowość opinji publicznej, a wreszcie urabiający się coraz jednoliciej charakter, widoczny w ustosunkowaniu się wzajemnym do siebie wyobraźni, rozumu i woli

Zarówno konieczność patrzenia w człowieka jako w istotę zdolną do rozwoju wynoszącego ją ponad naturę, — ale patrzącemu oku daną bez metafizycznego prejudykatu, jedynie w granicach i warunkach natury, — jak i niezdolność do odczuwania i rozumienia wszystkiego, co ludzkie, nakazują uważać za niepowołanych do historji tych wszystkich, którzy w energji człowieka nie chcą widzieć siły ,w obrębie czynników naturalnych samoistnej i jedynej, i do historji wprowadzają z zewnątrz, z poza natury i świata, potęgi człowiekiem kierujące, dające mu pomoc, wymierzające nań karę, skazujące go na pokutę i obiecujące wreszcie zbawienie, gdy się jej podda. Wszystkie takie historje, na wzór żydowskiej pisane, dawno już w ogniu rozumu spłonęły. Ani takich, ani żadnych innych nadprzyrodzonych zasad, do historji wprowadzać nie wolno. I co więcej: bez czego obywał się Laplace, bez tego obywać się musi i historyk; a to wyrzeczenie się nie powinno być dla niego trudnym, rzetelne bowiem poznawanie prawdy dziejowej bynajmniej nie gna go do zdroju wiary, pozytywnej czy niezależnej, lecz przeciwnie

i tę, z którą był przyszedł, wysusza. Jeżeli dla kogo, to dla historyka wszelka teodycea musi być kwadraturą koła.

Dlatego, jak nie byłaby nigdy rzetelną historja napisana przez Hegla, Queteleta, Buckle'a, Kolba lub Bourdeau, tak nie może mieć w sobie rzetelnej prawdy żadna historja pisana ze stanowiska Augustynów, Bossuetów, Viconów lub Bunsenów. Pierwsi człowieka rozkładaliby i rozkładali bez końca na popędy i siły tkwiące w fizjologicznej, ostatecznie w fizycznej konieczności; drudzy skonfiskowali go dla nieba, a w obu wypadkach można historją tylko mordować. Doktrynerstwo teologiczne, jahweizm czy mesjanizm, ascetyzm czy chiljazm — zarówno pozbawione są organów do odczuwania i dostrzegania życia ludzkiego na ziemi, a ilekroć zadanie to podejmą, muszą historję fałszować, bo nie dzieje są ich celem, ale przejęcie ich sobą; zamiast swobodnie wyprowadzać człowieka z dziejów, one go gwałtem wtłaczają w siebie, i historja sama jest tylko ich niewolnicą. Do odtrącenia Kalinki jako wykładacza prawdy dziejowej wystarczają te przywidzenia, te wierzenia i mary umysłowe, które czynią go niezdolnym do głębokiego oddechu, wydzierają mu niepodległość rozumu i sumienie historyka w nim zagłuszają. Przy wielkiej nagromadzonej wiedzy, przy talencie pisarskim, przy prawości charakteru trudno było dać historję końca XVIII w. błędniejszą, gdy się miało, że tak powiem, techniczne warunki niezwykle sprzyjające wytworzeniu prawdziwej. Ale ekspiacja zepsuła, skaziła, znieprawiła wszystko.

Przedmiotem historji nie może być samo tylko przedstawianie cywilizacji-kultury, najrozleglej nawet pojętej i nie stanie się też ona nigdy, dopóki będą dzieje, nauką o cywilizacji. Nie samą tylko kulturą wypełniało się życie przeszłe, wypełnia teraźniejsze i wypełniać będzie przyszłe — przez długie jeszcze wieki. Historja, jeśli ma w sobie odbijać życie, musi dawać nietylko jego rozwojową treść, ale i jego zjawiskowy ruch. Są w dziejach żywioły cywilizacji, działające ustawicznie, ale są i żywioły ruchu, żadnego niemające związku w pobudkach swych z cywilizacją, a również nieustannie czynne. Kultura-cywilizacja, dająca się pojmować tylko jako nieprzerwany postęp, ma współzawodnicę w namiętności jako typie wszelkich takich drgnień egoizmu i uczuć odśrodkowych, które wręcz uchylają się z pod pojęcia postępu i od wieków na wieki powtarzają

się ciągle w jednakowych formach. Cała dynamika psychiczna, wydająca z siebie zjawiska i wypadki, tworząca dzieje, zwłaszcza polityczne, nietylko w kulturze-cywilizacji zamknąć się nie da, ale ją od siebie odtrąca i wręcz do walki z nią staje. Taką jest każda wojna, każdy przewrót, każde starcie o moje i twoje — wszystko, co ma swoje primum movens w rozprężliwości duszy indywidualnej czy zbiorowej. Czyż podobna wyrzucać z dziejów to, bez czego byłyby one tylko dziejami cywilizacji i podawać część za całość? Historja cywilizacji jest tylko jednym z wydziałów historji powszechnej: niechżeż jej nie zastępuje i nawet nie wyręcza.

A na co i po co jest historja? Czy dla prostej tylko ciekawości? Dla niej niewątpliwie i przedewszystkim. Jest ta ciekawość szlachetną, z chciwości egoistycznej, samolubnej wyzwoloną, i sama przez się ma prawo do historji. Nasycenie żądzy jest tu samo przez się dobrem. Sytość jednostek przynosi pożytek zbiorowości; od poznawania dziejów, od ich znajomości wzmacnia się międzycząsteczkowa zwartość, potęguje się dziejowa indywidualność. Im więcej zajęcia się historją, tym lepiej. Ale czy na tym kończy się już zadanie historji? W czym tkwi rozumne przeznaczenie, cel i skuteczność jej jako owej funkcji zbiorowej? Co będzie z cycerońskim magistra vitae, co z naszego Skargi mądrością złożoną w kupę, i co z ich wpływem na czytelników historji? Za przykładem Schillera, który przy umoralniającym wpływie teatru stawia bolesny znak zapytania, nie będzie też i historyk pląsał z radości, że, wskrzesiwszy umarłych, dał już i naukę żywym, a nawet dobrze uczyni, jeśli o nauczaniu zupełnie zapomni: zadbają o nie same wypadki, same zjawiska dziejowe. U nas, gdzie tak mało się myśli, nawet pisze, o istocie dziejopisarstwa, o historyce i sztuce historycznej, panują na tym polu mgły. Rozpraszał je Korzon na jednym ze zjazdów historycznych (we Lwowie), ale odosobnione jego usiłowania nie mogły rozwikłać pojęć wielce skłębionych.

Wpływ jakiś niewątpliwie jest, ale go w zasadę ująć chyba niełatwo. Niezawodnie, korzyść z historji, nie z czytania jej, ale z niej samej, ciągną przedewszystkim ludzie jedno-celowi z historycznemi, ludzie też jednego z niemi zawodu: politycy, mężowie stanu, przewódzcy stronnictw, praktycy w życiu dziejowym. Historja daje światło ich rozumom, które muszą być sprawne i dzielne, i tak samo je daje pracownikom

naukowym; dla wszystkich zaś nauk o człowieku jest wielkim składem doświadczeń ułatwiających wędrówkę do prawdy. Ale wpływ jej magisterski, nauczający, czy-to na jednostki rwące się do wytwarzania dziejów, czy na całe masy falujące od dziejowych wichrów — wpływ owej magistra vitae i owej mądrości złożonej w kupę... lepiej jest o nim nie mówić. Człowiek zawsze błądzić i zawsze błąd swój kochać będzie. Ruchy dziejowe wywołuje namiętność, a ta na strzały rozumu ma zawsze pancerz w swej bezwzględności. Cywilizuje się wprawdzie i ona, ale w sposób niezmiernie powolny i złożony. Łatwiej jest fałszywej historji zupełnie ją zgasić, niż prawdziwej ją umiarkować. Nikt nie schwyci płomienia w garść; może tylko ognisko rozrzucić lub ogień zalać.

Jest jedna namiętność, od innych odrębna. Ta historyka najbliżej obchodzi. Jest nią namiętność w życiu dziejowym, żądza dziejowego życia. Rodzi ona gwałty, zbrodnie i nieszczęścia, ale rodzi też i wielkie czyny i dzieła wspaniałe, wywołuje żywiące całe pokolenia wypadki, darzy niewysłowioną radością i szczęściem. Kto wie czy i kultura sama w niej nie znajduje najsilniejszego dla siebie bodźca. Tej namiętności gasić nikt chyba nie zechce, bo jest ona sprężyną samego życia, a zresztą nikt by jej zgasić nie zdołał. Dokonywa tego zwolna sam czas, przekształcając niepostrzeżenie, w niezmiernie powolnym postępie, wrażliwość, pobudliwość i umysłowość człowieka. Ludzkość, jak ziemia, stygnie, i kiedyś, kiedyś nie będzie już miała dzisiejszych dziejów, bo zbraknie jej też dzisiejszych namiętności. Ale to jeszcze syrjuszowe drogi. Tymczasem człowiek, mimo wciąż rosnącej przewagi rozumu, który go coraz bardziej uduchowiać a treść jego psychiczną w logiczną przemieniać będzie, tyle jeszcze zachowa w sobie namiętności, tyle zapalczywej żądzy, że nawet z umysłowego jego miąższu ta żądza właśnie będzie miała dla siebie glinę plastyczną do kształtowania wypadków według tego samego typu, który dzisiejszemu idealiście wydawać się musi przekleństwem ludzkości. Pieśń o dniu dzisiejszym będzie hymnem i na jutrzejszy: bez walki, bez krwi, niema życia, jak niema go bez znoju i bólu. Po okresie wojen o ziemie, bogactwa, ludzi i narody, nastanie okres wojen o zasady społeczne, o prawdę i sprawiedliwość, o dobro, prawdę i samo nawet piękno. A potym, gdy już życie mięśniowe i nerwowe osłabnie i człowiek na dobra swe zobojętnieje, namiętność przeniesie się na wiedzę, na życie umysłowe: rozpoczną się wojny o spostrze-

żenia, doświadczenia, teoremata, hipotezy, o prawdy, wierzenia i metody naukowe. Płomię ontologiczne z człowieka i w tym okresie jeszcze wojnami wychodzić będzie.

Dopiero gdy i ta namiętność się wypali, gdy kultura postąpi tak daleko, że zamieni człowieka w czysty umysł, potrzebujący zewnętrznej siły tylko do utrzymania w całości cielesnego swego domu, gdy wszelki gwałt stanie się człowiekowi obmierzłym — skończą się wojny, ale skończą się i dzieje. Ruch zbiorowy, doskonale zrównoważony, pobiegnie po płaszczyźnie i zapewni człowiekowi doskonałe jednostajne trwanie. Kto nie chciał burz oceanu, będzie miał gładkie zwierciadło jeziora, w nieskazitelnej dziewiczej pogodzie dni alcjonowych. Jedyną treścią dziejów stanie się wtedy ustalony przez rozum wszystkich, nie gwałcony przez niczyją namiętność porządek współistnienia. Nie będzie to już życie, ale wówczas i samo trwanie wystarczy. Człowiek będzie czystym, z ciszą w sobie, ze spokojem naokoło siebie. Ale jego czystość nie będzie wypadkową jego moralności: nie, kultura, poprostu, zmiękczy człowieka, całą jego energję zamknie w życiu umysłowym, a uniezdolniony do działania w przestrzeni, niezdolnym też będzie i do działania w sobie. W tym okresie człowieka historja świata zamieni się w historję jego umysłowości. Wątłe ramiona i serca wyciągać się będą żałośnie ku temu, co my dziś przeklinamy, ale nie odwrócą przeznaczenia: proces się spełni. Zanim nastanie księżycowy okres ziemi, jedyną namiętnością człowieka będzie trwoga wobec zbliżającego się końca. I z tej nowej namiętności poczną się też nowe dzieje, a wypełni je dzikość straszliwsza o wiele od tej, którą obecna ludzkość przed wiekami przebyła: uciekając przed śmiercią, ludzie sami się wytępią jeszcze wprzód, zanim im na gasnącej ziemi zbraknie najostatniejszych już warunków do fizycznego istnienia. Byron widział dobrze.

Stanisław Krzemiński.

Teorja najazdu w oświetleniu etnologji porównawczej.

I.

Jakby na skinienie czarodzieja mgła, osłaniająca nasze pierwociny dziejowe, opada wraz z przyjęciem chrześcijaństwa i przed oczyma badacza ukazuje się państwo polskie kompletnie ukształtowane. Historycy nasi niejednokrotnie usiłowali podnieść zasłonę, otulającą czasy prastare, które poprzedziły panowanie Mieszka I. Między innemi stworzono teorję najazdu, i wielu badaczy widzi w niej jedyny klucz do wytłumaczenia silnej władzy pierwszych Piastów, oraz zróżniczkowania ludności ówczesnej.

„Ustrój społeczno-państwowy, jaki monarchja Piastowska w pierwszych wiekach swego istnienia przedstawia, nie jest wypływem prawidłowego rozwoju społeczeństwa polskiego w wiekach średnich, lecz wypływem i skutkiem najazdu... Z trzech klas, stanowiących średniowieczne społeczeństwo państwa polskiego, mianowicie rycerstwa znakowego czyli szlachty, rycerstwa szeregowego czyli włodyków i klasy wieśniaczej, dwie pierwsze, nieposiadające zrazu żadnej własności ziemskiej, ale będące natomiast w używaniu szerokich praw i przywilejów, stanowią ludność napływową, zaś ostatnia, społecznie najniżej położona, ograniczona w używaniu praw, ale jedyna, która posiada z prastarych czasów własność ziemską, stanowi klasę wolnych niegdyś autochtonów".

O oddziaływaniu na kraj nasz rozbójniczych drużyn Wikingów nie powątpiewam ani jednej chwili. Starczy uzmysłowić sobie wędrówki Gotów, przestudjować sagi skandynawskie, czytać w kronikach o wyprawach Duńczyków w okolice ujścia Wisły, ażeby dojść do wniosku, iż i na ziemiach polskich mogły i nawet musiały tułać się takie gromady junaków, które tu i owdzie osiadały w warowniach, brały za żony kobiety ludności miejscowej i wsiąkały w tę ostatnią. Ale nie ośmieliłbym się ani określać rozmiarów liczebnych tych gromadek, ani tymbardziej wpływu jaki wywarły — prócz tego jednego, iż napewno przyśpieszyły sprawę jednoczenia się drobnych plemionek polskich i powstania trwalszej więzi pomiędzy niemi. Co zaś do rzekomego najazdu, jako źródła naszej organizacji społecznej, to moim zdaniem teorja ta wymaga bardziej przekonywających dowodów, niż te, jakiemi dotychczas się posługiwano. Etnologja, gałąź wiedzy, która tyle przecież może przelać światła na pierwociny społeczeństw cywilizowanych, wykazuje, iż złożoność ustroju, właściwego Polsce za czasów pierwszych Piastów, wywiązać się może w sposób zgoła naturalny z normalnej, że tak powiemy, ewolucji plemienia barbarzyńskiego, a raczej pokrewnych nawzajem a ościennych plemion, z chwilą gdy zaczęły prowadzić osiadły tryb życia. Dla wyprowadzenia całej dostrzeganej złożoności naszego ustroju w okresie pierwszych Piastów z ustawy społecznej barbarzyńców, dostatecznemi są zasady, istniejące zawsze w obrębie pewnego terytorjum wśród plemion barbarzyńskich. Są to mianowicie:

1) Istnienie wielu drobnych a samodzielnych plemionek.

2) Osiadanie na gruntach własnego plemienia lub rodu, albo obcego.

3) Stan wolny takich osadników lub niewolny.

4) Prawowitość urodzenia w rodzie.

5) Pierworództwo.

Dla wykazania złożoności ustroju barbarzyńskiego, który rozwijał się jedynie za sprawą powyżej wyłuszczonych czynników, wybierzemy jako ilustrację stosunki, właściwe ludom archilepagu Fidżyjskiego.

II.

Na archilepagu Fidżyjskim istnieje, a raczej istniało mnóstwo niezależnych plemionek, połączonych zresztą wspólnością pochodzenia i języka. Rozmiary ich były bardzo nieznaczne, jak zwykle bywa na wyspach, które nie odznaczają się wiel-

kością swoją. Jedno z takich plemionek, Wainimala, zamieszkujące w 15 wioskach, liczyło zaledwie 1719 głów, drugie było jeszcze mniejsze, bo liczba członków jego dosięgała zaledwie cyfry 1381, i powątpiewam mocno, ażeby którekolwiek z nich liczyło więcej nad 5000 głów. A co charakterystyczniejsza, pomimo niewielkiej liczebności plemion, stosunki społeczne w każdym z nich kształtowały się zgoła odmienne — zarówno w zakresie prawa zwyczajowego, słynącego jako „prawo ojców", jak i w zakresie „prawa nowego", prawa wodzów, wyrastającego z woli dynastów. Zatym w jednych plemionkach obowiązuje prawo macierzyste, w innych syn dziedziczy nazwę rodową i majątek po ojcu. Władza wodzów tu i owdzie jest jeszcze bardzo słaba, nad ich wolą i wychodzącemi od nich rozkazami panuje „prawo ojców", którego piastunem jest gromada plemienna, tymczasem gdzieindziej powaga ich nie napotyka już przeciwwagi i zaczyna kształtować stosunki społeczne według interesu tej wyodrębniającej się warstwy dynastów. Słowem, zamiast jednolitego schematu, z jakim zwykle mamy do czynienia w wywodach socjologji, obraz odznacza się różnorodnością swoją i barwnością, t. j. wykazuje rysy, które zawsze występują przed wzrokiem badacza, ilekroć od schematów przechodzi do rozbioru realnych stosunków, właściwych ludom pokrewnym, siedzącym w sąsiedztwie na tym samym obszarze. I niewątpliwie, takim był stan ziem polskich na zaraniu powstawania ustroju państwowego, z tą różnicą, iż naskutek odmiennego otoczenia — lądowego — rozmiary pojedyńczych plemion były niewątpliwie większe, rozmaitość zaś urządzeń wewnętrznych mniej napiętą. Jest bowiem faktem, iż monarchja pierwszych Piastów przedstawiała zlepek wielu drobnych plemion, ongi niezależnych a posiadających każde własnych dynastów. W obrębie Śląska Gieograf bawarski wymienia Opolan i Dziedoszów — każde z nich liczyło po 25 „civitates"; Ślęzan, którzy posiadali takich poddziałów grodowych tylko 20, wreszcie Bezunczan; źródła późniejsze wspominają jeszcze o Bobrzanach i Trębowanach, prawdopodobnie bardzo małych grupach, takich jak wymienieni powyżej Bezunczanie, liczący tylko dwie „civitates". Odrębności te zmartwychwstają w okresie, gdy Ślązk rozpadł się na dzielnice za wnuków i prawnuków Władysława II. Książe ten, umierając, podzielił ziemię śląską na dwie części: opolską, t. j. dzielnicę Opolan, i śląską, w której skład weszły dawne obszary Ślęzan i Dziedoszów. Każda z utworzo-

nych linji książęcych rozpadała się z biegiem czasu na mniejsze siedziby, a więc dzielnica śląska uległa niebawem podziałowi na wrocławską i lignicką, t. j. dawni Ślęzanie i Dziedosze stali się niezależnemi całościami politycznemi, a każdy z podziałów rozdrabnia się jeszcze bardziej. Opolska linja ze swej strony rozpadła się na opolską, raciborską, bytomską, cieszyńską, kozelską, oswiecimską i t. d. Śląsk roił się od drobnych książątek. Ale, i jest to bodaj rzecz bardzo charakterystyczna, każdy nawet najmniejszy książę w każdej z dwu zasadniczych linji, opolskiej i śląskiej, tytułował się, odpowiednio do linji, zawsze księciem opolskim lub śląskim z dodaniem do tego tytułu nazwy własnej dzielnicy. A zatym mamy „książąt opolskich a panów kozelskich", albo „książąt opolskich a panów raciborskich": „dux de Opol et dominus de Chosle". „Takie uparte trzymanie się u jednych tytułu ks. opolskich, u drugich tytułu ks. śląskich naprowadza wprost na myśl oddzielności prowincji" — pisze z tego powodu M. Boniecki, ale nie wyciąga dalszych wniosków z tego faktu. Co do nas, mniemamy, iż różnica między ogólniejszym tytułem — księcia, a szczegółowszym — pana świadczy, że odróżniano odrębność plemienną, opolską i śląską, i poczytywano ją za głębszą, niż jaka istniała pomiędzy taką całością plemienną a odrębnemi jej częściami, np. państwem kozelskim lub raciborskim a całą opolszczyzną. Ponujący na Kozlu był księciem w ziemi opolskiej, a raczej członkiem rodu dynastów opolskich, ale tradycja owych „civitates" kazała się mu tytułować jedynie panem (może żupanem) w obrębie kozelszczyzny.

Niestety, nie rozporządzamy podobnie obfitym materjałem w stosunku do innych dzielnic polskich. Jednak podania o walce dynastów na Tyńcu z dynastami na Wiślicy, wyodrębnienie pomniejszych dzielnic w Wielkopolsce i Mazowszu podczas epoki podziałów i t. d. rzucają niejakie światło na tę sprawę. I tam, jak na Śląsku, istniały niewątpliwie liczne plemionka i nawet za czasów jeszcze historycznych zachowały pamięć o swej odrębności prastarej.

III.

W obrębie terytorjum plemiennego znajduje się pewna liczba wiosek, a na ich czele wioska-macierz, stolica całego obszaru.

Każda wioska przedstawia zaścianek rodowy, dokładniej — okolicę, rozpadającą się na zaścianki. Znajduje się w niej bowiem kilka dzielnic, słynących pod charakterystycznym mianem mataquali, t. j. „osób, splecionych pospołu". Dzielnica każda wyprowadza siebie od grupy rodzonych braci, potomstwo zaś każdego z nich nosi nazwę jawuzy. Wreszcie jawuza dzieli się na odrębne gospodarstwa „braci niedzielnych" t. j. braci gospodarujących na jednym niepodzielonym gospodarstwie, w jednej lub paru chatach, ogrodzonych jednym płotem. „Osadę — powiada Fison — można przyrównać do liny, na której spoczywa kotwica, mataquale do sznurów, z których jest skręcona, jawuzy są to jeszcze drobniejsze sznurki, wawule (niedzielni bracia) są nitkami sznurków, pojedyńcze jednostki — włóknami nitek".

Jedne z tych wiosek są zaludnione przez ludzi wolnych, inne przez czynszowników, poddanych albo nawet niewolników. Jednak struktura ich zwykle pozostaje ta sama, a więc są to pospolicie zaścianki rodowe, i ten stan rzeczy ulega może niejakiemu przekształceniu jedynie w osadach niewolnych.

Wioski wolne dzielą się na pokojowe, a raczej rolnicze, oraz na wojackie, słynące pod nazwą „zębów".

Zarówno mieszkańcy jednych i drugich są wolnemi dziedzicami. Jednak zajęcia rolników i wojaków już zróżniczkowały się. Mamy tutaj do czynienia z jedną z pierwszych form podziału pracy w społeczeństwie barbarzyńskim osiadłym. W okresach wcześniejszych zasadą wojskową w plemieniu jest pospolite ruszenie, kiedy na wyprawę wojenną udają się wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni. Ale gdy plemię ima się rolnictwa, taka organizacja potęgi zbrojnej staje się niemożliwą. Uprawa roli pochłania wszystkie siły gospodarza i nie pozwala zarówno na wydalanie się jego z osady na czas dłuższy, jak i na podtrzymywanie wśród ogółu rolników wprawy orężnej, że już nie mówimy o animuszu. Jedni więc muszą uprawiać grunta, inni trudnią się rozprawą wojenną. Często wyodrębnia się naówczas z pośród plemienia drużyna, znajdująca się przy boku wodza, zależna od niego a złożona z różnego pochodzenia hołyszów. Ale niekiedy ów podział zajęć i zarazem tworzenie się potęgi zbrojnej w społeczeństwie odbywa się inną drogą: pewna liczba osad, położonych w okolicach najbardziej zagrożonych, pod naciskiem potrzeby nie wypuszcza oręża z ręki i zwolna zamienia się na zastępy dziedziców-wojowników. U Krików,

ludu barbarzyńskiego w Ameryce północnej, istnieją osady „czerwone“ czyli wojownicze, oraz „białe“, t. j. pokojowe, rolnicze. W pierwszych siedzieli wojacy, milites, ludzie tego samego rodu, idący do boju w ordynku rodowym z własnemi znakami bojowemi i własnym okrzykiem (proklamacją). Osady czerwone nie tylko podczas wojen były przednią strażą niezależności plemiennej, ale nadto utrzymywały animusz wojenny w plemieniu i zwykle trudniły się dorywczemi a jednak nieustającemi wyprawami wojennemi. Takiemi samemi osadami, jak czerwone wioski Krików, były „zęby“ fidżyjskie. Ale istnieją różnice, wynikające z tego, iż powyżej wymienione plemię amerykańskie znajduje się zaledwie u progu do osiadłego trybu życia, Fidżyjczycy zaś są ludem oddawna osiadłym, a nadto zaludnienie jest tam gęstsze, niema rozległych pasów neutralnych oddzielających jedno plemię od innych, a nadto sąsiedzi bądźcobądź są pobratymcami, związanemi wspólnością pochodzenia i języka. Posiadają więc mieszkańcy „zębów“ nietylko znaczne wpływy i nietylko są otoczeni szacunkiem, ale nawet zaczynają już się wydzielać z pośród gromady równoprawnej dziedziców i zajmować uprzywilejowane stanowisko w plemieniu, co więcej, uprawiać politykę własną, t. j. swojego interesu, bez względu na potrzeby całego społeczeństwa. Plemię, poważając zasługi wojaków oraz pragnąc zaskarbić ich łaskę, wyprawia im od czasu do czasu uczty plemienne; podczas takiej uroczystości dostają oni przednie kawałki mięsa, a nadto otrzymują wynagrodzenie specjalne za posługę wojenną. Ale zdarza się, iż niekiedy sprzymierzają się z wrogami przeciw własnym rodakom i nawet zwolna przybierają charakter raczej zaciężników we własnym plemieniu, niż obywateli. Wodzowie tu i ówdzie zaczynają uważać ich za „swoich ludzi“, a interes zespala obie strony. Działają w tym kierunku różnego rodzaju czynniki: naprzód, ogół dziedziców-rolników, jak wogóle rolnicy, jest usposobiony pokojowo i nie znajduje uroku w wojnie zaczepno-zaborczej, której przeciwnie łaknie dynasta, a z nim rzesza wojaków; powtóre, naskutek rzemiosła orężnego uprawa ziemi w „zębach“ nie grzeszy prawdopodobnie starannością, wojacy więc marzą o łupie, a nadto może uważają za hańbę zajmować się gospodarowaniem. W dalszym toku rozwoju dołączyłyby swój wpływ może jeszcze inne okoliczności. W „zębach“ bowiem dziedzic jest jedynie spółwłaścicielem, takim jak jego bracia i krewniacy. Przechodząc do służby wodza, gdy ukaże

się stała drużyna książęca, i opuszczając z tych lub innych powodów swój pniak rodowy, może żywić nadzieję, iż otrzyma za swoje posługi kawałek wydzielonej ziemi, tam założy własne indywidualne gospodarstwo, i da początek dworowi korzystającemu z pracy niewolnej, albo nowym „zębom", w których będzie panem-seniorem. Archipelag Fidżyjski nie dosięgnął jeszcze takiego szczebla rozwoju, ale jest bardzo możliwe, iż ewolucja wewnętrzna doprowadziła gdzieindziej do takich wyników.

W obrębie plemienia istnieją nadto osoby kondycji pośledniej. Rozproszone zwykle pomiędzy wolnemi dziedzicami, wchodzą w skład mataquali odpowiedniej, ale nie posiadają praw obywatelskich, chociaż są tej samej krwi co wolni dziedzice. Zostały bowiem „źle urodzone". Dziedzicem wolnym, posiadającym wszystkie prawa w osadzie, może być jedynie ten, kto przyszedł na świat w związku małżeńskim, zawartym według wymagań zwyczaju. Kto zaś zrodził się ze związku ubocznego, będzie słynął jako „dziecko złodziejskie" albo „dziecko ścieżki leśnej". I dzieci takich bękartów pozostaną dziećmi ścieżki, „ludźmi źle urodzonemi".*) Należą one do mataquali matek swoich, są z tą gromadą związane wspólnością krwi, ale jednak nie są jej prawowitemi członkami. Nie są nawet przypuszczeni do obrzędów religji domowej, polegającej na kulcie przodków, i uchodzą z tego powodu za „ludzi bez duszy"; mają takich bogów, jakich sami sobie wynajdą. Dostarczają czeladzi domowej, a jak z nazwy niektórych wiosek wolno wnioskować, tu i ówdzie tworzą się z pośród nich osady odrębne. Są to w całym znaczeniu wioski niewolne: ani grunta uprawiane, ani sadyby, znajdujące się pod domami, nie są tych rolników własnością, ani oni sami nie posiadają swobody ruchów. Pan, t. j. senior mataquali, rozkazuje im, nakłada na nich dowolne ciężary, wioski zaś „źle urodzonych" nie mają przeciw temu najmniejszej opieki w prawie zwyczajowym, ochraniającym pospolitych wolnych czynszowników. Podczas pokoju osadnicy tacy pracują na pana, w potrzebie wojennej walczą po jego stronie.

*) Nawet gdy ojciec pognał matkę z pomocą umyczki i ród tej ostatniej przyznał małżeństwo za ważne, dzieci nie mogą rościć pretensji do korzystania ze wszystkich praw obywatelskich. Gdy młodzieniec, zrodzony z takiego związku, zabiera głos w jakiejś sprawie, może usłyszeć zarzut: „Nie podnoś swego głosu. Nie znamy twej matki, nie byliśmy na jej uczcie weselnej; ani nie ofiarowywaliśmy podarunków jej rodowi".

IV.

Przyrównaliśmy osadę fidżyjską wolnych dziedziców do liny okrętowej. Ale pomiędzy włóknami, z których została splecioną, są włókna niekiedy innej barwy, a dokładniej — obce ciała, które dostały się do liny przypadkowo. Tkwią one nieraz bardzo mocno w linie, choć są rodzaju zgoła odmiennego.

Mataquala trzyma się w jednej całości wspólnością pochodzenia: jeśli pochodzenie wyprowadza się od matki — wspólnością krwi, jeśli zaś istnieje już prawo ojcowskie — wspólnością tego samego przodka. Ale do wioski przybywają różnego rodzaju „goście" i „łazęgi" lub żyją tam jeńcy wojenni, którzy zajmowali we własnym plemieniu stanowisko zaszczytne. Niekiedy pozostają po za organizacją rodową, ale zdarza się także, iż dostają za żonę córkę wolnego dziedzica. Wtedy ich dzieci zwolna zlewają się z rodem matki. Naturalnie, ród pamięta długo ich potomkom takie pochodzenie i jeszcze po paru pokoleniach przypomina, że jedynie w sposób pokątny stali się członkami organizacji plemiennej, która — dodajmy — jest jednocześnie organizacją własności ziemskiej. W tym razie społeczeństwo fidżyjskie nie sprzeniewierza się zasadom, którym hołdują barbarzyńcy tego okresu, a nawet odznacza się raczej łagodnością w tym względzie i tolerancją. U Celtów Kornwalji przepaść, oddzielająca rodowca od łazęgi, uchodziła za tak głęboką i rozległą, iż potomkowie przybysza, biorąc kobiety tego samego rodu za żony, dopiero w dziewiątym pokoleniu wsiąkali w ten ród, który ich przodka przyjął pomiędzy siebie i dał mu kawałek ziemi, t. j. dopiero wtedy otrzymywali wszystkie prawa obywatelskie, przysługujące dzieciom rodu. Zresztą i na archipelagu fidżyjskim nie wszystkie plemiona są tak pobłażliwe, niektóre bowiem nie pozwalają pod żadnym pozorem na wsiąknięcie łazęgi.

Odrębność plemienna, pomimo, iż same plemiona nie różnią się zbytnio pod względem języka ani kultury, żłobi tedy przepaść pomiędzy sąsiadami. Możemy tutaj powtórzyć słowa Seebohma o Celtach Kornwalji: „Za czasów walijskiego systemu plemiennego istniały dwie wielkie klasy osób: jednych, którzy byli krwi cymryjskiej, drugich — krwi obcej. Głęboka przepaść, acz nie zawsze nieprzebyta, rozdzielała te dwie klasy niezależnie od podboju lub od władanie ziemią. Podział ów tkwił we krwi. Uporczywość, z jaką trzymano się tego podziału,

należała do liczby wyróżniających cech systemu plemiennego, oraz była główną tajemnicą jego mocy".

Pojedyńczy osobnik posiada prawo do ziemi tylko w obrębie swoich i jedynie wśród tej naturalnej więzi społecznej korzysta z innych przywilejów, które przysługują wolnemu dziedzicowi. Po za jej obrębem jest jednostką pozbawioną wszelkich praw, a przedewszystkim oderwaną od ziemi, tego jedynego i wyłącznego źródła środków utrzymania. Władza dynastów zaś nie rozwinęła się jeszcze w tej mierze, żeby wykolejeńców zdołała skupiać dokoła siebie i tworzyć z nich własną drużynę wojenną, z której wyjdzie nowa szlachta, co zastąpi z biegiem czasu opornych mniejszego kalibru dynastów. A jednak liczba takich łazęgów jest znaczna. Przyjrzeliśmy się temu, jak pojedyńczy przedstawiciele tego zastępu osób luźnych, wyrzuceni zrządzeniem losu ze swoich nietylko ognisk rodowych, ale i z plemienia, drogą związków małżeńskich zostają przyczepieni do jakiegoś obcego sobie gniazda na obczyźnie. Ale niekiedy cała gromada malkontentów opuszcza sadyby przodków, to cały znowu pniak bywa wyrzucony ze swoich ojcowizn naskutek zatargów lub dla innych przyczyn. Pozostaje im wtedy jedno tylko: otrzymać w jakimś plemieniu sąsiednim pozwolenie osiedlenia się na jego ziemiach i wykarczowania gruntów. Uiszczają za grunta wyznaczoną daninę, cieszą się poważaniem w tym plemieniu, od którego otrzymali ziemię. Nie wolno urągać ich przodkom. Są oni ludźmi wolnemi, którzy mogą przenieść się dokądkolwiek indziej, jak również i plemię może im w każdej chwili wymówić dzierżawę. Żyją i mieszkają tak samo jak wolni dziedzice — pniakami. Ale nie posiadają praw obywatelskich i, przebywając w danym plemieniu, znajdują się poza jego więzią społeczną.

Do plemienia mogą należeć wreszcie wioski, które „nie są z plemienia". Mianowicie plemię, korzystając z wojny zwycięskiej, może przyłączyć do swego terytorjum szmat ziemi sąsiadów wraz z ludźmi. Zwycięzcy przyznają ich prawo własności do uprawianych gruntów, innemi słowy — ta kategorja rolników siedzi na własnej ziemi. Ale nie jest wolną, winna uiszczać daninę w naturaljach podczas pokoju, dostarczać siły zbrojnej i spełniać szarwarki wojenne w potrzebie orężnej. Są to faktycznie włościanie, przymocowani do gleby.

Zaznaczmy, iż ewolucja społeczna na archipelagu Fidżyjskim nie zdołała wyłonić jeszcze jednej kategorji osób, którą

spostrzegamy w naszym społeczeństwie w pierwszych okresach jego życia historycznego, a mianowicie ludzi, pognanych z sadyb rodzimych podczas wyprawy wojennej. Czasy pierwszych Piastów obfitują w takie wypadki. Mieszko I chętnie bierze podczas swoich zagonów niewolnika, to samo czynią jego następcy podczas wypraw swoich na Pomorze. Zwykle pędzą oni kobiety i dzieci i osadzają je w kraju na pustych ziemiach. Tworzy się ludność niewolna, siedząca nie na swojej ziemi i zależna zupełnie od pana. Tego przyrostu ludności włościańskiej w okresie pierwotnym nie można w żaden sposób lekceważyć. Cyfry, podawane przez naszych kronikarzy a dotyczące gromad, pędzonych do Polski z Pomorza, są dość znaczne, jeśli zważymy szczupłe zaludnienie ówczesne kraju (które za Mieszka I na całej przestrzeni podwładnych mu dzielnic nie przewyższało prawdopodobnie paruset tysięcy głów).

V.

Ponad wolnemi dziedzicami piętrzy się hierarchja dynastów. W stosunku do dziedziców wódz, jak wyraża się Fison, jest l o r d e m, a l e n i e l a n d l o r d e m; innemi słowy, jest „w używaniu szerokich praw i przywilejów", ale władza jego nie opiera się na rozporządzaniu ziemią obszaru, w którym przebywa i nad którym panuje, tym mniej zaś innych, dokąd władza jego nie sięga. W obrębie podwładnego mu terytorjum jest w stosunku do ziemi jedynie „gminnikiem", t. j. takim samym współwłaścicielem jak i pozostali dziedzice. Winniśmy nieco szczegółowiej przyjrzeć się tutaj ukształtowaniu własności ziemskiej na archipelagu Fidżyjskim.

Każdy dziedzic posiada w wiosce sadybę z przyległemi ogrodami i jedynie taka posiadłość nadaje mu prawo do żądania odpowiedniego działu — źrebia — ziemi uprawnej, ciągnącej się dokoła wioski. Każda gromada „splecionych pospółu" dba troskliwie o utrzymanie w swych ręku sadyb swoich; a kiedy wypadki zmuszą ją do opuszczenia wioski rodzimej, przechowywuje o nich dokładną pamięć i po powrocie na ojcowizny odbudowywa chaty na dawnym zrębie. Dokoła wioski ciągną się grunta uprawne. Niekiedy znajdują się one w niepodzielnym władaniu wszystkich a każda rodzina gospodarująca zajmuje tam kawałek ziemi, który upodobała sobie; niekiedy są podzielone na pola, te zaś na zagony, i każde gospo-

darstwo posiada w każdym polu określoną liczbę zagonów. Jeszcze dalej ciągną się lasy, które zlewają się z lasami sąsiednich wiosek i pozostają niepodzielone pomiędzy sąsiadującemi gromadami wioskowemi, chociaż każda wioska rości sobie wyraźne prawo do tej lub innej części kniei. Gminnikom przysługuje prawo wolnego wrębu, ale bez pozwolenia obcej wioski nie wolno brać drzewa z obszaru, który do tej ostatniej należy. Wspólna własność rozciąga się i na pola: każdemu z dziedziców gminy przysługuje prawo koszenia trawy albo ścinania trzciny na dowolnym miejscu, ale nie wolno wydobywać z obcego zagonu korzeni. Otóż dynasta miejscowy jest jednym z takich spółwłaścicieli i w równej mierze z innemi musi być posłuszny wymaganiom prawa zwyczajowego. Warto zaznaczyć konsekwencje takiego stanu rzeczy. A więc dynasta, oderwany od swego rodu, w którym i z pomocą którego posiada jedynie prawo do ziemi, i jako dostojnik wyższego dynasty (ogólnoplemiennego) zaprzężony do służby publicznej, nie przestaje być jednak dynastą, bo to stanowisko jego zależy od przyczyn tkwiących w jego pochodzeniu, jednak traci prawo użytkowania z ziemi, dopóki jest wraz z rodziną nieobecny w swoim zaścianku. Jest wtedy bene natus, ale nie possessionatus. Zdarzy się to wtedy, gdy dynasta plemienny, albo dynasta, który drogą podboju lub federacji dobrowolnej zjednoczył kilka plemion pod swoją władzą, zgromadzi dokoła siebie dynastów pojedyńczych dzielnic jako stałą radę przyboczną lub w charakterze wojewodów odda im dowództwo nad stałą drużyną.

Dynaści ci „różnej rangi", związani każdy nierozerwalnie z gromadą odpowiednią dziedziców, są jedynie seniorami rodów lub podrodów. Każda taka gromada składa się z wielu rodzin tej samej krwi, wśród których jedna idzie przed innemi. W każdej mataquali istnieje kilka jawuz, wyprowadzających się od grupy braci rodzonych, a jak pomiędzy niemi znajdował się jeden najstarszy, tak samo zawsze jawuza, od niego pochodząca, zajmuje w dzielnicy przodujące stanowisko, w niej zaś istnieje rodzina, wyprowadzająca się przez pierworodnych od pierworodnego syna tego najstarszego brata, w tej rodzinie wreszcie najstarszy członek jest dynastą-seniorem. Cały ten ustrój znajduje się w stanie ciągłej zmiany, bo mataquale rozpadają się na nowe jawuzy, te wyrastają na nowe mataquale, które osiadają w innych punktach obszaru plemiennego lub nawet poza jego obrębem, a jakkolwiek samodzielne, przechowują prze-

cież tradycję wspólnego pochodzenia (a między innemi posiadają świadomość o tym, czy pochodzą z linji pierworodnych lub dalszych rodu). Powstaje przeto pomiędzy seniorami dzielnic hierarchja naturalna starszeństwa: są tam wyższego i niższego rzędu seniorowie. Ukazuje się dość złożona struktura „rang", która staje się jeszcze bardziej skomplikowaną na skutek tego, iż seniorowie posiadają zwykle kilka żon. Wśród nich znajduje się jedna lub więcej, które pochodzą z „lepszych" rodzin, a w tym ostatnim wypadku zawsze będzie jedna, która urodziła się w „najlepszej rodzinie". Dziecko otrzymuje rangę nie tylko po ojcu, ale i po matce, i seniorem będzie przedewszystkim pierworodny, urodzony z najlepszej żony. Będzie on nietylko „dobrze", ale „wysoko urodzony". Wszyscy zresztą synowie, zrodzeni z matek, które pochodzą z rodzin dynastycznych, mniejsza o rangę, posiadają jednakowe prawa do gruntów, ale tylko jeden z nich będzie dynastą. Nadto wódz może posiadać „małe" żony, córki pospolitych dziedziców. Dzieci, zrodzone z tych małżeństw, uchodzą wprawdzie za „dobrze", lecz jeszcze „nie dość wysoko urodzone". Po śmierci ojca nie otrzymują gruntów, o ile bracia lepiej urodzeni nie zechcą im wydzielić źrebia, ale jeśli dostaną ziemię, są zobowiązani naówczas do posługi wojennej na każde zawołanie wodza. Stanowią oni wtedy „urodzoną", że tak powiemy, drużynę seniora.

Każda dzielnica wioski posiada takiego seniora. Pomiędzy niemi znajduje się jeden wyższy rangą, który przewodniczy obradom. Wreszcie pierwszy senior wioski-macierzy (stolicy) jest dynastą ogólno-plemiennym. Wszystkie zaścianki uiszczają, na archipelagu Fidżyjskim, macierzy-wiosce daniny, które idą na potrzeby reprezentacji plemiennej, ale bynajmniej nie należą do głównego wodza. Wyobraźmy sobie jednak jeszcze parę szczebli na drodze dalszej ewolucji stosunków. Oto główny wódz plemienny przywłaszcza sobie pobieranie tej daniny, zagarnia na rzecz swoją knieje, do których pojedyńcze wioski posiadały wolny wręb, i tym sposobem zmusza dalszy przyrost ludności plemiennej do osiadania na jego ziemiach w charakterze czynszowników, a posiadszy prawo wyłączne rozporządzania puszczami plemiennemi, przywabia na swoją służbę pomniejszych dynastów i pojedyńszych dziedziców, którzy spodziewają się iż dostaną na swój osobisty użytek kawał kniei i tam założą własne, indywidualne gospodarstwo. Drużyna książęca — oto nieodzowny warunek wzrostu tej przyszłej potęgi dynasty

plemiennego. Z pośród drużyny wyjdzie rycerstwo znakowe, oderwane zupełnie lub na czas jakiś od pniaków swoich, w których byli dynastami; posiada ono rozległe prawa i przywileje, płynące z urodzenia, ale nie jest uposażone w grunta. Poza drużyną będzie istniało rycerstwo szeregowe, złożone z dziedziców-wojaków. Wzrost ten władzy książęcej pociągnie za sobą zabory i jednoczenie plemion ościennych pod władzą tego samego rodu dynastycznego, a ta okoliczność pogmatwa jeszcze bardziej sprawę i przy sprzyjających okolicznościach może doprowadzić do ukazania się państwa, posiadającego skrukturę polityczną, pokrewną ustrojowi społecznemu Polski w okresie Piastów.

VI.

Taką jest budowa społeczeństwa fadżyjskiego, i pokrewną jej jest organizacja plemienna wielu innych barbarzyńców-rolników, niekiedy zaś posiada u tych ostatnich charakter jeszcze bardziej złożony. W wielu wypadkach stosunki odchylają się w tę lub inną stronę, może się np. zdarzyć, iż prawo zwyczajowe głównemu dynaście przyznaje od początku wyłączne rozporządzanie niezajętą ziemią, jak u Barongów Afryki południowej. U ludów najezdniczych, np. u Giermanów w okresie wielkiej wędrówki ludów, nie spotykamy takiej złożonej więzi społecznej, co znajduje się w związku bezpośrednim z ruchliwym, nieosiadłym trybem ich bytu. Natomiast powyżej przedstawiona złożoność jest właściwą ludom osiadłym, które, siedząc na roli, przekształcają swój ustrój na skutek wzrostu ludności i zwolna wysnuwają wszystkie konsekwencje wyłuszczonych na początku niniejszej rozprawki zasad. Państwo, wyłaniające się tą drogą, nigdy nie dosięga wykończenia, właściwego klasycznemu ustrojowi feodalnemu, który powstał na skutek podboju.

Pojmujemy dobrze, że analogja nie może jeszcze służyć za dowód. Okoliczność więc ta, że z ustroju, właściwego plemionom fidżyjskim, może powstać państwo, przypominające w zasadniczych swoich rysach ustrój polski Piastowskiej, nie wystarcza dla udowodnienia tezy, iż nasze społeczeństwo rozwinęło się właśnie drogą takiej samej ewolucji. Na to trzeba innych, faktycznych dowodów pochodzenia miejscowego. Jednak stosunki, charakteryzujące ustrój społeczny barbarzyńców-rolników, pozwalają nam przypuszczać, iż Polska Piastów może roz-

winęła się w podobny sposób, wysnuwając zwolna konsekwencje z zasad, nieodłączonych od każdego ustroju barbarzyńskiego. A wobec tego argumenty, na jakie powołuje się teorja najazdu, dopóki nie będą rozporządzały odpowiednim materjałem faktycznym, nie mogą uchodzić za instancję rozstrzygająca. Co więcej, z punktu porównawczego zestawienia czynników rozwojowych, działających w okresie rolniczo-barbarzyńskim, hipoteza najazdu jest mniej wiarogodną, niż teorja, która, opierając się na faktach etnologicznych, pozwala nam otrzymać całą złożoność ustroju Polski Piastowskiej bez uciekania się do przypuszczeń niekiedy bardzo ryzykownych.

Ludwik Krzywicki.

NASI DAWNI PISARZE TECHNICZNI I SŁOWNICTWO

Pracują technicy nad uporządkowaniem swego słownictwa, a pracy tej dawni autorowie nasi dostarczyć mogą sporo materjału. Ale pisma techniczne ubiegłych stuleci mało są znane, technikom zwłaszcza. Zmuszeni warunkami zawodu do posiłkowania się piśmiennictwem ostatniej doby, zbyt często pozostawiają oni w zapomnieniu te cenne zabytki.

Kilka druków polskich z XVI wieku obejmuje oderwane wiadomości z zakresu techniki. W Unglerowskim „Ogrodzie Zdrowia" z r. 1534, który od swego tłumacza nosi dotąd nazwę „Zielnika Falimierza", opisany jest ogólny sposób pędzenia wódek, przedrukowany w dwuch następnych wydaniach tej książki. Do wydania z roku 1568 Marcin Siennik dołączył: „Alexego Pedemontana księgi siedmiory tajemnic, rozmaite nauki w sobie mające, z łacińskiego na polski język teraz nowo przełożone", których księga siódma traktuje „o pożytecznych sztukach rozmaitym rzemiosłom, począwszy od pisarza aż do oracza, nauki wielom skryte" i obejmuje różne wiadomości i przepisy technologiczne. W dziele o rolnictwie Crescentyna, którego przekład polski nieznanego pióra drukowany był w r. 1549 i 1571, w księdze pierwszej jest mowa: „o wybieraniu miejsc godnych ku mieszkaniu, jako są siedliska i dwory abo folwarki, takież i placzow ku budowaniu domow i też rzeczy inszych,

ku obchodu domowemu potrzebnych". Drobniejsze wiadomości z zakresu budownictwa wiejskiego obejmuje wydane w roku 1588 „Gospodarstwo" Gostomskiego.

Za pierwszą książkę techniczną polską uważać wypada „Geometrię to jest miernicką naukę" Stanisława Grzepskiego z roku 1566. Autor, biegły w językach starożytnych, profesor Akademji Krakowskiej, nie był matematykiem z powołania. Jak opowiada bezimienny biograf z XVII wieku, do wydania dziełka o miernictwie „miał okazję z przypadku znacznego, który się stał w Wilnie przy dworze króla Augusta, dla gieometrji głupiej mierników na Podlasiu, którzy czasem przez pośrodek izby sznur ciągnęli, dziury przewierciawszy". Sam Grzepski szeroko się rozwodzi w dedykacji, iż pragnął ułożyć podręcznik techniczny, obejmujący tyle tylko wiadomości z gieometrji elementarnej, ile ich potrzeba koniecznie do najprostszego mierzenia pola, odległości i wysokości. Jakoż po podaniu tych wstępnych wiadomości, określa ściśle włókę chełmińską, uczy mierzyć na gruncie prostokąty, równoległoboki i trójkąty a co do powierzchni koła zaleca stosunek Archimedesa: 22/7. O łanach polskich podaje ścisłe wiadomości, zebrane pracowicie pisma współczesne o ich mierzeniu sumiennie roztrząsa, porównywa łan z włóką chełmińską, objaśnia co jest mórg rzymski, uczy „jako wysokość, albo dalekość, albo głębokość jaka ma być zmierzona", „jako djoptrą mierzyć wieżę, albo co innego wysokiego", „jako mierzyć bez djoptry", za pomocą cienia, albo też patrząc wprost okiem, od ziemi, przez koniec laski, na szczyt wieży. Ten sam sposób stosuje do mierzenia odległości i głębokości, objaśniając powoli, mozolnie, nieraz się powtarzając, byle tylko czytelnika nauczyć. Wreszcie ostrzega: „Przy końcu tych tu książek mam cię upomionąć czytelniku miły, iż figury nie wszędzie tak, jakoby miały być, są uczynione: przeto iż mistrz, co je rzezał, nie był po temu. Ale wedle pisania się sprawując, nie trudno sobie wszystkiego, czego potrzeba, poprawić możesz".

A „pisanie" to jest tak jasne, zrozumiałe i rozsądne, że podziwiać wypada, jak autor, z powołania ani matematyk, ani miernik, mógł wyłożyć równie dobrze wiadomości wstępne z gieometrji i zebrać najpotrzebniejsze wskazówki praktyczne w zakresie elementarnego miernictwa. Odnośnie do miar powierzchni, używanych u nas w wieku XVI, książeczka Grzepskiego jest źródłem pierwszorzędnym. Sposoby mierzenia podaje najprostsze, bo zamierzał tylko opisać krótko „jako naszy

miernicy zwykli mierzać" a nie miał na celu podawania innych, kunsztowniejszych metod. Wydał też wyborną książeczkę popularną, napisaną jasno i zrozumiale, niewątpliwej użyteczności dla wszystkich, którzy nie znając łaciny, chcieli się obznajmić z najprostszemi sposobami mierzenia pól. Uczony filolog, przyjaciel Wujka i Skargi, władał znakomicie językiem polskim i napisał swe dzieło stylem jasnym, pełnym prostoty, językiem czystym. Lepsze też u niego słownictwo matematyczne i techniczne, niż u wielu późniejszych pisarzy.

Drugą nową książeczkę technicznej treści wydał w r. 1573 Olbrycht Strumieński z Mysłowic, rządca u Firlejów w Balicach; tytuł jej: „O sprawie, sypaniu, wymierzaniu i rybieniu stawów: także o przekopach, o ważeniu i prowadzeniu wody. Książki wszystkim gospodarzom potrzebne". Gospodarstwo rybne rozwijało się u nas wtedy. Za podręcznik służyła łacińska książeczka biskupa ołomunieckiego Dubrawiusza, wydana w 1547 we Wrocławiu i przedrukowywana później wielokrotnie. Strumieński też wspomina w przedmowie, że miał „przykład w tem niektórych zacnych ludzi, którzy jak słyszę, łacińskim językiem o tej materyej dosyć szeroce pisali". Nie korzystał z nich wszakże, notował tylko dla zachowania w pamięci szczegóły, o których ważności przekonała go praktyka na Śląsku, który znał dobrze, i w Polsce. Tym też większą wartość ma jego książka, jako wierny obraz ówczesnego urządzania stawów. Podczas gdy Grzepski odznacza się erudycją, Strumieńskiego cechuje prostota i gruntowność z jaką podaje wyniki własnej praktyki.

Zaczyna swą książeczkę od poziomowania: „Najpierwej o wadze albo o mierzeniu stawów" i opisuje „synwagę", to jest łatę ośmiołokciową z przybitą do niej gruntwagą trójkątną, czyli jak ją nazywa „krokiewką". Opisuje sposób jej użycia „na nożach przy laskach", który dotrwał do końca XVII wieku, i wszelkie ostrożności, jakie zachować należy, aby uniknąć pomyłek. „Też niektórzy prostacy, mówi, ważą wodę tym obyczajem. Zalepi na końcach gonta albo wścianka woskiem i nalewa w oną fugę gontową wody; a kiedy mu już woda w onym goncie równo stanie, tedy powiada, że już dobrze. A tego nie baczy, jeśli gont prosty albo jeśli go równo ustrugano". Radzi też używać w tym celu łaty ośmiołokciowej, starannie obrobionej, ze żłobkiem, wreszcie mówi: „chcesz li też mieć wagę wodną żelazną na szrobach, którą będziesz mógł sam ważyć przez pomoc-

nika, będziesz mógł patrzeć przez nią do papieru, na prędkie odważenie. Daj sobie mądremu ślusarzowi uczynić z żelaznej blachy jakoby żłobek, na cztery łokcie wzdłuż a w końcach niechaj będą progi albo szczytki trochę wywyższone nad on instrument, a to dlatego, aby mógł dobrze uczynić w obu końcach dziurki ku przejźrzeniu". Podówczas też nie znano w Europie lepszego narzędzia poziomniczego. Rękopis grecki, opisujący djoptrę Herona, z wagą wodną rurkową, rozpatrywać zaczęto dopiero w XIX wieku.

Następuje „nauka o wywodzeniu wody" i dłuższy rozdział „o budowaniu groblej", w którym Strumieński podaje wymiary, sposób sypania grobli i koszt robót ziemnych. Dalej mówi o upustach, podając szczegóły ich budowy i urządzenia. Opisuje przytym „mnicha", to jest słup wypuszczający nadmiar wody ze stawu oraz skrzynię, „jaka ma być tam kędy bierzesz wodę na staw, a zwłaszcza u tych stawów, które są zawarte pobocznicą od gościnnej wody". Mówi o sadzawkach, „o młyniech, które na stawiech pospolicie budują", o ponikach, „które bywają w stawiech". Wogóle całe dziełko poświęcone jest budowie i urządzaniu stawów; o narybianiu i o rybach traktują tylko trzy ostatnie rozdziały. Lepszej książeczki tego rodzaju nie posiada piśmiennictwo europejskie XVI wieku. Wcześniejszy Dubrawjusz przewyższa Strumieńskiego stylem i erudycją, ale mu nie dorównywa bogactwem treści i ścisłością wskazówek praktycznych. Styl i język jaśnieją świeżością złotego wieku naszego piśmiennictwa. W całej książeczce niema żadnego wyrazu łacińskiego, wszystko zaczerpnął autor z praktyki krajowej i wyraził temi słowy, jakie słyszał wokoło siebie. To też skromny „urzędnik balicki" w naszym piśmiennictwie technicznym staje w jednym szeregu z uczonym Grzepskim, na czele dawnych autorów.

W XVII stuleciu przedrukowywał dwa razy Strumieńskiego Strojnowski. W wydaniach tych książeczka nie straciła najważniejszych swych zalet. Gdy po ich wyczerpaniu okazała się potrzeba nowej książki w tym przedmiocie, przedrukowano już po r. 1660 przekład polski Dubrawjusza, zarówno treścią, jak i językiem niedorównywający dziełku Strumieńskiego.

Nie dotrwała już do owych czasów „Gieometrja" Grzepskiego. W końcu XVI wieku była jeszcze rozpowszechnioną, a słynny nasz matematyk Jan Brożek pisał w r. 1619: „Gdy ojciec mój, człek poczciwy, który był zarazem nauczycielem mo-

im, widział, iż mnie niewielka pomoc z roli czekała, dawał mi w domu początki nauk, jako też i gieometrji, których się sam nauczył z polskiej książki Stanisława Grzepskiego, a mianowicie o najprostszym sposobie mierzenia za pomocą cieniów". Brożek sam później tak cenił tę książkę, że już po r. 1624 wydał druk na dwu kartkach in 4^0 zatytułowany: „Księdza Jana Broscyusza przydatek pierwszy do Geometryej Polskiej Stanisława Grzepskiego". Jakkolwiek tytuł jest polski, więcej jednak w tym druku Brożka cytat łacińskich od polskiego tekstu.

W r. 1664 wyszedł z druku w Krakowie „Traktacik mały", będący przekładem ustępów wyjętych lub streszczonych z niemieckiej „Gieometrji praktycznej" Danjela Schwentera. W przedmowie tłumacz, Jan Paterson Hain z Kieszmarku opowiada o stoliku mierniczym, iż to „rzecz cudowna, pożyteczna i foremna, tym którzy się bawią miernictwem na polu, który stolik iżem in usu zawsze miał, częścią dla uciechy mej własnej, częścią też dla potrzeby przyjacielskiej. Zdarzyło się w r. 1662, żem z Ich MM. sławnej pamięci: Jego M. X. Janem Brosciusem, kanonikiem krakowskim i plebanem międzyrzeckim i z Jego M. X. Stanisławem Pudłowskim, proboszczem św. Mikołaja w Krakowie, ludźmi in Mathesi ad miraculum usque exercitatis, w Krakowie około tego stolika miał obszyrną rozmowę a potym i samego jego usum w rzeczy samej ukazował, który zaraz tak arrisit Ich mościom, że mi odetchu nie dali, ażem breviter i strukturę tego i usum per compendium z Schwentera zebrawszy, na polski język przetłumaczyć musiał".

Zasługi naukowe Brożka są znane ,a o Pudłowskim pisał Włoch Burattini, że „był najpoufalszym przyjacielem pana Galileusza, wówczas jeszcze żyjącego, przeto posiadał wszystkie dzieła tegoż, bądź drukowane, bądź rękopiśmienne". Data tylko spotkania na rynku w Krakowie nie jest pewną, bo Pudłowski zmarł 1645 a Brożek 1652 r. W każdym razie stolik mierniczy, opisany przez Schwentera w 1619, ukazał się w Polsce już w połowie XVII wieku. Nie tylko jednak ustaleniem tego szczegółu zasługuje na uwagę „Traktacik mały". Jest to po „Gieometrji" Grzepskiego i przydatku do niej Brożka trzeci znany druk polski, traktujący o miernictwie przed Solskim. Nie prosty to przekład ale umiejętne streszczenie trafnie wybranych ustępów ze Schwentera. Słownictwo gieometryczne tłumacz jakby zaczerpnął z Grzepskiego, bo spotykamy w określeniach

wszystkie wyrazy użyte w „Gieometrji", niektóre nawet lepiej dobrane.

Naukę artylerji rozpowszechniano u nas wtedy przekładem polskim dzieła Diega Uffana p. t. „Archelia", wydanym przez Jana Dekana w Lesznie 1643 r. z temiż samemi rycinami, jakie figurowały w przekładzie niemieckim tego dzieła, drukowanym we Frankfurcie w r. 1621. Na wstępie przekładu „Archelii" podany został matematyka i technika polskiego Macieja Głoskowskiego wierszowany panegiryk do rycerstwa polskiego.

W zakresie budownictwa zasługuje na uwagę książeczka, wydana w Krakowie w r. 1659, p. t. „Krótka nauka budownicza dworów i pałaców, zamków, podług nieba i zwyczaju polskiego". Po „Przemowie do możnych i dostatnich panów" następują rozdziały: „o miejscu i położeniu sposobnem budynków", ich materji, formie, różnych formach dworów, pałaców i zamków, „o murowaniu, a naprzód o fundamencie", „o ścianach", „o dziurach potrzebnych w ścianach, to jest oknach i drzwiach", „o kominach i prywetach", „o dachu", „o zawarciu budynku i jego wewnątrz ochędóstwie", wreszcie „conclusio z nowem ad architecturam przychęceniem". Wiele tu zdrowych rad i poglądów; rozdział o rozkładzie wewnętrznym budynków daje obraz ówczesnych urządzeń dworów wiejskich; wogóle autor wykazał oczytanie i praktyczną znajomość rzeczy, wyłożył treściwie najważniejsze zasady budownictwa, a rozsądne jego wskazówki do dziś nie straciły na wartości. Język jest piękny, choć nie brak łacińskich wyrazów i zdań. Rzecz specjalniejszą o architekturze wydał w r. 1678 po łacinie Bartłomiej Nataniel Wąsowski w Poznaniu. Owa tak zwana „Kallitektonika" stanowi cenny materjał odnośnie do słownictwa, gdyż autor zestawił na wstępie słownictwo architektoniczne łacińskie, włoskie i polskie, i podał nazwy polskie różnych części budynku.

Szereg książek technicznych polskich zamykają w wieku XVII dzieła ks. Stanisława Solskiego. Najobszerniejsze z nich „Gieometra polski, to jest nauka rysowania, podziału, przemieniania i rozmierzenia linji, angułów, figur i brył pełnych", wyszło w Krakowie w trzech księgach, w latach 1683, 1684 i 1686. Zawarta w księdze pierwszej część teoretyczna, jakkolwiek obszerniejsza znacznie, jasnością i ścisłością nie dorównywa jednak krótkiemu wykładowi gieometrji w książeczce Grzepskiego.

Umieszczone na jej wstępie „zebranie terminów gieometrycznych“ *), nie dostarcza właściwego materjału do słownictwa technicznego, nieobejmując wyrazów użytych w części praktycznej, która stanowi księgę drugą i zasługuje na uwagę, jako pierwszy w języku polskim obszerniejszy wykład miernictwa. Uczy tam Solski mierzyć pola, opisuje narzędzia miernicze a między innemi własnego pomysłu wózek mierniczy i tablicę mierniczą (stolik bez busoli); dalej uczy mierzyć odległości, wysokości i głębokości i przenosić na papier wyniki pomiarów. Opisuje swój „instrument abrysowy“ (stolik z busolą), wreszcie podaje sposoby dzielenia figur gieometrycznych, praktyczne wskazówki jak dzielić grunta i naukę o miarach. Księga trzecia zawiera niedość ściśle wyłożoną naukę o mierzeniu powierzchni i objętości brył gieometrycznych, pierwszy polski wykład gnomoniki, jak na owe czasy dobrze napisany, wreszcie wykład arytmetyki, wierszem i prozą. W wielu swych częściach szwankujące, ale w dziale zastosowań praktycznych bardzo dobre, dzieło to, pierwsze u nas w tym zakresie i przez długi czas jedyne, oddało znakomite usługi. W ciągu kilkudziesięciu lat po jego wydaniu, kto tylko w kraju, nieznający łaciny, chciał się czego nauczyć z gieometrji, a zwłaszcza praktycznej, ten zaglądał do „Geometry Polskiego“. To też praca Solskiego stanowi dla nas cenną pamiątkę, odnośnie zaś do słownictwa mierniczego pozostanie na zawsze jednym z najbogatszych źródeł.

Jeżeli, tak w „Geometrze Polskim“, jak i w swej łacińskiej rozprawie o miernictwie z r. 1688, przedstawia się Solski nie tyle jako matematyk, ile jako technik, który po należytym przetrawieniu wykładanych za jego czasów w szkołach zasad naukowych, stosuje je w dalszym ciągu do potrzeb życia praktycznego, to ten jego charakter uwydatnia się w całej pełni w ostatniej jego pracy „Architekt Polski“. Miał on zamiar w trzech księgach tego dzieła pomieścić wiadomości wstępne z mechaniki a następnie zasady budownictwa w zastosowaniu do kościołów, domów mieszkalnych i fortec. W r. 1690 wydał w Krakowie pierwszą z trzech ksiąg zamierzonych, stanowiącą pod-

*) Zebranie to przedrukował w num. 13 i nast. Czasopisma Technicznego lwowskiego z r. b. p. Ludw. Ant. Birkenmajer, dla zwrócenia uwagi „szerszych kół technicznych na dawne nasze piśmiennictwo techniczne, z którego nie tylko szczycić się ale wiele myśli i wiadomości dziś nawet jeszcze zaczerpnąć możemy“.

ręcznik praktyczny do mechaniki elementarnej. Składa się ona z trzech „zabaw", z których pierwsza „moc i siłę wszystkich machin, sposobnych do ulżenia ciężarów opisuje i podaje sposoby do przemagania ciężarów zbyt wielkich małemi siłami"; druga „pokazuje jako wiele ciężaru przydają koła większe, gdy obracają mniejsze dla prędkości mniejszych, jako mają być dzielone i czego przestrzegać w piłach i we młynach wodnych, konnych, wietrznych i ręcznych"; trzecia „własności wody i sposoby jej szukania, ważenia, czerpania, do góry pędzenia i używania rozmaitego otwiera".

„Architekt Polski" jest dobrą książką techniczną, pełną jasnych i ścisłych uwag i praktycznych wskazówek. Solski podaje treściwie znane mu zasady mechaniki a następnie tłumaczy i opisuje machiny i przyrządy, najczęściej w owych czasach używane w kraju, oraz te, które zwróciły jego uwagę za granicą, lub których opisy w innych dziełach znalazł i jako pożyteczne w swej książce powtórzył. Opisuje także niektóre ustroje własnego pomysłu, niewielkiej doniosłości, ale praktyczne i urzeczywistniające powien postęp w swoim czasie. Z każdego zaś szczegółu jego dzieła widać w nim wytrawnego praktyka, zdrowo rozumującego, w ciasnym zakresie znanych mu prawd naukowych. Wykład Solskiego jest jasny i prosty, język czysty, a co do słownictwa „Architekt" jest dziełem źródłowym, równie jak „Geometra Polski".

Te są główne zawiązki *) wciąż rozwijającego się później, zwłaszcza od epoki Stanisławowskiej, naszego piśmiennictwa technicznego. Obfity w nich materjał do prac nad słownictwem i wiele wskazówek językowych. Właściwe jednak pożytkowanie tego materjału polegać winno nie tyle na zbieraniu pojedyńczych wyrazów lub przedrukowywaniu gotowych zbiorów, ile na rozczytywaniu się w dawnych autorach, odczuwaniu wdzięku i prostoty ich wyrażeń i umiejętnym naśladowaniu wzorów, jakich nie szczędzą. Energję, jaką zużywają na tworzenie nowych wyrazów, najczęściej wcale niewchodzących w użycie, pracownicy nasi zwracaćby winni w kierunku gruntownego poznania języka, na podstawie dawnych autorów, mając zawsze w pa-

*) Ściślejsze informacje podaliśmy w pracy: O początkach piśmiennictwa technicznego w Polsce. Warszawa, 1900.

mięci pogląd Jana Śniadeckiego, dosadnie wyrażony w jego rozprawie O języku polskim *):

„Wyrazy naukowe zbogacają język, kiedy są wynalezione trafnie i szczęśliwie: co się nie zawsze i nie każdemu udaje... Kiedy człowiek głębokiego pojęcia, dobrze rzecz i swój język znający, weźmie się do pisania w nauce cale nowej dla tego języka, potrafi on wiadomości i myśli w swej głowie dobrze wyrobione wylać na język, którym umie kierować i władać, mało potrzebując wyrazów nowych, albo zręcznie i rzadko stwarzając te tylko, które się nie dadzą zastąpić przez inne, w mowie zwięzłej i ciągłej... Ale kiedy pisarz jest wprzód, że tak powiem, myśliwcem na słowa, łowi syllaby, lepi je, klei i niemi się pasie — i do takiej lepianki naciąga i gnie myśli, wiadomości i naukę, budowa taka musi być nieforemna, niesmaczna, ani językowi ani wzrostowi nauk nieprzydatna".

Feliks Kucharzewski.

*) Dzieła Jana Śniadeckiego. Warszawa 1837, t. IV, str. 20—21.

WODA A ŻYCIE.

Niezmiernie obfite zdobycze przyrodoznawstwa ubiegłego stulecia pod wielu względami zreformowały, zmieniły, nawet odwróciły zasadnicze poglądy starożytnego i średniowiecznego człowieka na „żywioły“ przyrody, na ich wzajemny i do świata żyjącego stosunek.

Przy klasyfikowaniu przedmiotów natury nie przeciwstawiamy już dziś wody ogniowi, ani lądów — morzom; wiemy, że z ziemi, jako z martwego składnika wszechświata, obecnie żaden organizm żywy samorodnie nie powstaje, przeciwnie: organizmom „martwa“ ziemia wiele zawdzięcza przy tworzeniu i przemianach jej warstw najzewnętrzniejszych.

Niegdyś podziwiano piękno i bogactwo życia roślinnego i zwierzęcego, panującego „w całej swej pełni“ na lądach; niezmierne zaś, nieobjęte przestworza wody — mórz i oceanów uważano niemal za państwo martwoty i śmierci a co najwyżej, rozbujała fantazja tych, co się z temi przestworzami bezpośrednio stykali, widziała tam same „potwory morskie“.

Dziś wiemy, że fauna lądowa jest tylko jedną gałęzią, pewnym ułamkiem tego olbrzymiego tworu przyrody, jakim jest całokształt organizmów zwierzęcych i roślinnych. Wśród niezmierzonych obszarów wód morskich toczy zaciętą walkę o byt, rozwija się i doskonali od wieków większa część istniejących tworów żyjących. I nic w tym niema dziwnego. Człowiek z

natury organizacji swojej ściśle związany z lądem, rozglądał się przedewszystkim w najbliższym swym otoczeniu, zaznajamiał się z tym, co mógł na ziemi lub nad ziemią spostrzec, i nie wiedząc o istnieniu innych odległych krajów po za jego ojczyzną leżących, nie mógł domyślać się nawet mnogości, różnorodności i potęgi życia organicznego, ukrytego w tak obcym mu, nawet groźnym, prawie zawsze „wrogim" środowisku wód morskich. Ze zmianą światopoglądu wszystko się pod tym względem zmieniło. Dziś widzimy liczne stacje naukowe, zakładane dla badań życia organicznego mórz; literaturze naukowej przybywa coraz to więcej wspaniałych wydawnicty, monografji, poświęcanych różnym większym i mniejszym grupom zwierzęcym i roślinnym morskim; coraz częściej organizowane bywają przez państwa, towarzystwa naukowe lub przemysłowe oraz przez osoby prywatne z wielkim nakładem trudu i kosztów ekspedycje i wyprawy naukowe morskie. W najnowszej wreszcie dobie zaczęto organizować wykłady z dziedziny biologji morza w różnych sezonach na wybrzeżach morskich *).

Słusznie dziś morze nazywane bywa „szkołą zoologa". Już nie mówiąc o niezmiernej doniosłości tworów morskich dla człowieka pod względem ekonomicznym, dla biologji teoretycznej są one wielkiej wagi, a dla badań naukowych i doświadczeń bardzo podatnym materjałem.

Dla rozwiązania wszystkich niemal zagadnień, związanych z teorją rozwoju, morfologowie zmuszeni są zwracać się przedewszystkim do morza, największe luki w drzewie genealogicznym zwierzęcym wypełnione stopniowo zostały przez twory morskie, że wspomnę tu o Coeloplanie i Ctenoplanie,

---

*) W r. z. np. wykłady podobne zorganizowane zostały w Bergen (w Norwegji) i trwać mają od 1g-o Września do 1-go Grudnia. Obok wykładów teoretycznych program zapowiada zajęcia praktyczne, prowadzone w pracowni oraz wycieczki zoologiczno-botaniczne do najbliższych fjordów. Wykłady prowadzone są przez czterech profesorów specjalistów w języku angielskim i niemieckim: 1) Dr. *Johan Hjort* — biologja ryb morza Północnego; 2) *B. Helland-Hansen* — prowadzenie pracowni naukowo-doświadczalnej i metody badań oceanograficznych; historja dotychczasowych badań oceanograficznych w morzach Europy północnej; hidrografja teoretyczna; 3) Dr. *H. H. Gran.* — badania planktoniczne oraz ogólne metody hodowli i badań bakterji morskich. 4) Dr. *A. Appellof* — systematyczny przegląd ryb i zwierząt bezkręgowych fjordów norweskich, morza Północnego i Norweskiego; rozsiedlenie zwierząt tych na dnie morskim w zależności od warunków topograficznych i fizycznych.

znalezionych w morzu Czerwonym i mających stanowić formy przejściowe od typu robaków — do typu jamochłonów; o zwierzęciu jelitodysznym, Balanoglossusie, wykazującym z jednej strony pewne cechy pokrewieństwa z robakami — a z drugiej—z typem szkarłupni i strunowców, wreszcie—o lancetniku i osłonicach, uważanych powszechnie za protoplastów kręgowców. Wszystkie te formy przejściowe obok wielkiej ilości bardzo ważnych pod tym samym względem larw, jak trochophora, pilidium, pluteus, bipinnaria, nauplius — zamieszkują wody morskie *).

Względna prostota warunków fizycznych, jaka panuje w środowisku wodnym, była wreszcie powodem tego, iż zwracano się doń z wielu pytaniami, dotyczącemi zależności świata żyjącego od warunków zewnętrznych i zależności poszczególnych grup organicznych — pomiędzy sobą.

Nie zadowoliło jednak badaczy biologów morze w zupełności; zwrócono się i do wód słodkich. Zauważono, iż w głębinach naszych jezior, rzek i wszelkich innych wód lądowych istnieje niemniej bogaty świat zwierzęcy i roślinny. Z początku nieśmiało i dorywczo, w końcu systematycznie — z obmyślanym planem zabrano się i do nich. Powstała nowa gałąź nauki — limnologja.

Niepodobna byłoby w tak krótkim zarysie przedstawić pełnego obrazu życia, pulsującego w środowisku wodnym, scharakteryzować jego wybitne właściwości, jego związek z warunkami fizykalnemi — odmalować jego bogactwo i przepych.

Poprzestać muszę na wskazaniu tej roli, jaką odgrywa woda w wewnętrznym życiu organizmów wogóle, i na wykazaniu tych fizycznych właściwości zbiorników naturalnych wody, które kładną wybitne swe piętno na faunie i florze wodnej.

*

* *

Istotną cechą zjawisk życiowych jest ożywiona przemiana materji i związanej z nią energji, odbywająca się za pośrednictwem różnych mniej lub więcej skomplikowanych reakcji chemicznych. Chemiczne zaś zjawiska, zgodnie z dawną zasadą:

---

*) Postać (fazę) *naupliusa* w rozwoju swym, jak obecnie wiadomo, przechodzi znaczna ilość skorupiaków słodkowodnych.

corpora non agunt nisi soluta, odbywać się mogą w organizmach, tylko przy udziale wody — w roztworach. To też obecność wody należy do ogólnych, niezbędnych warunków życia. Podścielisko życia — plazma jest nawpół płynną masą.

Jak ważnym jest dla normalnego przebiegu zjawisk życiowych ten warunek, przekonać się możemy z najrozmaitszych przystosowań organizmów zwierzęcych i roślinnych, powstrzymujących lub ograniczających wysychanie.

Jedną z głównych różnic, dających się wykazać pomiędzy organizacją rośliny a zwierzęcia, jest obecność mniej więcej grubych błon, ścian, otaczających żywe komórki roślinne, i brak ich częsty w komórkach ciała zwierzęcego. Główną przyczyną, która taką różnicę tu wytworzyła, przypisać można właśnie różnym warunkom obrony przed wysychaniem, istniejącym w państwach roślinnym i zwierzęcym. Zwierzę, aczkolwiek zabezpieczone zzewnątrz od zbytniej utraty wody przez parowanie, przez skórę z sierścią, piórami, łuskami lub tarczami, ma jeszcze znakomitą broń w ruchu, w uzdolnieniu do miejscozmienności: ukryć się ono może od skwaru słonecznego, od palących, suszących wiatrów, wyszukując sobie cieniu i zacisznych kryjówek. Roślina zaś przywiązana niezmiennie do miejsca swego urodzenia, pozbawiona możności unikania niesprzyjających życiu warunków czynnie, — zaopatrzona została przynajmniej w broń bierną, w odporność przeciw zbytniej utracie wody z tkanek.

Po za tym przystosowaniem, właściwym wszystkim prawie roślinom, spotykamy tu przeróżne twory ochronne zewnętrzne w postaci grubej warstwy kory, korka, wosku.

Wszystkie, obserwowane wśród roślin sposoby przystosowania, powstrzymujące zbytnie wysychanie, regulujące ich transpirację E. Warming podzielił na następujące sześć kategorji:

1) Perjodyczne zmniejszanie powierzchni yziewającej.

2) Perjodyczne układanie się organów roślinnych w pionowym kierunku, wskutek czego działanie promieni słonecznych i wyziewanie zostają osłabione. Są to tak zwane fotometryczne, czyli zależne od światła ruchy roślin.

3) Stałe pionowe ułożenie organów (nprz. rośliny południkowe).

4) Szczególne postacie liści i pędów o stosunkowo małej powierzchni.

5) Włoski, okrywające powierzchnię rośliny, łuski i liście, otulające wierzchołki młodych pędów, oraz liście zeschłe, pozostające na roślinie.

6) Ochrona przed silnym ogrzaniem i transpiracją, polegająca na właściwej budowie anatomicznej.

Obok tego rośliny najbardziej wystawione na wysuszającą działalność czynników klimatycznych, jak rośliny pustyń, uzbrojone bywają w silnie rozwinięte, szeroko rozrzucone pod ziemią korzenie, które chciwie spijają każdą kroplę rzadko spadającego tam deszczu.

Zwierzęta mało ruchliwe, a zmuszone żywot swój pędzić w środowisku suchym, wykazują w budowie swej taką samą przezorność przeciw wysychaniu, sprowadzonym do minimum. Ślimaki np. otwór swej muszli zamykają dobrze dopasowanym wieczkiem, które najdokładniej zabezpiecza ukryty wewnątrz organizm od wysychania.

W ten sposób susze, panujące w pustyniach, nie zagrażają normalnemu biegowi życia, odbywającemu się w plazmie komórek. Plazma ta zachowuje i tam swoją normalną nawpół płynną budowę, i dlatego wszystkie organizmy pustyń żyją pełnym życiem, aczkolwiek natężenie, tempo tego życia spada nieraz do najniższego kresu.

Obserwować przytym nieraz można, jak ekspansja procesów życiowych podnosi się lub spada, zależnie od większej lub mniejszej ilości wody, jaką organizm rozporządza.

Już drobny deszcz pobudza przytłumione suszą życie do raptownego rozwoju: orzeźwione rośliny zakwitają i wypuszczają nowe pędy i liście; pogrążone w śnie letnim zwierzęta, budzą się i odzyskują utraconą na czas jakiś energję.

Inaczej, niż zwierzęta i rośliny pustyń, przystosowują się do życia w suchym środowisku te drobnowidzowe istoty, które z natury swego życia w drobnych nieraz zbiornikach wody wystawiane bywają perjodycznie na raptowne zmiany zewnętrznych warunków, mianowicie bakterje, wymoczki i inne jednokomórkowe istoty.

Wytwarzają one w chwili zbliżającego się niebezpieczeństwa (wysychania wody) dokoła swego drobnego ciała delikatne lecz mocne torebki, cysty, i ukryte w nich, jak jądro orzecha w skorupce, przetrwać mogą miesiące, a nawet lata całe w stanie życia utajonego. Wśród kurzu przenoszone one bywają przez wiatr z miejsca na miejsce na znaczne nieraz prze-

strzenie, zanim się z powrotem dostaną do wody, lub miejsc wilgotnych.

Zjawisko to, znane w biologji pod nazwą anabiozy, zaobserwowano zresztą i wśród zwierząt wyżej uorganizowanych— wielokomórkowych, jak np. na wrotkach (Rotatoria) i niesporczakach (Tardigrada).

Błony i skorupy nasion i jaj zwierzęcych, bardzo nieraz trwałe i mocne, oczywiście mają nie inne przeznaczenie, jak ochraniać rozwijający się zarodek roślinny lub zwierzęcy od różnych niesprzyjających warunków zewnętrznych, a przedewszystkim od zbytniej utraty wody przez żywe komórki.

Wszystkie te przytoczone tu przystosowania i szczegóły w organizacji roślin i zwierząt dowodzą wymownie tej ważnej roli, jaką w procesach życiowych odgrywa woda.

Przystosowania te spotykamy oczywiście wśród organizmów, które zmuszone bywają walczyć o byt w atmosferze.

Niemniej wybitne piętno kładzie na organizacji, budowie zewnętrznej, stosunek do wody tych roślin i zwierząt, które stale zamieszkują wodę. Piętno to jest tu oczywiście nie wyrazem ochrony od wysychania, lecz wynikiem pewnych własności fizycznych płynnego środowiska.

„Ląd jest państwem kontrastów, woda zaś — jednostajności" — powiada H. Simroth, i ma zupełną słuszność. Zobaczmy np., jak zachowują się względem wody najgłówniejsze czynniki fizyczne i chemiczne. Jako środowisko daleko mniej ruchliwe niż atmosfera, wyrównywa ona kontrasty mechaniczne, utrudniając r u c h zanużonych w niej ciał obcych, jak i swój własny. Ruch prądów tak poziomych, jak i pionowych, odbywa się w niej wolno; silne nawet wstrząśnienia zewnętrzne nie przenikają na znaczną głębokość wcale; w głębiach mórz i oceanów panuje wieczny spokój i cisza.

Nieznaczna kurczliwość wody sprawia, iż nawet tam, gdzie ciśnienie jej wynosi kilka atmosfer, gęstość pozostaje prawie niezmienną, tak, iż zwierzęta pływające ten sam podczas ruchu napotykają opór na wielkich głębokościach co i na powierzchni.

Wysoka zdolność pochłaniania c i e p ł a sprawia, iż pasy klimatyczne nie występują na morzach tak wybitnie, jak na lądach: promienie słoneczne w jednakowej mierze zostają pochłonięte przez wodę, gdy upadną nań pod większym czy też pod mniejszym kątem; z tego samego powodu na pewnej

głębokości atmosferyczne wahania temperatury nie pozostawiają żadnych śladów: czy latem czy zimą panuje tam mniej więcej jedna i ta sama stała temperatura (około 4^0 C.).

Ta sama stałość temperatury w głębiach oceanów lodowatych panować musi nawet na biegunach, dzięki wiecznym otulającym ich wody lodom.

Podobnie rzecz ma się i ze światłem.

W wodzie, pochłaniającej wiele promieni świetlnych, panuje tylko światło rozproszone, tak iż nawet pod niebem tropikalnym różnica między dniem a nocą w głębinach stopniowo zmniejsza się i w końcu (465m—550m) zaciera się zupełnie; na głębinach mniej więcej 500m panuje noc wiecznie.

Taką samą wreszcie jednostajność na olbrzymich obszarach wód morskich wykazuje rozmieszczenie różnych roztworów ciał mineralnych; i pod względem więc chemicznym warunki życia wodnego dają obraz wielkiej monotonji.

Odrębne pod każdym względem warunki fizyczne i chemiczne ma życie w górnych i przybrzeżnych warstwach zbiorników wodnych. Stykając się z atmosferą z jednej strony, a z lądem (na brzegach) — z drugiej, organizmy wodne w szczegółach swego przystosowania do warunków bytu posiadają już pewne cechy lądowe. Tu — co krok, to nowe warunki, nowe kontrasty — tak jak na lądach.

Życie wód słodkich, na znacznie mniejszym rozwijając się terenie, przystosowane jest do bardziej minjaturowych lecz za to różnorodnych warunków zewnętrznych. Ani rozległością powierzchni, ani głębokością przeważna część jezior słodkich nie może iść w porównanie z morzami.

W związku z mniejszą przezroczystością wód słodkich, z mniejszą zawartością w nich roztworów mineralnych ciepło i światło przenika w jeziorach na mniejsze głębokości: płytki fotograficzne przy najbardziej sprzyjających warunkach pozostają niezmienione na głębokości nieco większej od 240m *), dla oka zaś, zależnie od warunków, panuje tu zupełna ciemność już na 40m—88m (F. Forel).

Jakże różnorodne mimo to są warunki bytu organizmów w wodach słodkich!

---

*) Podług badań Sarasina nad jeziorem Gienewskim w marcu r. 1886.

Przyjrzyjmy się z jednej strony małej kałuży, która nagle po ulewnym deszczu powstała na drodze i również prawie nagle zostanie przez palące promienie słoneczne wysuszoną; albo też małej, lecz stałej sadzawce, zarośniętej prawie całkowicie szuwarami i wszelkiego rodzaju bagiennemi ziołami, powleczonej szmaragdowym kożuchem rzęsy; a z drugiej — spójrzmy na rozległe jezioro o kilkudziesięciowiorstowej długości i stumetrowej nieraz głębokości, przypominające swemi wzburzonemi falami i nadbrzeżną pianą minjaturowe morze. Jakaż różnica pomiędzy tryskającym z ziemi zimnym zdrojem lub potokiem górskim, toczącym ku dolinom żwir i kamienie, a potężną rzeką, wolno sunącą w szerokim i głębokim łożysku, zatapiającą podczas wylewów nadbrzeżne niziny, tworzącą liczne łachy i zaciszne zatoki!

Każdy z tych zbiorników wody posiada swą odrębną faunę i florę, tak, iż odróżniamy faunę i florę wód stojących i bieżących, stawów, strumieni, źródeł i bagien.

Najbogatszym jednak życiem wre pas tych wszystkich zbiorników nadbrzeżny, gdyż właściwości jego fizyczne podlegają raptownym zmianom i są najróżnorodniejsze. Wahania np. temperatury przy rocznych i dziennych zmianach występują najmocniej, bezpośrednie oświetlenie jest tu najsilniejsze; obfitość tlenu i wszystkich tych składników chemicznych, których dostarcza ląd — największa; ciśnienie zewnętrzne najsłabsze, ruch zaś wody, a co za tym idzie, i ciągłe jej odnawianie — najznaczniejsze. Wszystkie zaś te warunki jaknajbardziej sprzyjają życiu.

To też nic dziwnego, iż w pasie nadbrzeżnym najobfitsze widzimy zarośle roślinne, i najliczniejszych spotykamy przedstawicieli państwa zwierzęcego; tu właśnie osiedlają się nawet „najniezaradniejsze“ z pośród zwierząt — gąbki i mszywioły (Bryozoa), przyrośnięte stale do dna lub roślin wodnych; tu wreszcie urządzają dzienne i nocne wycieczki mieszkańcy głębin i wód otwartych; tu natura rozstawiła swym tworom najobficiej zastawione stoły—tu zgotowała wygodne dla odpoczynku kryjówki i wspaniałe dla godów kobierce.

Ta sama obfitość warunków, niezbędnych do życia, znamionuje i same wybrzeża lądowe wód słodkich: najbogatszą roślinność lądową i najróżnorodniejsze zwierzęta osiedlają się w pobliżu jezior i rzek; wody te bowiem nietylko poją i żywią

lecz i łagodzą klimat, chronią więc organizmy od szkodliwych kaprysów atmosferycznych.

W pobliżu wód wreszcie od wieków obierał sobie siedlisko i człowiek; czy to uganiając się za dzikim zwierzem, czy zakładając rolniczą zagrodę lub chroniąc się od drapieżnych zwierząt i drapieżniejszych jeszcze swych wrogów, znajdował on po wszystkie czasy najdogodniejszy i najbezpieczniejszy punkt oparcia dla swego bytu u rzek i jezior. Dziś wreszcie, w wieku przemysłu i wszechświatowych korporacji, zbiorniki wody — szczególniej słodkiej — stały się źródłem siły pracującej w licznych zakładach przemysłowych, w fabrykach, oraz najdogodniejszemi i najtańszemi drogami komunikacyjnemi.

Dziś więc człowiek słusznie tytułować się może nietylko „panem ziemi" lecz i władcą wody.

Najpotężniejszą swą władzą — nauką i myślą — opanował on ją i zaprzągł do rydwanu swych potrzeb.

I tylko tam, gdzie zaniedba wskazówek nauki i roztropności myśli, opłakiwać musi wybryki rozhukanego żywiołu.

Kazimierz Kulwieć.

Zasada opisu i przyporządkowania (koordynacji) w matematyce.

E. Mach rozpoczyna swój wspaniały odczyt, wygłoszony na posiedzeniu przyrodników w Wiedniu 1894 r. *) od tego, że przypomina powszechne zdumienie, wywołane przez Kirchhoffa, gdy tenże oświadczył**) iż zadanie Mechaniki teoretycznej polega na „zupełnym a najprostszym opisie ruchów, napotykanych w przyrodzie". Zaznacza przytym Mach okoliczność, iż jakkolwiek nie pierwszy Kirchhoff, bo 100 lat przed nim Adam Smith (i wielu potym) podobne zdanie w zastosowaniu do nauk wogóle wypowiedzieli, jednak i dziś jeszcze (1896 r.) wielu bardzo uczonych jakoś nie może się z poglądem takim pogodzić i koniecznie chcą się dopatrywać w nauce czegoś więcej, niż „opisu" zjawisk danej dziedziny.

Jeśli w dobie bieżącej, w XX wieku, pogląd taki na mechanikę teoretyczną, na fizykę, chemję i wogóle nauki „przyrodnicze" — nawet ścisłe, — upowszechnił się znakomicie dzięki popieraniu jego na każdym kroku przez takich matadorów jak E. Mach i W. Ostwald w dziedzinie przyrodniczej, a przez

*) „O zasadzie porównania w Fizyce". Istnieje polski przekład St. Kramsztyka, Łódź 1899 r.

**) Kirchhoff „Vorlesungen ueber mathem. Physik" t. I. Berlin 1876 r.

szkołę Avenariusa w teorji poznania, jeśli przesiąknął tym łatwiej do dziedzin umiejętności stosowanych, technicznych, to, zdaje się, najmniej dotąd zdziałano w sprawie zastosowania tego poglądu do matematyki, jako nauki, roszczącej sobie, na równi z logiką, prawo do tytułu nauki „formalnej".

Wobec tego warto, być może, krótko zastanowić się nad pytaniem, czy i w matematyce „opisowość" stanowi tło podstawowe i w jakim mianowicie znaczeniu. Przekonamy się prawdopodobnie, że odpowiedź wypadnie twierdząca i to w znaczeniu bardziej dosadnym, niżby się to może niejednemu, sądzącemu „na gorąco", roiło. Gdy zaś uda się nam osiągnąć takie przeświadczenie, natenczas tymbardziej wzmocni się taż teza w zastosowaniu do ścisłych nauk przyrodniczych, bo wszak jedyny w nich pierwiastek, którego opisowość może budzić powątpiewanie, to właśnie matematyczny!

Na chlubę przyznać trzeba matematykom, że chętnie zawsze i z zapałem uprawiali teorjopoznawczą stronę swej dziedziny i że dziś częściej, niż kiedykolwiek zajmują się temi zagadnieniami. Niema zjazdu lub uroczystości, na którejby wybitny jakiś matematyk nie wygłosił pracy w tej materji, oświetlając rzecz po swojemu *). Często w tych pracach i badaniach między wierszami, lub w kilku zdaniach wtrąconych, można się dopatrzeć bardzo pokrewnego stanowiska i stąd nabyć przeświadczenia, że omawiany pogląd toruje sobie wśród matematyków drogę zwycięską. Zdarzają się wszakże i wręcz przeciwne stanowiska.

Zanim przystąpimy do właściwego przedmiotu, musimy jednak, w celu uniknięcia nieporozumień, ustalić niektóre pojęcia i punkty widzenia, a sądzimy, że najlepiej te wstępne, a dość trudne, sprawy załatwimy, przytaczając w odpowiednim zestawieniu i wyborze słowa mistrza Macha w możliwie dosłownym tłumaczeniu **):

„Znamy tylko jedno jedyne źródło bezpośredniego objawiania się faktów w przyrodzie — zmysły...

---

*) Po największej części prace te (przynajmniej wybitniejsze) zaraz, lub po niejakim czasie, uprzystępniają dla ogółu naszego „Wiadomości Matematyczne".

**) Oznaczać będziemy "Princip d. Vergl. i. d. Physik,, wyd. II. 1897 r. w skróceniu przez P.d.V., zaś A.d.E. będzie skróceniem "Analise der Empfindungen, wyd. II. 1900r.

„Barwy, dźwięki, ciepła, uciski, przestrzenie, czasy i t. d. są spojone ze sobą w sposób wieloraki i (czucia te) związane są z nastrojami, wzruszeniami, chceniami. Z tkaniny tej wyłania się to, co jest stosunkowo bardziej wyraźne, spoiste i stałe, wraża się w pamięć i wyraża się w mowie. Jako stosunkowo najbardziej stałe objawiają się zespoły powiązane czuciami przestrzennemi i czasowemi, zespoły barw, dźwięków, ucisków i t. d., które przeto otrzymują odrębne nazwy i które wyróżniają się jako ciała. Zespoły te bynajmniej nie są bezwzględnie niezmienne. Mój stół jest oświetlony raz jaśniej, to znów ciemniej; może być cieplejszy, lub chłodniejszy. Może być splamiony atramentem, może mieć nogę złamaną. Może być naprawiony, politurowany; każda część jego mogła być zastąpiona inną nową. Zawsze pozostanie on tym stołem, przy którym codziennie pisuję"...

„Większe oswojenie się z danym zespołem czuć, większa przewaga stałych pierwiastków nad zmiennemi, prze nas do ekonomiczności, częścią instynktowej, częścią dowolnej i świadomej w wyobrażaniu i w oznaczaniu, która się wreszcie objawia w potocznym myśleniu i mówieniu. Co sobie jednocześnie, odrazu wyobrażamy, — to otrzymuje jedno oznaczenie, jedną nazwę... (A. d. E. str. 12). ...Nie ciała zatym wywołują czucia, lecz zespoły czuć (pierwiastków czuciowych) stanowią ciała"... (A. d. E. str. 20).

„Nie ulega wszakże wątpliwości, że same czucia nie mogłyby stanowić życia psychicznego, podobnego choć trochę do naszego. Gdyby czucia były zapominane natychmiast po ich przeminięciu, to mogłaby wyniknąć tylko niespójna mozaika i następczość stanów psychicznych podobna do tej, jaką przyjąć musimy dla zwierząt najniższego szczebla i dla najgłębszych idjotów. Na tym poziomie umysłowości czucie nie będzie zauważone, chyba że będzie działało jako silna podnieta ruchowa, np. jako czucie bolesne. Widok ciała okrągławego o jaskrawych barwach, o ile nie jest uzupełniony wspomnieniem woni i smaku, — krótko mówiąc, — wspomnieniem właściwości owocu i doznanych wobec niego doświadczeń, postrzeżeń, pozostaje niezrozumiany, nie budzi zajęcia, jak to można niekiedy spostrzegać u osób dotkniętych tak zwaną „ślepotą psychiczną". Zachowanie wspomnień, spójność ich i możność wzbudzania jednych wspomnień przez inne, — słowem: pamięć i kojarzenie, oto podstawowe warunki bujniejszego życia psychicz-

nego (A. d. E. str. 151). Skoro nastąpiło już pierwsze zorjentowanie się i powstały zespoły czuciowe, mianowicie ciała, natenczas wola (nie w znaczeniu metafizycznym!) prze do zauważenia zmian w tych względnie stalszych zespołach. Właśnie to, co się zmienia w ciałach, stanowi to, co pobudza wolę. Dopiero teraz wyłaniają się składniki zespołu, jako jego własności. Jakiś owoc jest słodki, lecz może być i gorzkim; zauważona barwa czerwona zdarza się w wielu ciałach; blizkość niektórych ciał bywa przyjemną, innych przykrą. I tak okazuje się stopniowo, że różne zespoły posiadają wspólne składniki... Zespoły rozszczepiają się na pierwiastki czuciowe" (A. d. E. str. 4).

Powyższe wywody Macha dostatecznie wyjaśniają zajmowane przezeń stanowisko i nie będziemy dalej tego przedmiotu rozwijali; przypomnimy tylko, że, po dokonanej w powyższy sposób analizie, znów wytwarzamy przez zbieranie pewnej liczby cech, własności, przymiotów, zespoły myślowe z tychże pierwiastków, więc dokonywamy syntezy, prowadzącej do pojęć mniej lub więcej ogólnych, rozległych, zależnie od tego, czy zespalamy więcej lub mniej własności, cech; a rezultat jest taki, jakbyśmy pierwotny zespół odczyścili od niektórych cech i przymiotów, które uznajemy za bardziej zmienne. Wywód i krytyka tych wszystkich spraw wszak stanowi przedmiot psychologji ogólnej; dla naszego celu ważne jest tylko zaznaczenie, jak powszechnie z naiwnego postrzegania wykluwa się analiza zjawisk, jak następnie znów zachodzi synteza. Na wyższym szczeblu rozwoju psychicznego rozważamy w podobny sposób nietylko zespoły czuć, lecz i zespoły wyobrażeń; każde takie postrzeżenie, każde takie rozważenie, utrwalone w pamięci i skojarzone z innemi, jest doświadczeniem osobistym.

„Lecz jakże małoznaczące byłoby to, czego osobnik pojedyńczy mógłby tą drogą doświadczyć, gdyby był ograniczony do samego siebie i gdyby każdy z nas musiał nanowo rozpoczynać! Nie może o tym dać nawet dość upakarzającego pojęcia ten poziom wiadomości przyrodniczych, jaki byśmy napotkać mogli wśród zapadłej wsi murzyńskiej w Afryce środkowej, bo nawet tam już czynne jest to dziwo przenoszenia myśli, wobec którego dziwy spirytystów są śmieszną drobnostką, mianowicie — mowa, słowna wymiana myśli. — Nie te półświadome sądy, które choćby subtelny obserwator przyrody, lub znawca ludzi kryje w sobie, lecz tylko to, co jest dla niego dość

jasne, by móc to słowami zrozumiałemi dla innych wyrazić, tylko to jest dobytkiem nauki. Lecz jakże sobie poradzić, by się podzielić nowym doświadczeniem, nowym faktem świeżo spostrzeżonym? Otóż wyrazy mowy ludzkiej, która przecież jest tylko wytworem bardziej wyspecjalizowanym niż rozliczne krzyki, rżenia, ryki zwierząt, żyjących stadami, — są nazwami, lub znakami powszechnie wiadomych, wspólnie postrzeżonych, lub postrzegalnych faktów. Wyobraźnia kroczy początkowo tylko biernie wślad za nowemi spostrzeżeniami, za nowym faktem, lecz niebawem zmuszoną bywa czynnie, samodzielnie odtwarzać ten fakt w myśli z powszechnie już wiadomych, wspólnie dostrzeżonych faktów. Pamięć zawsze ma w pogotowiu takie znane fakty, które są p o d o b n e do nowego, — t. j. posiadają pewne cechy zgodne i wspólne, które zatym mogą służyć do p o r ó w n a n i a, i pamięć umożliwia w ten sposób przedewszystkim sąd wewnętrzny, po którym wnet następuje sąd wypowiedziany. Porównanie jest tym, co, umożebniając wogóle wymianę myśli, stanowi najpotężniejszy wewnętrzny pierwiastek życiowy nauki. Każda nauka żyje i rośnie dzięki porównaniu".

„Sposoby, w jakich wyniki porównania znajdują swój wyraz w wypowiedziach, bywają, co prawda, bardzo rozmaite. Gdy o przedmiocie mówimy, że jest „różowy", „niebieski", „zielony", to np. może to mieć związek porównawczy z barwami róży, nieba, ziół; przez częste użycie takich porównań w różnych przypadkach związek cech zgodnych zaciera się wobec niezgodnych tak, że pierwsze (zgodne) uzyskują znaczenie niezależne od właściwego pierwotnego przedmiotu porównania i stają się, jak się mówi, o d e r w a n e m i, p o j ę c i o w e m i. Nikt już nie pamięta później np. pierwotnego związku przymiotnika „różowy" z różą. Podobnież liczby, które początkowo mogły być nazwami palców, rąk, nóg, użytych za znaki początkowe najrozmaitszych przedmiotów, stały się pojęciami oderwanemi. Wypowiedź słowną o jakimś fakcie, przy której zużytkowujemy tylko takie środki czysto pojęciowe, nazywamy o p i s e m b e z p o ś r e d n i m".

„Opis bezpośredni faktu nieco bardziej rozległego jest pracą żmudną nawet wówczas, gdy wszelkie pojęcia po temu potrzebne są już zupełnie rozwinięte. Jakiejże ulgi doznajemy, gdy natomiast wolno nam poprostu powiedzieć, że rozważany fakt A nietylko pod jednym, lecz pod wieloma względami, a nawet pod wszystkiemi zachodzi tak, jak już znany fakt B!

Księżyc zachowuje się tak, jak ciążące ku ziemi ciało, światło — tak, jak ruch falisty, lub drgania elektryczne! — Taki znów opis, w którym niejako powołujemy się na opis dokonany gdzieindziej, lub który ma być dokładniej wykonany, nazywamy opisem pośrednim. Nic nam jednak nie przeszkadza uzupełniać stopniowo, sprostowywać, lub zastąpić wreszcie taki pośredni opis częściowo, lub w całości opisem bezpośrednim. To, co zwykliśmy nazywać teorją, ideją teoretyczną podpada zatym pod kategorję opisu pośredniego. Jakoż w każdej teorji, czy idei teoretycznej mamy do czynienia poprostu z wspomnieniem i porównaniem; tylko że, zamiast, jak tam, — przy tworzeniu pojęć oderwanych, występują pojedyncze jakieś rysy podobieństwa, tu występuje odrazu cały układ takich rysów, tu spostrzegamy odrazu całą dobrze nam znaną fizjonomję i przez to nagle nowy fakt przeobraża się w taki, z którym już jesteśmy całkowicie oswojeni. — Taka idea może nawet mieścić więcej w sobie, niż pierwiastkowo dostrzegliśmy w nowym fakcie i przez to ten ostatni może się wzbogacić i uposażyć cechami, których dopiero szukać musimy i które też często w rzeczy samej odkrywamy.— Przyjęcie jakiejś teorji kryje jednak w sobie zawsze i niebezpieczeństwo: Musimy sobie stale uprzytamniać, że podstawiamy przytym w myśli w miejsce faktu A zawsze inny bądź co bądź B, który wydaje nam się prostszym, lub z którym jesteśmy bardziej oswojeni i, choć może on zastąpić pierwotny pod pewnemi względami, to z pewnością, właśnie jako inny, nie zdoła zastąpić go pod wszystkiemi względami. Najbardziej płodna teorja może — przy pominięciu tej ostrożności, jak to się często dzieje, stać się niekiedy zaporą w badaniu" (P. d. V.).

Niech powyższe światłe wywody Macha służą nam za drogowskaz w specjalnej dziedzinie matematyki, do której się też stosują wszystkie w całej rozciągłości.

Istnieją różne określenia przedmiotu matematyki. Być może najbardziej jest utarte określenie Descartes'a, według którego matematyka jest „nauką o porządku i mierze"; nowszą, lecz mniej szczęśliwą jest definicja, przytoczona i krytykowana przez Pawła Janeta: „nauka o wielkościach", bo pojęcie „wielkość" musiałoby wówczas otrzymać niezwykle rozległe i zupełnie sobie niewłaściwe znaczenie. Zdaje nam się, iż najwłaściwszą, najściślejszą i najogólniejszą byłaby następująca definicja: „nauka o przyporządko-

wywaniu (koordynacji) zjawisk i ich pierwiastków", gdzie przez „zjawisko należy rozumieć dziedzinę, ogarniającą także myśli" *). Określenie to obejmuje i liczenie i mierzenie i kombinowanie i wreszcie związki pomiędzy działaniami matematycznemi (równoważność ich). Czym wogóle dla nauk jest porównanie, to w matematyce przybiera tylko szczególną, bardziej określoną i ścisłą postać, którą właśnie nazwać można przyporządkowaniem. Jeśli idzie o psychologiczną klasyfikację tego pojęcia, będzie to szczególny, bo jednoznaczny, rodzaj kojarzenia. Wreszcie określenie to wyraźnie zaznacza charakter opisowy matematyki. Gleba, z której wyrosły wszystkie działy matematyki, to postrzeganie zmysłowe, pozostawiające ślad w pamięci i kojarzące się z innemi w sposób przyporządkowania. I tu wybitną i zasadniczą rolę odgrywa porównanie, dostrzeżenie cech wspólnych i różnych.

Weźmy naprzykład arytmetykę, czyli naukę o liczeniu, na której wszak dzisiaj słusznie szkoła Weierstrasss'a chce oprzeć całą analizę, i zobaczmy jak tam wygląda to przyporządkowanie. Wszyscy matematycy i filozofowie zgadzają się dziś, że „liczyć" rzeczy, przedmioty, zespoły, to znaczy — uważać je za jednorodne, rozpatrywać je łącznie i przyporządkowywać im pojedyńczo inne rzeczy, przedmioty, zespoły, które także za jednorodne uznajemy **). Odróżniają oni nawet nazwę „jedność", oznaczającą każdego osobnika (egzemplarz) tej grupy, którą chcemy przeliczyć, od każdego egzemplarza tej grupy, której przyporządkowujemy pierwszą, i takiemu egzemplarzowi nadają nazwę „jednostka" (jedynka) ***). Napotykany u niektórych dzikich ludów pasterskich sposób liczenia, np. stada owiec, polegający na przepuszczaniu pojedynczo po jednej owcy, dotykaniu jej jedną ręką i spółczesnym wrzucaniu drugą ręką do woreczka przedtym próżnego — kamyczka lub muszli z uprzednio przygotowanej w tym celu kupki, jest dosadną ilustracją powyż-

---

*) Leibniz zwracał już uwagę, że miara może być stosowana tylko tam, „gdzie uprzednio już istnieje porządek" i możnaby zatym mówić o matematyce, jako nauce o porządku. Mniemamy, że Leibniz miał tu także na myśli przyporządkowanie raczej, niż ciaśniejsze pojęcie porządku.

**) „Encyklopaedie d. Math. Wissenschaften I. A. 1. wyd. Teubnera 1898 r.

***) E. Schröder „Lehrbuch d. Arithm. u. Algebra" Lipsk 1873 pag. 5 pierwszy zdaje się kładzie nacisk na takie odróżnienie. To, co przetłumaczyliśmy „jedność" nazywa się u niego „Einheit", zaś jednostka — „Einer".

szego określenia i samej czynności przyporządkowywania. Może przytym być, że pasterz taki wcale nie wie, ile ma owiec, i nie potrafiłby nawet nazwać właściwej liczby; niemniej wszakże czynność jego była liczeniem, które mu doskonale pozwala sprawdzić następnie, czy mu która owca nie zginęła, bo ponowne przyporządkowanie każdej owcy jednemu kamykowi z woreczka snadnie go o tym upewni. Już tutaj powstać może pojęcie arytmetycznej równości, zanim się jeszcze uświadomiło sobie pojęcie liczby, gdyż „równemi" okazują się, lub nazywają tutaj takie dwie grupy przyporządkowywanych osobników lub elementów, iż można je parami, po egzemplarzu z każdej, kojarzyć aż do spółczesnego wyczerpania zupełnego grup obu. I pojęcie arytmetycznej większości lub mniejszości tu ma swoje źródło: mniejszą lub większą z dwuch grup, o przyporządkowywanych w sposób powyższy osobnikach, będzie ta z nich, która prędzej, lub później się wyczerpie, t. j. w której w końcu nie będzie już ($<$) lub pozostaną ($>$) nie skojarzone egzemplarze. Wynik liczenia nazywa się liczbą; w powyższym przykładzie zatym kamyczki w woreczku, po przeliczeniu całego stada, wyobrażać będą liczbę, której ów pasterz mógł nadać odrębną nazwę, np. „moje stado" i byłaby to liczba. Jeśli przy liczbie pamiętamy, co liczyliśmy, to otrzymana liczba będzie mianowaną, jeśli zaś zupełnie nie baczymy na to, co liczyliśmy, wówczas mamy do czynienia z tąż liczbą, lecz niemianowaną, czyli oderwaną. Dopiero potrzeba zakomunikowania komuś innemu wyniku liczenia, albo potrzeba utrwalenia go w pamięci nakazuje przyporządkować znów liczbę pewnej stałej nazwie. Nazwy te brano przeważnie znów przez porównanie od przedmiotów, w których dana liczba stale i wyraźnie występowała. Jeśli przy liczeniu każda para przyporządkowana otrzymuje swoją nazwę, to nazwy te w tym porządku, jak następują po sobie, będą stanowiły tak zw. naturalny szereg liczb porządkowych: pierwszy, drugi, trzeci..., zaś nazwy liczb odpowiadających kolejno temu szeregowi, t. j. wyniki kolejne liczenia, będą tworzyły naturalny szereg liczb: jeden, dwa, trzy... Zapamiętanie tych nazw i ich kolejnego porządku zastępuje wreszcie kamyczki naszego pasterza, który przy każdej dotkniętej owcy może dawać nazwy kolejno wzięte z tego szeregu naturalnego; gdy zaś znów przy sprawdzaniu na ostatnią owcę wypadnie ta sama nazwa, co i poprzednio, natenczas wie, że mu żadna nie zginęła. Naukę arytmetyki z dziećmi rozpoczyna się właśnie od tego,

że je uczą szeregu naturalnego, t. j. nazw utartych i ich kolejnego następstwa. Jednak powracają niekiedy dzieci do pierwotnego sposobu liczenia (gdzie nie idzie o liczbę) w swych zabawach; naprzykład: „entliczek, pentliczek, czerwony, stoliczek"..., lub „ele, mele rutki, gospo-darz ma-lutki"... są wyraźnemi śladami pierwotnego liczenia, w którym idzie o przyporządkowanie uczestników zabawy pewnym dźwiękom mowy w łatwym do spamiętania porządku.

Poszczególne wyniki liczenia, czyli liczby, są to zatym fakty doświadczalne, doskonale utrwalone w pamięci, na które się powołujemy, gdy się nam zdarza ta sama czynność, z tym samym wynikiem. Każdy taki wynik opisujemy więc bezpośrednio przez powołanie się na dobrze nam już znany analogiczny fakt i charakteryzujemy to przez użycie tej samej nazwy liczby.

Spamiętanie jednak nieco obszerniejszej dziedziny liczb byłoby sprawą bardzo uciążliwą, jeśli nie niemożliwą; dlatego też używamy sposobu, który pozwala zaprowadzić w tych nazwach pewien ład. Mianowicie, po dojściu do liczby, którą wraz z poprzedniemi łatwo spamiętać, np. do 5-ciu, lub 10-ciu, rozpoczynamy na nowo, dodając za każdym razem nazwę ostatniej liczby poprzedniej grupy. I tak przy naszym układzie dziesiętnym wszak liczy się do dziesięciu, a potym rozpoczyna się na nowo: jeden na dziesięć (jedenaście), dwa na dziesięć (dwanaście)... i t. d. aż do dwa dziesięć (dwadzieścia); potym znów dwadzieścia i jeden... i t. d. Dzisiejsze kulturalne narody w pierwocinach swego rozwoju przeważnie używały palców u rąk, na wzór owych kamyczków, i tu tkwi źródło piątkowego lub dziesiętnego układu liczb. Pisownia rzymska cyfr wskazuje, jak się zdaje, że aż do pięciu pisano kreski, wyobrażające palce, zaś piątka rzymska (V) była właściwie wizerunkiem otwartej pięści; dalej następują palce drugiej ręki, jako kreski dodane do wizerunku jednej już wyczerpanej ręki, aż wreszcie rzymska dziesiątka (X) jest znów wizerunkiem dwu (obu) rąk *). U niektórych ludów (np. Celtów, Azteków) pozostały ślady w mowie i piśmie, wskazujące na to, że liczono nawet grupami dwudziestkowemi; Aztekowie np. (Meksyk) posiadali 20 od-

*) Pisownia IV, znacząca: „ręka mniej jeden palec" jest ponoć późniejszą od pisowni IIII; tak samo IX zamiast VIIII.

rębnych znaków na oznaczenie liczb od zera do 19-tu, zaś Francuzi i dziś mówią: soixante dix-neuf, quatre-vingts.

W ten sposób przez kojarzenie ograniczonej liczby nazw i znaków z nazwami wyników liczenia w określonych przypadkach stwarza się możność nieograniczonego przedłużania szeregu liczb i nadawania każdej z nich miana podług tej samej metody, czego przykład mamy w swoim układzie dziesiętnym. I w tym znów ujawnia się zasada koordynowania, gdyż tworzymy grupy, zawierające każda pewną stałą dla wszystkich ilość liczb, a raczej egzemplarzy i z temi grupami postępujemy znów tak, jakby każda z nich była osobnikiem, czyli przyporządkowujemy szereg grup pierwotnemu szeregowi liczb; z pewnej liczby takich grup znów tworzymy większą jeszcze grupę, znów ją szeregujemy i t. d. W ten sposób otrzymujemy dziesiątki, setki, tysiące, miljony i t. d. Szczupłość ram niniejszej rozprawki nie pozwala szczegółowo wykazać, że cała arytmetyka i wszystkie jej działania, najbardziej nawet złożone, dadzą się sprowadzić do takich i rozwijają się przez takie coraz bardziej złożone i dalej sięgające przyporządkowywania grup liczbowych do osobników znanej i dobrze przytomnej grupy liczbowej, że, jednym słowem, w arytmetyce wyśledzić można zawsze, na wzór jakiego prostszego tworu arytmetycznego dany twór jest zbudowany, czyli wyśledzić, że teorja jego jest opisem zapomocą poprzednio już stwierdzonych i tkwiących w pamięci pojęć, które same znów są opisem i t. d. Wreszcie każda obszerniejsza arytmetyka nowsza lepiej od nas te sprawy wykłada *).

Mówiliśmy dotąd tylko o arytmetyce i pojęciu liczby, na którym można poprzestać tylko do pewnego stopnia. Na rozwój

---

*) Badania te posiadają bardzo obszerną literaturę. Musimy poprzestać na odesłaniu do niej, przypominając tylko, iż i wiele wskazówek bibliograficznych i bardzo sumienne zestawienie przedmiotowe rozmaitych poglądów na teorjopoznawczą stronę arytmetyki czytelnik znajdzie w „Pojęciach i metodach matematyki" p. *S. Dicksteina*, choć w dziele tym tkwi inna myśl przewodnia. Z niewymienionych tam, bo późniejszych prac, podać wypada: *E. G. Husserl* „Philosophie u. Arit metik" Halle 1891; *Lüroth-Dini* „Grundlagen für eine Theorie d. Functionen einer veränderlichen Grösse", Lipsk 1892 i *E. Knoch* „Ueber den Zahlbegriff" 1892 r. Pozwolimy sobie tylko zwrócić uwagę, że zasada koordynacji mieści w sobie zasadę *Peacock-Hankla* „trwałości (zachowania) praw formalnych, która w gruncie rzeczy tylko wypowiada, że staramy się zawsze nową dziedzinę form matematycznych opisać przez koordynowanie jej elementów do elementów znanej już dobrze dziedziny, która na to lepiej, lub gorzej pozwala.

dzisiejszej zarytmetyzowanej analizy w wysokim stopniu wpływały jednak nietylko czysto liczbowe koordynacje, lecz także przyporządkowania form liczbowych do układu elementów innych dziedzin postrzegań i zjawisk, a przedewszystkim do dziedziny zjawisk gieometrycznych. Postrzeżenia, stanowiące źródło pojęć gieometrycznych, są odmienne od tych, które tkwią w arytmetycznych. A choć i w tych ostatnich niema nic „formalnego" w znaczeniu niezależności od doświadczenia i od powstałych z doświadczenia drożności pewnych stałych kojarzeń, choć i liczenie i liczby i działania nad niemi, to opisy, to utrwalenie w pamięci długotrwałych, częstych i stałych zjawisk myślowych, jednakże w pojęciach gieometrycznych ten empiryczny ich charakter bodaj że jeszcze jaskrawiej występuje.

Jeśli przy „liczeniu" musieliśmy wyjść z tego — naiwnego zresztą — stanowiska, że pewne odrębne zespoły mogą być uważane za coś stanowiącego pewną stałą całość cech nierozerwalnych, np. każda owca w owym stadzie, i przez to mógł powstać sąd o ich jednorodności, to i u podstaw gieometrji musimy wyjść z również naiwnego poglądu, że pewne zespoły stanowią indywidua o k s z t a ł c i e niezmiennym np. góry, głazy, kamienie, — musimy wyjść z poglądu, że powstało w umyśle ludzkim pojęcie ciała stałego, niezmiennego, lub, jak matematycy zwykle mówię, — ciała „sztywnego". Źródeł tego pojęcia należy szukać tylko w czuciach wzrokowych i dotykowych; pojęcie to jest skutkiem wydzielenia ze zjawisk wzrokowych i dotykowych tego, co w nich bardziej stale występuje i n i e d a się zastąpić żadną definicją. Choć dalej idące badanie i krytyka mogły wykazać, że to, co naiwnie poczytywaliśmy za ciało niezmienne, może jednak zmienić swój kształt, że niema ciał „doskonale sztywnych" — jednak właśnie ten naiwny pogląd pozwolił stworzyć to ważne pojęcie graniczne, a dzięki niemu i gieometrję. Taki już los dziejów nauki, że największe jej zdobycze i prawdy wyrastają z błędów, z niedopatrzeń i nieścisłości, bo analizować możemy tylko dzięki temu, że bezwiednie, lub umyślnie, zwracamy uwagę tylko jednostronnie na pewne rysy, pomijamy zaś to, co niekiedy nawet może się następnie okazać jako ważniejsze dla badanego zjawiska.

Nader ważną sprawą jest rozjaśnienie tej okoliczności, że pojęcie ciała „sztywnego w sobie" jest natury czysto doświadczalnej i wyrosło z postrzeżeń, iż zdarzają się bryły, zdolne zawsze wywoływać ten sam zespół czuć wzrokowych i dotykowych,

co i zachowany w pamięci, a pochodzący od tejże bryły. Nic więcej jednak powiedzieć nie możemy, a wszelka rzekoma definicja na zasadzie np. warunku zachowania stałej „odległości" pomiędzy częściami danego kształtu, choćbyśmy definicję tę ubrali w niewiedzieć jak subtelną sukienkę matematyczną, będzie zawsze tylko pustą frazeologją i kołem błędnym (circulus vitiosus), bo nie potrafimy np. znów określić „odległości", ani jej ustalić bez uciekania się do jakiegoś ciała sztywnego. Na okoliczność tę kładł wyraźny nacisk H. Helmholtz *), a jednak i dziś często spotkać można bajania na ten temat i błądzenie w zaklętym kole nawet u matematyków. Tak tedy, gdy się raz doszło do wyobrażenia i pojęcia (ciała) kształtu sztywnego przez postrzeganie, nastąpić musiała dalsza analiza, dzięki której z bryły sztywnej dała się wydzielić część dostępna dla dotyku czyli „powierzchnia" jej lub „powłoka". Bryły sztywne można było łamać, rozdrabniać, kruszyć, przyczym występowały zjawiska ostrych ograniczeń powierzchni czyli linji, krawędzi. Ta możność rozdrabniania kształtu wreszcie prowadzi do nowego pojęcia granicznego: kształtu tak drobnego, że postać jego staje się niepostrzegalną i obojętną, prowadzi do nowego pojęcia, — że tak powiemy, — atomu kształtu, czyli do pojęcia punktu. Punkt zatym jest to drobina kształtu, w której już forma jego nie odgrywa roli, — a choć nie potrafimy wyobrazić sobie ciała, jakkolwiek drobnego, bez określonego kształtu, to jednak w punkcie możemy bez szkody dla dalszych kojarzeń na kształt nie zwracać uwagi.

Pojęcie ciała sztywnego i wydzielenie z niego punktu, oto podstawy gieometrji, zaczerpnięte z dziedziny czuć wzrokowych i dotykowych. Lecz pojęcia te nie wystarczyłyby dla zbudowania tej nauki; konieczne jest jeszcze pojęcie „ruchu", również bezpośrednie i nie dające się zdefinjować jak i sztywność. Umysłowi ludzkiemu tak dobrze znane i przytomne są zjawiska ruchów, wykonywanych odruchowo, lub za podnietą woli przez części ciała ludzkiego: chodzenie, oddychanie, wszelakie skurcze mięśni, — tak dobrze znane te zmiany położeń, które zdarzają się w przedmiotach zewnętrznych, a postrzegane wzrokiem i dotykiem, że znów i ruch można tylko opisać jako pewien zespół

*) „Ueber die Thatsachen, die der Geometrie zu Grunde liegen", Göttingen. Nachrichten 1868 r. str. 198.

czuć znanych. Podstawowo ważnemi jednak dla uświadomienia sobie, jakiego rodzaju czucia odgrywają rolę w pojęciu ruchu, dla dokładniejszego tedy jego opisu, są wyniki najnowszych (z ostatnich lat 15-tu) badań fizjologicznych, które wykryły, że posiadamy specjalny i bardzo czuły narząd zmysłowy dla postrzegania położenia i ruchu własnego ciała. Narząd ten, umieszczony w błędniku ucha, jest wciąż czynny i nawet bez uszkodzenia błędnika nie możemy ani na chwilę powstrzymać jego działania, jak to np. możemy uczynić ze wzrokiem lub słuchem przez zamknięcie powiek, lub zatkanie uszu *). Zmysł ten jest tak zbudowany, że pozwala na odczuwanie zmian kierunku i natężenia ruchu postępowego, oraz zmian kierunku i natężenia ruchu obrotowego, przez szczególne zróżnicowanie jego części na dwa typy. Niewątpliwie czucia, które zawdzięczamy temu narządowi, odgrywają wybitną rolę w zespole czuć, prowadzącym do pojęcia ruchu i ułatwiają np. wyjaśnienie faktu, że i zupełnie ślepi od urodzenia, tylko dzięki dotykowi i temu właśnie zmysłowi, — nietylko nieźle orjentują się w położeniu swego ciała i przedmiotów otoczenia, ale mają pojęcie przestrzeni, równoważne z takim samym pojęciem widzących. Słusznie zmysł ten można nazwać „gieometrycznym", bo postrzeganie ruchu jest konieczną podstawą wszelkiej gieometrji. Mimochodem tylko dodamy jeszcze, że wszelkie inne definicje ruchu, jak np. „przemieszczenie się w czasie" i t. p. są bezwartościowe, a pojęcie ruchu, choć jest pokrewne i pojęciu przestrzeni i czasu, lecz bynajmniej nie jest wtórne i jakoby złożone, czy wytworzone z dwuch tamtych **); prędzej nawet wolno twierdzić odwrotnie, że dzięki analizie ruchu wydzieliły się te dwa pojęcia.

Postrzeganie kształtu sztywnego i zjawisk jego ruchu, zdolności zajmowania różnych względem innych kształtów położeń, prowadzi dalej do pojęcia równości gieometrycznej, spraw-

---

*) Por. spraw. z odczytu „Gieometrja, a fizjologja ucha ludzkiego" w Przegl. Techn. 1901 r. № 44 str. 442. Obszerną monografię o tym zmyśle napisał *St. v. Stein* p. t. „Uczenje o funkcjach otdielnych czastiej usznawo łabirynta" Moskwa 1892, tłumaczone na niemiecki w kilka lat później.

**) Przypomina to tejże wartości pogląd niektórych nawet znakomitych matematyków o tożsamości pojęcia liczby i pojęcia czasu. *W. R. Hamilton* np. wyraźnie określa arytmetykę (algiebrę), jako „science of pure time". Blizkie pokrewieństwo obu dziedzin skusiło do ich utożsamienia.

dzalnej przez przystawanie, czyli przez „nakładanie na siebie“ form gieometrycznych, a dalej — do pojęcia odległości i do mierzenia. Są to wszystko sprawy, które tylko musnąć zaledwie tutaj możemy. Zaznaczymy tylko, że punkt ruchowy zakreśla linję, że doświadczenie wykazało jednaką ruchliwość ciała sztywnego we wszystkich kierunkach, że możliwym jest ruch taki, przy którym wszystkie punkty takiego ciała poruszają się w stałym kierunku, przyczym każdy punkt przebiega pewną linję. Wykazało ono nadto, że jeśli w ciele sztywnym ustalony bywa jeden punkt, to ruchliwość jego, choć ograniczona, częściowo jednak zachowuje się; że jeżeli ustalimy dwa punkty takiego ciała, to zdolność do ruchu będzie jeszcze bardziej ograniczona oraz że przy tym ruchu, t. zw. obrocie, istnieje cały szereg punktów, cała część ciała, cała linja, która narówni z owemi dwoma punktami, które zawiera, nie będzie zmieniała swego położenia. Linja ta nazywa się osią obrotu. Wreszcie ustalenie trzech punktów ciała sztywnego, byleby wszystkie trzy nie należały do jakiejś osi obrotu, znosi zupełnie ruchliwość, sprowadza zupełne unieruchomienie ciała. Linja łącząca dwa punkty ciała sztywnego w ten sposób, że posiada wszędzie ten sam kierunek, jest identyczną z linją nie zmieniającą swego położenia, gdy toż ciało obraca się przy ustaleniu tych samych dwuch punktów i nazywa się linją prostą, lub krótko prostą; prosta jest przytym najkrótszą linją pomiędzy dwoma wyznaczającemi ją w powyższy sposób punktami. Raz doszedszy do pojęcia i określenia prostej, możemy z niego wywieść pojęcie płaszczyzny, a otrzymamy w ten sposób najbardziej zasadnicze i najprostsze formy gieometryczne: punkt, prosta i płaszczyzna, któremi ciągle w gieometrji się posługujemy i które nadto przy powyższym uzasadnieniu doprowadzą do gieometrji euklidesowej.

Chodzi nam jednak tutaj nie o bardziej szczegółowe uzasadnienie tego poglądu, lecz o wykazanie wybitnie doświadczalnego charakteru pojęć gieometrycznych, o wykazanie, że i tutaj mamy do czynienia z opisem bezpośrednim za pomocą powołania się na dobrze utrwalone w pamięci zjawiska ruchu ciał sztywnych. Jakąkolwiek zresztą drogą będziemy wywodzili pojęcia punktu, prostej, płaszczyzny, ruchu postępowego, obrotowego, nie ulega wątpliwości, że te elementy wystarczają do dalszych wywodów gieometrycznych i budowania coraz bardziej złożonych tworów gieometrycznych. Możemy dalej rozpatrywać

związki, zachodzące pomiędzy tworami gieometrycznemi, jeśli będziemy stosowali czysto gieometrycznie zasadę przyporządkowania i np. każdemu elementowi jednego tworu przyporządkujemy po jednym elemencie drugiego, podług pewnego, znów przez opis określonego, prawidła. Tak postępujemy w „Gieometrji Rzutowej", w której ciągle koordynujemy w pewien sposób (perspektywiczny) czysto gieometryczny, bądź elementy z elementami, bądź całe twory z elementami, bądź wreszcie twory z tworami, zupełnie podobnie, jak to się dzieje w arytmetyce. Przy takim traktowaniu gieometrji nie mamy nic do czynienia z miarą, wymiarami i rachunkiem *), które występują dopiero wówczas, gdy inaczej zasadę koordynacji przeprowadzamy, a mianowicie gdy przyporządkowujemy formy gieometryczne formom arytmetycznym. Ten ostatni sposób koordynacji jest starszy i tą drogą rozwijała się przez długi czas nietylko gieometrja, ale i arytmetyka, gdyż nietylko związki arytmetyczne przenoszono na zjawiska gieometryczne, ale i związki gieometryczne pobudzały do tworzenia nowych form arytmetycznych. Podstawą tej koordynacji jest pojęcie miary, które pozwalało przy ustaleniu np. pewnego wzorca niezmiennego położenia dwu końców ciała (pręta) sztywnego wyrazić niezmienność położenia jakichkolwiek dwu punktów w liczbach. W początkach kultury wzorce dla mierzenia odległości punktów były bardzo chwiejne i brano je z części naszego organizmu np. grubość palca grecki δάκτυλος), długość stopy (ποῦς); lub też z bardziej stałych objawów ruchu człowieka przy chodzeniu, np. krok gr. βῆμα ἁπλοῦν) i tworzono z nich wielokrotne, lub pochodne **). Takie wzorce do mierzenia długości wystarczały dla ówczesnych potrzeb praktycznych życia potocznego — np. odległość dwu miejscowości wyrażano w liczbach kroków, jakie dorosły mężczyzna postawić musi, by dotrzeć od jednej do drugiej; np. 10000 kroków oznacza odległość zbliżoną do naszej mili. Okazywała się więc tu możność opisu odległości, przez liczbę mianowaną, a wysubtelniając tę metodę, stosując

---

*) W „Gieom. Rzutowej" piszącego te słowa (Warszawa 1902 r.) przeprowadzono właśnie w ten sposób czysto gieometryczne przyporządkowania, bez uciekania się do pojęcia miary i choćby najprostszego rachunku.

**) Miara kątowa, osnuta na wzorcu wyjętym z ruchu obrotowego, *z pełnego obrotu*, odrazu była właściwą, bezwzględną i nie mogła być chwiejną, chyba jej podział. Liczba „jeden" i „pełny obrót" to naturalne jednostki arytmetyczne i gieometryczne, obie bezwzględne.

lepiej ustalone i mniejsze, lub dzieląc stosownie większe wzorce, wyrobić się zdołało pojęcie miary długości, przy pomocy którego można było wytworzyć miary pochodne i mierzyć linje, obszary (pola) i objętości.

Jakeśmy tylko co rzekli, wprowadzenie tej nowej koordynacji, pojęcia miary do stosunków gieometrycznych, wzbogaciło niezmiernie źródło analogij tak w arytmetyce, jak w gieometrji; środki opisowe matematyki znakomicie się przez to pomnożyły i dostrzegano, lub stwarzano formy jednej dziedziny wzorowane na formach drugiej, przystosowywano je tak, by lepiej sobie odpowiadały wzajemnie, t. j. ułatwiały opis jednych przez drugie. Wprowadzenie do arytmetyki liczb ułamkowych, ujemnych, niewymiernych, przestępnych, urojonych i t. d. ma właśnie swe źródło w dostosowywaniu układu liczb i form liczbowych do potrzeb gieometrji, aby stworzyć ściślejszą analogję obu dziedzin, aby umożliwić dokładniejsze i subtelniejsze przyporządkowania. Przez to zaś dziedzina liczb musiała ulec przekształceniu, rozszerzyła się, nabrała innych cech, by dostroić się do nowych wymagań, np. ciągłości, tkwiącej w pojęciu ruchu.

Nowe tą drogą otrzymane formy arytmetyczne mogą następnie znów ulec koordynacji czysto arytmetycznej i nawet mogą być uzasadnione czysto arytmetycznie. Dzisiaj właśnie wieje taki prąd w matematyce, by ją całą — analizę i gieometrję — sprowadzić do koordynacji czysto liczbowych; pod potężnym wpływem szkoły Weierstrassa pragną matematycy gwałtem „zarytmetyzować" matematykę, uważając tylko opisy zaczerpnięte z dziedziny liczb za zupełnie ścisłe i wiarogodne. Nie jest to bynajmniej sprawa obojętna, z jaką dziedziną pragniemy powiązać przyporządkowanie, a postarajmy się na prostym przykładzie objaśnić, jak opis pozornie tej samej formy wypada różnie, zależnie od środków opisowych i formy nawet, z którą dopatrujemy się analogji.

Wiadomo, że liczby niewymierne, np. $\sqrt{2}$ powstały z chęci liczbowego wyrażenia pewnych stosunków gieometrycznych, jak przy $\sqrt{2}$ — stosunku przekątnej do boku kwadratu. Jeśli bok ten przyjmiemy za jednostkę długości, to przekątna, którą wykreślić łatwo i która wskutek tego oczywiście posiadać musi ściśle określoną długość, będzie arytmetycznie wyrażalną właśnie taką nową liczbą, oznaczaną symbolem $\sqrt{2}$. Możemy tedy opisać tę liczbę gieometrycznie, mówiąc, że „jest to sto-

sunek przekątnej do boku kwadratu". Jeśli chcemy tęż liczbę opisać czysto arytmetycznie, to wiemy, że nie będzie to ani liczba całkowita, ani ułamkowa i musimy zaczerpnąć analogji do formy jakiejś liczbowej stąd, że powiadamy: „ma to być liczba taka, by pomnożona przez samą siebie dała w wyniku 2" i przez to również opisaliśmy ją zupełnie ściśle i bezpośrednio arytmetycznie. Kiedy zapragniemy jednak wyznaczyć miejsce tej liczbie w szeregu naturalnym, musimy opisać ją przybliżenie i, zachowując naprzykład formę układu dziesiętnego, opisujemy ją, jako granicę, do której zmierza szereg ułamków dziesiętnych $1,_4$; $1,_{41}$; $1,_{414}\ldots$ i t. d., przyczym wiemy jakie mamy działania wykonać pod znakiem $\sqrt{2}$ by uzyskać coraz dalej sięgające przybliżenie do $^1/_{10}$, do $^1/_{100}$ i t. d.; z góry nie możemy jednak tutaj orzec, jaka liczba nastąpi po piątej, szóstej... za przecinkiem, więc widzimy, że opis przy pomocy ułamków dziesiętnych, acz pozwala na dowolne przybliżenie, ma w sobie coś niezupełnego, niezadawalającego. Możemy wszakże przyporządkować tenże stosunek do formy arytmetycznej ułamku ciągłego (łańcuchowego), a wówczas rzecz przedstawi się zupełnie inaczej, bo otrzymamy wszak ułamek ciągły perjodyczny $1+\frac{1|}{|2}+\frac{1|}{|2}+\frac{1|}{|2}\ldots = 1+(1:2,2\ldots$ i w tej postaci wiemy już z góry, jaki będzie piąty, szósty i t. d. mianownik cząstkowy, bo będzie nim stale 2. Schematycznie możemy zatym zestawić następujące opisy:

$$\frac{\text{przekątna kwadratu}}{\text{do jego boku}} = \sqrt{2} = 1{,}4142\ldots = 1+\frac{1|}{|2}+\frac{1|}{|2}\ldots$$

lecz żaden z tych opisów nie zastępuje w zupełności drugiego, a równoważność ich istnieje tylko pod pewnym względem. Nie można np. powiedzieć, że $\sqrt{2}$ jest stosunkiem przekątnej do boku kwadratu, bo $\sqrt{2}$ może wyrażać oprócz tego i inne stosunki, nie zaś tylko kwadratu; odwrotnie omawiany stosunek nie jest dokładnie opisany przez $\sqrt{2}$, bo w liczbie tej nic nie wskazuje na to, że mówimy mianowicie o kwadracie. Ani forma ułamka dziesiętnego, ani łańcuchowego także nie wyrażają wszystkiego; jedna z nich lepiej (ułam. ciągły), druga gorzej opisuje zachodzący stosunek i określoną liczbę, a zależy od celu, do którego zmierzamy, czy tę, lub tamtą obrać, by opis uczynić możliwie zupełnym i najzwięźlejszym. Forma ułamka ciągłego jest bardziej prawidłową, lepiej przystosowaną do gieometrycznego stosunku dlatego, że szukanie wspólnej miary

dwu odcinków odbywa się analogicznie w poszczególnych fazach do szukania mianowników cząstkowych ułamku ciągłego, jest też bardziej wykwintną z arytmetycznego znów stanowiska, bo jest niezależna od poszczególnego układu dziesiętnego. W zestawieniu znów z innym jakimś celem, np. przy dodawaniu do innych cyfr danych w postaci ułamków dziesiętnych, znów dogodniejszą będzie forma dziesiętna.

Możnaby na setkach i tysiącach przykładów to samo wykazać, a cała historja matematyki na każdym kroku opowiada o ciągłych zapożyczaniach analogji do przyporządkowań i opisów z najróżnorodniejszych dziedzin nauk ścisłych: to Descartes swoim układem spółrzędnych z jednej strony arytmetyzuje gieometrję, a z drugiej otwiera wrota dla gieometrycznego sposobu widzenia w analizie i wytworzenia się tak ważnego pojęcia funkcji; to znów Leibniz i Newton mechaniczne analogje wprowadzają do analizy i gieometrji, a analiza i gieometrja opisują stosunki mechaniczne; to znów fizyka, to chemja udzielają wzorów do przyporządkowań analitycznych i gieometrycznych, to znów zjawiska fizyczne i chemiczne uczeni starają się opisywać wzorami analitycznemi i gieometrycznemi; pojęcie funkcji coraz bardziej się rozszerza. Lecz raz po raz, ku zdumieniu badaczy, wychodzą na jaw sprzeczności, mające swe źródło właśnie w pominięciu przezornej przestrogi Macha, zacytowanej na początku, że można opisać jedną dziedzinę zapomocą przyporządkowania jej do obcej, lecz zastąpić — nigdy. Zawsze dziedzina liczb pozostanie arytmetyką, dziedzina kształtów i ruchu pozostanie gieometrją, dziedzina ciał materjalnych — fizyką, chemją i t. d.

Jeden z profesorów matematyki nielicznych naszych wszechnic wyraził się niedawno w pracy krytyczno-polemicznej, że „analogja to bardzo krucha podstawa, która jako środek dowodowy z nauk matematycznych wyrugowaną być powinna"... A jednak, ściśle rzecz biorąc, nauka wogóle innego środka nie posiada, zaś matematyka zawsze i tylko nim się posługuje! Może chodzić tylko o trafny wybór form, zjawisk, dziedzin, użytych do opisu. To też H. Poincaré przyznaje *), że do praw, do uogólnień w matematyce i fizyce matematycznej prowadzi tylko jedna droga, droga analogji.

---

*) Wiad. Matem. 1898 r. str. 13.

Skoro tylko staniemy na skromnym, lecz pewnym stanowisku, że i do matematyki zastosować należy słowa Kirchhoffa, skoro zrozumiemy, że i w tej nauce idzie o możliwie dokładny i najprostszemi środkami dokonany opis zjawisk matematycznych, wówczas wiele pozornych sprzeczności zniknie, bielmo z oczu spadnie i dostrzeżemy, jak często zakłopotanie nasze pochodzi z fałszywego z gruntu stanowiska zasadniczego. Zrozumiemy, że muszą zachodzić swoistości dziedzin tak samo, jak zachodzą swoistości czuć; zrozumiemy jak mało sensu jest w słowach, które jeden z naszych znakomitych powieściopisarzy (matematyk) kładzie w usta jednemu ze swych bohaterów: „znałem matematyka, którego formuły sięgają nieledwie (?!) do początków stworzenia"; zrozumiemy, że niema istotnego rozdźwięku między "matematyką a rzeczywistością", że matematyka jest jedną cząstką, jedną stroną, jednym ze sposobów opisu „świata" zjawisk!

Kto uważnie przeczyta pracę J. Pierponta „o arytmetyzacji matematyki" *), może wpaść, jako matematyk, w czarną melancholję. Uczony ten Amerykanin plastycznie przytacza sprzeczności pomiędzy „jedynie pewną podstawą analizy" (tak nazywa metody gieometryczne), a intuicją, — (tak zdaje się nazywać metody gieometryczne i mechaniczne); przypomina, że znamy równanie krzywych, których opisać nie może ruch punktu, że znana funkcja Weierstrassa (lub podobne jej) jest ciągłą, a nie posiada nigdzie pochodnej, więc nie może być graficzną krzywą i wiele innych paradoksów (pozornych oczywiście); kończy zaś swój odczyt tak:

„Analiza dzisiejsza jest nauką przejrzystą. Zbudowana jest na najprostszym pojęciu liczby, a jej prawdy najgruntowniej są uzasadnione w całej dziedzinie wiedzy ludzkiej. Nie należy wszakże zapominać o tym, że cena, za którą uzyskujemy tę jasność, jest przerażająca — bo jest nią rozbrat zupełny ze światem zmysłów!"

Taki rozpaczliwy nastrój jest wynikiem wyniosłego i dumnego,a zarazem nieuzasadnionego pod względem teorjopoznawczym stanowiska, że dziedzina liczb, — ta według Weierstrassa „absolut klare Wissenschaft", — leży gdzieś po za zmysłami i może być w tym charakterze przeciwstawiana nau-

*) Wiad. Matem. 1899 r. str. 240 i nast.

kom intuicyjnym, jest wynikiem przeoczenia opisowego charakteru wszelkich wytworów umysłu ludzkiego. Możnaby z tą samą słusznością biadać, że dziedzina gieometryczna, poczytana za „formalną", nie jest dziedziną „rzeczywistą", intuicyjną arytmetyki, a wówczas spostrzeżemy niedorzeczność takiego stawiania kwestji. Każda dziedzina ma swoje szczególne, swoiste cechy i często pewne zjawiska jednej można opisywać przy pomocy zjawisk drugiej, ale tylko pod warunkiem, że pewne jej formy, jeśli tak powiedzieć wolno, przeniesiemy przez granicę w opakowaniu, nie otwierając skrzyń; wówczas, dostarczywszy całą skrzynię do właściwego miejsca, możemy skorzystać z transportu; gdy zaś rozbijemy skrzynię przedtym, to krytyka często ją konfiskuje, lub tak przetrząśnie zawartość, że stanie się nieużyteczną i szkodliwą. Formy urojone, np. rozwinięte arytmetycznie, w pewnych razach i w pewnym ugrupowaniu mogą bardzo ułatwiać i przyspieszać opis związku gieometrycznego, lecz biada gieometrze, któryby zechciał śledzić krok za krokiem gieometryczną wykładnię każdego działania nad liczbą urojoną; wyrzeknie się wnet tego pożytecznego narzędzia i zwątpi o jego stosowalności, bo niebacznie rozpakował przedwcześnie to pojęcie!

Użyjmy jeszcze innego porównania: Nie możemy uchem patrzyć, ani okiem słyszeć. Istnieje jednak sposób przyporządkowania, dzięki któremu wytrawny muzyk może słyszeć całą orkiestrę, czytając wzrokiem symbole słuchowe: partyturę. Czyż to upoważnia do utożsamiania nut z dźwiękami? Czytając np. nutę, którą ma wygrać obój, musi dodać „od siebie" wszystkie te cechy, które zna ze słyszenia tego instrumentu i dopiero wówczas nuta ta będzie należycie przyporządkowana do właściwego zjawiska dźwięku oboju. Kompozytor, nie znający, dajmy na to, techniki oboju, może napisać bardzo piękny i prawidłowy utwór muzyczny, lecz niedorzeczną będzie jego rozpacz, gdy mu pierwszy lepszy oboista powie, że utworu tego wcale nie można wygrać na oboju, bo instrumentowi temu brak wielu dźwięków, lub dwuch jednocześnie wydobyć nie można. Kompozytor ten zapewne postara się lepiej poznać instrument, zmieni nuty tak, by piękny jego utwór stał się wykonalnym, lub sprobuje przeinaczyć go dla innego instrumentu.

Płyniemy w dobie bieżącej w matematyce pod flagą arytmetyzacji. Jest to kierunek jednostronny, jakich wiele wykazuje historja nauki. Fale arytmetyzacji, zalewające dziś ma-

tematykę, ustąpią, reakcja w swoim czasie nadejdzie; lecz trud większości dzisiejszych matematyków-analistów nie będzie zmarnowany, bo w każdym razie i z całą skromnością przyszłe wieki uznają w tych wysiłkach ogromny pożytek dla nauki, płynący stąd, że wysubtelniono, pomnożono i wzbogacono znakomicie wzory przyporządkowań i środki opisu.

Alfons Lewenberg.

Fragment z dziedziny prawodawstwa społecznego *)

Póki w kraju naszym nie było specjalnej ustawy, określającej, w jakich warunkach robotnik, który skutkiem nieszczęśliwego wypadku przy pracy utracił zdolność do pracy, ma prawo żądać odszkodowania od pracodawcy, mógł on poszukiwać takiego odszkodowania jedynie na zasadzie ogólnych przepisów prawa cywilnego. Przepisy zaś te przyznawały mu odszkodowanie tylko wtedy, gdy wypadek wywołany został z winy pracodawcy, lub osób, za które prawo na pracodawcę wkłada odpowiedzialność (art. 1382 i następne kodeksu cywilnego francuskiego). Robotnik miał w takich razach prawo domagać się od pracodawcy wynagrodzenia całkowitej szkody, poniesionej skutkiem wypadku. Tak więc, jeśli w następstwie wypadku nieszczęśliwego utracił zdolność do pracy, mógł on domagać się od pracodawcy renty, równej całemu jego zarobkowi przed wypadkiem. Z drugiej strony, jeżeli wypadek nastąpił bez winy pracodawcy, lub też z winy robotnika, pracodawca nie był obowiązany płacić mu odszkodowania. Wedle więc ogólnych przepisów prawa cywilnego ryzyko połączone z pracą ciąży wyłącznie robotnika.

*) Ustęp z większej pracy.

Zasada ta zniesioną została przez ustawę o odszkodowaniu robotników w razie nieszczęśliwych wypadków z d. 15 czerwca 1903 r., która z dniem 14 stycznia r. b. zyskała w kraju naszym moc obowiązującą.

Wzorem odnośnych ustaw na Zachodzie, ustawa czerwcowa zapewnia w razie nieszczęśliwych wypadków przy pracy robotnikom lub ich rodzinom od pracodawcy rentę, równą części zarobku robotnika przed wypadkiem. Rozłożyła więc ustawa ryzyko połączone z pracą częścią na pracodawcę, a częścią na robotnika. Ponosi je częścią pracodawca, gdyż w razie nieszczęśliwego wypadku obowiązany jest wypłacać rentę robotnikowi, ponosi je częściowo i robotnik, gdyż renta przyznana mu przez ustawę nigdy nie dorównywa zarobkowi jego przed wypadkiem. Wobec tego rodzi się pytanie, czy taki podział ryzyka między pracodawcę a robotnika obowiązujący jest i w wypadkach, wywołanych przez winę, czy to pracodawcy, czy robotnika? Innemi słowy, czy robotnik poprzestać musi na szczupłej rencie przez ustawę czerwcową mu zapewnionej i wtedy, gdy wypadek wywołany został przez winę pracodawcy, lub też przeciwnie, czy może on w takich razach odwołać się do ogólnych przepisów prawa cywilnego (art. 1382 i nast. K. C.) i domagać się pełnego odszkodowania od pracodawcy, a więc renty równej całemu jego zarobkowi przed wypadkiem? Z drugiej strony, czy pracodawca obowiązany jest wypłacać robotnikowi rentę przez ustawę czerwcową określoną i wtedy, gdy wypadek wywołany został przez winę robotnika?

Jeżeli robotnik spowodował wypadek umyślnie, nie ma on prawa domagać się odszkodowania od pracodawcy. Jest to, sądzę, jasne samo przez się i bliższego uzasadnienia nie wymaga. Zaznaczyć jednak należy, że w wypadkach samobójstwa robotnika przy pracy jurysprudencja niemiecka przyznaje odszkodowanie pozostałej po nim rodzinie, jeżeli zostało udowodnione, że zmarły działał pod wpływem obłędu. Poczytuje ona ostatnią tę okoliczność za dostateczny powód do uznania, że śmierć robotnika jest następstwem nieszczęśliwego wypadku przy pracy.

Trudniejsze nierównie do rozstrzygnięcia są pytania, odnoszące się do winy nieumyślnej robotnika i pracodawcy. Wywoływały one długie i zacięte spory i w ciałach prawodawczych i w literaturze; trudność zaś rozstrzygnięcia ich w sposób zgodny zarówno ze sprawiedliwością, jak i wymogami

interesu społecznego główną stanowiła przyczynę, dla której w wielu krajach Europy np. we Francji, Włoszech i Anglji wydanie odnośnych ustaw znacznemu uległo opóźnieniu.

Wielce spornym było przedewszystkim pytanie, czy należy przyznawać odszkodowanie robotnikowi, który przez własną nieostrożność wypadek wywołał. Zwolennicy odpowiedzi przeczącej przytaczali na usprawiedliwienie swego poglądu, że jedna z głównych zasad, na której opiera się dzisiejszy porządek społeczny, polega na tym, że każdy sam, osobiście nieść winien odpowiedzialność za swe uczynki, że dlatego więc, jeżeli robotnik przez własną nieostrożność lub lekkomyślność doznał szkody, sam ponosić winien jej skutki, że byłoby niesłuszne obarczać niemi pracodawcę, zwłaszcza, że stanowiłoby to dla robotnika niejako zachętę do nieostrożności.

Nie trudno jest wykazać mylność tej argumentacji. Nieostrożność robotnika nie jest bynajmniej równoznaczną z jego winą. Robotnik, zajęty dzień po dniu, rok po roku, nieledwie od kolebki do grobu przy motorze lub maszynie, stopniowo zatraca w sobie świadomość niebezpieczeństwa, z jakim połączona jest jego praca; z natury rzeczy jego wrażliwość na nie z biegiem czasu tępieje i słabnie. Należy przytym brać w rachubę jego nerwowość, wywołaną zabójczą monotonją jego pracy, wykonywanej w atmosferze zwykle zanieczyszczonej wonią smarów, węgla, wyziewami ciał ludzkich, w temperaturze znacznie podniesionej, wśród bezustannego huku i łoskotu maszyn i motorów. Nie bez wpływu jest tu i fizyczne zmęczenie robotnika. Doświadczenie przekonywa, że największa ilość wypadków ma miejsce w godzinach popołudniowych, nad wieczorem, że wypadki częściej zdarzają się w ostatnich, niż w pierwszych dniach tygodnia. Nie można pominąć i gorączkowego pośpiechu, z jakim często pracuje robotnik, płatny nie dziennie, lecz od sztuki, któremu wiecznie się zdaje, że maszyna idzie zbyt wolno, że robota postępuje nie dość prędko, by odpowiedni zarobek zapewnić mu mogła. W takich warunkach i najprzezorniejszy i najbardziej nawet ostrożny robotnik zapomina nieraz o najprostszych nawet, elementarnych środkach ostrożności i często całkiem nieświadomie naraża się na oczywiste niebezpieczeństwo, zagrażające mu zagładą. Z praktyki Izby Sądowej Warszawskiej znany mi jest np. wypadek, że robotnik z pośpiechu sięgnął ręką do będącej w biegu maszyny, aby wydobyć z niej potrzebne mu do roboty szczypce,

które przypadkiem tam się dostały, choć chwilka zastanowienia powinna go była pouczyć, że w ten sposób nieuchronnie stracić musi rękę, co też rzeczywiście i nastąpiło (Zatorski przeciwko hucie Puszkin II Dep. Izby Sąd. Nr. sprawy 286/900). Skutkiem wszystkich tych przyczyn brak ze strony robotnika ostrożności, koniecznej dla uniknięcia wypadków, jest nieodłącznym następstwem dzisiejszych metod produkcji i byłoby niesprawiedliwością czynić go za brak ten odpowiedzialnym.

Mogą wprawdzie zdarzyć się wypadki wywołane już nie przez nieostrożność, ale niezwykłą lekkomyślność robotnika. Podczas debatów nad ustawą w Izbach francuskich jeden z senatorów, przeciwnych przyznaniu odszkodowania w razie wypadku, wywołanego z winy robotnika, ironicznie zapytywał, czy należy przyznawać odszkodowanie i robotnikowi, który pracując na znacznej wysokości w chęci popisania się zręcznością lub śmiałością przed towarzyszami wykonywać będzie przy pracy nad brzegiem przepaści sztuki akrobatyczne i w ten sposób ulegnie wypadkowi. Przykład obrany oczywiście trafnie. Lekkomyślność takiego robotnika jest wyjątkowa. Istnieją jednak bardzo poważne zdania, że nawet w wypadkach nadzwyczajnej lekkomyślności i nieostrożności robotnika ustawa nie powinna odmawiać mu odszkodowania. Przedewszystkim będą one niezmiernie rzadkie, gdyż instynkt samozachowawczy w zasadzie przynajmniej zawsze powstrzymywać będzie robotnika od wybryków, które niepotrzebnie na wielkie narażają go niebezpieczeństwo. Prawo zaś nie powinno przewidywać wypadków wyjątkowych, lecz winno mieć na oku jedynie zwykłe codzienne zdarzenia życia, id quod plerumque fit, jak się wyrażali Rzymianie. Powtóre, prawo, odmawiając wynagrodzenia robotnikowi w wypadkach wywołanych wyjątkową jego lekkomyślnością lub nieostrożnością, musiałoby wprowadzić do ustawy pojęcie ciężkiej winy. Otóż pojęcie to, jak każdemu praktycznemu prawnikowi wiadomo, niezmiernie jest rozciągłe i ściśle określić się nie daje. Choć przyjęte ono zostało z prawa rzymskiego, choć więc od paru tysięcy lat już znane jest w prawie, dotąd jeszcze nie udało się nikomu ściśle oznaczyć granicy, przy której kończy się wina lekka, a zaczyna się wina ciężka. Co jednemu sędziemu wydaje się być winą lekką, drugi poczytywać będzie za winę ciężką i odwrotnie. Dlatego choć ciężka wina robotnika rzadko bardzo będzie istotną przyczyną wypadku, to jednakże pracodawcy prawdopodobnie często bar-

dzo będą mu ją zarzucali, aby w ten sposób uwolnić się od obowiązku ich odszkodowania. Procesy będą liczne a skutkiem tego chybiony będzie główny cel ustawy, polegający na zabezpieczeniu pokoju społecznego, na łagodzeniu ostrych przeciwieństw, istniejących obecnie między rozmaitemi klasami społecznemi. Również nie wytrzymuje krytyki zarzut, że robotnicy mniej będą ostrożni, gdy zapewnione im będzie odszkodowanie w wypadkach, wywołanych przez własną ich nieostrożność. Obawa śmierci, lub ciężkich cierpień fizycznych, jakie pociąga okaleczenie, obawa nadto niedostatku, gdyż wiadomo, że renta, wypłacana tytułem odszkodowania nigdy nie dorównywa zarobkowi robotnika, wszystko to dostateczną dla niego będzie przestrogą, by tak samo był ostrożnym przy pracy, jak gdyby na żadne wynagrodzenie w razie wypadku liczyć nie mógł.

Inne jest pytanie, jaki na obowiązek odszkodowania winna mieć wpływ wina pracodawcy. Powiedziałem wyżej, że podstawą wszelkich ustaw o odszkodowaniu robotników jest rozłożenie ryzyka, połączonego z pracą tak na robotników, jako i pracodawców, skutkiem czego renta zapewniona robotnikowi tytułem odszkodowania nigdy nie dorównywa zarobkowi jego przed wypadkiem. Czy więc zasada ta winna być stosowaną i wtedy, gdy wypadek wywołany został przez winę pracodawcy? Niema sporu, że jeżeli wypadek spowodowany był przez pracodawcę umyślnie, obowiązany on jest dać pełne odszkodowanie robotnikowi, a więc wynagrodzić mu wszelkie szkody i stracone korzyści. Co najmniej zaś powinien on w takim razie być zobowiązany do wypłacenia robotnikowi renty wyrównywającej całemu jego zarobkowi. Czy jednak taki sam obowiązek ciąży na pracodawcy i wtedy, gdy wypadek wywołany został przez jego nieostrożność? Zwolennicy odpowiedzi twierdzącej przywodzą na obronę swej tezy, że jest ogólną zasadą prawa cywilnego, iż każdy obowiązany jest wynagrodzić całkowitą szkodę, jaką przez nieostrożność swą wyrządził; niema zaś żadnego powodu odstępowania od tej zasady na korzyść pracodawcy, gdy zrządził szkodę swemu robotnikowi. Przeciwnicy znów takiego poglądu przytaczają, że tak samo jak robotnicy, tak i pracodawcy z biegiem czasu mniej stają się wrażliwi na niebezpieczeństwo, połączone z działaniem ich motorów i maszyn, że nadto prawa pracodawcy i robotników winne być zrównoważone, że skoro nie odpowiada za swą nieostrożność

robotnik, nie powinien za nią odpowiadać i pracodawca, że wreszcie umożebnienie robotnikowi poszukiwania większego wynagrodzenia w razie, gdy wypadek wywołany był przez nieostrożność pracodawcy — mnóstwo wywoła sporów, albowiem robotnik, pragnąc tą drogą uzyskać wyższe wynagrodzenie, dowodzić będzie nieostrożności pracodawcy nawet tam, gdzie nie było jej wcale.

Jak wobec wszystkich tych kwestji zachowały się prawodawstwa?

Prawodawca niemiecki uważał, że ustawa przedewszystkim dążyć powinna do łagodzenia tak mocno obecnie zadrażnionych stosunków między klasą robotniczą a pracodawcami i dla tego poczytywał za rzecz najważniejszą troskliwie unikać wszystkiego, co przy stosowaniu ustawy mogłoby wywołać spory. Z tej wychodząc zasady prawodawca niemiecki nie uwzględnia wcale nieostrożności ani ze strony pracodawcy, ani robotnika. Odmawia on odszkodowania robotnikowi jedynie wtedy, gdy wypadek wywołany został przezeń umyślnie. Zresztą przyznaje mu je zawsze, nawet tam, gdzie wypadek wywołany został przez najbardziej nawet karygodną jego l e k k o m y ś l n o ś ć lub n i e o s t r o ż n o ś ć. Tylko wtedy, gdy robotnik uległ wypadkowi skutkiem dopuszczenia się przestępstwa (np. jeżeli porwany został przez koło maszyny w chwili, gdy chciał ukraść złożone przy niej przedmioty), odszkodowanie może mu być odmówione w całości lub części. Może, lecz nie musi, gdyż prawodawca niemiecki pozostawia rozstrzygnięcie tej kwestji w zupełności uznaniu organów, od których przyznanie odszkodowania zależy, które więc w takich razach uwzględniać mogą ważność przestępstwa, okoliczności, jakie mu towarzyszyły, położenie ekonomiczne robotnika i t. p. Prawodawca niemiecki okazał się w tym punkcie do tego stopnia humanitarnym, że jeżeli przestępstwo, w trakcie spełniania którego robotnik uległ wypadkowi, było przestępstwem tego rodzaju, że byłoby niejako gorszącym zasądzać mu odszkodowanie, przecie pozwala zasądzać rentę rodzinie, aby w ten sposób nie karać dzieci za winę ojca.

Co do winy pracodawcy, wpływa ona wedle prawa niemieckiego wtedy tylko na wysokość należnego robotnikowi odszkodowania, gdy na drodze karnej zostało ustalone, że pracodawca wywołał wypadek umyślnie. Dopóki nie ma wyroku karnego, robotnik nie ma prawa podnosić zarzutu tego rodzaju przeciwko pracodawcy. Jeżeli wypadek wywołany został przez

pracodawcę nieumyślnie, przez nieostrożność, stowarzyszenia zawodowe, t. j. towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków mają prawo dochodzić na nim zwrotu wszystkiego, co robotnikowi z powodu wypadku wypłaciły; w żadnym zaś razie robotnik nie ma prawa rościć jakichkolwiek z tego tytułu do pracodawcy pretensji, i nie może żądać nic ponad rentę przez ustawę mu zapewnioną (art. 135, 136).

Śladem prawodawstwa niemieckiego poszło prawodawstwo austrjackie i włoskie. To ostatnie jednak tym się różni od niemieckiego, że robotnik ma prawo żądać pełnego odszkodowania nietylko wtedy, gdy na drodze karnej zostało ustalone, że pracodawca wywołał wypadek umyślnie, lecz i wtedy, gdy wyrokiem karnym skonstatowano, iż wypadek nastąpił skutkiem tak wielkiej jego nieostrożności, że aż pociąga za sobą odpowiedzialność kryminalną. Aby jednak przepis ten nie stanowił dla robotników zachęty do ścigania pracodawcy kryminalnie za nieostrożność, postanowiono, że robotnik może w tym tylko razie powoływać się na zapadły przeciwko jego pracodawcy wyrok, jeżeli dochodzenie na drodze karnej wszczęte zostało nie naskutek własnej skargi robotnika, lecz na żądanie urzędu publicznego (art. 24).

Całkiem innego systemu trzyma się prawo angielskie. W r. 1880 wydaną została ustawa, określająca odpowiedzialność pracodawcy w razie wypadków wywołanych z jego winy lub osób, za które odpowiada. W r. 1897 wydaną została druga ustawa, określająca prawa robotników, którzy ulegli wypadkom bez winy pracodawcy lub też przez własną swoją nieostrożność z zachowaniem jednak mocy obowiązującej ustawy poprzedniej. Tym przeto sposobem w razie wypadku robotnik żądać może odszkodowania większego z mocy ustawy z r. 1880, gdy przyczyną wypadku była wina pracodawcy lub osób, za które prawo czyni tegoż odpowiedzialnym, albo poprzestać musi na odszkodowaniu niższym z mocy ustawy z r. 1897, jeżeli wypadek nastąpił z własnej jego winy, lub też bez winy niczyjej. Jednakże ustawa z r. 1897 zastrzega, że robotnik nie ma prawa żądać odszkodowania, jeżeli wypadek nastąpił skutkiem, jak się wyraża prawo, „świadomego i poważnego w następstwach złego postępowania robotnika" (serious and wilful misconduct) art. 2 lit. b.

Drogę pośrednią między systemem niemieckim a angielskim obrał prawodawca francuski. W zasadzie ustawa fran-

cuska, zupełnie tak samo jak niemiecka, nie uwzględnia nieostrożności robotnika i pracodawcy i przyznaje robotnikowi odszkodowanie w jednej i tej samej wysokości, bez względu na to, czy wypadek nastąpił bez niczyjej winy, czy też z winy pracodawcy, lub robotnika. Odmawia ono robotnikowi absolutnie odszkodowania tylko wtedy, gdy wypadek wywołany został przezeń umyślnie. Jednakże w wypadkach wywołanych przez wyjątkowo wielką winę czy to robotnika, czy też pracodawcy lub też zarządzającego przedsiębiorstwem, winę nie do wybaczenia, jak się dosłownie wyraża prawodawca francuski (faute inexcusable), sąd ma prawo obniżyć rentę przez ustawę zapewnioną, jeżeli wina była po stronie robotnika, albo też podwyższyć—jeżeli była po stronie pracodawcy. Wysokość wynagrodzenia, jakie w wyjątkowych wypadkach tego rodzaju zasądzone być winno robotnikowi, nie została przez ustawę określona, lecz pozostawiona jest w zupełności uznaniu sądu — z zastrzeżeniem jednak, że renta, zasądzona robotnikowi, w żadnym razie nie może przewyższać jego zarobku przed wypadkiem (art. 20 ustawy z r. 1898).

Reasumując to wszystko, co dotąd powiedziano, widzimy, że różnice między systemem niemieckim, angielskim i francuskim, w głównych zarysach są takie: Wedle systemu niemieckiego nieostrożność ze strony pracodawcy, lub robotnika żadnego zgoła nie ma wpływu na wysokość należnego robotnikowi odszkodowania. Od systemu tego różni się system francuski tym, że w razie wyjątkowo ciężkiej winy pracodawcy lub robotnika sąd, jeżeli to uzna za słuszne, może zasądzić odszkodowanie wyższe lub niższe, niż oznaczone w ustawie. Wedle znów systemu angielskiego pracodawca płaci odszkodowanie większe, gdy wypadek zaszedł z jego winy, mniejsze — gdy winy jego nie było, lub gdy przyczyną wypadku była nieostrożność robotnika; nie płaci zaś nic zgoła, gdy wypadek wywołany został przez wyjątkowo ciężką winę robotnika.

Zobaczmy z kolei, jak kwestje te rozstrzyga ustawa rosyjska. Ustawa rosyjska traktuje o winie w jednym tylko art. 2, który brzmi w ten sposób: „Właściciel przedsiębiorstwa wolny jest od obowiązku odszkodowania robotnika, lub członków jego rodziny, tylko wtedy, jeżeli udowodni, że przyczyną wypadku był zły zamiar samego poszkodowanego, albo rażąca z jego strony nieostrożność, nieusprawiedliwiona warunkami i trybem robót". Przewiduje więc ustawa jedynie winę umyślną i ra-

żącą nieostrożność robotnika i w obydwu tych wypadkach odszkodowania mu odmawia. Per argumentum a contrario więc, jeżeli przyczyną wypadku była nie rażąca, wyjątkowa, lecz zwykła tylko nieostrożność robotnika, odszkodowanie mu się należy. Różni się więc ustawa rosyjska od wszelkich ustaw Zachodu tym, że wypadki wywołane przez winę czy to umyślną czy też nieumyślną pracodawcy pomija milczeniem i że nie obejmuje wyraźnego postanowienia, jaki wina ta wpływ ma wywierać na odszkodowanie robotnika. Jakie wobec tego będą prawa robotników w razie, gdy wypadek wywołany został przez winę pracodawcy? Art. 7 prawa o wprowadzeniu w wykonanie ustawy postanawia: że we wszystkich wypadkach, nie podchodzących pod ustawę, robotnicy, oficjaliści i członkowie ich rodzin mają otrzymywać wynagrodzenie szkód i strat na zasadzie ogólnych przepisów prawa cywilnego. Zachodzi przeto pytanie, czy podchodzą pod ustawę i wypadki spowodowane przez winę pracodawcy, czyli, innemi słowy, czy i w tego rodzaju wypadkach robotnicy poprzestawać mają na szczupłej rencie przez ustawę im zapewnionej, czy też przeciwnie, mogą oni wzorem ustawy angielskiej, a po części i francuskiej, dochodzić pełnego odszkodowania od pracodawcy a mianowicie na zasadzie art. 1382 K. C.

Poważne bardzo argumenty przemawiają za tym, że i w wypadkach, wywołanych przez winę pracodawcy, robotnicy zadawalać się będą musieli rentą, zapewnioną im przez ustawę i że nie będą mieli prawa powoływać się na art. 1382 K. C. Art. 1 ustawy wyraża się ogólnikowo: „W razie nieszczęśliwych wypadków w przedsiębiorstwach... właściciele tych przedsiębiorstw obowiązani są wypłacić na zasadzie tych przepisów odszkodowanie“... Ustawa więc mówi o wypadkach nieszczęśliwych wogóle, nie rozróżniając, czy wypadki nastąpiły z winy pracodawcy, czy nie. Istnieje zaś ogólna zasada, że jeżeli sama ustawa nie rozróżnia, nie należy czynić rozróżnień i przy jej stosowaniu. Nadto, przyznanie robotnikom prawa poszukiwania większego wynagrodzenia z mocy art. 1382 K. C. w razie, gdy wypadek wywołany został przez nieostrożność pracodawcy, wpłynąćby musiało na powiększenie ilości procesów, czego niewątpliwie uniknąć chciał prawodawca rosyjski.

Na zaznaczenie zasługuje i okoliczność następująca: Istnieje komentarz do ustawy rosyjskiej p. Litwinowa-Felińskiego. Autor jest specjalistą w kwestjach ustawodawstwa socjal-

nego, poprzednio już wydał kilka prac w tym przedmiocie, nadto zajmuje stanowisko urzędowe w ministerjum; dość obszerny jego komentarz ogłoszony został jednocześnie z komentowaną przezeń ustawą, co dowodzi, że ustawa znaną mu była dokładnie na długo przed jej ogłoszeniem. Ze wszystkiego tego należy wnosić, że autor pośrednio, lub bezpośrednio brał osobiście udział w redagowaniu ustawy. Utwierdza nas w tym mniemaniu i sam ton wydanej przezeń książki, podobnej raczej do apologji, niż do komentarza ustawy, wreszcie i okoliczność, że autor, jak o tym doniosły dzienniki, wysłany został przez ministerjum za granicę celem studjowania na miejscu kwestji ubezpieczenia obowiązkowego robotników. P. Litwinow-Feliński w każdym więc razie stykał się blizko bardzo z redaktorami ustawy, zna więc zapewne dokładnie ich intencje i poglądy i dlatego zdanie jego co do wszelkich kwestji w związku z ustawą pozostających może mieć pod pewnym względem większy autorytet, niż każdego innego komentatora. Twierdzi zaś on kategorycznie, choć niczym zgoła twierdzenia swojego nie uzasadnia, że robotnik i w razie winy pracodawcy nie ma prawa żądać wyższego odszkodowania, niż określone w ustawie.

Mimo to wszystko istnieją inne argumenty, równie ważne, a może i nierównie ważniejsze, przemawiające za zdaniem przeciwnym. Przedewszystkim takie tłumaczenie ustawy miałoby za skutek krzyczącą niesprawiedliwość. Pojmuję, że ustawa niemiecka mogła odmówić robotnikowi prawa poszukiwania wyższego wynagrodzenia od pracodawcy w wypadkach wywołanych przez jego nieostrożność. Skoro jednocześnie zapewniła robotnikowi odszkodowanie nawet wtedy, gdy wypadek, któremu uległ, wywołany został przez własną jego, choćby największą, najbardziej karygodną nieostrożność.

Nic również ze stanowiska logiki i sprawiedliwości nie da się zarzucić ustawie francuskiej, dozwalającej zasądzać niższe odszkodowanie robotnikowi, gdy wypadek wywołany został przez wyjątkowo ciężką jego winę, skoro jednocześnie dozwala zasądzić wynagrodzenie wyższe, ilekroć przyczyną wypadku była równie ciężka wina pracodawcy.

To samo powiedzieć należy i o ustawie angielskiej. We wszystkich tych ustawach prawa robotnika i pracodawcy są niejako zrównoważone. Jeżeli prawo robotnika żądania odszkodowania ograniczone zostało w wypadkach, wywołanych przez

jego nieostrożność, nawzajem prawo to jego zostało rozszerzone w wypadkach wywołanych przez nieostrożność pracodawcy.

Ustawa rosyjska zaś kategorycznie odmawia odszkodowania robotnikowi, ilekroć wypadek wywołany został przez wielką jego nieostrożność. Za nieostrożność taką dotyka ustawa i robotnika i jego rodzinę, — choć ta ostatnia nic tu nie jest winna — karą dotkliwszą, niż niejedna kara kryminalna, gdyż skazuje go dożywotnio na kij i torbę żebraczą.

Czyż wobec surowości takiej w stosunku do winy robotnika największa nawet nieostrożność pracodawcy, zupełne lekceważenie przezeń życia i zdrowia ludzkiego, żadnych dla niego nie mają pociągać konsekwencji? Z praktyki sądowej znany mi jest wypadek, w którym kocieł był w zupełnie złym stanie, pracodawca wiedział dokładnie, że ściany jego nie mogą już w stopniu należytym wytrzymywać ciśnienia pary, mimo to jednak, nie chcąc wstrzymywać robót w swej fabryce, nie przestawał palić pod kotłem, skutkiem czego nastąpiła w końcu eksplozja. Czyż robotnik, pozbawiony przez eksplozję tę zdolności do pracy, także poprzestać ma na szczupłej rencie, jaką mu zapewnia ustawa? Powiedzą mi, że choć to niesprawiedliwe, lecz konieczne, by nie mnożyć procesów. Zgoda — lecz czemuż w takim razie ustawa pozwoliła pracodawcy zarzucić wielką nieostrożność robotnikowi? Zali to nie będzie wywoływało sporów i procesów, które bezustannie zakłócać będą pokój społeczny?

Zważyć przytym należy, że wina nieumyślna robotnika, choćby największa, zawsze łatwiej da się usprawiedliwić, niż wina pracodawcy. Przyczyną winy robotnika zawsze będzie brak zastanowienia, lekkomyślność, przyczyny zaś winy pracodawcy — żądza zysków, chęć zbogacenia się. Robotnik, dopuszczając się nieostrożności, stawia na kartę własne życie, pracodawca zaś — jedynie życie i zdrowie robotników. Czyż więc można przypuścić, że redaktorzy ustawy pobłażliwiej oceniali nieostrożność pracodawcy, niż nieostrożność robotników? Czyż przypuszczenie takie nie równałoby się imputowaniu im krzyczącej niesprawiedliwości, która nie mogła leżeć w ich intuicjach. To jedno — a teraz drugie: Zdanie, że pracodawca, nawet w wypadkach wywołanych przez własną nieostrożność, odpowiada jedynie w granicach ustawy, z punktu widzenia prawnego usprawiedliwioneby być mogło jedynie tym, że art. 1, stanowiąc, iż robotnicy, którzy ulegli wypadkom, otrzymywać mają wyna-

grodzenie w ustawie określone, nie rozróżnia, czy wypadek nastąpił skutkiem winy nieumyślnej pracodawcy, czy też bez niej. Ależ artykuł ten nie rozróżnia również, czy wypadek nastąpił z umyślnej winy pracodawcy. Gdybyśmy więc konsekwentnie chcieli stosować zasadę, że gdzie ustawa nie rozróżnia, tam nie należy czynić rozróżnień przy jej stosowaniu, dojśćbyśmy musieli do wniosku, że nawet tam, gdzie wypadek wywołany został umyślnie przez pracodawcę, robotnik poprzestać będzie musiał na częściowym tylko odszkodowaniu, jakie ustawa mu zapewnia. Przypuśćmy teraz, że ktoś, jak to się niestety nieraz u nas zdarza, celem odebrania wygórowanego wynagrodzenia asekuracyjnego, podpali swą fabrykę i że przy tej sposobności upiecze w ogniu kilku swych robotników, i zapytajmy, czy i w takich nawet wypadkach wdowy i sieroty kontentować się będą musiały częściowym tylko odszkodowaniem, określonym przez ustawę? Odpowiedź twierdząca byłaby oczywistym nonsensem a nasuwa się on z logiczną koniecznością, jeżeli z milczenia ustawy o przyczynach, które wypadek nieszczęśliwy wywołały, zechcemy wyprowadzić wniosek, że pod ustawę podchodzą wszelkie wypadki, bez żadnego względu na ich przyczynę.

Zastanawiałem się nieraz nad pytaniem, dlaczego redaktorowie ustawy kwestję winy pracodawcy pominęli milczeniem. O tym, by przemilczenie takie było mimowolne i wypływało jedynie z niedopatrzenia się redaktorów, z nieścisłości redakcji, nie może, sądzę, być mowy. Wyżej już powiedziałem, że pytanie, jaki wpływ wina pracodawcy lub robotnika mieć powinna na zakres odpowiedzialności pracodawcy, było najsporniejszym i najżarliwiej dyskutowanym nietylko w literaturze, ale i w ciałach prawodawczych Zachodu. We Włoszech np. z powodu tej mianowicie kwestji nie zyskały w Izbach sankcji prawodawczej, jeden po drugim, aż trzy projekty do prawa przedłożone parlamentowi przez następujące po sobie ministerja. Tak samo i w Izbach francuskich długo bardzo zgoda w tym przedmiocie osiągnąć się nie dała. O tym wszystkim nie mogli nie wiedzieć redaktorzy ustawy. Przytym wzorowali się oni na prawodawstwach Zachodu, a mnie przynajmniej nie jest znaną żadna ustawa zagraniczna, któraby kwestji tej nie poczytywała za kardynalną oraz nie rozstrzygała jej kategorycznie w sposób, uniemożliwiający wszelkie wątpliwości. Pominięcie jej przeto milczeniem przez redaktorów było oczywiście rozmyślne. Ale co mogło być tego powodem? Niepodobna przypuścić, by

się redaktorom ustawy zdawać miało, że przez samo przemilczenie stanowczo rozstrzygną kwestję w tym sensie, czy innym, albowiem nie mogli nie wiedzieć, że jeżeli nie rozstrzygną jej wyraźnie, zawsze istnieć będzie wątpliwość, jak milczenie ich ma być rozumiane. Moim zdaniem, redaktorowie wcale nie chcieli rozstrzygać tej kwestji, ale postanowili pozostawić ją otwartą. Prawdopodobnie i w komisji redakcyjnej, tak samo jak w ciałach prawodawczych na Zachodzie, wyłoniły się różnorodne i sprzeczne o tej kwestji zdania, zgoda co do niej prawdopodobnie osiągnąć się nie dała, skutkiem czego postanowili bodaj członkowie komisji redakcyjnej pozostawić jej rozstrzygnięcie jurysprudencji. Jest to oczywiście tylko hipoteza, sądzę jednak, że jest ona jedyną, jaką zagadkowe milczenie ustawy wytłumaczyć można. Bądź jak bądź, nie pozostaje nam nic, jeno wyrazić życzenie, by sądy pytanie to rozstrzygnęły w sposób najzgodniejszy ze słusznością.

Równie doniosłym jak poprzednie jest pytanie, jak rozumieć tę część art. 2 ustawy, która orzeka, że prawodawca wolny jest od obowiązku odszkodowania, ilekroć wypadek wywołany został przez rażącą nieostrożność robotnika, nie dającą się usprawiedliwić warunkami i trybem produkcji. Statystyka przekonywa, że więcej niż 25 proc. wszystkich wypadków przy pracy spowodowanych jest na Zachodzie przez nieostrożność robotników. U nas, gdzie przemysł jest znacznie młodszy, gdzie przeto robotnik mniej nierównie jest wyszkolony niż za granicą, procent tego rodzaju wypadków jest niewątpliwie większy. Zapewne więc częste bardzo będą wypadki, w których pracodawca bronić się zechce przeciwko pretensjom robotnika powoływaniem się na jego nieostrożność, jako na przyczynę wypadku. Jest więc rzeczą pierwszorzędnej wagi zdać sobie dokładnie sprawę z tego, kiedy tego rodzaju zarzut może być poczytany za uzasadniony.

Ustawa rosyjska wzorowała się w tym punkcie na ustawie francuskiej i angielskiej. Ustawa francuska pozwala sędziom zasądzić robotnikowi wynagrodzenie niższe, niż w prawie ustanowione, ilekroć wypadek wywołany został przez wyjątkowo ciężką winę robotnika, winę nie do wybaczenia, „faute inexcusable". Pierwiastkowo pomieszczone było w projekcie wyrażenie: „faute lourde" — wina ciężka. Przy obradach jednak nad projektem zauważono, że pojęcie odpowiadające temu wyrażeniu jest za obszerne, że przeto, jeżeli wyrażenie to zostanie

użyte, zbyt często będą wypadki, w których przepis ten będzie stosowany. Proponowano zastąpić je wyrażeniem „faute grossière"; przyjęto jednak ostatecznie formułę: „faute inexcusable". „Wyrażenie „faute lourde" — powiedział w r. 1896 sprawozdawca komisji w Izbie francuskiej — „nie ma jasno określonego znaczenia w języku naszym prawniczym i dlatego zachodzi obawa, że sądy poczytywać będą za winę ciężką robotnika jego niedbalstwo, naruszenie przezeń regulaminu fabrycznego i t. p. Dlatego użyliśmy w projekcie wyrażenia „faute inexcusable", gdyż sądziliśmy, że odszkodowanie należne robotnikowi winno być zmniejszone tylko wtedy, gdy wina jego jest tak wielką, że nie może być wybaczoną". (Louis Chardiny. Comentaire de la loi des 9.10 avril 1898, concernant la responsabilité des accidents. Paryż i Lyon, 1898, str. 251). Ze słów tych sprawozdawcy, wygłoszonych w Izbie, jasno wypływa, że wolą było prawodawców francuskich, by przepis ten stosowano tylko wyjątkowo, gdy nieostrożność lub lekkomyślność robotnika przekracza wszelką miarę. Tak też stale zapatrują się na ten przedmiot sądy francuskie. „Wina nie do wybaczenia" — powiada Sąd apelacyjny w Montpellier — „zachodzi wtedy, gdy robotnik dopuszcza się czynu dowodzącego absolutnego lekceważenia najprostszych reguł roztropności". „Wina taka, — powiada Trybunał w Nantes — „jest rodzajem przestępstwa zawodowego, dowodzącego jawnego i świadomego lekceważenia życia i zdrowia własnego i bliźnich". „Jest to, — mówi Trybunał w Lyon — świadome naruszenie elementarnych prawideł ostrożności, w lekkomyślnie powziętej nadziei, że nie pociągnie ono za sobą następstw nieszczęśliwych. Nawet fakt, że robotnik ukarany został kryminalnie za nieostrożność, która spowodowała nietylko własne kalectwo, lecz kalectwo i śmierć jego współtowarzyszy, nie zawsze poczytywany jest za powód dostateczny do uznania, że z jego strony miała miejsce wina nie do wybaczenia." (Revue trimestrielle de droit civil, Nr. 2 za rok 1902, str. 447 i następ.).

Tak samo zapatruje się na ten przedmiot i ustawa angielska. Uwzględnia ona jedynie wyjątkowo ciężką winę robotnika, „wilful and serious misconduet". Tylko że wedle ustawy francuskiej przypisywanie robotnikowi wyjątkowo ciężkiej winy nie pociąga za sobą tak poważnych następstw, jak z mocy ustawy angielskiej, albowiem gdy wedle ustawy francuskiej i najcięższa wina nieumyślna robotnika nie pozbawia go odszkodowa-

nia, lecz może jedynie stanowić powód do zmniejszenia renty, jakie sąd za stosowne uzna, sędzia angielski, przeciwnie, w razie uznania, że przyczyną wypadku była ciężka wina robotnika, obowiązany jest całkiem odszkodowania odmówić. Stąd też sądy francuskie są nieco pochopniejsze do uznawania winy robotnika za ciężką, gdyż mogą czynić to bez wielkiej dla niego szkody materjalnej, np. zmniejszając jego rentę o jakie kilkanaście lub kilkadziesiąt franków rocznie, w miarę tego, czy winę jego uważają za mniej lub więcej karygodną. Sądy angielskie, przeciwnie, zmuszone całkiem pozbawiać w tych razach renty robotnika, są niesłychanie powściągliwe w przypisywaniu winy ciężkiej robotnikowi.

Znany mi jest komentarz angielski do ustawy o odszkodowaniu robotników, drukowany w r. 1900, a więc w trzy lata po wydaniu w Anglji rzeczonej ustawy. Komentarz ten, jak zwykle tego rodzaju książki angielskie, stanowi jedynie usystematyzowany zbiór wyroków sądowych do materji tej się odnoszących. Otóż nie znalazłem w nim ani jednego wyroku, którymby sądy odmówiły odszkodowania z powodu ciężkiej winy robotnika. Owszem, znajduję tam liczne wyroki, w których nie uwzględniają sądy obrony pracodawcy, powołującego się na ciężką winę robotnika. Charakterystyczny jest następujący wypadek: Strop w kopalni węgla groził upadkiem i dlatego inżynier polecił podstemplować go belkami. W kilka godzin potym robotnik, który sam roboty tej dokonał, usunął stemple celem ułatwienia sobie przesunięcia wagoniku i zabity został spadającemi ze stropu bryłami węgla. Każdy zrozumie, że usunięcie stempli w kopalni jest przewinieniem bardzo ważnym, gdyż następstwa czynu takiego są wprost nieobliczalne. Dlatego też prawo karne angielskie za czyn taki, nawet spełniony bez żadnego zamiaru przestępnego, karze więzieniem. Było nadto udowodnione w sprawie, że robotnik był doświadczonym górnikiem, że przeto zdawał sobie dokładnie sprawę z doniosłości nierozważnego swego czynu i znał odnośne przepisy prawa karnego. Pomimo to wszystko nie uwzględnił sąd argumentacji właściciela kopalni, broniącego się tym, iż wypadek nastąpił tu skutkiem ciężkiej winy robotnika, i odszkodowanie rodzinie zasądził. (Alfred Henry Ruegg: The employers liability Act. London, 1900, str. 281 i następ.).

Nie ulega żadnej wątpliwości, że redaktorzy ustawy rosyjskiej zupełnie tak samo pojmowali wyjątkowo ciężką winę

robotnika, jak prawodawca francuski i angielski. Wedle art. 2 pracodawca wolny jest od obowiązku odszkodowania robotnika, gdy wypadek „wywołany został przez rażącą jego nieostrożność, nieusprawiedliwioną warunkami i trybem produkcji". Wyrażenie: „rażąca nieostrożność" nie jest może równie silne, jak: „faute inexcusable", lub „wilful and serious misconduct". Przypomina ono raczej (w oryginale rosyjskim użyto wyrazu: „grubaja nieostorożnost"), wyrażenie: „faute grossière", proponowane lecz nieprzyjęte w Izbach francuskich (p. w.).

Wedle jednak § 2 ustawy rosyjskiej sama „rażąca nieostrożność" nie wystarcza, trzeba nadto, wedle dosłownego brzmienia paragrafu, by nieostrożność ta nie dała się usprawiedliwić warunkami i trybem pracy. Nie może to oznaczać nic innego, jeno że rażąca nieostrożność wtedy tylko może stanowić powód do odmówienia odszkodowania, gdy nieostrożności tej niepodobna usprawiedliwić nerwowością robotnika, jego zmęczeniem fizycznym lub umysłowym, chęcią przyspieszenia roboty, zbytnim oswojeniem się przezeń z niebezpieczeństwem, słowem — wszystkiemi temi warunkami, które, wobec dzisiejszych metod produkcji i normowania zarobków, stępiają jego wrażliwość na niebezpieczeństwa, wśród jakich pracuje.

Będzie więc przepis ten mógł być stosowany tylko wtedy, gdy, jak się wyrażają Trybunały francuskie, robotnik świadomie naruszy elementarne prawidła ostrożności w lekkomyślnie powziętej nadziei, że nie pociągnie to za sobą następstw nieszczęśliwych, gdy czyn jego stanowić będzie jawne przekroczenie profesjonalne, dowodzące zupełnego lekceważenia zdrowia i życia własnego i bliźnich i t. p.

Ludwik Lewinson.

LEON BLOY.

(PORTRET LITERACKI).

Pewien ideolog rozważa przypuszczalną niedolę człowieka średniowiecznego, gdy go nagle stawiają w dzisiejszym Paryżu, wśród swawoli parlamentaryzmu, sprzedajnej i zepsutej prasy, niezliczonych kabotynów sztuki i literatury, w rozgwarze niewolników złota i użycia. W marzeniu takim żali się tęsknota za innemi ludźmi, za chwilami czystych i prostych dusz, chwilami szczerej egzaltacji i potężnych, zbiorowych uniesień. Umarli, niestety, nie powstają z grobów! Ale zdarzają się wypadki zarówno nieprawdopodobne, jak zmartwychwstanie.

Istnieje we Francji człowiek, niewiadomo z jakiej przybyły epoki: może walczył z Godfrydem Buljońskim pod murami Jerozolimy, może wiódł z Kolumbem załogę na odkrycie nowego świata, może z Pawłem jeszcze roznosił „dobrą nowinę", a może nawet oglądał oblicze samego Pana na Golgocie. Nazywa się — Leon Bloy. Gdy się zjawił pośród orgji paryskiego życia, osłupiał z przerażenia. Straszne obrazy oczy jego ujrzały: Zgoda wszelkich szatanów sprowadziła zasadniczą zagubę wszelkiej harmonji. Całe społeczeństwo pracuje nad przygotowaniem olbrzymiego trupa, trupa samej Cywilizacji, wielkiego jak pięćdziesiąt narodów. Kończy się zużyta ludzkość. Stracone, zczezłe i zmarnowane wszystko i wszędzie,

zwłaszcza we Francji. Wszystko, co mogło pobudzić człowieka do szlachetnego drżenia, zostało zgaszone, odbarwione, wyszydzone, oplwane i zmiecione, jak łajno myśli dziennikarskiej. Nawet kościół, wzniesiony niegdyś do szczytu niebios, niezdolny już odróżnić tych, którzy go czczą, od tych, którzy go kalają. „Wychowawca inteligiencji", któremu świat winien tyle arcydzieł, żywi dziś niezwyciężoną, punicką nienawiść do wyobraźni i oryginalności, do niezależnych objawów talentu. Umysł francuski z końca wieku przypomina okropne baudelair'owskie ścierwo, a robactwem jego — dziennikarze. Literatura stała się powszechnym lupanarem myśli, serca zaś literatów — stajniami osłów. Gromady sławnych ludzi „noszą swe głowy wieprzów, niby sakrament Głupoty, na czele nieskończonej procesji kretynów".

Gdy oczyma duszy ogarnął Bloy bezmiar tego rozkładu, doznał wrażenia, że strącono go nagle z jakiegoś empireum w nieskończony zbiór nieczystości. Zamyślił się długo. Ponure milczenie zrozumiał jedyny tylko człowiek, także z dawnych, zapomnianych wieków pochodzący, także samotny i wyniosły:— Barbey d'Aurevilly. Wyciągnął ku bratu z ducha serdeczną dłoń i namaścił go do walki słowami: „policzkuj, przeklinaj i plwaj w imię Boga!"

I poszedł Bloy na niepewne apostolstwo. Nakarmił się wiarą, że narodom silnym potrzeba mocnych, miłosiernych, a zarazem nieubłaganych prawodawstw, narody zaś zepsute potrzebują tępicieli. Więc będzie takim tępicielem, będzie „katem literatury współczesnej", Wielkim Inkwizytorem Francji. Za środek zagłady posłuży mu pamflet, ale nie ten prosty i mdły pamflet, któremu zawdzięczają sławę Veuillot, Rochefort, Cassagnac. — Byron w „Child Haroldzie" pragnął całą potęgę swej wzgardy, wszystkie swe gniewy i boleści pomieścić w jednym wyrazie, aby wyrazowi temu nadać moc piorunu. O takim ideale marzy Bloy: chciałby wypowiedzieć to jedno wszechpotężne S ł o w o, a „potym umrzeć od policzków i plwań całego wszechświata". Chciałby znaleźć „epitety człekobójcze; metafory, walące obuchem; nawiasy zarzynające na śmierć;" chciałby zbudować „katachrezy wbijające na pal; metonimje dziurawiące nogi rozpalonym żelazem; ironje, łamiące kości pacierzowe; litoty, obłupiające ze skóry; zamraczające omówienia i hiperbole z roztopionego ołowiu". Śmierć winna być ostrą; należy wszelkiemi możliwemi sposoby zmuszać do cierpienia.

Tworzy więc zdania zdumiewające, zdania bliższe giestów niż słów, tyle indywidualnej posiadły siły. Niekiedy wybucha płomieniami i popiołem jak Wezuwjusz w ostatnich dniach Pompei; to znów wyrazy spadają ciężko, niby z gór Alpejskich, staczając wszystko, co po drodze spotkają. Na wszelkie określenia, wzniosłe czy poziome, rzuca się Bloy jak na zdobycz i zamienia je natychmiast w miażdżące pociski. Gdy poczyna mówić, rośnie od wielkiego gniewu, rozpala się, aż dochodzi do szału. A kiedy nareszcie ochłonie, to się w nim szamoce niespokojna dusza, podobna do uwięzionej Infantki, przykładającej twarz do witraży podpalonego Eskurjalu. Do wszystkich bowiem przekleństw jego wtrąca się „demon liryczny". Śmieje się za nim ktoś, co mu szepce do ucha, że życie dobrze pojęte winno być nieustannym prześladowaniem, a każdy dzielny człowiek prześladowcą i że to jest jedyny warunek prawdziwej poezji. Należy być prześladowcą rodzaju ludzkiego. Skoro poetę prześladuje i pożera piękno, niech i on pożera wszystko, co go otacza. „Jesteś poetą? — woła oszołomiony: — niechże dusza ludzka wyje u twych stóp, w konwulsyjnym uścisku twoim ramion, we własnym twoim sercu, podartym na cząstki przez sępa Natchnienia! Nie mów nigdy, że jesteś dostatecznie szalony, bo wtedy wydasz sąd na siebie, bo wtedy znajdziesz miarę, a zapatrzony w poezję twórca stracić winien wszelki sąd, wszelką miarę, wszelki zwrot ku sobie, lecz rzucić się w bezdeń poezji i zaginąć w niej jak potok w przepaści".

Zwrócił się Bloy do katolickiego czasopisma „l'Univers". Redaktor, głośny Veuillot, który posiadał tyle wiary i zapału, tyle stylu i dowcipu, hodował w duszy straszliwą mierność i zawiść. Przeląkł się powodzenia młodego współpracownika, a w biblijnym brzmieniu jego pamfletów spostrzegł zaćmienie własnej sławy. Przeniósł się Bloy do pisma „Chat noir", należącego do „Barona Świętego Państwa Fantazji, Rycerskiego Szynkarza, Rudolfa Salisa", założyciela sławnego „cabaret" artystycznego. Ofiarowano mu tutaj całkowitą swobodę. Rozjątrzając się coraz mocniej „darząc jedną pieszczotą co pół roku, a wymierzając tysiąc policzków codziennie", gnębił zajadle wszystkie powagi literackie, wszystkie bożki burżuazyjne, głuchy na głos rozsądku, wolny od wszelkiej obawy. Ogłoszone ponownie w książce, tworzą te przekleństwa zbiór jedyny w swoim rodzaju, arcydzieło literackiego gniewu. Nie zadowoliły przecież au-

tora. „Cierpię — mówi — nieskończoną głębię gwałtowności, a gniewy moje są dziwnie słabemi echami Przekleństwa wyższego, którego mi wyrazić nie dano". Zakłada na własną rękę pismo tygodniowe i zapełnia je sam od początku do końca. Chce tyranizować prawdą, nie zważając na następstwa, przeświadczony, że znajdzie nareszcie pośród odrażających obyczajów współczesnych ponętę do interesowania się życiem. Pismo otrzymało tytuł „Pal", co program w takich tłumaczy słowach: „Kara wbijania na pal uderzała zawsze wyobraźnię ludzi zachodnich. Zawiera wzniosłą kombinację okrucieństwa i komizmu, więc ma zgóry zapewniony wpływ na rasy zmienne, niezdolne pojąć czegoskolwiek z kontemplacyjnego gienjuszu Wschodu i nie mogące naprzykład odczuć olbrzymiej wielkości symbolicznej Kserksesa, co pragnął skuć w kajdany morze". Niezaprzeczone piękno palu widzi Bloy w jego symbolizmie: „Głębokie znaczenie tej kary, o wiele wspanialszej, niż powszechnie przypuszczają, polega na tym, że ją człowiek znosi stojąc i że umiera z dołu do góry".

Nieskrępowany niczym, opracowuje Bloy swe pociski z wyszukaną sztuką, „rujnuje się" na niezbędne materjały. Marzy o tym, aby się stać „szlifierzem przekleństw" i odczuwa głęboką rozkosz, że jest nareszcie panem siebie, że zostaje całkowicie w zgodzie ze swą etyką. „Każdy człowiek — podług niego — który wytwarza czyn wolny, śle swą duszę w nieskończoność. Jeżeli daje nieszczerze grosz żebrakowi, grosz ten dziurawi rękę żebraka, upada, dziurawi ziemię, dziurawi słońce, przeszywa firmament i kompromituje wszechświat. Jeżeli tworzy czyn nieczysty, zasmuca może tysiące serc, których nie zna, a które zwracają się tajemniczo ku niemu i potrzebują, aby był czystym,—jak podróżnik,umierający z pragnienia, potrzebuje kubka wody ewangielicznej".

Pal, wymierzywszy niesłychaną ilość obelg literatom, dziennikarzom i politykom, przestał istnieć po miesiącu, z powodu chronicznej, nieuleczalnej biedy redaktora. Na pismo, sprowadzające dziesiątki pojedynków po każdym numerze, nie chciał się odważyć żaden wydawca.

II.

Niełatwo strawić mogli piorunowe przekleństwa ludzie, ku którym je skierowano, a zwłaszcza literaci, owe „zwierzęta sła-

wy", jak ich Bloy, za świętym Hieronimem, nazywą. Zohydzeni i wyszydzeni, zamknęli się w pogardliwym milczeniu, lub porzucili niefortunnego proroka. Wydalony z l'Univers, pisze Bloy w wielkoświatowym Figarze, polującym zawsze na skandal. Ale i to piśmidło opuszcza po kilku artykułach, gdy zażądano pięknych jego zdań na chwalenie książki, którą pogardzał. Wstępuje po dwakroć do Gil Blasa i chociaż sromotnie poniża go takie sąsiedztwo z pornografami, pragnie je utrzymać, dopóki możliwe. „Czy te pieniądze — tłumaczy się w pamiętniku — czy inne — wszystko jedno, bo dzienniki warte są jeden drugiego. Biedni nie mają prawa wstrętu". Zaszła jednak okoliczność, która go nazawsze odsunęła od dziennikarstwa. Gdy niektóre gazety cynicznie drwić poczęły z rażonego bombą anarchistyczną i złożonego niemocą poety Tailhada, Bloy wystąpił w obronie szkalowanego z niezwykle gwałtowną odprawą. Wyzwany na pojedynek, odmówił walki z zasady, uważając, że pojedynek jest „obrzydliwą śmiesznością, wynalezioną przez kuglarzy". Zamknięto mu drzwi wszystkich redakcji. W odpowiedzi na koalicję ogłasza Bloy brutalny pamflet średniowieczny p. t. „Leon Bloy wobec świń". Wierzy, że znajdzie się przecież „kilku sprawiedliwych", którzy, poznawszy dokładnie historję całego zajścia, zrozumieją szlachetne pobudki zbojkotowanego pisarza i wezmą go w obronę. Ale broszura ukazała się na półkach księgarskich tego samego dnia właśnie, kiedy Carnota zamordowano w Lyonie. Utonęła odrazu w niepamięci. „Oto — jęczy Bloy nieco naiwnie — zwykły mój los. Złośliwa fortuna uwzięła się do tego stopnia, że się nie cofa nawet przed mordowaniem prezydenta republiki, aby mnie pozbawić możliwego powodzenia". Istotnie, nadchodzą ciężkie godziny. Zdradzają go i opuszczają kolejno przyjaciele, wrogo witają wydawcy, którym przynosi manuskrypty. Niema obelgi, którejby mu w twarz nie rzucono, niema kalumnji, którejby mu nie zgotowała zemsta. Poznaje krwawe poty cierpień. Głodny i spragniony miłości, staje na rozstajnej drodze osamotnienia i po bluźnierczej modlitwie składa głowę na twardym kamieniu rezygnacji. Spostrzega, że życie trwa za krótko, aby zdeptać wszystkich, którym zagładę przeznaczył. Głosem, grzmiącym głucho w piersiach, żali się gorzko na swój los: „Niewiadomo — woła — jakiego natchnionego proroka, jakiego pełnomocnika Słowa potrzebaby dzisiaj, aby wrócić pozór umysłowego istnienia narodowi, stoczonemu przez robaków". Gdy drżą-

cy w pyle Grek przemawiał do monarchów bizantyńskich, zaczynał od słów: „panie, czy mogę przemawiać i żyć!" Podobnych mistrzów widzi Bloy w państwie intelektualnym Francji i zapewnia szyderczo, że w takiż sposób do nich przemawiać należy, jeżeli się nie jest całkowicie Bogiem. Przeklinani nie upadli bowiem na kolana i nie ukorzyli się w prochu. Ale za to on, atleta stylu, gotowy do tytanicznych walk, wyrzucony został po za plac boju, jak nieuleczalnie chory. Stwierdził Bloy z rozpaczą niedostateczność swych wysiłków. Wydało mu się, że żyje na planecie umarłej, bez atmosfery, gdzie piorunowe nawet uderzenia nie wydadzą odgłosu. Zrozumiał, że jest tylko kolorystą własnych snów o bohaterstwie i o idealnej sprawiedliwości. Więc bezsilny swój styl składa u stóp Boga „Wielkiego Samotnika, który samotników rozumie, i który do swej potęgi, mądrości i błogosławieństwa dopuszcza takich jedynie, co biorą udział w jego wiecznej samotności". Modli się żarliwie, szuka modlitwy najpotężniejszej, aby Bóg nędzę współczesnego życia przerwał, aby oblicze swe pokazał, jak był obiecał. „Myślę — woła — że agonja, trwająca przez sześć tysięcy lat, daje nam prawo niecierpliwości, nieznanej dotychczas. Skoro należy nam wznosić serca, wyrwijmy raz z piersi te organy rozpaczy i kamienujmy niemi niebo. Będzie to sursum corda wszystkich opuszczonych". Wie, że absolutna pewność otrzymania raju nastąpi po zagładzie powszechnej, ale nie może czekać na obiecanego Ducha Odnowiciela tak długo, jak czekały wieki średnie. „Czekać — mówi — pięć tysięcy lat na złocistym marginesie chorału pełnego poezji, jak ów patryjarcha o łagodnym uśmiechu, co patrzy wiecznie na cedry, wyrastające mu z żywota — zgodziłbym się jeszcze. Ale oczekiwać na sodomskim trotuarze, w błocie walk wyborczych, w bezpośrednim sąsiedztwie „Kawiarni Amerykańskiej" lub Tortoniego, ze śmieszną obawą wdepnięcia w twarz pierwszego ministra lub kronikarza — to przecież ponad siły". Wzywa Boga wszystkiemi ognistemi głosami, jakie posiada, aby już raz sprowadził błizką, a przecież tak daleką katastrofę „wiecznej, tragicznej farsy człowieka".

III.

Jako męczennik Absolutu, z trudem odnajduje Bloy wśród ludzi współczesnych dusze pokrewne. „Zamknięty, niby Da-

niel w jaskini zwierząt, ale zwierząt, które nie są lwami", zbyt zamglone ma od bólu oczy, aby dojrzeć jaką jaśniejszą twarz. Wraca więc chętnie do wieków średnich, do swojej epoki i tam odnajduje ludzi, blizkich „jednością natchnienia". Czaruje go i pociąga wielka postać Krzysztofa Kolumba, bo ten „był sam, niewypowiedzianie sam wśród trzech strasznych towarzyszek: skończonej nędzy, skończonej sromoty, skończonej boleści"; bo myśl jego zrodziła się samorzutnie, bez wszelkiej ziemskiej domieszki i „zbadała nieznane, przebiegła nieskończoność z pochodnią wiary"; bo „twierdzenie jego powstało nie z kombinacji gienjuszu i obliczeń naukowych, ale całkowicie ze światła nadprzyrodzonego". Kolumb wydał się Leonowi Bloy „tak wielkim, że im bardziej zbliżać się do niego, tym dostęp trudniejszy." Objawienie tej wielkości odnalazł w życiorysie Kolumba, ogłoszonym przez hr. Roselly de Lorgnes, a przyjętym tak łaskawie przez papieża Piusa IX, że posłużył za jedno z najważniejszych świadectw w beatyfikacji Odkrywcy Nowego Świata. Rozgrzany Bloy napisał płomiennemi zgłoskami entuzjazmu apologję p. t. „Objawiciel kuli ziemskiej". Widzi w postaci ulubionej potęgę nadzwyczajną, potęgę, która „płynie z najdalszej głębi duszy, z gienjuszu człowieka, a która unosi się ponad wszelką literaturą". Książka zresztą jest tyleż głoszeniem sławy Kościoła, jak wielkości Krzysztofa Kolumba. Z tego powodu Barbey d'Aurevilly tak się o niej wyraził: „Dogmatyczna część książki Leona Bloy jest istotną historją świętą, taką, jakąby napisał gienjusz samego Pascala, gdyby myślał zajrzeć do życia Kolumba. Po za autorem „Myśli" nie widzę nikogo, ktoby w tym wielkim przedmiocie, zapomnianym przez Bossueta, zdołał posiąść taką przenikliwość, taką moc w obejmowaniu całości, taką głębię poglądu, taką biblijną majestatyczność stylu". Pomimo gorącego wstępu, pisanego przez Barbey d'Aurevilly, przyjęto „Objawiciela kuli ziemskiej" zarówno w katolickich jak i wolnomyślnych sferach całkowitym milczeniem. Zapomnieli dwaj szaleńcy, że żyją w końcu dziewiętnastego wieku! Wskutek bankructwa wydawcy książka stała się wkrótce rzadkością bibljograficzną. Gdy więc Hiszpanja i Ameryka przygotywywały święcenie czterechsetnej rocznicy odkrycia Nowego Świata, Bloy wraca jeszcze raz do Kolumba, ogłasza nową jego apologję p. t. „Krzysztof Kolumb wobec byków". Wymierza tu gromowładny pamflet przeciwko jedynemu z potomków Kolumba, księciu Varagua, bogatemu

protektorowi walki byków za to, iż ofiarował trzydzieści tysięcy franków na konkursowy, świecki życiorys Odkrywcy Ameryki. Natchniona wiarą biografja hrabiego Roselly de Lorgnes wydaje się Leonowi Bloy arcydziełem doskonałości; przewyższa o całe niebo zwykłe pojęcia historji, a autor jest najwierniejszym „towarzyszem Jedynego Człowieka, o którym niepodobna mówić bez drżenia, gdy się wie, co Bóg w nim złożył, a co z niego zrobili ludzie". Próbę pisania nowego życiorysu Kolumba, po takim dziele, uważa Bloy za bluźnierczy zamach „renegata i ojcobójcy". Nie znajduje słów potępienia dla księcia Varagua, że „zbiera w podejrzanych miejscach ciurów literackich i szakalów akademickich, którzy w ciemnościach archiwalnych karmią się czcią nieboszczyków". Nie potrzebuję objaśniać, że i tę książkę spotkał podobny los, jak poprzednią: nie zwrócono na nią uwagi. Podobne delirium entuzjazmu nie mogło paść owocnie na grunt paryski, zryty, podług słów Bloy przez mnóstwo „ryjów literackich, poszukujących sławy". Nie zwrócił też publicznej uwagi panegiryk, napisany na cześć gilotynowanej żony Ludwika XVI, Marji Antoniny („La chevalière de la mort"). W tym najpierwszym, chociaż najpóźniej ogłoszonym utworze opłakuje Bloy tkliwemi łzami nieszczęsną dolę królowej, albo też występuje jako antirewolucyjny sędzia epoki. Żywot Marji Antoniny pociąga go obrazami rozpaczy, cichego bohaterstwa i okropnego spustoszenia. W stylu klasycznie pięknym, bardziej umiarkowanym, niż w innych książkach, wygłasza uroczystą mowę pogrzebową gilotynowanej monarchini. Z równą wzniosłością nastroju rozpatruje życie Ludwika XVII („Le fils de Louis XVI"). Niedola króla-włóczęgi wydaje mu się tak wielką, że „w porównaniu z nim najsławniejsi nieszczęśliwcy mogą powiedzieć, że nigdy Raju nie opuszczali". Właściwą i wierną historję cierpień ostatniego prawowitego pretendenta do tronu francuskiego napisali Otto Friedricks i Henryk Provins. Bloy, patrząc na odmalowane przez nich oblicze, chce „krzyczeć i łkać ze zgrozy", więc pisze jednocześnie symbolikę cierpień ostatniego Kapeta i gorący pamflet historyczny, sztyletujący bez miłosierdzia pogasłe już cienie przeszłości. Całą książkę ożywia zawodna chęć czytania wyroków „Boga, którego oddech porusza piasek drogi mlecznej". Francja jest tajemnicą Chrystusa, którą narody odgadnąć mają. Jej historja jest dalszym ciągiem nowego testamentu, olbrzymią parabolą, pominiętą lub zaledwie wspomnia-

ną przez ewangielistów. Wyrazy gallus i gallina, niezmiernie rzadkie w Piśmie, nabierają znaczenia dopiero wobec straszliwej chwili, która ma wkrótce nastąpić. Kiedy Francja upada w błoto, zdaje się, że błoto owo obryzguje głębię firmamentu niebieskiego. Monarchja była, podług Bloy, niezaprzeczoną podporą Francji; Rewolucja świadczy, iż w rzeczach boskich zaszła zmiana niezrozumiała. Żywot Ludwika XVII jest zmiany tej widocznym, a bolesnym znakiem. Uwolniony podstępnie z więzienia w Temple, skąd ojca i matkę zaprowadzono na gilotynę, dziesięcioletni Ludwik rozpoczyna ponurą odysseję. Aresztują go w Wandei, skąd go uwalnia Banas. Ucieka do Włoch, a stamtąd na statek angielski, który staje się łupem Francji. Zamykają Ludwika napowrót do więzienia i skazują na piętnowanie, którego ślady trwają przez lat trzydzieści. Uwolniony ponownie, wpada w r. 1804 w ręce Fouchégo i zostaje zagrzebany w ciemnych kazamatach w Vincennes. Wypuszczony po pięciu latach, dzięki zabiegom Józefiny, wychodzi na świat napół-oślepły i napół-zidjociały. W r. 1810 ucieka do Berlina, pod fałszywym paszportem Naudorffa. Fałszerstwo wyjaśnia się w policji. Zabierają Ludwikowi wszelkie papiery osobiste i wydają mu wzamian patent na prowadzenie warsztatu zegarmistrzowskiego w Spandau. „Skonfiskowany" w ten sposób, nie przestaje być jednak otoczony szpiegami. W r. 1824 zabierają go, bez żadnego pretekstu, do więzienia w Brandenburgu, gdzie trzymają przez trzy lata. Probuje Ludwik jeszcze raz szczęścia we Francji. Zjawia się w Paryżu, pisze błagalne listy do siostry, księżniczki d'Angoulème, ale ta, pomimo niezbitych dowodów identyczności brata, uznać go nie chce. Zaaresztowany i wydalony z kraju, ucieka do Anglji i po siedmiu latach nowej włóczęgi umiera w Delft w Hollandji, w pięćdziesiątym trzecim roku życia. „Idę do ojca niebieskiego — on mnie ukoronuje" — powiedział, umierając. Zapewne tego samego dnia, domyśla się Bloy, Bóg rzekł do Noego: „Zbuduj arkę, gdyż potop ognia nadejdzie niebawem". Ogólna nędza duchowa stała się dzisiaj tak wielką, że jedynym zakończeniem złego może być, podług Bloy, ogniowy kataklizm.

Słabym echem rozeszło się po Paryżu to złowrogie proroctwo. Powitano je złośliwym uśmiechem. Nie odczuto również hołdu, jaki, „na pamiątkę Pana Naszego Jezusa Chrystusa" złożył Bloy trzem „wielkim galernikom ideału": Barbey

d'Aurevilly, Ernestowi Hello i Verlaine'owi (z powodu poematu „Sagesse"). Składając im cześć, śle jednocześnie przekleństwo tym, którzy nie potrafili ich ocenić. „Barbey d'Aurevilly wydaje się wogóle podpalaczem, ponieważ jesteśmy wszyscy nafosforyzowani jak ścierwa". Ale katolicy nienawidzą go podwójnie, gdyż podwójną wymierza im obelgę: najpierw grozi im rozpaloną głownią swej duszy, a potym rości pretensję należenia do nich. Więc i on i Hello butwieją, niby Hiob na śmiecisku księgarni. A przecież Hello winien stanąć mocą swego gienjuszu obok Pascala: obydwaj, podług Bloy, zabłądzili w niedościgłe głębie, obydwaj wydali siłę, zdolną zrównoważyć ciążenie niebios, obydwaj „kamienowali zdrowy rozsądek kometami". Do Ernesta Hello powraca Bloy przy każdej sposobności, a nawet nawołuje do wielbienia tego niedocenionego pisarza w oddzielnej książeczce, o grzmiącym tytule „Tu mordują wielkich ludzi!"

Mało napotkał Bloy w życiu postaci bohaterskich, ale za to każdemu z wybrańców rzuca się w duszę jak Empedokles w wulkan i bada ją w najpłomienniejszych głębiach. Takie badanie aż do dna dało mu poznać, że natury wyższe męczą się w walkach wewnętrznych, że w żywych atomach ich serc toczą się batalje „potężniejsze niż pod Arbelami i Austerlitzem", że „padają tam cesarstwa, giną prowincje, uciekają tłumy, a niekiedy podpisują się bezwstydne traktaty".

IV.

Bloy posiada nieugięte przeświadczenie o swym proroczym posłannictwie. Wie o rzeczach nikomu nieznanych. „Pokazano mi je — tłumaczy — nie dla tego jedynie, abym cierpiał. Pisarz jest tylko przypadkiem mojej substancji; posiadam w sobie coś więcej"... Ręka boska do tego stopnia zaciążyła na jego postępkach, że uczuwa „wstręt do własnych wysiłków". Przekonany, że Bóg chowa go na swego świadka, gdy nadejdzie godzina, drży chełpliwą rozkoszą, wołając: „Dano mi nieporównany i cudowny zaszczyt: jestem niezbędny Temu, który nie potrzebuje nikogo". Wykarmiony tekstem pisma świętego i księgami ojców kościoła, przejmuje się nastrojem biblijnym. Pokazuje i tłumaczy „znak boski, jaki Stworzyciel położył na na-

rodzie żydowskim", oznajmiając w ewangelji, iż „salus ex Judaeis est". Uważa się za jedynego człowieka, zdolnego utrwalić pogląd ostateczny o sprawie żydowskiej, więc ogłasza niewielką książeczkę, tonem proroka pisaną, i widzi w niej najważniejszą ze wszystkich dotychczasowych swych prac. Miażdży wzgardą „wstrętnych handlarzy, brudnych i jadowitych Żydów, którzy świat zatruli", a jednocześnie objawia głęboką cześć dla Rasy, z której wyszło Odkupienie.

„Zbawienia przez Żydów" — nie wzięto, niestety, na serjo. Niewielu uwierzyło, że autorytet, z jakim Bloy przemawia, pochodzi z nadprzyrodzonego źródła. Sam prorok ciężar swej doli gorzko odczuwa. „Jeżeli się mówi z miłością o Bogu — utyskuje smutnie — wszystkie wyrazy stają się podobne do lwów oślepłych, gdy szukają źródła w pustyni". Rzeczywistość paryska przywołuje go do porządku, a tłum żąda nie biblijnych proroctw, ale... noweli i romansów.

Chociaż Bloy nie wierzy w literaturę, nie wierzy w sławę, chociaż dowodzi często, że „sto tysięcy pięknych zdań niewarte jednej łzy serca", — zwraca się nareszcie do beletrystyki. Usprawiedliwia się tłumaczeniem, że „wszyscy we Francji, co mają nieco męskości, wpadają od lat trzydziestu w zniechęcenie, tworząc literaturę rozpaczy". Musi pójść tą samą drogą. Twórczość nowelistyczną rozpoczyna trzydziestoma obrazami z wojny francusko-niemieckiej pod tytułem „Krwawy pot". Niemcy występują tu z twarzami, nawyknieniami i apetytami kanibalów; Francuzi wznoszą się niekiedy do prawdziwego bohaterstwa, ale gdziekolwiek słabną, wtrąca ich autor w otchłań nikczemności i tchórzostwa. Zapowiada książkę dziwaczny wstęp, a w nim ponowna apoteoza Francji. Jest ona „do tego stopnia pierwszym z narodów, że wszystkie inne zbyt wielkiego dostępują zaszczytu, gdy mogą pożerać chleb jej psów. Kiedy Francja jest szczęśliwą, reszta świata nie powinna się żalić na nieszczęście; ale kiedy Francja cierpi, to sam Bóg cierpi." Większość opowiadań taki właśnie duch ożywia. Oto np. bohaterstwo dzikiego wojaka francuskiego, nazywanego „Drewnianą mordą". Kilkudziesięciu Prusaków zajęło izbę i pławią się w rozpustnej orgji. „Drewniana morda", przy pomocy dwuch towarzyszów, postanawia wytępić napastników. Zbliża się pocichutku do okna i patrzy, jak brutalni najezdcy gwałcą po kolei bezbronną i skrępowaną kobietę. „Drewniana morda", przywoławszy do pomocy towarzyszów, wdziera się do izby

i rozpoczyna krwawą rzeź. O świcie wracają awanturnicy do obozu, pokryci skrzepłą krwią, jak rzeźnicy po wyjściu ze szlachtuza. Kapral „Drewniana morda" niósł dziwny bagaż, który złożył w milczeniu u stóp zdumionego komendanta: było tam dwanaście niemieckich pikelhaub, a w każdej po jednej parze obciętych uszu... W innym obrazie biednej kobiecie zabito męża i dwuch synów. Zabójcy przychodzą do niej z tą wieścią i naigrawają się nikczemnie. Zrozpaczona męczennica rzuca się na jednego z żołdaków i gryzie mu z wściekłości policzki. Zostaje za to zbiczowana, zgwałconą przez całą kompanję, a potym skrępowaną i rzuconą na śmietnik. Leży tu długo zemdlona, aż ją przyprowadzają do przytomności nadludzkie krzyki córki, zamkniętej w domu podpalonym. Zmaltretowana kobieta pała żądzą straszliwej zemsty. Po długich wysiłkach i staraniach dostaje się do jednego z posterunków niemieckich i otrzymuje miejsce kucharki, gotującej na stół jenerała. Dziwnym (naturalnie powieściowym) zbiegiem okoliczności oddano jej pod opiekę zranionego syna jeneralskiego. Dysząca zemstą kucharka morduje rannego, potym kraje go na kawałki i smaży z niego befsztyki i zrazy, których jenerał nachwalić się nie może. Wreszcie powiadamia jeszcze nieszczęsnego ojca, iż pożera serce własnego syna...

Wyobraźnia Leona Bloy wybiera umyślnie obrazy wstrząsające, aby niezwykłą treścią obronić brutalność formy. Zło wojny przedstawia mu się w kształtach potwornych. — Pewien mściwy komornik pali żywcem osiemdziesięciu żołnierzy pruskich. W innym opowiadaniu bezlitosny Prosper Digital obdziera rannych rodaków i zakopuje ich żywcem w przygotowanym z góry dole. Sztych Goyi przypomina znowu ów człowiek-szakal, co odkopuje trupy zagrzebanych żołnierzy i zdzierający z nich, co się da zedrzeć...

Obrazami wyrafinowanego okrucieństwa przeładował Bloy także drugi tom opowiadań („Niegrzeczne historje"), umieszczanych jak poprzednie w „Gil Blasie". Przesuwa się tu cały szereg skomplikowanych zbrodni rodzinnych. Matka, wiedząca o chorobie sercowej syna, doprowadza go do śmiertelnego ataku i cieszy się, gdy chłopiec kona, ponieważ jej kochanek... nie chce być ojczymem. — Syn, spostrzegszy, że zmarły pozornie ojciec porusza się w trumnie, każe coprędzej otwierać piec kremacyjny i rzucać ciało płomieniom. — Zawistna teściowa doprowadza zięcia i córkę do samobójstwa.

Niepokoją Bloy dramaty, powstałe na tle przypadkowego kazirodztwa. Brat spotyka na bulwarze paryskim siostrę, która niegdyś w morzu zatonąć miała; teraz jest prostytutką, nie poznaje brata i zaprasza go do siebie na noc. — Młodzieniec po nocy, spędzonej z nieznaną kobietą, dowiaduje się, że przypadkowa kochanka jest rodzoną jego matką.

Życia „zwyczajnego" nie dotyka Bloy nigdy. Porusza go i pociąga zbrodniarz, bo ten stanowi „integralną część materji, godnej odkupienia, dla której Syn Boga cierpiał śmierć krzyżową". Zbrodniarz nie psuje planu boskiego, ale przeciwnie — sprawdza go doświadczalnie, wykazując bezmierną swą nędzę. Unika Bloy i nienawidzi niewinnej miernoty, bo ta psuje wszystko. Ona to właśnie była „największą torturą w Męce Pańskiej, najokropniejszą częścią agonji na Kalwarji". Zresztą nie przeraża go żaden przedmiot, bo wie, że obraz jest dostatecznie moralny, kiedy mieści w sobie tragizm i kiedy wzbudza odrazę do rzeczy przedstawianych.

Niestety jednak, epoka współczesna nie może się pochwalić przykładami rzeczywistej potęgi w zbrodni; mierność króluje we wszystkich dziedzinach życia. Komplikując sztucznie zbrodnie, zapomniał Bloy o warunku ogromnie ważnym dla artysty, a mianowicie o szczerości w pomyśle. Widać z jego króciuteńkich historji, że tylko wtedy umie być całkowicie sobą, gdy wypowiada walkę całemu światu. Sprawdza się to wyraziście w dwuch najlepszych jego utworach: „Zrozpaczony" i „Biedna kobieta", które zawierają jego własne lub blizkich mu osób przygody. W pierwszym autor występuje pod nazwiskiem Marchenoir'a. Poznajemy go nazajutrz po śmierci ojca, którego nie ma za co pochować. Jeden z kolegów (zjadliwie i gniewnie zakreślony na Bourget'a), do którego udaje się z prośbą o pożyczkę, doradza, aby zaniechał na zawsze literatury, a ojca pochował we wspólnym dole. Ratuje go z ciężkiego położenia przyjaciel Leverdier. Pogrążony w smutku, oderwany od świata, żyje Marchenoir w samotności i w modlitwie. Gdy pewnej zimnej nocy wraca do siebie, spotyka na progu, u drzwi drżącą i zziębniętą kobietą. Nie żąda wyjaśnienia; otwiera pokój, zapala ogień, wskazuje dziewczynie łóżko, a sam zabiera się do pracy. Dziewczyna znaną była w całym Kwartale Łacińskim pod wymowną nazwą „Pijawki". Jak Magdalena u stóp Chrystusa, pada ona do nóg Marchenoir'a i błaga, aby jej pomógł do skutecznej pokuty. Więc mieszkają razem,

żyją w absolutnej czystości. Marchenoir traktuje dziewczynę, jak bezdomnego psa, któremu dał schronienie, Weronika zaś (bo takim imieniem autor ją obdarzył) czci swego pana i wybawcę. Nawróciła się szczerze, gorąco i głęboko. Marchenoir (podobnie jak Durtal Huysmansa) wyjeżdża do Kartuzów, aby nabrać sił moralnych, a jeżeli się da, to i pozostać tam na stałe. Pragnie opracować symbolikę dziejów, dowieść, że historja oznacza cośkolwiek, że posiada własną architekturę, że się rozwija podług nieomylnego planu. Objawiono mu, że „wszystkie czyny ludzkie, jakiejkolwiek są natury, zmierzają do stworzenia składni olbrzymiej, nieprzypuszczalnej, tajemniczej księgi, którąby można nazwać Paralipomenami Ewangielji". Ale Marchenoir nie przestał być człowiekiem: po krótkim pobycie w klasztorze przekonywa się, że kocha swą paryską pokutnicę. Pisze do Weroniki list, namiętnym mistycyzmem przejęty, i wraca spiesznie do Paryża. Na wstępie przyjaciel Leverdier zwiastuje mu okropną nowinę: oto Weronika, nie chcąc ulec pokusie, po liście od Marchenoir'a, obcięła przy skórze swe cudne włosy i kazała sobie wyrwać wszystkie przepyszne zęby. Chciała tym przerazić i odstręczyć nieszczęsnego opiekuna. Marchenoir przebolał niespodziankę, ale wzniosłość ofiary zrozumiał. Ciągną dalej przedziwny stosunek: ona pędzi czas we łzach, modlitwie i pokucie, on zaś— w męczarni i gorącym dla niej uwielbieniu. Ekstaza religijna Weroniki kończy się obłędem i Marchenoir pozostaje znowu sam. Walczy teraz z nieprzyjaciółmi za swe bezwzględne poglądy. Cała druga część powieści zajmuje się historją tych walk. Tu już wraca w całej sile Bloy — pamflecista, który piętnuje bez miłosierdzia wrogów i strąca ich jak Dante do najpłomienniejszych kręgów piekła. Sztuka schodzi na drugi plan, a całe stronice zajmują przedruki wściekłych pamfletów z dawnego „Palu". Pewnego poranku Marchenoir przejechany zostaje przez wóz na ulicy i umiera, nie mogąc doczekać się księdza, ani przyjazdu ukochanego przyjaciela.

Anegdotyczna treść „Zrozpaczonego" małe ma znaczenie. Najwięcej porusza tu styl, wysoki i podniosły ton opowiadania, który tak zaimponował niektórym krytykom, że zaliczyli utwór do arcydzieł. Nazwa, naturalnie, za wysoce przesadną poczytaną być musi, gdy się przyłoży do książki miarę artystyczną; ale w żadnej może ze współczesnych powieści francuskich nie próbowano takiego wzlotu do Absolutu, jak w „Zrozpaczonym".

Od pierwszej do ostatniej stronicy rozbrzmiewa tu wielki okrzyk boleści nieszczęśliwego człowieka, który nigdzie i w niczym nie pojmuje ustępstw i męczy się jak zwierz w klatce, płomieniami otoczonej. Marchenoir należy do istot „nędznie stworzonych dla nieszczęścia, co wyglądają, jakby spędziły dziewięćset lat w żywocie matki". Gdy przestaje złorzeczyć i przeklinać, podobny jest do „nędznej lampy, co się spala przed bolesnym obliczem Chrystusa".

W „Biednej kobiecie" występuje Bloy dwukrotnie: już to pod postacią proroczego Marchenoir'a, już to pod imieniem Leopolda, malarza, zdobiącego manuskrypty, wzorem mnichów średniowiecznych („enlumineur"). Podobnie jak w „Zrozpaczonym", spotykamy w „Biednej kobiecie" idealizację nędzy i cierpienia, które oczyszcza i wznosi do nadziemskich wyżyn. Biedną kobietą nazywa się młoda Klotylda — urjańska perła, co wyrosła cudem we wstrętnym bagnisku moralnym. Kryształowej duszy nie zbrudziła ladacznica matka, ani utrzymywany przez nią brudny i zbrodniczy kochanek. Wydobyta przypadkiem z tej jaskini przez sympatycznego oryginała, malarza Pelopidasa, zyskuje Klotylda raj dobrobytu i szczęścia. Ale brutalny kochanek matki, gdy nie zdołał wyciągnąć z tej zmiany żadnej korzyści, mści się na dobroczyńcy Klotyldy, zadając mu w przystępie gniewu śmiertelną ranę. Wracają dziewczynie ciężkie dni, czeka ją ponowna nędza. Przypadkiem spotyka znanego już dawniej artystę, Leopolda i odnajduje w nim tę wybraną, tę jedyną duszę, o jakiej marzyła. Biorą ślub i znowu Klotylda ma kilka miesięcy szczęścia. Ale takie istoty, jak Leopold i Klotylda, stworzone są do cierpienia i tortury. Czyhają na nich tysiączne troski i upokorzenia. W miasteczku pod Paryżem, gdzie zamieszkali, znęcają się nad niemi okrutni sąsiedzi. Z nędzy wyprowadzić ma nieszczęśliwych książka, nad którą wspólnie pracują dniami i nocami. Wreszcie dzieło skończone i wydrukowane. Leopold poszedł na obiad do wydawcy. Właśnie było to w chwili, kiedy się zapaliła w Paryżu Opera komiczna. Bohaterski Leopold, ocalając ofiary pożaru, sam ginie w płomieniach. Wypadek ten kończy doczesny żywot Klotyldy: jak niegdyś Weronika, zatapia się w modlitwach i jedno ma tylko cierpienie — iż za życia świętą być nie może. Istnienie jej było najpierw „smutną wsią, w której ciągle deszcz pada"; potym zamieniło się na chwilę w raj, ale w raj ziemski, po którym nastąpiły prawdziwie czyśćcowe męki i przekuły jej du-

szę, uczyniły ją zdolną do istnienia wyższego. Cierpienia obdarzyły Klotyldę władzą proroczą: przeczuła w wyraźnej i płomienistej wizji śmierć Leopolda. Życie nauczyło ją, że „kobieta posiada jeden tylko środek styczności z Bogiem, a mianowicie — Nędzę; nie tę nędzę łatwą i interesującą, której daje jałmużnę hipokryzja świata, ale nędzę trudną, buntowniczą i skandaliczną, której należy ulżyć bez nadziei sławy, a która nic nie daje wzamian". Klotylda jest piękną, bo cierpi. Cierpienie stanowi dla Bloy najwznioślejszą rzecz na świecie, a naga dusza biednego człowieka najpiękniejszą z nauk. Otoczenie Marchenoir'a, a potym jego sobowtóra Leopolda nastraja Klotyldę mistycznie i dopiero od tej chwili czyni ją zajmującą dla samego autora. Mistycy są to jasnowidzący ludzkości. „Wszyscy gienjusze, co posiadali moc ciągnięcia za sobą po ścieżkach ziemi stada eunuchów i bezmózgowców, nazwanego rodzajem ludzkim, wszyscy bohaterzy Miecza, Krzyża i Myśli — byli mistykami pod pewnym względem. Mistycyzm stanowił w nich jakby przedłużoną wibrację twórczego „stań się!" odpowiadał wiecznemu pożądaniu majestatu, które buduje sobie samotność w wielkich duszach, jak Faraoni budowali sobie samotność w nieskończonej pustyni".

Bloy jest mistykiem, ale nie z tego gatunku, który w romans duszę swą wkładać potrafi. Gdy patrzy na rzeczy wstrętne (a takiemi są przecież wszystkie niemal dzisiejsze sprawy ludzkie), umie zajmować się tylko sobą, swoim gniewem. Gdy się zwraca do innych ludzi, to albo dlatego, że są częściami jego duszy, albo dla pamfletowej karykatury. Jego „inni ludzie" otwierają usta, aby pokazać duszy swej ohydę; zamykają je „jak drzwi nieczystego miejsca".

W takich warunkach nie może Bloy posiadać wyraźnego kultu dla beletrystyki, chociaż zapewnia, że dałby trzy tysiące kilometrów kolei żelaznej za znośny heksametr. „Literatura,— mówi — dla której nie żyję wyłącznie, wydaje mi się oddawna jakimś narzędziem męczarni doczesnej. Formą zaś specjalną, przejawem umyślnym, gatunkiem zasadniczym mego umartwienia jest Nędza". Zabrał się do literatury, ponieważ dusza, pozostawiona własnej nicości, musi się zadowolić „głupią gimnastyką literacką". Pisarz powinien brać pióro do ręki w stanie „boskiego upojenia, które nie fałszuje i nie sromoci rozumu, ale go unosi jak orzeł królewskie dziecko po przez burzę i pioruny w nieograniczone przestworza!"

V.

Spostrzegł Bloy, że we wszystkich jego utworach najciekawszą, a niekiedy jedynie ciekawą postacią jest sam autor. Zamiast więc układać szczegóły swego życia w powieść, zaczął pisać pamiętniki. Pewną ich część wyodrębnił i ogłosił pod tytułem: „Oskarżam się!" Rzuca się tu ze zwykłą furją na Zolę. Tytuł jest parafrazą sławnego „j'accuse". „Oskarżam się — tłumaczy autor we wstępie — oskarżam się kornie i boleśnie, że 21 stycznia 1899 roku ogłosiłem w Gil Blasie artykuł, w którym sprostytuowałem imię Anteusza na rzecz Emila Zoli, darząc tego niedonoska wielkością, materjalną zresztą. Przeholowałem, tysiąckrotnie przeholowałem, spowiadam się z tego, a szczerym jest żal mój, szczerym. Tym trudniej można mnie usprawiedliwić, że pragnąłem w ten sposób, po raz pierwszy i ostatni, zapobiec krytycznemu położeniu plugawego dziennika. Niechże to nareszcie wypowiem, aby moi szanowni koledzy, co pędzą życie na trotuarze, wiedzieli, do jakiego stopnia jestem do nich podobny". Książka dzieli się na dwie części, odpowiadające treścią rozbiorowi dwu powieści Zoli: część pierwsza „Kretyn pirenejski" omawia „Lourdes"; część druga „Starcze zdziecinienie" rozbiera, w formie codziennych uwag, fejletony pisma „l'Aurore", które pomieszczało podczas procesu Dreyfusa w Rennes powieść „Fécondité". Poniewiera Bloy Zolą za jego metodę pracy, za „grubjański eksperymentalizm Bacona z table d'hote", za jego zgrozę wobec tajemnicy, wieczne karmienie się teorjami atawizmu, dziedziczności i zwyrodnienia, za banalność myśli i stajenny styl. „Czyż było — mówi — kiedykolwiek coś tak niesłychanego, tak niepojętego, tak przygnębiającego? Naród Chateaubrianda, Lamartine'a, Wiktora Hugo, Balzac'a bije czołem przed Emilem Zolą! I nikt się nie oburza, nikt nie napełnia bolesnemi okrzykami ziemi i nieba na widok tej strasznej sromoty!"

Pomimo pozorów pamiętnika, „Oskarżam się" jest więc gorącym pamfletem, w którym tu i owdzie widoczne są nawet urazy osobiste. Rzeczywistą spowiedź znajdujemy w innym zbiorze p. t. „Niewdzięczny żebrak". Od czasu „Confessions" Rousseau nie było w piśmiennictwie wyznań szczerszych i piękniejszą pisanych prozą. Zamierzył Bloy prowadzić życie publiczne, nie zostawiając dla siebie ani jednej myśli, ani jednego stosunku, ani jednej pamiątki, ani jednego listu. „Każdy

pisarz — mówi — winien nosić swe książki na twarzy". Pamiętnik zawiera tylko cztery lata, ale streszcza całą postać. Przekonywa jeszcze raz, do jakiego stopnia Bloy męczy się w niewoli Absolutu, do jakiego stopnia niemożność odczucia współczesnej epoki połamała mu naturę, uczyniła go nieznośnym nietylko dla współkolegów i przyjaciół, ale nawet dla siebie. Pioruny gniewu i obelg, jakie naokoło ciskał, gotowały mu powolną śmierć głodową. Dla utrzymania rodziny począł szukać wsparcia. Nie było nigdy „żebraka" straszniejszego. „Biada temu — woła — kto nie żebrał! Niema nic większego nad żebractwo. Bóg żebrze, Aniołowie żebrzą, Królowie, Prorocy i Święci żebrzą. Wszystko, co blaskiem i chwałą okryte, żebrze. Dla czegóż więc miałbym sobie odmówić zaszczytnej nazwy żebraka, a zwłaszcza — „żebraka niewdzięcznego?" Z chełpliwością, niewolną od cynizmu, opowiada kilka lat swego „żebrania", aby wiedziano „w jaki sposób pokolenie zwyciężonych w roku 1870 umiało traktować dumnego pisarza, co nie chciał się prostytuować".

Pamiętnik zawiera przedewszystkim litanję dni głodu, zastawów w lombardzie, kłopotów z gospodarzem oraz tysiącznych upokorzeń. Nędza Leona Bloy znaną jest we Francji, więc ci i owi nadsyłają mu zasiłki. Wszystkie poddaje surowej kontroli, gnębiąc ofiarodawców jeszcze mocniej niż otwartych wrogów. Równolegle z notatkami o nędzy przesuwają się opisy okoliczności, wśród których „niewdzięczny żebrak" bywał porzucany przez przyjaciół. „Na moim weselu — pisze — miałem przy stole dziesięciu przyjaciół absolutnie pewnych. Wszyscy porzucili mnie ohydnie, z wyjątkiem jednego, który także się odsuwa". Niekiedy cięży mu ta „powszechna nienawiść"; nie rozumie, dla czego nigdy nie otrzymuje „przyjaznego listu" i żali się smutnie: „Istnieją ludzie, którym się zdaje, że mnie lubią, a którzy mnie właśnie nienawidzą". Boleje nad zemstą kolegów po piórze, a zwłaszcza nad tym, iż go pragną zabić milczeniem. A jednocześnie gromadzi z widoczną lubością fakty, świadczące, jakiemi bohaterami są ci, co z nim utrzymać potrafią stosunki. Najdrobniejsze nieporozumienie bywa powodem zerwania, a wczorajszy przyjaciel spada w przepaść ohydy. Gdy pewien recenzent napisał o Bloy studyum, raczej pochlebne niż złośliwe, otrzymał natychmiast obelżywy list, a w nim takie słowa: „Brakuje panu nawet instynktu sprawiedliwości episierskiej, któryby cię, w braku szlachetności, ostrzegł o k r z y w-

dzie materjalnej, jaką mi wyrządzasz swą nieprzyzwoitą reporterją". Pieniądze stanowią podstawową troskę jego codziennego bytu, więc ciągle do nich wraca. Pisząc do jednego z niepewnych przyjaciół, taką głosi teorję: „Niegdyś oburzyłem wieprzów, twierdząc, że jeden jest tylko nieomylny znak dla poznania przyjaciół. Znak ten nazywa się pieniądze. Zdziwisz się pan, gdy ci powiem, co oznacza w moich oczach ten straszliwie symboliczny wyraz. Zadowolnij się na teraz taką lekcją wstępną: Poznaję po tym przyjaciela, że mi daje pieniądze. Jeżeli ich nie ma, niechaj mi ofiaruje widome, gorące, krzyżowe chęci". Naturalnie takich przyjaciół niewielu znaleźć można. W całej książce jedynym jasnym pasmem przewija się opowiadanie o serdecznych stosunkach z Henrykiem de Groux, oryginalnym, a mało znanym malarzem. Unosząc się nad jego pracami, przytacza Bloy wzajemną mistyczną korespondencję, opowiada etapy odczucia się duchowego dwu niezależnych artystów, rozbiera krzywdy, jakie im niesprawiedliwość wyrządza. Henryk de Groux jest jedyną podporą zbolałego „Marchenoir'a". Niekiedy Bloy uraduje się na chwilę, gdy go nazwą np. „najpierwszym prozaikiem Francji" (L. Deschamps), albo też „gienjuszem najklasyczniej łacińskim od trzech wieków" (Kamil Lemonnier). Ale te rzadkie objawy uznania nie pozwolą mu zapomnieć, że go wszyscy unikają, że go wszyscy nienawidzą. Porównano go do Laokoona, który został zduszony i pożarty przez żmije, wyhodowane na własnym łonie. Istotnie Bloy najwięcej i najpracowiciej gotował sobie własne męczarnie. Tyle bólu, tyle walki spełzło na niczym! Na oblężenie grodu filisterstwa wybrał się Bloy z całą armją obelg. Jakaż tragicznie fatalna pomyłka! Głownią potężnego ognia podpalił własne serce, ale czyż zranił kogo z bohaterskich sklepikarzy trzeciej republiki? „Są epoki — mówił Chateaubriand — w których należy oszczędzać pogardę, bo za wiele jest potrzebujących".

Zdala od Francji ginie dziś Bloy w nędzy i w niemym poczuciu bezsilności. Streszczając swój dziwny żywot, napisał dla siebie takie bolesne epitalamium: „Niech ginie nędznik! Nic go nie zbawi, gdyż Bóg chce, aby zginął. Napróżno chciał się uczepić niebios. Odsunęły się drżące gwiazdy. Napróżno wzywał Aniołów i Świętych, napróżno błagał Matkę Bolesną. Cztery Rzeki Raju powróciły do swych źródeł, aby krzyku jego nie słyszeć... Chciałeś coś powiedzieć! Wziąłeś na serjo Sło-

wa i Obietnice, gnębiłeś ludzi, zapominając, że i oni stali się Bogami! Szukałeś Siły, Sprawiedliwości, Potęgi! Szukałeś Miłości! Otóż masz przepaść, oto t w o j a otchłań: nazywa się MILCZENIE... Niezwykły to grób. Brakuje w nim kamiennego łoża, o które mógłby się rozbić strącony tam nieszczęśliwiec. Przeciwnie, rozszerzają się ściany, rozszerza się paszcza, aby upadek był nigdy, nigdy nie skończonym! Niema, niema zgonu, któryby można porównać z taką przepaścią!...

Zginął zapewne na zawsze bluźnierca Motłochu. Tak przypuszczają wszyscy. Kto wie jednakże? Głębie posiadają niekiedy dziwne niespodzianki. Bo któż z Motłochu, z pośród zadowolonego i hulaszczego Motłochu zapewni, czy ten B i e d a k nie zjawi się pewnego dnia na powierzchni mroków, trzymając w dłoni wspaniały, mistyczny kwiat — kwiat Milczenia, kwiat Przepaści?"

Jan Lorentowicz.

Ślady powodzi u nas w historji, archeologji, języku, przysłowiach, podaniach, piśmiennictwie i sztuce.

Nie o śladach powodzi, pozostawionych przez nie w okolicach, klęską tą dotkniętych, nie o tak opłakanych skutkach jej materjalnych mamy tu zamiar pomówić, jakby z tytułu domyślać się można; przyrodnikom i ekonomistom pozostawiamy rozstrzygnienie tych niezmiernie ważnych zagadnień. Nam chodzi tutaj o zadanie o wiele skromniejsze: pragnęlibyśmy wykazać, w jaki sposób upamiętniły się u nas wylewy rzek w pomnikach i zabytkach archeologicznych, w literaturze pięknej i wogóle w piśmiennictwie, oraz w sztuce. Niech przyrodnicy i inżynierowie wyświetlą przyczyny i działania tych stale powtarzających się potopów, niech obmyślą środki techniczne do ich usunięcia i zapobieżenia klęskom; niech ekonomiści nasi pomyślą nad sposobami zniweczenia fatalnych następstw wylewów dla ludności nad brzegami rzek mieszkającej, niech historycy z zawodu zbiorą i przedstawią w sposób należyty dzieje powodzi. W zadania pierwszych i drugich nie wkraczamy; z powtarzających się zaś tak często wezbrań rzek w kraju naszym przytoczymy ważniejsze daty ze źródeł, które mamy pod ręką, nie wdając się w szczegóły; wspomnimy o znanych nam pomnikach, dotyczących powodzi, przytoczymy wyrazy, oznaczające powódź, nadmienimy o przysłowiach i podaniach, mających

powodzie za przedmiot, wreszcie wymienimy szereg utworów z literatury pięknej, na tle powodzi osnutych, oraz prac, wogóle do piśmiennictwa popularnego i naukowego należących i z powodu tej klęski napisanych, nakoniec wspomnimy o przedstawianiu powodzi w obrazach i rysunkach. Zastrzec się musi piszący te wyrazy, że przedmiotu bynajmniej nie wyczerpał i zebrał tu tylko to, co bez szczególnych poszukiwań do omawianej tu sprawy zgromadzić mu się dało. Ponieważ obecnie i z powodu szerzącej się nędzy, jako bezpośredniego wyniku powodzi lipcowej, często o niej mówimy, ponieważ obmyślane są środki pomocy powodzianom, a zacne serca literatów naszych biorą czynny udział w tej pracy z Sienkiewiczem na czele, przeto nie od rzeczy może będzie przypomnieć czytelnikom naszym to, co niżej powiemy.

Już na pierwszych kartach najdawniejszych kronik naszych znajdujemy wzmianki o wezbraniach wód rzek naszych; wzmianki te są częste, a nie ulega wątpliwości, że tylko ważniejsze i cięższe powodzie uwiecznione w nich zostały, gdyż i pisano wtedy mało, i wiele kronik średniowiecznych zaginęło. Charakter powodzi przed laty kilkuset nie taki był, jak obecnie; częściowe takie i perjodyczne potopy przybierały rozmiary nadzwyczaj wielkie. Oto co pisze K. Szajnocha w dziele „Jadwiga i Jagiełło", opisując przyrodę Polski w wieku XIV-ym, mówiąc o obfitości wód w rzekach, z pomiędzy których znacznie więcej niż dziś było spławnych, i o nadzwyczaj szerokich wylewach: „Po dłuższych deszczach stawały całe krainy pod wodami. Naówczas wpoprzek gościńców, po niwach, snuły się liczne łodzie, jakby po morzu. Zatopione żniwo wynagradzał sobie rolnik połowem ryb na łanie. Tylko największe wzgórza sterczały ocalonemi stogami zbioru. Według znanego przysłowia „woda bierze, woda daje", przenosiła fala wylewów niekiedy całe gmachy drewniane z jednego miejsca na drugie. Takim sposobem miał stary modrzewiowy kościołek na górze pod Tarnowem nadpłynąć z jakiejś nieznanej strony i zatrzymać się na grzbiecie swej dzisiejszej posady. Gdy powódź opadła, okazywały się w miejscu łąk dawnych utworzone przez nią jeziora; w miejscu zagonów — rzeki. Takim wylewom przypisywano powstanie Dunajca, Raby i Skawy. W zimie, podczas łamania się lodów, płynęły po jeziorach i rzekach kolosalne stosy kry, wspięte jedne na drugie, nibyto skały kryształowe, tysiącem promieni w rozmaitych kolorach lśniące.

Zawadziwszy o miasto w drodze, piętrzyły się one do wysokości baszt miejskich i uderzały szturmem zniszczenia w mury. Gdzieindziej, zwłaszcza w lecie, oczekiwano powodzi, jak błogosławieństwa, a rok, w którym „Nil wielkopolski" (Noteć) nie wylał, miano za niepomyślny". („Dzieła Karola Szajnochy" t. IV (Warszawa, 1876) str. 302—303). O wspomnianym tu przez Szajnochę kościołku „Słownik gieograficzny" t. XII, str. 198, powiada, co następuje: „Kościołek św. Ducha drewniany i ubogi jest może najstarszym (z kościołów w Tarnowie). Zbudowany z tramów modrzewiowych nadzwyczajnej grubości, według legiendy, miał z wodą przypłynąć".

W „Historji" Długosza wspomniane są pod następującemi latami powodzie, które nawiedziły Polskę w wiekach średnich (por. „Wyciągi z dziejów polskich Długosza, dotyczące fizjografji dawnej Polski" p. Zygmunta Glogera, Warszawa, 1888, odbitka z Pamiętnika fizjograficznego", t. VIII): W r. 988 były liczne i długo trwające wód wylewy, w r. 1118 ciągłe ulewy i powodzie nietylko w Polsce, ale i w okolicznych krajach wielkie poczyniły szkody, obawiano się nawet powtórnego potopu; toż samo zdarzyło się w r. 1221. W r. 1235 wskutek słot i zalewów nastał głód wielki. Pod r. 1253 Długosz wspomina taką powódź, jakiej nigdy jeszcze w Polsce nie widziano. W lipcu i sierpniu 1270 była wielka klęska powodzi, szczególnie Wisła dała się we znaki Krakowowi. Wielką tę powódź rzek Wisły, Raby i Dunajca, która się rozpoczęła d. 21 lipca i trwała 15 dni, opisują dokładniej roczniki Trzaski i Kapitulny (p. „Monumenta Poloniae historica", t. II, str. 813 i 841). W. r. 1310 była powódź nietylko w Polsce, ale w całej prawie Europie. Dnia 15 sierpnia 1368 zdarzył się w Polsce nadzwyczajny wylew rzek. W r. 1414 Wisła bardzo wezbrała. O wielkich powodziach czytamy dalej pod r. 1451, 1456, 1457, 1459, 1468 i 1475. Tę ostatnią i szkody, jakie zrządziła w Krakowie i okolicy, dokładniej opisuje Długosz, gdyż na nią patrzył. Długi szereg dat o wylewach Wisły w Warszawie i jej okolicach od r. 1475 do 1845 znajdujemy w wybornym dziele F. M. Sobieszczańskiego p. n. „Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu miasta Warszawy od najdawniejszych czasów aż do 1847 roku" (Warszawa, 1848). Oto ich wykaz: 1475, 1593, 1635 w czerwcu, 1647, 1724 w lipcu, 1751 w lutym, 1774 w lipcu, 1782 w marcu, 1799, 1800,

1806, 1808 (wszystkie 4 w kwietniu), 1813 w sierpniu, 1838, 1839 1844, 1845.

Do długiego szeregu tych dat dodać możemy jeszcze następne o wylewach Wisły z innych źródeł zaczerpnięte: w latach 1570, 1584 i 1719 były powodzie wiosenne w Toruniu (p. niżej), w r. 1671 w Krakowie (p. niżej), d. 9 lipca 1697 w Warszawie, 1731 d. 31 marca, 1736 d. 25 lipca, w d. 12 stycznia 1782 w okolicach Stężycy (woda wezbrała do 12 łokci cali 18 i zatopiła 36 wsi i 6 miasteczek), 1785 w lutym w Świerzach, 1787 w Solcu, 1809 pod Magnuszowem, 1833 w Wilkowie. Następne wylewy dotknęły kraj nasz w latach 1854, 1860, 1867, 1879, 1884 i ostatni w r. 1903. (Por. dwa artykuły, łaskawie mi w odpisie udzielone przez p. B. Hillera, w „Gazecie Warszawskiej" 1813 r. w dodatku do Nr. 80 z d. 26 października, str. 1229—1231 o powodziach w końcu w. XVIII-go, w r. 1813 i ich przyczynach, i w dodatku do Nr. 89 tejże „Gazety" z d. 6 listopada 1813, str. 1273 artykuł Magiera, zawierający kilkanaście dat powodzi. Przytoczyć możemy jeszcze artykuły: „Powodzie ongi" przez H. S. w „Kurjerze Warszawskim" Nr. 195 z d. 17 lipca 1903 r., K. W. Wójcickiego „Powódź wiślana" w „Kłosach" 1867 t. V str. 73, „Z dziejów powodzi" w „Tyg. ilustr." 1903 r. Nr. 31 str. 607—8 przez J. O.; podano tu daty powodzi w Warszawie i rozmiary klęski oraz strat, przez nią spowodowanych). Bliższe szczegóły o rozmiarach powodzi w wieku XIX-ym łatwo może odnaleźć ciekawy czytelnik w czasopismach, które wypadki tego rodzaju zawsze skrzętnie i, o ile można, dokładnie notowały. Niżej podamy tytuły dzieł różnych, wywołanych wezbraniami rzek, tu nadmieniamy, że w pamiętnikach, drukiem ogłoszonych, znaleźć można opisy powodzi, np. Albrecht Radziwiłł opisuje w swym pamiętniku powódź w Warszawie w d. 13 czerwca 1635 roku, kiedy to na Pradze tylko dachy domów było widać. Kajetan Koźmian w „Pamiętnikach" oddział II (Poznań, 1858) str. 415—421 skreślił całą grozę powodzi w r. 1813 w okolicach Dzikowa w Galicji.

W celu upamiętnienia wylewów rzek, a tym sposobem ostrzeżenia potomków, aby przedsiębrali środki żaradcze przeciw powodziom, jako to budowę wałów ochronnych, regulację rzek i t. p., zdawien dawna już oznaczano wysokość wody podczas wylewów bądź to na słupach, zwanych wodoskazami, bądź na pomnikach, umyślnie w tym celu wznoszonych, bądź wresz-

cie, i to najczęściej na budynkach, które były przez powódź nawiedzone; w tym celu często wmurowywano tablice, na których oznaczano rok i dzień wezbrania rzeki oraz wysokość wody. W wieku XIX pourządzano w wielu miejscach na Wiśle wodoskazy; urządzenie ich, czas zaprowadzenia, wykaz miejsc, w których się znajdują, i inne szczegóły, wodoskazów dotyczące, opisuje Wilhelm Kolberg w części II-iej (pierwszej nie wydał) cennego dzieła: „Wisła, jej bieg, własności i spławność", wydanego w Warszawie w r. 1861.

Przytaczamy z różnych źródeł wykaz znanych nam tego rodzaju tablic i napisów pamiątkowych.

Najdawniejszym zabytkiem tego rodzaju, o ile nam wiadomo, jest tablica, wmurowana w bramie dawniejszego mostu z napisami, oznaczającemi powodzie w latach 1570 w d. 18 lutego, 1584 w d. 17 lutego i 1719 w d. 16 marca w Toruniu (p. Kolberg „Wisła", str. 254).

Najdawniejszy zaś pomnik powodzi znajduje się w Krakowie przy ul. Dietlowskiej w murze domu pod liczbą 34; w narożniku tylnym ogrodu Tow. Dobroczynności stoi nizki słup kamienny, cylindryczny, z grubsza ociosany, częściowo obmurowany cegłami. Na górnej jego płaszczyźnie jest ślad kompasu, z przodu zaś dwie wyryte daty 1671, a nad nią 1813, niewyraźne. Są to daty dwóch wielkich wylewów Wisły. Z rodzaju pisma przypuszczać można, że obie są współczesne powodziom, o których świadczyć mają. Na jednej tabliczce, wmurowanej obok wieży zegarowej przed bramą wjazdową do dziedzińca klasztoru PP. Norbertanek na Półwsiu Zwierzynieckim w Krakowie, uwiecznione są 3 daty wylewów wiślanych temi słowy: „Dla wiadomości: Roku 1593 w miesiącu lipcu i w roku 1697 w miesiącu sierpniu wylew wody był większy o 20 cali nad wylew dnia 26 sierpnia roku 1813 zdarzony pomnikiem poniżej położonym opisany". Pod nią zaś inna tabliczka, umieszczona o 2 metry nad poziomem bruku i świadcząca, że do tego punktu doszedł wylew d. 26 sierpnia 1813 roku. Jeszcze kilka razy oznaczono w Krakowie wylew w r. 1813, a mianowicie: na szkole w Półwsiu Zwierzynieckim przy samym klasztorze; w głębi ogrodu ks. Misjonarzy na domku ogrodnika przy ul. Stradomskiej nr. 6; przy placu Groble na rogu ulicy „Nad Wisłą" na domu numerem 1-ym oznaczonym, przy ul. Zwierzynieckiej Nr. 47 na koszarach artylerji; przy ul. Koletek Nr. 5 w ścianie frontowej domu tablica z napisem ła-

cińskim, wspominająca o pomniku z r. 1671 przy ul. Dietlowskiej stojącym; napis świadczy, w jakim celu położył go ówczesny właściciel domu ks. Mateusz Dubiecki: „ut modernis damnis edocti plus Posteri sapiant" — t. j. aby otomkowie, nauczeni obecnemi klęskami, oględniejsi byli; na domu przy ul. Rybaki pod liczbą 2, przy ul. Krupniczej pod l. 21 zaginęła niedawno (p. d-ra Stanisława Tomkowicza „Napisy domów krakowskich" w t. I-ym „Teki Konserwatorów Galicji Zachodniej", Kraków, 1900, str. 37—38, 43, 47, 51, 325). Najnowsze napisy, świadczące o wysokości wody podczas dwóch ostatnich powodzi w Krakowie, znajdują się przy ul. Wolskiej na domu Sokoła, na którym oznaczono punkty, do jakich woda doszła w r. 1898 i 1903.

W Gołębiu w gub. Lubelskiej w odległości półtorej wiorsty od Wisły na kaplicy loretańskiej, znajdującej się w południowej stronie kościoła, na wysokości 71 centymetrów od powierzchni cmentarza przykościelnego, wzniesionego przynajmniej na 2 łokcie nad drogą, umieszczono napis: „Wysokość wody w roku 1808". Dziś wylew Wisły tak daleko dojść nie może, gdyż wstrzymuje go wał, usypany za ks. Paskiewicza, gdy otrzymał przyległy Dęblin. W Wilkowie nad Wisłą w tejże gubernji na cmentarzu kościelnym na słupie kamiennym z drewnianym posągiem św. Florjana są dwie rysy czarną farbą zrobione, jedna na 1 m. 9 dec. od ziemi z datą 1813, druga niżej na 1,73 m. z napisem 1833. Na odwrotnej stronie słupa napis „F. Śpiewak" upamiętnia według tradycji miejscowej nazwisko tego, który wysokość wody oznaczył. Podobne znaki mają się znajdować na kościele w Oleksowie w pow. Kozienickim gub. Radomskiej.

Na jednym ze śpichrzów starożytnych pod Kazimierzem Dolnym nad Wisłą przy szosie, prowadzącej z Włostowic do tego miasteczka, są ślady napisu na wysokości 7-iu łokci od ziemi. Napis ten, świadczą starzy ludzie, położył mieszczanin kazimierski Tomasz Karkosiński na pamiątkę wylewu Wisły w r. 1848 około połowy stycznia, gdy woda wezbrana zalała trakt, a lody wyparła na śpichrz do oznaczonej wysokości. Wówczas to Karkosiński wszedł na lodowiec i położył napis. (Trzy powyższe wiadomości o napisach w Gołębiu, Wilkowie i Kazimierzu zaczerpnąłem z łaskawie nadesłanego mi listu przez księdza Karola Dębińskiego, dziekana z Włostowic). Co do Wilkowa nadmienić należy, że w kościele tamtejszym moż-

na odnaleźć ślady powodzi w postaci mułu, zachowanego na księgach kościelnych. Obecnie powódź tak daleko już nie sięga, dzięki temu, że w połowie XIX stulecia Powiśle obwałowano. (Szczegóły udzielone mi łaskawie przez p. Henryka Wiercieńskiego z Nałęczowa).

W ogrodzie we wsi Żabcu nad Wisłą w powiecie Stopnickim jest słup kamienny rzeźbiony, na którym dawniej podobno znajdowała się figura Matki Boskiej; na pomniku tym wycięty jest znak głęboki poprzeczny, wskazujący, do jakiego punktu doszła woda w r. 1813. Czy kolumna ta wyłącznie w celu upamiętnienia powodzi r. 1813 wzniesiona została, czy też na istniejącej już przedtym figurze nabożnej wyryto datę powodzi, z wskazówek, udzielonych nam łaskawie listownie przez pp. Józefa Lipińskiego ze Strzałkowa pod Stopnicą i Gumińskiego z Żabca, wywnioskować nie możemy; zdaje się jednak, że była to figura nabożna.

Mieszkańcy Warszawy, interesujący się dawnemi zabytkami, spotykali zapewne w dzielnicach nadbrzeżnych tablice i napisy, o których słów parę powiemy.

Po wielkim wylewie Wisły w r. 1839 przygotowano w r. 1840 tablice żelazne dla oznaczenia najwyższego stanu wody w latach 1813 i 1839. Pamiątkowe te tablice podług wynalezionych znaków osadzono w następujących miejscach: 1) W murze ogrodu PP. Sakramentek przy ulicy Rybaki; 2) na pakhauzie murowanym komory wodnej poniżej zamku n^0 2595; 3) na łazienkach Bansemera przy ul. Marjensztad n^0 2624; 4) przy wodociągu murowanym łazienek Majewskiego przy ul. Bednarskiej n^0 2683 (była tam już w r. 1813 z polecenia magistratu wmurowana tablica marmurowa, w r. 1840 wyjęto ją i zastąpiono żelazną); 5) na dawnej kuźni wprost ul. Leszczyńskiej, przeniesiona później na dom n^0 2791 przy tejże ulicy; 6) na śpichrzu Janasza n^0 2951 przy początku nadbrzeża kamiennego; 7) na domu Roszkowskiego przy ul. Solec n^0 2921, 8) na pralni wojskowej przy ul. Czerniakowskiej n^0 3024; 9) na domu rządowym z filarami n^0 414 przy moście na Pradze; 10) na domu Zbrodowskiej n^0 217 przy ul. Ząbkowskiej na Pradze. Napis na tablicach brzmiał: „Najwyższy stan wody d. 29 sierpnia 1813 roku 21 stóp, d. 28 sierpnia 1839 roku". Po powodzi r. 1844 w tych samych miejscach osadzono tablice również żelazne znaczenie węższe z napisem „d. 26 lipca 1844 roku 22 stóp 9 cali" (dwie), 22 stóp 3 cale (pięć) i 22 stóp cal 1 (trzy).

(P. Kolberg „Wisła" cz. II, str. 29—34 z podobizną tablic na rysunku). Niektóre z tych tablic dotąd się dochowały; co się stało z innemi, niech odpowiedzą ci, którzy, mieszkając w Warszawie, mogą się zająć ich odszukaniem. Piszącemu te wyrazy wiadomo, że istnieją w następujących miejscach:

Na ulicę Rybaki wychodzi brama klasztoru PP. Sakramentek, oznaczona Nr. 17; w murze obok niej są wmurowane dwie tablice żelazne: mniejsza u góry z napisem: „d. 26 lipca 22 stóp 3 cale 1844", większa pod nią: „Najwyższy stan wody d. 29 sierpnia 21 stóp 1813," „d. 28 sierpnia 1839".

Przy sposobności zaznaczamy, że i bramka klasztorna, obok której umieszczono tablice pamiątkowe, godna jest uwagi: nad nią na murze wznosi się krzyż żelazny, wykonany piękną robotą kowalską, pod okapem zaś bramowym jest tablica kamienna z wyrzniętym napisem „Ulica Rybaki"; podobne tablice już gdzie niegdzie tylko w starej części Warszawy spotykać się dają. Słyszeliśmy, że brama i parkan klasztorny przeznaczone są do zburzenia w celu rozszerzenia ulicy.

Zupełnie takież same dwie tablice żelazne, jak na Rybakach, umieszczone są na domu Nr. 4 przy ulicy Marjensztad wprost przystani Towarzystwa Wioślarskiego. Dom ten zachował dotąd, co już rzadkością jest w Warszawie, styl i ozdoby z czasów Cesarstwa, gdyż zbudowany był za Księstwa Warszawskiego. (Powyższe wiadomości, dwa zdjęcia fotograficzne z ul. Rybaki i własnoręczny rysunek domu na Marjensztadzie otrzymałem od p. Józefa Smolińskiego, któremu tutaj wdzięczność wyrażam).

Wreszcie zachowały się tablice żelazne na Pradze przy moście na domu, wymienionym w powyższym spisie.

Na Saskiej Kępie przy kolonji zwanej „Pod dębem", przed domem stoi na wzgórzu, rzeczywiście, wspaniały dąb; na nim umieszczone były tabliczki metalowe, zaznaczające wysokość wody, poczynając od roku 1813. Mieszkańcy nadrzeczni, narażeni na częste klęski, spowodowane wylewami, oznaczają niekiedy na drzewach tabliczkami wysokość wezbrania; chcąc jednak uniknąć zniszczenia lub zdjęcia tabliczek przez szkodników, umieszczają je znacznie wyżej, stąd wiary dawać im nie należy. Wyzyskał tę okoliczność w jednym z humorystycznych szkiców swoich Franciszek Kostrzewski. (Wiadomości łaskawie mi udzielone przez p. Władysława Nowickiego).

W. Kolberg w przytoczonym tu dziele wspomina nadto o napisach, upamiętniających powodzie w następujących jeszcze miejscach: z r. 1813 na śpichrzach we wsi Motkowicach i Budziskach w okolicy Nowego Miasta Korczyna, w nizinie Sandomierskiej w Tursku na domu pisarza solnego, na budynkach w Oblekoniu, na figurze murowanej przed kościołem w Skotnikach, w Galicji na śpichrzu we wsi Ujście Jezuickie (p. str. 13—14). Na kościołku św. Stanisława pod Solcem na lewym brzegu Wisły były znaki z lat 1774, 1787, 1813, 1839 i napisy: „Póty była woda roku 1774 in Solio" i „Trzecia powódź 1787" (str. 18). Na t. zw. domku pustelnika w ogrodzie w Puławach były oznaczone lata powodzi 1800, 1813, 1837, 1839 i 1844 (str. 19—22). W Kazimierzu na jednym ze śpichrzów były ślady powodzi z lat 1813 i 1839 (str. 25).

Niejako za pomnik powodzi uważać można kaplicę w Polanówce nad Wisłą przy gościńcu z Kazimierza do Wilkowa. Gdy kościół parafjalny w Wilkowie, odległy tylko o wiorstę drogi od Wisły, bywał zalewany przez wodę, wystawiono kaplicę w Dobrem, wiosce, znajdującej się znacznie wyżej od Wilkowa i dalej od Wisły. Po zrujnowaniu jej w r. 1743 wzniosła Marjanna z Polanowskich Łabęcka piękną kapliczkę z kolumnadą koryncką; w kapliczce tej w wypadkach powodzi odbywają się nabożeństwa (p. art. „Kaplica w Polanówce" ks. Karola Dębińskiego w Gaz. Lubel. 1903, Nr. gwiazdkowy).

Zjawisko przyrodnicze wylewów rzek pozostawiło swe ślady i w języku i w przysłowiach i w podaniach ludowych. Nie mamy potrzeby objaśniać czytelnikom naszym wyrazów blizkoznacznych: potop, powódź, wylew, zalew, rozlew, wezbranie, bo każdy z nas dobrze rozumie ich znaczenie i różnice. Nadmienimy, że wyraz powódź używa się i przenośnie, np. powódź łez, powódź słów, powódź smutku. Oto kilka przykładów z dawnej polszczyzny: „Świeca niezbożników zgaśnie i przyjdzie na nie powódź", czytamy u Wujka. Skarga powiada: „Ta powódź, którą nam dziś Pan Bóg grozi, wszystko zaleje". A oto dwa napuszone tytuły mów pogrzebowych z okresu panegirycznego (powódź w obu stosuje się do łez):

„Powódź Oyczystey Łodzi w rzewliwey łez nawałności Krystyny z Czarnce Molskiey przy ostatniey usłudze wielkiey nadziei jedynego Jeymości syna JMP. Józefa z Smarzewa Zaleskiego spół-żałosnym piórem od Kollegium Kaliskiego Soc. Jesu opisana A. D. 1690" Fol. str. niel. 29.

„Złota łez powódź nad przedswietne Erydanu brzegi JW. Antoniny z Zahorowskich Zamoyskiey przy martwym oceanie JW. Tomasza Józefa Zamoyskiego Ordynata piątego dożywotniego przyjaciela swego", w Lublinie Koll. Soc. Jesu 1726, folio str. niel. 36.

Wyraz powodzianin, oznaczający tego, który ucierpiał wskutek klęski powodzi, dość niedawnym jest wytworem: po raz pierwszy zaczęto go używać w Warszawie podobno w r. 1867, jak świadczy notatka, którą znaleźliśmy w materjałach słownikowych ś. p. Jana Karłowicza. W mowie ludu powódź, skutkiem deszczów powstałą, nazywają niekiedy upustem, powódź Wiślaną — tatrówką, gdyż od Tatr do nas przychodzi. Straty, skutkiem powodzi poniesione, i rzeczy zatopione mianują utopłością. (Wyrazy te słyszeliśmy w okolicach Kazimierza Dolnego nad Wisłą).

W okolicach Bochni, jak wiemy od prof. Jana Czubka, utopkiem nazywają powodzianina, t. j. człowieka, który zniszczony został przez powódź, oraz grunt zatopiony i stratę skutkiem tego poniesioną.

Co do czasu, w którym letnie powodzie przypadają, lud nasz rozróżnia świętojankę, zdarzającą się około 24 czerwca, i jakóbówkę o miesiąc później (św. Jakóba d. 25 lipca). O świętojance, robiącej wielkie szkody mieszkańcom nadbrzeżnym, takie u ludu istnieją przysłowia: „Świętojanki kiedy padną, zboża w równiach się pokładną", „Czasem bywa Świętojanka Wisła brzegom swym tyranka" lub „Czasem Świętojanki są brzegom tyranki". Znane są przysłowia o Wiśle i jej kaprysach: „Wisła (lub woda) jednemu bierze, drugiemu daje" z różnemi odmiankami, „Gdyby Wisła nie topiła, toby Nadwiślanka we złocie chodziła". Że mieszkańcy nadwodni na klęskę narażeni być mogą łatwo, przysłowie ostrzega: „Kto mieszka blizko wody, przygotuj się na szkody" (p. S. Adalberga „Księga przysłów, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych polskich", Warszawa, 1894).

Baśni i podania ludowe prawią o potopie, o zalanych wodą miastach i wsiach za grzechy ich mieszkańców, o płanetnikach, powodujących ulewy i wynikające skutkiem ich powodzie. Wszystkie prawie ludy przechowały podania o potopie. Zebraniem i objaśnieniem ich zajmował się znakomity etnolog niemiecki Andree w dziele „Die Flutsagen" (Brunświk, 1891). Lud nasz wierzy, że powódź mogą sprowadzić płanetnicy i cza-

rownicy. Gdy w r. 1813 wielkie powodzie panowały w Tatrach, przesądni Górale przypisywali je czarom uczonego Wahlenberga, który wtedy badał Tatry, a pomiędzy innemi mierzył temperaturę wód rzecznych. „Tkwił nawet przesąd, że znajdują się czarowniki, co umieją zaklinać wodę i tym sposobem zrządzać rzek wylewy". (Patrz L. Zejsznera „Pieśni ludu Padhalan", 1845, str. 23).

Nadzwyczaj częste u ludu naszego i innych podania o zalaniu przez wodę miast, wsi, kościołów, pałaców przypisywane są grzechom ludzkim (por. opowiadanie biblijne o Sodomie i Gomorze) i niejednokrotnie służyły poetom romantycznym za wątki do ballad; dość wspomnieć tutaj „Świteź" Mickiewicza. I nowsi poeci z podań tej treści korzystają; ich echa, nad Gopłem zasłyszane, odbiły się w rzeczy St. Przybyszewskiego o Kasprowiczu p. n. „Z gleby kujawskiej".

Nie powtarzając szczegółów z tych podań, któreby zanadto artykuł nasz rozszerzyły, przytoczymy łaskawie nadesłane nam listownie podanie góralskie ze Szczawnicy, zapisane przez ks. Adolfa Pleszczyńskiego, któremu tu żywą wdzięczność wyrażamy: „Będąc w Szczawnicy", pisze czcigodny ks. P. „słyszałem od górali legiendę o Grajcarku, potoku przepływającym przez Szczawnicę, a malującą potęgę powodzi. Otóż opowiadają, że przez ów potok, który inną miał nazwę, przechodziło z grajcarem (t. j. krajcarem — monetą drobną) w ręku dziewczę, aby kupić po drugiej stronie chleba dla chorej matki. Wtym dziewczę usłyszało gwałtowny szum potoku wzbierającego i przerażone upuściło grajcar w wodę. Chwilka stracona na ratowanie tonącego grajcara wystarczyła, aby straszny żywioł uniósł i zatopił dziewczynę. Stąd nazywają potok Grajcarkiem". Rozumie się, że rzeczka ta, zwana inaczej Ruskim potokiem, otrzymała swoją nazwę raczej wskutek krętej swej postaci; naiwna zaś fantazja ludowa, zapomniawszy o powodzie właściwym nazwy, dorobiła później takie rzewne podanie, gdyż wypadki zatonięcia dzieci w nurtach potoków górskich nieraz się trafiają. Podanie o kościołku starożytnym pod Tarnowem przytoczyliśmy wyżej z dzieła Szajnochy „Jadwiga i Jagiełło".

Za patrona, chroniącego od powodzi, uważany jest św. Krzysztof, co to ludzi przez rzekę głęboką przenosił; to też w okolicach nadrzecznych spotkać się można po kościołach z wizerunkami tego świętego; w Kazimierzu nad Wisłą na przepięk-

nej kamienicy Przybyłów w rynku olbrzymia postać Krzysztofa w płaskorzeźbie jest wyobrażona, a herb Wilna przedstawia św. Krzysztofa.

Przechodząc do rozpatrzenia powodzi w literaturze pięknej i piśmiennictwie wogóle, zaznaczamy naprzód, że od czasów opisu potopu w księdze I-ej „Przemian" Owidjusza i Horacego, który w odzie II-ej księgi pierwszej, poczynającej się od słów „Jam satis terris nivis atque dirae Grandinis misit Pater", przedstawił grozę wezbrania Tybru i obawę nowego potopu, możnaby w literaturach wszystkich narodów cywilizowanych wymienić nie małą liczbę utworów, napisanych z przyczyny powodzi lub na jej tle osnutych. Tutaj wspomnimy te tylko, które w naszym piśmiennictwie znajdujemy. Opuszczając wzmianki kronikarskie, wyżej zaznaczone, spotykamy się z utworem najznakomitszego mistrza poezji naszej wieku XVI-go. Mówimy o Janie Kochanowskim i jego „Pieśni o potopie", do której napisania powodem był wylew Wisły i Wilji. Treścią jest opis potopu biblijnego, w układzie znać wpływ Horacego i biblji. Początek pieśni tej brzmi:

„Przeciwne chmury słońce nam zakryły
I niepogodne deszcze pobudziły,
Woda z gór szumi, a pieni się Wisła,
Już z brzegów wyszła."

Zanim pieśń ta weszła do ogólnego zbioru pieśni, jako pierwsza ksiąg wtórych, była wydawana oddzielnie dwa razy, jak przypuszczają w latach 1558 i 1561; należy więc do wcześniejszych utworów Jana z Czarnolasu. W wydaniu pieśni z r. 1585 znajdują się dość znaczne różnice z wydaniami poprzedniemi, np. 3 i 4-y wiersze zwrotki tu przytoczonej brzmią:

„Wody z gór szumią, a pienista Wilna
Już brzegom silna".

Należy więc sądzić, że powodem napisania pieśni był wylew Wisły, a przed trzecim jej wydaniem wydarzyło się wezbranie Wilji, stąd nastąpiła zmiana w redakcji pierwszej zwrotki. Bronisław Chlebowski w artykule p. n. „Z dziejów poezji polskiej", ogłoszonym w „Na pomoc! wydawnictwie zbiorowym na korzyść powodzian", 1884, str. 3, uważa „Pieśń o potopie" „jeżeli nie za najpierwszą, to niewątpliwie jedną z najpierwszych pieśni" J. Kochanowskiego i przypuszcza na podstawie wzmian-

ki Bielskiego pod r. 1551 o drożyznie i głodzie w Polsce i Litwie, że były one spowodowane powodzią roku poprzedniego 1550, i że do tego czasu odnieść należy utwór Kochanowskiego. Bądź co bądź, pieśń ta niewątpliwie do pierwszych utworów wielkiego naszego humanisty należy i wypadkiem powodzi została spowodowana oraz wskutek powtarzających się wylewów wód rzecznych wydano ją powtórnie i po raz trzeci. Zadowolenie swe z ujarzmienia burzliwej Wisły wyrażał Kochanowski kilkakrotnie we „Fraszkach", z których jedna brzmi tak:

„Na most Warszawski.

Nieubłagana Wisło, próżno wstrząsasz rogi,
Próżno brzegom gwałt czynisz i hamujesz drogi.
Nalazł fortel król August, jako cię miał pożyć,
A ty musisz tę swoję dobrą myśl położyć:
Bo krom wioseł, krom prómów już dziś suchą nogą
Twój grzbiet nieujeżdżony wszyscy deptać mogą."

Most pierwszy stały na Wiśle zaczął stawiać Zygmunt August d. 25 czerwca 1568, ukończyła budowę Anna Jagiellonka na d. 5 kwietnia 1573 r. Most ten zniszczyła powódź w r. 1603. Oprócz tej fraszki są jeszcze dwie inne polskie (wyd. pomnikowe, t. II, 398—9) o moście i jeden epigramat łaciński w „Foricoenia".

W pół wieku po „Pieśni o potopie" poeta znacznie mniejszej miary — Stanisław Grochowski wydał „Żałosną Kamenę na powódź gwałtowną w roku P. 1605", (w wyd. Turowskiego „Wierszy" ks. S. Grochowskiego, t. I, str. 214—228).

Tak ją zaczyna:

„Jeszcze się smutne łzy z oczu nie starły,
Oto się znowu już drugie otwarły,
Nowe nas znowu naśladują troski,
Nowy gniew boski."

(„Łzy smutne", wspomniane w wierszu pierwszym, — to elegja tegoż autora na śmierć Jana Zamojskiego, który zszedł z tego świata d. 3 czerwca 1605 r.). Że opisuje tu poeta wylew Wisły i innych rzek naszych, mamy dowód w zwrotce 9-ej:

„Rzeki wokoło i pienista Wisła
Na szkodę ludzką z brzegów swoich wyszła;
Szerzy się plaga od Boga posłana,
Dawno słychana".

W „Żałosnej Kamenie" autor kreśli wierny obraz zgubnej w kraju naszym powodzi, a nadto w drugiej połowie swego utworu pisze morały i satyrę na ten temat, że „Schorzało tego państwa wszystkie ciało". O wartości „Kameny" cenne uwagi krytyczne podał Adam Bełcikowski w książce „Ks. Stanisława Grochowskiego żywot i pisma" (Lwów i Warszawa, 1892, str. 218—224). Wylew Wisły w r. 1605 w krakowie opisał ks. Wielewicki w „Dzienniku kolegjum Jezuickiego w Krakowie" (p. Scriptores rerum polonicarum", t. X, str. 96).

Znalazłyby się w literaturze naszej XVII i XVIII-go wieku zapewne utwory o powodziach w języku polskim i łacińskim pisane. My wspomnieć możemy tylko o dwuch jeszcze: jednym w języku łacińskim Mikołaja Ossolińskiego „Ode in memorabile Vistulae diluvium". Cracoviae 1621 (u Jędrzejowczyka ark. 1). Juszyński w „Dykcjonarzu poetów polskich" zaświadcza, że Ossoliński pamiętny ten wylew dobrze opisał. Polski zaś utwór wspomina o powodzi w r. 1627: W zbiorku wierszy Samuela ze Skrzypny Twardowskiego, zatytułowanym „Pod elekcją szczęśliwą na Królestwo Polskie Najjaśniejszego Władysława IV" (w wyd. Turowskiego, t. II, str. 85—92) „wiersz pierwszy" jest w części przekładem, w części naśladowaniem wspomnianej wyżej ody Horacego, a to z powodu klęski powodzi, która dotknęła Polskę w r. 1627, głodu i moru w latach 1628 i 1629.

Czytamy tutaj:

„Jużeś wystrzelał pioruny, o Boże,
(Jeśli się przebrać niezmierność Twa może),
Jużeś gniewu swego czaszę
Do dna wylał na ojczyznę naszę..."

A dalej:

„Zdało się, zdało po przeszłe te lata,
Że albo koniec i ruina świata,
Albo wiek Pyrrhy i ona
Powódź spaść miała Deukaliona...
...Widzieć szumnemi Wisłę było mętną
Miecąc się flagi; skąd ona pamiętną
Powodzią brzegi nabrzmiałe,
Miasta i wsi pożerała całe..."

Wspominaliśmy już wyżej, że wielki wylew Wisły w r. 1813 opisany jest w „Pamiętnikach" Kajetana Koźmiana. Tu

przytoczymy utwory, powodzią tą spowodowane: Wielce płodny pisarz dramatyczny pierwszej połowy wieku XIX-go Ludwik A. Dmuszewski napisał „Wezbranie Wisły, komedyio-opera w 1-ym akcie wierszem. Grana pierwszy raz na Teatrze Warszawskim d. 17 grudnia 1813 roku" (Warszawa, 1813, w Drukarni Xięży Piiarów, w 8-ce, str. 39, wyd. II w t. III-im „Dzieł dramatycznych Lud. Dmuszewskiego", 1821, str. 1—30).

Na wielką pochwałę inteligiencji naszej z owych czasów powiedzieć należy, że, gdy powódź zalała w r. 1813 znaczną część kraju, utworzyło się Towarzystwo Ratunkowe. Na dochód osób, dotkniętych klęską wylewu, dano koncert, który powiódł się znakomicie. I w popieraniu usiłowań towarzystwa i w koncercie przeważnie udział wzięły panie, do sfer najwyższych w Warszawie należące. Dmuszewski w wymienionej sztuce uczcił je następującemi wierszami, które publiczność grzmotem oklasków przyjęła:

„Ileż to razy panie jaśnie oświecone,
Poświęcały z pokorą swe dłonie pieszczone!
W świętej sprawie ludzkości gorliwe, usłużne,
Same, dawszy, i jeszcze zbierały jałmużnę,
Ich starań, przysług, chęci któż z nas nie pamięta,
Gdy do darów łączyły swe piękne talenta?

(p. art. K. W. Wójcickiego w „Kłosach", 1867, t. V, str. 74 oraz artykuł piszącego te wyrazy p. n. „Z dziejów dobroczynności warszawskiej" w „Kurjerze Warszawskim", Nr. 97 z d. 8 kwietnia 1904 r., str. 1—2).

Tegoż wylewu dotycze artykuł ogłoszony w „Tygodniku Wileńskim" 1821 r. p. n. „Dumania z okoliczności wylewu wody 1813 r. w Wilnie".

Największy nasz gienjusz poetyczny Adam Mickiewicz dotknął w jednym z utworów swoich wielce groźnej powodzi w Petersburgu w r. 1824 („Oleszkiewicz. Dzień przed powodzią petersburską 1824 roku"). Bibljografja Estreichera i różne czasopisma dostarczają nam wiadomości o książkach i artykułach, dotyczących powodzi w latach następnych: Wierszokleta jakiś wydał w Warszawie na 3-ch kartkach elegję: „Straszliwa noc nadwiślańska w czasie wezbrania Wisły dnia 29 sierpnia 1839, opisana wierszem przez Wincentego Połątkiewicza, towarzysza sztuki drukarskiej". Inny mało znany poeta, który pisywał poematy, utwory religijne, powiastki dla dzieci i przekładał pieśni litewskie, nazwiskiem Franciszek Zatorski, wy-

dał „Poezje religijne, mszalne ku pamięci nadzwyczajnego wezbrania Wisły w miesiącu lipcu 1844 roku", Warszawa 1844 w 12-ce, str. 105. Mieszczą się tutaj 9 psalmów Dawida, ustęp z Lamartina, 9 pieśni Ludwika, króla Bawarskiego, i sonet Szlegla.

Z utworów poetów wybitniejszych wspomnieć należy przedewszystkim Wincentego Pola „Powódź. Dramat w trzech aktach wierszem napisany". (Poznań u Żupańskiego, 1868 w 8-ce str. 147), w wydaniu zbiorowym „Dzieł", t. II (Lwów, 1875). Autor objaśnia czytelników, że „rzecz dzieje się w połowie panowania Stanisława Augusta w Pińszczyźnie w czasie dobroczynnej powodzi, która cały kraj zalewa, i gdzie mieszkańce z bydłem pospołu pływają na łodziach i statkach i trzymają się wysokich kęp i ostrowów, wyżej położonych dworów i miasteczek, które nie idą pod zatop wód". Dobroczynną nazwał autor tę powódź dlatego, że „użyźnia ona tu łąki i pola i zaopatrza lud na cały rok rybą, znosi każdemu paliwo na grunt". Z wspomnienia W. Rapackiego, ogłoszonego w wydawnictwie „Na pomoc", (str. 25) wiemy, że dramat ten grano we Lwowie bez powodzenia. W „Dziełach prozą" Pola są opisy powodzi w t. II str. 34—39, 176—181, 212—217, w t. IV str. 348—353, 360—362. W r. 1878 bezimiennie wydano u J. Okońskiego w Warszawie powiastkę ludzwą p. n. „Powódź".

Straszne spustoszenia poczyniły powodzie w r. 1879. Na korzyść mieszkańców Murcji w Hiszpanji wydano w Paryżu jednodniówkę zbiorową p. n. „Paris-Murcie", na którą złożyły się pióra i ołówki najwybitniejszych pisarzy i artystów całej Europy. Nie brakło tam podpisów i aforyzmów, nadesłanych nawet przez osoby ukoronowane. Ponieważ skutkiem powodzi 1879 r. ucierpiał bardzo Śląsk polski, gdzie zjawił się wkrótce głód, przeto literaci i rysownicy warszawscy postanowili ogłosić „Ziarno. Wydawnictwo zbiorowe dla głodnych", które wyszło w postaci pokaźnego zeszytu w r. 1880 w Warszawie. Pomoc okazana Ślązakom tak ze składek zebrana, jako też z dochodów, które „Ziarno" przyniosło, miała niesłychanie ważny wpływ na zwrócenie się Śląska do wspólnego pnia narodowego, od którego skutkiem długotrwałej giermanizacji już się odrywać zaczął. „Ziarno" zaś stało się wzorem dla całego szeregu podobnego rodzaju wydawnictw późniejszych. Złożyło się na nie około 300 autorów, rysowników i muzyków, a podpisy ich podano w podobiznach; przeważnie są tu aforyzmy

i króciutkie artykuliki, ale nie brak w „Ziarnie" najwybitniejszych wtedy imion polskich na polu piśmiennictwa, nauki i sztuki naszej. Spora liczba artykułów w „Ziarnie" dotycze głodu, o powodzi nic nie znaleźliśmy.

W cztery lata później znowu rzeki nasze się rozhulały, znowu okazała się potrzeba pośpieszenia nędzy z pomocą. Zebrano w bardzo krótkim czasie około 150 utworów i wydano piękną rzecz p. n. „Na pomoc! Wydawnictwo zbiorowe na korzyść powodzian, Warszawa w lipcu 1884 roku". Ozdobą tej jednodniówki są pomiędzy innemi „Legienda żeglarska" Henryka Sienkiewicza, „Pożegnanie" Aleksandra Świętochowskiego, „Na wakacjach" Bolesława Prusa i inne. Niektóre rysunki i artykuły dotyczą powodzi, a mianowicie wymieniona wyżej notatka B. Chlebowskiego, wspominająca o utworach Kochanowskiego, Grochowskiego i Twardowskiego; wiersz D. Henkla p. n. „Powódź"; Ludwika Jenikego „Przed laty czterdziestu" — wspomnienie o Ludwiku Pietrusińskim, który podczas powodzi 1844 z narażeniem życia własnego ratował zagrożonych.

Z części utworów, które do wydawnictwa „Na pomoc" nie weszły, ogłoszono mniejszy i nie tak świetny zeszyt p. n. „Okruchy „Na pomoc". 100 utworów literackich, muzycznych i rysunkowych, nie pomieszczonych w wydawnictwie na powodzian". Warszawa, 1884. Są tu wiersze i artykuły niektóre, mające za przedmiot powódź i Wisłę. Równocześnie literaci krakowscy wydali w tymże 1884 roku w Krakowie piękne album p. n. „Wisła" na korzyść Galicjan, którzy ucierpieli od powodzi. Kartę tytułową zdobi rycina M. Pociechy, przedstawiająca klęskę powodzi na wsi: woda zalewa chaty i zbiory, zatapia ludzi; wyżej nieco wznosi się kościołek wiejski z otaczającym go cmentarzykiem. Na całość „Wisły" złożyły się nietylko utwory pisarzy i rysowników polskich, ale nadto i zastępu cudzoziemców, mianowicie, J. Normand dał wiersz p. n. „Aux inondés de la Galicie", R. de los Rios — rysunek, A. Theuriet — wiersze, listy i aforyzmy — L. Pasteur, A. Thomas, J. Adam, O. Feuillet, W. Cherbuliez, J. Houssay, F. Coppée, E. Renan, Ch. Gounod, A. Karr, W. Hugo, J. Strossmayer, E. Zola, S. Prudhomme, H. Malot, E. Labiche, E. Pailleron, H. Greville, E. Daudet, A. Dumasowie — ojciec i syn, — rysunki — Draner, Massenet zaś i St. Saëns — utwory muzyczne. Z wybitniejszych autorów naszych spotykamy tu nazwiska

Kraszewskiego, Asnyka, Deotymy, Konopnickiej, Lenartowicza, Sewera Maciejowskiego, Lama, nadto autografy A. Mickiewicza i B. Zaleskiego; W. Żeleński nadesłał utwór muzyczny, rysunki zaś — Matejko, Siemiradzki, J. Kossak, Stachiewicz, Horowitz, Andriolli, Styka, M. Pociecha i W. Eljasz.

Z nowszej doby literatury naszej znajdujemy opisy powodzi w kilku utworach powieściowych: W powiastce Sienkiewicza „Za chlebem" ofiarą powodzi pada w Ameryce dwoje nieszczęsnych naszych kolonistów, ojciec i córka, Wawrzon i Marysia, którzy po śmierć swoją tam powędrowali. (Najnowsze wydanie w Warszawie u Gebethnera i Wolffa 1903 r.). Powódź r. 1884 w okolicach, gdzie Nida wpada do Wisły, przedstawia nam z obrazem strasznych spustoszeń Adolf Dygasiński w noweli „Wśród wody" (p. „Z ogniw życia", tom II, str. 1—27, Warszawa, 1886 i „Nowele" serja II, str. 179—212, Mikołów, 1899). I tu rozszalały żywioł zabiera ofiary w ludziach. Rozdział przedostatni powieści „Wszechmocni. Kartka z kroniki miasta powiatowego, wycięta" przez Zofję Urbanowską (Petersburg i Kraków, 1892) ma za przedmiot swój powódź w mieście fikcyjnym Kozłowie; autorce chodzi tu, rozumie się, o uwydatnienie dzielności bohatera swego Jerzego Wilczka, który toczy walkę ideową z zaśniedziałemi współobywatelami swemi.

W „Księżniczce" tejże autorki opisano wylew rzeki, która zerwała most i wstrzymała bohaterkę powieści w podróży do rodziców (rozdział XXIII, wyd. II w Warszawie, 1899). Aż w trzech powieściach Marji Rodziewiczówny spotykamy się z powodzią. W „Strasznym dziaduniu" w pierwszych rozdziałach autorka opisuje powódź i zalew wsi. „Macierz" zmuszona była wskutek powodzi mieszkać długi czas w lesie na drzewie. Wreszcie powódź opisana jest i w powieści „Ona". W „Emancypantkach" Bolesława Prusa mamy wylew rzeki, która uniosła prom i przerwała komunikację (w rozdziale XXXV t. I-go); w tejże powieści (w rozdziale VIII-ym tomu IV-go) doktor Dębicki wykłada naukową teorję o potopie, który ma w przyszłości ziemię zalać. Wylewy Nilu opisuje Prus w dwuch rozdziałach swego „Faraona". Esteja w powieści „Jak cień" przedstawia powódź w Ameryce. Wacław Sieroszewski w powieści „Risztau" pięknie odmalował powódź, spowodowaną rozlewem górskiego potoku na Kaukazie. Powódź w Tatrach opisuje Kazimierz Tetmajer w zbiorku p. n. „Wrażenia".

Niejednokrotnie powodzi dotykają i utwory powieściowe

obce, na język polski przełożone. Dla przykładu przytaczamy tylko jeden: „Powódź", powieść Fryderyka Spielhagena w skróceniu opowiedzianą przez Wincentę Limanowską ogłosiło „Ateneum" w r. 1878. Rzecz dzieje się na Pomorzu w Warnowie, kończy się powieść opisem katastrofy powodzi w okolicy nadmorskiej.

Wspomnieliśmy wyżej, że już w r. 1813 zawiązało się pierwsze Towarzystwo Ratunkowe w celu niesienia pomocy powodzianom. Dodać należy, że i w r. 1839 i 1844 tworzyła się z łona Tow. Dobroczynności podobna organizacja, wydano bowiem w druku „Sprawozdanie Komitetu wsparcia Nadwiślan, dotkniętych powodzią w r. 1839, ogłoszone przez Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności" b. r. i m. druku, niewątpliwie jednak w Warszawie 1840 r., w 4-ce, str. 14, i „Sprawozdanie wsparcia mieszkańców miasta Warszawy i przedmieścia Pragi, Saskiej Kępy, w r. 1844 powodzią dotkniętych", Warszawa, 1845, w 4-ce, str. 68. Skądinąd dowiadujemy się o ofiarności publicznej dla tych, których dotknęła powódź Wisły w r. 1838: wiele działały wówczas Tow. Dobroczynności i Towarzystwo zupy rumfordzkiej oraz komitet pomocy; sam koncert amatorski w d. 1-ym kwietnia w salach redutowych przyniósł na czysto 32,230 złotych. Na rzecz powodzian wydano wtedy pierwszą u nas jednodniówkę p. n. „Grosz wdowi". Niestety, wydawnictwa tego nie mieliśmy w ręku. W r. 1844 komitet wsparć zebrał blizko 85,000 zł., a sam „Kurjer Warszawski" przeszło 8,000 zł. Tenże „Kurjer" w r. 1879 na korzyść ogłodzonych wskutek powodzi i nieurodzaju Ślązaków zebrał przeszło 20,000 rubli. (p. „Książka jubileuszowa „Kurjera Warszawskiego" 1821—1896", str. 559—561). Całą zaś ofiarność na rzecz Ślązaków w r. 1880 oceniono na sumę około 50,000 rubli (p. Tyg. Ilustr., 1880, str. 247). W r. 1867 d. 28 lipca urządzono w Warszawie w parku w Łazienkach zabawę na korzyść dotkniętych powodzią mieszkańców Warszawy i Pragi (p. opis w „Kłosach" 1867, t. V, str. 74 i rycinę W. Gersona, str. 69). Opis powodzi w r. 1867 w Warszawie i wspomnienia o wylewach w latach 1813, 1839, 1844, 1854, 1860 podał K. W. Wójcicki w art. „Powódź Wiślana" w „Kłosach", 1867, t. V, str. 73—4, W. Gerson zaś dwie dodał ilustracje, przedstawiające powódź na ulicach Sowiej i Bednarskiej (str. 68).

Wspomnimy też o dziełach naukowych, w których dokładne można znaleźć wiadomości o stanie wody na rzekach i o

powodziach: Statkowskiego Bolesława „Mémoire sur les inondations", Paryż u Lacroix et Boudry, 1858, w 8-ce, str. 44. „Wisły zamarzanie, puszczanie i trwanie na niej lodów" podawał „Kalendarz Obserwatorjum astronomicznego Warszawskiego" w latach 1859 i nast.; spostrzeżenia rozpoczynały się od r. 1725. We wspomnianej już cennej książce W. Kolberga o „Wiśle" znajdujemy opis wodoskazów na Wiśle i wyszczególnienie znaków wód wysokich (cytowaliśmy je wyżej), wykazy stanu wody w Wiśle pod Krakowem od r. 1831, pod Zawichostem od 1841, pod Warszawą od r. 1799 (robił od tego roku spostrzeżenia wielce zasłużony meteorolog Antoni Magier), pod Kwidzynem od 1831, dalej daty zamarzania Wisły pod Warszawą od r. 1725, pod Krakowem i Kwidzynem od 1815, o puszczaniu lodów i zatorach. Z nowszych wymienić należy: Konstantego Lipowskiego, „O rzekach i powodziach w Zachodniej Galicji". (Oddruk z „Przeglądu Polskiego"), Kraków, 1867, w 8-ce, str. 15, J. Spornego „Powódź rzeki Wisły w r. 1867 pod Warszawą" w „Kalendarzu Ungra" na rok 1868. „Wykaz stanu wody na rzekach galicyjskich" w r. 1867—1871 w „Sprawozdaniach komisji fizjograficznej Tow. Nauk. Krakowskiego" 1868—1872, t. I—VI-go. Prof. Fr. Karliński podawał „Wykaz stanu wody na rzekach galicyjskich" w r. 1872—1895 w ogłaszanych corocznie „Sprawozdaniach komisji fizjograficznej Akademji Umiejętści", Kraków, 1873—1895, t. VII—XXXI; w tymże wydawnictwie od r. 1887 t. XXII-go ogłaszane były „Spostrzeżenia, robione na stacjach wodowskazowych" oraz w niektórych tomach wiadomości o czasie zamarzania rzek i puszczania lodów. J. Słowikowski ogłosił „Stan wody na Wiśle pod Warszawą od r. 1860 do 1880" w t. I z r. 1881 „Pamiętnika fizjograficznego", wychodzącego w Warszawie. Tamże W. Wróblewski podał „Stan wody na Niemnie w latach 1877—1883" w t. III z r. 1883. W r. 1877 odbył się w Warszawie odczyt, którego treścią była „Delta Wisły i obecna powódź." Bardzo wyczerpującą i cenną rozprawę p. n. „Klęska powodzi i środki ratunkowe" ogłosił p. Józef Jeziorański w „Bibljotece Warszawskiej" r. 1903 w zeszycie grudniowym, str. 487—520.

Popularne dziełko, wykładające w sposób przystępny teorje naukowe o potopie, napisał Erazm Majewski p. n. „Potop Szkic przyrodniczo-filozoficzny z ostatniej doby dziejów ziemskiego globu". (Wyd. I w Warszawie, 1880, II tamże, 1883).

Pozostaje nam jeszcze nadmienić słówko o powodzi w sztuce, t. j. o obrazach i rysunkach, przedstawiających powódź. Niestety, bardzo małą ich liczbę udało się zebrać piszącemu te wyrazy: W przepysznym „Kramie malowniczym warszawskim czyli obrazach miejscowych z ubiegłych czasów" Jana Feliksa Piwarskiego (Warszawa, 1859) znajdujemy rycinę, charakterystyczną, jak wszystkie tego znakomitego rysownika, z napisem „Wylew Wisły. Poranek przy ulicy Rybaki w Warszawie 1844 roku". Widzimy tu scenę następującą: gromadka ludzi przed łaźnią parową Kozłowskiego umieściła się na suchszym nieco wzgórku ze wszystkiemi rzeczami swojemi, matka przy kołysce z trojgiem drobnych dzieci, obok na garstce słomy spoczywa mąż pod rozciągniętą jakby namiot kapotą; dalej nieco inna rodzina; Żyd z Żydówką urządzili tu sobie obok wyszynk wódki i piwa; dalej nieco jedni brodzą po wodzie, inni płyną łódką, tam znowu po drabinie schodzą przez okno do łódki. W dołączonym do „Kramu" tekście kilka szczegółów czytamy o powodzi r. 1844 i treść obrazka. (W czasach ostatnich reprodukowano niektóre obrazki Piwarskiego z „Kramu malowniczego", a między niemi i „Wylew Wisły" na kartkach pocztowych).

O ilustracjach z powodzi 1867 roku W. Gersona wspomnieliśmy wyżej. Jeden z obrazów jego olejnych przedstawia Syrenę Wiślaną na tle powodzi. Obraz Pawła Merwarta p. n. „Potop" dało Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych przed kilkunastu laty swym członkom w reprodukcji. Oprócz wspomnianego obrazka M. Pociechy w wydawnictwie „Wisła" z r. 1884 znajdujemy tamże ilustrację Walerego Eljasza p. n. „Dotknięty powodzią": jest to widok górski, przedstawiający nieostrożnego taternika, który przechodząc po kamieniach przez wzburzony potok, wpadł w niego, a Góral przewodnik ratuje go. Piękne kompozycje rysunkowe na tle powodzi pozostawił E. Andriolli. W świeżo wydanej przez H. Piątkowskiego i H. Dobrzyckiego znakomicie napisanej i ułożonej książce „Andriolli w sztuce i życiu społecznym" (Warszawa, 1904) znajdujemy trzy rysunki: jeden na str. 176 „Wylew Wisły w r. 1879", był pierwotnie w „Kłosach" 1879 (powtórzony jest w „Roku polskim" Z. Glogera, str. 141). Jest to widok pełen grozy z zalanemi wodą chatami i uciekającemi z nich ludźmi. Drugi — pochodzi z r. 1880, podobnej treści, p. n. „Powódź", (str. 178),

trzeci — z r. 1884 nosi napis „Ofiara powodzi" (str. 177). Wszystkie trzy bardzo smutny budzą nastrój. Pięknym obrazkiem Antoni Piotrowski ozdobił kartę tytułową wydawnictwa „Na pomoc!" Wśród przybierającej wody matka zrozpaczona z małym dzieckiem wyciąga rękę z błagalnym krzykiem, obok wyje piesek. Krajobraz ponury. W tymże wydawnictwie rysunek R. Szwojnickiego wyobraża człowieka, ledwie utrzymać się mogącego na maleńkim wzgórku wśród otaczających go bałwanów rozszalałego żywiołu. Z rozpaczy nieszczęśnik zaciska ręce i krzyczy „Gdzieżeś Ty!"

W latach ostatnich budziły uwagę dwa obrazy, na wątku powodzi osnute — Kotarbińskiego, który przedstawił u stóp figury Matki Boskiej kołyskę z dzieckiem, przez powódź tam przyniesioną, i Deskura — ludzi, ratujących się na dachu chaty od zalewającego ich niszczącego żywiołu.

Nakoniec z dziedziny muzyki wspomnieć możemy o utworze p. n. „Powódź", ofiarowanym przez Ignacego Paderewskiego do wydawnictwa „Na pomoc".

Hieronim Łopaciński.

PRZYRODA W NASZYM POJMOWANIU I ODCZUWANIU.

Przez przyrodę rozumie się pospolicie ogół dających się zmysłowo postrzegać rzeczy i zmian w tych rzeczach. Określenie to jest oczywiście bardzo wieloznaczne, gdyż dopuszcza rozmaite pojmowanie rzeczy, bądź rozumianych jako istoty czy byty bezwzględne, bądź jako przedmioty postrzeżeń w znaczeniu wyłącznie doświadczalnym, fenomenalnym. Nadto, potoczne rozumienie przyrody, jeżeli się nie mylimy,wyklucza zazwyczaj nietylko wszelkie dające się pomyśleć przedmioty nadzmysłowe, lecz nawet człowieka jako istotę duchową; tylko człowiek jako ciało, jako ustrój ma należeć do przyrody. Pogląd ten jest potoczny, gminny; chodzi w nim o wyodrębnienie dziedzin materjalnej i duchowej. Z teoretycznych względów niewątpliwie wygodniej byłoby stanąć na stanowisku np. Kanta, który przyrodę określa jako „ogół wszechrzeczy, o ile te mogą być przedmiotami zmysłów naszych, a zatym i doświadczenia, przez co się rozumie całość wszystkich zjawisk czyli świat zmysłowy, z wyłączeniem wszelkich przedmiotów niezmysłowych. W tym

znaczeniu przyroda dzieli się, zgodnie z głównym rozróżnieniem zmysłów, na dwie części, z których jedna zawiera w sobie przedmioty zmysłów zewnętrznych, druga—przedmiot zmysłu wewnętrznego; stąd też możebna jest podwójna nauka o przyrodzie: nauka o ciałach i nauka o duszy; pierwsza z nich rozważa przyrodę rozciągłą, druga — przyrodę świadomą".

Prócz jednak powyższych pojęć: przyrody jako świata doświadczalnego w przeciwstawieniu do pozadoświadczalnego, oraz przyrody jako świata materjalnego w przeciwstawieniu do duchowego, jest jeszcze jeden sposób pojmowania przyrody, który, być może, częściej od tamtych ujawnia się w sądach naszych: przyrodę, jako ogół rzeczy i stosunków pomiędzy niemi danych niezależnie od udziału człowieka, od jego działalności przetwarzającej, zwykło się przeciwstawiać temu wszystkiemu, co jest wytworem działalności ludzkiej, co zależy od przeobrażających wpływów człowieka; w tym znaczeniu rozróżnia się i przeciwstawia n a t u r ę i k u l t u r ę albo n a t u r a l i z m i h u m a n i z m.

Pomińmy mnóstwo odmian w określeniach przyrody, które dałyby się wybrać z odpowiedniej literatury. Trzy wyżej zaznaczone sposoby pojmowania przyrody, najczęściej naprzemian występują i wikłają się ze sobą w dziejach myśli ludzkiej. W danym przypadku możemy zatrzymać się na pojęciu przyrody jako świata doświadczalnego wogóle w znaczeniu naturalistycznym.

Gdy się mówi o poznawaniu i pojmowaniu przyrody, ogromna większość osób, z wykształceniem nawet przyrodniczym, rozumie to tak, jak gdyby chodziło o poznanie przyrody taką, jaką ona jest sama przez się, o zdobycie wiedzy zgodnej z przyrodą, niezależną od umysłu poznającego. Ze zdziwieniem przeczytałyby te osoby następujące twierdzenia: „Nauka nie jest kopją świata, lecz jego tworzeniem przez umysł" *) albo: „Każdy z nas tworzy sobie złudę świata stosownie do natury swojej; wielcy artyści narzucają ludzkości swoją złudę osobistą",**) albo jeszcze: „Porządek i prawidłowość w zjawiskach, które nazywamy przyrodą, wnosimy tam sami, i nie możnaby ich tam było odnaleźć, gdybyśmy ich od początku tam nie włożyli,

*) A. Ricardou. *De l'idéal.* str. 60 i nast. Paryż. 1980.
**) Guy de Maupassant. *Pierre et Jean. Preface.*

t. j. gdyby ich nie włożyła przyroda naszego umysłu" *). Jakkolwiek wszakże dziwnym może się to komuś wydawać, dzieje filozofji i przyrodoznawstwa z jednej strony, teorja poznania z drugiej zgodnie wykazują, że tak jest w rzeczy samej, że nietylko wszelkie filozoficzne poglądy na świat bywały zawsze i są „romansami przyrody", mniej lub więcej przystosowanemi do materjału postrzeżeń czy doświadczeń ludzkich, lecz że nawet nauki przyrodnicze w teorjach swoich w najlepszym razie podają nie kopje przyrody lub pewnych jej części, lecz schematy pojęciowe, porządkujące materjał postrzeżeń naszych w sposób możliwie najodpowiedniejszy do natury poznawczej umysłu naszego.

Nauka o świecie dąży do zbudowania takiego systemu pojęć, któryby najbardziej konsekwentnie klasyfikował cały dostępny materjał postrzeżeń, oraz takiego systemu twierdzeń, w terminach tamtych pojęć wyrażonych, któryby najkonsekwentniej klasyfikował wszystkie postrzegane stosunki pomiędzy elementami doświadczenia. Żadna nauka i w żadnym punkcie nie wychodzi poza obręb materjału postrzeżeń—tego jedynego typu rzeczywistości dla nas dostępnej; poza czy ponad materjałem postrzeżeń, dotyczących nas samych i otoczenia, zaczyna się dziedzina pojęć i sądów, wytwarzanych z materjału postrzegawczego i do niego tylko w najlepszym razie stosowalnych. Pomimo wielu rojeń na ten temat, nikomu dotąd nie udało się wskazać drogi, któraby od pojęć i sądów prowadziła gdzie indziej, prócz możliwych postrzeżeń zmysłowych lub refleksyjnych, a więc prócz możliwego doświadczenia wogóle.

Zważmy, że pojęcia, któremi się posługujemy w przyrodoznawstwie najszerzej pojętym, bywają albo oderwane albo ogólne.

Treść pojęć oderwanych, jak sama nazwa wskazuje, stanowią poszczególne rysy, cechy oderwane od rzeczywistych postrzeżeń, z pominięciem reszty dających się w nich wyodrębnić rysów, jak np. pojęcie ciężkości oderwane od wszystkich postrzeganych ciał, z których każde może mieć i miewa zazwyczaj wiele innych cech dających się wyodrębnić w postrzeżeniu, jak pojęcie wielkości oderwane od wszystkich rzeczy i zjawisk, jak pojęcie świadomości dające się oderwać od wszystkich postrzeżeń

*) Kant. Krytyka czystego rozumu.

psychicznych, niezależnie od ich zmiennej poza tym treści. Z każdego materjału postrzegawczego tyle tylko pojęć oderwanych wytworzyć zdołamy, ile poszczególnych rysów potrafiliśmy wyodrębnić; ale ponieważ nigdy nie mamy i mieć nie możemy pewności, żeśmy jakąkolwiek rzeczywistość postrzeganą wyczerpali analitycznie tak dalece, że żadne już nowe rysy lub cechy jej wyodrębnić się nie dadzą, więc można twierdzić, że rzeczywistość postrzegana jest niewyczerpalna za pomocą pojęć oderwanych. Każde zaś pojęcie oderwane zawsze bywa tylko wyciągiem, szczątkiem jakimś rzeczywistości postrzeganej, sztucznie wydzielonym i utrwalonym za pomocą znaku lub wyrazu.

Treść pojęć ogólnych stanowi ogół rysów lub cech wspólnych pewnej grupie rzeczy, z pominięciem cech właściwych tylko poszczególnym egzemplarzom tej samej grupy. Jak np. pojęcie kwadratu jest ogólne, gdyż treść jego stanowią tylko cechy wspólne wszystkim kwadratom, a więc — czworoboczność, równoboczność i prostokątność, z pominięciem wielkości, która może wyróżniać indywidualnie każdy poszczególny z klasy kwadratów; ogólne pojęcie planety zawiera w treści swojej takie wspólne całej klasie cechy, jak: ciało niebieskie zataczające drogę dokoła słońca, świecące światłem odbitym, ale wyklucza wszelkie cechy, któreby wyodrębniały indywidualnie Ziemię, Marsa lub Saturna z pośród reszty planet. Stąd jasna, że pojęcie ogólne zawsze musi być tylko skrótem, wyciągiem z rzeczywistości postrzeganej, że jej bynajmniej nie wyczerpuje.

Co więcej, ponieważ nigdy i żadnej rzeczywistości postrzeganej nie możemy całkowicie wyczerpać w pojęciach oderwanych czyli w zupełności zanalizować, więc w żadnym stadjum wiedzy niepodobna posiąść pewności, że się w rzeczy samej w pojęciu planety lub kręgowca objęło wszystkie cechy wspólne tym klasom: wszak zawsze możebne jest przypuszczenie, żeśmy do tych pojęć nie włączyli niektórych cech znamionujących klasy odpowiednie, a to dlatego, że cech tych dotąd nie potrafiliśmy jeszcze wyodrębnić, wyanalizować.

Niewątpliwie pojęcia te, zarówno oderwane i ogólne, są bardzo pożyteczne w znaczeniu poznawczym, gdyż dzięki pierwszym możemy analizować, opisywać i porównywać rzeczywistość postrzeganą, dzięki zaś drugim możemy ją porządkować pojęciowo, t. j. klasyfikować; ale ani jedne, ani drugie nie mogą z natury już swojej uchodzić za kopję czy dokładne odpowiedniki jakiejkolwiek rzeczywistości postrzeganej. Te i tamte są

tylko narzędziami pojmowania, to znaczy — pojęciowego ujęcia pewnych stron tej rzeczywistości.

Wszelkie znów odmiany pojęć, mniej lub więcej fikcyjnie konstruowanych, jak np. fal optycznych, atomów, jonów, budują się, jak wiadomo, analogicznie, przez podobieństwo do pojęć z innych dziedzin, a zatym rola ich wyraźnie jest tylko pomocnicza; o tyle tylko mogą one być przydatne, o ile przez czas pewien i pod określonemi względami wygodnie symbolizują pewne części i strony rzeczywistości postrzeganej. Pojęcia te o tyle odpowiadają rzeczywistości, o ile trójkąt gieometry odpowiada obszarowi gruntu, podlegającego triangulacji, o ile banknot odpowiada rzeczywistej wartości, o ile znaczek z szatni odpowiada powierzonemu ubraniu.

Skoro wszakże z takich pojęć buduje się nauka o przyrodzie, tedy pod żadnym pozorem nie może ona uchodzić za kopję przyrody; raczej zawsze bywa i być musi pojęciowym wyciągiem, skrótem, usymbolizowaniem rzeczywistości postrzeganej, z konieczności jednostronnym, bo zależnym od kierunku w jakim udaje się nam postrzegać i wytwarzać pojęcia.

Najdoskonalszą postacią sądów w nauce o przyrodzie są tak zwane prawa, twierdzenia lub formuły, wyrażające względnie stałe stosunki pomiędzy zjawiskami. „Prawo (przyrody) — powiada Huxley — oznacza prawidło, które dotąd, jak się okazuje, zawsze się sprawdzało i które, jak oczekujemy, zawsze sprawdzać się będzie" *). Prawo przyrody wyraża się w terminach wytworzonych już pojęć, a więc—wyrażać może tylko stałe stosunki pomiędzy temi elementami materjału postrzegawczego, które zostały wyanalizowane i stanowią treść pojęć; np. prawo Newtona: ciążenie jest odwrotnie proporcjonalne do kwadratów z odległości środków ciężkości przyciągających się mas; albo prawo Boyle'a (Mariotte'a): Przy danej temperaturze objętość określonej masy gazu zmienia się w stosunku odwrotnym do ciśnienia, któremu gaz podlega. W pierwszym z tych praw wyraża się stały stosunek ilościowy takiego abstraktu, jak ciążenie, do takiego innego abstraktu, jak odległość środków ciężkości mas; w drugim — ilościowy stosunek abstraktu objętości do ciśnienia.

Wobec tego wszakże nie może być mowy o tym, iżby którekolwiek prawo przyrody odwzorowywało rzeczywistość. Prawa przyrody ujmują to tylko, co dzięki gotowym już pojęciom mo-

*) Lay Sermons, str. 340.

że być wyodrębnione z rzeczywistości doświadczalnej i tylko stosunki pomiędzy wyanalizowanemi składnikami doświadczenia, które się okazują stałemi w obrębie także doświadczenia. A więc może to być tylko wyciąg, skrót rzeczywistości postrzeganej, symbolizujący ją z pewnej tylko strony i pod pewnemi względami. Nigdy dana w postrzeżeniu rzeczywistość nie może być całkowicie wyznaczona (zdeterminowana) przez nasze prawa przyrody popierwsze dlatego, że jest pojęciowo niewyczerpalna, jak powiedzieliśmy wyżej; powtóre dlatego, że nie posiadamy bezwzględnie stałych jednostek mierniczych i bezwzględnie ścisłych metód mierzenia; po trzecie dlatego, że nasze prawa przyrody formułują tylko względnie stałe stosunki pomiędzy wyanalizowanemi zjawiskami i niepodobna dowieść, że takie lub inne prawo nie jest swormułowaniem szczególnego przypadku zestosunkowania zjawisk, zależnego od specjalnego układu warunków, który się zmienia.

Dodajmy nadto, że i sam materjał postrzeżeń nigdy przez ludzkość nie może być wyczerpany, w każdej bowiem fazie rozwoju wiedzy o przyrodzie opierać się możemy tylko na materjale dotąd zdobytym, a więc — ograniczonym. Zatym nie tylko pojęcia i prawa nasze z natury swojej nie są zdolne wyczerpać całkowicie danego już materjału postrzegawczego, lecz nie mogą uwzględniać nic z tego, co w przyszłych postrzeżeniach może się okazać nowym.

Weźmy jedną z wielu możebnych ilustracji tego, co się wyżej powiedziało.

Wielokrotnie już zaznaczano z rozmaitych stanowisk stosunek zachodzący pomiędzy światem postrzeganym a światem teoretycznie pojmowanym. Świat dany nam w przestrzeniach składa się z rzeczy widomych, barwnych, namacalnych, stawiających opory wysiłkom naszych, dostarczających dźwięków, smaków, zapachów i t. d. Świat nauki nowożytnej, o ile ta od czasów Galileusza coraz bardziej utrwalała stanowisko mechnizmu cząsteczkowego czy atomistycznego, jest ciemny i głuchy, jak zwykło się niezupełnie słusznie mówić—bezjakościowy. Mechanizmowi atomistycznemu idzie o to, że usiłuje postrzegane światła, barwy, dźwięki, ciężary, smaki, zapachy i t. d. wyrazić w symbolach gieometrycznych i mechanicznych, w terminach takich pojęć, jak położenie, kształt, ruch, opór.

Pobudki usprawiedliwiające to stanowisko są takie: Jakości zmysłowe dające się wyanalizować z materjału postrzeżeń,

jak barwy, dźwięki i t. d. są nader zmienne, w zależności od warunków zewnętrznych i wewnętrznych postrzegającego; dana rzecz jest czerwona w świetle dziennym, brunatna o zmroku, wcale staje się niewidzialną w ciemności, posiada jakości wzrokowe dla widzącego, ale ich nie posiada dla ślepego, zmienia swoje cechy wzrokowe w zależności od stanu, w jakim się znajduje obserwator. To samo da się powiedzieć o innych jakościach zmysłowych. Wobec jednak zmienności cech zmysłowych rzeczy, możemy je bardzo łatwo rugować w wyobrażanych rzeczach, zastępować innemi; gdy tymczasem nie możemy sobie wyobrazić ciał i zmian w nich zachodzących bez położeń, kształtów, oporów, ruchów. Są to oczywiście także jakości wyanalizowane z rzeczywistości postrzeganej, ale są to jakości stalsze, bardziej powszechne. Galileusz, Descartes, Hobbes, Locke uważają jakości zmysłowe za czysto podmiotowe zmiany w umyśle, ale obce rzeczom; zmiany te podmiotowe muszą jednak odpowiadać jakimś znów zmianom zachodzącym w przedmiotowym, rzeczywistym świecie. Otóż utrzymywali oni, że położenia, kształty, opory, ruchy są pierwotnemi i przedmiotowemi jakościami, niezależnie od poznającego umysłu danemi w przyrodzie.

Przyroda zatym w ich poglądzie przedstawiała się jako istota o własnościach gieometrycznych i mechanicznych, których umysł poznający ma się domyślać wszędzie, gdziekolwiek zjawiska zachodzą, których prawa o tyle poznawać może, o ile potrafi mierzyć i liczyć. Słowem, przyrodę pojęto jako mechanizm.

Na gruncie tego poglądu w ciągu trzech wieków ostatnich wzniesiono gmach nauki o przyrodzie; ale jakkolwiek ta nauka jest rozległa i wielostronna, jakkolwiek potężnym jest ona narzędziem kulturalnym w praktycznych zastosowaniach swoich, z natury jednak swojej nie przybliżyła nas ona ani o odrobinę do poznania tak zwanej istoty rzeczy, przyrody samej w sobie, gdyż ani o krok nie wyszła i wyjść nie mogła poza obręb świata doświadczalnego. Teoretyczny obraz przyrody układamy z pojęć odpowiadających naturze umysłu i przystosowanych do doświadczenia i w tym tylko kierunku możemy przewidywać dalsze postępy. Człowiek tworzy swój pogląd na przyrodę nie przez porównywanie swoich pojęć i twierdzeń z objektywną rzeczywistością pozapodmiotową, która nigdy i pod żadną postacią nie bywa nam dana do porównania, lecz przez ich przystosowywanie do coraz rozleglejszego doświadczenia.

Wszelka wiedza o przyrodzie, czy to ma być sąd o poszczególnej rzeczy, zjawisku, sprawie, czy też prawo oderwane, orzekające o pewnej kategorji możliwych zjawisk, dotyczy zawsze szczegółów i nigdy nie ogarnia całości. Wiedza nasza jest dyskursyjna: w poszczególnych aktach poznawczych możemy mieć do czynienia tylko z sądami poszczególnemi i poza tym kolejno przechodzić od sądu do sądu, w najlepszym razie zdając sobie sprawę przy każdym przejściu ze stosunku logicznego pomiędzy sądami. Żadnej nauki nie jesteśmy w stanie uprzytomnić sobie z całkowitą jej treścią w jednym akcie poznawczym.

Gdyby wszakże istniała jakaś przyroda sama w sobie, tedy musielibyśmy ją pojmować conajmniej jako naraz bytującą istotę, rzecz, jako pewną całość. W takim jednak razie wiedza nasza dyskursyjna, mająca zawsze do czynienia tylko ze szczegółami, nie byłaby nigdy zdolna do ogarnięcia w jednym akcie poznawczym całości przyrody jako swojego przedmiotu; wszak myśl nasza w jednym akcie nie może uprzytomnić sobie nawet całego materjału doświadczalnego. Zatym i z tego względu wiedza nasza może być wytworem gorzej lub lepiej przystosowanym do materjału doświadczalnego, ale nie do przyrody samej w sobie, jako całości bytującej pozapodmiotowo. Wobec tego, często powtarzane twierdzenie, jakoby przyroda sama przez się była rozumną lub rozumnie urządzoną, ponieważ nasza wiedza o niej bywa rozumną, jest tylko nieporozumieniem. Wiedza o tyle bywa rozumną, o ile jest logicznie poprawną i doświadczalnie uzasadnioną, ale coby mogła znaczyć ta kwalifikacja w zastosowaniu do przyrody, nie zaś do wiedzy o niej, tego zrozumieć niepodobna.

Jako protest przeciwko dyskursyjnej wiedzy o przyrodzie, wiedzy opartej na doświadczeniu i logice, a prowadzącej od szczegółów do szczegółów zjawiskowych, występują w dziejach myśli symptomy mistyczne w rozmaitych odmianach, ale zawsze z uroszczeniami do ujęcia przyrody, czy świata w jednym akcie poznawczym, jako jednej doraźnie danej całości. Ponieważ wiedza oparta na doświadczeniu i logice nie ogarnia istoty i całości świata, więc jako organ poznawczy występuje w poglądach mistycznych intuicja, domniemana zdolność zlewania się bezpośrednio z istotą poznawaną, jednoczenia się z nią w stanie ekstazy, kiedy zmysły nie dostarczają ułudy zjawiskowej, ani czyn-

ność logiczna nie rozczłonkowuje wszelkiego materjału na sądy i wnioski.

Rzecz jasna, iż po potrąceniu materjału doświadczalnego, tak lub inaczej przerobionego przez umysł dyskursyjny, nie pozostaje nic, coby się dało jasno pomyśleć i wyrazić, coby za wiedzę uchodzić mogło. Jakkolwiek mistycyzm w różnych wiekach próbował przywdziewać szaty systemów filozoficznych, jednak nigdy nie zdołał stworzyć określonego poglądu na istotę przyrody. Zapewnienie, że byt podstawowy jest niewypowiedziany, nic nie uczy i za nabytek wiedzy uchodzić nie może. To zaś, co u mistyków, szukających bezpośrednich natchnień w intuicji, bywa mniej lub więcej jasno wypowiedziane, faktycznie bywa djalektyką pojęciową, spekulacją dyskursyjną.

Skoro wszakże ani dyskursyjna praca umysłu, ani intuicja nie są zdolne wtajemniczyć nas w istotę przyrody, czy nie mogłoby tego dokonać uczucie?. Wszak nietylko w pewien sposób poznajemy, lecz i odczuwamy przyrodę. Te stany uczuciowe, usposobienia, nastroje, w które wpadamy w obec pewnych zjawisk, pewnego otoczenia przyrodzonego, lub nawet pewnych teoretycznych poglądów na przyrodę, bywają bardzo rozmaite. Tło uczuciowe odgrywa wielką rolę u mistyków wszelkiego rodzaju, gdy chodzi o tak zwaną kontemplację przyrody w jej istocie.

Człowiek nigdy, na żadnym szczeblu kultury, nie stoi wobec przyrody, jako obserwator czy badacz obojętny; przyroda nietylko bywa postrzegana i poznawana, lecz także i oceniana pod względem uczuciowym. Wydaje się ona piękną lub brzydką, dobrą lub złą, w całości lub w pewnych częściach swoich. W wysokim stopniu skłonni jesteśmy do przypisywania tych charakterystyk samej istocie przyrody, jako przedmiotowo jej właściwe, chociaż dość chwili rozwagi krytycznej, by się przekonać, że niepodobna zdać sobie sprawy z tego, coby mogło znaczyć piękno lub brzydota, dobro lub złe — bezwzględne, nie jako nasze sposoby odczuwania, oceny z naszego ludzkiego stanowiska, lecz jako własności rzeczy samych w sobie.

Sposób uczuciowej oceny przyrody z jednej strony zależy od organizacji człowieka i stosunku, jaki zachodzi pomiędzy różnemi warunkami otoczenia przyrodowego a ustrojem człowieka; z drugiej strony zależy od tych stanowisk ideowych, z których człowiek postrzega i kontempluje przyrodę.

Starożytni Egipcjanie w duchowej kulturze swojej szczególnie uwydatnili przeciwstawność pomiędzy znikomym, doczesnym bytem człowieka, a wiecznością i ze stanowiska tego przeciwstawienia przedewszystkim wyczuwali w przyrodzie jej niespożytość, stałość i niezmienność; z tej strony przyroda imponowała swoim ogromem i nieskończonym trwaniem; natomiast nie wyczuwano w niej tego, co jest drobne i przemijające. Grek starożytny pojmował i odczuwał przyrodę, jako kosmos, a więc jako ład, jako całość harmonijną i piękną. Żyd, przeciwnie, raczej był skłonny do przeciwstawiania otaczającej człowieka przyrody materjalnej, cielesnej, jego duchowi; rozważał on materję, ciało, jako niewolę ducha, który tymbardziej się wznosi i udoskonala, im bardziej zdoła wyzwolić się z więzów cielesnych, im bardziej pogardzi doczesnością materjalną. Stąd pewna pogarda dla przyrody, ujemna jej ocena pod względem uczuciowym. Ten sposób odczuwania przyrody przejęła kultura chrześcjańska, która uwydatnia piękno i podniosłość ducha, podkreślając poziomość i brzydotę wszystkiego, co zmysłowe i cielesne. Dopiero w epoce Odrodzenia najbardziej przodujące w kulturze ludy chrześcjańskie zmieniają stanowisko swoje wobec przyrody i zaczyna się jej dodatnia ocena ze stanowiska humanistycznego i w części religijnego: przyrodę zaczyna się oceniać jako ogół warunków, od których zależy życie ludzkie, jako istotę człowiekowi pokrewną; ponieważ nadto rozważa się przyrodę, jako objaw bytu Boskiego, nieskończenie doskonałego pod każdym względem, a więc odczuwa się ją jako doskonałą, piękną.

Epoka panowania wyemancypowanego rozumu, racjonalizm XVII i XVIII wieków buduje gieometryczno-mechanistyczny pogląd na świat, przedstawia przyrodę materjalną, jako mechanizm czy machinę, w której wszystko się odbywa według stałych i niezłomnych praw. Ten świat zmechanizowany i nawskroś przejrzysty imponuje i budzi podziw, ale za to tymbardziej uwydatnia się przepaść pomiędzy przyrodą materjalną z jej prawami niezłomnemi a interesami duchowemi człowieka, które, pomimo prób, nie poddają się analizie. Z panującego stanowiska racjonalistycznego wydaje się pięknym to tylko, co się poddaje analizie i daje się sformułować w prawach, co rozum przewidział i uregulował. Pierwiastki odporne wobec analizy rozumowej, irracjonalne, jak naprzykład uczuciowa natura człowieka, psują czyste linje mechanistycznego światopoglądu i najwybitniej-

sze umysły łudzą się, że rozum potrafi nawskroś uregulować życie ludzkie a jego uzasadnione przepisy zastąpią ślepe uczucia, podszepty instyktów i tradycyjne przesądy. Kultura, podyktowana przez rozum, uczyni życie pięknym i doskonałym.

Wśród tryumfów rozumu występuje taki człowiek, jak Rousseau, natura nawskroś emocjonalna, przejęta odrazą do wszystkiego, co jest rozumowaniem, analizą, a nadewszystko ujemnie odczuwająca więzy tej kultury duchowej i społecznej, którą racjonalizm wypielęgnował. Protest przeciwko ujemnym stronom kultury rozumowej i wszelkim przewrotnościom wypaczonej przez tę atmosferę natury ludzkiej wyraża się u Rousseau, jako apoteoza bezpośredniego, niewyrozumowanego uczucia i nietkniętej ręką ludzką natury. Jego fikcja przyrody, do której chciałby nawrócić wynaturzonego człowieka, jest antytezą kultury: człowiek w karbach ówczesnej organizacji społecznej jest zły, przewrotny, niesprawiedliwy, gdy tymczasem przyroda jest dobrą, szczerą i prostą, i czułą matką dla wszystkich istot. Tak widziana przyroda, przez pryzmat krytyki społeczeństwa, rozrzewnia Rousseau, wyciska łzy z oczu jego, rozmarza i zachwyca.

Wreszcie ewolucjonizm XIX wieku przedstawia nam przyrodę jako ciągłą sprawę gienetyczną, gdzie w nieprzerwanym łańcuchu tworów przechodzi się od najprostszych stadjów rozwojowych aż do najbardziej zawiłych, gdzie człowiek nawiązany jest jako ogniwo rozwojowe. Ze stanowiska tego poglądu skłonni jesteśmy odczuwać przyrodę, wraz już z kulturą ludzką, jako pole ustawicznej walki o życie coraz wielostronniejsze, bogatsze a więc i doskonalsze według ludzkiej oceny.

Pojmowanie nasze przyrody zamknięte jest w obrębie doświadczenia zjawiskowego i pojęciowej przeróbki materjału doświadczalnego, sposób odczuwania przyrody zależy od naszej organizacji psychologicznej i tych interesów lub stanowisk kulturalnych, z których w danym wieku oceniamy ogół dostępnych doświadczeń.

Przyroda bezwzględna, sama w sobie, dla wiedzy naszej i dla ocen uczuciowych jest — niebytem.

A. Mahrburg.

SEJMIK GOSPODARSKI W ROKU 1730.

Zdarza się czasem, że znajdujemy rzeczy godne uwagi tam, gdzieby nam wcale na myśl nie przyszło ich szukać. Bywa nieraz, że i licha jaka książka zawiera daty, fakty, wspomnienia, skądinąd nieznane i zgoła nieprzypuszczane. Do takich niespodzianek zaliczam osnowę kilkunastu stronic w niecenionym już podziśdzień — wręcz osławionym podręczniku szkolnym, z najsmutniejszych pochodzącym czasów, t. zw. makaroniczno-panegirycznych, wydanym po raz pierwszy w r. 1730, a to pod nast. tytułem: Polak sensat w liście, w komplemencie polityk, humanista w dyskursie, w mowach statysta, na przykład dany szkolnej młodzi od X. Wojciecha Bystrzonowskiego Soc. Jesu za pozwoleniem starszych. W drukarni Lubelskiego Collegium S. J. Roku 1730 *).

Sam ten już tytuł daje przedsmak treści pomienionej książki. Pisana i co do rzeczy i formy w sposób tak niezdarny, jak najsłabsze piśmiennicze epoki tamtoczesnej wyroby. Służyła mimo to przez długi czas, przez jakie 30 lat, za okaz, jak się

*) Tak podaje to pierwsze wydanie Bibljografja Estrejchera, przyczym dodaje „w 8-ce, str. 124“, jak przypuszczam, zamiast „k a r t 124“. Tej edycji nie widziałem. Mam przed sobą poznańską z r. 1733, w małej 8-ce, gdzie kart nieliczbowanych 127.

układać powinny listy, odezwy, mowy i tym podobne rodzaje retorycznej kompozycji przy różnych w prywatnym i publicznym życiu okazjach. Dzieli się, jak to już powyższy tytuł wskazuje, na dział listów, potym przemowień przygodnych (powinszowań, powitań, kondolencji i t. d.), następnie „dyskursów" o różnych materjach, i wreszcie mów, i to mów na sejmikach. Trzy pierwsze działy nad wyraz błahe. Pochodzą pewnie nie z własnej autora tej książki głowy, lecz pozbierane zostały z gotowych, będących w obiegu pism, poczytywanych wtedy za wzorowe w tych rodzajach przykłady dowcipu krasomówczego. Natomiast ostatnia część stanowi przydłuższą jednolitą całość. Daje nam najzupełniejszy, dosłowny protokół obrad, mianych na pewnym sejmiku, który tu jest nazwany sejmikiem boni ordinis czyli, jak na dalszych kartach, sejmikiem gospodarskim *). Nie powiedziano, kiedy i gdzie odbyło się to zgromadzenie. Z różnych ubocznie tu i owdzie rzuconych słów wnoszę, że był to zjazd szlachty województwa lubelskiego, a odbyć się musiał w pierwszej połowie tegoż roku 1730, w którym publikacja ta ujrzała światło dzienne **).

Otóż nie od rzeczy może będzie streścić tu w najkrótszych słowach, nad czym radzono i co mówiono na tym sejmiku. Poruszono bowiem przedmiot, który ostatecznego załatwienia (bodaj w teorji, gdyż praktyczne dokonanie dało dłużej na siebie czekać) dostąpił dopiero w 30 lat później, a to w dziele Ks. Konarskiego „O skutecznym rad sposobie".

Przekonywamy się tu, że nie dopiero sławne to dzieło, w roku 1760 wydane, otworzyło oczy lepszej części społeczeństwa na wartość instytucji liberum veto. Głośni autorowie w zakresie politycznej literatury przed Konarskim, jak Karwicki (1709), J. Stan. Jabłonowski (1730), Leszczyński (1733), Poklatecki (1743), Garczyński (1751), nie mogli z samej natury rzeczy nie zawadzić o ten szkopuł ładu i dobra pospolitego, lecz spostrzec

---

*) Że się zbierały i sejmiki tej nazwy, poświadcza Lengnich (Jus publ. regni poloni, Tom II, str. 436 edycji z r. 1766): „In conventuum numero sunt et oeconomici (gospodarskie), ubi quae ad usum palatinatus domesticum pertinent, constituuntur".

**) Ku końcowi książki (nie cytuję stronicy, bo niema tu paginacji) popiera jeden z mówców wywody swoje odczytaniem konsygnacji ilości łasztów zboża odstawionego z Polski w owym roku do Gdańska. Miała mieć ta konsygnacja urzędową datę d. 31 decembris anni 1729.

go w właściwym świetle, nazwać należytym imieniem i wskazać palcem, czy nie śmieli, czy nie byli usposobieni jeszcze do tego. Tymczasem licha ta nasza książczyna już w r. 1730 wywołuje wilka z lasu i chociaż go nie ubija, wypowiada najdokładniej, co on jest, co wart, do czego wiedzie.

Kwestja ta stanowiła pierwszy z porządku punkt dysput owego posiedzenia i były po niej omawiane jeszcze trzy inne. Zamierzam tu jednak tylko z niego zdać sprawę.

Rzecz się poczyna od zagajenia sejmiku. Ktoś, nie podany z nazwiska, wita zgromadzonych (dalej wyjaśnia się, że był to wojewoda) i oznajmia panom Braciom, że ten zjazd przychodzi do skutku z wiedzą i wolą Pana naszego miłościwego. Następnie zapytuje, czy będzie zgoda na mianowanie marszałka. Odzywają się dwa głosy, zgodne jeden po drugim (nazwiska mówców nigdy nie podaje ta książka), i przemawiają w tym sensie, że „ponieważ unum imperii corpus, więc też i unius animo posiedzenie kierowane być musi". — Skoro tak, więc proponuje zagajający jednego z obecnych panów na przewodniczącego. Prawdaż, powiada, żeśmy tu Troës omnes i Arcades omnes; bez braku i ekscepcji wszyscy godni zasiąść to krzesło: ale consiliorum coelum nie cierpi plures soles. Zatym tylko jeden może być gospodarzem tych obrad.

Kiedy wymienił osobę kandydata upatrzonego, odzywa się zaraz jeden z przytomnych z protestem. — „Nie pozwalam na JMości N. — dla niełaski JMości na mnie".

Przeciw temu wygłasza drugi „respons": Co tu czynić mają niedorzeczne privatorum cordolia? Tu nie inkwizycja, nie sądy. Masz WPan akta grodzkie, masz trybunały — tam się skarż! a tu prosimy nie być importunem.

Zamilkł protestujący. Wstaje ze stołka swego personat na marszałka wskazany. Z głębi serca dziękuje P. Wojewodzie i Ichmościom. To podziękowanie, najwyszukańszym stylem (oczywiście tamtoczesnym), zajmuje w książce całą stronicę. Zdawałoby się, że więc przyjmuje ofiarowany mu zaszczyt? — Ale gdzie tam! Po jakim kwadransie o tym i owym mówienia przystępuje do konkluzji rzeczy, przez siebie powiedzianych, a tą jest oświadczenie, że p r z y j m u j e, ale same tylko afekta braterskie. Za funkcję zaś marszałkowską — cum omni venia dziękuje, albowiem nie zna do siebie takich zasług, coby mu nadawały prawo do tego. Woli słuchać w tej mierze prze-

strogi Terencjusza: Vive tibi tecumque habita, nec grandia tentes.

Przeciw temu podnoszą się aż dwa contra-vota, naglące do cofnięcia odmowy. A kiedy nominat twardo obstaje przy swoim, wyruszają przeciw niemu jeszcze dwa inne. W przydłuższych mówkach tym argumentem go zbijają z partesu, że... „Mościanie N. inaczej być nie może! Od nominacji naszej uporowi W. M. Pana nie ustąpimy".

Na te słowa tak stanowcze kandydat mięknie: — „Poddaję barki, mówi, pod ciężar; lecz nim rękę ściągnę do laski, upraszam o oświadczenie, czy uniwersalna JWWMPanów zgoda na mnie sługę waszego?"

Kiedy mu odpowiedziano potakująco, marszałek siada wreszcie na krześle. Lecz zamiast już rozpocząć obrady, wygłasza, z tego miejsca dopiero, na dobre swoje podziękowanie — za dokonany już wybór. (Ta mowa zapełnia znowu całą stronicę). Po niej — poczyna się z grona zebranych jeszcze jedna mowa taka przedwstępna: „votum winszujące zaszczytu".

Teraz dopiero kolej znowu na Wojewodę.

— Ponieważ tedy mamy więc już marszałka, baczmy na to, abyśmy nie zmarnowali ni najmniejszej partykuły dobrego dnia i nie złożyli drogiego czasu na co innego, jak tylko na dobro nasze. By zaś do tego przystąpić, należy ante omnia statum quaestionis (=porządek dzienny) konsultacjom naszym uczynić. Na początek — mówi w dalszej części swego odezwania — stawiam od siebie następujące pytanie: „Co się też może znajdować złego, co może szkodzić — a co dobrego, coby prodesse mogło interesom województwa naszego?"

Zabiera głos pierwszy wotant z okazji tego pytania i oświadcza, że chce je uzupełnić „partykularną propozycją sejmiku boni ordinis". Myśl nam poddana, powiada, jest dobra, ale to jakieś universale. Trzeba to ściągnąć ad singularia. Otóż zgodzicie się wszyscy, że niema rzeczy, na której więcej każdemuby zależało, jak na potrzebie integritatis naszych sejmików. Albowiem u nas co jedna ręka, ręka bonum publicum miłującego, postawi, to druga ręka, libertyna zaślepionego lub też za prywatnym interesem zelanta, psuje i burzy. Temu koniec trzeba położyć. To jest, nad czym powinniśmy tu radzić.

Drugi głos jeszcze szerzej i otworzyściej rozwija, co tamten napoczął. Mówi z silnym przekonaniem. Z ubolewaniem to stwierdza, że sejmiki nasze już in ludibrium poszły u po-

stronnych narodów. Zowią je pogardliwie wielkim nic, wieżą Babel. Należy okiełznać groźną uchwałą zrywaczy obrad naszych. Inaczej i dzisiejszy sejmik nie uwieńczy dzieła tak pięknie rozpoczętego.

Dalsze votum, niby nie przeciwne, ale już jakoś po manowcach zjeżdża na ubocz. Przywtarza z razu, że zadają nam insultacje postronne, iż na naszych zjazdach parturiunt montes, nascitur ridiculus mus. I słusznie, że tak gadają: „Bośmy Słowacy, ale nie słowni". Ażebyśmy więc nie samych tylko słów byli uczyńcami (factores), życzyłbym przedewszystkim nałożyć frenum nie tak wolnym, jak zbytkującym językom w tamowaniu obrad naszych. (Sens tej mowy nie grzeszy jasnością, streszczam ją w duchu mówcy).

Dalsze votum nawraca do myśli przez pierwszych rzuconej, popiera ją, ale jasno także jeszcze nie powiada, w co godzi. Powołuje się na Sallustjusza, maluje jego słowami nieład zakorzeniony; ubolewa, że tak jak tam, i u nas zamiast miłości ojczyzny kwitnie swywola, ambicja, chciwość, przekupstwo. Tych wszech płodów matką discordia consiliorum. Raz na zawsze czas tej dyskordji „łeb skręcić".

Następujący votant idzie tym torem jeszcze dalej i śmielej. Słuszna to konsyderacja WPanów, że macie na uwadze wyniki naszych sejmików. Na co zaczynać, czego do skutku trudno przywieść? Ażeby więc tak te, jak i przyszłe nasze obrady doprowadzić do końca, trzeba uprzątnąć jedyną tego przeszkodę. A tą jest, nie mówię wolne, ale swywolne bez żadnej uwagi niepozwolam.

Tu zażądało porywczo aż trzech ziemian głosu. W każdym z tych trzech przemówieniu wre zgroza, zdziwienie, oburzenie, że się znalazł w tym zgromadzeniu, co śmiał z takim żądaniem wystąpić.

— Do tegożto już przychodzą rzeczy, MPanowie, że nam gęby zamykać każą i wolny głos wolnej szlachcie w starodawnym „pozwalam" lub „niepozwalam" zamierzają wydzierać? Na to ja, póki mi tchu i języka stanie, niepozwalam!

— Przeciwko tym Pitagorasom, którzy palec — chwała Bogu, że nie pięść — na gębę nam kładą, nakazując głosom wolnym silentium, ja protestuję. Niechby sami w język się ukąsili, aniżeli żeby takie rady przewrotne głosili przeciw złotej wolności.

— Cóżby nam było po językach, gdyby nas takiemi silencjarjuszami zrobiono? Zaczym póki życia mego, niepozwalam!

Następna mowa była znowu votum pro, ale nieco onieśmielone. Jmość Pan N. na oko wytknął, co naszemu dobru pospolitemu najbardziej szkodzi. Broń mnie Boże, żebym miał w czym uwłaczać wolnym głosom WMPanów i Braci. Ale ex leges trudno mi ścierpieć, u których czy „pozwalam" czy „niepozwalam" jest blichtrem. Zaczym tego usilnie żądam, ażeby warowną ustawą obwałować tę przepaść dobra pospolitego.

Contravotum wywołane tym głosem przypomina obecnym, że na tym to jednym słowie stoi polska libertas. Za osłabieniem tego fundamentu wolności idzie nieodzowna niewola. Zatym zbawienne to słowo sacrosancte musi być zachowane. Mimo tego pod koniec swojej perory godzi się jednak ten mówca na to, że jeżeliby panowie Bracia wykazali jakie wadliwości (menda) w tym słowie, to je poprawić, lecz bez naruszenia istoty wolnego głosu.

— Skoro zatym i z tej strony już zgoda na to, mówi dalszy ziemianin, aby in medium wyprowadzić absurda, które się kryją pod tą wolnego „niepozwalam" posturą: chętnie to onus biorę na siebie. I wykazuje bez ogródki, że pod tym tak umiłowanym płaszczykiem, pod tą (jak się wyraża) koszulą śmiertelną, którą pierwszy lepszy przekupny uszyć może, utajają się drapiestwa, zdrady tak całego państwa, jak województwa. Przez to niedochodzą deputacje, poselstwa — nawet sam trybunał koronny już zagrożony. Tym to właśnie „niepozwalam" krzewią się kłótnie, zawziętości między synami ojczyzny, machinacje skryte przewrotnych głów, wszystkie zgubne tej rzeczypospolitej fakcje. Zaczym należy koniecznie starodawną tej instytucji formę utrzymać, a to w ten sposób, żeby samo to słowo nie miało żadnej wartości, a tylko w takim razie, gdyby się na podstawie gruntownej racji wspierało, niechaj znajduje posłuch. Bo słuchać samej swawoli myśli przewrotnej, cudzą mamoną zbałamuconej głowy — to tyle, co być uczestnikiem criminis.

Dalszego przemówienia osnowa o tyle jeszcze dalej idzie w tymże kierunku, że wskazuje i sposób praktycznego w danych razach wykonywania rady co tylko wypowiedzianej. Mości Panowie, tylko gadać, a nie rationari — to rzecz papugom przyzwoita i srokom, a nie ludziom. Nie sam głos, ale i jego racja niech o końcu sejmików naszych rozstrzyga. Bo rationi servire libertas est. Owoż niech salvo meliori judicio JW.

MWMPanów i Braci ona racja idzie ad trutinam całego sejmiku i jeżeli na szali zdania rycerskiego koła jako słuszna zaważy, to niech wtedy ma i swój valor. Jeżeli zaś okaże się pozbawioną fundamentalnej prawdy, to takiej racji, a tymci bardziej samego tylko veto bez racji, wcale nie słuchać! Bo inaczej przyjdziemy do tej nieszczęśliwości, na której i rzymska demokracja utknęła. Niech raczej jeden swój sens dostosuje do wszystkich, niż żeby wszyscy jednego bez racji słuchać mieli. A gdyby kto uporczywie stał przy swym „niepozwalam", taki niech za burzyciela praw, wolności i mądrej rady, za nieprzyjaciela kraju będzie miany.

Taki był ostatni kres, aż do którego rozumniejsi zgromadzenia tego członkowie potrafili dotrzeć. Leży w słowach tego ostatniego preopinanta implicite już zasada konieczności pluralitatis votorum, większości głosów, na miejscu tego, co panowało dotąd. Zupełnie jasno tego nie wyraził, ale nie mógł mieć czego innego na myśli. I gdyby go nie byli zahuczeli dalsi przemawiający, byłaby musiała ta forma obrad publicznych wyłonić się z tych premisów.

Ale dalsze odezwania były to już po większej części same protestacje.

— A cóżto Mości Panowie się dzieje? Czyliż to godziwa i słychana rzecz, żeby brat szlachcic z wolnym swym głosem szedł na egzamin? Dawno temu dzięki Bogu przestaliśmy być żakami. Na inkwizycje, na tortury ma pójść słowo liberi veto? Wolnemu szlachcicowi dość racji „sic volo". Stat pro ratione voluntas.

— In dubiis, z dwojga złego eligendum mniejsze. Daleko mniej szkodzi, kto negative szkodzi, niżeli kto positive rzecz psuje. Gdyby gębę zatkano wolnemu „niepozwalam", łatwoby potym za kark nas wzięto. Tych nowinek nie znośmy. Niech dawnym trybem sejmiki będą sejmikami.

Pomijam dalsze tego rodzaju głosy, a wspomnę tu o jedynym, który i po tych nawet krzykach chciał jeszcze podtrzymywać konieczność proponowanej reformy. Nowego nic nie powiedział, ale wymknęło mu się z ust, że jurgeltowe subjekta nie dobra publicznego patrzą, ale „workowego dźwięku"; same milczeć nie chcąc, obradom wszystkich nakazują silentium przez przekupione veto.

To wywołało burzę, w której widocznie ci najbardziej gardłowali, których to osobiście dotknęło.

— Patrzcie, jako to Wielmożni Ichmość, przezorni ostrowidzowie, źdźbło widzą w oku u brata, ubogiego szlachcica, a na belkę swoich korupcji zostali kretami. Porachujmy się tylko Mości Panowie ze szkatułami, co to są pełne dla utrzymania obcych interesów, co to pełne cudzego... nie grosza, ale tysiąców. A więc już i sejmiki będą pajęczyną? Bąk się przebija, mucha utyka i na nią wina! Niech kocieł nie przygania garncowi i t. d.

— Za nasze myto jeszcze nas pobito. My według życzeń Waszmości utrzymujemy na sejmikach ich interesa, bo co prawda, nie grzech. A za to teraz na nas „crucifige". Że brat szlachcic weźmie tam jaki czerwony albo bity: a czyliż to robotnik niewart nagrody? Boli gardło gadać darmo. Jeżeli ta korupcja jest zgubna, to wali się to scelus na Was Wielmożnych Ichmościów. Nie dawać korupcji, a brat szlachcic brać jej nie będzie. Kto w piecu lega, niech drugiego ożogiem nie sięga...

W taki sposób cała ta sprawa weszła na pochyłość, po której dalej ją toczyć zdało się wszystkim rzeczą niepożądaną. Byłyć jeszcze mitygujące głosy, i za i przeciw. Lecz kiedy się jeden odezwał: nie pozwalam na te obrady, ani pro ani contra nie chcę niczego więcej słuchać w tej materji: marszałek z ubolewaniem uchylił przedmiot ten z porządku dziennego.

Tyle tylko potym uprosił, że nie miała przez to być zerwana activitas tego sejmiku. Jakoż weszły potym na stół trzy jeszcze inne pytania, dotyczące naprawy dobra publicznego, ale tak dziecinnie niedorzeczne, że wolę o nich zamilczeć. I z tych także na żadne ostatecznie się nie zgodzono. Rozjechali się do domu, niczego nie uchwaliwszy.

Ciekawym byłoby dociec, czy ten, jakem go nazwał, protokół sejmikowych obrad odnosił się do rzeczywistego zdarzenia, czy przeciwnie był tylko literackim własnym utworem Ks. Bystrzonowskiego. Jeżeli się oświadczam za pierwszym, to dlatego, że nie przypuszczam, żeby człowiek jeszcze młody, jakim był nasz autor, zaledwie 30 lat wieku sobie wtedy liczący, skromny zakonnik, umysł bynajmniej nie tego pokroju, co np. taki Konarski, owszem, zwyczajna przeciętna zdolność tamtego wieku, jak z pism innych jego wynika, śmiał był wystąpić z omawianiem kwestji tyle wtedy drażliwych i tak zdolnych ściągnąć burzę nietylko na jego głowę, ale i na zakon, do którego należał. Wydaje to v podręczniku szkolnym! „za pozwoleniem starszych", i nie w jednej edycji, ale był potym cały ich szereg.

Bibljografja wymienia ich 13, przedrukowywanych w różnych jezuickich drukarniach całego kraju, przez ciąg lat od 1730 do 1757. W Lublinie trzy wydania, w Warszawie dwa, w Poznaniu dwa, w Wilnie dwa, w Kaliszu dwa, w Krakowie i we Lwowie po jednym.

To wszystko zdaje mi się wtedy tylko możliwym, jeżeli przypuścimy, że było to przedstawienie faktu, który istotnie się wydarzył, którego nie można było zaprzeczyć, i którego obraz tu dany wreszcie nie przesądzał, po której stronie była słuszność, gdyż powtórzone wiernie i przedmiotowo argumenty tak jednego, jak drugiego stronnictwa.

Antoni Małecki.

Lwów.

WŁOSKIE STROFY.

MORZE.

Zejdź na dziwaczny stromy brzeg,
choć stopy w żwirze toną,
a z głazów pian niknący śnieg
falą powita słoną:
słuchaj, jak morze śpiewa,
jak się do słońca śmieje,
szafirowe,
pełne pieszczoty,
blask pije złoty,
nieruchomieje —
morze, senne szafirowe morze...

Po stromych zboczach hardych skał,
gdzie wicher nosi ziarna,
goryczek modrych płaszcz się zwiał
i bluszczu smuga czarna.
W powietrznej dali mewa
srebrzystoskrzydła płynie...
Rozmarzone

błękitną ciszą
skały nie słyszą —
zadumane —
jak śpiewa
morze, senne szafirowe morze...

*

* *

Z Tyberjuszowych ruin złota
Madonna płonie,
błogosławiące ściąga dłonie,
gdzie białych żagli zwinna flota
Salerno mgliste mija chyża.
Procidy, Ischji błękitnieją
dalekie brzegi,
a białe śniegi
na Wezuwjusza śnią szczycie...

Z chat, w zieleń skrytych, przy niedzieli —
dalekie echa
zawrotnej płyną tarantelli,
śpiew się uśmiecha,
rozpływa, ginie...
Z ogrodów patrzą róże
na mirtów ciche gaje,
narcyzów kępy duże
ślą mocne wonie,
mandoli białym kwieciem pruszą...
Na ciche tonie,
skał niemych ziele —
taka się modrość dziwna ściele,
snami takiemi świat spowity,
że w nieskończoność i błękity,
w słoneczne zorze

odchodzisz Duszo —
przez morze — senne szafirowe morze...

. . . . . .

nagle pod stopą szary żwir
pian srebrnych zawrzał wełną:
łódź na brzeg ciągną pescatori
ryb srebrnołuskich pełną —
Budzi się morze!

Marja Markowska.

Capri. Styczeń, 1904.

Przekreślone Strofy.

Przy zbiorowym, krytycznym wydaniu pism Juljusza Słowackiego, na które niezawodnie czekać może przyjdzie bardzo długo, zasługują przedewszystkim na uwzględnienie utwory, wydane po śmierci poety. Wiadomo, jak znakomity z tej literackiej puścizny użytek zrobił profesor Antoni Małecki. Lecz nie wyzyskał jej całkowicie, pozostawiwszy innym dalszą nad temi rękopisami pracę. Jakoż spotykamy ogłoszone później cenne fragmenty i warjanty z „Beatrix Cenci", „Beniowskiego", „Króla Ducha", „Podróży na Wschód" i inne pomniejsze utwory.

Przy obecnym dorobku w zakresie poezji i studjów nad twórczością Słowackiego można z pozostałych rękopisów wydobyć często piękne, nieznane fragmenty, a nadto pewne, dość ważne wskazówki objaśniające, jak się rozwijał i przetwarzał np. plan poematu, pisanego w pewnych odstępach czasu. Na okoliczność tę słusznie już zwrócił uwagę prof. Józef Tretiak, ogłaszając w pracowitym bardzo studjum „Nieznane fragmenty i warjanty Beniowskiego" *).

W posiadanym przeze mnie Dzienniku podróży Słowackiego na Wschód, obok rysunków, szkiców, notatek i przeróżnych rzeczy odnoszących się do podróży, znajduje się poe-

---

[1]) Bibljoteka Warszawska, zeszyt sierpniowy z 1902 r.

mat „Podróż do Ziemi Świętej", List do wuja, Teofila Januszewskiego, w dziesięciu redakcjach pisany i przerabiany, „List do Aleksandra H.(ołyńskiego"), „Piramidy", „Na szczycie Piramid", „Pieśń na Nilu", „Rozmowa z piramidami", pierwotny plan poematu „Rhamazes" i „Anhellego" oraz kilka z tego utworu pieśni, pisanych tercyną, i kilka innych, pomniejszych utworów.

„List o Egipcie" do Aleksandra Hołyńskiego, jednego z towarzyszów podróży, „pisany na łódce Nilowej" zawiera fantazjowanie na tle dziejów starożytnego Egiptu, zaprawione satyrą na stosunki europejskie. Pisząc pod czarem wielkich budowli i pomników egipskich, poeta potrąca też i o myśl, zamkniętą następnie w kilku słowach w liście do matki z Florencji pod datą 2 listopada 1837 r.:

„Oto, droga moja, — pisze — za kilka dni imieniny twoje, dzień tyle dla mnie święty. W Thebach go obchodziłem przeszłego roku i stałem przy obelisku Luxoru, który także teraz samotny, zdaje się tęsknić po swoim rówieniku, wydartym z rodzinnej ziemi i przeniesionym świeżo do Paryża..." *).

List ten ogłosił Słowacki w Tygodniku Literackim, wychodzącym w Poznaniu pod redakcją A. Woykowskiego w numerze z dnia 15-go lipca 1839 r., następnie przy „Lilli Wenedzie" („Wiersze—Paryż, 1840, str. 157—166). Z Tygodnika Literackiego przedrukowała wnet utwór ten wychodząca w Warszawie pod redakcją Dobka, Zielińskiego, Szabrańskiego i Skimborowicza Gazeta Poranna. Trzy odmienne redakcje tego wiersza: według autografu z pominięciem warjantów, Tygodnika Literackiego i wydania paryskiego z 1840 r. ogłosił dr. Henryk Biegeleisen przy sześciotomowym wydaniu „Dzieł Juljusza Słowackiego" we Lwowie w 1894 r.

W autografie atoli znajdują się nie tylko pojedyncze wyrazy i wiersze, lecz nadto całe ustępy, przekreślone przez poetę i nieuwzględnione w żadnym z dotychczasowych wydań „Listu do Hołyńskiego".

---

*) Zob. wydanie moje «Listów Juljusza Słowackiego». Lwów, Księgarnia Polska, 1899 T. II, str. 77.

Oto zamiast ustępu, rozpoczynającego wiersz 101:

Wyznam ci, że mi widać głębiej i wyraźniej
Gmachy stawiane myślą w krajach wyobraźni.
Jakże się piękną zdaje przy dumań pochodni,
Makbet, ta granitowa piramida zbrodni,

poeta w autografie przekreślił ośm następujących wierszy:

Piękna, przy genjuszu widziana pochodni,
Makbet ta granitowa piramida zbrodni,
Na którą wchodząc myślą bledną widzów twarze,
Piramida nieszczęścia rosnąca w Learze,
Marzeń w Hamlecie... czarnej zazdrości w Otello...
Jeden gmach wystawiony pomnikami wielą,
Który pod takim kątem Will postawił stary,
By w nim niebo błyszczało astronomom wiary.

Następnie po zwrotce, rozpoczynającej wiersz 125:

Lecz taki sposób pisma miał w sobie zaletą,
Że pisarz mógł się zrobić w nazwisku poetą,
W imieniu wyrzezanem nad marmuru brusem
L-rycerskim lwem było; dziewicze Lotusem.

znajdujemy w autografie następujący ustęp przekreślony ręką poety:

Piękność umarłej pięknym przypomina kwiatem...
Lecz na co wygrzebywać prochy pogorzelisk...
Zobacz dziś wędrujący po ziemiach obelisk,
Wygnaniec w obcym kraju—wryty w plac szeroki
Mglistą głowę przed ludźmi ukrywa w obłoki,
O tym, co widział, w żadnym języku nie gada,
Czy ją lud pod nim wznosi—czy we krwi upada
Smutny—niezrozumiany... zimny—obojętny.
Nie da cienia, gdy pod nim siądzie żebrak smętny,
Własne nieszczęście już w nim wytrawiło litość,
Jedynym jego skarbem jest duma i skrytość.
Spotkaliśmy się... pierwszy raz—oba tułacze...
Ten przeniknąwszy później zamiary dościgłe,
Rzekł mi: pozdrów odemnie Kleopatry igłę,
Pozdrów, jeśli twe czółno na Nil się odważy,
I tego, co sam został w Luxorze na straży,
Pod trumny między palmy—pod niebem z błękitu—
Ja tu nie umrę... ale zostanę... z granitu!...
Tam obalił monolit—tylko słychać szklany,
Płacz wiecznie buchającej na księżyc fontanny... [1]).

---

[1]) Strofę tę ogłosiłem w Nr 303 «Kurjera Warszawskiego» z dnia 2 listopada 1902 r.

Wreszcie po zwrotce rozpoczynającej wiersz 175:

Niema go tu—powiedział Anioł Magdalenie,
Zazierającej w grobu skrwawionego cienie.
Taką odpowiedź tobie Araby wyniosą
Z pustych katakumb... niema ich tutaj... lecz gdzie są?..

Słowacki znowu przekreślił ustęp następujący:

Gdy zazierała w grobu głębokiego cienie,
Niema go tu... powiedział Anioł Magdalenie.
Taką odpowiedź próżne grobowce przyniosą
Wędrownikowi...niema ich tutaj, lecz gdzie są?...
Pytanie wielkiej—dziwnie dzwoniącej próżności,
Jak trąba sądu... w tłumy ciał nie zbierze kości.
. . . . . .

Leopold Méyet.

ADOLF DYGASIŃSKI JAKO NAUCZYCIEL.

Przed dwoma laty ułożył się do snu wiekuistego Adolf Dygasiński. Śmierć nieubłagana wyrządziła krzywdę i jemu, co życie kochał, chociaż odbywał pielgrzymkę ziemską po drodze ciernistej; wyrządziła krzywdę i społeczeństwu, któremu syn dobry wszystkie siły poświęcił, aczkolwiek za tę ofiarność nie zyskał odpłaty macierzyńskiej. Żywot Dygasińskiego to praca znojna, nieustanna, wytrwała a różnostronna i płodna. Ślady jej niezatarte zostawił w piśmiennictwie ojczystym i w sercach mnogich ziomków. Twórca samoistnych w pomyśle i wykonaniu nowel ze świata ludu i przyrody swojskiej, pedagog szerokiej miary, publicysta sumienny i niezależny — napawał dusze podnioślejsze rozkoszą estetyczną, bił gościńce ideałom wychowawczym, z miłością obnażając rany społeczne i narodowe krzepił nadzieję, a zawsze z tym przeświadczeniem, by swą cegiełkę dorzucić pod budowę gmachu dobra i szczęścia ogólnego. Usiłowaniom tym towarzyszył nieodstępnie rozum głęboki, talent duży, charakter twardy a nieskazitelny, przekonania niezłomne, serce płomienne, miłość gorąca ziemi rodzinnej — dusza kryształowo czysta. Skory do usług publicznych, przyozdobiłby cennym swego pióra tworem i księgę niniejszą ku wspomożeniu nawiedzonej klęską braci siermiężnej, którą serdecznie kochał i w której widział zaczyn żywotny przyszłości jaśniejszej. A że go

brak między nami, godzi się może przypomnieć na tych kartach imię zasłużonego robotnika. Z orki jego na niwie różnorodnej działalności poważam się odwalić pługiem nieudolnym skibę na pozór nie czarnoziemną, ale w rzeczywistości nader plenną. Nie lśniła ona wprawdzie oka kłosem bujnym, lecz z wrzuconych przez dzielnego siewcę nasion wyrastały owoce zdrowe, soczyste, posilne. Tą skibą misternie krajaną jest praca nauczycielska Dygasińskiego.

* *
*

Zgasły przedwcześnie Adolf Dygasiński, zaszczytne zająwszy stanowisko w literaturze, jako powieściopisarz, publicysta i pedagog, dobrze ogółowi jest znany. Atoli nieboszczyk duże położył zasługi w innej jeszcze dziedzinie pracy cichej, ale nie mniej owocnej. Jest nią nauczycielstwo. Słuszna więc może odsłonić i tę stronę działalności, wypełniającej znaczny kęs żywota postaci tak wybitnej.

Dygasiński posiadał wszystkie warunki niezbędne nauczycielowi doskonałemu. Gruntowną i rozległą wiedzą tak z obrębu nauk humanitarnych, jak i przyrodniczych zdobył sobie wykształcenie wielostronne a przez nie pogląd szeroki na naukę i zadania życia. Tym zabezpieczył umysł swój od wszelkiej ciasnoty, jednostronności, uprzedzeń i pedantyzmu. Zgłębiwszy nadto teorje i zasady pedagogiki współczesnej, opartej na psychologji, stosował w praktyce swobodnie i umiejętnie środki i metody przez nią wypracowane. Już tą właściwością przerastał towarzyszów zawodowych. Ale celował jeszcze zaletami innemi.

Znał mianowicie naturę dziecka a znajomość tę przyswoił sobie nie tylko studjami teoretycznemi nad duszą ludzką, lecz także obserwacją osobistą. Odznaczał się bowiem niepospolitą bystrością spostrzegawczą. Dzięki temu uzdolnieniu i wypróbowanemu doświadczeniu w krótkim przeciągu czasu zapoznawał się dostatecznie z liczną nieraz rzeszą dziatwy, świeżo corocznie napływającej do szkoły. Rozmową przyjacielską zbliżał do siebie dzieci i odrazu zakładał podwalinę iście ludzkiego stosunku nauczyciela do ucznia. W dalszym nie skrępowanym obcowaniu orjentował się łacno i szybko, chwytał w lot przeróżne zewnętrzne objawy wewnętrznego życia malców, bez wysiłku odtwarzał sobie dokładny obraz indywidualności, docierając do najskrytszych zakątków psychy młodocianej i spełniając tym sposobem jedno

z głównych zadań nauczyciela. W duszach więc swych uczniów „gospodarzył mądrze" i skutecznie. Uwzględniając zawsze stopień rozwoju umysłowego i moralnego pacholąt, roztropnie dostrajał się do ich stanu a w użyciu środków odpowiednich był niewyczerpany.

Dygasiński nie tylko znał dzieci, ale i kochał je szczerze. Przejęty myślą, że z wątłych latorośli wyhodować trzeba dęby potężne, otaczał je pieczołowitością prawdziwie ojcowską. Wyrozumiały na figle, wady i ułomności wiekowi właściwe, odróżniał je ściśle od zdrożności i postępków złych; tamte wybaczał, te łagodnie i po ludzku karcił. W miarę pobłażliwy i surowy, nigdy nie przekraczał granic bezstronności i sprawiedliwości, zawżdy wszystkich jednaką ogarniał miłością. Sercem się rządząc, podbijał ich serca i ogólną u maluczkich skarbił sobie miłość. Próżen wszelkiej wyniosłości i szorstkości, zalecał się w obejściu prostotą, dostępnością, uprzejmością, serdecznością, nie tracąc bynajmniej nic z powagi i szacunku. Cierpliwość posiadał zdumiewającą. Nigdy nie słyszałeś gderań, łajań, fukań; nigdy nie dostrzegłeś gniewów, uniesień, złości, drwin a tym bardziej szykan; ale podziwiałeś natomiast, dobrotliwość i słodycz, sprzężone z delikatnością i wytwornością w każdym wyrazie, w każdym wystąpieniu. W dziecku Dygasiński widział zawsze człowieka a to człowieczeństwo szanował, nie obrażając godności jego nigdy — bodaj ironją. Zalety wysoce pedagogiczne i takt niezwykły znamionowały każdy krok jego zarówno na lekcjach, jak i podczas zabawy. To też uczniowie odczuwali i pojmowali nawet, że mają w nim, nie zwierzchnika, lecz prawdziwego przyjaciela i opiekuna szlachetnego. Garnęli się więc ochoczo do kochanego nauczyciela i obdarzali go zaufaniem całkowitym.

Dygasiński kochał nie tylko dzieci, ale i zawód nauczycielski. Od przyrody otrzymał, zdaje się, bogate zadatki zdolności pedagogicznych a pociąg do fachu późniejszego zdradzał już chłopcem 12 letnim, ucząc w domu rodzicielskim drobiazg wieśniaczy z własnego li popędu. Myślą przewodnią w wyborze karjery życiowej była mu nie żądza dobrobytu, nie ambicja wyniesienia, nie mara próżnej chwały, ale pragnienie najpożyteczniejszej może, acz nader skromnej i niepopłatnej służby dla społeczeństwa. Siać zdrowe ziarna w umysły młodociane, krzesać iskry uczuć szlachetnych, prowadzić po torach cnoty, wytykać czynom cele podniosłe, przygotowywać do sumiennego spełnia-

nia obowiązków osobniczych, rodzinnych i społecznych — poczytywał za jedno z najprzedniejszych i najbardziej owocnych zadań obywatelskich. Czując zaś siły po temu, poszedł za nieprzepartym głosem wewnętrznym i z zupełną świadomością postanowienia oddał się trudnej sztuce nauczania i wychowywania. Został tedy nauczycielem z powołania i powołaniu temu nie przeniewierzył się po kres żywota. Zawód obrany pokochał szczerze i gorąco. A to umiłowanie przy miłości młodzieży, wiedzy niepowszedniej, uzdolnieniu wysokim i pracy usilnej było źródłem jego mistrzostwa na polu praktyki pedagogicznej. Pracował zaś nie jak rzemieślnik dla zarobku jeno, ale jak prawdziwy artysta dla idei, jak kapłan namaszczony, którego ołtarzem dobro powszechne, przyszłość pomyślniejsza narodu. W pracę swą wkładał duszę całą. Trzeba było widzieć go przy robocie. Wyzwalał moc energji. Naprężone mięśnie, oko żarem płonące, policzki zaognione, głos podniesiony, perły potu, połyskujące na uznojonym czole, świadczyły wymownie o głębokim przejęciu się sprawą. Ożywiał się i zapalał niepomiernie. Z miłości ku młodzieży, z umiłowania zawodu swego czerpał przekonanie i wiarę niewzruszoną, że przy prawidłowym, rozumnym kierownictwie pedagog może i powinien ukształcić i wychować człowieka, obywatela. Na tym punkcie był optymistą niepoprawnym. Ale ta wiara i to przekonanie sprawiały, że w rzeczach wychowania nie ulegał zwątpieniu, nie zrażał się trudnościami, nie opuszczał rąk, lecz wytrwale szedł do celu i cel zamierzony zwykle osiągał. W pracy uciążliwej znajdował rozkosz a nieodłączne od niej przykrości znosił z niezamąconym spokojem i pogodą ducha.

Zakres praktyki pedagogicznej Dygasińskiego ograniczał się wyłącznie do nauczania i wychowywania prywatnego. Najprzód w Krakowie, a potym w Warszawie utrzymywał pensjonat. Nie była to zwyczajna tak zwana „stancja", pojmowana jako przedsiębiorstwo zyskowne, lecz instytut w istotnym i szerokim słowa rozumieniu wychowawczy. Urządzony i prowadzony wzorowo, odpowiadał w zupełności zarówno wszelkim wymaganiom hygjeny, jak i potrzebom umysłowym i moralnym. W obcowaniu bezpośrednim rozszerzał widnokrąg myślowy chłopców, prostował pojęcia, szczepił zasady etyczne, pouczał o obowiązkach. Posługiwał się zaś nie suchym, czczym moralizowaniem, lecz przykładami z życia. Umiejętnym a ludzkim obejściem zniewalał do karności bez rygoru zewnętrznego. Dokładając starań, aby choć w pewnym stopniu zastąpić młodzi dom rodzicielski,

wypędził sztywność, przypuszczał do udziału w zwykłym życiu rodzinnym, stwarzał w stosunkach codziennych atmosferę przyjacielską, przesiąkniętą zaufaniem i miłością. Dzieci, widząc w opiekunie przybranym ojca drugiego, lgnęły doń i wynurzały mu bez przymusu swe myśli i uczucia. — Powinności wychowawcy spełniał Dygasiński sumiennie; toteż nie dobił się na „mózgach czy żołądkach" wychowanków ani folwarczku, ani kamieniczki.

Głównym przedmiotem zajęć Dygasińskiego była nauka o rzeczach, którą, teoretycznie i praktycznie na właściwe w Warszawie wprowadzając tory, wykładał w domach oraz szkołach prywatnych męskich i żeńskich w klasie wstępnej. Wykład ujmował w system według porządnie obmyślanego i ułożonego planu, zawierając w nim ograniczoną ilość rzeczy najważniejszych i należycie uzwiązkowanych. Za cel stawiał sobie udzielenie pewnej wiedzy empirycznej o świecie z otoczenia najbliższego, tudzież rozwinięcie władz myślenia. Lekcja metodyczna ogarniała nieraz kilka lekcji godzinnych, lecz każda z nich tworzyła całostkę zamkniętą, a następna łączyła się ściśle z poprzedzającą. Gruntowność nauczania osiągał prostowaniem i dokładnym oznaczaniem pojęć części, cech i całości przedmiotu a także zestawianiem ich dla tym lepszego poznania przez wykazanie podobieństw i różnic. Utrwalał zaś wiedzę nabywaną streszczaniem i powtarzaniem już to pojedyńczych ustępów, już to lekcji godzinnej czy metodycznej. Uwagę w dużym utrzymywał napięciu nowością szczegółów, modulacją głosu a zwłaszcza umiejętnym pobudzaniem i wyzyskiwaniem procesu apercepcji, przez co wywoływał zainteresowanie intelektualne. Ku temuż celowi zdążał, przykuwając uwagę uczniów w miarę potrzeby nieco dłużej do jednej rzeczy. Ale unikał zarazem zbytniego natężenia umysłu przerwami w lekcji lub chwilową zmianą jej treści. Formę wykładów stanowiły głównie pytania, za pomocą których naprowadzał ucznia do samoistnego poznawania faktów lub zjawisk, do tworzenia definicji, na jaką umysł młodociany naturalnie mógł się zdobyć, a następnie do wydawania sądów i wysnuwania wniosków. Tak postępując a nadto żądając od malców przy traktowaniu nowego przedmiotu wyliczania części lub wyszukiwania cech już znanych, podniecał samodzielność myślenia. Pytania przerywał niekiedy opowiadaniami krótkiemi, jędrnemi, pełnemi znaczenia a mającemi łączność z rzeczą wyjaśnianą. Posługując się stale indukcją, od faktów konkretnych,

szczegółowych, poznanych drogą analizy, dochodził, wiążąc je i skupiając przez syntezę, do możliwych uogólnień. Metodzie towarzyszyła nieodłącznie prostota, jasność, konkretność. Części przedmiotu same dzieci pokazywały palcami, jak również kształty, obwodząc palcem powierzchnię. Przyzwyczajał Dygasiński do ścisłości w nazywaniu własności, np. odcieni barw. Naukę łączył z życiem, podnosząc użyteczność rzeczy. W stawianiu wymagań baczył starannie na stopień rozwoju osobników. Emulacją posiłkował się bardzo ostrożnie, dopuszczając ją o tyle, o ile zmierza do wytworzenia rozkoszy ze spełnienia pracy obowiązkowej i do pozyskania uznania ze strony przewodnika; zapobiegał przytym zręcznie wyradzaniu się zarozumiałości, zazdrości, niezgody.

W nauczaniu uwzględniał nader troskliwie język ojczysty. Odpowiedzi musieli uczniowie dawać zdaniami całkowitemi w formie poprawnej. W zastosowaniu do rzeczy traktowanych podsuwał zwroty przenośne lub przysłowia. Czuwał gorliwie, aby malcy w drobnych ćwiczeniach ustnych lub piśmiennych, które przy mądrym prowadzeniu udawały się dobrze, używali wyrażeń szczerze polskich.

Aczkolwiek miał głównie na pieczy rozszerzenie zakresu poznania i kształcenie rozumu, nie zaniedbywał przecież i strony moralnej, albowiem wychowanie uważał za nierozerwalnie zespolone z nauczaniem. Umiejąc wzruszać serca w sposób umiarkowany, rozbudzał przy nadarzonej sposobności uczucia rodzinne, patryjotyczne, religijne, estetyczne. Przychodziło mu to tym łatwiej, że sam był przenikniony uczuciami podniosłemi.

W pochwałach i naganach oszczędny, nie stopniami lub nagrodami, ale samym wykładem wielce ożywionym i obejściem ujmującym dodawał bodźca do pilności i uwagi, wpajał zamiłowanie pracy. To też lekcja nie była udręką, lecz godziną rzeczywistej przyjemności intelektualnej i moralnej. Z oczu dziatwy tryskało niekłamane zadowolnienie, zwłaszcza gdy pan profesor uśmiechnięty, przygryzając wąsa i gładząc liniejącą czuprynę, wygłaszał słowa otuchy: dobrze, dobrze chłopcy! Po skończonej godzinie tłoczyli się jeszcze żaczkowie do nauczyciela, zasypywali go pytaniami związanemi z lekcją, lub kwestjami nowemi. Do kar Dygasiński nie uciekał się nigdy, a jednak zawsze znajdował dla swej woli posłuch i uległość. Twierdził bowiem, że „nie środkami zewnętrznemi, ale własną dobrocią prowadzi się dzieci do dobroci". W izbie szkolnej, lubo uczniowie

odpowiadali zazwyczaj chórem, nie było zamętu; przeciwnie, panował ład i porządek.

Takim był Dygasiński nauczycielem malców. Nie dziw więc że za nim przepadali.

Ale nie tylko z drobiazgiem miał do czynienia. Kształcił i młodzież dojrzalszą w domach zamożnych poza Warszawą. A był ku temu przygotowany tak, jak mało kto z naszych pedagogów. Wywiązywał się też z trudnego zadania wyśmienicie. Panując nad przedmiotami nauczania, obejmującemi kurs gimnazjalny, stosując do każdego metodę właściwą, nie przytłaczał mózgu drobnostkami, szczegółami podrzędnemi, lecz kładł nacisk jeno na rzeczy zasadnicze; nie wielość, lecz jakość wiedzy miał na widoku. Pobudzał przytym do samodzielności i dbał przedewszystkim o rozwinięcie umysłu, rzucając podwalinę do dalszej ewentualnie pracy samoistnej. Dawał wreszcie pojęcie o istocie danej nauki i stosunku jej do innych; nauki pokrewne zestawiał i wiązał, wyjaśniał wartość każdej z osobna oraz doniosłość ogółu ich, jako całości, pod względem intelektualnym i życiowym.

Głęboko przeświadczony, że obok wykształcenia rozumu równorzędne, jeśli nie celniejsze nawet miejsce zajmuje udoskonalenie moralne, dokładał w tym kierunku usiłowań gorliwych i zwykle z powodzeniem. Zależnie od natury indywidualności ucznia dobierał odpowiednich środków oddziaływania a oddziaływać umiał nader korzystnie. Pozostając z wychowankiem na stopie przyjacielskiej, bez drapowania się w togę powagi, życzliwością, szczerością, prawdomównością zjednywał łatwo jego zaufanie i wiarę — kamień węgielny stosunku wzajemnego, serdecznego. Czy to na lekcjach, o ile treść się nadawała, czy też w częstych rozmowach swobodnych roztrząsał z taktem nieporównanym kwestje różnorodne, bodaj najdrażliwsze, dotyczące rozlicznych a zawikłanych zagadnień bytowania, wszczepiał i rozwijał zdrowe na świat i zadania życia poglądy, ogrzane uczuciami wzniosłemi i przepojone zasadami szlachetnemi, wysoce humanitarnemi. Dodatnie strony natury moralnej wychowańca, będące jeszcze w stadjum nałogowym, uświadamiał, przeobrażając je w czynniki stałe i dobroczynne. Pouczał o obowiązkach społecznych, wytykał drogi, jakiemi kroczyć winien przyszły obywatel kraju na obszerniejszej widowni działalności publicznej. A nie czynił tego w sposób dogmatyczny, lecz każdą sprawę pogłębiał i traktował szeroko, dowodowo, przy świetle

krytyki, dopuszczając opozycję ucznia i wywołując dyskusję, przez którą wytwarzał i utrwalał w nim przekonania rozumne i zacne, budował fundament charakteru. Własnym życiem bez skazy świecił jasno a piastując szczytne ideały narodowe i ogólno-ludzkie, wdrażał dla nich miłość i cześć w dusze młodzieńcze. Wywierał też wpływ wszechstronnie dodatni. Nie roniąc ani krzty z niepodległości zdania, pracą sumienną zdobywał ze strony uczniów uznanie i wdzięczność nieobłudną a ze strony ich rodziców poważanie rzetelne.

Nadto między rokiem 1880 a 1890 wykładał w Warszawie w kółkach prywatnych pannom kończącym edukację lub nauczycielkom początkującym pedagogikę. Był to kurs ujęty w całość składną i systematyczną a zastosowany rozmiarami i osnową do stanu umysłowości słuchaczek, tudzież do potrzeb i zadań w dalszym ich życiu. W wykładzie uwzględniał przedewszystkim rzeczy najważniejsze, umiejętnie je uzasadniał i gruntownie wyjaśniał ich znaczenie. Wywody teoretyczne ilustrował i stwierdzał przykładami z życia a czerpał je z doświadczenia innych lub własnego. Uczennice zachęcał do obserwacji samoistnej objawów życia dziecięcego oraz do sprawdzania teorji, która wypłynęła z doświadczenia i w niezakłóconej z praktyką musi być zgodzie. Nieustannie miał na oku przyszłe matki i obywatelki, jako naturalne wychowawczynie i pierwsze w nauczaniu przewodniczki. Wyłuszczał więc zasady postępowania, obowiązujące wychowawczynię rozumną a zawisłe od starannego baczenia na indywidualność dziecka, na stopniowy a możliwie harmonijny rozwój jego fizyczny i duchowy od chwili urodzenia. Ten punkt podnosił z dobitnością szczególną. Z drugiej zaś strony wskazówkami dydaktycznemi i metodycznemi przygotowywał grunt do nauczania, zgodnego z wymaganiami pedagogiki racjonalnej. Pragnął podnieść poziom wykształcenia pedagogicznego kobiet, aby uchronić je od uchybień i błędów, rozpanoszonych w wychowaniu i nauczaniu dotychczasowym. Usiłowania te nie pozostały bez następstw pożądanych. Z licznego grona jego uczennic wyszła niejedna matka rozsądna i nauczycielka uzdolniona. Wykładając posługiwał się formą osłuszną, ale rzucał też pytania a odpowiedzi mniej lub więcej trafne prostował. Wpadając przytym często w zapał, dawał szerokie objaśnienia, skutkiem czego odbiegał niekiedy od tematu, lecz szybko się spostrzegał i przepraszał audytorjum za mimowolne zboczenia, aczkolwiek i w nich zawierały się uwagi cenne. Wrażliwe dusze młodych

słuchaczek przejmowały się gorąco nauką, wygłaszaną z ogniem, nabierały zamiłowania do zawodu pedagogicznego i pracowały gorliwie. Dla dokładnego zrozumienia i ustalenia pojęć nabywanych ucennice pisywały rozprawki na tematy, będące w związku z treścią lekcji, jak np. „Znaczenie kar i nagród".

Pozatym Dygasiński prowadził jeszcze dla nauczycielek specjalne wykłady metodyki, obejmującej wyłącznie dział nauczania elementarnego. Wnosząc z okruchów notatek profesora, traktujących metodykę ogólną, przypuścić wolno, że był to kurs zakrojony na szerszą skalę i zapewne opracowany starannie, jak wszystko niemal, czego się Dygasiński imał. Na ich podstawie da się zaznaczyć, iż szkole początkowej i prawidłowemu nauczaniu elementarnemu przyznawał olbrzymie znaczenie kulturalno—społeczne. Wykazywał wyższość edukacji publicznej nad prywatną, dowodził, że szkoła elementarna ma być przymusową, w granicach możliwych świecką i od wpływów zewnętrznych niezależną, instytucją wszechstronnie wychowawczą a zorganizowaną i prowadzoną na zasadach humanitarnych. Nauczanie zaś winno być zgodne z naturą wogóle, a z naturą ludzką w szczególności, zgodne z cywilizacją swojską, opartą na wzorowych rezultatach cywilizacji światowej, zgodne z każdoczasowemi stosunkami narodu, jego ideałami i potrzebami życiowemi. Nauczycielowi elementarnemu wyznacza stanowisko wysokie, lecz i wymagania pod względem intelektualnym i moralnym stawia nie mniej wysokie. Jedno i drugie przekracza miarę zwyczajną, sięga ideału bodaj niedoścignionego. Ale bo też jako pedagog był Dygasiński pod niejednym względem rzeczywiście idealistą.

Nadto w ciągu r. 1882 miewał w zakładzie freblowskim Teresy Mleczkowej wykłady o metodzie poglądowej i nauce o rzeczach. Z talentem i zapałem wielkim odsłaniał wymownie przed dość licznym gronem przeważnie kobiet dojrzałych, nieznane im widnokręgi w krainie pedagogiki racjonalnej, wyłuszczał nowe a raczej wskrzeszał zaniedbane i zapomniane u nas zasady nauczania początkowego. Umiejętnym wyzyskaniem i obrobieniem materjału bogatego, ścisłością rozumowania, świeżością poglądów, prostotą i jasnością wykładu, siłą przekonania, gorącym i pełnym życia słowem pociągał umysły, budził duże zajęcie przedmiotem i niecił doń zamiłowanie istotne.

Też same zalety ujawnił Dygasiński i w odczytach, z któremi występował dwukrotnie w 1880 r. w sali ratuszowej na ko-

rzyść głodnych ślązaków, zaznajamiając ogół ze zdobyczami pedagogiki nowoczesnej.

Nigdy może przedtym z katedry publicznej u nas nie rozlegał się głos skromnego pedagoga, oddziaływający potężnie na koła szersze.

Oto obraz dość różnostronnej i zgoła niejałowej działalności nauczycielskiej Dygasińskiego. Rozciągał ją na płci obie od pacholęcego do wieku dojrzałego. Z jednej strony zaprawiał kształceniem umysły i serca młodociane do pracy i czynów zacnych, z drugiej zaś przygotowywał zastęp pracownic użytecznych na niwie społecznej. Nie tylko przez swe uzdolnienie, sumienność, zapał i umiłowanie zawodu, ale i przez swą nieustającą nigdy dbałość o ścisłe zespalanie z nauczaniem sprawy wychowania był Dygasiński bez przesady wyjątkowym u nas nauczycielem. Już to jedno, pomijając nawet zasługi rzetelne na polu piśmiennictwa, daje mu prawo niezaprzeczone do nazwy obywatela dobrze społeczeństwu zasłużonego.

Stanisław Mieczyński.

O prawa poszkodowanego

Po wielu wiekach zgadywania, czy obwiniony o spełnienie przestępstwa jest winien, stracono zaufanie do różnych form sądów Bożych i zaczęto dochodzić prawdy samodzielnie. Przedewszystkim, naturalnie, uznano, że najzasadniej rozstrzygać to pytanie na podstawie przyznania się pociągniętego do odpowiedzialności, bo on najlepiej zna wszystkie okoliczności czynu i winy, a nie zeznawałby wbrew własnemu interesowi, z uwagi na grożącą mu karę. I rozpoczęła się długa epoka dociekania prawdy w postępowaniu karnym przy użyciu różnych środków przymusowych, aby skłonić pociągniętego do odpowiedzialności do wyznania prawdy, właściwie do przyznania się, a przez to aby uzyskać podstawę dla orzeczenia sądowego. W ciągu wieków obwiniony o przestępstwo utracił wszelkie prawa w obec sądu, stał się wprost środkiem dochodzenia karnego. Dopiero w nowszych czasach, stopniowo, uznawano, że odpowiadający przed sądem karnym nie może być poczytywany za narzędzie do wykrycia prawdy, za przedmiot — ulegający różnorodnym dotkliwym ograniczeniom dla wydobycia z niego przyznania i powoli zaczęto wydzielać mu prawa strony w postępowaniu, dopóki nie ustalono wreszcie, że dochodzenie karne ma zgromadzić dowody winy i niewinności pociągniętego do sądu niezależnie od niego samego, oraz że służy mu w postępowaniu karnym prawo jaknajobszerniejszej swobodnej obrony. W najnowszych nakoniec czasach uznano, że pociągnięty do odpowiedzialności kar-

nej, któremu nie dowiedziono winy, ma prawo do wynagrodzenia za ograniczenia, jakim uległ wskutek wytoczenia mu procesu karnego.

Obok sprawcy przestępstwa występuje zwykle poszkodowany, tj. podmiot, którego istotne prawa zostały naruszone lub ograniczone bezprawnie. Niegdyś restytucja jego praw była głównym zadaniem postępowania sądowego. Następnie prawa jego stopniowo zanikały, aż wreszcie zanikły. Stanowisko jego stało się opłakane. Nie tylko ulega wstrząśnieniom wskutek naruszenia najistotniejszych praw: — życia, zdrowia, czci, majątku, — lecz nadto skazany jest na długotrwały niepokój w oczekiwaniu ponowienia się napadów najczęściej nieznanego sprawcy, traci nieraz bardzo istotne prawa i znosi niekiedy bardzo uciążliwe skutki tej utraty, — ale prócz tego, wrazie dochodzenia sądowego, zmuszony jest odbywać liczne stawiennictwa do władz i sądów, wykazywać prawdziwość swych zeznań, ulegać różnorodnym ograniczeniom. Wszystko to spotyka go bez jego winy, jedynie dla tego, że się stał przedmiotem przestępstwa.

Czy wobec rozszerzenia praw sprawcy przestępstwa i wogóle pociągniętego do odpowiedzialności karnej nie należałoby pomyśleć o przyznaniu praw należnych i poszkodowanemu?

Dotąd wolno mu korzystać z praw świadka z pewnemi ograniczeniami, — albo strony w postępowaniu karnym, przyczym może osiągnąć — ukaranie winowajcy i przyznanie sądowe wynagrodzenia, którego jednak zwykle odzyskać nie może.

Czy nie nadszedł już czas, aby uwolnić poszkodowanego w postępowaniu karnym od niektórych ograniczeń, a przedewszystkim — zapewnić mu rzeczywiste możliwe wynagrodzenie szkód i strat, spowodowanych przez czyn przestępny?

Prof. Dr. W. Miklaszewski.

Podniety.

Fizyczne prawo inercji odgrywa i w psycho-fizjologji ważną rolę. Podobnież, jak ciało bezwładne upiera się przy spokoju, a wprawione w ruch, ma dążność do poruszania się bez przerwy, tak i w dziedzinie przejawów nerwowo—duchowych bezwład i ruch walczą o trwanie niezakłócone. I jak inercja ruchu ciała fizycznego jest powstrzymywana przez różne przeszkody zewnętrzne, wskutek których jego szybkość maleje i w końcu znika, tak też zakres działalności nerwowo—duchowej tamowany jest przez rozmaite czynniki, które dążą do zmniejszenia siły tego ruchu i sprowadzają ostatecznie bezwład.

Jednak pomiędzy fizyczną i nerwowo-umysłową inercją zachodzi różnica zasadnicza: gdy przeszkody w pierwszym przypadku działają bezwzględnie hamująco, w drugim rzecz ma się często wręcz przeciwnie — służą podnietą do tym szybszego działania. Kula, wyrzucona z działa, ma dążność do poruszania się po linji prostej z pierwotną szybkością, czyli do nieskończoności przestrzeni i czasu; jednak siła przyciągania ziemi zmienia jej kierunek, a tarcie o powietrze zmniejsza szybkość — i kula porusza się po paraboli coraz wolniej, aż wreszcie przechodzi w stan spokoju. Inaczej ma się często rzecz np. z myślą: przeszkoda, którą napotyka, nietylko nie zmniejsza jej siły, ani zmienia kierunku, lecz nieraz jest bodźcem do tymbardziej gorączkowych przejawów. Powiadam: często, bo nieraz inercja

myśli i ciała przedstawiają podobieństwo tak wielkie, że możnaby wykreślić ruch myśli również w postaci paraboli, nawet w postaci pionu, jak kuli, która, napotkawszy przeszkodę nie do przebycia, spada, odbita o nią pod siłą ciążenia.

Tam, gdzie przeszkoda potęguje ruch, widać najlepiej, czym jest podnieta. Jeżeli np. koń ciągnie wóz po płaszczyźnie poziomej z pewną szybkością, a zjedzie na drogę kamienistą, piaszczystą, lub będzie musiał ciągnąć pod górę, to szybkość zmniejszy się w stosunku prostym do wielkości przeszkody. Zaś w dziedzinie nerwowo—duchowej ten wóz może nietylko nie zwolnić ruchu, lecz przyspieszy go, jak gdyby przybyło koni w zaprzęgu. Zasady dynamiki i kinetyki zdają się tu nie obowiązywać. A tłumaczy się to tym, że zostają tu wprowadzone w grę inne siły, które w poszczególnych wypadkach mogą dać wynik całkiem nieoczekiwany. Są to siły zapasowe, będące w stanie napięcia, a wyzwalane przez rozmaite bodźce, którym nadajemy nazwę ogólną podniet. Zmieniają one tak dalece ruch po linji prostej o szybkości pierwotnej, że przypominają nieraz raczej ruch ciała spadającego, którego szybkość powiększa się w każdej sekundzie, niźli ruch kuli idealnej, wyrzuconej w przestrzeń bezpowietrzną.

Podniety wyzwalają siły zapasowe ustroju i to właśnie sprawia, że nie da się przewidzieć wynik ich działania, ponieważ każdy ustrój oddziaływa na podnietę w inny sposób, a nawet rozmaicie i ten sam w różnych warunkach. Dość jest podnieść bat, by jeden koń zerwał się w całym pędzie, gdy na innego nie działają nawet razy; dla jednego biesiadnika wystarcza kieliszek wódki, by wprawić go w stan pobudzenia, — inny znosi bez widocznego wpływu całe butelki wyskoku; w grupie słuchaczy jeden jest wstrząśnięty do głębi tym, co przed nim wyłuszczano,—inny przyjmuje to obojętnie, jeszcze inny nie rozumie i nie odczuwa nic zgoła; ten sam utwór może wywrzeć na nas raz bardzo silne wrażenie, innym razem, zależnie od naszego nastroju chwilowego, — przejść niepostrzeżenie itd. Dla tego to podnieta sama przez się nie wskazuje jeszcze, jaka siła zostanie wyzwolona ze stanu napięcia i jaką pracę nerwowo—umysłową może wykonać w danej chwili ustrój. Jestto tylko coś w rodzaju pociągnięcia za cyngiel, czyli bodziec, wystarczający do zapalenia kapiszona; ale siła wybuchu zależy tylko od ilości siły napiętej, uwięzionej w prochu, od jego ilości, zapalności, spoistości i t. p. A że tych czynników nie jesteśmy w stanie uwzględnić

w całej pełni, przeto i o wynikach podniety nie możemy powziąć pojęcia należytego. Czy raz widzi się, że jakieś pojedyncze wydarzenie nadaje kierunek myśleniu i działaniu człowieka na całe życie, że jakaś książka przeczytana, widowisko zobaczone, mowa usłyszana, czyn spostrzeżony, są podnietą do działalności, drogowskazem na drodze życia? Zapewne i tu wszystko zależy od tej siły napiętej układu nerwowo—umysłowego, a nie od podniety, która tę siłę wyzwala, bo może nie ona tylko mogłaby spowodować to samo; jednak z punktu widzenia praktyki życiowej jest rzeczą nieobojętną, gdzie, a zwłaszcza kiedy to wyzwolenie nastąpi, podobnież jak nieobojętnym jest, czy kapiszon rzuci iskrę w nabój strzelby, czy w ładunek działa, czy w składy prochowni. Największym nagromadzeniem materjałów palnych, wybuchowych, jest w życiu ludzkim wiek młodzieńczy; w wieku dojrzałym część tych prochów wybucha drobnemi ładunkami, a ku schyłkowi lat niszczeje reszta od wilgoci i pleśni. Dlatego to winniśmy być nadewszystko ostrożni w stosowaniu podniet u młodzieży.

Określiliśmy podnietę jako czynnik, wyzwalający siłę napiętą układu nerwowo—umysłowego, co zmienia tak dalece kierunek i zakres przejawów w tym układzie, że nie odpowiadają one ogólnym zasadom inercji. Taką podnietą mogą być rozmaite czynniki, począwszy od tych, pod których działaniem rozwija się i rośnie ustrój (światło, powietrze, pożywienie, ciepło i.t.d.) a kończąc na tych, które działają bezpośrednio na stronę duchową (nauczanie, przykłady, obcowanie i.t.d.). O tym winniśmy pamiętać zwłaszcza przy hodowaniu dzieci, obarczonych dziedzicznie, które łatwiej i silniej oddziałują na wszelkie bodźce. Jako zasadę ogólną można przyjąć, że dzieci zdrowe, dobrze odżywiane, rosnące na świeżym powietrzu, przyzwyczajone do wahań ciepłoty i wilgotności atmosfery, nie przeciążane i nie stępiane umysłowo przez przedwczesne napędzanie do nauki, dzieci, w których rozumny kierunek wyrobił samodzielność spostrzegania, myślenia, czucia, działania, podlegają mniej rozmaitym podnietom, że wchodzą w okres młodzieńczości jako osobniki odporniejsze, których materjały wybuchowe są tak zabezpieczone, że byle iskra ich nie rozsadzi. Z takich młodzieńców wyrastają ludzie, panujący nad podnietami. Ale takich ludzi, których należy uważać za normalnych, spotyka się w życiu bardzo mało. A dzieje się to, między innemi, i dla tego, że podniety są stosowane na szeroką skalę od najmłodszego wieku w myśl

przeświadczenia, że sprzyjają rozwojowi dziecka. Jeżeli przejrzeć choćby cały arsenał środków odżywczych, które mają z wielką korzyścią zastępować pokarm normalny, pobudzając łaknienie, rozwój mięśni, wzmacniając nerwy (??); jeżeli zastanowić się nad szeregiem sposobów i środków, które mają, ku większej pociesze rodziców, zrobić z dziecka—małego człowieka, naśladującego we wszystkim dorosłych, co jest uważane za przejaw niezwykłej inteligiencji (!!); jeżeli rozważyć wpływ różnych zachęt, nagród, morałów, kar, stosowanych po to, by dziecko uległo narzuconemu sobie sposobowi myślenia i postępowania; jeżeli uwzględnić szereg rozbudzonych pragnień i pożądań, które przejawiają się np. pod postacią zazdrości, a wynikają z nierówności stanowej, różnej zamożności rodziców, rozmaitych przywilejów wieku i t. p.; jeżeli zrozumieć choćby te czynniki, to stanie się jasnym, że w okresie rozwoju, gdzie powinno zbierać się najwięcej sił fizycznych i umysłowych, które mają stać się bogactwem człowieka w ciągu całego życia, wyczerpuje się przez podniety te siły dla źle uświadomionych celów. Niech zasklepieni w skorupie przesądów wychowawcy nie dowodzą, że bez podniety niema przejawu siły, a bez częstej wprawy — doskonalenia się; są to zdania zwodnicze, które mają za zadanie obronić system wychowania i kształcenia, a nie stworzyć dzielne i silne pokolenie. Świat otaczający daje sam dość bodźców do rozwoju cielesnego i duchowego dziecka, tak że niema potrzeby wprowadzać specjalnych podniet; a doskonalenie się, choć jest w stosunku prostym do wprawy, zależy przedewszystkim od takich czynników, jak popęd, pociąg, zamiłowanie, jakie wzbudza dany przedmiot, a nie od podniet sztucznych, które stosuje się w tym celu.

Weźmy przykład: wychowawca zachęca, pobudza, zmusza dziecko do uczenia się języka obcego, lub nazwisk miast, rzek, gór, i.t.p. twierdząc, że te podniety dadzą dziecku siłę—wiadomości, a długa wprawa—wiedzę doskonałą. Jednak te przedmioty są tak dalece obce potrzebom umysłowym dziecka, że traci się na nie siły jedynie dla tego, iż podnieta jest dość silna, by je wyzwolić; ale zato niema tu mowy o doskonaleniu się w danym kierunku, bo postępy są zazwyczaj bardzo małe, a jakiś czas po zaprzestaniu „wprawy" wietrzeją szybko wszystkie wiadomości, natomiast umysł wyjaławia się tak dalece, że staje się niezdolnym do obejmowania najprostszych zjawisk.

To samo można powiedzieć o wielu innych podnietach. Np. dziecko nie ma łaknienia, bo układ mięśniowy jego nie jest czynny, a nerwowo—umysłowy przeciążony; więc stosuje się środki „na pobudzenie apetytu"; przy bezsenności — środki nasenne, przy zaparciach — czyszczące, przy upośledzeniu odżywiania — wzmacniające i.t.d. czyli przerabia się ustrój, mający urządzenia samoregulacyjne (byle pozwolić im działać), na manekina, który przy udziale pewnej ilości sprężyn wykonywa pewne czynności.

Takie wprowadzenie podniet sztucznych a lekceważenie czynników naturalnych, zmienia już w zaraniu życia przejawy inercji nerwowo—duchowej: ruch po linji prostej, z szybkością pierwotną, który winien być ideałem, podobnież jak w dziedzinie zjawisk fizycznych, zmienia się tu do niepoznania; linja ta staje się krzywą, połamaną, na niej zarysowują się liczne wzniesienia prawie pionowe (odpowiadające chwili działania podniety) i spadki bardzo znaczne, często pod kątem ostrym; a szybkość ruchu wzmaga się niekiedy wyraźnie, to znów spada prawie do zera.

Dłuższe stosowanie bez oględności podniet prowadzi do zakłócenia równowagi układu nerwowo—umysłowego, do wyczerpania jego sił, do zmniejszenia odporności. Jestto mniej więcej to samo, co zastąpienie u konia owsa przez bat, lub puszczenie w obrót kapitału żelaznego, który miał zabezpieczać przedsiębiorstwo.

Tej wiwisekcji dokonywamy ciągle w najlepszej myśli na naszych dzieciach, na otoczeniu najbliższym, na obie samych; w najlepszej myśli i wierze, bo idąc za popędem wieku, za głosem tych, którzy krzyczą najdonośniej. I nie umiemy zastanowić się nad tym, że tłum ogłupiony, bezmyślny, szukający coraz nowych podniet (bo wyskok, wszelkie trucizny pobudzające, rozpasanie zmysłów, hazard, rozbujanie wyobraźni już mu nie wystarczają), jest pierwszym wytworem tego systemu, znanego jeszcze Rzymianom pod hasłem: „panem et circenses"; — że dzieci, zapowiadające się, jako przyszłe filary społeczeństwa, wychodzą zbyt często na niedołęgów, wyrzutków, a prawie zawsze na ludzi nieudolnych, wyczerpanych; — że nasza przeciętna kobieta jest tylko zwitkiem nerwów, nie mogącym istnieć bez ciągłych podniet; — że my sami zdradzamy zbyt często nierównowagę umysłowo-nerwową.

Tego wszystkiego nie widzi się, czy niechce się widzieć, bo umysły współczesne, olśnione zdobyczami pary i elektryczności, za jedyny postęp uważają wyzwalanie jak największej ilości siły czynnej w jednostkę czasu. Koń, który ciągnął naszych ojców z szybkością 10-ciu wiorst na godzinę, został zastąpiony przez konia żelaznego, posuwającego się po szynach pięćkroć szybciej, a dziś ustępuje miejsca samochodowi, który podwoił jeszcze bieg, choć wiezie przeważnie ludzi, dla których nadmiar czasu jest prawdziwą plagą. Świeca i lampa, które rozpraszały ongi ciemności wieczoru, ustąpiły elektryczności, która robi z nocy dzień, by dać możność człowiekowi targać skuteczniej nerwy i mózg. Wypoczynek po znużeniu został napiętnowany mianem lenistwa, gnuśności i zastąpiony przez różnorodne podniety (widowiska, koncerty, pijaństwo, hazard, bale, i t. d.), które mają jakoby uszlachetniać człowieka, rozszerzać jego widnokręgi. Poprzestawanie na tym, co życie dać może, stało się jednoznaczne z brakiem dążności wyższych, a uganianie się za rzeczami, nie dającemi się osięgnąć jak li tylko przy wielkich wysiłkach (np. wielkie mienie, stanowisko wybitne i t. p.), jest hasłem wieku.

Dziś człowiek woła: „podniety, podniety! a zajdę na wyżyny"! I, wołając tak, ma się za nadczłowieka, gdy właściwie jest tylko człowiekiem zwyrodniałym, człowiekiem w upadku, człowiekiem bezwładnym, jak manekin, o ile sprężyna ukryta nie popchnie go do wykonania karykaturalnego ruchu. Ci panowie, tworzący, malujący, grający w „nastroju", wywołanym przez wysko«, bachanalje i inne podrażnienia zmysłowe, to żywe dowody, do czego prowadzą podniety.

Bryła kamienna, strącona z wysokiej góry, przyspiesza coraz biegu, miażdży drobne zapory, strąca tysiące kamieni, które kaskadą ciągną za nią, jak ogon za kometą; i nie da się przewidzieć, czy tę masę kamienną, ożywioną ruchem szalonym, zatrzyma gdzie płaszczyzna góry, czy też spadnie ona w dolinę, niosąc śmierć i zniszczenie tam, gdzie kwitło życie... Ani podnieta, która wyzwoliła siłę napiętą bryły kamiennej na wyżynach, ani sam ten głaz, co setki wieków przeleżał bezwładny, nie wiedziały, że nie igra się z siłą nieznaną.

Taką siłą nieznaną jest układ nerwowo—umysłowy. Ile energji napiętej może wyładować się z niego w jednej chwili pod wpływem podniety, zwłaszcza szeregu podniet, — nie możemy określić; co stanie się z ustrojem, gdy odrazu wielki za-

pas sił zostanie zużyty, — nie umiemy przewidzieć; jaki wpływ na otoczenie wywrze ten nagły wybuch, nie jesteśmy w stanie ocenić; — więc, mając do czynienia z tyloma niewiadomemi, a przed oczami doświadczenie codzienne, że wątpliwy pożytek podniety nie okupi jawnej krzywdy, przez nią zrządzonej, wykreślmy podniety z liczby sposobów spotęgowania naszej działalności, osiągnięcia plonu obfitego. Zwłaszcza w stosunku do rozwijających się ustrojów, które winny gromadzić zapasy sił na całe życie, baczmy, by nie zostało użyte to, co mogłoby być pożytecznym dopiero po latach. Przyroda daje sama dość podniet do działania ustroju, mającego urządzenia samoregulacyjne; zbyteczne są więc podniety postronne.

W wieku, którego hasłem jest wyzwolenie jak największej ilości siły ze stanu napięcia i wprowadzenie jej coprędzej w działanie, głos, wołający: „zwolnij biegu! precz z podnietami!"— będzie uchodził za wstecznictwo. Ale może dojdzie do uszu tych, którzy w pościgu zostali wyprzedzeni, i do zmęczonych tą gonitwą, którzy wycofali się z biegu, i do zgnębionych i złamanych, że zostali w tyle, a może i do tych, którzy chcą stanąć do zapasów. Ci, którzy stanęli u mety, jako zwycięzcy, nie usłyszą tego głosu; lecz o nich nie chodzi nam zupełnie: podnieta, jaką jest upojenie zwycięstwem, zamyka im oczy na rzeczywistość.

Dr. W. Miklaszewski.

Gieneza, wymiary i zmienność pasów klimatycznych.

(KARTKA Z GIEOGRAFJI ASTRONOMICZNEJ).

Kąt padania promieni słonecznych na poziom zmienia się tak w czasie — w ciągu roku, jak i w przestrzeni — w miarę oddalenia miejsca od równika; innemi słowy: kąt ten jest funkcją

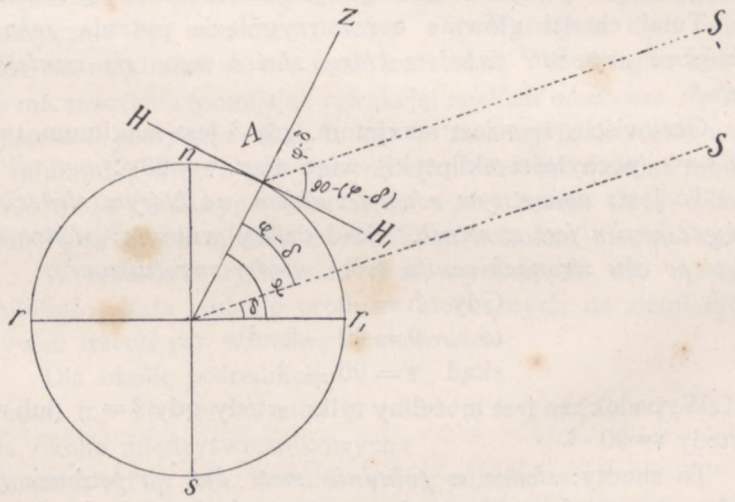

zarówno położenia ziemi na jej drodze, czyli zboczenia słońca, jak i położenia miejsca na ziemi, czyli szerokości gieograficznej.

Znajdźmy wyrażenie ogólne na ten kąt h dla każdej szerokości φ i dla każdego zboczenia δ.

Niech na ubocznej figurze, przedstawiającej kulę ziemską w przekroju południka, $r\,r_1$ oznacza równik, ns—oś, $H\,H_1$—poziom punktu A; niech zboczenie słońca S będzie δ, szerokość gieograficzna punktu A będzie φ.

Z figury tej widzimy, że kąt SAH_1 to jest kąt, pod jakim promienie słońca padają w południe na poziom punktu A, czyli południowa wysokość słońca, jest: $h = 90 - (\varphi - \delta)$.

We wzorze tym należy δ uważać za dodatne, gdy jest jednoimienne z szerokością φ, w przeciwnym razie—za ujemne; przytym w razie gdy $\delta > \varphi$, co się może zdarzyć w okolicach międzyzwrotnikowych, należy zamiast $\varphi - \delta$ wziąć $\delta - \varphi$.

Ze wzoru tego możemy wyczytać:

1) *W jakich warunkach wogóle, to jest przy jakiej szerokości φ kąt h jest maximum, to jest $= 90^0$ i minimum, to jest $= 0^0$.* (Nie bierzemy tu w rachubę obniżania się słońca *pod* poziom, oraz *kierunku* jego oddalania się od zenitu, gdyż dla siły ogrzewającej promieni jest to obojętne).

Gdy $h = 90^0$
to $90 = 90 - (\varphi - \delta)$
skąd $\varphi = \delta$

To znaczy: *słońce tylko wtedy może dochodzić do zenitu pewnego miejsca, gdy szerokość gieograficzna równa się zboczeniu.*

Tutaj chodzi głównie o rozstrzygnięcie pytania, *jaka jest największa szerokość taka, w której słońce może się wznieść do zenitu?*

Oczywiście, że φ jest maximum, gdy δ jest maximum, to jest gdy $\delta = \varepsilon$ (pochyłości ekliptyki), więc max. $\varphi = 23\,^1/_2{}^0$.

To jest: *najwyższym równoleżnikiem, na którym słońce może dosięgać zenitu jest zwrotnik.* Stąd dalszy wniosek: *słońce może wahać po obu stronach zenitu tylko między zwrotnikami.*

Gdy $h = 0$
to $0 = 90 - (\varphi - \delta)$
skąd $\varphi = 90 + \delta$

Wypadek ten jest możebny tylko wtedy gdy $\delta = -$ (lub $= 0$), a wtedy $\varphi = 90 - \delta$.

To znaczy: *słońce w południe może być na poziomie tylko wtedy, gdy szerokość gieograficzna równa się dopełnieniu zboczenia do 90^0.*

Tutaj chodzi głównie o rozstrzygnięcie pytania, *jaka jest najmniejsza szerokość taka, w której słońce w południe może dosięgać poziomu.*

Oczywiście, że $\varphi = 90 - \delta$ jest wtedy minimum, gdy δ jest maximum (t. j. $= \varepsilon$), więc

$$\text{min. } \varphi = 90 - 23^1/_2 = 66^1/_2{}^0$$

To jest: *najniższym równoleżnikiem, na którym słońce w południe może sięgać poziomu, jest koło biegunowe. Stąd dalszy wniosek: słońce może w południe sięgać pod poziom tylko wewnątrz kół biegunowych.*

2) Powtóre ze wzoru $h = 90 - (\varphi - \delta)$ możemy także wyczytać, *jak wielkie jest maximum i minimum kąta padania promieni słonecznych h pod daną szerokością* φ.

Teoretycznie rzecz biorąc, największy kąt h jest przy największym zboczeniu. To jest przy $\delta = +\varepsilon$, a najmniejszy przy najmniejszym zboczeniu, to jest przy $\delta = -\varepsilon$ więc:

$$\text{max. } h = 90 - (\varphi - \varepsilon)$$
$$\text{min. } h = 90 - (\varphi + \varepsilon)$$

Wzory te, teoretycznie zupełnie ogólne, praktycznie nie dadzą się jednak zastosować do okolic: a) w których słońce waha po obu stronach zenitu, to jest, jak wiemy, do okolic międzyzwrotnikowych, i b) — w których w południe może być pod poziomem, to jest, jak wiemy z poprzedniego, do okolic biegunowych. W pierwszym bowiem razie nie ma znaczenia *kierunek odchylenia się słońca od zenitu* tak, iż kąt 90° musimy uważać praktycznie za maximum; więc z powyższych dwu wzorów wzór na maximum h nie może tu służyć. W drugim zaś razie nie ma znaczenia (pomijając refrakcję) *wielkość obniżenia się słońca w południe pod poziom* tak, iż kąt 0° musimy praktycznie uważać za minimum; więc z powyższych dwu wzorów wzór na minimum h nie może tu służyć. Oba więc wzory razem służą tylko dla okolic pośrednich między zwrotnikiem a kołem biegunowym.

W rezultacie tych roztrząsań wynika, że dla maxymów i minimów kąta padanie promieni słonecznych na ziemi musimy używać trzech par wzorów, a mianowicie:

Dla okolic pośrednich:

max. $h = 90 - (\varphi - \varepsilon)$; min. $h = 90 - (\varphi + \varepsilon)$; różnica $2\varepsilon = 47°$.

Dla okolic międzyzwrotnikowych:

max. $h = 90°$; min. $h = 90 - (\varphi + \varepsilon)$; różnica $= \varphi + \varepsilon$ [1]).

---

[1]) W „*Kosmografji*“ Jędrzejewicza 1886 str. 79 podano dogmatycznie, że w „*całym*“ pasie międzyzwrotnikowym słońce może mieć najniższą wysokość $66^1/_2$ ($66° 33'$) — z naszego wzoru min. $h = 90 - (\varphi + \varepsilon)$ widać, że to ma miejsce tylko przy $\varphi = 0$, to jest tylko na równiku.

Dla okolic biegunowych:
max. $h = 90 - (\varphi - \varepsilon)$; min. $h = 0$; różnica $= 90 - (\varphi - \varepsilon)$.

Ze wzorów tych widzimy, że różnica w okolicach pośrednich jest wszędzie jednakowa ($2\,\varepsilon$), w okolicach zaś międzyzwrotnikowych i biegunowych zmienia się z szerokością gieograficzną, a mianowicie: w okolicach międzyzwrotnikowych wzrasta ze wzrostem szerokości (na równiku $= \varepsilon$, na zwrotniku $= 2\,\varepsilon$); w okolicach zaś biegunowych wzrasta z maleniem szerokości (na kole biegunowym $= 2\,\varepsilon$, na biegunie $= \varepsilon$).

Z powyższej analizy wzoru na wielkość kąta padania promieni słonecznych w różnych szerokościach przekonywamy się, że pod tym względem, to jest *pod względem stosunków ogrzewania, a głównie oświetlenia każda półkula (północna i południowa) ziemi dzieli się na trzy różne okolice, na trzy pasy czyli strefy różnego ogrzania, a głównie różnego oświetlenia;* na obu półkulach tych pasów jest pięć: *międzyzwrotnikowy* („gorący"), *dwa pasy biegunowe* („zimne") i *dwa pasy pośrednie* („umiarkowane"). Granicami tych pasów są zwrotniki i koła biegunowe.

Nazwy tych pasów umieszczone w nawiasach, dawniej, a poczęści i dotąd, używane, nie są odpowiednie, albowiem odnoszą się one do stosunków ogrzewania; a ogrzewanie rzeczywiste zależy nietylko od wielkości kąta padania promieni, ale także od wielu innych warunków (np. natura gruntu, wysokość poziomu i t. d.), tak iż często okolica w pasie „gorącym" może być zimniejsza niż okolica w pasie „umiarkowanym".

Pasy więc, powyżej wymienione, są przedewszystkim *pasami oświetlenia;* pasami klimatycznemi można je nazywać tylko o tyle, o ile wyrazowi klimat nadawać będziemy nie obecne, rzeczywiste, lecz dawne, etymologiczne znaczenie (κλίμα = nachylenie).

*

* *

Szerokości kątowe każdego z powyższych pasów są następujące: szerokość połowy międzyzwrotnikowego $= \varepsilon$, szerokość biegunowego $= \varepsilon$, szerokość więc pośredniego $= 90 - 2\,\varepsilon$.

Szerokości więc, a stąd i powierzchnie pasów zależą od ε.

Powierzchnie pasów łatwo obrachować na tej podstawie, że powierzchnie pasów kulistych mają się do siebie jak ich wysokości, a zatym, oznaczając promień ziemi przez R, połowa pasa

gorącego ma się do jednego umiarkowanego i jednego zimnego (lub cały gorący do dwuch umiarkowanych i dwuch zimnych) jak

$$R \operatorname{Sin} \varepsilon : R \operatorname{Cos} \varepsilon - R \operatorname{Sin} \varepsilon : R - R \operatorname{Cos} \varepsilon$$

czyli: $\operatorname{Sin} \varepsilon : \operatorname{Cos} \varepsilon - \operatorname{Sin} \varepsilon : 1 - \operatorname{Cos} \varepsilon$

Dwa ostatnie wyrazy można przedstawić w innej formie, mianowicie: trzeci na tej podstawie, że

$$1 - \operatorname{Cos} \varepsilon = 2 \operatorname{Sin}^2 \frac{\varepsilon}{2},$$

drugi zaś na tej podstawie, że

$$\operatorname{Sin} (45 - \varepsilon) = \operatorname{Sin} 45 \operatorname{Cos} \varepsilon - \operatorname{Cos} 45 \operatorname{Sin} \varepsilon$$

a że: $\operatorname{Sin} 45^0 = \operatorname{Cos} 45^0 = \frac{1}{\sqrt{2}}$

więc: $\operatorname{Sin} (45 - \varepsilon) = \frac{1}{\sqrt{2}} (\operatorname{Cos} \varepsilon - \operatorname{Sin} \varepsilon)$. Stąd:

$$\operatorname{Cos} \varepsilon - \operatorname{Sin} \varepsilon = \operatorname{Sin} (45 - \varepsilon) \sqrt{2}$$

Podstawiając te dwie wartości w powyższą proporcję otrzymamy:

$$\operatorname{Sin} \varepsilon : \operatorname{Sin} (45 - \varepsilon) \sqrt{2} : 2 \operatorname{Sin}^2 \frac{\varepsilon}{2}$$

a obliczając: 2 : 2,6 : 0,4.

Przyjmując powierzchnię całej ziemi za 1, znajdziemy dla pasów oświetlenia następujące liczby:

Pas międzyzwrotnikowy = 0,4
Dwa pośrednie = 0,52
Dwa biegunowe = 0,08

*

* *

Szerokości jak i powierzchnie pasów zależą, jak widzieliśmy, od ε, ale ε jest wielkością zmienną, więc i *pasy oświetlenia ulegają zmianom.*

Gdyby $\varepsilon = 0$, to, jak z poprzednich wzorów na szerokość (lub na powierzchnię) pasów wynika, pasy międzyzwrotnikowy i biegunowy zniknęłyby, utrzymałby się tylko pośredni $(90^0 - 2\varepsilon)$ i szerokość jego wynosiłaby 90^0 na każdej półkuli, to jest pas pośredni objąłby całą kulę ziemską: zjawiska oświetlenia na całej ziemi byłyby wciąż takie, jak obecnie w chwili porównania; dnie

zawsze i wszędzie byłyby równe nocom, różnice pór roku zniknęłyby, wieczna wiosna zapanowałaby na ziemi.

W miarę wzrostu ε malałby pas pośredni; warunkiem jego całkowitego zniknięcia jest

$$90 - 2\varepsilon = 0$$
$$2\varepsilon = 90$$
$$\varepsilon = 45$$

Gdyby więc $\varepsilon = 45$, to pas pośredni by zniknął, zwrotniki zlałyby się z kołami biegunowemi na równoleżniku 45 tak, iż ten równoleżnik doświadczałby zarówno zjawisk zwrotnikowych (słońce w zenicie) jak i biegunowych (słońce w południe na poziomie).

W miarę dalszego wzrostu ε oba pasy, zwrotnikowy i biegunowy, zachodziłyby na siebie; zamiast jednego równoleżnika 45° powstałby cały *pas wspólny* obu pasom, doświadczający zarówno zjawisk zwrotnikowych jak i biegunowych — *pas kontrastów.*

Gdyby nakoniec $\varepsilon = 90°$, wówczas pas kontrastów zająłby całą kulę ziemską — cała ziemia doświadczałaby naprzemian zjawisk zwrotnikowych i biegunowych; różnice, które przy $\varepsilon = 0$, znikały, teraz dochodziłyby do maximum: słońce dochodziłoby do zenitu wszystkich z kolei punktów naszego globu, wywołując w każdej miejscowości dnie najnierówniejsze i pory roku najbardziej kontrastowe; paląca spiekota i zimno lodowate, przeciągła jasność i przeciągła ciemność nawiedzałyby w ciągu roku naprzemian każdą okolicę. Ludzkość, narażona na tak zabójcze wpływy, musiałaby prawdopodobnie wciąż zmieniać miejsce swego pobytu, pędzić nędzny koczujący żywot.

Te same rezultaty zmian ε możnaby też wyprowadzić, podstawiając różne ε we wzór na stosunkowe obszary powierzchni pasów.

Dla $\varepsilon = 0°$ stosunek ten będzie $0 : 1 : 0$

„ $\varepsilon = 45°$ „ „ $\frac{1}{\sqrt{2}} : 0 : 1 - \frac{1}{\sqrt{2}}$

„ $\varepsilon = 90°$ „ „ $1 : -1 : 1$

Wreszcie rezultaty te można łatwo sprawdzić graficznie, rysując glob, obiegający około słońca z osią: prostopadłą do ekliptyki (dla $\varepsilon = 0$), leżącą na ekliptyce (dla $\varepsilon = 90$) i nachyloną pod kątem 45° (dla $\varepsilon = 45°$).

Z powodu rzeczywistych zmian pochyłości ekliptyki (ε) sądzono, że ziemia nasza może znaleźć się w takich krańcowych

położeniach ($\varepsilon = 0$ lub $\varepsilon = 90$) i wyprowadzano stąd wniosek o wielkich przewrotach klimatycznych; jednakże badania matematyczne Laplace'a i innych wykazały, że zmiany ε są zawarte w tak ciasnych granicach (kilku stopni), iż nie potrzebujemy z tego powodu obawiać się dla ziemi jakichś zmian na gorsze, lub łudzić się nadzieją „wiecznej wiosny" złotego wieku.

Wacław Nałkowski.

SYBILLA I PRZEDŚWIT.

(Szkic porównawczy.) ♣♣♣

Ojcem błędnego badania pomników piśmiennictwa epok minionych jest niezawodnie wielki aleksandryjczyk Filon dzięki swemu alegorycznemu wykładowi Biblji. Ustawicznie za Mickiewiczem powtarzane motto Goethego z uwag do „West-östlicher Divan" *) że kto chcę poetę zrozumieć, musi znać jego kraj, pozostanie bezpłodną radą dla czytelnika, który, zabierając się bez należytego przygotowania do czytania dzieł dawnych, nie wie nawet, jakie mu grozi niebezpieczeństwo. Będzie rozumiał tekst inaczej, niż rozumiał go autor. Jeżeli w dodatku tradycja opromieniła ów tekst czcią i miłością, to niebezpieczeństwo wzrasta, gdyż czytelnik poczyna go sobie tłumaczyć alegorycznie, przypisywać autorowi myśli, których on pomyśleć nie mógł, modernizować jego pogląd na świat, jego filozofję, powiedzmy nawet: jego wiedzę. Nie przypuści, że ewangielista Łukasz znał źle gieografję Palestyny **), a Mickiewicz nie zawsze orjentował się trafnie w gieografji nieba ***), że różne wiadomości z zakresu

*) „Wer das Dichten will verstehen,
„Muss ins Land der Dichtung gehen,
„Wer den Dichter will verstehen,
„Muss in Dichters Lande gehen".

**) E. Renan: Les Apôtres, przedmowa str. XII.

***) „Dawida wóz, gotów do jazdy, długi dyszel kieruje do polarnej gwiazdy", tymczasem w rzeczywistości dyszel ten zwrócony jest w całkiem innym kierunku, jak zauważył G. Tołwiński.

fizyki, które dziś z książek przedostały się niemal na ulicę, uważane były stosunkowo niedawno za czyste utopje i to przez najmędrszych ludzi innej epoki, że prawie każde pokolenie inaczej myśli i czuje, niż poprzednie. Wszak prawo ewolucji zostało sformułowane tak niedawno! Prawie każdy z nas w dziedzinie wiedzy, z którą się styka tylko, ale której nie studjuje, jest skłonny do rozumowania na wzór owej tak zresztą sympatycznej kobiety z procesu wrzesińskiego, która na zapytanie prokuratora, jakim językiem mówił Chrystus, odpowiedziała natychmiast i z najgłębszym przekonaniem, że polskim. Słusznie tedy Höffding w swej „Filozofji religji" powstaje przeciw różnym liberałom w nauce i w życiu, którzy popełniają takie same dowolności, jakie zarzucają wstecznikom. Wszelki postulat rozumu powinien być poparty dowodem naukowym, należycie rozwiniętą teorją, lub bodaj dostatecznie umotywowaną hipotezą.

Krytyka literacka ma pod tym względem zadanie bardzo utrudnione. Bada płody piśmiennictwa pięknego, którego cechą zasadniczą jest nieścisłość wysłowienia, mowa figuryczna, przenośnie. Niezależnie od zawartych w nich myśli, niezależnie od całych grup idei, które ostatecznie dość łatwo poddać pod mikroskop wibracyjny analizy, działa jeszcze forma, dzięki której, wprowadzeni przez autora w pewien nastrój, poczynamy w duszy dośpiewywać dalsze ciągi a nieraz na zupełnie fałszywą nutę i w ten sposób jednym skokiem znajdujemy się znowu w Filonowskim alegorycznym wykładzie tekstu. Oprócz tego krytyka literacka ma zadanie utrudnione jeszcze i pod tym ważnym względem, że dla należytego spełnienia swego zadania musi nieraz sięgać do dziedziny wiedzy tak odległej od przedmiotu, że się to wprost wydać może paradoksalnym. Czy rozumie nieprzygotowany czytelnik, że dla wyjaśnienia np. „Widzenia księdza Piotra" z III-ej części „Dziadów" trzeba między innemi sięgnąć do żydowskiej „gimatrji" *) a celem wyjaśnienia jakiejś piosenki ludowej—do Wirgiljusza i Ojców Kościoła **) ? To też podstawowym zadaniem krytyki literackiej jest należyte i umiejętne rozgraniczanie epok, gdyż najbardziej nawet indywidualni pisarze podlegali pewnym ogólnym prądom myślo-

*) Patrz autora „Któż ten mąż?" str. 19, Kraków 1903.

**) Dr. Feliks Koneczny „Konserwatyzm chłopski", Bibljoteka Warszawska VIII. 1903, str. 383.

wym i nastrojom uczuciowym. Krytyka powinna nam odbudować światopogląd epoki romantycznej, klasycznej etc., winna nam także dać wszystkie elementy, które się złożyły na sposób odczuwania poetów w danej epoce. Wtedy zbliżymy się do należytego zrozumienia i odczucia ich dzieł, ustrzegając się alegorycznej transpozycji tekstu na gamę dzisiejszą.

Każda epoka ma swoją filozofję, swoją psychologję, swój kamerton uczuciowy. Tę różność ujrzymy wyraźnie, zestawiając dwa dzieła poetyczne, napisane w różnych epokach na ten sam temat. Pragnę uczynić takie zestawienie i poświęcam mu szkic niniejszy.

Obieram nasz tak zwany klasycyzm i romantyzm, które niegdyś staczały ze sobą boje zacięte. Zestawię Woronicza z Krasińskim. Obaj uchodzą za wybitnych poetów swych epok. Zestawienie jest według mnie trafne, gdyż nawet stosunek uczuciowy do otoczenia jest podobny: szczera rzewność Woronicza ma się tak do racjonalizmu chłodnego klasyków, jak entuzjazm Krasińskiego do szczerej rzewności romantyków. Obaj uprawiali w poezji historjozofję, obaj wreszcie poruszyli jeden i ten sam temat w „Sybilli" i w „Przedświcie". W obu poematach mamy bowiem przegląd bohaterów historji naszej; w obu chodzi o wskazanie dzisiejszemu dniowi, czego poucza go wczoraj o jutrze. Ale nie na tym kończy się przypadkowe, czy nieprzypadkowe podobieństwo. Spotykamy nawet pokrewne formacje stylistyczne. Jeżeli przeprowadzimy w tym kierunku dowód prawdy, będzie nam łatwo potym wykazać, jak swoje zadanie pojął klasyk, poczynający od słów: „O ty sławna wyrocznio Hesperyjskich krajów", i romantyk, poczynający właściwie od słów: „Czy pamiętasz nad Alp śniegiem".

Oto szereg podobieństw.

W Puławach pod świątynią Sybilli Woronicz „otoczony rotą czarnych myśli" duma nad przeszłością, aby odpowiedzieć na pytanie: „czymeśmy niegdyś byli, do czegośmy przyszli".

Krasiński „nad jeziora włoskim brzegiem" rozmyśla tak samo i chce patrzeć „w dawno zmarłych twarze", by ich pytać: „co ich wichrem takim gnało... że tak dbając o nas mało, krew nam i w krwi śmierć nam dali?"

I oto przed każdym z nich staje dla świata zamarła a dla nich żywa przeszłość.

Przed Woroniczem staje najpierw Solon Sarmatów, Ka-

zimierz Wielki, szereg Jagiellonów, potym Henryk „zbiegły od Sekwany", Batory, Zamojski i inni.

Przed Krasińskim staje Stefan Czarniecki, ów hetman, rycerz kresowy, za nim „przewodowo, zwolna, święcie... idą, idą wszystkie mary... wszyscy z trumien polskich rodem... Tam buńczuki, tam sztandary, śnieżne pióra i korony".

Woroniczowi „księżyc kaganiec roznieci i bladawych widziadeł po kątach nanieci", a Krasińskiemu „gdy księżyc kona", to „z chmur powodzi coraz więcej tych widm schodzi".

I tu i tam mamy nawet monologi zjawiskowych postaci. U Woronicza przemawia np. Kazimierz Wielki: „od źrzódeł starej Laby rzek słowińskich Xsieni", przemawia Zygmunt Stary: „Synu, jeszcześ nie dorósł", przemawia Batory; u Krasińskiego przemawia ów hetman: „Ani z soli, ani z roli, ale z tego co mnie boli ja wyrosłem" i t. d.

Ale najcharakterystyczniejszym faktem jest to, że w obu poematach odzywa się głos ostateczny „z nieba". U Woronicza czytamy: „Ludzie! Bóstwo się objawia, grzmi Niebo, świat się chwieje, z ogromem głos przemawia: O zlepki skazitelne wielkości i nędzy" etc.; u Krasińskiego: „I słyszałem głos co woła w wiecznym niebie: jak im Syna niegdyś dałem" etc.

Te przykłady wystarczą, aby przekonać czytelnika, że poeci poruszyli jeden i ten sam temat, że go rozwijają w sposób podobny, że nawet używają podobnych form stylistycznych, że słowem stanęli na gruncie, który w zupełności uprawnia do krytyczno-porównawczego estawienia.

Z chwilą, gdy to zostało ustalone, możemy mówić o różnicach. Da się ująć owe różnice w następujące twierdzenie: o jednej i tej samej rzeczy wypowiedział się klasycyzm ustami Woronicza a romantyzm ustami Krasińskiego. Woronicz stanowi typ tak zwanego umysłu trzeźwego, poety realisty, który boleje, ale fantazją ani na łokieć nie odbiega od ziemi. Choć ksiądz, choć mu religja każe wierzyć w duchy, choć nawet mówi czasem o „znikaniu" postaci, to zdaje się, że jest to tylko u niego zwrot poetycki a nie wizjonerska rzeczywistość. To katolicki Wirgiljusz. On „rozmyśla" nad przeszłością w sposób wzniosły, szlachetny, piękny, rozumny, ale całkiem ziemski. Publiczne nieszczęścia nie pchnęły umysłu jego na niepewne fale politycznego mesjanizmu, jak Mickiewicza, choć magister chirurgji Buczkowski, otworzywszy w obecności dr. Malfati'ego ciało zmarłego dla zabalsamowania, znalazł w lewej półkuli

mózgowej narośl wielkości kurzego jaja, która, uciskając mózg, sprawiała fizyczne dolegliwości i rozstrój umysłowy *).

Całkiem inaczej Krasiński. To wizjoner. On nie rozmyśla nad przeszłością, on ma coś w rodzaju wizji. On nie boleje. On szaleje z bólu w poemacie, choć nie oszalał w życiu. Ale obraz, jaki nam maluje, jest tak plastyczny, tak przesiąknięty księżycowemi barwami, że go widzimy, zamknąwszy oczy, że go zapomnieć nie możemy, że mimowolnie stajemy na stanowisku romantyków, kiedy poetycki obraz bardziej przekonywał, niż logiczny wywód, kiedy wzbudzone przez poetę uczucie było nieraz uważane za... dowód prawdy.

U Woronicza wiersz jest zawsze równy, zawsze klasycznie wykończony, niby miarowe wahnięcie gdańskiego zegaru, choć klasycy mieli mu dużo do zarzucenia i Woronicza bynajmniej nie stawiali za wzór klasycyzmu. U Krasińskiego wiersz zamienia się w jakiś wicher, który porywa naszą imaginację. Ta potęga słowa oślepia nas do tego stopnia, że zachwycamy się w jego poezji tym, co, gdyby było wyrażone prozą, zyskałoby może nieraz nasze zupełne potępienie. Krasiński ucieka od rzeczywistości w krainę wizji. Cała przepaść nastroju, jaka może być pomiędzy autorem „Fedona" i autorem „Apokalipsy", pomiędzy filozofem mówiącym o nieśmiertelności duszy a „jasnowidzącym", który ma „widzenie", pomiędzy klasycyzmem a romantyzmem, pomiędzy rzeczywistością a snem o niej, uwidoczniła się także pomiędzy autorem „Sybilli" i autorem „Przedświtu". Jeżeli uwzględnimy fakt, że przecież każdy z nich stoi w historji otoczony liczną grupą ludzi podobnych sobie, to zrozumiemy dopiero całą przepaść, która rozdzieliła ich stykające się ze sobą epoki. Tak, zdumienie nas ogarnia, że pokolenia niemal bezpośrednio po sobie idące posiadały tak całkiem inne dusze!

I oto ludzie, którzy jedno ukochali, do jednego dążyli, o jednym pisali, utworzyli dwa wrogie obozy. Może to zbyt wielki ogólnik: „o jednym pisali", gdyż powyższy przykład należy bądź co bądź do nielicznych wyjątków, ale za to wyjątków mających wielką wagę; jeżeli jednak weźmiemy pod rozbiór całe owe dwa obozy i najlepszych ich przedstawicieli, wtedy zgodzimy się na to, że „różność" polegała głównie na innym

*) Bibljoteka polska w Wiedniu, Sprawozdanie Wydziału za rok 1897: „Rzeczy i pamiątki polskie w Wiedniu", Wiedeń 1898, str. 24.

kamertonie uczuciowym, na innej imaginacji, na odmienności temperamentów, upodobań, umiłowań. To były dwa światy w jednym To była walka typów.

Wiekopomna nauka dla tych, którzy, nie zadając sobie trudu zrozumienia i odczucia młodszego pokolenia, wygłaszają Danjelowe wróżby o przyszłości społecznej dlatego tylko, że zakwestjonowano ich „pogląd" na tę przyszłość.

Andrzej Niemojewski.

Modne kierunki w badaniach umiejętnych.

Każdy wie aż nadto dobrze, że istnieją mody w ubraniu, umeblowaniu, urządzaniu mieszkania, ale nie wszystkim zapewne wiadomo, że i w nauce, w badaniach umiejętnych panują również mody, zmieniają się, zastępują jedne drugie, a od czasu do czasu dawne, niemal zapomniane, powracają nanowo. Jeżeli zatrzymamy się na naukach morfologiczno-biologicznych w ostatnich latach pięćdziesięciu, napotykamy cały szereg „modnych" pytań i tematów naukowych, któremi większość badaczy każdego czasu szczególniej się interesowała i z osobliwym namaszczeniem uprawiała je, przyczym każdy uważał sobie za punkt honoru zająć się bliżej jedną z takich modnych kwestji naukowych. I tak np. w początku drugiej połowy ubiegłego wieku jednym z najmodniejszych było badanie tkanek zwierzęcych, zwłaszcza zaś t. z. tkanki łącznej. Kto nie pracował nad budową lub powstaniem tkanki łącznej (z niej składają się kości, chrząstki, wiązadła, ścięgna i inne twarde części organizmu, stanowiące niejako rusztowanie dla części miękkich), był zacofańcem w nauce, a dorzucenie choćby małej cegiełki do nauki o tkankach to był punkt honoru morfologów ówczesnych. Wkrótce zapanowała nowa moda; badania embrjologiczne, zwłaszcza zaś poszukiwania nad rozwojem t. z. listków zarodkowych u różnych zwierząt, stały się główną osią dociekań naukowych. Kto nie pracował nad embrjologją, ten uważany był za wstecznika, za badacza niepostępowego; najdro-

bniejsza zdobycz w dziedzinie embrjologji uznawana była za coś nieskończenie wyższego i donioślejszego niż prace w dziedzinie anatomji makro — lub mikroskopowej, albo zoologji systematycznej.

Wkrótce przyszła kolej na inną modę, zwrócono się do t. z. cytologji, nauki o komórce, o istotach jednokomórkowych, do badań nad budową protoplazmy, a zwłaszcza nad dzieleniem się komórki i zapłodnieniem. Wszystkie „Archiwy", „Zeitschrifty" „Proceedingi" pełne były prac cytologicznych, a kto nie dorzucił cegiełki do tych modnych pytań, lekceważąco był traktowany przez „zapładniaczy komórkowych", jak ich dowcipnie nazwał pewien anatom. Ta moda znajduje się jeszcze w pełnym rozkwicie po dziś dzień, jakkolwiek od lat kilku wypierać ją zaczyna najnowsza, a mianowicie dotycząca t. z. mechaniki rozwojowej, t. j. nauki, która opiera się na eksperymentach dokonywanych na zarodkach oraz obejmuje pytania o odradzaniu się, czyli regieneracji części ciała zarodka lub zwierzęcia dorosłego po sztucznym usunięciu tychże. Kto dziś nie pracuje nad mechaniką rozwojową lub regieneracją, to w oczach wielu zapaleńców, zwłaszcza badaczy najmłodszych, wstecznik, nie uznający „nowych prądów", nie odczuwający kierunków „ostatniej doby".

Otóż pragnę rzucić kilka myśli na temat, jaka jest przyczyna owego, że tak powiem, modniarstwa w nauce, i jakie są jego dobre i złe srony.

W pytaniach naukowych, opracowywanych w pewnym okresie czasu, należy odróżnić ogólne kierunki dociekań, oraz pewne bardziej szczegółowe tematy. Otóż kierunki natury ogólniejszej zmieniają się głównie pod wpływem nowych teorji naukowych, które jak z jednej strony same powstają na podstawie badań empirycznych, tak z drugiej — otwierają znów szerokie horyzonty dla dalszych dociekań i stwarzają nowe kierunki w tychże. Nadto, pewne przypadkowe, doniosłe odkrycia są również bodźcem dla nowych prądów w danych badaniach umiejętnych; a odkrycia te są znów bardzo często wynikiem postępów w technice, metodyce badań, w ścisłym związku z postępami, dokonywanemi w innych naukach. Tak np. gorliwe zajęcie się cytologją czyli nauką o komórce w ostatnich kilku dziesiątkach lat uwarunkowane było, z jednej strony, przez doniosłe odkrycia dokonane przez Flemminga i innych nad t. z. karjokinezą, czyli pośrednim dzieleniem się komórki organicz-

nej, z drugiej zaś — przez postępy w dziedzinie optyki i ulepszenia w technice mikroskopowania.

Gorączkowa natomiast praca w dziedzinie embrjologji, zwłaszcza zaś nauki o t. z. listkach zarodkowych, w siódmym, ósmym i dziewiątym dziesiątku lat ubiegłego stulecia — to głównie wynik teorji Darwina i poglądów teoretycznych Ernesta Haeckla, który w badaniach embrjologicznych widział najważniejszy klucz do rozwiązania zagadnień, dotyczących rodowej ewolucji ustrojów, przyjmując, że ontogienja (rozwój osobnikowy, embrjonalny) jest tylko krótkim streszczeniem rozwoju rodowego (filogienetycznego).

Tak tedy modne kierunki badań mają swoją przyczynę w momentach natury ogólniejszej, są koniecznym ich wynikiem, zajęcie się i zainteresowanie pewnemi dziedzinami dociekań narzuca się badaczom z niezłomną siłą konieczności. Ale są jeszcze mody w nauce. Oto ambicja osobista badaczy, występująca z całą siłą zarówno w nauce, jak i w życiu codziennym. Im więcej jaka kwestja bywa opracowywana w nauce, im więcej uczonych zabiera głos w danej dziedzinie, im bardziej staje się ona przeto aktualną w danej chwili, tym bardziej uczeni, zwłaszcza zaś młodzi, wstępujący w podwoje wiedzy, pragną dorzucić ze swej strony cegiełkę pod gmach odnośny; do zabrania głosu w sprawie aktualnej, o której wiele się w danej chwili mówi i pisze, pobudza zawsze ludzi szlachetna w tym razie ambicja. Chętniej badacz młody opracować usiłuje pytanie aktualne, będące na czasie, niż kwestję nieco w danej chwili zapomnianą i stąd to owa moda w doborze tematów do pracy.

Zjawiska podobne zauważyć się dają, sądzę, we wszystkich umiejętnościach, mają one bowiem przyczynę swoją w naturze duszy ludzkiej. Owa „modystyka" w nauce ma, jak każdy zresztą objaw, swoją dobrą i złą stronę. Dobrą, ponieważ przez musowe, że tak powiem, opracowywanie pewnych dziedzin, przez współdziałanie setek badaczy w danym okresie czasu i w pewnym określonym kierunku, dana dziedzina zostaje wielostronnie rozjaśniona, z różnych stanowisk opracowana, co dla gruntownego jej poznania jaknajdodatniejsze ma znaczenie. Pewna zła strona polega atoli na tym, że bardzo często badacze, pociągnięci nowością nowych pytań, pozostawiają odłogiem dawne kwestje, które przedstawiają częstokroć bardzo jeszcze wdzięczne pole do pracy i wymagają wielu jeszcze studjów. W ten sposób opóźnia się często opracowanie pewnych kwestji nauko-

wych kosztem innych, częstokroć mniej ważnych niż tamte, ale bardziej błyszczących nowością i świeżością. Inna zła strona tyczy się nie tyle samej nauki, ile ludzi, nauce się oddających. A mianowicie kwestje nowe, świeże, nie posiadające jeszcze zbyt obszernej literatury naukowej, są często łatwiejsze, niż pytania dawne, nad któremi łamali już sobie głowy wybitni weterani w nauce. Młodzi przeto badacze, wstępujący do świątyni nauki, przyzwyczajają się często na samym progu do unikania pewnych trudności, co na przyszłej ich działalności odbija się częstokroć bardzo niekorzystnie.

Rzecz naturalna, że jak w życiu codziennym, tak i w nauce, liczni badacze nie hołdują wcale modzie i nie podejmują wyłącznie tematów „chwili bieżącej", lecz zajmują się wszechstronnie różnemi kwestjami naukowemi, lub też całe życie niemal obracają się w ciasnym kółku jednego lub kilku pytań. I tutaj działają różne przyczyny. Podobnie jak w życiu codziennym, jedni nie hołdują modom dla tego, że ich na to nie stać, choć często z bólem serca spoglądają np. na modne stroje możniejszych, inni zaś z zasady nie trzymają się mody, tak też i w nauce jedni trzymają się ciasnego kółka badań, bo nie mogą się zdobyć na nowe metody, nie są zdolni do opanowania nowych trudności technicznych oraz do stawiania sobie pytań naukowych w dziedzinach dla nich obcych, inni zaś, pojmując szkodliwość wyłącznego hołdowania modzie i pragnąc wszechstronniej zgłębić różne problematy naukowe, z zasady nie zacieśniają kręgu swoich dociekań.

Nakoniec muszę jeszcze zwrócić uwagę na jeden szczególny rodzaj „modnych pytań" naukowych. Otóż w przyrodzie niema nigdzie granic nieprzebytych pomiędzy różnemi grupami zjawisk, lecz granice te wytworzył sobie sztucznie umysł ludzki. Dla tego też człowiek stworzył również szranki pomiędzy poszczególnemi umiejętnościami, w rzeczywistości atoli niema wyraźnych granic pomiędzy rozmaitemi dziedzinami badania. W miarę atoli postępu umiejętności i poznawania coraz to nowych faktów człowiek spostrzega, że granice te są sztuczne, że usuwają mu się z pod nóg i wówczas zjawiają się dlań szerokie pola do badań w t. z. „dziedzinach pogranicznych" różnych nauk (to co Niemcy nazywają „Grenzgebiete"). Tak np. ścisłe, zdawało się, granice pomiędzy naukami fizycznemi i chemicznemi zatarły się z czasem i dały początek „chemji fizykalnej". W jeszcze wyższym stopniu tyczy się to biologji. W ostatnich

kilku dziesiątkach lat ubiegłego stulecia, po czasach Jana Müllera, zarysowała się wybitna granica pomiędzy morfologją a fizjologją, nauką o budowie i rozwoju organizmów, a umiejętnością o funkcjach życiowych tychże. Granica tyczyła się tak metodyki badań, jak i wogóle całego sposobu myślenia w obu tych dziedzinach umiejętności. Ale w ostatnich kilkunastu latach, w miarę potężnego rozrostu obu tych nauk, tu i ówdzie granice zupełnie się zatarły, do morfologji wprowadzono, jako metodę, eksperyment, stosowany dotąd tylko w fizjologji, i wogóle zaczęto się w niej posługiwać różnemi metodami dotąd jej obcemi, jak znów z drugiej strony, w fizjologji używać zaczęto metod morfologicznych (np. w nauce o czynnościach układu nerwowego). Otóż owe „dziedziny pograniczne", od czasu do czasu występujące na pierwszy plan swą nowością i oryginalnością, pociągają umysły wielu bardzo badaczy i w ten sposób w krótkim często czasie zdobywają sobie pierwszorzędne znaczenie naukowe.

Prof. Dr. J. Nusbaum.

Pamięć w etyce. ✲✲✲

(Urywek z większej całości).

Kto widział kiedykolwiek na odległych przedmieściach wielkiego miasta zołzowate lica licznej dziatwy, hodującej się od zarania życia w zgniłej atmosferze moralnego i fizycznego zwyrodnienia, bez opieki naturalnej rodziców, bez troski społeczeństwa; — kto widział obłędem alkoholowym zezwierzęconego człowieka, bezlitośnie pastwiącego się nad własną rodziną; — kto widział w srogi mróz zimowy półnagiego, zsiniałego, drżącego nędzarza z wyciągniętą dłonią żebraczą do przechodniów; — kto widział bezradną, stroskaną matkę nad łożem dziecka złożonego niemocą ciężką, dla którego niema ni lekarza ni lekarstwa; — kto widział bladego, kaszlącego najmitę po pracy całodziennej wracającego z głową pochyloną, wzrokiem zamglonym, krokiem chwiejnym do zadusznej izby, aby po śnie krótkim, wschodzące wyprzedzając słońce, do pracy co rychło powrócić; — kto widział płaczące bez łez oczy, bruzdę troski na czole, albo skurcz rozpaczy; kto widział potoki łez gorzkich, kto słyszał lamentu przejmujące takty, ponury pomruk cierpienia lub orgję śmiechu nicości moralnej — i nie pamięta tego zawsze, zawsze, ten ma duszę ubogą, ten nie będzie dobra społecznego murarzem.

A rozumiemy tu nietylko świadectwo bezpośrednie faktu, ale również świadectwo obrazu wymownego pisarza lub artysty.

A nie mamy tu na myśli tych dusz zwyrodniałych, które na życia ludzkiego tragiedje patrzeć umieją okiem suchym, a tym mniej onych potwornych, dla których cierpienie bliźniego

żródłem bywa rozkoszy, ale te miljony dusz tkliwych, które ze szczerą zgrozą patrzą na bliźnią niedolę, w których łacno budzi się żywe echo jęku skargi, w których krew wnet oburzeniem zakipi na widok krzywdy bezbronnemu wyrządzonej, które też do pomocy doraźnej są zawsze gotowe, nawet związanej z ofiarą—ale, które obrazy i sceny rozdzierające, zajścia wywołujące bunt poczucia sprawiedliwości, zbyt rychło z pamięci swej tracą, bo, choć uposażone we wrażliwość tkliwą, pozbawione są mocy pamięci.

Osobnik taki oto ranka pewnego świadkiem był mimowolnym nieszczęścia bliźniego, żal ścisnął mu serce, na razie pragnął szczerze niebo i ziemię poruszyć, aby skutki nieszczęścia usunąć doszczętnie, aby zapobiec możliwości zdarzania się nieszczęść podobnych, ale na to jest bezsilnym zupełnie. Aby bowiem nieszczęście dane wynagrodzić, a zwłaszcza aby możliwości innych podobnych zapobiec, trzeba jąć się odpowiedniej działalności, poruszyć mnogie serca i umysły, zrzeszyć je następnie i stworzyć daną społeczną instytucję. Ale cóż, kiedy tegóż dnia w południe cała ta sprawa na horyzoncie wrażliwości zbłękitniała, tegóż dnia, śród ciszy nocnej, przed zapadnięciem w sen spokojny, może raz jeszcze w jaskrawszych barwach w wyobraźni zamajaczy, ale już wobec ranka wesołego zatartą będzie w świadomej pamięci bez śladu; popłynie wzruszony ten świadek nieszczęścia wczorajszego, ale pozbawiony pamięci wzruszeń własnych, prądem egoistycznych zabiegów dnia a współczucie i dążność do zapobiegania nieszczęściom nowym przeminie doszczętnie.

Duch natomiast pamięcią wzruszeń uposażony pozostawać będzie pod wpływem głębokiego wzruszenia i bolącego współczucia trwale i to go popychać będzie ku energicznemu i trwałemu zwalczaniu danych ujemnych warunków społecznych i słowem i czynem.

Z takiej to tylko w r a ż l i w o ś c i razem i p a m i ę c i mnogim osobnikom właściwej tryska żywe źródło dźwigającej się dzielnie kultury społecznej, bujnego kiełkowania i wzrostu instytucji dobra publicznego.

I zaprawdę, niedomagania społecznego mniej częstym powodem jest brak poczucia obowiązku obywateli, stokroć częstszym brak pamięci obowiązku.

Nie tu miejsce wchodzić w ściślejszy rozbiór tej kwestji, ale zaznaczymy tylko, że to, co powszechnie nazywamy w o l ą,

jest właściwie tylko wynikiem silnego uczucia i żywej pamięci. Właściwie osobnej władzy woli jako takiej w elementach władz duchowych niema. Czyn, wywołany gwałtownym wzruszeniem, skłonni jesteśmy nazwać odruchem — i słusznie; pod wpływem silnych uczuć działamy energicznie, działamy niemal odruchowo, — otóż silne uczucie, utrwalone i rozgrywające się na dłuższej czasu przestrzeni dzięki sprawnej świadomej pamięci, zmusza nas do szeregu świadomych odruchów — i oto jest to, co nazywać przywykliśmy silną, wytrwałą wolą. Silna i wytrwała wola to nieoceniona wartość jednostki, silna i wytrwała wola to jedyny warunek rozwoju kulturalnego i pomyślności społeczeństwa. Ale pamiętać się godzi, że woli jako takiej hodować ani wzmacniać nie możemy — możemy tylko hodować i wzmacniać wrażliwość, a więc uczucia oraz pamięć, a iloczynem wzmożonym tych wzmożonych czynników będzie: s i l n a w o l a.

Nie wolę pracowania rozwijajmy u młodzieży, ale uczucie ciekawości, uczucie miłości wiedzy, społeczeństwa, poczucie obowiązku wspomagania go własną swoją wartością — pamięć trwałą tych uczuć, a silna wola pracy sama się wywiąże. Możemy w osobniku uczucie honoru tak wyhodować, że będzie silniejsze od uczucia bólu fizycznego; znosić będzie tedy osobnik taki bohatersko udręczenia fizyczne, broniąc czci swojej, i powiemy, że ma silną wolę znoszenia bólu, ale właściwie bohaterstwo to będzie wynikiem nie silnej woli, lecz silnego uczucia i to uczucia nie doraźnego ale w elementach je składających silnie w pamięci świadomej utrwalonego.

Chcąc śród młodzieży rozwijać siłę woli, rozwijajmy w niej silne uczucia i wielką uczuć pamięć i trwałość.

Kto wielką posiada pamięć uczuć, temu przytomnemi są cierpienia bliźnich, których losy w jednym czasie z nim razem do bytu na ziemi powołały a przedewszystkim tych, którzy żyją na horyzoncie naturalnych jego uczuć, więc na horyzoncie rodzimego społeczeństwa; przytomnemi mu są również cierpienia przeszłości, przytomnemi mu też są możliwe cierpienia pokoleń przyszłych — i tylko tak uduchowiony przez pamięć wielką człowiek kochać jest zdolen naprawdę ludzkość całą, kochać społeczeństwo własne, żyć jego życiem, pracować dla przyszłości.

Henryk Nusbaum.

MAGO WIELKI.

NOWELA.

Na pokładzie wspaniałej tryremy, ognistym okiem ścigając blaski morza, przez trzy rzędy potężnych wioseł oranego, Mago Wielki, floty kartagińskiej wódz, czyli nawarchos, w głębokich pogrążał się dumaniach. Dumania to były takie, jakie niekiedy szumią w duszach skrzydlatych, mających w sobie głębie tajemnicze, a w nich głuche boje i ździwienia. Dziwił się Mago bojowi, który w nim powstał, a wzrastał w miarę zmniejszania się przestrzeni, rozdzielającej Kartaginę od Syrakuzy, ojczyznę Magona przepotężną i kwitnącą, od krainy mąk, jęków i grozy.

Jaki to był bój? Jakie siły, jawne i ukryte, toczyć go poczęły w szerokiej piersi wojownika, wojownika o mocy miecza tak niepokonanej, że zawczasu, — bo kruczy włos nie siwiał mu jeszcze u skroni, — z imieniem jego skuła słowo: Wielki? Oto ze strony jednej, w słonecznych blaskach i wawrzynowym liściu jaśniały radość i duma, że Kartagina jest najpierwszą potęgą świata, i że on, Mago, z Kartagińczyków jest najpierwszym, a z drugiej strony, zdaleka, niewyraźne lecz natrętne, toczyły się kłęby mdłych wahań i ciemnych wątpień.

Nie pierwszy to raz ckliwość rzeczy ludzkich i gorycz, którą sączy każde ich rozkąszone jądro, zalewały mu serce

męskie w tych właśnie momentach, gdy ramiona sławy wznosiły go najwyżej, lub kołysały najsłodziej ramiona rozkoszy. Lubił sławę i lubił rozkosz, lecz nigdy dłużej nad jeden obrót piasku w klepsydrze w objęciu ich nie pozostawał spokojnym i ufnym. Zaledwie upadające dymy ich przebić zdołały tkaninę jego mózgu, wnet napełniały go roje zapytań niespodzianych i myśli czarnoskrzydłych.

Cóż dalej? Co na dnie? Co u końca? Co po końcu? Czy nic nie wzlata wyżej, nie trwa stalej, nie ogarnia tkliwiej, nie przenika głębiej, nad zgiełk boju, nad hymn chwalby, nad woń róży, nad płomię pocałunku, nad słodycz wina zaprawionego miodem?

Tak zapytywał. I myślał, że pomimo wielkości swej umrze tak samo, jak umarł ojciec jego Mago Mądry, jak umarła matka jego Mora Gwiazdooka, jak pomarli Phto, Korus, Syo, owi piękni, wielcy, silni, sławni poprzednicy jego, chluby Kartaginy, ozdoby świata. Myślał, że ten tylko łoże bezpieczne dla radości w sercu swym usłać zdoła, kto nigdy żywemi oczyma nie widział trupa; że jednostajnemi są początki i końce takich jak on tryumfatorów zwycięskich i tych Numidów zwyciężonych, którzy tylekroć u stóp jego czołgali się lub konali; że ich i jego jednostajną bogowie dotknęli nędzą: nieświadomości swoich początków i swoich końców, jako też początków, końców, dróg i przeznaczeń wszystkiego, co wokół ich małości i wokół jego wielkości istnieje.

Bogów ojczyzny swej, krwi żądnych, szałem zmysłowym pijanych, w czci miał niewielkiej, lecz lubił czasem słuchać powieści Archilea z Platei o tym Bogu Nieznanym, ku któremu wzlotną myślą swą docierali Grecy, nigdy aż do ostatka dotrzeć nie mogąc. Słabym, choć żądnym oddechem duszy, może wspomnieniem głuchym lub mętnym przeczuciem wiedzeni, poprzez ziemskich sił i pomysłów zawieruchę ścigali oni jakieś oblicze przeolbrzymie, jakąś przepotężną siłę, myśl, a w kształt zakuć i w słowa ułowić ich nie mogąc, nie wznieśli dla nich świątyni ani ołtarza i tylko poświęcili im głaz ogromny, który pod odkrytym stropem niebieskim, wśród pól milczących, wiecznie milczał.

Archileos z Platei, ścigany przez los i ludzi, ukrył się niegdyś pod dach Magona i za gościnność oddawna mu płacił słowami — które mącą duszę. Słowa Archilea mąciły duszę kartagińskiego wodza, jak czasem błyskawice mącą ciemność

burzliwej nocy. Wojował Mago, rządził, w radach ojczyzny swej uczestniczył, ssał z piersi życia wszystkie jej mleka i miody; mów Archilea słuchać długo nie miał czasu. Tylko kiedyniekiedy słowo jedno, słów kilka, pół obrotu piasku w klepsydrze, — coś nakształt błyskawicy, w której przelotnym błyśnięciu zamajaczyły w ciemnościach kształty przedziwne, wzrosty ogromne, linje przejasne, ale czym były, oko nie rozpoznało, bo błyskawica zgasła.

W błyskawicowym takim widzeniu ujrzał raz Mago z za wonnych dymów, z za lśniących puharów, z za szumnych zgiełków biesiady rozkwitający w głębi cienistych ogrodów kwiat białej magnolji i rozplótszy zawiązane mu u szyi ramiona Hality, białolicej Scytyjki, współbiesiadnikom zniknął z oczu. Nikt nie widział, jak od gwaru ludzkiego daleko, wśród ciemnych cyprysów, korona śnieżnego kwiatu i oblicze sławnego męża oko w oko na siebie patrzały; on zapytywać się zdawał o tajemnicę jej niepokalanej bieli, ona w odpowiedź mu wysłała z atłasowej swej głębi skarabeusza o szmaragdowych skrzydłach, który wzbił się ku górze i zawisł mu nad głową symbolem duszy nieśmiertelnej.

W błyskawicowym takim widzeniu, innym razem, po uczcie, wśród której wargi niewieście, w ogniu wina zapalone, sen z powiek mu starły, Mago w sypialnej komnacie swej ujrzał rzecz niespodziewaną. W różanym świetle syrakuzańskiej lampy, na purpurach syryjskich kobierców, ujrzał pełzające, podrzucające się, w ohydne kłęby i koła zwijające się głowy niedawno pobitych Numidów. Poznał je. Temi samemi były, na które oczyma spracowanemi w boju, z piersią wzdętą od radości, patrzał wśród pola zwycięskiej dla niego bitwy. Teraz, od tych twarzy wykrzywionych, oczu obłąkanych, warg palcem śmierci spalonych i zmiętych, poszły mu w członki bóle niepojęte, ckliwości nieznośne, haki wydzierające z ciała i duszy wszystek ich spokój.

Lecz nazajutrz przypadła mu do piersi cudnej piękności Myrta czarnowłosa, a potym z urny losu wypadł nowy bój zwycięski; Mago był znowu mężem nad wszystkie męże chciwym sławy, pocałunków, róż — i miodem w żyłach pociekło mu życie szczęśliwe.

Że mogło kiedykolwiek nieszczęśliwym bywać, nie wiedział nikt i on sam nie wiedział, dla czego bywało. Myślał czasem, że weszło to w niego z nieśmiertelnej duszy ojca, tego Magona

Mądrego, który nad wszystko w świecie kochał ziemię, jej płody, jej żywiące soki i o nich napisał dzieło wiekopomne. A czasem samemu sobie na ciele chorym się zdawał, lekami przecież od choroby, która go udręczała, — rzecz dziwna — bronić się nie chcąc. Z udręczeń o niewiadomym źródle, które były jak błyskawice rozdzierające ciemność, sączyła się rozkosz, inna niż ta, którą wypijał z czerwonych warg Myrty, lub jak rosę brylantową zbierał z wawrzynowych wieńców, lecz której utracić nie chciał, dla tego właśnie, że była inną, że czyniła go innym niż inni, że go czymś niepojętym i w słowa nieujętym wynosiła nad innych. Nad wysokich rówieśników swych uczuwał się Mago wyższym i czyniło go to dumnym, a także smutnym, bo ten wzrost sprawiał, że był samotny i towarzyszy mając mnóstwo — nie miał przyjaciela.

Gdy jako nawarchos, wódz floty potężnej, ku Syrakuzie płynął, opadły go błyskawice, ukazujące wśród ciemności rozwiejne zarysy rzeczy dostrzegalnych oddawna, nie rozpoznanych nigdy. Płynął tam, aby przeciwko zbuntowanemu ludowi wesprzeć tyrana Hykatosa i pod stopy mu rzucić cudną, teraz łzami zalaną „źrenicę Sycylji". Wesprzeć tyrana przeciwko ludowi! Tak mówili, to światu wmówić usiłowali wielkorządcy kartagińscy, ale Mago śmiał się z tych upewnień. Szczerość punicka! Przyrzeczenia punickie! On wiedział, co o tym myśleć, i świat wiedział, skoro ze słów tych utworzył szyderskie przysłowie. Kupa handlarzy, góra kłamstw — to Kartagina. Gorący wstyd na czole za ojczyznę swą uczuwa Mago. Nie jest że z niej dumny? Owszem, dumą napawa go jej potęga, jej bogactwo. Tylko w błyskawicowym widzeniu dostrzega nieprzeliczoną moc rąk chciwych, drapieżnych, brudnych od metalu, ociekłych krwią.

On wie. Nie po to za tryremą jego w ślad płyną setki okrętów punickich, nie po to na tych okrętach błyszczą orężem mirjady żołnierzy, aby Punici ceną krwi swojej dla Hykatosa kupowali „źrenicę Sycylji". Dla siebie kupić ją zamierzają. To nie pomoc sprzymierzeńcowi udzielona, lecz nowe oszustwo. Na podbój Syrakuzy, pod dowództwem Magona płynie ta flota...

To podbój! Więc znowu podbój! O chwała tobie Kartagino, królowo mórz! Jednym więcej klejnotem wzbogaci się twe bogactwo, jednym więcej tryumfem rozebrzmi po świecie sława twej potęgi, a sprawi to pierwszy z synów twoich, Mago niezwyciężony, Numidów i Libijczyków pogromca, Mago Wielki!

Hej, słudzy! wołać tu Hanona, Lokata, Judra, dowódzców o dłoni silnej, mężów o tarczach białych, i pióropuszach krwawych nad stalowemi hełmy! Przybiegli posłuszni, korni. Narada wojenna, gwar, spory. Hanon, zacięty choć skryty wróg Magona, raz jeszcze przed wolą jego ukorzył swą wolę i błysnęło nienawiścią oko śniadego Punity. Jedna to iskra więcej w ognisku radości nawarcha, bo Hanonem zawistnym, przebiegłym i chytrym gardzi. Szybciej, silniej biją o tonie morskie wioseł tysiące; szybciej, weselej żeglarze pieśniami napełniają szerokie przestworza i na mocne wiatry rozpuszczając żagle, kwieciste wieńce rozwieszając na masztach, za Magonową tryremą nie płyną, lecz, zda się, lecą setne okręty... Na podbój najpiękniejszego w świecie kraju i miasta, po Sycylję i Syrakuzę, po nowy klejnot dla kartagińskiego skarbca, po liść najwonniejszy dla Magonowego wieńca chwały!

Szaleje Mago przy biesiadnym stole. Myrta czarnemi włosy pierś mu osypała, wyborne są wina greckie i urokiem piękności nieznanych, a słynnych, mrugają w oddali źrenice — gwiazdy syrakuzańskich niewiast.

Północ minęła. Wielkie, złote gwiazdy usiewają niebo. Cicho nad drżącym odbiciem gwiazd w morzu suną okręty punickie, z więdnącemi w zmroku wonnej nocy różami na szczytach masztów. Na tryremie wodza wszyscy posnęli; nawet w sercu Hanona usnęła wściekła zawiść. Cisza głęboka na morzu, na niebie, na tryremie. W ciszy, pod gwiazdami na bezludnym pokładzie, szemrze szept.

— Archileu! Archileu! Pójdź do mnie, bo oto znowu dusza omdlewa mi w ckliwej próżni i zrywa się w niej drapieżny ptak, straszny ptak śmiechu bezsennej nocy nad przeminionym dniem! Bo i cóż dalej? Co na dnie? Co u końca? Co po końcu? Czy nic nie wzlata wyżej, nie trwa stalej, nie ogarnia tkliwiej, nie przenika głębiej, nad podbój, nad bogactwo, nad objęcie Myrty sprzedajnej, nad chwalbę fałszywych ust?

* *
*

Znowu noc. Już w zatoce Sycylijskiej, u stóp Syrakuzy, w cieniu wysokiej warowni stoją na kotwicach okręty kartagińskie i sennie kołysze się na łagodnej fali tryrema nawarcha Magona. Bezpiecznemi czują się śpiące na okrętach wojska,

spokój panuje na tryremie wodza, wódz jednak nie śpi. Kotary z tyryjskich kobierców purpurowemi zwojami spływają wokół łoża, z wyciągniętą postacią wojownika, potężną i bezsenną. Tu, ówdzie gliniane lampki egipskie pełgają wśród purpur płomykami, podobnemi do niespokojnych iskier. Ogniste oczy Magona mają niespokojne pełgania egipskich lampek. Możeż to być, aby najmężniejszy z Punitów trwogę odczuwał na wieść o zwycięskim ku Syrakuzie pochodzie Timoleona, najcnotliwszego z Greków?

Przybywał; na czele Koryntjan pośpieszających z pomocą braciom — Grekom, wkrótce już pod mury Syrakuzańskie przybyć miał Timoleon.

Hykatos, w strachu słaniając się u kolan Magona, błagał, aby puniccy żołnierze zeszli z okrętów, napełnili miasto i bronili je przed zbliżającym się Timoleonem. Mago, jak lew rozgniewany, porwał się był i wszystkiemi trąbami wojsk swych nad morzem zaryczał: Do Syrakuzy!

Jak stado jastrzębi z rozpuszczonemi po krwawe mięsiwo szpony spadli na Syrakuzę kartagińscy żołdacy. Spłakana „źrenica Sycylji" krwią zaszła.

A teraz, oczyma pełgając, jak pełgają płomyki przez wiatr miotane, wielki Punita leży wśród purpur bezsenny i — słucha. U dołu opon, nizko przy ziemi, słychać głos, który opowiada; pokorny głos ubogiego domownika, cichy i czasem łzą zaszły głos Greka, mieszkającego na kartagińskiej tryremie.

— W bitwie, którą Koryntjanie staczali przeciw mieszkańcom Argosu, Timofanes, brat Timoleona, popadł w niebezpieczeństwo śmiertelne. Zraniony koń jego, upadając, rzucił go pomiędzy wrogów. Wnet strach, ten błądzący po polach bitew wróg wojowników, towarzyszy jego bladą pięścią pomiędzy oczy uderzył, aż uciekli. Wtedy zdala dostrzegający to Timoleon bieży na pomoc bratu, okrywa go swym puklerzem i ciało własne na tysiąc grotów, na tysiąc ciosów wystawiając z zaciekłością lwiej macierzy, lwiątek swych przed napastnikiem broniącej, broni brata, obrania go, na ręku swych z bitwy unosi i ranionego żołnierzom, wodzom, ludowi pokazując, woła: ten jest bohater, patrzcie jak walczył mężnie, jakie rany poniósł za wolność Koryntu!

— Miłował brata...

— Miłował go panie, jak człowiek miłuje oko swoje, przez które widzi jasność dnia. Jasnością dnia był Timofanes, pełen

pychy i popędliwych chuci, dla Timoleona cichego jak mądrość, słodkiego jak mądra łagodność. Miłował Timoleon Timofana więcej niż sławę swoją i to sprawiał, że w urzędach pokoju i wojny współobywatele wynosili brata ułomnego wyżej nad tego, który był wzorem ludzi. A gdy prośbą i namową, staraniem i radą już wyniósł go wysoko, wnet nad ułomnościami jego zasłonę ze skrzydeł swych roztaczał, o wszystkim co sam przemyślił mówiąc: to Timofanes przemyślił! — o wszystkim co sam uczynił, mówiąc: to Timofanes uczynił! — służąc umiłowanemu jako kije służą krokom chromego człowieka, a wszystko to czyniąc w skrytości tak zamkniętej, że zdawał się być niczym, gdy Timofanes zdawał się być wszystkim, że zdawał się mdłym cieniem, gdy Timofanes zdawał się tryumfującym słońcem... Lecz co widzę, o panie? Czy mylą mię oczy, w twardej służbie życia wpółoślepłe? Zeusowe brwi twe zatrzepotały jako skrzydła krucze i na olimpijskim czole położyły dwa znaki zadziwienia. Czemu tak dziwisz się, synu Magona Mędrca?

— Nie widziałem ja, o Archileu, w ojczyźnie mej, Kartaginie, miłowania takiego i brwi moje kładą mi na czoło znaki zadziwienia, w piersi zrywa się śmiech z miłowania takiego, jakiegom nie widział.

— Dla czegóż nie śmiejesz się, o najszczęśliwszy z ludzi?

— Głaz ciężki legł mi na śmiechu i wyjść mu ze mnie nie daje...

— Ten głaz, o wodzu, to smutek...

— Czyliż smucą się potężni?

— Spójrz w siebie, najpotężniejszy! Czy nie uczuwasz, jakoby wiatr niósł powiewy od hiperborejskich lodów? Czy nie spostrzegasz, jako uciekają, w blade mary przemienione, dymy kadzidłowe? Lodem hiperborejskim, marami uformowanemi z dymu są potęga, sława, miód rozkoszy, połysk djamentu, czerwień purpury, gdy ogniem ich nie przepływa i słodyczą swą nie napawa — wielkie kochanie.

Mago silnie zwarł dumne wargi, długo milczał, a potym rozkazał.

— Mów dalej!

— Koryntjanie, przewidując niedaleką wojnę, składają nowe pułki i dowództwo nad niemi oddają Timofanowi, jako najwięcej zasłużonemu ojczyźnie, o tym, że zasługi ukrytą sprawą Timoleona były, nie wiedząc. Wnet człek pyszny, pełen wrzących chuci, ogłasza się panem samowładnym miasta, na karki

tych, którzy opór mu stawią, morderczy miecz opuszcza i kraj kwitnący, szczęśliwy, wolny kładzie w paszczę tyranidy. Timoleon rzuca się do stóp brata i na duchy przodków, na łono wspólnej matki, na ogień święty, na wody czyste, na niebo wysokie zaklina, aby szlak krwawy opuścił, ojczyznę przebłagał, przebaczenie jej kupił...

— Kupił? — przerwał Mago.

— Tak jest, panie. Takie prawo nad śmiertelnemi zawiesiły moce niepojęte, że wszystko co ich żywi, poi, raduje, wynosi, wzbogaca, oczyszcza, kupować oni muszą. Bólem płaci niewiasta powstanie dziecka swego, ceną śmiechu bywają przybiegające za nim łzy, mędrzec za mądrość monetą trudu, młodość starością, nadzieja wspomnieniem, życie śmiercią i śmierć sama tworzeniem nowego życia płacą. Opłatą winy jest cierpienie.

— A czym za cnotę płaci cnotliwy? — zapytał Mago.

Archileos po chwili myślenia odrzekł:

— Cierpieniem.

Porwał się Mago i krzyknął:

— Srogie to prawo! Któż je zawiesił nad ziemią? Po co zawiesił?

Archileos nie odpowiadał długo; a potym usta z otaczającym je włosem siwym i całe prawie oblicze w oponę purpurową tak wtulając, jakby jej jednej powierzał tajemnicę straszliwą i żałośną, rzekł:

— Głaz poświęcony Bogu Nieznanemu — milczy.

Długie milczenie, które nastąpiło potym, przerwał nawarchos rozkazem.

— Mów dalej!

— Timofanes odtrącił brata, znowu głów wiele strącił z karków współobywateli, majętności ich zagrabił, ostatni szczęt sprawiedliwych praw Koryntu zniósł. Jak źwierzę, które wije się z bólu pod chłostą nielitościwej dłoni, pod biczem jego i pod piętami jego żołnierzy Korynt wił się i wył; cicho wył, bo za głośne szczeknięcie wszelka głowa rozdzielała się ze swym tułowiem. Natenczas przed Timoleonem otwarły się bramy pałacu tyrana, pilnie przed innemi strzeżone. Zbrojna straż bez podejrzeń przed oblicze wszechwładnego dopuściła brata — dobroczyńcę. Z dwoma przyjaciółmi przybył i znowu kolana umiłowanego objąwszy, błagał... A w odpowiedź otrzymawszy śmiech szyderski człowieka, który z ziemi i nieba, ze sprawie-

dliwości i ojczyzny wesoło drwi sobie, do przyjaciół rzekł: „czyńcie!“ — i twarz skrajem chlamidy zasłoniwszy padł na ziemię cały w płaczu... A oni uczynili... Porywasz się, panie! Siadasz na łożu! Z szeroko rozwartych oczu twych, z warg drgających, z piersi dyszącej wybucha pytanie, którego nie wymawia głos. Co uczynili? Przebili go mieczami swemi. Przebili go na rozkaz tego, który więcej nad miłowanego człowieka — miłował ludzi...

Jak iskry drgające na wietrze, tak błyskają naokół płomyki egipskich lampek, lecz nie wtórzy im błyskanie oczu Magonowych, które spuszczone powieki okryły. Tylko na wielkim czole Punity zmarszczki skłębione świadczą, że przetaczają się pod nim ciężkie kłęby myśli i pierś szeroka wznosi się ciężkim oddechem.

— Mów dalej!

— Rozległy się w murach miasta i na otaczających je polach hymny radości, peany zwycięstwa, lecz Timoleon nie widział, nie słyszał nic; od gromu przeraźliwego oślepły, ogłuchły, Korynt opuścił. Kędy sam na sam ze stropem niebieskim rozmawiają pola najjałowsze, kędy po skalnych wzgórzach stada kóz pną się pod strażą ubogich pasterzy, skąd wieczna samotność odgania pociechy i uciekają przed głuchym milczeniem nadzieje, tam poszedł... Któż wie, dla czego tam poszedł? Może żałobę przed oczyma ludzi ukryć pragnął. Może gdy usta jego słowa: bracie! wymówić już nie mogły, dla słów innych otwierać się nie miały siły. Może obmierzły mu ludzkie sprawy i błagać chciał gwiazd, chmur, wichrów, gromów i milczeń pustyni, aby odkryły przed nim sprawy Boga Nieznanego. Któż zgadnie, jakie gwiazdy kierują sercem wielkim i jakie zalegają je chmury, gdy zaszumi w nim wicher przeznaczeń nieszczęsnych i gdy w nie uderzy grom nieskończonego bólu!...

Coraz cichszy, umilkł i stopił się z ciszą głos opowiadającego, minuty płynęły, aż w komnacie ozwało się echo.

— Któż zgadnie, jakie gwiazdy kierują sercem wielkim!

Nizko przy ziemi cichy głos Archilea szemrał znowu.

— Dwadzieścia razy słońce okrążyło ziemię, odkąd Timoleon-bratobójca na pustyni z gwiazdami, z chmurami, z wichrami, z ubogiemi pasterzami trzód kozich przestawał, gdy przybyło ku niemu poselstwo z Koryntu, błagając, aby na czele wojska ku Syrakuzie spieszył. Nieszczęście wołało nieszczęśliwego, Grecja wołała Greka. Usłuchał. I oto wnet już wystąpi do walki z

tobą, o panie, z tobą, któryś jest najstraszliwszy wróg Grecji i Timoleona...

Po komnacie znowu rozległo się echo.

— Wróg Grecji?...

Przepastne zdumienie było w tym echu i pierwszy poszum wichru, który niesie bóle i bunty.

— Wróg Timoleona... którego wielbię?...

Z twarzą obróconą ku ścianie, jakby przed nią tylko głębiny duszy swej odkrywał, mówić począł:

— Jest mi tak, jak gdybym obudził się ze snu. Śniło mi się, że byłem wrogiem Grecji, a teraz spostrzegam, że brzydzę się zadawaniem krzywdy krainie, na którą palce błogosławiące położyły genjusze wielkich myśli i czynów. Mamże jako zwierz dziki rozdeptywać płody tej ziemi, w truciznę obracać żywiące jej soki? Śniło mi się, że byłem wrogiem Timoleona, a teraz głośno wołam, bo moc uczuć niepojęta z piersi mi wyrzuca słowa popędliwe: czemum ja męża tego nie spotkał na górskiej przełęczy i pocałunku przyjaźni nie wziął od niego w przeczystym eterze? Czemu wśród równin morskich przestrzennych, wolnych, w oddechu łagodnych wiatrów nie spoiły się dłonie nasze przymierzem pokoju? Czemuśmy razem nie ścigali oczyma lotu orłów, my — dwaj orłowie? Czemu pod ognistym okiem słońca nie rozmawialiśmy z sobą o rzeczach wielkich, my — dwa duchy dla rzeczy wielkich stworzone z ognia? Dla czegom na drodze swej napotykał ludzi zimnych i ludzi fałszywych, ludzi głupich, i złych i małych, ciągnących na niże?... Czemu, gdym stworzon do bojów i mordów, na dnie duszy mam płaczącą litość? Czemu dla mnie, którym wziął tak wiele, siła rozdawnicza nie miała tego, bez czego wszystko jest zgrzytem i bólem: — harmonji?

Tak duszę swą otwierał, dziwił się, zapytywał Mago, a głos cichy, w zwoje kotary wtulony, u ziemi zaszemrał.

— Głaz poświęcony Bogu Nieznanemu, milczy...

Wtym, na pokładzie rozległy się głośne wołania, okrzyki, kroki i u podniesionych kotar komnaty nawarcha stanęli podwładni mu dowódzcy. Z ust ich, tkniętych bladością wielkich wzruszeń, wypadła wieść... Timoleon z Koryntjanami swemi przybył. Już pochodem zwycięskim Sycylijskie przebiegszy pola, u stóp Syrakuzy stanął. Szpiegowie wyliczają, że wojska jego, wobec punickich mirjad, są jako garść piasku z dłoni dziecięcej wyrzucone wobec tumanów, które po afrykańskich pustyniach

noszą niepowściągnione wiatry. Zwycięstwo Punitów pewne. Do boju, wodzu, nieprawdaż? Powiedz Magonie Wielki, a my, posłuszni, jak huf tygrysów za tobą pobieżym!

Porwał się z łoża nawarchos i gromkie rozkazy padać mu z ust poczęły.

— Do szturmu miasta narzędzia gotować! Wojska na ląd wysadzać! Do boju, tygrysy moje! Do boju, Punici! Do boju z wielkim Grekiem...

Wtym zamilkł i powleczony bladością tych, których nieskończone zdejmują bóle, jął to powściągać, co był do biegu popchnął.

— Czekajcie! Stójcie! Jam jeszcze rozkazów nie wydał! Niech dzień upłynie... jeden dzień!... potym... Mago Wielki powie... a wy, posłuszni, spełnicie!

* *
*

Przeminął dzień. Mago Wielki powiedział; oni, posłuszni, spełnili...

Cicho, bez pieśni, bez wieńców na masztach, milczeniem wstydu powleczone, od sycylijskich brzegów odbiły kartagińskie okręty i już, okrążywszy przylądek, wypływały na Afrykańskie morze, gdy w Syrakuzie, u szczytu jej twierdzy, u stóp jej murów, rozległ się okrzyk.

— Uciekli!

Uciekli Punici, uciekł w trwodze sławny z męstwa ich dowódzca! Bo cóż innego, jak tylko trwoga blada mogła pchnąć ich okręty z powrotem ku brzegom ojczystym? Kędyż ukryła się, kędy przepadła potężna flota Kartaginy? — żartowali Grecy. Tysiąc, dwa tysiące, dziesięć tysięcy taletów złota temu, kto zgadnie, albo wynajdzie, gdzie ukryła się i przepadła flota Kartaginy, razem z wodzem swym, Magonem Wielkim — tchórzem!

Na żeglującej po Afrykańskim morzu tryremie nawarcha rozlegają się krzyki:

— Uciekłeś, Magonie Wielki! Tchórzu!

Wydaje krzyk ten z piersi, białemi puklerzami osłoniętych, gromada mężów o krwawych pióropuszach nad stalowemi hełmy. Hanon im przywodzi. Godzina wzywana przez zawiść jego — wybiła! Mago-tchórz runie w otchłań, on stanie u szczytu!

Wściekłym gniewem płoną oczy, w zapamiętałej groźbie miotają się ręce; ramiona, potężną postać wodza oplótszy, walą go na ziemię. Zginiony!

Nad opalową roztoczą Egiejskiego morza blaskiem świetnych odrodzin jaśnieje Syrakuza. Kwitną rumieńcami wybladłe przedtym lica, śmieją się serca, śpiewają usta, ze świątyń, z rynków, z panegirji, z agory, z pola igrzysk poświęconych bóstwom zbawczym, tryskają pod nieba hymny pochwalne, dziękczynne, radosne...

Nad Afrykańskim morzem, u szczytu pobrzeżnej skały, drzewo hańby i śmierci wznosi ku niebu rozpięty na nim, blady trup Magona.

Eliza Orzeszkowa.

O stosunku widowni do dzieła.

(Urywek z odczytu.)

„Wyzwolenie", a raczej przyjęcie, jakiego doznało od ludzi, piszących swoje ze sztuki wrażenia lub o tej sztuce krytyczne uwagi, uświadomiło mi mocniej spostrzeżenia, jakie mi się dawniej nasunęły o stosunku ludzi do dzieł sztuki — te zaś wypłynęły konsekwentnie z wiary mej w różność dusz ludzkich, której tu nie będę rozwijał.

Pan Ostap Ortwin zamieścił w „Krytyce" swoje wrażenie po przeczytaniu „Wyzwolenia" a to wrażenie jest takie mniej więcej: „Hamlet-Wyspiański wystawia swoją sztukę „Wesele" wobec Klaudjusza-publiczności. Sztuka powinna nosić tytuł: „Łapka na myszy". I Hamlet-Wyspiański patrzy w twarz Klaudjusza-publiczności, jakie ta sztuka wywrze wrażenie. Nie zrozumiano. Więc Hamlet-Wyspiański wystawia drugą sztukę p. t. „Wyzwolenie", która ma być policzkiem dla Klaudjusza-publiczności za niezrozumienie poprzedniej. To wrażenie miesza p. Ortwin z innemi — a całe jego studjum jest osobistym dramatem, napisanym w formie artykułu z powodu „Wyzwolenia"

Prof. Chmielowski znów ze swego stanowiska krytyka rozpatruje sztukę i podnosi wiele wad, przedewszystkim tę: że sztuka ta właściwie nie jest napisana, że autor dopiero na scenie kłopocze się z myślami swojemi i, zamiast jednolitego dzieła sztuki, daje chaos nadlatujących myśli, stąd niejasność i załamywanie linji przewodniej myśli dramatu.

Inni inaczej pisali — więcej ujemnie lub bardziej entuzjastycznie. I wszyscy mieli rację. Kto największą rację miał, czyli: kto najlepiej zrozumiał zamiar autora, o to nie chodzi— ale wszyscy rację mają. Powiem więcej: nie tylko ci, co podnoszą wady lub zalety formy, ale nawet ci, którzy całkiem różnie rozumieją ideę główną dramatu — i nawet ci, co zgoła tej idei nie widzą w „Wyzwoleniu".

Ludzie stają wobec dzieła sztuki, jak wobec zjawiska przyrody. Więc weźmy takie zjawisko powszednie, jak zachód słońca. Jak wobec zachodu słońca zachowają się różni ludzie?

Chłop będzie patrzał na zachód słońca, jak na wróżbę— i będzie się starał z zachodu słońca wymiarkować, czy będzie jutro pogoda, co za tym — czy da mu jęczmień zebrać.

Chłop, dalej posunięty w rozwoju umysłowym, będzie, patrząc na zachód, chwalił wszechmoc Boga, czyli: będzie uwielbiał nieznanego autora tego wspaniałego dzieła.

Inny znów człowiek (jak np. prof. Chmielowski wobec „Wyzwolenia") zachowa się wobec zachodu słońca krytycznie. Będzie mówił np.: „wspaniały byłby zachód, gdyby nie te chmurki niepotrzebne, które zastępują oczom. Wogóle zachód niejasny". I odwróci się niechętnie, mówiąc: „Wczoraj był zachód daleko wspanialszy".

Malarz będzie wypatrywał w zachodzie słońca zestawienia barw, grę świateł itp.

A stanie znowu wobec zachodu słońca człowiek z dramatem w duszy swojej (jak np. pan Ortwin wobec „Wyzwolenia") i będzie w zachodzie słońca widział swój dramat przedewszystkim, przez wyobraźnię nieraz spotężniały do tragiedji wszechludzkiej. Przykład: Kasprowicz — jego „Pieśń wieczorna". Stojącemu wobec zórz zachodu, jak Mojżeszowi z ognistego krzaka, wystrzela Bóg z ogniska czerwonego — palczaste zórz odpromienie są jakby ręką karzącą Sędziego, i człowiek gnie się, czyni spowiedź wszystkich win i grzechów, a zorza, paląca się martwo poza wierchem, pada mu na duszę lękiem, jest mu jak życie „kamiennym, ślepym przerażeniem".

I jeszcze inni inaczej się zachowają — ogromna skala różnic — jedynie ludzie o podobnych duszach podobne z tego zjawiska przyrody mogą odebrać wrażenia.

Tak dzieje się i wobec dzieła sztuki. Weźmy np. wypełnioną widownię w teatrze. Jestto zbiorowisko ludzi, na różnych stopniach rozwoju będących (raczej grup, prawie tak różnych po-

między sobą, jak rasy) i jakże wszyscy mają z wystawionego na scenie utworu jednakie wrażenie odnieść?

Dzieło może wywołać podobne echo tylko w duszach, na tym samym stopniu rozwoju będących.

Śmieszne są gadania twórców, uważających widownię za jednolite zbiorowisko i nazywających je pogardliwie tłumem. Tak samo naiwne są głosy krytyków, wymyślających „publiczności", że sztuki nie zrozumiała. Gdyby oni zrozumieli, co to jest „publiczność", toby się wtedy nie dziwili, ani nie gniewali, że sztukę tak przyjęto, nie inaczej, bo t a k musiano przyjąć. Każdy odnosi takie wrażenie ze sztuki, jakie mu dozwala odnieść jego rozwój umysłowy. Autor może stać w rozwoju swoim wysoko ponad słuchaczem — wtedy szczere dzieło tego autora będzie w większej części dla słuchacza niezrozumiałe, a zrozumiałe tylko będzie to, co odpowiada stopniowi jego rozwoju. Znowu: autor może stać niżej w rozwoju swoim od słuchacza — wtedy dzieło tego autora będzie dla słuchacza rzeczą zupełnie zrozumiałą i słabą. I w tym i w tamtym wypadku człowiek ten słusznie dzieło sądził.

Władysław Orkan.

Legienda prowancka o Matce Boskiej.

Jak nasionko upierzone niektórych roślin, przeleciawszy ogromne przestrzenie, zapada w grunt podatny, kiełkuje i wzrasta, a potym w dalszych pokoleniach, wedle praw przystosowania, nabiera cech odpowiednich do nowej ojczyzny, podobnie powieść, legienda, pieśń lub fraszka ludowa. Czasem niespodzianie na dwu krańcach ziemi znajdujemy temat ten sam, pochodzący niewątpliwie z jednego źródła, a tylko pod wpływem odmiennych warunków etnicznych odpowiednio zmieniony. Gdzie jego początek, jaka droga — niewiadomo; dla domysłów i wniosków ogólnych o migracji tematów otwarte przezeń szerokie pole. Może kiedyś po jego szlaku będziemy zdolni odkrywać szlak pochodu całego plemienia, całej gromady wędrownej, pędzonej czy to wojną, czy interesem kupieckim, czy fanatyzmem religijnym, czy potrzebą szukania nowych siedzib. Będziemy umieli wydzielić tematy, które z Indji i Chin dostały się do Europy przez Tatarów, albo z Arabji i Egiptu przez Krzyżowców i kupców; inne, które przez Saracenów drogą na Hiszpanję dostały się do literatury wszecheuropejskiej; jeszcze inne, które toczyły się ze Wschodu na Zachód z nawałą sekt manichejskich. Dzisiejsza wiedza folklorystyczna zdołała zaledwie zgromadzić główne tematy i motywy twórczości ludowej w przeróżnych językach i djalektach; ta praca zdaje się być, przy-

najmniej w głównej części, ukończona; trudno byłoby wykryć jeszcze jakiś motyw nowy i nieznany. Najbliższym zadaniem będzie klasyfikacja olbrzymich zapasów, poczym dopiero dadzą się wysnuwać wnioski ogólne, konstruować teorje o powstawaniu, ojczyźnie, migracji tematów.

Drobny przykład z niezmiernej obfitości tematów legiendarnych okaże trudność takiej konstrukcji.

W zbiorze pieśni ludowych prowanckich *) znajduje się poemacik zatytułowany: Trzy krzesła białe. „W raju stoją trzy krzesła białe. Na nich siedzą św. Piotr, św. Jan, — Jezus pośrodku. Patrzy, idzie Jego dobra Matka, która tylko płacze, tylko wzdycha. — Co ci to, dobra Matko, że tak płaczesz, tak wzdychasz? — Ach, moje dziecko, moje słodkie dziecko, mam ja czego płakać, czego wzdychać. Do raju nikt nie wstępuje, a brama piekieł wciąż się otwiera, wciąż zamyka. — Pociesz się, dobra Matko, wszystko to odszczepieńcy, mnie i ciebie się wyrzekli. Jeżeli się nie poprawią, ześlemy im burze, spalimy winnice, potłuczemy zboża; wybuchnie wielka wojna i cały świat zginie. — O moje dziecko, moje słodkie dziecko, ześlij im winnice kwitnące, ześlij im zboża obfite, niebo jasne, wody czyste, a wtedy się poprawią, w post pościć będą, a w czas wielkanocny komunję przyjmować".

Ten sam temat znajduje się między kantykami katalańskiemi **), w formie zaś nieco odmiennej w zbiorze pieśni religijnych gaskońskich ***), wpleciony w dziwny rodzaj legiendy-modlitwy, pod tyt. „Pozdrowienie Boże": — „Mateczka Boża święta Dziewica na czele, ze swym krzyżem, z chorągwiami, z świecącemi brewiarzami, z lichtarzami srebrnemi. Przechodzi het, za morza i tylko płacze, tylko wzdycha. Spotyka małe duszeczki. — Małe duszeczki, co tu porabiacie? — Płaczemy, wzdychamy, patrzymy, jak płonie ogień piekielny. Przezeń biedne przejść musimy, jeżeli, Słodka Dziewico, ty nas nie wspomożesz. — Słodka Dziewica idzie do swego Syna: — Drogi mój synu, uchroń od ognia duszeczki. — Nie, moja Matko, nie uchronię. Od siedmiu lat żadne nie uznało moich ran, mojej krwawicy. Przyjdzie godzina, duszeczki drżeć będą, jak li-

*) Chants populaires de la Provence rec. par Damase Arbaud, Aix 1862. vol. I. p. 14.

**) Mila y Fontanals, Romancerillo catalan, Barcelona 1853, № 26 i 35.

***) Poésies populaires de la Gascogne par Bladé, Paris 1881, vol. I. p. 9.

ście dzikiej koniczyny, która drży noc i dzień. — Nie uczynisz tego, drogi mój Synu. Dziewczęta siedm lat pościć będą, małe dzieci uczyć się będą o chlebie ościstym, o chlebie spleśniałym".

Pieśń powyższa należy do typu legiend chrześcijańskich, znanych we wschodniej i południowej Słowiańszczyźnie pod nazwą „Chodzenie Bogarodzicy po mękach"; bardzo charakterystyczną jej odmianę spotykamy np. w zbiorze Wuka Stef. Karadzicza *), w połączeniu z legiendą o „Podziale świata" przez świętych Piotra, Mikołaja, Jana, Eljasza, Pantaleona: Święci dzielą się światem; przybywa Matka Boska zalewając się łzami. Św. Eljasz pyta o przyczynę żalu. M. B. wyznaje, że przybywa „z przeklętego kraju indyjskiego", gdzie straszne dzieją się bezprawia. Św. Eljasz ją pociesza, powiadając: „Jako tylko świat podzielim z sobą, — Pójdziem wszyscy przed stolicę Boga,— Będziem prosić Boga prawdziwego, — Żeby dał nam od niebiosów klucze. — Tak zamkniemy wszystkie niebios siedem — I położym pieczęć na obłokach, — Żeby nie mógł upaść deszcz z obłoków, — Ni deszcz bujny, ani rosa cicha,—Ani w nocy chłodny blask miesiąca. — Niech nie pada przez trzy całe lata! — Niech nie rodzi wino ni pszenica, — Nawet do mszy na proskurę białą". Matka Boska zadowala się tą groźbą: „To gdy Marja przeczysta posłyszy, — Z łez ociera białe swoje lice". Zaczym następuje podział żywiołów i dziedzin; Święci wypraszają klucze od niebiosów, niszczą ludzkość klęskami; reszta zaczyna się kajać i Bóg im przebacza.

Pokrewieństwo między pieśnią prowancką a serbską jest widoczne, ale jaka przytym zasadnicza i znamienna różnica! Tam Bogarodzica jest Matką wielkiego miłosierdzia, tutaj surową karcicielką. Ponury manichejski duch wieje z pieśni okrutnej; musiała powstać śród Katarów, śród owych Purytanów średniowiecza, którzy przez chwilę grozili rodowi ludzkiemu zagładą. A jeżeli tak, nasuwa się pytanie, czy legienda nie przeszła do Prowancji z nawałą Katarów, zwanych tam Albigiensami, czy nie przynieśli ją ci fanatyczni „Bułgarowie", których nazwa po dziś dzień pozostała w przezwisku i zaklęciu „Bougre". Wskazywałby na to fakt, że legiendy tej nie spotyka się w zbio-

*) W. S. Karadzicz, Srpske narodne pjesnie. Wiedeń 1891—6. t. II. № 1. Przekład polski R. Zmorskiego, Pisma oryg. i tłum. str. 193—5, (Bibl. najc. utw. lit. europ. Warszawa, 1899.)

rach północno-francuskich, np. bretońskich, które przecież najobficiej dochowują legiend religijnych. Wskazywałyby równie szczegóły pieśni prowanckiej: owe „trzy krzesła białe", trzy trony, jak na obrazach bizantyjskich, gdzie w pozach hieratycznych królują niebiescy bojarzy. A i ten dobór osobistości rajskich: „św. Piotr, św. Jan, Jezus po środku", raczej greckiej niźli rzymsko-katolickiej cechy. Tylko surowość i groza nie dotrwały pod słonecznym niebem, w fantazji pogodnej, w usposobieniu Prowansala ludzkim i dobrotliwym i z tej nowej gleby wyrósł poemat przepiękny, małe arcydzieło myśli romańskiej, szlachetny artystycznie i etycznie.

Edward Porębowicz.

Lwów, w styczniu 1904 r.

Dwa wyroki.

Dnia 4 marca 1898 roku trybunał francuski w Chateau-Thierry pod prezydencją sędziego p. Magnaud ogłosił wyrok następujący:

Zważywszy, że Ludwika Ménard przyznaje, iż ukradła bochenek chleba w sklepie piekarza P... i że wyraża szczerą skruchę z tytułu czynu popełnionego;

zważywszy, że oskarżona obarczona jest dwuletnim dzieckiem i pozbawiona wszelkiej pomocy, a od niejakiego czasu — i pracy, której szuka napróżno; że w swojej gminie posiada opinję pracowitej i dobrej matki; że w obecnej chwili korzysta z zapomogi dwu kilogramów chleba i dwu funtów mięsa, ofiarowanych jej raz na tydzień przez Towarzystwo Dobroczynności w Charly dla niej, jej matki i jej dziecka.

zważywszy, że w chwili, kiedy brała bochenek chleba w piekarni P... nie posiadała przy sobie żadnych środków i że jej zapasy były wyczerpane od 36 godzin; że, zarówno ona, jak i matka, w ciągu tego czasu nie miały nic w ustach, a resztki mleka, pozostałe w domu, ofiarowały dziecku; że jest to pożałowania godne, ażeby w społeczeństwie zorganizowanym jeden z je-

go członków, w szczególności matka rodziny mogła być pozbawiona chleba inaczej, jak z własnej winy; że w takiej sytuacji, jak w danym wypadku najzupełniej stwierdzonej i wyjaśnionej, sędzia obowiązany jest stosować do niewzruszonych przepisów prawa interpretację ludzką;

zważywszy, że głód może pozbawić istotę ludzką w dużej części pełnej świadomości dobrego i złego; że czyn, zasługujący zazwyczaj na represję, traci wiele ze swego charakteru zbrodniczego, ile że osobnik, który go zawinił, kierował się naczelną potrzebą zdobycia strawy, bez której przyroda uchyla działalność naszej organizacji fizycznej; że zamiar zbrodniczy staje się mniejszym jeszcze, ile że męki głodu, osobiście odczuwanego, powiększone zostają przez pragnienie, tyle naturalne w danym wypadku, matki uwolnienia od nich drobnego i własnego dziecięcia; że, jak zostało oczywiście dowiedzione, czyn Ludwiki Ménard wolny jest od wszelkich cech zamiaru zbrodniczego, przyczym oskarżona wyraża chęć pokrycia straty piekarza P... z pierwszych zarobków, jakie pracą swą zdobędzie; że, jeżeli niektóre stany patologiczne, naprzykład stan ciężarny, pozwalają określać sprawców kradzieży, popełnionych bez oczywistej nawet konieczności, jako istoty nieodpowiedzialne za czyny swoje, to zasada nieodpowiedzialności powinna być tym bardziej stosowana względem tych, którzy działali pod wpływem niezwalczonego pragnienia głodu:

Trybunał, w myśl art. 64 K. K. uwalnia Ludwikę Ménard od wszelkiej odpowiedzialności.

Wyrok ten, natychmiastowo po ogłoszeniu, spopularyzowany został zarówno przez przyjaciół, jak i przez niechętnych w prasie specjalnej i ogólnej nie tylko Francji, ale całego świata ucywilizowanego. Komentowany i dyskutowany, wywoływał podziw u jednych, oburzenie u innych. Zaznaczyć trzeba, że podziwiała go większość znakomita obywateli, że oburzała się mniejszość znikoma faryzeuszów. Dzienniki, zależne od p. Méline'a, wrzały oburzeniem. „La République Française" pisała, że p. Magnaud zawiele czyni hałasu koło swojego nazwiska i że powinien był raczej przyjść z czynną pomocą oskarżonej i dać satysfakcję piekarzowi. W każdym zaś razie posiada „najmylniejszy pod słońcem sąd o społeczeństwie i o zadaniach sędziego". „Journal des Débats" widział w wyroku „mistyfikację" i domagał się od władz rewizji wyroku: prawo powinno być stosowane bezwzględnie, ono jest wyższe od ludzkości, głód nie

stanowi okoliczności łagodzącej. — Z drugiej jednak strony głosy stokroć poważniejsze, nie wiedzione politycznym strony głosy stokroć poważniejsze, nie wiedzione politycznym interesem chwili, zgoła inaczej przyjęły wyrok p. Magnaud. Tutaj należeli prawnicy, pełni zasługi: de Folleville, dziekan wydziału prawnego, i słynny obrońca belgijski, Paweł Janson, do których przyłączyła się urzędowa napoły wykładnia „Gazette des Tribunaux": powołując się na kopalnię Dalloz'a, na orzeczenia Izby kasacyjnej, uznała Gazeta, że wyrok, zapadły w Chateau-Thierry jest najzupełniej zgodny z duchem prawa i z wykładnią art. 64. K. K. Nie przekonała atoli ta wykładnia prokuratora gieneralnego przy izbie w Amiens. Niewzruszalność sędziowska nie pozwoliła mu zwrócić swych rekryminacji przeciwko samej osobie prezydenta, pozostawała tylko droga protestu w porządku instancji. W ten sposób zajęła się po raz wtóry sprawą Ludwiki Ménard Izba w Amiens. Nastąpiło to 22 kwietnia. Ujawniono tutaj, że Ludwika w chwili popełnienia kradzieży była bez strawy dzień trzeci; że piekarz, który ją zadenuncjował, był jej własnym kuzynem; że, gdy policja, na skutek tej denuncjacji, zgłosiła się do niej w kilka chwil zaledwie po dokonanym przestępstwie, bochenek chleba sześcio-funtowy był już w trzech częściach spożyty; że Ludwika Ménard miała kochanka, który nadużył jej zaufania, przyrzekając małżeństwo, i nigdy nie przychodził z pomocą ani matce, ani dziecięciu swemu; że Ludwika błagała poszkodowanego i policję o czas 24 godzin, aby mogła zwrócić cenę chleba w ilości 1 fr. 30 cnt. — ci atoli byli bez litości. Izba w Amiens zatwierdziła wyrok pierwszej instancji.

*

* *

A teraz wyrok drugi! Niedawno dzienniki nasze podały następującą wiadomość „petitową":

„Niezwykłym rozprawom sądowym przysłuchiwała się świeżo publiczność, zebrana bardzo licznie.

Przed kratkami sądowemi, jako obwiniony o kradzież starego żelaztwa, przeznaczonego na szmelc, stanął wynędzniały i skostniały od zimna rzemieślnik bez zajęcia, Józef Wybrański.

Akta sądowe świadczą, że Wybrański, nie mogąc znaleźć zajęcia, popadł wraz z żoną i dziećmi w straszną nędzę, a nadomiar złego ciężka choroba nieletniego dziecka dopełniła miary.

A gdy dziecko nareszcie po ciężkich cierpieniach skonało i w domu nie było żadnego funduszu na pochowanie go, Wybrański zaczął pukać do serc najbliższego otoczenia i sąsiadów. Ale, niestety, otoczenie to było ubogie i znikąd pomocy otrzymać nie mógł.

Rozpacz Wybrańskiego nie miała granic.

Wreszcie błysnęła mu myśl. Nieopodal jego mieszkania znajdowała się pracownia osi żelaznych, a że była jeszcze godzina wczesna, nikogo z pracowników w niej nie było. Wybrański podszedł blisko, stłukł szybę i wyciągnął rękę spracowaną po cudze mienie.

Stare żelaztwo zaniósł do handlarza, który jednak z braku czasu i pieniędzy odmówił kupna.

Dopiero łzy i opowieść o potrzebie pochowania dzieciny wzruszyły Mordkę Frydenfleita, który wypłacił Wybrańskiemu rb. 6 i zabrał żelaztwo, ocenione przez poszkodowanego na rubli 40.

Dodajmy jednak, że suma ta była przesadzona.

Pogrzeb dziecka się odbył, a tegóż dnia zaaresztowano Wybrańskiego za kradzież żelaztwa.

Badanie okazało się zbyteczne, gdyż Wybrański szczerze opowiedział wszystko, prosząc tylko o względy i łaskę dla swojej pozostałej w nędzy rodziny.

Stający w sprawie, jako świadek, dozorca policyjny zeznał, że cała opowieść Wybrańskiego o nędzy wyjątkowej, o śmierci dziecka i o rozpaczy zawiera istotną prawdę, że człowiek ten nigdy nie był podejrzany, że wreszcie ból i rozpacz W. były tak wielkie, iż noce całe spędzał bezsennie na schodach domu, szukając rady i ratunku u ludzi przechodzących.

— A świadek Frydenfleit co nam powie? — pyta sędzia.

— Ja nic nie powiem—odpowiada F.—Tylko tyle wiem, że ten „biedak nieszczęśliwy" przyszedł do mnie, żeby kupić żelaztwo. Nie chciałem. Ale jak zaczął mówić o śmierci dziecka i o tym, że niema za co pochować, „serce ścisnęło" i kupiłem za 6 rb. towaru. Pretensja nie może być żadna, bo poszkodowany odzyskał już swoją stratę.

Sędzia pokoju, z uwagi na wyjątkowe okoliczności sprawy, zastosował tu niższy stopień kary i skazał W. na sześć tygodni więzienia.

— A teraz trzeba złożyć kaucję 5 rb. — mówił sędzia — bo inaczej W. będzie zaraz aresztowany.

— Kiedy niemam nawet pięciu groszy — odrzekł nieszczęśliwy.

Przysłuchujący się dotąd w milczeniu rozprawom Chaim Fuks złożył owe 5 rb. i Wybrański był tymczasowo wypuszczony na wolność.

Świeżo sprawa odbywała się w II instancji, lecz zjazd wyrok utrzymał w swojej mocy i skargę W. pozostawił bez skutku".

Ta, epiczna w prostocie swej, sprawa kryje głęboką w sobie tragiedję. Stroną społeczną wypadku (brutalny egoizm poszkodowanego, zachowanie się „przysłuchującego się dotąd w milczeniu" Chaima Fuksa, przedewszystkim sam fakt kradzieży w takich warunkach odbywanej) pozostawiamy na stronie. Obchodzi nas w tej chwili tylko strona prawna wypadku. Trudno sobie wyobrazić świadomość człowieka współczesnego, świadomość żywą i zdrową, nie świadomość oczywiście przeżytków Torquemady, któraby nie odczuła wyroku powyższego jako wysoce niesprawiedliwy. Sędzia Magnaud byłby uwolnił Wybrańskiego, co więcej, byłby się zajął jego losem, znalazł mu zajęcie. Są jednak domniemani znawcy prawa i we Francji — w tym celu przytoczyliśmy głosy panu Magnaud przeciwne, — którzy w jego działalności widzą same tylko błędy. P. Magnaud jest być może, myślą oni, uczciwym człowiekiem, dobrym obywatelem, odczuwa głęboko i blizko każdą krzywdę, każdy ból, każde nieszczęście w tym najgorszym ze światów. Ale nie jest prawnikiem. To darmo. Czyniąc zadość porywom serca, krzywdzi, depce ustawę, wywraca porządek społeczny, na tej ustawie spoczywający, nie jest sędzią; sędzią francuskim, oczywiście, sędzią operującym pojęciami Kodeksu karnego obowiązującego (Code pénal zaczął obowiązywać r. 1811).

Przeciwstawienie tych dwu różnych zapatrywań rodzi w umyśle każdego obywatela „miłującego sprawiedliwość" poważne zainteresowanie. Jakie są zadania sądu? Jakim być powinien sędzia? Jakie są zadania jurisprudencji? Czy jest biernym tylko odbiciem uznanych, przyjętych, w martwym wyrazie prawa kodyfikowanego skrystalizowanych, skamieniałych pojęć prawnych, które ciążą na ludzkości tak długo, aż wreszcie zdobędzie się znowu na nową kodyfikację; czy raczej zawiera w sobie żywe, wiecznie świeże czynniki rozwoju, jest twórcą? Czy ci, co wyroki ferują są tylko biernemi wykonawcami obcej woli, nakazów prawodawcy, czy raczej są to twórcy, co nowe ście-

żki budują, nowe kładą drogi na zboczach skalistych niesprawiedliwości społecznej i bezrozumu ludzkiego ku chwale prawdy i prawa? Niema kwestji, któraby więcej posiadała znaczenia aktualnego w dobie dzisiejszej, wypełnionej po brzegi zamierzeniami kodyfikacyjnemi, w epoce narodzin kodeksu cywilnego niemieckiego, ustawy procesowej austrjackiej, zamierzonej rewizji ustawy cywilnej austrjackiej, kodeksu cywilnego węgierskiego, kodeksu cywilnego i karnego rosyjskiego. Kiedy przed kilku laty gienjusz kodyfikacyjny Franciszka Kleina, twórcy kodeksu procedury cywilnej austrjackiej ze znakomitą siłą i uzasadnieniem wyznaczył sędziemu takie właśnie stanowisko twórcze — obudził w całym świecie podziw jednych a zarazem i jednocześnie powątpiewanie drugich. Mówimy tylko o tych praktykach prawa, o magistraturze sądowej, o adwokaturze, o tych, mianowicie, odłamach machiny stanowienia prawa sądowego, które dziś jeszcze, bez względu na czas i miejsce, chodzą w dawnego kroju stroju: w pończochach i pantoflach, zamykanych srebrnemi klamrami, w niewygodnych, ciężkich odwiecznego fasonu togach, pod napudrowaną peruką kryjąc myśl skostniałą, obumarłą. Boć i tu przecież nowy czas wyłom uczynił istotny. Boć i tu w magistraturze jest sprawiedliwy Magnaud, w adwokaturze gienjalny batonnier przy izbie kasacyjnej w Brukselli Picard. Niechaj te dwa ważkie nazwiska starczą za wielu! Zgoła jednak inaczej spogląda na kwestję zadania i obowiązków jurisprudencji nauka prawa. W Niemczech (Buelow, Danz, Kohler), we Francji (Saleilles, Lambert) — i za tym przykładem wszędy, gdzie tylko drga i żyje myśl prawna — budzi się przeświadczenie o „twórczych zadaniach jurisprudencji". Czasy, gdzie uważano za obowiązek interpretującego zrozumienie woli prawodawcy t. j. autora danego przepisu prawa — minęły. Starano się wtedy wolę tę możliwie autentycznie odbudować, badając tekst motywów prawodawczych, oraz wszelkich aktów i dokumentów, które towarzyszyły ogłoszeniu przepisów danego prawa (rozprawy komisji prawodawczych we wszelkich instancjach, przemówienia, wprowadzające dane prawo itp.). W tym sensie właśnie nazywał Windscheid interpretację „Feststellung des Sinnes, welchen der Gesetzgeber mit den von ihm gebrauchten Worten verbunden hat" („Pandekty" §21),—w tym względzie ostatni pewnie już wielkiej miary pandektysta. Bo dziś, jak gdyby odwracamy słowa wielkiego Donellus'a, który pisał „non enim lex est quod scriptum est, sed quod legislator voluit". (De-

iure civili I, 13 § 2), albowiem uważamy za prawo nie to, czego chciał prawodawca, a to, co głosi prawo pisane. Z chwilą, gdy prawo zrodzone zostało, prawodawca traci wszelki wpływ na jego bezpośrednie i pośrednie skutki i wszelką zarazem odpowiedzialność. Skutki te znajdować się mogą daleko poza jego polem widzenia. Treść, którą zawiera przepis prawa, niezawsze jest całkowicie dostępną i uchwytną dla prawodawcy, antecypacja skutków daje się zaledwie przewidzieć i może być zgoła fantastyczna i to zarówno w zakresie skutków czysto prawnych jak i gospodarczych. Prawo, raz ogłoszone, w stosunku do prawodawcy staje się czymś nowym, czymś trzecim, czymś obcym. Skąd przypuszczać można, że iścić się będą t y l k o skutki przewidziane i przez prawodawcę pożądane? Życia jednego pokolenia starczy zaledwie, aby zgłębić całkowitą, nieskończoną treść przepisu prawnego. Życie prawne — mówi Kohler — wydobywa codziennie nową, świeżą treść ze słów przepisu; myliłby się ten, ktoby mniemał, że w dzień publikacji rozpoznał prawo ze wszystkiemi jego skutkami prawnemi. Dla tego mylili się wszyscy, którzy szukali jedynych i ostatecznych wskazań w wyjaśnieniach organów prawodawczych. Nawet, gdyby wszystkie te organy jednomyślnie ocenić i objaśnić potrafiły jakikolwiek akt prawodawczy, — rzecz wcale rzadka, — to i wtedy sąd ich byłby tylko ich osobistym, prywatnym poglądem, nikogo nie obowiązującym. Wyjaśnienie ich znajdowałoby się poza aktem prawodawczym, poza sferą wpływu p r a w a, zawiera treść, której być może niema w samym akcie prawnym. Prawodawca wpływa tylko przez słowo ustawy; jakie zaś objaśnienia dają poza tym słowem współautorowie prawa — to jest ich indywidualnym poglądem na prawo, niczym więcej. W każdym przepisie prawa, jak w każdym dziele ducha, spoczywa głęboko treść nieświadomego, prawie że nie przeczuwanego, życia stuleci całych, przedewszystkiem zaś światopogląd czasu, który prawu życie dał. Twórca prawa nie jest panem organizmu, który na świat wydaje, nie może mu narzucać kierunku, drogi i wpływu.

Tak oto spogląda nauka współczesna na zasady wykładni prawa. Płyną stąd olbrzymiego znaczenia skutki. Zmienia się zasadniczo pogląd na charakter i znaczenie j u r i s p r u d e n c j i. Staje się twórczą. Stosunek jej do zasad, które kryje przepis prawa nie pozostaje filozoficznym, djalektycznym tylko i wyłącznie. Jej dedukcje nie są tylko „skutkami" w stosunku do „przyczyn", tkwiących w ustawie, są one raczej kwiatem czy owocem,

który wyrasta z nasienia przepisu prawa. Zasady prawa, spoczywające w przepisie, są to siły organiczne i dynamiczne, które w różnych warunkach zewnętrznych różne skutki rodzić mogą. Rzeczą prawnika-praktyka, prawnika-dogmatyka jest właśnie zbliżanie zasady prawnej do tych właśnie stosunków życiowych, w których najsilniej rozwinąć i najbardziej kształtująco oddziałać może. „Z dwu reguł ustawy rozwija się w ten sposób — nowa dycyplina prawna. A z tej samej siły twórczej muzyk rozporządzający cztero taktowym motywem, rozwija całą symfonję..." (Kohler).

Każda reforma w organizacji przewozu, każdy nowy wynalazek, znajduje natychmiastowo oddźwięk w sferze hipotez prawnych. Jakże wynalazek telegrafu, telefonu, wpłynął na charakter zawierania umów! Praca fabryczna nadała zupełnie nowy charakter dawnym poglądom na specyfikację a przedewszystkiem na zasadę odpowiedzialności. Tak samo actio doli — znalazła sobie nową, nowoczesną postać w pojęciu nierzetelnego współzawodnictwa. Zmienionym warunkom musi jurisprudencja czynić zadosyć i stale a zawsze przystosowuje się do nich. Najoczywistszy w tym kierunku złożyła dowód jurisprudencja romańska, francuska i włoska, w wykładzie surowych i niemoralnych przepisów kodeksu Napoleona dotyczących zakazu poszukiwania ojcowstwa. Jurisprudencja pierwszej połowy XIX stulecia stała na stanowisku bezwzględnego zakazu: każda pretensja z tytułu uwiedzenia uchodziła za wykluczoną z natury rzeczy. Magistratura zapatrzona w brutalne słowa skodyfikowanej krzywdy społecznej—błądziła. A w cieniu tych błędnych zapatrywań pleniły się chwasty. Zdarzyło się, że stary lowelas uwiódł nieletnią, niedoświadczoną dziewczynę; zdarzało się, że nadużywano powagi wieku, stanu, zawodu; mnożyły się wypadki, w których opiekunowie deflorowali powierzone sobie wychowanki, majstrowie i fabrykanci — robotnice, gdzie pod pozorem obietnicy małżeństwa popełniano krzywdy i zbrodnie. I gdy wszelkie próby zajęcia się losem skrzywdzonych przez los ofiar— rozbijały się o niewzruszoną fortecę przepisu art. 340: „la recherche de la paternité est interdite", — myśl prawnicza znalazła sobie inne wyjście z ciemnych podziemiów bezprawia. Sędziowie zaczęli rozumować: każdy uwodziciel pogarsza sytuację życiową ofiary swojej, pozbawia ją możności pracy, prowadzi na pustynne drogi nędzy i zepsucia. Stąd płynie obowiązek wynagrodzenia za „dommage matériel et moral". Nie koniec

jeszcze. Stan ofiary pogarsza się znacznie, gdy musi z pracy swojej żywić osoby trzecie: rodziców, rodzeństwo, dzieci. Kto jest ojcem tych dzieci, to na razie jest obojętne, musi je żywić a ten obowiązek powiększyła w dwójnasób, w trójnasób sytuacja, w której się znalazła za sprawą uwodziciela. Odszkodowanie, które dać musi uwodziciel, nie stosuje się przecież do jakiejś oderwanej skali, jeno do warunków indywidualnych, a wszak w warunkach najgorszych znalazła się kobieta, która myśleć nie tylko o sobie, ale i o małych, bezbronnych dzieciach musi. Czy znaczy tedy, poszukiwać ojcowstwa, gdy skażemy uwodziciela na zapłacenie 10,000 franków odszkodowania, uwodziciela, który przy zastosowaniu podstępu sprowadził upadek młodej niedoświadczonej dziewczyny? Czy znaczy to „poszukiwać ojcowstwa", gdy przy obliczaniu odszkodowania uwzględnimy stan materjalny uwiedzionej, to, mianowicie, że nie tylko o siebie dbać, ale i o nieletnim bracie, o dziecięciu myśleć musi? Czy dziecko chować musi dla tego, że uwodziciel jest jego ojcem? Dlatego przecież, że jest jego matką, a to sprawia, że stan jej jest pożałowania, jest pomocy godnym. W ten sposób jurisprudencja wydobyła się z matni, przepłynęła szczęśliwie Scyllę artykułu 340. Wyznacza alimenty matce wedle potrzeb jej dzieci — nie ustanawiając bezpośredniego stosunku pomiędzy „ojcem" a „dzieckiem" uwiedzionej. Wyrok nie mówi nic o ojcu dzieci naturalnych, pod względem prawnym jest tylko sprawcą krzywdy uczynionej uwiedzionej przez sam fakt uwiedzenia i jego skutki. Stosunek bezpośredni, stosunek prawny wiąże go tylko z matką. Artykuł 340 obrażony nie został, ale przecież, rzecz oczywista, że cel tego artykułu został uchylony najzupełniej i jeśli bezpośrednio „nie poszukujemy ojcowstwa", to czynimy to pośrednio, albowiem w ten tylko sposób przystosować możemy przepisy prawa obowiązującego do zmienionych warunków życia, do nowych wskazań moralności społecznej, do wymagań postępu. *).

*) Ob. *Puchelt*, Zeitschrift fuer französisches Civilrecht II, 336 i nn. *Kohler*, Jahrbücher fuer Dogmatik des römischen Rechts XXV, 279 i nn. *Bülow*, Gesetz- und Richteramt (1885), oraz Heitere und ernste Betrachtungen über die Rechtswissenschaft str. 91 i nn, 106 i nn. *Jung*, Von der „logischen Geschlossenheit" des Rechts (Festgabe der Giessener Juristenfakultät fuer Dernburg) str. 131 i nn.— Projekt (w ostatecznej redakcyi z d. 28 maja 1904 r.) kodeksu cywilnego szwajcarskiego stanowi w art. I, że „sędzia w braku przepisu prawa stanowionego sądzi według prawa zwyczajowego, w braku zwyczajów według wskazań nauki, wreszcie

Gienjusz Szekspira i na tej drodze postawił nam wiekuiście piękny drogowskaz *). Któż nie zna „Kupca Weneckiego"? Shylokowi, złemu, krwiożerczemu, podeptanemu, nienawiści pełnemu lichwiarzowi, „srogiemu niecnocie, w którym niema iskry litości ani ludzkości", przypada od lekkomyślnego Antonja dług do zapłaty. Umowa brzmiała:

Shylock.

...jeślibyście mi nie wypłacili
Tej a tej summy, na ten a ten termin
W tem a w tem miejscu, jak w punktach stać będzie
Wynagrodzicie mi, panie, ten zawód
Funtem swojego ciała, który będę
Mógł wam wykroić, skąd mi się spodoba **)

Antonio.

Zgoda, podpiszę taki akt.....

Termin przychodzi — pieniędzy niema. Shylock domaga się wykonania umowy. I oto powtarza przed sądem:

...ten marny funt mięsa
Którego żądam, moją jest własnością,
Drogom go kupił i chcę go posiadać...

Ażeby zrozumieć, w jak ciężkiej sytuacji znalazł się trybunał, należy przypomnieć, że Shylock miał prawo domagania się amputacji nie tylko z mocy umowy, którą z pełną świadomością czynu zawarł z nim lekkomyślny, wesoły, nieostrożny Antonio. Prawo samo, pisane czy zwyczajowe ustawy Wenecji, uznawały takie umowy. Od najdawniejszych czasów, od pierwocin prawa rzymskiego poczynając, żył w ustawie prawnej, w świadomości prawnej ludów równoważnik pieniądza dłużnego w ciele zobowiązanego. Qui non habet in aere, luat in cute, głosiło prawodawstwo XII tablic. Dłużnik korzysta z 30 dni zwłoki, po 30 dniach może go wierzyciel zawezwać przed sąd i jeże

---

według zasady, którąby ustanowił, *gdyby był prawodawcą* (Botschaft des Bundesrates an die Bundesversammlung zum Bundesgesetz enthaltend das schweizerische Zivilgesetzbuch vom 28 Mai 1904, str. 101).—*Saleilles* w przedmowie do pięknej pracy *Gény*, Méthode d'interprétation et sources en droit privé positif (1899), str. VIII i nn. oraz str. 240 i nn. *Lambert*, Fonction du droit civil comparé I, str. 655 i nn. oraz tenże, La fonction dynamique de la jurisprudence (w Revue générale du droit, 1904 str. 152 i nn.), *Reuterskioeld*, Ueber Rechtsauslegung (w Upsala Universitets Arsskrift, 1900). Cytuję tylko prace *najważniejsze*.

*) por. mistrzowski wykład *Kohlera*, Shakespeare vor dem Forum der Jurisprudenz (1886), str. 1 i nn.

**) „Kupiec Wenecki" (przekł. Paszkowskiego) akt I scena 3.

li nie płaci długu, związać i więzić w ciągu dni 60, poczym wyprowadzony na forum i w ciągu trzech n u n d i n a e wywołany bywa z powodu niewypłacalności; jeżeli i za trzecim razem nie składa zapłaty, jeżeli nie znajdzie się nikt, ktoby go wyzwolił, następuje katastrofa: wierzyciele mogą z niego krajać mięso, ile który chce, mniej lub więcej — albo go sprzedać w niewolę. Katastrofa mogła nastąpić zarówno na skutek wyroku sądowego, jak i bez interwencji władz publicznych; wystarczała umowa uroczysta, skazująca dłużnika w wypadku niedotrzymania warunków na łaskę i niełaskę wierzyciela: stawało się zadość okrutnemu, krwawemu duchowi starego prawa zobowiązań. Jedno tylko znało prawo ograniczenie, jedną pociechę dla dłużnika: piętnowało wierzyciela, jako i n f a m i s a.—Nie były to jakieś wyłączne właściwości prawa rzymskiego. Prawodawstwo wszystkich ludów znajdowało się przez czas jakiś na tym stopniu „kultury". Znały ten krwawy obyczaj i dawne prawa Wenecji. Powoli jednak wychodzić zaczynał z użycia. Świadomość m o r a l n a społeczeństwa rosła. Budzić się zaczyna reakcja przeciwko umowom o podobnej treści, reakcja jeszcze nie ze stanowiska prawa kodyfikowanego, ale ze stanowiska uczucia moralnego, przyzwoitości publicznej, świadomości prawa, poczucia niesprawiedliwości. Jeszcze nie nastąpił czas, gdy wykonanie podobnego warunku piętnowane będzie, jako p r z e c i w n e p r a w u, ale już się je odczuwa, jako niewłaściwe, niespołeczne. Takie przekonanie wypełnia świadomość sędziów weneckich, doży, kupców, gdy staje przed niemi obnażony, w konsekwencji swej bezwzględny, łaknący krwi egoizm brutalny Shylocka i biedny, bezsilny, opuszczony od prawa, odcięty z woli prawa od wszelkiego miłosierdzia Antonio. Cóż ma począć wykonawca prawa? Nie wolno mu działać wbrew ustawie. Można przymusić do wykonania prawa, ale przymusić do czynienia łaski? A więc ma się stać wedle żądania Shylocka? Tragiczna sytuacja, gdy sędzia widzi, że staje się narzędziem w rękach zbrodniarza, narzędziem nędznego, nikczemnego czynu, a nie wie, jak uciec od losu swego; sytuacja pełna grozy i bólu, gdy sędzia widzi, że sprawiedliwość staje się nierządnicą, że iskra święta Prometeusza staje się zarzewiem pożaru, który spopieli wszelkiej moralności wskazania i żądania. W tej tragicznej grozie odwołuje się do litości; dwudziestu kupców, doża, senatorowie starają się wpłynąć na Shylocka

„Żydzie, czekamy na twoją odpowiedź

I spodziewamy się wszyscy łagodnej...

wołają. Napróżno. Cóż czynić? Ofiarować Antonia czy przynieść sercu w ofierze ustawy Wenecji? Nie sposób myśleć o tej drugiej ofierze. Jedno ustępstwo od wskazań prawa pociągnie za sobą inne, coraz liczniejsze: upadnie kredyt, upadnie powaga państwa

.....żadna moc w Wenecji
Nie zdoła zmienić ustaw istniejących;
Posłużyłoby to za prejudykat
I błąd niejeden wkradłby się do państwa
Za tym przykładem....

Wypada tylko zamknąć oczy, przysłonić twarz kirem — biedny — biedny Antonio!

Wiemy dobrze, jakie Szekspir znalazł rozwiązanie w sytuacji bez wyjścia. Żyje już w świadomości sędziów uczucie, instynkt, że oblig Shylocka jest niemoralny, że nie należy uważać go jako podlegający wykonaniu. Jeszcze tej świadomości nie odpowiada formuła rozumowa; jeszcze nie zdobyła się na argumenty. Ale żyje, żyje w świadomości wszystkich obecnych i z tych cudnych nitek utkał gienjusz poety obraz „mądrego Daniela", zogniskował te zewsząd wydobywające się promienie, skrystalizował w Porcji. Oto dlaczego jej argumenty, wyzwalające Antonia, są takie słabe, tak mało prawne. Mogłyby być najgorsze, żadne. Chodzi nie o nie, chodzi o wyrok. Mogła ona przegrać swój proces przed sądem rabulistów, wygrała go przed sądem historji. Znowu wyzwolona świadomość prawna odniosła zwycięztwo nad ciemną nocą przestarzałej, bezrozumnej ustawy, litery prawa. Pozorne, słabe, bezwartościowe argumenty kryją wielki tryumf postępu, który na słonecznym wozie Apolina raz jeszcze wkroczył w ciemne krużganki i korytarze sądu, co zamiast prawo czynić, Belzebubowi i Mammonowi ołtarze miał wznosić. I jeżeli Shylock z pozornie „dobrym obligiem" w ręku, wychodzi z auli sądowej skruszony i złamany, — to czujemy, co więcej, to w i e m y, że już nie meteoryczne światło łaski, ale że słońce prawa zajaśniało w całym swym majestacie nad pałacem dożów, nad Wenecją, nad światem.

S. Posner.

LOGIA JEZUSA.

Warstwy, składające powierzchnię ziemi naszej, nie tylko dla gieologów, wykazując im sposób jej powstawania, mają swoje znaczenie niczym niezastąpione. Od lat kilkudziesięciu nabrały one takiegóż znaczenia i dla badaczy przeszłości ludzkiej. Chcąc poznać przeszłość, zwłaszcza odleglejszą, dawnego narodu, badacze ci rozkopują obecnie warstwy ziemi, na której ten naród osiadł, i w nich poszukują, niby w archiwum jakim szperają, niby w jakiej bibljotece.

To drugie znaczenie warstw ziemi pochodzi stąd, że ona pochłania w siebie wszystko, co tylko istnieje na jej powierzchni, zarówno ludzi, po ich śmierci, jak ludzkie wyroby, dzieła rąk człowieczych, jeszcze za ich życia.

Dzieła rąk ludzkich, pochłonięte przez ziemię, okazują się nawet trwalszemi, niż sami ludzie przez nią pochłonięci. Dziełom swym zawdzięczają przeto ludzie pamięć o sobie po śmierci. W taki sposób zmartwychwstają w dziejach całe pokolenia; odżywają w nich nawet narody zaginione i zapomniane.

Między wyrobami rąk ludzkich znajdują się i księgi. Otóż z tych warstw ziemi, niby z bibljoteki, dobywamy i je nakoniec.

Księgi nie pochłonięte przez warstwy ziemi znikłyby zupełnie, jak tego mamy codzienne dowody, z jej powierzchni.

Pochłonięte — przechowują się, chociaż to przechowywanie okupują swą całością. Dobywane — są mniej więcej zawsze uszkodzone. Dobywają częstokroć tylko szczątki, ale te szczątki — istnieją.

Myśl ludzka, utrwalona w znakach piśmiennych, odżywa w ten sposób w umysłach ludzkich po kilku tysiącach lat od swego powstania w umyśle swego twórcy i zawsze, gdyż wyjątki zdarzają się bardzo rzadko, stanowi jedyną po nim pamiątkę, jedyny ślad jego istnienia.

Takiemi bibljotekami głównemi, wśród wielu pomniejszych, stały się obecnie dwa ogniska naszej kultury: Mesopotamja i Egipt.

To drugie ognisko ma nawet nad pierwszym tę przewagę, że księgi dobywane z niego sięgają nie tylko, jak dobywane z tamtego, czasów przeddziejowych, ale dotykają również ery naszej, wchodzą w nią na przeciąg kilku wieków początkowych. Egipt bowiem nigdy, jak to miało miejsce z Mezopotamją, nie przestawał być ogniskiem kultury. Starożytną egipską zastąpiła starożytna grecka, następnie rzymska. W nim to głównie, zetknąwszy się z żydowskim, piśmiennictwo greckie przybrało nowe cechy jako judaistyczno-greckie. Treści dostarczała mu umysłowość żydowska, formy i języka — umysłowość grecka.

Wskutek tego księgi greckie, a raczej szczątki tych ksiąg, w postaci kart pergaminowych i zwojów papirusów wydobywane z nadnilskiej bibljoteki, przedstawiają oprócz tekstów tyczących się codziennego życia i spraw bieżących, rodzinnych i publicznych, jeszcze urywki z dzieł starożytnych pisarzy greckich— wzięte z kwitnącego na początku ery naszej piśmiennictwa judaistyczno-greckiego.

Jedne szczątki przechowały zaginione dzieło Arystotelesa (O urządzeniu państwowym Aten), utwory bardziej znanych z rozgłosu niż z dzieł: liryka Bakchylidesa, krasomówcy Hiperidesa, jak również zupełnie nieznanego z dzieł a zaledwie z imienia mimika Herondasa, iż pominę drobniejsze urywki z prac już to znanych, już mniej ważnych wielu innych pisarzy.

Drugie — dostarczyły: początku sławnego apokryfu, znanego pod tytułem: Księga Enocha (I—XXXII rozdziały) i Apokalipsy, przypisywanej Piotrowi Apostołowi, 1—35 wersetów; z Ewangielji, również przypisywanej temuż Piotrowi, 1—60 wersetów i, nakoniec, logia Jezusa.

Jest ich kilka.
Lecz cóż są te logia?

I

Najstarożytniejszemi zabytkami piśmiennictwa chrześcijańskiego (odłam judaistyczno-greckiego) są Listy Pawła Apostoła w liczbie trzynastu. Wśród zaś tych Listów najstarszemi: Dwa Listy do Tessalończyków. W pierwszym z nich następujące czytamy słowa: „A nie chcę bracia, abyście wiedzieć nie mieli o tych, którzy zasnęli; iżbyście się nie smucili, jako i drudzy, którzy nadziei nie mają. Albowiem, jeśli wierzymy, iż Jezus umarł i zmartwychwstał, tak Bóg i te, którzy zasnęli w Jezusie, przywiedzcie z nim. Boć to wam powiadamy słowem Pańskim, że my, którzy żywi pozostaniemy do przyjścia Pańskiego, nie uprzedzimy onych, którzy zasnęli. Gdyż sam Pan z okrzykiem, z głosem archanielskim i z trąbą Bożą zstąpi z nieba, a pomarli w Chrystusie powstaną najpierwsi. Zatym, my żywi, którzy pozostaniemy, wespół z niemi zachwyceni będziemy w obłokach naprzeciwko Panu na powietrze, a tak zawsze z Panem będziemy" (I, Do Tessal. IV, 13—17).

Ci zaś, którzy oprócz zapewnienia, że, jeśli poprzednio nie umrą, to jeszcze żywi, to jest, że za dni swoich, za dni współcześnie żyjącego pokolenia doczekają się przyjścia Jezusa na ziemię, w celu dokonania kosmiczno-społecznych przewrotów, rozumianych przez ogólną nazwę Królestwa Bożego, nadto chcieliby się jeszcze dowiedzieć, kiedy to mianowicie, w jakim dniu nastąpi, taką otrzymują naukę: „A o czasach i o chwilach, bracia,nie potrzebujecie, aby wam pisano. Albowiem sami dostatecznie wiecie, iż on dzień pański jako złodziej w nocy (niespodziewanie przychodzi) tak przyjdzie. Bo gdy mówić będą: pokój i bezpieczeństwo, tedy na nie nagłe zginienie przyjdzie, jako ból na niewiastę brzemienną, a nie ujdą... Przeto nie śpijmy, jako i insi, ale czujmy i bądźmy trzeźwemi..." (Do Tessal. V, 1 — 10).

Te słowa pisał Paweł w jakie lat dwadzieścia po śmierci Jezusa, prawdopodobnie w 53 r. W lat kilka jeszcze powraca do tego rodzaju zapewnień w liście pierwszym do Koryntów, napisanym jak utrzymują krytycy w 58 r. „Oto tajemnicę wam powiadam: nie wszyscyć zaśniemy, ale wszyscy przemienieni będziemy, bardzo prędko, w okamgnieniu, na trąbę ostateczną.

Albowiem zatrąbi, a umarli wzbudzeni będą nieskazitelni, a my (to jest ci, którzy będą jeszcze żywi) będziemy przemienieni" (I. Do Korynt. XV, 51—52).

Paweł osobiście sam Jezusa nie znał i nie słuchał przemówień Jego. Wszystko to przeto, co twierdzi w listach swoich, a co poznaliśmy z przytoczonych ustępów, powziął od słuchaczy rzeczywistych Jezusa i jego uczniów prawdziwych. Jakoż i w Ewangieljach znajdujemy ślady przemówień Jezusa, na które właśnie, słysząc je powtarzane przez uczniów, mógł się Paweł powoływac. Oto one: „Zaprawdę powiadam wam: są niektórzy z tych, którzy nie ukuszą śmierci, ażby ujżeli syna człowieczego, idącego w królestwie swoim... Zaprawdę powiadam wam, że nie przeminie ten wiek, ażby się to wszystko stało" (owo zapowiadane przyjście syna człowieczego, a z nim związane przewroty. Mat. XVI, 28; XXIV, 34). W innej: „ I mówił im: zaprawdę powiadam wam, iż są niektórzy z tych, co tu stoją, którzy nie ukuszą śmierci, ażby ujżeli, że królestwo Boże przyszło w mocy" (Mar. IX, 1). Jeszcze w innej: „Aleć wam powiadam prawdziwie: są niektórzy z tych, co tu stoją, którzy nie ukuszą śmierci, aż oglądają królestwo Boże" (Łuk. XX, 27).

Wierzący w zapewnienia: ci, którzy z dnia na dzień oczekiwali przybycia Jezusa, a z tym przybyciem związanego przewrotu społecznego, zapowiedzianego tak stanowczo i uroczyście w znanych nam Błogosławieństwach; ci, którym w uszach dźwięczały jeszcze stanowiące je słowa otuchy, a w oczach zarysowały się już ułudne obrazy lepszej przyszłości; ci z natury rzeczy nie mogli się zupełnie zajmować akademicką pracą układania jego życiorysu, lub nawet pisaniem pamiętników o nim, mogących z czasem stać się źródłem do dziejów jego. Całą ich uwagę chłonęło wyglądanie znaków jego przybycia, jak całą istotę — oczekiwanie zmian zapowiedzianych, od których zależała ich nowa przyszłość. Całe urządzenie ich bytu ówczesnego stało się zastosowaniem do tych oczekiwań ciągłych i naprężonych.

Czas atoli ubiegał szybko, chociaż dla oczekujących ciągnął się zbyt powoli. Innych wszelako znaków, oprócz istnienia wielu ludzi, których działalność zgubna dla społeczeństwa a dla nich samych wskutek ich stanowiska państwowego bezkarna, jakoś nie można było zauważyć. Dla związania zjawienia się tych ludzi z zapowiedzianemi przewrotami, dla odszukania jakiej pociechy z tego ich zjawienia się nazywano ich Antychrysta-

mi. Istnienie atoli takich uprzywilejowanych zbrodniarzy niebyło wcale rzeczą wyjątkową, za co starano się to poczytywać ówcześnie. Dzieje wszystkich ludów w przeszłości, a własna pamięć owych wierzących w teraźniejszości pozwalały im setki ich naliczać. Tak więc, chociaż zjawiali się Antychryści, znaków innych osobliwych, mających następować po ich zjawieniu się, jakoś wciąż nie spostrzegano.

A tymczasem z życia, pomimo przygotowywań się wszelakich, i dla nich zwykłym porządkiem płynącego, śmierć nieprzestawała wyrywać jednostek, które tych zmian zapowiedzianych doczekać się nie dość nadzieję, lecz pewność posiadały, Niepokój począł ogarniać umysły. Doświadczany zawód wraz z tym trzeźwił i cucił nie przestających się łudzić. Lecz trzeźwienie i cucenie było pozbawianiem się nadziei jedynej polepszenia bytu przez przewroty. Utrata nadziei przyprawiała słabych i bezradnych o rozpacz. A gdzież to wówczas byli silni i sobie radzić zdolni?

Paweł czuwał. Jego wiara w ziszczenie się zapowiedzianych rzeczy była tym silniejszą, im gwałtowniejsze były pobudki, które go do zmiany przekonań osobistych i dotychczasowego kierunku czynności przywiodły. Spieszy więc, jakeśmy to widzieli, uspakajać umysły. A uspakaja je nie tylko swemi słowy, ale i słowem Pańskim.

Gdzież wszelako spoczywało owo słowo? Od przebrzmienia w falach powietrznych bez żadnych śladów uchroniła je pamięć ludzi. Spoczywało ono przeto w umysłach ludzkich. Brzmiało ono w podaniach, jak i inne słowa Jezusa. Nie tylko bowiem mocą błogosławieństw poruszał on umysły słuchających go, nie tylko zapowiadaniem czasu ziszczenia się onych gromadził wokoło siebie tłuszcze i wiódł je za sobą. Nauczał on przytym, jak na te błogosławieństwa zasłużyć; a nadto podawał sposoby, jak się skutecznie przygotowywać należy do przyjęcia jego w królestwie swoim, to jest do królestwa Bożego, które rozpocząć miało to jego przyjście.

Nauczanie to atoli przechowywało się jedynie w pamięci tych, którzy je słyszeli osobiście od Jezusa, lub, co zresztą stawało się coraz częstszym, w pamięci tych, którzy je słyszeli od tych, którzy je od niego samego słyszeli. Te sposoby atoli skutecznego przygotowywania się, chociaż wcielane do praktyki życia, chociaż stosownie do nich urządzano byt ówczesny, istniały również tylko w podaniach.

Wymieranie pokolenia pierwszego, które składali bezpośredni słuchacze i uczniowie Jezusa oraz bezpośredni słuchacze i uczniowie tamtych, zmuszało do zapisywania przechowywanych dotychczas w pamięci tego pokolenia słów i nauk Jezusa, prowadziło do układania w jedną całość przepisów stosownego przygotowywania się do jego powrotu, rozproszonych również dotychczas po pojedynczych podaniach.

To zapisywanie i to układanie tymbardziej stawało się koniecznym, że spóźnianie się oczekiwanych oznak można było przypisywać nie dość skwapliwemu wypełnianiu nauk Jezusa, błędnemu pojmowaniu i tłumaczeniu jego słów, nieodpowiedniemu przypisów urządzeniu choć przejściowego bytu; ale ten przejściowy byt był zarazem przygotowawczym, gdyż przygotowywał, prowadził do ostatecznego.

Takie zapisywanie słów i nauk Jezusa, przechowywanych dotychczas w pamięci, wytwarzało logia. Logia więc są to zapisane słowa Jezusa, zawierające jego naukę, jego wyrzeczenia; słowem—jego nauka, zapisana według podania przechowywanego wśród tych i przez tych, którzy albo go sami słuchali, albo otrzymali ją bezpośrednio od tych jego słuchaczy.

Lecz skąd powstała sama nazwa logia i co przez nią rozumiano? Jaki los spotkał te logia?

II

Wyraz logia jest grecki, pochodzi od Logion i stanowi jego liczbę mnogą. Logion oznaczało pierwotnie odpowiedź bogów dawaną prozą, zwykle bowiem wyrocznie układane były wierszami; wskutek czego ten wyraz grecki na łacinę zwykle bywa tłumaczony przez oracula.

Z pisarzy chrześcijańskich, których pisma przechowały się do czasów naszych, głównie tego wyrazu używał Euzebjusz Pamfilus, biskup cezarejski (267—338), autor pierwszej Historji Chrystjanizmu w X księgach. Otóż ów Euzebjusz pisząc w III księdze tej Historji o początkach piśmiennictwa chrześcijańskiego, powołuje się na niejakiego Papiasa, poczytywanego za ucznia Jana Apostoła, żyjącego w pierwszej połowie II wieku (um. około 156 r.), autora dzieła: O tłumaczeniu logiów Pańskich, które do nas nie doszło, i z tego jego dzieła wśród kilku innych następną mieści cytatę: „Matteusz w hebrajskim języku napisał logia" (III, 39).

Świadectwo Papiasa, to i inne (w samym już tytule zaginionego jego dzieła), o istnieniu logiów jest nader ważne, gdyż żadnego zbioru takich logiów bądź w całości, bądź też w urywkach do naszych czasów nie doszło. Ponieważ z takich logiów powstały Ewangielje przez uzupełnienie ich biograficznemi dodatkami, Ewangielje w piśmiennictwie chrześcijańskim zastąpiły takie logia i je z używania wyparły

Że jednakże Ewangielje, przynajmniej nam znane, wypierając z używania logia nie wszystkie wyrzeczenia Jezusa z takich logiów wprowadziły do swego tekstu, a raczej zawarły w sobie, mamy tego dowód w tak zwanych agrafach, to jest zbiorze wyrzeczeń Jezusa, które nie weszły do Ewangielji, a które się przechowały w innych utworach z pierwszych wieków chrześcijaństwa pochodzących.

W takim stanie rzeczy łatwo jest pojąć znaczenie nowoodnalezionych logiów w Egipcie, chociaż jest to tylko drobny urywek z większej prawdopodobnie pochodzący całości.

Odnaleźli ów urywek w zwaliskach miasta Oksyrynchusa, pod dzisiejszą osadą arabską Behnesa, Bernard P. Grenfeld i Artur S. Hunt w 1896 roku, a w następnym wydali z podobizną papirusa, który ten urywek zawierał: Logia Jesu, Sayings of our Lord from an arty Greek papyrus, discovered and edited by... London, 1897.

Oto są one. Podaję je w przekładzie dokonanym wedle tekstu odkrywców i wydawców.

I.....i wtedy przejrzysz, abyś wyjął źdźbło, które jest w oku brata twego.

II. Rzekł Jezus: jeśli nie będziecie pościć... nie znajdziecie królestwa Bożego; jeśli nie będziecie święcić sabbatu, nie ujrzycie Ojca.

III. Rzekł Jezus: byłem wśród świata w ciele i byłem widziany przez nich i znalazłem ich wszystkich pijanemi i żadnego nie znalazłem pragnącego między niemi; i trapi się dusza moja nad synami ludzkiemi, albowiem są ślepi w sercach swych...

IV... ubóstwo...

V. Rzekł Jezus: tam gdzie oni są (zebrani, jestem ja?), i jeśli jest jeden, jestem z nim; podnieś kamień i tam mnie znajdziesz; rozłup drzewo i tam ja będe.

VI. Rzekł Jezus: żaden prorok nie jest przyjęty w ojczyźnie

swej, żaden lekarz nie uzdrawia wśród tych, którzy go znają.

VII. Rzekł Jezus: miasto założone na szczycie góry wyniosłej i pobudowane nie może spaść ani zostać ukrytym

VIII. Rzekł Jezus: rozumiesz (?)...

Widzimy, że ani ilość, ani też treść logiów nie mogą stanowić o ich znaczeniu; ale sam fakt ich istnienia.

Ignacy Radliński.

SPRAWDZIANY PRZECIĘTNE JAKO ZASADA PRAWA.

W rozmyślaniach o ostatecznym celu prawa widzieć chcemy postęp i doskonalenie ustawiczne. Prawo, jako czynnik kulturalny, jako dźwignia postępu, wydaje się być siłą, tworzącą podwaliny życia lepszego — urzeczywistnieniem sprawiedliwości, wcielonej w przepisy przymusowe. Prawo — jak owa legiendarna głowa Meduzy — zamienia wrogie kulturze siły w kamień bez życia. Bo rozwój, związany z koniecznym różniczkowaniem prawa, poddaje sfery dotychczasowo od wtrętów i kontroli wolne — pod nakazy przepisów przymusowych, które, gdy naprawdę sprawiedliwość społeczną urzeczywistniają, słabszych bronią, a samowoli veto nieodwołalne zwiastują.

Niepoprawny optymizm, wnioskując z tych przesłanek, gotów przypisać prawu lepszemu i tworzącemu się dopiero cechy etycznie najdoskonalsze. Nie przeczę, że prawo się doskonali. Ale nic zapominam, że podstawą prawa, jako systematu norm przedmiotowych, formalistycznie określonych i w nakazie skrystalizowanych — jest pewne, charakterystyczne ciążenie do sądów i sprawdzianów przeciętnych, dostępnych i obliczonych na

masy, a więc nie indywidualnych ściśle. Entuzjazm etyczny w chwilach podniesień ducha nie zna przeszkód rzeczywistości— porywa i cel osiąga. Ale urzeczywistnienie wymarzonego ideału w systemacie prawnym—urzeczywistnienie w tej formie konieczne, bo ludzie nigdy aniołami nie będą — jest, powiedziałbym nawet, świętokradztwem etycznym. Giętkość i zdolność przystosowania się, indywidualizacja przy ocenie etycznej tak konieczna, miara inna dla ludzi innych — zatraca się to wszystko w wyraźnych, skrystalizowanych, bezwzględnie zimnych (nawet gdy idealnych) przepisach prawa. Sprawdzian przeciętny, ilości średnie, kompromisy na tle krzyżujących się interesów — tworzą z systematu prawa nie rapsod bohaterski, nie zwiastowanie cudowne, lecz całokształt pojęć, nakazów, uprawnień i obowiązków ściśle ograniczonych, wymierzonych dokładnie, z precyzją kazuistyczną. Być może, że podkładem tych przepisów, uprawnień nowych i obowiązków dotychczas nieznanych — są epopeje nawet: ale bezwzględna mowa prawa nie zna ciepła serdecznego i namiętności prawdziwej.

Tymbardziej prawo istniejące, prawo dopiero do ideału dalekiego dążące, zrodzone w zaciekłej walce interesów sprzecznych — z natury rzeczy ciąży do sprawdzianów przeciętnych. Bez względu na okres historyczny — znamienna to cecha prawa. Prawo, czy zwyczajowe, czy pisane, dąży do unormowania przedmiotowego (proces objektywizacji). O ile dają się zaznaczyć różnice — bądź z odmiennego charakteru podmiotu i przedmiotu prawa, bądź ze stosunków prawnych wynikające — o tyle uwzględnia je system. Aliści są to różnice zgruba jedynie zarysowane. Prawo pierwotne i tych różnic nawet nie zna — prawo okresów późniejszych doskonali się pomału: stąd odmienne przepisy dla małoletnich, stąd uwzględnianie woli prawdziwej przy zawieraniu umów, stąd przepisy dla majątkowo-słabych łaskawsze; stąd odmienne traktowanie przestępców z zawodu i przestępców z wypadku w prawie karnym. Być może, że celem prawa sprawiedliwego będzie osiągnięcie harmonji pomiędzy zasadą bezwzględnego prawdziwego indywidualizmu, a sprawdzianem przeciętnym. Ale to ideał niedościgniony: bo gdy wyobrazić sobie możemy społeczność, w której poszczególna jednostka poszczególną posiada etykę — niemożliwym jest istnienie systematu prawnego, różniczkującego się tak dokładnie i drobiazgowo, że specyficznym cechom jednostki nie dzieje się krzywda. Byłoby to zaprzeczeniem prawa, albowiem prawo stanowione

bywa nie „pro parte", lecz „pro toto". I objaw znamienny: gdy prawodawca uważa, że cechy indywidualne, w paragraf ująć się nie dające — uwzględnione być winny — wtedy albo „uznaniu sędziego" pozostawia pewne (ale zawsze zakreślone ściśle) pole działania, albo też pozwala odwoływać się do „łaski" tej „korektorki sprawiedliwości", tego „wentylu bezpieczeństwa", jak mówi Ihering.

Zdaje mi się, że najdokładniej oddała owo znamienne ciążenie prawa do ilości i określeń przeciętnych — modna w swoim czasie teorja, która w prawie widziała „minimum moralności" (Jellinek), czy też „minimum urzeczywistnienia moralności" (Wallaschek). Prawo — to Existenzminimum" przepisów moralnych — to najmniejszy stopień napięcia woli etycznej, żądany— w interesie ogólnym — od członków społeczności. Jest to takie minimum moralności, bez którego społeczność istnieć nie może. Oto — główny, zasadniczy sprawdzian przeciętny: po przez tysiące krzyżujących się interesów przeprowadzamy linję demarkacyjną: zaznacza ona sferę dozwolonego i zabronionego — w sposób ogólnikowy „ordine geometrico"; po nad nią dopiero rozciąga się sfera życia etycznego, obcego i niedostępnego dla prawa, życia, dającego się indywidualizować ściśle.

Nie tu miejsce na krytykę tej teorji, do dziś dnia liczącej zwolenników. Nie zgadza się ona z ukształtowaniem rzeczywistym; być może, opiera się jedynie na analizie prawa karnego, które „całkowitej moralności" nie broni, a tylko pewne, najbardziej w oczy rzucające się „objawy niemoralności" karze. Być może, że teorja ta — jest jedynie odpowiednikiem ściśle formalistycznego, na wzór manczesterski skrojonego państwa prawnorządnego. Ale w gruncie rzeczy zaznacza dokładnie istotę sprawdzianów przeciętnych, na których gruntuje się system prawny.

Ów filisterski, tyle razy wyśmiewany „złoty środek"— przejaw bezbarwny kompromisów i ustępstw — cechuje istotę prawa. Prawo dąży do ilości przeciętnych, do prawideł, obliczonych na masy, do zakreślenia granic jedynie i twierdzeń ogólnikowych. „Id quod plerumque fit"—oto dewiza naczelna. „Troskliwość dobrego ojca rodziny", „troskliwość porządnego kupca" (diligentia in abstracto — w odróżnieniu od „troskliwości w rzeczach własnych", rzadziej, jako sprawdzian używanej) „r o z s ą d n a ocena wypadku" „wada przydatność rzeczy do z w y c z a j n e g o użytku obniżająca", „używanie (mieszkania) połączo-

ne ze znacznym narażeniem zdrowia", „ważna przyczyna przy niewczesnym wypowiedzeniu umowy", „rozwód... z powodu znacznego rozprzężenia stosunku małżeńskiego" (§ 1568 kod. niemieckiego cywilnego), „niegodność dziedziczenia" w pewnych ściśle ograniczonych wypadkach — oto wiązanka określeń i domniemań prawnych, opartych na zasadzie „sądu przeciętnego". Katalog ten może być przy uważnej lekturze naszych kodeksów współczesnych znakomicie powiększony.

Też wykonanie obowiązków prawnych opiera się na domniemaniach przeciętnych. Prawo nie dba o motywy i pobudki, które wykonanie obowiązku wywołują. Wystarcza, by zobowiązanie w granicach przez prawo zakreślonych — wykonać. Zasadę tę już dawno prawnicy rzymscy dokładnie określili: Lb. I) 22, 6 „Nec supina ignorantia ferenda est factum ignorantis, ut nec scrupulosa inquisitio exigenda; scientia enim hoc modo aestimanda est, ut neque negligentia crassa, aut nimia securitas satis expedita sit, neque delatoria curiositas exigatur"

A i te granice, które prawo zobowiązaniom i stosunkom prawnym stawia — wydelikaconym wymogom nie odpowiadają. I one ponad przeciętną powszedniość się nie wznoszą. Umowy przeciwne dobrym obyczajom lub porządkowi publicznemu są nieważne — głosi sakramentalna formułka. Owe „dobre obyczaje" nie są bezwzględną moralnością, ani nakazem kategorycznym; są one jedynie przeciętną istniejących w społeczności, lub w danej klasie społecznej przekonań i poglądów moralnych. Za sprawdzian nie uchodzi ani moralność sędziego, ani moralność teoretyczna, chociażby najbardziej wzniosła, ale jedynie i wyłącznie suma istniejących, przeciętnych przekonań moralnych. Toż samo da się powiedzieć o pojęciu „porządku publicznego", który wszakże to ma do siebie, że bardziej jest rozciągły i w zależności od fluktuacji prawodawczych zmienny.

Rzecz godna zastanowienia, że nawet w tych razach, gdy prawo przejmuje się treścią etyczną (recepcja moralności przez prawo, według terminologji Lotmara i Steinbacha) — treść ta w „ujęciu prawnym" staje się przeciętną, omal że nie szablonową. Wobec ściśle przedmiotowej natury prawnych systematów inaczej być nie może. Bo nakaz etyczny — zawsze indywidualny i zawsze zmienny, od tysiąca warunków zależny — staje się ogólnym, stałym, skrystalizowanym.

Przykład poprze powyższe twierdzenie. Gdy prawodawstwa dawniejsze zezwalały na wykonywanie prawa podmiotowego

w tym nawet wypadku, gdy to jedynie szykanę miało na celu — kodeksy nowsze bezwzględności owej stawiają pewne granice. Jeśli buduję mur na gruncie własnym po to jedynie, by sąsiadowi widok zasłonić i przykrość tym mu sprawić, jeśli egzekwuję dług, po to wyłącznie, by dłużnika szykanować — odmawia prawodawca czynom podobnym rację bytu. § 226 kodeksu niemieckiego głosi: „Wykonywanie prawa jest niedozwolone, gdy jedynie do tego zmierza, aby drugiemu wyrządzić szkodę".

Zasada ze wszech miar etyczna — ale znów przeciętna, sztywna nawet, bo indywidualnych różnic nie uwzględniająca. Gdy bowiem oprócz celu szykany inny jeszcze mam na oku, domniemanie § 226 nie znajduje zastosowania. Jeśli tylko („jedynie") do szykany zmierzam — daną będzie przeciwnikowi ekscepcja. „Prawodawca nie chce, by sędzia psychologiczne czynił poszukiwania i zastanawiał się nad tym, do jakiego celu dążył wykonujący swe prawo. Jedynie okoliczności wypadku powinny być obrazem przedmiotowym, dowodzącym, że wykonanie prawa t y l k o cel szkodzenia na oku mieć m o ż e" (Planck, Komentarz do kodeksu cywilnego T. I str. 279). Czyż wykładnia ta, z brzmieniem i osnową przepisu zgodna, nie jest typowym dowodem „przeciętności" prawa?

Nawet w prawie karnym, gdzie ocena motywów, stopień napięcia woli zbrodniczej tak wielką odgrywają rolę — sprawdzian przeciętny na intensywności bynajmniej nie traci. Już tak konieczna zasada „nie masz kary bez nakazu prawnego, nie masz przestępstwa bez zakazu" świadczy o braku elastyczności prawa karnego. Ocena motywów podlega pewnym sprawdzianom przeciętnym — napięcie woli zbrodniczej dokładnie konstatowane być nie może — bo czyż wymierzanie surowszej kary w razie recydywy zawsze i naprawdę jest słuszne? Znamy pojęcie „okoliczności łagodzących": i tu właśnie objawia się najdokładniej ów sprawdzian przeciętny. Albowiem, gdy uwzględniać należy wypadki bardzo „indywidualne" — ratuje się prawodawca formułką szablonową — bez treści — ,którą znów „uznanie sędziego" wypełnić musi.

Lub też zna prawo karne przestępców poczytalnych i niepoczytalnych: tertium non datur. Dla stanów pomiędzy świadomością i nieświadomością znajdujących się, a tak często w praktyce spotykanych, nie zna prawo przepisów specyficznych. A jeśli je z czasem wytworzy — znów da określenie przeciętne. Albowiem norma prawna, jako abstrakcja, ująć musi najwię-

kszą ilość przejawów przy najmniejszym uwzględnianiu wyjątków i odstępstw. Jeśli zaś nawet ad hoc przepisy wyjątkowe tworzymy — rozszerzamy jedynie sferę działania, nie ujmując całokształtu.

Bo i prawo karne skrojone jest nie na miarę bohaterów i ludzi niezwykłych; „Ustawy ludzkie — mówi Ś-ty Tomasz z Akwinu — dla ogółu są stanowione, w którym większość daleką jest od doskonałości..." „et lege humana non prohibentur omnia vitia, a quibus virtuosi abstinent, sed solum graviora, a quibus possibile est majorem partem multitudinis abstinere" (tylko przestępstwa ważniejsze, od popełniania których ogół wstrzymać można, są wzbronione. Summa theologica II, 1 qu. 96, art. 3). I gdy nakaz etyczny żądać może poświęceń, bohaterstw — prawo karne liczy się jedynie z zwykłym okazem „homo sapiens". Wolno mi, gdy znajduję się w niebezpieczeństwie życia, bliźniego swego zabić, by samemu się wyratować. Stan koniecznej potrzeby wyklucza odpowiedzialność (zob. art. 46 nowego kodeksu karnego rosyjskiego). Nie tylko życie własne jednostki broni w ten sposób kodeks — lecz i dobra inne: jako to — zdrowie, wolność, cześć, własność...

Prawo nie zobowiązuje więc do poświęceń. Istnieją wprawdzie przepisy, nakazujące ratowanie bliźnich. Art. 491 nowego kodeksu karnego głosi: „kto będąc świadkiem niebezpieczeństwa grożącego życiu innej osoby nie doniósł o tym władzy, lub nie dostarczył pomocy, którą mógł by dostarczyć, bez rozumnie uzasadnionej obawy o siebie lub innych, gdy skutkiem tego będzie śmierć lub bardzo ciężkie uszkodzenie cielesne osoby znajdującej się w niebezpieczeństwie — karany będzie

aresztem do jednego miesiąca, lub
nawiązką do stu rubli".

Art. 1521 dawnego kodeksu kar głównych i poprawczych groził tylko pokutą kościelną.

Gdy więc w razie potrzeby nagłej wolno dla dobra własnego pugilaresu bliźniemu krzywdę wyrządzić — nie ma się obowiązku ratowania życia tegoż bliźniego. Chyba, że bliźniemu grozi niebezpieczeństwo najwyższe — a ratujący żadnych uzasadnionych obaw nie żywi — wtedy tylko powstaje obowiązek, broniony przez sankcję karną. Ale sankcja ta tylko wtedy posiada znaczenie (nb. kara — bardzo nieznaczna), gdy bliźni skutkiem opieszałości takiej poniósł śmierć lub bardzo cięż-

kie uszkodzenie cielesne. Co znaczy, że gdy tylko ciężkie uszkodzenie poniósł — nie mam potrzeby obawiać się kary.

Zresztą, nie wszystkie kodeksy takim poglądom bardziej humanitarnym hołdują. Kodeks karny niemiecki (§ 360 No. 10) grozi aresztem lub karą pieniężną tym, którzy w razie wypadków nieszczęśliwych lub niebezpieczeństwa ogólnego — na żądanie władzy z pomocą nie spieszą, chociaż żądaniu temu bez znacznego niebezpieczeństwa dla osoby własnej mogą zadość uczynić.

Stale więc mamy do czynienia ze sprawdzianem przeciętnym: i zupełnie słusznie prawo karne — w tej, jak i innych dziedzinach — pisane jest dla „filistrów" — dla „trzody" — lex autem humana ponitur multitudini hominum...

Prawo operuje więc stale pojęciem: „człowieka przeciętnego" „obowiązku przeciętnego" „normy przeciętnej". Jako całokształt przepisów ogólnych — nie może być szczególnym. Tkwi w tym pewna strona dodatnia: zbyt indywidualizowane, nie na miarę przeciętną obliczone prawo — byłoby conajmniej skodyfikowaną moralnością. Aleć, jak wiadomo, patentowana moralność jest niemoralnością jedynie — a nie przeciętny, nie ogólnikowy system prawa, zapoznający beztreściwą i formalną wprawdzie „równość przed ustawą", pozostałby martwą literą: co najwyżej, wytworzyć by zdołał atmosferę obłudy społecznej. Jeśli zaznaczamy „przeciętność prawa" czynimy to nie gwoli niemożliwej naprawie — lecz po to jedynie, by stwierdzić, że w państwach prawnorządnych inny stan rzeczy sprzeciwia się istocie samego ustroju. Uznajemy sprawdziany przeciętne, jako cechę znamienną prawa, a uznajemy je wprawdzie nie bezkrytycznie, lecz z świadomością, że inaczej być nie może.

Szymon Rundstein.

Zły sąsiad.

(Przyczynek do historji łupiestw pruskich w Polsce)

Niezapomniane są polowania werbowników króla pruskiego Fryderyka Wilhelma I (1713—1740) na rosłych chłopów polskich. Z pomników dziejowych skarży się rozpacz ofiar, porywanych z pastwiska lub chaty, uwożonych w kajdanach, wdrażanych potym kijem i spicrutą do służby w kadrach gwardji poczdamskiej; rozlega się jęk rodzin, pozbawionych ojców, mężów, braci i synów. Uczucia, jakie Polacy żywili dla zuchwałego mocarza, charakteryzuje utarty w owych czasach termin: „zły sąsiad brandeburski!" *)

Nie lepiej było za Fryderyka II, podczas wojny siedmioletniej, gdy przez terytorjum rzeczypospolitej ciągnęły wojska rosyjskie na pomoc Austrji. Król pruski prowadził wojnę z Rosją — w Polsce. We wrześniu r. 1761 pod Gostyniem, w województwie poznańskim, napadli Prusacy na obóz rosyjski i rozproszyli go, przyczym złupili okoliczne miasteczka i wioski. **)

*) Jarochowski. Napad Brandeburczyków na klasztór paradyski w r. 1740

**) Kitowicz. Pamiętniki do pan. Augusta III. Poznań, 1840, t. I str. 135.

Fryderyk II, podobnie jak poprzednik, niszczył rzeczpospolitę gwałtownym werbunkiem chłopów; rujnował ją zaborem dobytku i narzutem monety fałszywej, bitej w Dreznie, Berlinie i Wrocławiu. Nie ustały łupiestwa pruskie i po zakończeniu wojny siedmioletniej, gdy już nie było powodu do mszczenia się na rzeczypospolitej za jej przymusową gościnność dla armji rosyjskiej.

W tydzień po zawarciu pokoju hubertsburskiego, 21 lutego r. 1763 gubernator królewiecki zawiadamiał hetmana wielkiego koronnego Branickiego, że część wojsk Fryderyka II wracać będzie z Brandeburgji do Prus wschodnich, przez terytorjum rzeczypospolitej. Uprzedzając o tym zapewniał, że wojsko zachowa się względem obywateli polskich po przyjacielsku *).

Rychło o konduicie wojsk pruskich niewesołe komunikowano hetmanowi wiadomości. „Prusacy, — zawiadamiał Branickiego jeden z jego podkomendnych, — którzy już przechodzą w kawalerjach i infanterjach przez Toruń do swego kraju, przykrzą się o mąki; dezerterowie i zwinięci... kupami lasy i trakty napełniają, podróżnych i mieszkańców alarmują i wcale wielką bojaźnią każdego napełniają" **)... „Jadąc tym krajem do Gdańska, — donosi hetmanowi inny korespondent, — wyrazić trudno ucisków, dolegliwości, co tutejsi obywatele z ostatnią dla siebie wzgardą ponieśli od wojska pruskiego" ***)...

W Prusach polskich wojska Fryderyka II grasowały od lutego do lata. Zaledwo pod koniec maja opuściły Toruń ****). Nie myślały ruszać z Elbląga, gdzie pilnowały magazynów, zakupionych od Rosjan*****). Załoga kwidzyńska zapędzała się po Grudziądz i Malborg. Żołdactwo pruskie zapuszczało zagony i do ziem mazowieckich. „Od granic pruskich, — skarżył się je-

*) Regiomonti d. 21-ma Februarii 1763. Conclusa jam feliciter pace, Ser. Borussiae Rex, Dominus meus Clementissimus, partem exercitus sui, quae tempore pacis in Regno Borussiae semper stationem habuit, eo redire jubet. Cum hisce copiis per territorium Regni Poloniae transeundum sit, Excellentiam Vestram hisce quam obsequissime requirere volui, ut supradictis Ser. Regis mei copiis amicus et innoxius per territorium polonicum concedatur transitus et eis, quae in hunc finem necessariae sunt, prospiciatur. (*Rps archiwum hr. Potockiego w Rosi*).

**) Mogilnicki 2 kwiet. r. 1763 z Pudłowa. — Cytowane tu listy adresowane do hetmana Branickiego, zaczerpnąłem z archiwum w Rosi.

***) Granowski 8 czerwca r. 1763 z Torunia.

****) Mogilnicki 3 czerwca r. 1763.

*****) Pułkownik Block 14 i 18 maja r. 1763 z Elbląga.

den z ziemian nurskich, — niesłychane i prawie nigdy niepraktykowane są czynione uciski... Płacz braci naszych przeraża serca" *)...

Najdotkliwszych utrapień doświadczały województwa wielkopolskie.

Pułkownik de Lossow imieniem króla pruskiego zawarł z obywatelami wielkopolskimi umowę o dostawę zboża do magazynów śląskich. Zobowiązał się wypłacić im należność według cen targowych natychmiast po uskutecznieniu dostaw do Wrocławia i Głogowa. Obywatele umowę wypełnili, zgłosili się do pułkownika z kwitami magazynów, lecz pieniędzy nie otrzymali. Po pokoju hubertsburskim, pod koniec lutego Lossow zapowiedział, że wychodzi na Śląsk, wypłat jednak nie uskutecznił.

Złośliwsi od Lossowa byli komendanci oddziałów pruskich, uwijający się po województwach wprost dla łupiestwa.

Wtargnął do Wielkopolski w 600 koni huzarskich rotmistrz Paszkowski **); wkroczył pod pretekstem poszukiwania zbiegłych poddanych pruskich i protegowania uciemiężanych przez szlachtę Niemców, osiadłych w rzeczypospolitej. Ulokowawszy się w Poznaniu, rozesłał rozkazy do właścicieli dóbr, w których siedzieli Niemcy, aby mu tych poddanych, jako zbiegów pruskich, wydali natychmiast z całym ich majątkiem. Jedni z dziedziców biegli do Poznania w celu usprawiedliwiania się, — tych Paszkowski zamykał w areszcie. Drudzy nie odpowiadali na dzikie rozporządzenia rotmistrza, — tych nawiedzali huzarzy, którzy dopóty dręczyli ich różnemi przykrościami, dopóki nie wydali rzekomych zbiegów z całym dobytkiem i nie opłacili gotowizną różnych pretensji. Za krowę, zajętą przez dziedzica Niemcowi za dług, Paszkowski, biorąc w rachubę pacht i przychówek w kilku gieneracjach bydlęcych, wylikwidował 4580 złotych. Szlachtę upartą odsyłał w kajdanach do pogranicznego Drezdenka. Przegrasowawszy w Wielkopolsce blizko dwa miesiące, zdarszy z Polaków kilka miljonów złotych, pomaszerował bezpiecznie i spokojnie na Śląsk. Nikt go nie śmiał zapytać, jakim prawem grasuje w Polsce. Gdy na wymarszu z Poznania zapytał go komendant miasta, za czyim bawi tu ordynansem? — odpowiedział:

---

*) St. Brzezieński, podkomorzy nurski, 22 czerwca r. 1763 z Troszyna.

**) Kitowicz (l.c., I, 203) nazywa go Paczkowskim. Akcję jego mylnie z ostatniego roku panowania Augusta III przenosi na czas bezkrólewia.

trzeba było egzaminować mnie o to wtedy, gdym wchodził, nie teraz, gdy wychodzę.

Po lekcji Paszkowskiego, komendant garnizonu poznańskiego, de Charovitz, stał się ostrożniejszym. Nie wpuścił do Poznania chorążego pruskiego Lewalda, chociaż pozwolił mu rozłożyć się na przedmieściu. Przyjął jednak z honorami rotmistrza Zbikowskiego, który okazał mu jakiś ordynans, sprokurowany w Głogowie, — chociaż należał do wojska pruskiego nie śląskiego. Zbikowski zajął wyznaczone sobie kwatery i otrąbywał w mieście pobudkę. Naśladował Paszkowskiego. Jak tamten rozsyłał po dworach rozkazy, wzywał szlachtę przed swój sąd lub wyprawiał ją pod eskortą żołnierzy do Drezdenka *).

Chłop, którego zapewniali Paszkowscy, Zbikowscy i inni: „Będziesz daleko szczęśliwszy, gdy się w nasz kraj wyprowadzisz; pretensje, jakie sobie założysz do pana, zapłacone ci będą",— demoralizował się i burzył. Tłumami udawali się chłopi do sądów rotmistrzów pruskich lub do Drezdenka. Z decyzji tych sądów komendy pruskie spadały na dwory szlacheckie z egzekucją. „Jak przyjdzie ta egzekucja do dóbr, — pisze jeden z dotkniętych nią, — każdemu z gemejnów trzeba dać jeść, pić, obrok dla koni (na każdego konia od godziny do godziny wiertel owsa, który trzyma garncy 16, siana funtów 8); każdemu gemejnowi bąków **) pięć, oficerowi 25... Jest to ich p a n i s b e n e m e r e n t i u m za pruskie prace z polskich szkód" ***)... Egzekwowano pretensje z lat dwudziestu i trzydziestu. Rydzyński, mający w województwie poznańskim pięć wiosek, osadzonych Niemcami od lat niepamiętnych, musiał wyrzec się swych poddanych i wypłacić im jeszcze kilka tysięcy złotych. Inni płacili po kilkanaście i kilkadziesiąt tysięcy. Temu, który płacić niechciał, komenda pruska zabierała zboże, inwentarz i sprzęty domowe.

Charakterystycznym jest, że pod protekcję komend pruskich udawała się ze sporami prawnemi sama szlachta polska. W kwietniu r. 1763 przeciwko Wróblewskiemu, sędziemu grodzkiemu nakielskiemu, protekcji tej zażył niejaki Słupecki. Tego

*) Rogaliński 24 czerwca r. 1763 z Poznania. (Chłapowski, *Życie i prace ks. J. Rogalińskiego*. Poznań, 1902, str. 58).
**) Tak nazywano złotówki z podłego kruszcu.
***) Rydzyński 22 kwietnia r. 1763 z Poznania.

samego doświadczył Skoraszewski kasztelan przemyski i Dzierżanowski. Ostatni „z tej opresji umarł" *).

„Trudno,—donosi jeden z dotkniętych łupiestwem,—opisać nieszczęśliwość, która coraz się bardziej powiększa... Zdaje nam się tu, że jesteśmy oderwaniem od całości kraju rzeczypospolitej, nikogo wstawiającego się za nami niemając. J. M. Panowie senatorowie w równym poniżeniu z najuboższemi ziemianami: równe nakazy, równe przykrości,—ta tylko dystynkcja, że kto więcej ma, więcej dawać, większe ponosić musi egzekucje. Poddaństwo, zburzone zasłoną niesprawiedliwych protektorów przeciwko własnym panom, niezliczone niesprawiedliwości formując sprawy, prędkie otrzymuje dekreta bez inkwizycji, bez przysięgi, za prostym tylko doniesieniem, którym, żeby się stało zadość, ekzekucje okrutne wychodzą, które w wielu miejscach są i bywały kosztowniejsze, niżeli sama pretensja" **).

Przed teroryzmem komend pruskich, szlachta opuszczała swe domy. Kasztelanowa przemęcka z dóbr wielkopolskich uciekła do zięcia swego, starosty kolskiego, do Kościelca.

Stroskani obywatele, zarówno województw pruskich, jak wielkopolskich, zwracali się z błaganiami o opiekę do Augusta III, do prymasa i ministrów, głównie zaś do hetmana Branickiego. Wielkopolanie Augustowi III, gdy przejeżdżał do Drezna, wręczyli suplikę, w której dopraszali się „ojcowskiego wsparcia i wyzwolenia z gwałtownych absolutności". Do hetmana pisali: „Szczególna nadzieja w najwyższej wojska władzy JOW. Pana Dobr., gdy dla zasłony i ubezpieczenia kraju, dla utrzymania od ostatniej rezolucji desperujących obywatelów wyszlesz JOW. Pan Dobr. jeżeli nie więcej, to przynajmniej to wojsko, które z naszych tych teraz nieszczęśliwych województw swoje bierze płace. Rzecz prawdziwa, że nie będą to dostateczne siły do obronienia się tak bitnemu i ludnemu żołnierzowi, ale, nie będąc w żadnej wojnie, spodziewać się należy przy jakiejkolwiek naszej obronie, że tych wojsk postronnych unikniemy rządów i absolutności" ***)... Nabierano przeświadczenia, że ratunek leży tylko w sile materjalnej, — w wojsku. „Nam, — argumentował jeden z obywateli, — o niczem tak nie trzeba myśleć, jak o woj-

*) Rydzyński 22 Kwietnia r. 1763 z Poznania.—Kitowicz l, c., str. I. 205.
**) J. Skórzewski 1 maja r. 1763 z Poznania.
***) Cyt. wyżej list Granowskiego.

sku, żebyśmy byli bezpieczni fortun naszych i życia i w jakiejkolwiek konsyderacji u postronnych"*)...

W maju r. 1763 poczęli obywatele wielkopolscy zjeżdżać się do Poznania na narady. Podkomorzy poznański Skórzewski pisał do hetmana w imieniu wszystkich z prośbą o protekcję: „żebyśmy mogli mieć zasłonę od tych impetycji, które ponosić musimy, z remonstracją dworowi berlińskiemu przez nakłady pieniężne i zniewagę dystyngwowanych osób tak wielkiego uciemiężenia naszego" **). Na zjeździe 26 maja uchwalono wyprawienie poselstwa do prymasa, hetmana i ministrów. Skutkiem tych zabiegów było wysłanie do Berlina Kacpra Rogalińskiego, starosty nakielskiego, który w podobnej misji w r. 1760 jeździł do Petersburga.

*

* *

Wyjechał Rogaliński z listami prymasa Łubieńskiego i hetmana Branickiego, adresowanemi do króla pruskiego, upraszającemi go o łaskawe wysłuchanie posła. Wiózł z sobą instrukcję, daną mu przez ministrów, przepisującą reguły postępowania. Zaopatrzył się też w oryginalne ordynanse komendantów pruskich, które ściągnęły na kraj tyle utrapień. Obrócił podróż na Drezno.

Nie zastawszy w stolicy saskiej Augusta III, wizytował najdostojniejszą jego rodzinę, która pilnie słuchała opowieści o łupiestwach pruskich, o dolegliwościach obywateli wielkopolskich. Po krótkiej bytności w Dreznie udał się do Cieplic, gdzie August III zażywał kuracji. Bolał król nad nieszczęściami swych poddanych polskich. Kazał ministrowi swemu zalecić posłowi saskiemu przy dworze berlińskim, Golczowi, iżby ułatwił Rogalińskiemu audjencję u Fryderyka II.

Przybył Rogaliński do Berlina 14 czerwca. We dwa dni potym udał się z Golczem do pierwszego ministra pruskiego hr. Finckensteina.

---

*) Męciński 28 lutego r. 1763.

**) M. Skórzewski podk. pozn. 12 maja r. 1763.

Dwór berliński na pierwszą wiadomość o zjazdach obywateli w Poznaniu, o przedsiębranych środkach ratunku, mianowicie o zamierzanym poselstwie Rogalińskiego, rozkazał komendom swoim natychmiast opuścić kraje rzeczypospolitej. Rotmistrz Zboiński, lubo miał ochotę zabawić jeszcze w Poznaniu i kontynuować swą jurysdykcję, pomaszerował na Śląsk. Do pośpiechu w wycofaniu komend przyczyniły się i odgłosy gazet cudzoziemskich, rozwodzących się o gospodarce pruskiej w Polsce i o misji Rogalińskiego. W Berlinie chciano uniknąć skandalu; sądzono, że z chwilą ustania łupiestw, Polacy zaniechają poselstwa. Gdy, wbrew temu mniemaniu, Rogaliński był w podróży, dwór berliński przygotowaną już miał dlań odpowiedź: niema się o co skarżyć! niema Prusaków w Polsce! Gdy poseł przybył do Berlina, postanowiono niedopuszczać go przed oblicze Fryderyka II pod pretekstem, że w Poczdamie odbywa kurację i nikogo nie przyjmuje. Jeżeli ma jaką ekspedycję, niech ją prześle królowi, a otrzyma w stosownym czasie rezolucję.

Na konferencjach z Finckensteinem i Hertzbergiem Rogaliński przedstawiał ekscesy komend pruskich. Ministrowie dziwili się, nie dawali wiary opowieściom. Gdy poseł pokazał oryginalne ordynanse komendantów, nakazujące zabierać zboże, inwentarze, sprzęty domowe, a nawet samych dziedziców pędzić do Drezdenka, — Finckenstein oświadczył: wszystko to, działo się bez wiedzy króla! Starosta prosił ministra o audjencję u Fryderyka II, iżby mu mógł osobiście przedstawić krzywdy. Finckenstein obiecał zadośćuczynić prośbie, ostrzegł jednak, że audjencja nie może nastąpić prędko, król bowiem odbywa kurację, wymagającą spokoju. Zalecał mu natomiast, dla przerwania nudów wyczekiwania, prezentować się rodzinie królewskiej.

Prezentował się starosta w Schönhausen królowej, w Monbijoux matce następcy tronu, młodszemu jej synowi, księciu Henrykowi, i córce, księżniczce Wilhelminie. Przedstawiał się i innym członkom rodziny królewskiej, z wyjątkiem następcy tronu, który bawił przy Fryderyku II w Poczdamie. Wszędzie przyjęty był z ludzkością i łaskawą grzecznością.

23 lipca Finckenstein wezwał do siebie starostę i oznajmił mu, że odebrał już rezelucję królewską. Fryderyk II jest bardzo strapiony wiadomością o występkach swych oficerów; rozkazał im już Polskę opuścić i zlecenie to surowo ponowi, pragnie bowiem jak najlepszej z rzecząpospolitą harmonji. Żałuje, że nie

może prędko udzielić Rogalińskiemu audjencji, prosi go jednak o przesłanie do Poczdamu listu prymasa i hetmana, oraz o memorjał, wyjaśniający krzywdy polskie.

Żądaniu temu niezwłocznie stało się zadość.

W parę dni potym, 25 lipca, doręczono Rogalińskiemu odpowiedź Fryderyka II na listy prymasa i hetmana. W piśmie, adresowanym do starosty, król zapewniał, że winowajcy zostaną ukarani; dawał mu jednak do zrozumienia, że wszystko, co się stało, trzeba puścić w niepamięć. Zapominając o tym, co było, należy przyszłość opatrzeć takiemi środkami, któreby utrzymały dobre sąsiedztwo obu narodów *).

Zapewnienia te nie dogadzały staroście. „Gdyby, — pisał do hetmana pod datą 29 lipca, — komisja, z obudwu narodów złożona, według żądań moich wyznaczona była, zapewnoby Pomeranja, ludźmi naszemi zabudowana, w pustynię się obróciła, boby autentycznemi dokumentami to się pokazało, że ci ludzie nie są śląscy, ani brandeburscy, ale z dziadów i pradziadów poddani z Polski, mocą i gwałtem nam wzięci... Więc płazem w danej mi odpowiedzi tak znaczne puszczają się krzywdy, bo wracać tyle pieniędzy, niesprawiedliwie wybranych, i tyle ludzi nie chcą. Mamy po sobie sprawiedliwość, ale tu jest moc, a teraźniejsza ratio status zaś uczy, że wielkie ryby mniejszym zawsze krzywdę i uciążenie czynią. Obiecują nam karać oficerów, na komendach będących, obręby ordynansów przestępujących; toć i tym samym wyznają, iż pełnili występki. W dowodach rzeczywistych jawnie złośliwe i szkodliwe ich czyny pokazują się na oko, a przecież wracać im popełnionych szkód nie każą, tylko ich osobiście karać obiecują. Więc satysfakcja nie jest występkom korespondującą i niebardzo uciążonych cieszącą"...

Najmocniej dotknęło Rogalińskiego zamilczenie o dostawach do magazynów śląskich. Przy pierwszym widzeniu się z Finckensteinem sprawę tę poruszył i domagał się odpowiedzi kategorycznej. „Jeżeli pan pułkownik de Lassow, — dowodził ministrowi, — niemając komisu od króla, województwo nasze zdradził, toć, oprócz kary przyzwoitej, te magazyny, wrocławski i głogowski, co zboże nasze zabierały, jako winy tego współcznice, do zapłacenia nam tego zboża pociągnione być powinny"...

---

*) Fryderyk II do Rogalińskiego 25 lipca (Żychliński. *Złota księga szlachty pol.* VI, 291).

Finckenstein obiecał na ten punkt wyjednać u króla rezolucję piśmienną *).

Z woli hetmana czekał starosta w Berlinie na przyjazd króla i audjencję.

Przybył Fryderyk II z Poczdamu 15 sierpnia i, — ponieważ zamierzał nazajutrz wyjechać napowrót, — tego samego dnia udzielił Rogalińskiemu posłuchania. Wyraził zdziwienie, że go jeszcze zastaje w Berlinie. Dał mu do zrozumienia, że otrzymał przecież odpowiedzi piśmienne z Poczdamu, powinien przeto być zadowolnionym. Skoro komis swój załatwił, nie może już być poczytywany za posła, lecz za zwykłego cudzoziemapodróżnika. Wobec tego Rogaliński nie miał odwagi ponawiać swych żądań.

W sprawie z Lossowem otrzymał od ministerjum zapewnienie, że król za zboże, dostawione przez obywateli do magazynów śląskich, zapłaci według kwitów, lecz dopiero za trzy miesiące, gdy będzie miał pieniądze... Ministrowie tłumaczyli mu, że wyznaczenie komisji do rozpoznania krzywd byłoby bezcelowe, wywołałoby tylko spory i zamieszanie. Ludzie, którzy dopuścili się w Polsce ekscesów, nie mieli żadnych od dworu berlińskiego ordynansów, swywolili na własną rękę i dla zysku osobistego. Gdzie szukać winowajców? Jedni wystąpili z regimentów i tułają się po świecie. Drudzy, zwyczajni rozbójnicy, symulowali oficerów pruskich. Chłopi pieniądze, które pobrali za swe pretensje, włożyli w gospodarstwo lub roztrwonili. Czy podobna wydawać Polsce tych, którzy dawniej do niej zbiegli, a w czasach ostatnich wrócili do ojczyzny brandeburskiej? Roztrząsanie tylu i takich spraw spowodowałoby dużo hałasu, a nie przyniosłoby pożytku. Zaostrzyłoby tylko niesnaski pomiędzy sąsiadującemi narodami. Najlepiej więc puścić w niepamięć wszelkie pretensje, umorzyć je, a obmyślić natomiast sposoby zapobieżenia nieporozumieniom w przyszłości.

„Już tedy, — donosił starosta hetmanowi, — moja powinnaby się skończyć delegacja, bo już więcej u tego tu dworu wskórać nic niemożna... Niech sobie kraj nasz nie podchlebia, żeby kiedykolwiek miał odzyskać i swoich ludzi i swoje pieniądze, bo snadniej opierać się przy bronieniu swojej własności i niedawać jej, jak wziętą napowrót odbierać"...

---

*) Rogaliński 16, 23 i 29 lipca r. 1763 z Berlina.

Podczas bytności w Berlinie Rogaliński miał możność zbadania pewnych tajemnic, oświetlających metodę dworu berlińskiego w postępowaniu z nadgranicznemi województwami polskiemi. Oto zbrojne oddziały pruskie wysyłano do Polski nie z ordynansami piśmiennemi, lecz tylko z informacjami ustnemi. Kazano im, na wypadek najlżejszego oporu ze strony polskiej, natychmiast ustępować. Metoda ta dawała dworowi berlińskiemu łatwość wyparcia się wszelkiej inicjatywy w niszczeniu ziem rzeczypospolitej; pozwalała mu przedstawiać własne komendy jako kupy swywolne, za które odpowiadać nie może. Zdaniem Rogalińskiego, najsłabszy opór ze strony polskiej byłby dostateczny do pozbycia się najezdników. Niezaradność obywateli wielkopolskich ośmielała dwór berliński do przedłużania i potęgowania łupiestw. Wszak na wieść o pierwszych zjazdach obywatelskich w Poznaniu, o przedsiębranych środkach ratunku, Fryderyk II natychmiast komendy swoje z Polski odwołał. „Nikczemność nasza, — konkludował starosta, — tego nam narobiła licha" *)...

Władysław Smoleński.

*) Rogaliński 27 sierpnia r. 1763 z Berlina. (Żychliński l. c. VI, 291.— Chłapowski l. c., str. 59).

Ostatnia wielka powódź w obrębie Warszawy.

(Szkice z życia na Powiślu warszawskim.)

Pamięci syna mego Kazimierza
tę pracę poświęcam.

Roboty około regulacji koryta Wisły w obrębie Warszawy rozpoczęte zostały w drugiej połowie 1885 r. Powtarzające się prawie corocznie powodzie w dolnych częściach miasta po kilku latach prowadzenia robót ustały, pozwalając społeczeństwu z czasem zapomnieć o perjodycznych i nieraz bardzo ciężkich klęskach, jakie miasto dawniej nawiedzały.

Praca niniejsza dotyczy epoki ostatniej wielkiej w mieście powodzi z r. 1891, a chociaż napisana pod świeżym wrażeniem wypadków, dotąd nigdzie drukowana nie była. Niezależnie od opisu zalewu, daje ona obraz Powiśla, który pomimo pewnego postępu w ciągu ostatnich lat niewiele odbiega od tego, co ma miejsce jeszcze dzisiaj.

Współcześnie z powodzią 1891 r. odbywała się ankieta mieszkaniowa, która pozwoliła autorowi stan Powiśla zbadać dokładniej i ułożyć obraz tym pełniejszy.

* *
*

Było to w r. 1891.

Przybór wiosenny był bardzo wczesny i gwałtowny. Zaczął się on już 9 marca z chwilą pęknięcia lodów i wystąpił w całej grozie w dniach następnych. W południe 11 marca, po-

ziom wody podniósł się do 15 stóp. Nastąpiła chwila uspokojenia, która trwała kilka godzin. Zdawało się, że klęska na tym się zakończy, tymczasem nad wieczorem po godzinie czwartej przyszedł dalszy przypływ, jeszcze gwałtowniejszy i szybszy. W ciągu nocy woda doszła do wysokości 22 stóp 7 cali.

Z wyjątkiem tej części Powiśla, którą ochraniał wał, tak ulice w okolicy mostu żelaznego, jak i te, które są położone po za młynem na Solcu, zostały zalane. We wszystkich tych miejscach, woda zalała piwnice i suteryny, a w niektórych punktach nawet dolne mieszkania. Mało kto tam spał tej nocy — wszyscy prawie czuwali. Jedni zbierali rzeczy, drudzy wynosili w miejsca bezpieczniejsze, inni tulili dzieci przed zimnem, inni nareszcie lokowali u siebie ludzi z miejsc zalanych. Mieszczono się po bramach, w sieniach, biwakowano i na podwórzach, chociaż termometr wskazywał poniżej zera. Trwoga ogarnęła wszystkich. Utyskiwania i żale wypełniały powietrze! Stojące ponad rzeką zabudowania drewniane za młynem i warsztatami żeglugi parowej woda zniszczyła i zabrała ze sobą. Do takiego spustoszenia dopomagała strasznemu żywiołowi kra, której odłamy uderzały o słabsze budowle i rozbijały je doszczętnie.

Na wysokim dosyć poziomie, jak gdyby na wzniesieniu, stał w tym miejscu drewniany domek, przez biedną ludność robotniczą zamieszkany. Położenie wysokie zdawało mu się zapewniać pewne bezpieczeństwo — mieszkańcy jego nie opuścili swoich siedlisk i czekali, rychło się przybór zakończy. Gdy pod wieczór jedenastego marca fala zaczęła dalej szaleć, wobec groźby rozhukanego żywiołu mężczyźni stróżowali na dole, kobiety umieszczono na górze, gdzie też dzieci do snu ułożono. Woda podnosiła się coraz bardziej i doszła niezadługo do parteru, wkraczając powoli w progi domu. Był to wstępny atak. Za chwilę napłynęły z falą pokłady kry i, bijąc raz po raz o ściany domku, zachwiały nim w posadach. Ściany zaczęły się uginać i rozchodzić. Niebezpieczeństwo rosło z sekundy na sekundę, katastrofa stawała się widoczną i nieuniknioną. Grozę położenia podnosiła noc ciemna, podczas której dramat się rozgrywał. Krzyknięto na kobiety, zbudzono uśpione dzieci i zaczęto je uprowadzać do sąsiednich domów. Przy trzasku belek i łamaniu się wiązań dachu odbywała się ucieczka, w akompanjamencie płaczu niemowląt i rozpaczy biedaków, którym groziła utrata całego mienia. Zaledwie ludzie zeszli na dół, aliści w tej chwili nowy napór kry dokonał ostatecznego rozbicia. Z hukiem

runęły ściany, upadł dach i wszystko pogrążyło się w nurtach wody, która z niesłychaną szybkością porwała swą zdobycz, unosząc ją daleko i druzgocząc na drobne kawałki.

Widziałem nazajutrz rozbitków katastrofy, znalazłem ich rozlokowanych na dziedzińcu sąsiednim, wolnym od zalewu. Szczątki uratowanego mienia, jakieś łóżka i poduszki stały pod gołym niebem i stanowiły na teraz mieszkanie biedaków. Na noc pozwalali im sąsiedzi wstawiać łóżka do sionek, aby zaciszniej spać mogli, co przy nizkiej temperaturze, jaka w nocy panowała, nie dawało zgoła zabezpieczenia przed chłodem i zimnem.

Podobnemu losowi uległ drugi jeszcze domek położony na gruncie miejskim na samym krańcu Solca, a przeznaczony na mieszkanie dla dozorcy smoka przy stacji pomp. Tym dozorcą był w danej chwili niejaki Michałowski, który z rodziną mieszkał w domku od lat pięciu. W ciągu tego czasu nigdy powódź nie dosięgła domku, to też pomimo wezbrania wód rodzina dozorcy nie opuściła swego mieszkania i pozostała w nim na noc. Aliści niezadługo uderzenia kry zwiastowały niebezpieczeństwo. Przybór szedł tak gwałtownie, że zaledwie mieszkańcy domku zdołali się ubrać, gdy kry rozbiły szyby i woda z bryłami lodu zalała na półtora łokcia pokoje. Dom cały był już dokoła zalany, dozorca, jego żona i dzieci stanęli na łóżkach i, trzymając się oburącz za haki przybite do ścian, wołali o pomoc. Sami nie mogli się ratować, bo łódkę, którą posiadał Michałowski, zabrano w dzień jeszcze dla przewozu rzeczy w zalanych wcześniej miejscowościach, pozostała mu tylko mała łódka na jedną osobę. Na krzyki nieszczęśliwych nadbiegli dwaj przewoźnicy: Ludwik Orłowski i Berek Najemski i, brodząc po pas w wodzie, powynosili kolejno żonę Michałowskiego i dzieci na własnych plecach, Michałowski zaś wsiadł w swoją łódeczkę i z trudem na niej się uratował. W niebezpiecznej chwili owego ratunku najmłodszy synek Michałowskiego, trzyletni Teofilek, przewraca się z łóżka, spada w wodę i zaczyna tonąć. Dzielny Orłowski bez namysłu daje nurka, wydobywa dzieciaka z lodowej kąpieli i drżącego na własnym ręku przenosi aż do mieszkania Berka Najemskiego, gdzie u poczciwego Żyda rodzina Michałowskich znalazła przez dwa tygodnie przytułek.

Domek Michałowskich runął kompletnie, szczątki wkrótce potym rozebrano, tak że pozostał plac pusty, na którym nie

zostało śladu ani dawnej budowli, ani dramatu, który się tam odegrał.

Towarzystwo Dobroczynności wyznaczyło rs. 100 na zapomogi dla biednych, dotkniętych klęską. Opiekun dzielnicy z łona towarzystwa rozdzielił wśród najbiedniejszych drobne wsparcia. Kilka poczciwych serc w następnych dniach, zwiedzając miejsca katastrofy, rozdawało drobne datki w miarę swej możności. Gazety podały opisy klęski, epizody dramatyczne publiczność czytała ze skwapliwością, gdy zaś minęły dni trwogi, wszystko powróciło do dawnego trybu, jak woda do swego łożyska.

Już po katastrofie zapytałem raz małego Teofila Michałowskiego: Cóżeś ty robił, kiedy szła powódź?

— A spałem, — odpowiedział chłopiec.

— No, ale później, kiedy się już obudziłeś, czy pamiętasz co było?

— Pamiętam, — wołało dziecko — wpadłem w straszną wodę!

— A później? — zapytałem.

— Później znowu spałem.

To dziecko tak przypominało społeczeństwo, które się budzi i wzrusza w chwili wielkiej klęski, aby wnet zaraz o sprawie zapomnieć i powrócić do stanu uśpienia! W tej bezwładności, jak w przypływie i odpływie bezmyślnej fali, tkwi coś fatalnego.

W kilka dni po przejściu powodzi przyjechałem ponownie nad brzegi Wisły. Woda wypełniała łożysko aż po wręby i z szumem toczyła swe nurty, pokryte pianą i bryłami lodu. Biedni mieszkańcy Powiśla, rozrzuceni gromadkami, przyglądali się groźnemu żywiołowi. Słońce zimowe rzucało swe promienie, nadając fali połysk i odbijając się w niej słupami świetlnemi w różne odcienie.

Jest co widzieć, pomyślałem sobie, i nic dziwnego,że ludziska tak się zbierają i gapią.

— Cóż wy tak patrzycie? — zapytałem, zbliżywszy się do większej gromadki.

— Ha! bo nie mamy co robić! — brzmiała jednostajna z kilku ust odpowiedź.

Nie spodziewałem się takiej odpowiedzi. Przejęty wrażeniem, miałem co innego w głowie. Widocznie jednak myśli tych ludzi w odmiennym krążyły kierunku. Po chwili rzekłem:

— Mają robić bulwary wzdłuż Wisły, aby zabezpieczyć brzegi od powodzi. Jak przyjdą bulwary, nastąpią różne inne porządki, urządzą nowe ulice, nabudują domów, zrobią tramwaje!

— Dałby to Bóg! — odpowiedział jeden z obecnych. — Byłoby roboty dla tysięcy ludzi i na długie lata, a nawet na ciągłe. Ale pewno z tego nic nie będzie!

— Dla czego? — pytałem.

— Pewnikiem powiedzą, że szkoda na to pieniędzy wydawać.

Nie wiedziałem co na to odpowiedzieć. W gruncie rzeczy, ten człowiek miał słuszność. Jeszcze przed 1830 r. rozpoczęto roboty celem obulwarowania Wisły pod Warszawą, żarzucono je później, dziesiątki lat upływają bezskutecznie i doprawdy zwątpić można było o możności zrealizowania jakiejkolwiek w tym kierunku myśli.

* *
*

Życie na Powiślu posiada właściwy sobie charakter. Ludność Powiśla składa się przeważnie z robotników oddających się pracy po warsztatach, fabrykach i zakładach przemysłowych różnego rodzaju. W sposobie jej życia z natury rzeczy wszystko nagina się do potrzeb i wymagań fabryk i przedsiębiorstw, które tutaj istnieją. Gdy w innych dzielnicach miasta nie tylko wieczorem, ale do północy i dłużej panuje wielki ruch, tutaj rzecz się ma inaczej. Z wybiciem godziny 10-ej życie znika, a o 11-ej śladu ruchu niema. Ludzie, znużeni całodziennym wysiłkiem, odpoczywają, aby nazajutrz wcześnie zabrać się do pracy. Za to zrana o godzinie szóstej, gdy w zamożniejszych częściach miasta ludzie w śnie są pogrążeni, cała dzielnica jest w ruchu. Mieszkańcy powstawali, wychodzą z domu, snują się po ulicach pieszo z pośpiechem, aby po pierwszym westchnieniu do Boga rozpocząć swe codzienne zajęcia. Mniejsza o lato, gdy o tej godzinie słońce już wysoko, ale w porze zimowej, przy ciemności nocnej, ruch ten ma w sobie coś poważnego i zarazem pouczającego. Rzekłbyś, mrówki kroczące w różnych kierunkach i przykładające się do ogólnej pracy.

Dwie jeszcze pory w ciągu dnia posiadają wiele ożywienia, a mianowicie godzina dwunasta w południe — chwila obiadu, i siódma wieczór — powrót od pracy.

We wszystkich tych porach robotnicy i robotnice krążą po ulicach tej dzielnicy, jedni pokryci kopciem, prawie czarni, inni zakurzeni na szaro, inni obieleni, a czasami zaniebieszczeni w miarę tego, skąd i od jakiej pracy ktoś odszedł. Pomimo zmęczenia fizycznego spostrzec można nieraz uśmiech na ich ustach, lub usłyszeć głośny śpiew i wołanie. W ich ruchach i na ich twarzy znać wewnętrzny spokój, który daje człowiekowi ciągła praca fizyczna i świadomość swojej użyteczności. Między niemi widać często ludzi bladych i chudych, zmęczonych i znędzniałych, ale nie dostrzeżesz wcale postaci o wygasłym oku, wyniszczonym od przeżycia obliczu, ani drżących i zdenerwowanych, jakich tak wiele dostarczają dzielnice z ludnością zamożniejszą.

Nie pożałuje tego, kto zajdzie do kościoła i zobaczy tych ludzi przy modlitwie. Wązki i niewielki Trynitarski kościołek na Solcu nie jest w stanie nigdy pomieścić modlących się. Podczas każdego nabożeństwa ludzie gromadami wystają na podwórzu i cmentarzu kościelnym. Serdeczny i gorący śpiew wypełnia powietrze, rozchodząc się po za ściany świątyni. Na wszystkich twarzach przebija skupienie i skrucha. Znać, że ci ludzie modlą się szczerze. Widać, że krzepią tutaj ducha i czerpią lepsze na drogę życia natchnienia.

Chcąc jednak naprawdę poznać tych ludzi, należy przestąpić progi ich domu i wejść do ich mieszkań.

Jakkolwiek cała ta dzielnica za dzielnicę niezamożnych uważaną być musi, to przecież są różne stopnie ubóstwa, różne formy i odcienie biedy. Oprócz właścicieli domów, przełożonych w fabrykach, paru lekarzy i kupców itp. reszta a więc ogół tutejszych mieszkańców mieści się prawie wyłącznie w mieszkaniach jednoizbowych, złożonych z jednego pokoju z cygankiem do gotowania, a rzadziej z oddzielną kuchenką. *). Nie znaczy to jednak, aby każda rodzina zajmowała oddzielny pokój. Przeciwnie, rodziny, które posiadają dla siebie izbę, należą już do stosunkowo zamożniejszych. Dopiero majstrowie lub podmajstrowie,

*) Na ogólną ilość 3356 mieszkań, znalezionych przezemnie podczas dokonanej wtedy ankiety mieszkaniowej na 15 ulicach Powiśla na parterach i piętrach zwyczajnych, przypadało 2741 jednoizbowych, co znaczy, że mieszkania jednoizbowe stanowią tutaj $^5/_6$ części ogólnej liczby. Na facjatach z liczby 497 mieszkań było 469, w suterynach z liczby 220 było 198, a w kategorji stróżowskich pomieszczeń z liczby 184 było 179, zatym w tych kategorjach znajdują się prawie same tylko jednoizbowe mieszkania.

i wogóle ludzie z większym nieco zarobkiem, zdobywają się na własny pokój. Gdzieindziej izba służy dla dwu, lub więcej rodzin, które dzielą się w takim razie kątami lub lokują się przy oddzielnych ścianach. I to się zdarza w tej okolicy najczęściej. Mniejsza, gdy to ma miejsce w izbach dobrze oświetlonych, i dosyć wysokich, ale niestety, też same gradacje spotykać można na poddaszach i w suterynach. Dalszy to już stopień biedy, która staje się jeszcze dotkliwszą, jeśli izba jest wilgotna, lub jeżeli w izbie niema całkiem czy okna, czy pieca. A przecież i takie niekiedy się zdarzały! *) Dawało to całą drabinę ludzkiego upośledzenia, w różnych stadjach i postaciach.

Równolegle z przestrzenią mieszkaniową idzie zazwyczaj umeblowanie i zagospodarowanie, a dalej — sposób pożywienia i życia. Pół biedy, gdzie jest codzienna gorąca strawa z kawałkiem mięsa, a choćby i bez mięsa. Szkoda tylko że nie wszyscy pochwalić się tym mogą. Stałe obiady, czy kolacje dla wielu nie istnieją, żywią się oni w miarę okoliczności nieregularnie i jak Bóg da, często jedzeniem zimnym, urozmaicając czasami to ostatnie gorącym kartoflem lub szklanką lichej herbaty. Pół biedy, gdzie są jakie takie statki, łóżka i sofki, stoły i krzesełka podług potrzeby i stosownie do ilości osób. Jednakże wielu nie stać na podobne zbytki. Wedle rachunku statystycznego, który przeprowadziłem na 15 ulicach Powiśla, niewyłączając żadnej klasy mieszkańców, ogólna ilość łóżek, tapczanów i wszelkiego rodzaju urządzeń do spania zaledwie dochodzi do połowy cyfry mieszkańców **). Jeżeli teraz odliczymy cząstkę zamożniejszej nieco ludności z większą ilością posiadanych łóżek, to dla reszty mieszkańców nie wypadnie nawet jednego łóżka, czy tapczana na dwie osoby. Wielu sypia wprost na ziemi, na barłogu.

Jakie życie fizyczne, takie i życie moralne. Gdzie niema na pożywienie i mieszkanie, tam ludzie opędzają tylko konieczne

*) Ilość mieszkań wilgotnych przedstawiała się na Powiślu w taki sposób. Na parterach i piętrach zwyczajnych z liczby 3356 mieszkań było 1367, na facjatkach z liczby 497 było 194, w suterynach z liczby 220 było 184, a u stróżów z liczby 184 było 106 wilgotnyyh mieszkań.

**) W szczególności na piętrach zwyczajnych przypada wogóle jedno łóżko na 1,79 mieszkańców, zaś w mieszkaniach jednoizbowych 1 łóżko na 1,88 mieszkańców, na facjatach stosunek jest gorszy, bo 1 łóżko na 1,92 wogóle, a w jednoizbowych na 1,94, u stróżów jeszcze gorzej, bo 1 na 2,06 i na 2,07.

potrzeby dla utrzymania organizmu przy życiu, tam o żadnych intelektualnych potrzebach i ich zaspokojeniu niema mowy. Szczęśliwsi jeszcze z pomiędzy tych najbiedniejszych ci, których nauczono gdzieś kiedyś modlić się, bo przynajmniej w niedzielę i święto znajdują w kościele pociechę, słysząc naukę moralną z kazalnicy, i nucąc chórem pieśń nabożną. Inni w szynku widzą swoje szczęście i topią w kieliszku troski i kłopoty życiowe. Gdy garstka ludzka wypełnia kościół i z namaszczeniem słucha nabożeństwa, równie liczne szeregi wypełniają współcześnie a i codziennie różne piwiarnie i restauracje, oddając się zwierzęcemu zupełnie życiu. Na Czerniakowskiej, w środkowej jej części spotykamy cały szereg takich zakładów, jakgdyby resurs, z dużemi pokojami i ustawionemi dokoła stolikami i krzesełkami. W porze wieczornej, a zwłaszcza w dnie sobotnie, tłumy przesuwają się przez te przebytki przekąsek i gorących napojów, zostawiając tutaj albo ciężko zapracowane, albo niekiedy wyżebrane, lub może ukradzione grosze.

* * *

Przegląd mieszkań rozpocząłem od domów Stokowskiego, które tuż na wstępie ulicy Czerniakowskiej się znajdują. Jest ich dwa. Jeden od ulicy, drugi w głębi, w dziedzińcu z paroma drobnemi przybudówkami. Wzdłuż domu na każdym piętrze ciągną się brudne korytarze, z których na prawo i na lewo wchodzi się do izb o jednym oknie. Mieszkań tego rodzaju domy te liczą prawie sto, a ze względu na otaczające fabryki wszędzie mieszkają rzemieślnicy i robotnicy fabryczni. Od ludzi aż się roi. W niektórych izbach mieszczą się po dwie familje i więcej. W lepszych pokojach domu frontowego jakie takie umeblowania i politurowane stoły i krzesła, czasami szafa lub komoda, w innych, szczególniej w domu na dziedzińcu, proste łóżka, stołki i stoły stanowią zwykłe ubranie pokoju. Zarobki mieszkańców tych domów nie przewyższały rubla dziennie, po większej części jednak były znacznie niższe. Znalazłem paru pracujących w browarach, każdy otrzymywał rs. 4 tygodniowo, chociaż robotę mieli ciężką, bo od godziny 3 rano do wieczora. Jeden z nich dostawał $4^1/_2$—5 rs. tygodniowo, ale pracował zimą i latem w lodowni przy odciąganiu piwa. Pracujący w fabryce żelaznej np. u Lilpopa i Raua lub u Ostrowskiego pobierali po 5 złotych dziennie, rzadziej rubla, co wynosiło 18 lub 25 rubli na miesiąc. Z tej ostatniej kategorji wielu po-

zostawało bez pracy od dłuższego lub krótszego czasu, a w każdym razie ulegali przerwom w zarobkowaniu lub też musieli poddawać się mniejszym zarobkom w miarę zmniejszania godzin pracy skutkiem braku dostatecznej roboty.

Za pożywienie tym ludziom służą zwyczajnie kawa, herbata, chleb, kapusta i kartofle, rzadko mięso, chyba w święta. Póki zarobki trwają, to dobrze, ale gdy przyjdzie miesiąc lub dwa miesiące przerwy, zjawia się post konieczny i zadłużenie na rachunek przyszłości, obniżające stopę bytu i życia na czas znaczniejszy.

Inną plagą dotkliwą dla tych ludzi są choroby, które bywają niekiedy następstwem samego rodzaju zajęcia, niekiedy nędznego życia i braku należytego pożywienia. Jaką klęskę stanowi choroba, miałem możność zaraz się przekonać. Wstąpiłem do mieszkania N-30. Na łóżku leżał Józef Drużbicki, z fabryki Lilpopa i Raua, chory na suchoty. Pożółkła twarz, pałające oczy zdradzały chorobę na pierwszy rzut oka. Z nadmiaru pracy zaniemógł na zdrowiu, pomału rozwinęła się choroba piersiowa. Oceniając uczciwą pracę swego człowieka, fabryka oddała go na klinikę i przez dwa miesiące za niego płaciła. Okazało się, że choroba przeszła w stan nieuleczalny. Drużbicki wyszedł ze szpitala, aby swobodnie umrzeć w domu, i aby go nie pokrajali, jak mówił, po śmierci. W izbie obok chorego kręciło się dwoje dzieci, żona brała bieliznę do prania, dla zarobienia na chleb dla siebie, męża i dzieci. Nie potrzebuję dodawać, że wyziewy z prania nie mogły być pożyteczne dla chorego na piersi, zwłaszcza wśród gęstego zaludnienia, bo pokój mieścił jeszcze drugie małżeństwo, przyjęte w charakterze sublokatorów, aby mniej kosztowało komorne.

— Czy mąż zarabia jeszcze? — zapytałem kobiety

— Nie, bo niemoże. Choroba go powaliła.

— Jakże więc sobie radzicie?

— Ha! łaskawi są na mnie w fabryce, dają do prania, to zarabiam kilka rubli na miesiąc.

— I jakże wy z tego żyć możecie?

— Jak? A jak zapłacę za mieszkanie, to mi jeszcze trochę zostanie. Jemy kartofle, i dwa albo trzy razy na dzień pijemy miętę. Mięta niewiele kosztuje, jak kupię za 6 groszy, to wystarczy na cały tydzień. A zawsze to gorące, jak zaparzę, to się ogrzejemy.

Przyjrzałem się kobiecie, wyglądała bardzo nędznie. Łzy

zakręciły mi się w oczach. Nie było tutaj ani próżniactwa, ani złej woli, przeciwnie, było wiele energji i wytrwałości. Kobieta robiła co mogła, ale jakże mało zrobić mogła! Wśród nieustannej pracy była w stanie zaledwie uchronić siebie i dzieci od głodowej śmierci, bez możności poratowania męża. Nadludzkie wysiłki dawały suche kartofle i odwar mięty. A i to, co było, uważała za dowód ludzkiej dobroci.

— Doprawdy, pomyślałem sobie, chyba ten świat niezupełnie dobrze jest urządzony!

Po pewnej pauzie zagadnąłem:

— A mąż, co je?

— Toż samo, co i my, — odpowiedziała kobieta, — ale on chory, bardzo mało pokarmu używa.

I jakże on miał być zdrowym?

Z czego miały powrócić siły? Z czego zdrowie? Być może w innych warunkach człowiek by odżył, tutaj ginąć musi! W istocie, Drużbicki w maju tegóż roku zamknął powieki.

Wszedłem do innego, gęsto zaludnionego mieszkania. Przy wejściu do izby uderzyła mnie mieszanina wyziewów, rodzących się z natłoku ludzi, gotowania, prania i suszenia, co wszystko odbywa się w jednym i tym samym miejscu. Ściany brudne i zadymione, a po kątach tapczany lub łóżka, i liche graty biedaków. Na niewielkiej przestrzeni lokują się tutaj dwie rodziny, każda w oddzielnym kącie, a że kąt jeden wprost pieca był wolny, więc przyjęto dodatkowego lokatora, co mieszka jak mówią, przy familji, a raczej, przy familjach. O czystości niema tu mowy, brudy panują wszędzie, a sama mnogość zaludnienia zdaje się wyłączać prawdziwy porządek. Niema też tu wyróżnienia dla wieku, bo miejsce na to nie pozwala, niema wyróżnienia dla płci, bo na taki zbytek nie stać biedaków. Wszyscy mieszają się gromadnie po swoich kątach, mężczyźni i kobiety, dorastające dziewczęta i chłopcy, małżeństwa i dzieci. W dzień mniej ludno i ciszej, ale wieczorem, gdy ludzie powrócą od obowiązków, lub w dnie wolne od pracy, zaczyna być zaciasno i zagwarno. Krzyki i utyskiwania, kłótnie złorzeczenia wypełniają izbę, bo gdzie tyle ludzi, tam nie trudno o powód do zwady. Pod wpływem swarów i hałasu, dom z miejsca odpoczynku staje się ogniskiem niepokoju i udręczenia. Gdzie tu znaleźć wytchnienie po trudach i znoju, gdzie pokrzepienie dla odnowienia sił do dalszej pracy? A cóż dopiero mówić o odpoczynku moralnym? Zaduch i ciasnota wypędzają z domu. Szynk

stanowi przynętę, bo tam więcej przestrzeni i światła, a gorący trunek pozwala zapomnieć o gniotącej biedzie. Gdy się zaś zacznie przekraczać te progi, wraca się później coraz częściej, i z jednej biedy rodzi się nowa. Opilstwo sprowadza do domu gwałtowne sceny i nieporozumienia, dolewając goryczy do pełnej już czary. Życie staje się tym trudniejsze, a dom traci resztę uroku. Na domiar biedy szynk szlamuje kieszeń, zjawia się brak na najpierwsze potrzeby, na suchy kawałek chleba, zalega się w komornem, przychodzą pozwy, eksmisje i fantowanie ostatnich resztek dobytku. I spada się jeszcze niżej. Już nie stać na żadne jako tako ludzkie mieszkanie, przychodzi kolej na wilgotną suterynę, aby niedługo może później przejść do kąta bez pieca i światła. A wtedy niema już wyboru, gdy głód dokuczy, idzie się na zatracenie. Droga do złego toczy się pochyła, spada się po niej na dół pomimo najlepszych chęci, nie spostrzegając się nawet. Domy Stokowskiego przedstawiają typowe, że tak powiem, formy bytu ludności roboczej na Powiślu. Formy te w różnych odmianach i warjantach powtarzają się w całej okolicy. Zachodzą wszelako jeszcze zboczenia w kierunku ku gorszemu, rzadziej, bardzo nawet rzadko w kierunku odwrotnym ku lepszemu. O tych pogorszeniach przekonałem się z łatwością przy dalszej wędrówce. Tuż nad Wisłą na końcu Solca stał domek drewniany, nędzny i odrapany, z dwoma parterowemi, również drewnianemi przedłużeniami, czy oficynkami. Oficynki te wyglądają jakby z kart ułożone, ściany pogięte, drzwi i okna krzywe, dach pokryty prostemi deskami, przez które przecieka podczas deszczów i śniegów. W niewielkiej izbie o jednym oknie, bez podłogi, znajdowały się dwa łóżka przy dwu gołych ścianach, z boku kominek, przy oknie jeden drewniany stołek do siedzenia. Na kominku stało parę garnków i parę innych naczyń. Mieszkały tu dwie rodziny, wedle ilości łóżek, każdej z nich całkowity dobytek stanowiło łóżko z tym, co się na nim znajdowało. W izbie były dwie kobiety: jedna siedziała na stołku przy oknie i szyła, druga stała przy kominku. Na łóżku leżał przykryty jakiś człowiek. Z pułapu w paru miejscach kapało.

— Cóż to, macie chorego? — zapytałem.

— Gdzie tam, tylko w stancji zimno, to i leży w łóżku, — odpowiedziała jedna z kobiet spokojnie.

W tej chwili otworzył oczy leżący mężczyzna i uchylił przykrywającą go kołdrę. Był całkiem ubrany, widocznie ciepła szukał w łóżku.

— A cóż to, mój przyjacielu, nie poszliście do żadnej roboty, — zapytałem.

— Ha! kiedy niema, — brzmiała odpowiedź, wygłoszona ochrypłym głosem.

Przyjrzałem się człowiekowi. Nos czerwony zdradzał przyzwyczajenie do trunków, wyraz twarzy zwierzęcy niemiłe sprawiał wrażenie. Być może, że nie dostał roboty, ale podejrzewać było można, że mu się robota nieuśmiechała.

— A cóż to, — zapytałem znowu, — czy nie macie na kogo pracować?

— Jakto? — odburknął, — mam tę oto żonę, — wskazał na stojącą kobietę, — mam dzieci, córkę 12-to letnią i chłopca 10-cio letniego.

— A gdzież są dzieci?

— Chodzą po ulicy, może co od państwa wyproszą, a zresztą co panu do tego, — dodał, ucinając rozmowę.

— Uczycie ich żebrać za młodu! Jeżeli dziewczyna żebrze w 12-tu latach, to co z niej będzie. Chłopca trzeba także do roboty oddać.

— Dosyć się napracowałem na nich, — zawołał z gniewem pijak, — niech oni teraz na mnie pracują!

— Nie dbacie o własne dzieci, jak widzę, — dodałem zwolna.

— A niech przepadną! Ale niech pracują teraz na mnie!— powtórzył wyrodny ojciec.

Jakie losy doprowadziły tego człowieka do takiego stanu, czy klęski życiowe, czy raczej własne winy, nie można było wiedzieć, ale trudno opisać przykrości uczucia, jakie rozmowa z nim budziła. Litość i oburzenie miotały sercem, bez możności dania przewagi czy jednemu, czy drugiemu uczuciu. Był to ten stopień upadku, z którego człowiek zapewne się już nie podnosi. Upaść łatwo, ale podnieść się trudno. Pewna część lokatorów domu Szorsztejna, bo takie było nazwisko ówczesnego właściciela, zdawała się należeć do tego rodzaju ludzi upadłych. Izba w rodzaju opisanej, bez podłogi, szła 3 ruble na miesiąc, inne z podłogą kosztowały 4 ruble miesięcznie. Gospodarz domu mieszkał od frontu w paru lichych klitkach, ale w porównaniu ze swemi lokatorami wyglądał na pana. Stróż tego domu tytułem wynagrodzenia otrzymywał izbę bez podłogi w oficynie, wartości rs. 3, z możnością dobrania sobie sublokatorów. Za to wynagrodzenie żona stróża obowiązaną była jeszcze prać

u gospodarza, gdy zaszła potrzeba, i czyścić miedź, jak się szumnie wyrażała. Co prawda, nie wiele było owej miedzi u właściciela.

Na stopniu pokrewnym z mieszkaniami tego i innych podobnych mu domów stoją mieszkania w suterynach i na poddaszach, w których, wedle cyfr statystycznych, zamieszkuje mniej więcej 17 pr. ludności Powiśla. *). Ale nie wszyscy pozostają w możności opłacania 3 rs., lub choćby nawet połowy tego miesięcznie za mieszkanie. Są też pomieszczenia jeszcze tańsze, obliczone zwłaszcza na pojedynczych ludzi. Typ charakterystyczny tego rodzaju urządzenia spotkałem przy ulicy Leszczyńskiej Nr. 5. Znajdowała się tam suteryna obszerna o dwu oknach, nawet dosyć wysoka, grzesząca jednak wilgocią i wielkim brudem. W około ścian stały ogromne szerokie tapczany, a na nich lub pod niemi leżały kupki rozmaitych łachmanów. Nie mogłem na razie wytłumaczyć sobie nadmiernej szerokości tapczanów. Otóż później dowiedziałem się, że na nich ludzie sypiają w poprzek. Cyfra lokatorów zmienia się tutaj nieustannie. Najem robił się na tydzień, po złotówce od osoby. Czasami w suterynie mieszkało kilka osób, w chwili oględzin znalazłem tylko trzech lokatorów, kiedyindziej cyfra ta dochodzi aż do piętnastu; i wtedy na tapczanach ludzie układają się w poprzek, aby się pomieścić. Zbierają się tu ludzie najzupełniej sobie obcy, często wcale nie znający się pomiędzy sobą. Mienią się wyrobnikami i należą przeważnie do tej kategorji, która w nędznym ubraniu po placach i targach wyczekuje zarobku, podejmując się przenoszenia rzeczy najprostszych robót, jak mycia schodów, drzwi i t. p.

W izbie było zimno, prawie jak na dworze. Ciepło przychodziło dopiero skutkiem natłoku ludzkich istot. W piecu nie palono wcale, chyba czasami, gdy chciano coś zagrzać. Pomimo zimnej pory piec nie miał drzwiczek, a z boku był mocno uszkodzony. Gdyby nie było wilgoci i gdyby zaprowadzono czystość, izba mogłaby służyć za niezłe dla biednych schronienie, ale w aktualnym jej położeniu była to ogromna, zimna, i cuchnąca jama, w której z biedy i potrzeby tylko przemieszkiwać mogły ludzkie istoty.

---

*) W obejrzanych przeze mnie ulicach Powiśla ludność wynosiła 20,788 osób. Z tej liczby na poddasza przypadało 2,594, na suteryny zaś 908 czyli razem 3,502 osoby, co stanowi właśnie 17% ogółu zaludnienia.

Nie wszyscy zapewne mieszkańcy podobnych legowisk dostawali się do nich z winy osobistej, niektórzy wpadali skutkiem zbiegu niepomyślnych okoliczności, byli zaś i tacy, którzy tutaj się urodzili i wychowali, a tym tyle chyba tylko winy przypisać można, że w takim, a nie w innym miejscu przyszli na świat i wzrastali.

Przy zwiedzaniu takiej nory rodzi się w umyśle wątpliwość, czy żyjąc w takich warunkach można wytrwać na drodze uczciwości i moralności? Bez przesady, potrzeba wielkiej cnoty, aby w tym położeniu oprzeć się pokusom i nie utonąć w przepaści. I należy się doprawdy wiele ze strony społeczeństwa uznania dla tych, zapewne nielicznych, jednostek, które pomimo wszelkie braki życia nie upadają całkiem i znoszą jego ciężary z cierpliwością. Czy jednak drugie pokolenie może stąd wynieść naukę uczciwego życia, o tym zwątpiłem najzupełniej. Zdawało mi się, że w takich okolicznościach młodociana dusza ludzka musi się spaczyć i wykoślawić. Chociażby nawet na nią współcześnie oddziaływały wpływy dodatnie z zewnątrz płynące, to jeszcze trudno byłoby uwierzyć w pomyślny rezultat, wobec otaczającej od dzieciństwa atmosfery nędzy. Właściwie mówiąc, dziecko pozostaje tutaj bez jakiejkolwiek opieki moralnej. Dobrze, gdy nauczą pacierza i wytłumaczą dziesięcioro przykazań. Zresztą, rośnie jak Bóg dał, żywiąc się, Bóg wie czym, śpi w lada kącie, widzi czasem dobre, a najczęściej złe od najmłodszego dzieciństwa.

Przykre wrażenia licznych oględzin doznały nareszcie pewnej ulgi, gdy poszedłem zwiedzić domy spółki budowy domów dla robotników i rzemieślników. *). Na ulicy Czerniakowskiej, przy zbiegu Szarej, stoją dwa wielkie domy trzypiętrowe, które górują ponad okoliczne budowle. Wzniesione one zostały z przeznaczeniem dla klasy roboczej i składają się z szeregu drobnych jednoizbowych mieszkań, urządzonych w okółek, w ten sposób, że z każdej sionki każdego piętra wchodzi się do czterech lub pięciu mieszkań, a że klatki schodowe dość gęsto są rozrzucone, każdy z tych domów posiada po kilkadziesiąt, blizko stu drobnych mieszkań. Domy są utrzymywane w lepszym porządku, niż inne w tej okolicy, mieszkania niedrogie, i do

*) Domy te dzisiaj stanowią prywatną własność, lecz w dalszym ciągu przeważnie służą za mieszkanie dla robotników i rzemieślników.

potrzeb mieszkańców lepiej zastosowane. Lokatorowie trzymają się miejsca, znaczna część mieszka po lat kilka i kilkanaście, mało kto krócej, a wszyscy z nielicznemi wyjątkami należą do ludności pracującej. Przechodząc od mieszkania do mieszkania, spostrzec można zazwyczaj chwalebny porządek, w niektórych istotną czystość, wszędzie skromne, ale odpowiednie umeblowanie. Oprócz łóżek i stołków jakaś kanapka lub sofka, komoda lub szafa, na ścianach obrazy świętych, czasami jeszcze sztychy lub fotografje, niekiedy zegar na ścianie. W rozwieszeniu i rozstawieniu rzeczy zachowana bywa symetrja, zdradzająca jakąś oświatę i cywilizację. W domach nie było żadnej restauracji, ani bawarji, znajdowały się tylko sklepy z wiktuałami, handel korzenny, sklep z wędliną. W jednym z domów była ochrona Towarzystwa Dobroczynności i czytelnia, co ułatwia opiekę nad dziećmi i pozwala znaleść czasami pokarm dla ducha.

Porównywając te domy z innemi widać, że domy te obejmują lepszą, zamożniejszą i wybitniejszą część ludności roboczej. Idzie tu jakoś porządniej i lepiej. Życie mieszkańców płynie ciszej i uczciwiej, aniżeli gdzieindziej. Uderzony tym miłym widokiem, odetchnąłem swobodniej, nie dla tego, żeby te domy przedstawiały coś osobliwego, ale poprostu dla tego, że spostrzegłem coś lepszego i wdzięczniejszego. Zaznałem uczucia, jakiego doświadczamy, gdy wyszedszy z dusznych sal, pełnych zepsutego powietrza, wejdziemy do swobodniejszej, napół chociaż przewietrzonej izby. Pod tym wrażeniem zadałem sobie pytanie: co sprowadziło owo pożądane zjawisko? Czy uczciwsza ludność podniosła poziom życia w tych domach, czy też domy wpłynęły na lepsze życie mieszkańców? Było dla mnie oczywiste, że wśród ludzi tutaj napotykanych panowała cokolwiek większa zamożność i ogłada, zdawało mi się jednak, że lepsze urządzenie domów nie pozostało bez wpływu i przyczynić się musiało do takiego rezultatu. Doświadczenia, zdobyte w innych krajach, przemawiały za tym przypuszczeniem. Wszędzie, gdzie w kierunku mieszkań dla biednych rozwijano jakąś działalność, dobroczynne oddziaływanie otoczenia na człowieka ujawniało się natychmiast *).

Nie może też być wątpliwości, że i w tym wypadku lepsze

*) Po bliższe szczegóły w tej mierze odesłać mogę do pracy mojej Kwestja mieszkań — Warszawa 1889, str. 81 i nast.

warunki mieszkaniowe sprawiły swój skutek dobry i pocieszający. Zresztą, zjawiska życia społecznego pozostają zazwyczaj ze sobą w związku wzajemnych przyczyn i skutków. Lepsze i tańsze mieszkania zachęcają do trzymania się ich i korzystania z nich, ludzie przyzwyczajają się do nich, siedzą w nich, kochają więcej ognisko domowe, w następstwie czego mniej tracą na życie za domem, oszczędzają i poprawiają byt materjalny i moralny.

Wszelako i tutaj w niektórych mieszkaniach narzekano na brak pracy. Widocznie robiłem wrażenie człowieka mogącego coś pomóc, bo na proste zapytanie o stan mieszkania gospodyni odpowiadała często, że niezłe, ale mąż od kilku tygodni jest bez roboty. Widząc przed sobą lepszą cząstkę społeczeństwa robotniczego, nie mogłem wątpić, że przyczyna złego leżała w trudności otrzymania zarobku. A przecież tyle jest do roboty. Wszędzie, gdzie rzucisz okiem, trzeba coś poprawiać, coś ulepszać, coś udoskonalać. Tyle rzeczy nietkniętych, nieporuszonych i niezałatwionych. Gdyby tak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej można było te konieczne roboty rozpocząć, pkolica-by się podniosła, zdobywając nieznane dotąd porządki, a ludzie mieliby pracy bez liku i miary. Znikłyby wyrzekania na biedę, przy jednoczesnym podniesieniu ogólnego stanu i dobrobytu.

Z temi myślami wracałem do domu, po przebyciu dnia tego wielu pięter i schodów. Nie sądzone jednak było, ażebym zachował dłużej bez zmiany dodatnie wrażenie, jakie domy spółki budowy dla rzemieślników i robotników przyniosły. Zaraz na skręcie ulicy człowiek nędznie ubrany wyciągnął rękę o jałmużnę.

— Dla czego żebrzesz? — zapytałem.

— Panie, pracowałem w fabryce, straciłem cztery palce u prawej ręki, i nie mogę pracować, — odpowiedział zagadnięty.

— Gdzie mieszkasz?

— Tu niedaleko, na Rozbracie.

Poszedłem za biedakiem. Wzdłuż kałuży błotnych po niezabrukowanej wtedy ulicy, ścieżyną wydeptaną ludzkiemi nogami doszliśmy do niewielkiego domku, gdzie w suterynie nieopodal od ustępu mieszkał żebrak. Znalazłem niewielką izbę, mającą 4 i pół łokcie długości, 3 i pół szerokości i tyleż wysokości. W izbie tej, pełnej wilgoci, mieszkało 11 dusz ludzkich. Dzie-

ci skrofuliczne, z oczami zaczerwienionemi, i liszajami na twarzy. Jedno z nich, kilkoletni Karolek, leżał śmiertelnie chory, miał nieco oko zajęte, na rękach i nogach rany. Duszne i wilgotne powietrze widocznie zabijało tę drobną istotę. Bieda w tym schronisku była jeszcze straszniejsza, aniżeli u lokatorów domu Szorsztejna, a do tego ciasnota i nagromadzenie ciał ludzkich tak wielkie, jak chyba nigdzie. Nie można było bez wzruszenia i litości patrzeć na ten obraz nędzy, pod której obuchem ludzie uginać się i zamierać muszą.

Udzieliwszy jałmużny, wyszedłem co prędzej, aby odetchnąć innym powietrzem. Wrażenie jednak było zbyt silne. Pomimo ruchu ulicznego niemogłem się z niego otrząsnąć. Smutny obraz stawał mi ciągle przed oczami, odpędzony na chwilę — powracał natrętnie i uporczywie. I znowu zdawało mi się, że stoję wśród nędznej izdebki, i widzę biedną dziecinę skurczoną, jak Łazarz, na łożu boleści. W istocie, widziałem nieustannie przed sobą twarzyczkę wynędzniałą i smutną, która zdawała się prosić o pomoc, o trochę lepszego powietrza, o łyżkę zdrowszej strawy, o opatrunek chorego ciała i o lekarstwo na boleści. Na tej twarzyczce malowały się przebyte cierpienia. Było w niej coś melancholicznego, jakiś wyraz nieokreślonego żalu do świata i ludzi za ciężki los, jaki przypadł dziecinie w udziale. Było w niej coś chwytającego za serce, a zarazem przeszywającego i przygnębiającego, coś, z pod czego trudno się wyzwolić, coś, co nakazywało zastanowić się nad ludzką niedolą, nad jej źródłem i przyczyną.

Uczucie boleści przygniatało mnie jeszcze więcej, gdy pomyślałem sobie, że dziecina napróżno wyczekuje miłosierdzia, że nikt jej nie zna i znać nie zechce, okrom biednych rodziców, którzy poprawy losu zapewnić jej nie mogą, że po dłuższych cierpieniach umrze ona na barłogu w zatęchłej izbie.

Czy niema na to wszystko drogi wyjścia?

A. Suligowski.

Zakopiańskie słońce.

Jest to objaw bardzo pocieszający, że ludzie zaczynają coraz częściej zajmować się słońcem. Pra-przodkowie nasi czcili je — my staramy się słońce zrozumieć. Od czci ślepej do rozumienia droga daleka; setki lat ludzkość kroczy po niej, pod kierunkiem gienjalnych przewodników, od Kopernika i Newtona począwszy, a do wielkich twórców prawa zachowania energji, Magera, Joulea, Kelvina, Helmholtza. Że słońce nie jest bożyszczem, ani potworem ziejącym ogień, ani odblaskiem wewnętrznych żarów ziemi, ani ułudą zmysłów żadną; że słońce jest olbrzymią gorącą bryłą materji zwyczajnej, ostygającą według praw powszechnie w świecie materji obowiązujących; e słońce promieniowaniem swym zasila ziemię i stanowi w tym względzie jedyne niemal dla niej źródło energji życiodajnej — oto czego oni nas nauczyli.

Dalecy jednak jesteśmy jeszcze od zupełnego zrozumienia słońca, od całkowitego podporządkowania zjawisk słonecznych pod niewzruszone prawa fizyki. To też śladem tych wielkich przewodników cała falanga astronomów, fizyków, meteorologów, klimatologów prowadzi ustawicznie badania szczegółowe zmierzające do dokładnego poznania owego „ogniska domowego" całego naszego układu planetarnego. Ludzie fotografują i odmierza-

ją codziennie słońce, ażeby zgromadzić trwałe dokumenty do historji jego życia — bo ono żyje i zmienia się bez ustanku, zdaje się nawet, jak gdyby oddychało, gdyż co lat jedenaście pokrywa się plamami — badają skrzętnie wpływ jego na zjawiska elektryczne i magnetyczne ziemi, na klimat, urodzaje, na stosunki zdrowotne i t. d.

Najmniej może zajmowano się pomiarami bezwzględnego natężenia promieni słonecznych, ilością dostarczanej nam energji promienistej. A jest to przedmiot wielkiej wagi, zarówno dla stosunków meteorologicznych ziemi, jak i dla fizyki samego słońca. Do tego działu badań słonecznych odnosi się niniejsza robótka wakacyjna, wykonana — raczej należałoby powiedzieć, rozpoczęta dopiero — w sierpniu i wrześniu r. b. na równinie zakopiańskiej. Promieniowanie słoneczne jest jednym ze skarbów Zakopanego, cenionym zarówno przez chorych, szukających tu uzdrowienia, jak przez turystów tatrzańskich. Pierwsi będą zapewne radzi dowiedzieć się, ile mianowicie tego skarbu posiadają; drudzy nie powinni uważać za ujmę dla uroku promienia słonecznego, że się na nim uwiesi cyfrę.

*

* *

Oto o co tu chodzi: dowiedzieć się, ile jednostek energji promienistej — powiedzmy krótko, ile jednostek ciepła — promienie słoneczne rzucają w danym czasie na dany obszar. Doświadczeniu, mające dać odpowiedź na to pytanie, wykonywał po raz pierwszy wcześnie w ubiegłym stuleciu, francuski badacz Pouillet, za pomocą wynalezionego przez siebie narzędzia, zwanego pyrheljometrem (aktinometrem słonecznym).

Dzisiejsze pyrheljometry odbiegły dość daleko w budowie swej od pierwotnego przyrządu Pouilleta. W robocie swej używałem pyrheljometru profesora Angströma z Upsali, o kompensacji elektrycznej. Nie mam zamiaru wdawać się w szczegóły techniczne; pragnąłbym jednak, żeby czytelnik nie fachowy zrozumiał, w jaki sposób można ująć i zmierzyć ilość ciepła dostarczaną nam przez słońce. Proszę go, żeby wyobraził sobie blaszkę metalową, wielkości n. p. centymetra kwadratowego (a w każdym razie doskonale odmierzoną), ustawioną prostopadle do promieni słonecznych. Z chwilą gdy promienie padną na nią, blaszka zacznie się rozgrzewać i dojdzie rychło do pewnej temperatury stałej, przewyższającej mniej lub więcej tem-

peraturę otoczenia. Blaszka chłonie promieniowanie słoneczne, wchłania je w siebie ciągle i ustawicznie — mimo to rozgrzewa się tylko do pewnego określonego stopnia, gdyż, jak każde ciało rozgrzane, oddaje jednocześnie ciepło chłodniejszemu otoczeniu, ostyga. Ustalenie się jej temperatury jest tylko wyrazem zrównoważenia się zysku i straty ciepła. Zresztą jest to oczywistym, że rozgrzanie blaszki będzie tym znaczniejsze, im silniej słońce w danej chwili przygrzewa (o co tu właśnie chodzi), jakoteż, im bardziej blaszka — na mocy swej natury — jest uzdolnioną do zatrzymywania promieni słonecznych. Gdyby np. była wygładzoną jak lustro, ogrzewałaby się mniej, gdyż odrzucałaby, odbijała promienie słoneczne. Należy ją tedy pokryć warstewką sadzy, albowiem wiadomo, że okopcona powierzchnia odrzuca zaledwie 2 pr. promieniowania, chłonie zatym prawie wszystko, bo 98 pr. Zakryjmy, przysłońmy teraz blaszkę od promieni słonecznych, zapalmy natomiast pod nią lampkę, której płomień daje się dowolnie regulować. Uregulujmy płomyk tak, żeby blaszka uzyskała znowu ten sam, dokładnie, stopień rozgrzania, jaki miała w promieniach słonecznych. Powiemy teraz całkiem słusznie: słońce rzucało na centymetr kwadratowy tyleż energji promienistej (w pierwszej fazie doświadczenia), ile jej dostarcza, w równym czasie (w drugiej fazie) płomyk, w postaci ciepła. Obie fazy mogłyby zresztą odbywać się jednocześnie, gdybyśmy, zamiast jednej, zastosowali dwie zupełnie jednakowe blaszki, z których jedna byłaby wystawioną na słońce, gdy jednocześnie ogrzewalibyśmy drugą jakimkolwiek źródłem ciepła, znanej skądinąd wydajności. I tak się też zwykle czyni. Przypuśćmy np., że wiadomym jest, iż płomyk wypróbowanej wysokości dostarcza w minucie 1, 25 gramstopni *) ciepła. Powiemy wówczas: natężenie promieniowania słonecznego, w danym przypadku, było 1, 25 gramstopni na centymetr kwadratowy i minutę.

Płomyk wprowadziłem tu oczywiście tylko gwoli lepszego uzmysłowienia działania przyrządu. Regulować dałby się wprawdzie łatwo; trudno byłoby natomiast uniknąć utraty ciepła, a jeszcze trudniej odmierzyć ściśle jego wydajność cieplną. Mamy jednak w prądzie elektrycznym doskonały środek wytwarza-

*) Gramstopień (tysiączna część kalorji) = ilość ciepła potrzebna do ogrzania gramma wody o stopień Celcjusza.

nia ciepła tam, gdzie nam się podoba, i w takiej ilości, jakiej potrzebujemy (przez proste regulowanie natężenia prądu; dość przypomnieć sobie lampki elektryczne żarowe, które rozgrzewają się i rozświetlają silniej, skoro wzmocnimy prąd elektryczny). Zamiast stosować płomyk ogrzewający, przeprowadzamy tedy prąd elektryczny przez blaszkę (zacienioną) naszego pyrheljometru; wzmacniamy go stopniowo, dopóki ciepłem wytwarzanym nie zrównoważy dokładnie promieniowania słonecznego i notujemy wówczas jego natężenie (oznaczmy je przez i amperów). Do pomiarów prądu służą osobne, bardzo obecnie rozpowszechnione i dokładne przyrządy, t. z. amperometry. Trzeba jeszcze znać opór elektryczny blaszki ($=r$ ohmów). Ilość gramstopni ciepła, wytwarzana przez prąd, w ciągu minuty (równoważna promieniowaniu słonecznemu na obszarze centymetra kwadratowego, w tymże czasie) oblicza się wówczas według prostej formuły: $14,35\ i^2 r$, znanej dobrze każdemu, kto zajmował się cokolwiek nauką o prądzie elektrycznym.

*

* *

Wyjaśniwszy sposób wykonywania pomiarów, przytoczę, dla przykładu, serję spostrzeżeń wykonanych w Zakopanym dn. 2 września 1903 r. Był to najpogodniejszy dzień w bieżącym sezonie. O czystości atmosfery świadczył silny przymrozek następnej nocy, z obfitym szronem. W ciągu dnia temperatura powietrza wzrastała od $+8^0$ C wczesnym rankiem do $+20^0$ po południu. Wietrzyk ledwo dostrzegalny wschodni. Stan barometru z rana 698,4, przed południem 698,8, ku wieczorowi 698,2. Wilgoć powietrza, wyrażona jako prężność pary w atmosferze, w milimetrach rtęci, (według spostrzeżeń stacji meteorologicznej w muzeum Chałubińskiego) wynosiła 5,0 mm. z rana, 5,4 mm. po południu — w istocie był to najsuchszy dzień w całym sezonie obserwacyjnym. W następującej tabliczce liczby w nawiasach oznaczają wysokość słońca nad horyzontem (w sto-

Przed poł.				q	Po poł.				q
Godz. 6	min	45	(13,7°)	0,743	godz. 12	mm.	19	(48,8°)	1,243
„ 6	„	54	(15,1)	0,808	„ 12	„	27	(48,6)	1,233
„ 7	„	6	(17,1)	0,855	„ 12	„	53	(47,5)	1,242
„ 7	„	42	(22,8)	0,969	„ 1	„	20	(45,7)	1,210
„ 8	„	29	(30,0)	1,039	„ 2	„	25	(39,0)	1,157
„ 9	„	41	(39,7)	1,165	„ 3	„	47	(27,6)	1,008
„ 10	„	42	(45,9)	1,214	„ 4	„	46	(18,2)	0,849

pniach; q jest natężenie promieniowania słonecznego, określone, jak wyżej powiedziano.

Stałe mojego przyrządu (rozmiary blaszek, ich opór elektryczny, zdolność pochłaniania wyrażona liczbą 98%) wyznaczone były bardzo dokładnie, przez samego profesora Angströma. Ażeby jednak mieć pewną niezależną kontrolę, a zarazem upewnić się co do niezmienności przyrządu,mierzyłem nim od czasu do czasu promieniowanie zwyczajnej stearynowej wiecy, palącej się płomieniem wysokim na 50 milimetrów, z odległości 1 metra. Średnio biorąc, promieniowanie to wynosiło 0,0018 gramstopni na minutę i centymetr kwadratowy. Znaczyło to, że w Zakopanym dn. 2 września w południe słońce przygrzewało tak silnie, jakby 690 świec z odległości metra.

*

* *

W tabliczce powyższej uderzy każdego nader silna zmienność promieniowania słonecznego w ciągu dnia — a wybrałem dzień odznaczający się wyjątkowo stałą pogodą — zmienność zależna widocznie od wysokości słońca nad horyzontem. Istotnie, gdy słońce stoi nizko, promienie muszą się przebierać przez grubą warstwę powietrza, tracą wtedy wiele ze swej mocy wskutek częściowego pochłonięcia i rozpraszania w atmosferze ziemskiej. Nie wszystkie składniki powietrza biorą w tym udział w jednakowej mierze; głównie jest czynną para wodna, a także bezwodnik węglowy i nieuniknione nigdzie pyły.

Zależność ta od wysokości słońca jest objawem stałym, prawidłowym i przewidzianym. Nierównie więcej kłopotu sprawiają spostrzegającemu nieprawidłowe wahania się natężenia promieni, z dnia na dzień, przy tej samej wysokości słońca — wahania kapryśne, jak wszystko, co się pogody tyczy, zależne od każdorazowego stanu atmosfery. Spostrzegałem słońce zawsze tylko na zupełnie (z pozoru) czystym, błękitnym tle nieba. A jednak przyrząd wykazywał bardzo często przechodzenie przed słońcem niewidzialnych oparów i chmur; niewidzialnych dla oka, a jednak wpływających znacznie na natężenie promieniowania.

Wykonanie pomiarów jest rzeczą prostą i łatwą; nierównie trudniej jest — z powodu właśnie wymienionego — ugrupować cały materjał obserwacyjny, w taki sposób, żeby uzyskać wyraźny i zupełny obraz danego objawu meteorologicznego. Z całej liczby około 125 pomiarów natężenia, zrobionych między 11 sierpnia a 10 września b. r. ułożyłem następującą tabliczkę

wartości średnich, obok każdej liczby podaję jednak, w nawiasach, wartości najniższe i najwyższe natężenia, jakie spostrzegałem w tym okresie.

wysok. słońca przed poł.	q		wysok. słońca po połud.	q	
10°	0.57	—	50°	1.15	(1,08 — 1,25)
15°	0.73	(0,74 — 0,80)	45°	1.13	(1,06 — 1,21)
20°	0.84	(0,78 — 0,91)	40°	1.10	(1,07 — 1,17)
25°	0.92	(0,83 — 0,99)	35°	1.05	(1,02 — 1,07)
30°	1.00	(0,93 — 1,11)	30°	0.99	(0,94 — 1,05)
35°	1.07	(0,99 — 1,16)	25°	0.91	(0,85 — 1,00)
40°	1.12	(1,06 — 1,20)	20°	0.82	(0,75 — 0,91)
45°	1.16	(1,12 — 1,23)			
50°	1.19	(1,01 — 1,20)			

*

* *

Wspomniałem już, że robótka niniejsza była zaledwo rozpoczęta, gdy redakcja „Ogniwa" wezwała mnie do dostarczenia artykułu do „Myśli". Ażeby zbadać wszechstronnie promieniowanie słoneczne w danej okolicy, należałoby zgromadzić spostrzeżenia z różnych pór roku, podczas różnych typów pogody i t. p. Obiecuję sobie zrobić to jeszcze w Zakopanym, jeżeli czas i okoliczności pozwolą.

Zakopane, we wrześniu 1903.

August Witkowski.

NIECHAJ ŚPIĄ...

Wiecznym snem niechaj śpią, którzy nie mieli światła na ziemi, a pragnęli światła,

albowiem ofiara Bogu duch strapiony — i przynieśli tę ofiarę.

Wśród mroków stawiali ołtarze, duszę składali na nich w daninie i krwią serdeczną płakali, znaku czekając...

Aż zbrakło im krwi...

Stali się jako cienie i z cieniami wiedli rozmowy.

Cienie zaś mówiły:

„Nic niema prócz nas. My zaś już jesteśmy — już znikamy. Więc i nas niema. I was niema, ani waszych ołtarzy. Sami złudą będąc, wołacie złudzenia...

... idzie mgła ku mgle poprzez mgławe obszary —
tak w objęcia mar marę prowadzą mary...

A ci, łkając, pytali:

— Kędyż są słońca śnione i kędyż jest głos, co zaprzeczy zwątpieniu? Wybaw nas, Panie, z otchłani i uczyń, aby nie pochłonęły nas mroki! Salva nos fons pietatis! Salva nos!

Lecz mroki padały gęstsze, coraz gęstsze. Słońca świeciły może w niewidomej dali, w pięknej dali, nad którą rozciągały

się bezchmurne nieba. O nieba uderzały, niby orle skrzydła wielkie pieśni — pieśni zwycięskie... I wzlatały ku nim piosnki, jak skowronki, z ciepłej, fiołkami zasłanej ziemi.

...Oj, dałam ci ja, dałam
fiołecki leśne,
a tyś mi ostawił
ino łzy boleśne — hej!...

I wydało się owym stroskanym, że tę właśnie małą, słodką piosnkę podjąć byli powinni i że o wszystkim zapomnieli, o niej zapomniawszy...

Była godzina wieczorna. Wody cichej rzeki szumiały. Szumiały wszystkie liście drzew i podnosił się szum z ziemi i szedł z powietrza. A nad wodą kołysały się, migocząc, tęczowe łętki. Zdawało się, że podają sobie jasne skrzydełka, łączą się w korowód i krążą, krążą, pocałunkami dotykając niemal powierzchni fal. A wraz z niemi, do nich podobne, krążyły owe dźwięki i fala, miękа fala, poddawała się rytmowi słów. Powoli wszystkie szumy rozśpiewały się...

Jednakoż cienie krążyły, szepcąc:

...w objęcia mar marę prowadzą mary...

. . . . . .

Oj, dałam ci ja, dałam
fiołecki leśne!
a tyś mi ostawił
ino łzy boleśne — hej!
Heej!

I z tych spóźnionych, niepodjętych w letnią porę dźwięków wypełzł ostatni żal i pierwsze przekleństwo...

Wiecznym snem niechaj śpią, którzy pragnęli światła na ziemi, a nie mieli światła,

albowiem ofiara Bogu duch strapiony — i przynieśli tę ofiarę.

*

* *

I niech śpią, którzy złotym gwiazdom duszę ślubili, w noc pełną tajemnic szli, że ich gwiazda drogę im wyznaczy, ufając.

Bowiem padały na nich noce bez gwiazd i bez snu.

A kiedy nie przychodził sen, powstawały w duszy szepty zapomniane, wielkie szepty, które płakały:

„Zmiłuj się nad nami, Boże, według wielkiego miłosierdzia Twego... Ofiara Bogu — duch strapiony... Zmiłuj się, Boże!"

Lecz szepty te nie rozpraszały ciemności i nie rozpalały świateł nocy...

A czarne noce szły, szły jedna za drugą i jak całuny śmierci kładły się na duszę. I zdawało się, że nie odchodzą ze świtem, że tylko wpełzły w jakąś ciemną niedostrzegalną szparę i czają się, czatują. Jakoż samo południe pełne jeszcze było ich oddechu i w upalnej ciszy słychać było, jak umęczone dyszą...

Dysząc, wieściły, że o swojej godzinie znów przyjdą, znów, jak całun, padną na myśl i czucie i przychodzić będą, póki nie zdławią serca...

... Poszła młoda w ciemną noc, w ciemną noc —
za wołaniem, za śpiewaniem poszła:
„Pocóż gwiazd szukasz, jedyna!
ja w płaszcz cię gwiezdny otulę,
w jutrzennych światach miłości
stopię łzy, żale i bóle,
lecz pójdź, o pójdź, — słysz:
Huczy morze, rwą się brzegi, syczą groźne piany — —
patrz, szaleję, tęsknię, ginę — — —"
— idę już kochany! —

Z morza wyrastała czarna, wysoka skała. I wychodziła młoda często na tę skałę, sama wychodziła. Patrzała w strony, z których przyszła. Tam były białe siedziby, które codnia ozłacał cichy poranek. Zaś za czarną skałą nie było świtu i miękich, świetlnych roztoczy. Tylko noc i szał. Bladła młoda, i blaski gwiezdnego płaszcza gasły. A morze huczało... Śpiewało starą pieśń: ... o kwiatach z purpury, pomiętych, spalonych, — o nocach bezsennych, o nocach szalonych... starą, starą pieśń...

Modliła się:

— Serca uniżonego nie wzgardzisz! Zmiłuj się Boże! —

Poszła młoda w ciemną noc, w ciemną noc...

A morze huczało...

Niechaj śpią, którzy złotym gwiazdom duszę ślubili, w noc pełną tajemnic szli, że ich gwiazda drogę im wyznaczy, ufając.

Bowiem ofiara Bogu duch strapiony — : i przynieśli tę ofiarę.

* *

*

I ci niechaj śpią, którzy nie kochali ani dnia, ani nocy...

Szarym, chłodnym zmierzchem było ich życie i, częstokroć, nie kochając, drżeli.

Wtedy płakał ich duch, chociaż nie spływała ni nienawiść, ni miłość we łzach onych.

Zasłaniali się zmierzchem przed pożarem i purpurą dnia—

a dnie wschodziły pożarne, purpurowe...

I niosły słowa, które jak błyskawice szarpały mrok, —

i słowa, które roztrącały go zlekka, śpiewając:

„Pójdź, przyjacielu, na spotkanie dnia, bo piękny i jasny nadchodzi dzień!"

Natenczas ci przymykali oczy, drżeli i modlili się:

—— Słuchowi naszemu daj radość i wesele!... Zmiłuj się, Boże! — —

Lecz nie było radości i wesela w zmierzchu, a nie kochali dnia...

Zasłaniali się zmierzchem przed bladością i smutkiem nocy —

schodziły blade noce i nocom tym przypadały do stóp pożółkłe, umęczone liście, —

a każdy liść wspominał czasy minione, —

miał bowiem czasy w nadziei poczęte, i wracał do nich pamięcią, i wzywał je, chociaż uczyniły, że uwiądł i poczerniał...

Szlochały noce, szlochały liście... Lecz i te łkania były jeszcze płaczem miłości, i napływały ku niemu z ziemi wszystkie tęsknoty, wszystkie żale i wszystko niewyśnione kochanie...

A ci drżeli i modlili się:

— Słuchowi naszemu daj radość i wesele! — Zmiłuj się Boże! —

Lecz nie było radości i wesela w zmierzchu, a roztęsknionej nocy nie kochali...

Niechaj śpią, którzy nie kochali ani nocy, ani dnia,

— bowiem ofiara Bogu duch strapiony — : i przynieśli tę ofiarę.

Marja Zabojecka

DZIWAK.

(Epizod)

W fumoir'ze, przy czarnej kawie, likierach i cygarach, toczyła się rozmowa ożywiona, jak zwykle po długim światowym obiedzie i między panami, którzy są radzi, iż ceremonjał zabawiania dam się skończył, że można usiąść wygodnie i zrzucić maski. Mówiono — także jak zwykle — właśnie dla tego, że maski były zrzucone — o kobiecie, nie o paniach i nie o damach, ale o kobiecie. Były to dowcipy i anegdoty tym sprośniejsze i pieprzniejsze, im bardziej wyszukaną, wykwintną, wyperfumowaną była galanterja podczas długiego obiadu tam, przy stole ubranym kwiatami, śród gorsów świecących brylantami i szmaragdami.

W tym gronie mównym i wesołym milczał tylko ktoś jeden, mężczyzna bardzo wysoki i bardzo szczupły o dziwnej, bladej bez zarostu twarzy. Stał oparty o gzems pieca, z rękami splecionemi na kamizelce, ze spuszczoną głową, jakgdyby zamyślony o czymś, co było nieskończenie oddalonym od tego pokoju zbytkownego, od tych eleganckich panów we frakach i od tej rozmowy. Milczał wprawdzie i podczas całego obiadu, tak jak milczał zawsze

na zebraniach towarzyskich. Nazywano go dziwakiem i przyjmowano tylko przez wzgląd na olbrzymi fundusz i na nazwisko, jedno z najpierwszych w kraju, a nie było także w całym mieście ani jednej matki, któraby nie marzyła o tym, ażeby zostać teściową tego dziwaka.

Tajemnicą było, o czym on myślał w swoich milczących zadumach, jak również i to, dlaczego przyjmował wszystkie zaproszenia, wszędzie pierwszy się zjawiał, zewsząd ostatni wychodził.

Tak tedy w wykwintnym, stylowym fumoir'ze między najwykwintniejszemi panami toczyła się rozmowa najsprośniejsza i najbrutalniejsza na temat o zboczeniach miłosnych.

— Dosyć, panowie — przerwał nagle jeden z gości, brunet o ruchliwej inteligientnej twarzy, baron Grzybowski, którego nazywano w świecie Jan - dlaczego baron - dlaczego Grzybowski — dosyć panowie! Po każdym obiedzie, przy każdej czarnej kawie mówimy o tym samym. Wymyślmy coś zabawniejszego. Niech każdy z nas opowie swój dobry uczynek, taki, który by był naprawdę dobrym, t. j. bliźniemu dopomógł, pozostał w tajemnicy i przyszedł z trudnością.

Posypały się zaprzeczenia.

— Ależ nie! to spowiedź! Nie mamy dobrych uczynków... Dobre uczynki niech zostaną w ukryciu... To nudne... Trudno być szczerym... Tout le monde va broder...

— Sprobujmy wszakże — nastawał baron Grzybowski — nie uda się — to wrócimy do kobietek, tymczasem niech mówi ten, który zawsze milczy, ten, który w tej rozmowie ma głos najpierwszy, panie hrabio — prosimy, czekamy, i ukłonił się w stronę milczącego mężczyzny pod piecem.

— Tak.. tak... hrabia Tobjasz.... quélle excellente idée — zawołano chórem z radością, w nadziei zabawienia się cudzym kosztem — prosimy, prosimy, panie hrabio...

Wysoki i szczupły mężczyzna przy piecu zmieszał się. Rozplótł ręce, które zwisły mu bezwładnie, przestąpił z nogi na nogę, wreszcie odezwał się.

— Panowie... doprawdy... nic nie pamiętam... Dlaczego ja mam zaczynać... Niezasłużona opinja...

— Panie hrabio, koniecznie! Nie ustąpimy, nie wyjdziemy stąd! Musi nas hrabia zbudować jaką piękną opowieścią — nacierali panowie, przewidując coś śmiesznego w ustach tego dziwaka.

— Zresztą... Jeśli koniecznie chcecie panowie...—nieśmiało zgodził się hr. Tobjasz — Chodzi nam tedy o dobry uczynek, o coś, co by było pomocą bliźniemu a kosztowało miłość własną... zaraz... w życiu tyle jest złego a tak mało dobrego — splatał i rozplatał ręce zmięszany — zaraz...

— Było to tak — zaczął wreszcie, opanowawszy wzruszenie. Mieszkałem wówczas u rodziców na wsi...

Wszyscy chciwie nastawili uszów, hrabia tymczasem opowiadał nieumiejętnie, ucinając co chwila, ze spuszczonemi oczami.

— ...u rodziców na wsi, świeżo po ukończeniu uniwersytetu za granicą... Dwór ogromny, jak zwykle, pałac... znacie panowie... służby mnóstwo, pieców jeszcze więcej — drwa... pokój mój był nie od strony parku ale od podwórza, bliżej kuchni... Nie znałem warunków miejscowych... Zima była mroźna. Budzę się jednej nocy: słyszę, ktoś pod oknami mojemi piłuje i rąbie drwa: pierwej długo piłuje, potym długo rąbie; pracuje i kaszla... Kaszlał ciężko tak, jak to kaszlą starzy ludzie. Budzę się następnej nocy — to samo — i tak codzień, przywykłem do tego, nawet wielką przyjemność mi sprawiał odgłos pracy ludzkiej — wnet zasypiałem. Ciepłe łóżko, możność spoczynku, wydawały się smaczniejszemi w zestawieniu z tą pracą, w mroźną noc. Egoizm panowie — rzekł nagle głośno i powiódł po otoczeniu oczami, pełnemi blasku i życia.

— Ale, panowie, zaczęło mnie także gryźć sumienie. Mrozy tężały, tam ten człowiek kaszlał... któregoś dnia wstałem, ubrałem się i wyszedłem...

— Nie potrzebuje tego mówić — półgłosem wstawił Grzybowski — zimą nikt nie wychodzi w koszuli.

— Co pan mówi, panie baronie — zwrócił się do niego hrabia, odzyskawszy pewność siebie.

— Nic.. że to bardzo ciekawe

— Otóż którejś nocy wstałem, ubrałem się i wyszedłem...

— Znowu to samo... Boże, jak on opowiada — tym razem szeptem przemówił baron Grzybowski.

— Tamten — ciągnął dalej hrabia — ujrzawszy mnie— myślałem, że omdleje. Piła wysunęła mu się z rąk. „Kradniecie drzewo?—zapytałem. A on ukląkł przedemną. Był to stary człowiek... Jasny hrabio — mówił — tak mi Panie Boże dopomóż, że nie — i zaczął opowiadać długą i splątaną historję, z której mogłem wyrozumieć...

— Co do krasnomówstwa, wart pałac Paca — szepnął Grzybowski — panie hrabio dalej, to bardzo ciekawe...

— Otóż z opowiadań tego człowieka — a nazywał się — Wybacz panie baronie — Grzybowski, Piotr Grzybowski, że jest fornalem w naszym folwarku, że ma chorą żonę, starszego syna w wojsku, średniego niezdarę, a najmłodszego bardzo zdolnego w szkółce miejskiej, że mu ten z naszej służby, któremu poleconym było zaopatrzenie całego dworu we drwa, płaci za tę nocną robotę 2 ruble miesięcznie. Sprawdziłem to nazajutrz. Okazało się, że ten człowiek miał żonę istotnie ciężko chorą jak zwykle u nich na zadawnione cierpienie kobiece, syna w wojsku, syna — niezdarę, i syna w szkole miejskiej — co zaś do drew — nie wiem, nie sprawdzałem, nie chciałem wiedzieć...

— I cóż, i cóż? panie hrabio — posypały się pytania.

Hrabia pochylił głowę.

— Przez cały czas mego pobytu w domu, aż do wiosny, wstawałem przed świtem, w mróz, i pomagałem temu człowiekowi w pracy — cichym i znowu nieśmiałym głosem dokończył.

Zgromadzenie zaszemrało, a był to szmer zawodu i tłumionego śmiechu.

— Tak, to bardzo piękny uczynek — głośno i dobitnie zawyrokował gospodarz, żeby uratować sytuację.

— Kosztowało mnie to trochę z początku, to wczesne wstawanie, praca w mróz i na głodno, ale przywykłem...

— Taki magnat mógł sypnąć kilkaset rubli i byłby daleko lepszy skutek — odezwał się niegłośno jeden z gości.

— Pomagać złodziejowi, bo to niezawodnie był złodziej— szepnął ktoś drugi—nie rozumiem. Nudna historja i bez pointe'y.

— A z owego najmłodszego syna—dodał jeszcze hrabia — wyrósł człowiek tak dzielny że mało ma równych sobie w kraju. Ile razy spotykam go na ulicy, patrzę na niego z radością i przypominają mi się tamte, dalekie, radosne mroźne godziny.

I hrabia spojrzał na panów, już oddawna znudzonych, promiennemi oczami.

— To jest całkiem inna linja Grzybowskich — tłumaczył komuś baron Grzybowski.

Po chwili rozmowa wróciła na dawne tory.

Kazimierz Zdziechowski.

KILKA UWAG O WŁASNOŚCI LITERACKIEJ, ARTYSTYCZNEJ I PRZEMYSŁOWEJ.

W dziedzinie sztuki świat starożytny narzucił naszemu światu poglądy na to, co piękne; w dziedzinie prawa cesarstwo rzymskie przekazało chrześcijańskim narodom zasady prawa prywatnego: I dokonał się proces dziejowy, zwany w historji sztuki— renesansem, w dziedzinie prawa — recepcją rzymskiego prawa klasycznego.

Zasad rzymskiego i u s nie przyjęły jednak ludy romańskie, germańskie i słowiańskie w całości: Utrzymało się wiele praw rodzimych, wiele rzymskich prawideł uległo zmianom, wiele nowych zasad w system rzymski wprowadzono. Odmienna chrześcijańska etyka, odmienne stosunki ekonomiczne i odmienna struktura społeczna wycisnęły swoje piętno na recypowanym rzymskim prawie tak, że z tego punktu widzenia nowsze prawo prywatne przedstawia się jak wspaniała starożytna rzymska świątynia, którą zamieniono w kościół chrześcijański i w którą stosownie do zmienionego celu wbudowano ołtarze, sarkofagi, tablice marmurowe i t. d. — styl główny świątyni ten sam, ale dodatki

świadczą, że inny w niej dzisiaj duch panuje, że przed innym Bogiem korzą się tu ludzie.

Otóż z instytucji prawnych, wcielonych w system rzymskiego prawa przez nowszą kulturę, pragnę tu przedstawić zasadę, której wyrazem jest własność literacka, artystyczna i przemysłowa. — Obca ona światu starożytnemu, kiełkować zaczyna w czasie rozłamu między średniemi a nowemi wiekami, naprzód we Włoszech, potym w Anglji, Francji i w Niemczech, a dzisiaj wybujała we wspaniale wykształconą instytucję, zwaną prawem na dobrach niematerjalnych. Wprowadzona we wszystkich kulturnych państwach, walczyć jedynie musi jeszcze gdzieniegdzie o międzynarodowe znaczenie.

Według prawa rzymskiego, majątek jednostki składać się może z t. zw. rzeczy zmysłowych lub niezmysłowych (res corporales aut incorporales). Pierwsze są głównym rdzeniem majątku, do nich należy i ziemia, którą jednostka posiada, i domy na niej zbudowane i ruchomości, jakoto: niewolnicy, zwierzęta domowe i oswojone, sprzęty, meble, pieniądze— do drugich zaliczyć należy prawa jak np. prawo do drogi na gruncie sąsiedzkim, prawo zastawu na obcej rzeczy, wierzytelności i t. d. Częścią majątku, a więc przedmiotem praw prywatnych nie może być zaś to, co granic niema, co nieuchwytne, jakoto: powietrze, światło, ogień, woda bieżąca i morze. A myśl ludzka? Oczywiście, także nie — ani ta, co pracuje i tworzy, ani jej produkt, pewna idea, określona i zamknięta w formie jakiegoś dzieła literackiego, artystycznego lub wytworu przemysłowego; bo chociaż ucieleśni się w takiej formie, to i tak lotniejsza ona niż powietrze, szybsza niż woda bieżąca, skoro może się rozszerzać między ludźmi za pomocą tak prostych środków, jak głos i wzrok ludzki. To też w Rzymie starożytnym nikt jej siły ekspansywnej nie tamował, nikt nie zaliczał do przedmiotów prawa — była ona najzupełniej extra commercium. Ten, w czyjej głowie urodziła się i kto ją przelał w pewną formę, z radością patrzał się, jak się między ludźmi rozchodzi, jak ją jedni drugim komunikują, jak rozbudza ciekawość, zadziwienie i rodzi zapały. Płacono, co prawda, za manuskrypty, za rzeźbę, za obraz, ale o tyle tylko, o ile te środki, komunikujące dalej oryginalną myśl, były wytworami, wymagającemi nakładu pracy fizycznej, pieniędzy i materjału — nie płacono zaś wcale za ideową koncepcję w dziele wyrażoną. To też nie tylko w poezji, ale nawet ze stanowiska realnie patrzącego prawnika

można było porównać poetów, literatów, uczonych, artystów, tworzących gienjalne dzieła—do Prometeuszów, którzy ogień z nieba wydarli, aby na świecie było i piękniej i lepiej i prawdziwiej, bo ten ogień, w dzieła literatury i sztuki pochwycony, mógł oświecać każdego, był dobrem publicznym, jak promienie słoneczne, przy których każdy mógł się zagrzać.

Inaczej patrzy na oryginalną myśl ludzką, wyrażoną w pewnej formie, dzisiejszy prawnik: Dla niego jest to światło, którego ludzie potrzebują, i za które gotowi są płacić. W myśli ludzkiej, dostępnej dla innych przez dzieło, w którym ona została ujęta, tkwi siła kupiecka, dająca się nawet sztucznie podnieść za pomocą krytyki i innych środków reklamy. Otóż tak, jak siły przyrody, np. siłę wody da się pochwycić i wyzyskać, wprowadzając ją w pewne formy np. w młynówkę, tak samo i ta siła atrakcyjna, tkwiąca w dziele myśli ludzkiej, może być wyzyskana jako wartość ekonomiczna dla jednostki za pomocą pewnej formy prawnej, mianowicie za pomocą monopolu: Ustawa stwarza monopol na rzecz tego, kto jest twórcą oryginalną myślą tchnącego dzieła. Autor, kompozytor, rzeźbiarz, malarz i wynalazca mają wyłączne prawo do wyzyskania całej ekonomicznej wartości, jaką dzieła przez nich stworzone reprezentują. Jeżeli rozchodzi się o dzieło literackie lub naukowe, to autor może jeździć z swym manuskryptem po świecie i odbywać wykłady, może oddać go do druku i rozprzedawać, może, jeżeli dzieło jest sceniczne, wystawiać je w teatrach. Podobnie kompozytor, rzeźbiarz i malarz mogą siłę ekonomiczną, tkwiącą w ich utworach, wyzyskać bądź to przez publiczne produkcje lub wystawianie, bądź też przez druk i rozprzedawanie odbitek, lub inne sposoby. Twórca wynalazku przemysłowego zaś może zgłosić się o patent i przez to również uzyska wyłączne prawo do zastosowywania swego wynalazku w przemyśle.

Wyłączne prawa, monopole, stworzone przez ustawę na rzecz twórców dzieł oryginalnych, nazwano w rewolucji francuskiej własnością i to nie bez bardzo poważnych powodów: Chodziło mianowicie o to, aby prawo tych, którym zawdzięczamy ludzki postęp, poddać pod najwyższą możliwie sankcję — pod sankcję prawa własności; powtóre, chodziło o oddanie hołdu ludzkiej pracy, którą bądź co bądź jest każda nowa inwencja w formie pewnej wyrażona — wszakżeż w czasie rewolucji głoszono dobitniej niż kiedykolwiek, że le travail est le titre le plus legitime, le plus inviolable de toute propriété.

Nie ulega też wątpliwości, że w konstrukcji prawnej dużo jest podobieństwa między własnością na rzeczach zmysłowych, a własnością na dobrach niematerjalnych — wszak tak samo, jak rolnik ma wyłączne prawo do eksploatacji swojej ziemi, tak twórca nowego dzieła ma wyłączne prawo do wyzyskania całej siły ekonomicznej, jaka w nim tkwi. Wybitna różnica uderzy jednak każdego: Własność na rzeczach zmysłowych trwa bez z góry określonego terminu, własność na dobrach niematerjalnych jest ograniczona w czasie; własność literacka i artystyczna kończy się w Austrji zwyczajnie w 30 lat po śmierci autora, kompozytora i artysty, własność przemysłowa w lat 15 po wzięciu patentu przez wynalazcę. Potym dzieła te stają się przedmiotem dobra publicznego: Każdy może je przedrukowywać, każdy z nich dowolnie korzystać; stają się dziedziną wolnej konkurencji, a książki i przedruki schodzą do cen, nieprzekraczających kosztów produkcji. Wówczas to myśli w nich wyrażone stają się tym, czym były w Rzymie starożytnym — wyłącznie siłą kulturną, dla każdego dostępną.

Te przez ustawę zgóry zakreślone czasokresy nadają jednak własności literackiej, artystycznej i przemysłowej zupełnie odmienny charakter: To nie takie prawa, jakie filozofowie prawa natury zwali przyrodzonemi, tylko to poprostu premje dla ludzi, którzy dla postępu pracują, to nagroda za zasługi, to bodziec i zachęta dla wysiłków nad rozwojem kultury. A bodziec bardzo potężny, bo liczne dzisiaj przykłady, zwłaszcza z zakresu wynalazków przemysłowych, dowodzą, że termin przez ustawę zakreślony wystarcza dla twórców nowszych idei i ich spadkobierców do zrobienia znacznych niejednokrotnie fortun.

Ochrona literacka, artystyczna i przemysłowa jest też jednym z głównych powodów, dla których postęp zdemokratyzował się — zstąpił z swego wysokiego piedestału, na którym widniały postacie wybrańców, gienjuszem obdarzonych, a stał się dziedziną pracy całych tłumów. Nowych dróg szukają dzisiaj nietylko, jak dawniej, wyższe, gienjalne umysły, których wrodzony wewnętrzny ogień zmusza do nowych pomysłów, ale i całe masy ludzi, mniejszym lub większym talentem wyposażonych, robiący sobie z pracy literackiej, artystycznej i wynalazczej zawód, źródło dochodów i stałego zarobku. Postęp jest rezultatem pracy zbiorowej i ciągłej i posuwa się naprzód ruchem spokojnym, stałym, wszechstronnym i szybszym, choć wielu niepowołanych ten ruch krzywi i paczy.

Ale właśnie ten znacznie przyspieszony postęp kultury jest zyskiem społeczeństw. Jakkolwiek więc nasze prawa na pewien czas wstrzymują naturalną siłę ekspansywną ludzkiej myśli i dobro publiczne ograniczają, to jednak państwa kulturne wprowadzają własność literacką, artystyczną i przemysłową nietylko w uznaniu zasług pracy nad postępem, ale zarazem w dobrze zrozumianym interesie całych społeczeństw.

Uznanie szerszych praw dla ludzkiej pracy, będące myślą zasadniczą instytucji prawnej, o której mowa, nasuwa jednak jeszcze inne spostrzeżenie:

Dla rzymskich pojęć, jak świadczy Gaius, pierwszą, najgłębszą podstawą własności i majątku jest wojenna zdobycz, gwałt i siła, którą pokonano nieprzyjaciela: „maxime sua esse credebant, quae ex hostibus cepissent". Dla nas, jak świadczą tacy myśliciele jak Mill, Say, Lamartine, Schopenhauer, Laveleye i wielu innych, pierwszą i najsłuszniejszą przyczyną własności jest zasługa ludzką pracą zdobyta: Le travail est le fondement de la propriété. — Nastąpiła zatym zasadnicza i zupełna zmiana w filozoficznym poglądzie na źródła własności i majątku. Ale to tylko zakres prawa prywatnego. — W wielkiej dziedzinie prawa publicznego — mianowicie w prawie narodów, sroży się jeszcze duch starożytny — hołd wobec siły i gwałtu. Czy i tu, jak zapewnia profesor Wyszatycki w „Rodzinie Połanieckich", zapanują kiedyś zasady na etyce chrześcijańskiej oparte — to problem, którego rozwiązanie należy do przyszłości.

Prof. dr. Fryderyk Zoll (młodszy).

JEDNOSTKA I SPOŁECZEŃSTWO.

Człowiek nie jest całością samą w sobie skończoną, samodzielną. Stanowi cząstkę gatunku ludzkiego, z którego powstaje, w którym się rozwija i żyje; zależy więc tak cieleśnie, jak i duchowo od środowiska społecznego.

Każda jednostka ludzka splątana jest siecią stosunków życia społecznego. Gra tych stosunków działa na nią, urabia ją w taki lub inny sposób i nią kieruje. Jednostka ludzka jest jakby pracownią, gdzie się spotykają różnorodne wpływy społeczne z siłami ustrojowemi, działają na siebie wzajemnie i wytwarzają w rezultacie zasoby twórcze życia duchowego. Życie społeczne stanowi czynnik zasadniczy w powstawaniu i rozwijaniu się duchowości ludzkiej. Z jego głębi wytryskają źródła ożywcze kultury umysłowej, która oddziaływa ze swej strony na życie społeczne i zmusza je niejako do nowych wyłonień.

Gdyby ta ciągła praca wieków uległa przerwie, jakiż olbrzymi przewrót nastąpiłby w naszym życiu. Kulturalny pochód ludzkości nie jest jednak zagrożony. Same warunki życia zmuszają ludzi do ściślejszego zespalania się z sobą, do większego uspołeczniania się i uduchowiania.

Niewystarczalność jednostki ludzkiej samej sobie nietylko przedmiotowo jest widoczna, lecz podmiotowo również się

ujawnia w instynktowym ciążeniu do społeczeństwa, w dążnościach społecznych, wypływających z samych warunków istnienia zbiorowego i stanowiących silną spójnię — solidarność duchową jednostek. Dążności społeczne wspomagają zadania instynktu samozachowawczego oraz rozszerzają naszą osobowość.

Trwałe zadowolenie znaleźć może jednostka jedynie w właściwym użytkowaniu swych sił, w urzeczywistnianiu swych dążeń, pragnień, ideałów, swej treści psychicznej. Stosownie do natury swych potrzeb posiada ona dwie kategorje dążeń życiowych: jedna wyrasta z potrzeb cielesnych, wyłącznie osobistych, druga z potrzeb duchowych, społecznych. Ta dwojakość dążeń ukazuje się coraz wyraźniej w miarę rozwoju osobnika i nadaje indywidualności jego dwojaką postać.

Osobiste potrzeby człowieka, potrzeby cielesne, są ograniczone i w miarę wzrostu kultury społecznej coraz łatwiej i lepiej mogą być zaspokajane. Gdyśmy sobie zapewnili możność stałego ich zaspokajania, nie myślimy o nich, jak nie myślimy o potrzebie oddychania. Przestajemy być ich niewolnikami. Gdy jednak uwaga nasza na owe potrzeby się zwraca przy łatwej możności ich zaspokajania, następuje wówczas przesyt i pewien wstręt do tego rodzaju życia. Zaspokajanie wyłącznie potrzeb czysto osobistych nie może zatym stanowić celu życia, lecz jest jedynie środkiem do osiągania innych celów, pozaosobistych, szerszych, mających za przedmiot doskonalenie swego otoczenia, środkiem do oddawania nadmiaru energji osobniczej dla wspólnego dobra całości społecznej. Urzeczywistnianie tych celów — to spłata długu obciążającego nas, spłata z natury rzeczy nieuciążliwa, lecz, przeciwnie, połączona z uczuciem pewnego zadowolenia.

Więcej posiadamy sił niż ich potrzebujemy dla siebie. Sama więc natura naszego ustroju zmusza nas do oddawania nadmiaru sił naszych sprawom gatunku ludzkiego, jeżeli nie chcemy krępować siebie samych, jeżeli właściwe dać im mamy ujście. Najwyższe cele życia jednostki, cele wyższej jej indywidualności na tej tylko drodze mogą być osiągnięte.

Życie dla innych staje się więc z konieczności naszą potrzebą; energja, zaoszczędzana przy zaspokajaniu czynności zwierzęcych naszej osoby, zmusza nas do wykonywania czynności wyższych, a zatym do działania na korzyść społeczną.

Całą treść swą duchową zrealizować może jednostka jedynie w społeczeństwie. Oddając się jego sprawom, pracując dla

dobra innych, pełniejszym indywidualnie żyje życiem; z drugiej zaś strony życie społeczne, przy odpowiednim spółdziałaniu jednostek, staje się doskonalszym i bardziej sprzyjającym dla własnego ich rozwoju. Maksimum dobra powszechnego nastąpi wtedy, gdy małe wysiłki energji wystarczą ludziom dla zaspokajania czysto osobistych ich potrzeb. Indywidualność wyższa osiągnie wówczas przewagę nad indywidualnością niższą, człowiek-zwierzę stanie się prawdziwym człowiekiem.

W dzisiejszym rozwoju społecznym ujawnia się dążność ku zapewnieniu wszystkim możności zaspokajania potrzeb cielesnych i upodobnieniu warunków życia dla wszystkich. Inna rzecz jednak potrzeby duchowe. Nie dają się one ująć w liczbę, ani też uspołecznić. Różnice osobnicze nie zmniejszają się więc w dziedzinie potrzeb duchowych, ale coraz bardziej zwiększać się będą w miarę rozwoju ludzkości. Wchodzą tu już w grę dążenia wyższe, wymagające odpowiedniego środowiska społecznego.

Przeciwieństwo interesów pomiędzy jednostką a zbiorowiskiem innych ludzi, ujawniające się w dziedzinie potrzeb zwierzęcych, znika w dziedzinie potrzeb ludzkich; dobra bowiem duchowe wspólne są i indywidualne jednocześnie i nietylko nie mogą być nigdy wyczerpane, lecz, przeciwnie, stale wzrastają w miarę rozwoju kultury duchowej.

Życie nasze duchowe rozwijać się może bezgranicznie. Ono wyniosło nas ponad poziom zwierząt i stale podnosi nas coraz wyżej ponad poziom potrzeb cielesnych. Tylko rozwijając to życie, człowiek może się doskonalić coraz bardziej i stać się owym nadczłowiekiem, o którego przyjściu na świat marzą niektórzy indywidualiści, a który ukazać się może w dalekiej dopiero przyszłości, gdy rozpoczynać się będzie na ziemi epoka panowania braterstwa powszechnego.

Ideały humanitarystyczne naszych czasów nie do obniżenia zatym typu człowieka, nie do stłumienia jego indywidualności, lecz po właściwej drodze rozwojowej do podniesienia go prowadzą. Prąd dziejowy, jak nas powiadamia myśl badawcza, ten sam kierunek pochodowi ludzkości nakreśla.

Antoni Zlotnicki.

SPIS RZECZY.

str.

Balzer O. O potrzebie zakładania bibljotek publicznych w większych miastach prowincjonalnych 1
Baudouin de Courtenay J. Okruchy myśli 8
Biegański W. Sprzeczne kierunki w biologji (Mechanizm i witalizm) 9
Biernacki E. Kultura i czystość. 19
Bukowiecki S. Ochrona od powodzi (szkic z dziedziny prawa wodnego. 24
Chlebowski B. W sprawie Modrzewskiego. 36
Chrzanowski I. Z literatury teologiczno-polemicznej XVI-go wieku . 41
Daszyńska-Golińska Z. Z metodologji badań społecznych 49
Dickstein S. Gieometrja i przestrzeń. 58
Dunin K. W setną rocznicę 63
Flatau E. Społeczeństwo a nauka wobec prac doświadczalnych . . 72
Gajsler J. F. Kartka z dziejów odrodzenia czeskiego 77
Grabski S. Idea dobra powszechnego, jako zasada ocen naszych społeczno politycznych 84
Kempner S. A. Spowiedź 93
Kochanowski J. K Najnowsze kierunki w historjozofji a wskazania historjografji naukowej. 97
Kodisowa J. Rozwój społeczeństwa i jego postęp etyczny 103
Konic H. Ustęp z dziejów Komisji Rządzącej 109
Koszutski S. Wędrówki ludu. 117
Kramsztyk S. Początki fizyki nowoczesnej 137
Krauz K. Ochrona prawna robotników rolnych 152
Kraushar A. Pierwsze odgłosy Konrada Wallenroda 162
Kryński A. Analogja językowa 181
Krzemiński S. Historja 191
Krzywicki L. Teorja najazdu w oświetleniu etnologji porównawczej. 204
Kucharzewski F. Nasi dawni pisarze techniczni i słownictwo . . . 218
Kulwieć K. Woda a życie. 227
Lewenberg A. Zasada opisu i przyporządkowania (koordynacji) w matematyce 236

str.

Lewinson L. Fragment z dziedziny prawodawstwa społecznego . . 257
Lorentowicz J. Leon Bloy (Portret literacki) 273
Łopaciński H. Ślady powodzi u nas w historji, archelogji, języku, przysłowiach, podaniach, piśmiennictwie i sztuce . . . 293
Mahrburg A. Przyroda w naszym pojmowaniu i odczuwaniu . . . 315
Małecki A. Sejmik gospodarski w roku 1730. 326
Markowska M. Włoskie strofy 335
Meyet L. Przekreślone strofy 338
Mieczyński S. Adolf Dygasiński jako nauczyciel 342
Miklaszewski W. prof. O prawa poszkodowanego 352
Miklaszewski W. Podniety. 354
Nałkowski W. Gieneza, wymiary i zmienność pasów klimatycznych (kartka z gieografji astronomicznej) 361
Niemojewski A. Sybilla i Przedświt (szkic porównawczy). 368
Nusbaum J. Modne kierunki w badaniach umiejętnych. 374
Nusbaum H. Pamięć w etyce 379
Orzeszkowa E. Mago Wielki. Nowela 382
Orkan W. O stosunku widowni do dzieła (urywek z odczytu). . . 394
Porębowicz E. Legienda prowancka o Matce Boskiej 397
Posner S. Dwa wyroki. 401
Radliński I. Logia Jezusa 413
Rundstein S. Sprawdziany przeciętne jako zasada prawa 421
Smoleński W. Zły sąsiad (Przyczynek do historji łupiestw pruskich w Polsce). 428
Suligowski A. Ostatnia wielka powódź w obrębie Warszawy (Szkic z życia na Powiślu warszawskim) 438
Witkowski A. Zakopiańskie słońce 455
Zabojecka M. Niechaj śpią 461
Zdziechowski K. Dziwak 465
Zoll Fr. (młodszy) Kilka uwag o własności literackiej, artystycznej i przemysłowej. 469
Złotnicki A. Jednostka i społeczeństwo. 474

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu